

# Stalowe cienie

## Brown Dale



calibre 0.9.43

**DALE BROWN**

**STALOWE CIENIE**

**TŁUMACZYŁ ANDRZEJ ZIELIŃSKI**

**TYTUŁ ORYGINAŁU SHADOWS OF STEEL**

„Stalowe cienie” dedykuję pamięci mojego dobrego przyjaciela, mentora i wydawcy George’a M. Colemana, głównego redaktora w G. P. Putnam’s Sons. Od samego początku mojej kariery pisarskiej, kiedy tylko potrzebowałem kogoś, kto przeprowadziłby mnie przez pola minowe świata wydawniczego, on zawsze był przy mnie.

Największym darem, jaki Bóg mógłby nam zesłać, byłoby przeniesienie duszy George’a Colemana w ciało innej osoby, abyśmy znów mogli doświadczać jego uroku osobistego i radości życia.

Niniejszą powieść dedykuję również mężczyznom i kobietom z sekcji przetrwania 31. Skrzydła Myśliwskiego z bazy lotniczej Aviano we Włoszech. To oni przeszkolili i wyposażyli kapitana Scotta O’Grada/ego, pilota F-16 Sił Powietrznych USA, dzięki czemu przeżył po zestrzeleniu nad Bośnią i uniknął dostania się w ręce Serbów bośniackich w czerwcu 1995 roku. Operacja za operacją, rok po roku, ci ludzie składają spadochrony, napełniają butle, sprawdzają pasy i wymieniają baterie, jakby to oni mieli zasiąść w kabinie samolotu. Dziękuję wam za umożliwienie pilotowi bezpiecznego powrotu do bazy.

## Podziękowania

Dziękuję mojemu dobremu przyjacielowi, generałowi Sił Powietrznych USA w stanie spoczynku Donowi Aldridge'owi, byłemu zastępcy szefa sztabu Dowództwa Lotnictwa Strategicznego, za inspirację i za cenne zakulisowe informacje o świecie strategicznych sił powietrznych.

Dziękuję generałowi J. Michaelowi Lo, szefowi Dowództwa Walki Powietrznej bazy Sił Powietrznych Langley w Wirginii, za bezcenną pomoc w zbieraniu informacji o ciężkich bombowcach, a zwłaszcza za pomoc w poznaniu bombowca B-2A Spirit. Dziękuję także pułkownikowi Mike'owi Gallagherowi, kapitanowi Steve Solomonsonowi i major Barbarze Carr.

Dziękuję generałowi Ronowi Marcotte, dowódcy 509. Skrzydła Bombowców, z bazy lotniczej Whiteman w stanie Missouri, która była pierwszym domem bombowca B-2A Spirit, i pułkownikowi Williamowi Fraserowi, zastępcy dowódcy, za pomoc, czas, a zwłaszcza za cenne informacje o nowym świecie bombowców dalekiego zasięgu. Poznanie takich oficerów jak oni i odwiedzenie nowoczesnej bazy, takiej jak Whiteman, było dla mnie szczególnym przywilejem.

Pragnę też podziękować kapitanowi Billowi Harrisonowi z 509. Skrzydła Bombowców; pułkownikowi Gregowi Powellowi, dowódcy Grupy Operacyjnej 509. Skrzydła, pułkownikowi Fredowi Strainowi, dowódcy Dywizjonu Wsparcia Operacyjnego 509. Skrzydła, mojemu staremu przyjacielowi z B-52 pułkownikowi Rickowi Sorensenowi, szefowi Ekipy Planowania Operacyjnego; pułkownikowi Tony'emu Imondi, z którym latałem kiedyś na FB-111, szefowi szkolenia pilotów na B-2A; pułkownikowi Dickowi Newtonowi, dowódcy 393. Dywizjonu Bombowców; majorowi Steve'owi Tippettsowi, kapitanowi Buzzowi Barrtettowi; majorowi Jimowi Whitneyowi z 393. Dywizjonu „Tygrysów”, z którym latałem kiedyś na F-111 i wszystkim pozostałym, których spotkałem, a którzy podsuwali mi pomysły i udzielali odpowiedzi podczas mojej spektakularnej wizyty w 509. Skrzydle i na pokładzie niewiarygodnego bombowca B-2A Spirit. Przyjemnie było się przekonać, że starzy przyjaciele z powodzeniem radzą sobie z najbardziej nowoczesnym samolotem bojowym na świecie.

Dziękuję majorowi Emmersonowi Pittmanowi, rzecznikowi prasowemu Sił Powietrznych, za pomoc w zdobywaniu informacji do tej książki.

Bardzo ważnym źródłem politycznych, historycznych i wojskowych informacji o różnych krajach była dla mnie praca „Defence and Foreign Affairs Handbook” (Londyn, International Media Corp., Ltd., 1994).

Dziękuję także wielu członkom internetowej grupy dyskusyjnej SOC.CULT.IRAN (SCI) za nieocenioną pomoc i pomysły.

Dziękuję Neilowi Nyrenowi, wydawcy i redaktorowi naczelnemu w wydawnictwie G. P. Putnam's Sons za cenną pomoc w pracy nad rękopisem - w ciągu sześćdziesięciu sekund mojego pierwszego z nim spotkania pomógł mi w dopracowaniu szczególnie trudnego fragmentu! Mam szczęście, że taki człowiek jest ze mną.

## Od Autora

Wszelkie podobieństwa bohaterów tej powieści do rzeczywistych postaci, żyjących lub zmarłych, są czysto przypadkowe i stanowią wyłącznie produkt wyobraźni autora.

Moi wierni Czytelnicy zorientują się, że na kartach tej powieści występują bohaterowie moich wcześniejszych książek. Mam nadzieję, że powitacie starych znajomych z takim samym zadowoleniem, z jakim ja sprowadziłem ich z powrotem do Was.

Czekam na Wasze uwagi! Przesyłajcie je, proszę, na adres e-mailowy OldDog01@aol.com

### Fragmenty doniesień prasowych z lat 1994-1995

#### ◆ „Defence & Foreign Affairs Strategie Policy”.

31 października 1994 roku

(Przedruk za zgodą redakcji) W połowie września Teheran uznał, że starcie o wyspy w cieśninie Ormuz - Abu Musa oraz Wielki i Mały Tumb - jest nieuniknione. Podstawą tej oceny sytuacji były informacje wywiadowcze z Arabii Saudyjskiej i Rady Współpracy Zatoki. Iran nasilił przygotowania militarne i ćwiczenia w rejonie Zatoki. Pod koniec września 1994 roku Teheran intensywnie przygotowywał się do ewentualnej konfrontacji zbrojnej o te wyspy z państwami Zatoki Perskiej. Iran wierzy, że demonstrując siłę i bezkompromisowe stanowisko w sprawach Zatoki, potrafi skłonić takie kraje jak Egipt i Irak do uznania szczególnej pozycji Iranu w świecie islamu.

#### ◆ Iran twierdzi, że Zachód stwarza zagrożenie dla **bezpieczeństwa, zwiększając swe siły**

(20 października 1994 roku 06.00 GMT) - Nikozja - Reuters

Irański minister do spraw wywiadu Ali Fallahijan oświadczył w środę wieczorem, że obecność sił zachodnich w rejonie Zatoki jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa Iranu. Powiedział, że Iran musi być czujny i przygotowany „na każdą ewentualność” - poinformowała oficjalna irańska agencja prasowa IRNA.

Według tej agencji, Fallahijan oświadczył, że „obecność obcych sił i ich przegrupowania w bezpośrednim sąsiedztwie Iranu nakazują czujność i wymagają przygotowania się na każdą ewentualność”. Ł Minister potępił politykę Stanów Zjednoczonych w rejonie Zatoki i wezwał zasobne w ropę kraje arabskie nad Zatoką do wystąpienia z sojuszu z Waszyngtonem.

Oficjalna agencja prasowa IRNA poinformowała, że anglojęzyczne dzienniki „Teheran Times” i „Iran News” zaatakowały Stany Zjednoczone w artykułach wstępnych poświęconych, przypadającej 4 listopada, rocznicy zajęcia ambasady USA w Teheranie po rewolucji islamskiej 1979 roku.

Zwracając się do sąsiednich państw arabskich znad Zatoki, agencja napisała: „Jesteście teraz ofiarami amerykańskiego wyzysku i uzurpacji, realizowanych w bardziej subtelny sposób, żeby pozbawić was waszych bogactw”.

IRNA wezwała te kraje, by sprzeciwiły się obecności sił USA w regionie. „Niech okrzyk «Śmierć Ameryce\* poniesie się gromko nad pustynią jako zdecydowany wyraz waszego sprzeciwu wobec jakiegokolwiek pretekstu dla kolejnej Pustynnej Burzy, która - jak wszyscy wiemy - była tylko pokerową zagrywką CIA, mającą na celu usprawiedliwienie obecności sił amerykańskich w tym regionie”.

#### ◆ Iran wykorzystuje technologię Styx w pociskach manewrujących (17 listopada 1994/FI)

## 17/11/94 „Flight International”

Iran pracuje nad różnego rodzaju raketami balistycznymi i pociskami manewrującymi, wykorzystując rosyjskie rakiety przeciwookrętowe SSN-2 Styx - wynika z dokumentów wywiadu niemieckiego uzyskanych przez „Flight International”.

Dostęp do technologii Styx Teheran uzyskał dzięki rakiecie Silkworm - chińskiej wersji SSN-2 o zasięgu 80 km (45 mil morskich). Pierwsze rakiety Silkworm Iran otrzymał w 1986 roku. Są one rozmieszczone w cieśninie Ormuz, u wejścia na wody Zatoki.

Cztery wyrzutnie raket Silkworm zbudowano w Zatoce na wyspie Abu Musa, administrowanej wspólnie przez Iran i emirat arabski Szardża.

Z dokumentów wynika również, że Teheran pracuje nad raketami na paliwo stałe i nad raketami balistycznymi Scud o zwiększonym zasięgu...

◆ Odrzucenie arbitrażu w sporze Iran - ZEA o wyspy (23 grudnia/12.21 GMT) 23/12/94 Teheran (22 grudnia) - Bloomberg

Iran odrzucił apel swych arabskich sąsiadów o przystanie na międzynarodowy arbitraż w sporze ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi (ZEA) o trzy wyspy w Zatoce Perskiej. Irańskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oświadczyło, że rozmowy dwustronne ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi są jedynym sposobem na rozstrzygnięcie sporu, który spowodował pogorszenie stosunków między zamieszkałym przez ludność perską Iranem a sześcioma państwami Rady Współpracy Zatoki.

Przywódcy Rady, którzy wieczorem poprzedniego dnia zakończyli spotkanie w Bahrajnie, wezwali rząd irański do wyrażenia zgody, by Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości zadecydował, do kogo należą wyspy Abu Musa oraz Wielki Tumb i Mały Tumb.

Irak, który kontroluje te wyspy, zapowiada, że nigdy nie odda ich Zjednoczonym Emiratom Arabskim. „Podnoszenie kwestii terytorialnych stwarza zagrożenie dla bezpieczeństwa Zatoki Perskiej i służy interesom obcych mocarstw w tym rejonie” - głosi oświadczenie MSZ nadane przez Radio Teheran.

◆ „Aerospace Daily” - 19/01/95

Dyrektor Wywiadu Departamentu Obrony generał James R. Clapper, Jr. powiedział, że Iran jest w trakcie odbudowy swego potencjału militarnego... Clapper stwierdził, że Iran wydaje na zbrojenia od jednego do dwóch miliardów USD rocznie, koncentrując się na raketach i broni masowej zagłady, a w „ograniczonym stopniu” także na rozwoju potencjału konwencjonalnego. Niektóre z systemów uzbrojenia, nabywanych przez Iran, takie jak rosyjskie okręty podwodne klasy Kilo i przeciwookrętowe pociski manewrujące „mogą skomplikować sytuację w Zatoce Perskiej” - dodał.

◆ Państwa Zatoki zgadzają się umocnić potencjał obronny (27 stycznia/JDW) 27/01/95 - „Jane’s Defence Weekly” (21 stycznia)

Przywódcy państw Rady Współpracy Zatoki zgodzili się, podczas dorocznego spotkania, umocnić strukturę obronną przez zakup trzech lub czterech AWACS-ów\*.

\* Airborne Warning and Control System - zainstalowany w samolocie system wczesnego ostrzegania i kontroli obszaru powietrznego oraz dowodzenia operacjami lotnictwa wojskowego [przyp. tłum.].

Przedstawiciele sojuszu sześciu krajów, obejmującego Arabię Saudyjską, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kuwejt, Oman, Katar i Bahrajn, poinformowali w zeszłym miesiącu w Bahrajnie, że opracują „zunifikowaną strategię”, aby móc „szybko i zdecydowanie” przeciwdziałać wszelkim



zagrożeniom.

Strategia ta obejmuje zwiększenie - z 6.000 do 25.000 - liczebności sił szybkiego reagowania Rady Współpracy Zatoki, znanych jako Tarcza Półwyspu i stacjonujących w Harf-al-Batin w północnej Arabii Saudyjskiej.

Decyzja umocnienia potencjału obronnego Rady zbiegła się z doniesieniami o budowaniu przez Iran wyrzutni rakiet przeciwokrętowych i innych obiektów militarnych na trzech spornych wyspach w południowej części Zatoki. Zjednoczone Emiraty Arabskie twierdzą, że wyspy Abu Musa, Wielki Tumb i Mały Tumb są przekształcane w arsenały.

◆ Iran rozmieszcza rakiety **Shahine** na wyspach w Zatoce - Shalikashvili 08/03/95

Iran rozmieszcza rakiety przeciwlotnicze Shahine na wyspach u wejścia do Zatoki Perskiej - powiedział 28 lutego generał John Shalikashvili, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.

„Zaobserwowaliśmy, jak umieszczają te rakiety na wyrzutniach; przedtem tego nie robili”, cytują agencje wypowiedź generała na spotkaniu z dziennikarzami.

Zwiad amerykański zauważył również Irańczyków przemieszczających artylerię na wysunięte pozycje na wyspach w cieśninie Ormuz - powiedział Shalikashvili.

„Wszystko to prowadzi do niepokojących wniosków. Wygląda na to, że Irańczycy chcą dysponować potencjałem pozwalającym na zablokowanie ruchu w cieśninie Ormuz. Stany Zjednoczone uważnie obserwują sytuację” - dodał. Obecnie to Irak jest uważany za największe zagrożenie militarne w rejonie Zatoki Perskiej, ale pod koniec stulecia Iran mógłby się stać głównym mocarstwem w tym rejonie - powiedział generał.

◆ Umacnianie sił zbrojnych może zagrozić transportowi ropy naftowej w rejonie Zatoki - Perry (22 marca/09.51 GMT) 22/03/95 - Abu Żabi - Reuters

Irak przerzucił 8.000 żołnierzy, broń chemiczną i rakiety przeciwokrętowe na wyspy u wejścia do Zatoki, tworząc potencjał militarny, który może zagrozić transportowi ropy naftowej - powiedział w środę sekretarz obrony USA William Perry.

Perry, odbywający tygodniową podróż po krajach nad Zatoką, dobitnie ostrzega umiarkowane kraje tego rejonu, że pewnego dnia Iran może podjąć próbę kontrolowania przepływu połowy światowej ropy naftowej, wykorzystując rozbudowany ostatnio potencjał militarny na wyspach w cieśninie Ormuz. „To prawie 8.000 żołnierzy przerzuconych na te wyspy, a także rakiety przeciwokrętowe, rakiety przeciwlotnicze i broń chemiczna”, powiedział Perry na konferencji prasowej w Manamie, stolicy Bahrajnu.

„Nie można tego uznać za coś innego niż potencjalne zagrożenie dla żeglugi na tym obszarze”, dodał, po raz pierwszy publicznie zarzucając Iranowi rozmieszczenie broni chemicznej na wyspach, do których części zgłaszają roszczenia Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Perry nie wymienił tych wysp, ale jedną z nich Pentagon zidentyfikował już w przeszłości jako Abu Musa.

◆ Marynarka USA w obliczu zwiększonego zasięgu irańskich **MiG-ów-29** - „Navy News & Undersea Technology” (NVTE) - 21/08/95

Nowy wielki problem dla Centralnego Dowództwa i grup bojowych Marynarki na Morzu Arabskim - źródła wywiadowcze potwierdzają, że Iran instaluje sondy do tankowania MiG-ów-29 w powietrzu.

Irańskie siły powietrzne dysponują czterema latającymi cysternami Boeing 707, z grubsza porównywalnymi z KC-135 Sił Powietrznych USA. KC-135 jest modyfikacją nigdy nie

produkowanego pasażerskiego Boeinga 717.

Eksperci amerykańscy zwracają uwagę, że dystans między Iranem a Diego Garcia na Oceanie Indyjskim wynosi ok. 2.100 mil morskich. Tankując w powietrzu, MiG-i-29 miałyby Diego Garcia w swoim zasięgu... Maszyny te w razie konfliktu w Zatoce Perskiej mogłyby więc zostać wykorzystane do atakowania amerykańskich linii zaopatrzeniowych. Co więcej, jeden z ekspertów twierdzi, że Irańczycy pracują nad przystosowaniem tych samolotów - dysponujących już ciężkim uzbrojeniem do walki powietrznej - do przenoszenia francuskiej rakiety Exocet w wersji powietrze-ziemia. Ekspert podkreśla, że byłoby to zagrożeniem dla statków transportowych Marynarki, w ładowniach których zmagazynowane jest wyposażenie pancerne i logistyczne sił lądowych w Zatoce stacjonujących na Diego Garcia.

Ewentualność irańskich kroków prawnych przeciw amerykańskim grupom bojowym niepokoi ekspertów, którzy zwracają uwagę, że - w związku z zestrzeleniem irańskiego samolotu liniowego w 1988 roku przez USS „Vincennes” (CG 49) - siły USA wahałyby się przed atakiem w obliczu prowokacji irańskich.

Do chwili zamknięcia tego wydania przedstawiciele Centralnego Dowództwa Sił Zbrojnych USA nie zareagowali na prośbę „Navy News” o skomentowanie sprawy MiG-ów-29.

♦ Na Kapitolu szykuje się batalia o bombowce **B-2**.

„Phillips Business Information” 19/01/95 - Kerry Gildea

Deputowany Ron Dellums (demokrata z Kalifornii), członek Komisji Bezpieczeństwa Narodowego Izby Reprezentantów, zdecydowanie przeciwny budowie dalszych bombowców B-2, po wczorajszym zamkniętym posiedzeniu Komisji, na którym przedstawiono informacje o wojskowych operacjach wywiadowczych powiedział, że nie dowiedział się o jakichkolwiek nowych zagrożeniach na świecie, które powodowałyby konieczność wprowadzania dodatkowych systemów uzbrojenia lub zwiększania wydatków na cele obronne.

„Jestem absolutnie przekonany, że nic, co obserwujemy obecnie na świecie, nie uzasadnia dwudziestu nowych B-2”, powiedział Dellums. „Dokąd mielibyśmy na nich latać? Gdzie jest zagrożenie?”



## Prolog

### ◆ Nad Zatoką Perską w pobliżu wyspy Abu Musa, Iran.

**12 lutego 1999 roku, godzina 03.14 czasu miejscowego**

Napastników zauważono po raz pierwszy na ekranie radaru, kiedy znajdowali się w odległości zaledwie 20 mil od wyspy Abu Musa; zanim szef radarowej jednostki obrony przeciwlotniczej ogłosił alarm, zbliżyli się na odległość 17 mil. Ponieważ był to rano irańskiego Dnia Rewolucji, w bazie dywizjonu Straży Rewolucyjnej Pasadran-i-Engelab Republiki Islamskiej służbę pełniła mocno zredukowana załoga. Obchody poprzedzające Dzień Rewolucji zakończyły się zaledwie kilka godzin wcześniej, więc teraz czas reakcji bardzo się wydłużył i napastnicy weszli w zasięg ostrzału raketowego na długo, zanim załogi samolotów F-5E Tiger II Sił Powietrznych Republiki Islamskiej zdołały dotrzeć do swoich maszyn. Rozkaz użycia przez Pasdaran brytyjskich rakiet przeciwlotniczych Rapier i stanowisk artylerii przeciwlotniczej ZSU 23/4 Szyłka został wydany za późno.

Cztery trójki lekkich myśliwców Hawk produkowanych przez British Aerospace nadleciały tuż nad koronami drzew, odpaliły naprowadzane laserowo pociski Hellfire na sześć rozpoznanych wcześniej irańskich stanowisk obrony przeciwlotniczej, a następnie zrzuciły naprowadzane laserowo bomby zapalające i bomby odłamkowe na niewielkie lotnisko znajdujące się na wyspie. Jedna wyrzutnia, o której atakujący nie wiedzieli, odpaliła Rapiera niszcząc Hawka; dwa pozostałe Hawki z tej trójki natychmiast zasypały bombami odłamkowymi obszar, na którym widziano startującego Rapiera. Rezultat był wysoce zadowalający - jedna z rakiet Rapier eksplodowała na wyrzutni. Bomby odłamkowe trafiły również w myśliwce F-5E produkcji amerykańskiej, stojące na rampie, niszcząc oba i uszkodzając dwa hangary - w jednym z nich stał zaparkowany kolejny F-5E - wieżę kontrolną i niektóre odcinki drogi do kołowania. Sąsiedni, pusty hangar pozostał nie naruszony.

Drugi cios spadł zaledwie kilka chwil później. Cztery czwórki śmigłowców bojowych SA-342 Gazelle i SA-332 Super Puma przeleciały nad wyspą, odpalając naprowadzane laserem pociski Hellfire i sterowane przewodowo rakiety AS-12 z odległości aż trzech kilometrów - znacznie poza zasięgiem garstki żołnierzy Pasdaranu, którzy z pistoletów i karabinów na ślepo strzelali w niebo w kierunku, z którego słychać było przelatujące maszyny. Każdy atak był przeprowadzony błyskawicznie - rakiety odpalano przy pełnej prędkości, nie było mowy o zawisaniu nad celem. Dwa następne ataki odbyły się według tego samego scenariusza: szybki nalot i niszczenie celów. Potem każda z formacji zawróciła, atakując ponownie i niszcząc cele, które ocalały podczas pierwszego nalotu.

Ataki były błyskawiczne i niesamowicie skuteczne. W ciągu zaledwie kilku minut napastnicy wykonali to, po co przylecieli, niszcząc sześć irańskich wyrzutni rakiet HY Silkworm i cztery wyrzutnie przeciwokrętowych pocisków manewrujących SS-22 Sunburn, kilka baterii rakiet przeciwlotniczych Rapier i kilka stanowisk artylerii przeciwlotniczej wraz ze składami amunicji i budynkami dowodzenia. Wszystkie cele zostały zniszczone lub przynajmniej poważnie uszkodzone. Rakiety Silkworm i Sunburn to broń dalekiego zasięgu o wielkiej sile rażenia, mogąca niszczyć największe supertankowce i statki towarowe przepływające przez Zatokę Perską. Wiele państw od

lat protestowało przeciw obecności tej broni na wyspie Abu Musa, w pobliżu ruchliwych międzynarodowych szlaków morskich. Jednym z celów ataku były niewielkie obiekty portowe na wyspie, łącznie z ciężkimi dźwigami, dokami, urządzeniami do odsalania wody i obiektami do przeładunku ropy naftowej.

Zniszczony został także najważniejszy cel: dwie wyrzutnie raket klasy Rodong. Rodong to rakietą dalekiego zasięgu, opracowana wspólnie przez Koreę Północną, Chiny i Iran, mogąca przenosić głowice konwencjonalne o wielkiej sile rażenia, głowice chemiczne, biologiczne, a nawet atomowe. Zasięg tych raket był wystarczający, by z Abu Musa zaatakować cele w Kuwejcie, Bahrajnie, Katarze, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Omanie, a także większość pól naftowych we wschodniej Arabii Saudyjskiej, to znaczy około dwóch trzecich wszystkich pól naftowych w rejonie Zatoki Perskiej.

Dokładność, zademonstrowana przez załogi myśliwców Hawk oraz śmigłowców Gazelle i Super Puma była niesamowita. Elektrownia dostarczająca prąd do centrum łączności i bazy wojskowej została zniszczona dwiema raketami, ale stojący kilka metrów obok identyczny budynek, z którego zasilano obiekty mieszkalne, pozostał nietknięty. Umieszczony w połowie pod ziemią bunkier z gotową do odpalenia raketą Silkworm został trafiony raketą Hellfire przez drzwi frontowe, podczas gdy wyglądający dokładnie tak samo sąsiedni bunkier, pusty, bo właśnie go odnawiano, w ogóle nie ucierpiał. Chociaż zniszczona lub uszkodzona została broń, sprzęt wojskowy, budynki i elementy infrastruktury łącznej wartości prawie pół miliarda dolarów, spośród ponad dwóch tysięcy ludzi stacjonujących na wyspie zginęło tylko pięciu żołnierzy Pasdaranu oraz pilotów F-5E, a rany odniosło zaledwie kilka osób.

Z bazy lotniczej w Bandar Abbas, leżącej na lądzie stałym w odległości 150 kilometrów na północny zachód, niemal natychmiast wystartowały MiG-i-29 Sił Powietrznych Republiki Islamskiej, ale napastnicy przeprowadzili atak i wycofali się na południe, w kierunku Zjednoczonych Emiratów Arabskich na długo przed przybyciem irańskich myśliwców. MiG-i podjęły próbę pościgu, ale myśliwce obrony przeciwlotniczej Omanu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, mające przewagę liczebną, szybko je otoczyły i zmusiły do ucieczki z przestrzeni powietrznej ZEA.

Kiedy żołnierze Pasdaranu wybiegli z koszar, bezsilnie przyglądając się zniszczeniu swej wyspiarskiej fortecy, dziesięciu ubranych na czarno komandosów, operujących dwójkami, po cichu zebrali swój sprzęt i udało się na brzeg wyspy, której powierzchnia nie przekraczała czterech kilometrów kwadratowych. Jeden z nich uruchomił noszony na nadgarstku nadajnik wysyłający zakodowany sygnał. Na rozkaz dowódcy zanurzyli się w ciepłych wodach wschodniej Zatoki Perskiej.

Przed opuszczeniem wyspy jeden z komandosów rozejrzał się po raz ostatni, skupiając tym razem uwagę nie na obiektach lądowych. Patrzył na północny wschód, w kierunku cieśniny Ormuz, przez urządzenie teleskopowe wielkości niewielkiej walizeczki, które obsługiwał wraz ze swym partnerem. Wkrótce znalazł to, czego szukał. - Człowieku, jest ta balia - powiedział ściszym głosem do partnera. - To tam powinniśmy byli skierować promień lasera. - Ustawił cel dokładnie na przecięciu krzyża celownika, opuścił rękę i zasymulował ściąganie spustu. - Bul, bul, bul, lotniskowiec zmienia się w okręt podwodny. Żegnaj, panie Ajatollah...

- Zwijamy się stąd, Leopard - syknął partner. W ciągu kilku sekund spakowali się i zanurzyli w wodach Zatoki.

Przedmiot uwagi młodego komandosa płynął w odległości sześciu mil na północny wschód od

wyspy. Był to lotniskowiec, największy okręt w całej Zatoce Perskiej. „Ajatollah Ruhollah Chomeini”, okręt flagowy nowej floty wojennej Islamskiej Republiki Iranu. Jeszcze dziesięć lat temu rosyjski lotniskowiec „Warjag”, a teraz wspólna własność Iranu i marynarki wojennej Chińskiej Republiki Ludowej, „Ajatollah” był niewiele mniejszy od największych supertankowców pływających po Zatoce. Nie osiągnął jeszcze zdolności operacyjnej i na razie wykorzystywano go jedynie w celach szkoleniowych; oficerowie i załoga mogli tylko bezsilnie przypatrywać się, jak noc rozświetlały eksplozje baterii rakietowych na wyspie Abu Musa.

Leopard i jego partner, wraz z resztą komandosów, kierowali się wskazaniem miniatury odbiorników wielkości zegarka, płynąc do zakotwiczonych na mulistym dnie małych podwodnych pojazdów SDV. Na każdym z SDV zajęło miejsce dwóch płetwonurków. Zdjęli prawie puste butle tlenowe, założyli nowe i, kierując się wskazaniem wodoszczelnych kompasów, ruszyli na południowy zachód. W umówionym miejscu spotkało się wszystkie pięć podwodnych pojazdów. Wspólnie ruszyły dalej na południowy zachód, wynurzając się co jakiś czas na kilka sekund, żeby odbiorniki systemu nawigacji satelitarnej GPS odebrały sygnał pozwalający na dokładne określenie położenia. Godzinę później, kiedy butle tlenowe były już prawie puste, wciąż zanurzone pojazdy dotarły do kadłuba jakiejś wielkiej jednostki. Jeden z komandosów wystukał umówiony sygnał, na co otworzyła się sekcja środkowej części kadłuba. Jeden po drugim pojazdy SDV wpłynęły do środka i wynurzyły się na powierzchnię w wielkiej komorze. Dźwigi wyciągnęły je z wody na pokład.

Każda dwójka komandosów oddała załodze pokładowej swój sprzęt do nurkowania i broń osobistą oraz dwudziestokilogramowe urządzenia wielkości walizeczki. Były to AN/PAQ3 MULE\*. Niewidzialna wiązka światła laserowego skierowana za pomocą elektronicznego teleskopu na cel, mogący się znajdować w odległości do 1.600 metrów, odbijała się od tego celu „oświetlając” go i umożliwiając tym samym rakietom namierzenie go i precyzyjne zniszczenie. Chociaż wszystkie załogi samolotów były dobrze zaznajomione z tym obszarem i bez niczyjej pomocy mogły znaleźć większość celów, komandosi wiedzieli dokładnie, które budynki były ważne, a które nie. Dzięki znacznikom laserowym ani jedna kosztowna rakietka nie została zmarnowana - jeden strzał, jedno trafienie.

\* Modular Universal Laser Equipment - przenośne teleskopowe znaczniki laserowe [przyp. red.].

Szczupły, nie wyglądający na wojskowego, szpakowaty mężczyzna w cywilnym ubraniu witał komandosów przybyłych na SDK ściskając im dłonie i wręczając każdemu z tych wyczerpanych ludzi kubek zupy i gruby ręcznik. Komandosi, chociaż rzeczywiście bardzo zmęczeni, wciąż jeszcze byli pełni podniecenia, rozmawiając o zakończonej właśnie operacji i gratulując sobie nawzajem. Ostatni dwaj opuścili swój podwodny pojazd, oddali sprzęt i podeszli do cywila. Jeden z nich był biały, wysoki i potężnie zbudowany, z zimnymi, błękitnymi oczyma. Drugi - Murzyn - nieco niższy i znacznie szczuplejszy, oczy miał czarne i rozbiegane. Ten wyższy poruszał się po cichu, z wdziękiem i elegancją. Jego partner był wciąż bardzo podekscytowany.

- Co za wyprawa! - wykrzyknął głośno. Przeszedł szybkim krokiem obok pozostałych komandosów, którzy stali na pokładzie w szeregu, poklepał każdego po ramieniu i zawrócił, żeby zrobić to samo ze swoim partnerem. Komandosi przyjęli te gratulacje w milczeniu, wyraźnie bez entuzjazmu. Patrzyli na niego podejrzliwie, nieomal wrogo. Na młodym dowódcy ta chłodna reakcja nie zdawała się jednak robić najmniejszego wrażenia. - To było wspaniałe, niesamowite! - zawołał. - No, powiedz, Paul, jak się spisaliśmy? Daliśmy im w dupę, czy nie?

Emerytowany pułkownik Sił Powietrznych, Paul White, dowodzący operacjami ściśle tajnego oddziału Agencji Wspomagania Wywiadu USA, noszącego kryptonim Zjawa, z ociąganiem pokiwał

głową. Podobnie jak wysoki komandos zauważył, co malowało się na twarzach ludzi, ale nie powiedział ani słowa na ten temat. - Tak, Hal, daliście im w dupę - odpowiedział.

Była to prawda. W bezprecedensowym akcie regionalnej współpracy wojskowej Agencja Wspomagania Wywiadu - jednostka podlegająca Centralnej Agencji -

Wywiadowczej - sprzymierzyła się ze zbrojnym ramieniem siedmiu arabskich państw członkowskich Rady Współpracy Zatoki zwanym Tarczą Półwyspu, żeby zaatakować pozycje sił irańskich w Zatoce Perskiej. White nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem CIA aktywnie - choć potajemnie - wsparła arabską operację wojskową. Teraz ci chłopcy na pokładzie mieli powody do zadowolenia - ich misja przebiegła bez jakichkolwiek zakłóceń, przeciwnikowi zadano miażdżące straty, a atmosfera powstała dzięki połączeniu sił z arabskimi przyjaciółmi będzie procentować całymi latami.

Oddział White'a był forpocztą tego ataku. Większość krajów arabskich nie ma praktycznie żadnego doświadczenia w operacjach lotniczych, zwłaszcza w nocy. Zadaniem White'a było naprowadzanie arabskich pilotów i bombardierów z taką dokładnością, by kluczowe cele zostały zniszczone szybko i sprawnie, przy minimalnych ofiarach w ludziach po obu stronach. Było bardzo ważne, żeby podczas swej pierwszej misji bojowej Tarcza Półwyspu odniosła wielkie zwycięstwo, zwłaszcza że operacja była wymierzona przeciw Islamskiej Republice Iranu, a więc jednemu z krajów, dla obrony przed którymi utworzono Radę Współpracy Zatoki. Zadaniem White'a było też oczywiście dopilnowanie, by jego komandosi wrócili cali i zdrowi oraz zadbanie o bezpieczeństwo statku.

- Dziesięciu wyruszyło, dziesięciu wróciło, a ta zardzewiała balia wciąż utrzymuje się na wodzie - powiedział ściszym głosem wysoki komandos Chris Wohl. - To jest sukces.

- Pewnie, że tak! - wrzasnął Hal Briggs. - Trzeba to uczcić! Zabawmy...

W tym momencie do trójki Amerykanów podszedł jeden z komandosów. Briggs przerwał w pół słowa, zamarł w bezruchu, oczy zasłzy mu mgłą, jakby ktoś zaaplikował mu potężną porcję środków znieczulających. Komandos był znacznie niższy od Briggsa, ale równie wysportowany, a w kombinezonie było mu - było jej - zdecydowanie bardziej do twarzy. Nazywała się Riza Behruzi i była dowódcą oddziału ubezpieczającego Tarczy Półwyspu. Każdej operacji Zjawy towarzyszył oddział Tarczy Półwyspu, mający pomagać i zabezpieczać teren podczas oświetlania celów. - Wszyscy ludzie z Tarczy Półwyspu obecni. Strat nie ma - zameldowała Behruzi. - W imieniu krajów Rady Współpracy Zatoki pragnę wam wszystkim podziękować za pomoc.

White szykował się właśnie do przyjęcia podziękowań, kiedy wtrącił się Briggs. - Cała przyjemność po naszej stronie, majorze Behruzi...

- Proszę mi mówić Riza - powiedziała Behruzi do Briggsa. Wohl i White mieli wrażenie, że zupełnie o nich zapomniano. - Wiem, że przepisy zabraniają wam podawania prawdziwych imion i nazwisk, ale mnie nie obowiązują takie ograniczenia - ani inne. - Podeszła bliżej do Briggsa i mocno pocałowała go w usta. - Dziękuję.

- To drobiazg... Riza - powiedział Briggs, mając najwyraźniej kłopoty z nabraniem powietrza.

- W porządku, Leopard - powiedział White z irytacją w głosie. - Chcesz się zabawić, proszę bardzo, ale najpierw się umyjesz, zdasz sprzęt, pójdiesz na odprawę, dopilnujesz, by nakarmiono twoich ludzi i przygotujesz raporty dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, i dla dyrektora CIA. Aha, o ile pamiętam, masz poranną wachtę, więc lepiej się trochę prześpij. Przypominam, że na osiem godzin przed wachtą nawet nie wolno powąchać alkoholu. Poza tym możesz się zabawić, jak

ci się tylko podoba.

- Wielkie dzięki - powiedział kwaśno Briggs. - Potrafisz człowiekowi zepsuć humor.

- Chętnie ci pomogę, Leopard - powiedziała Behruzi. - Pójdziemy na odprawę, a potem razem zajmiemy się naszymi ludźmi.

- To mi się podoba - odparł Briggs, a twarz natychmiast mu pojaśniała. Ruszyli. - Mówię ci, Riza - ciągnął. - Przez chwilę miałem ten irański lotniskowiec na celowniku. Może potrzeba by do tego wszystkich samolotów Sił Powietrznych Zjednoczonych Emiratów Arabskich i całej masy pocisków Hellfire, ale naprawdę chciałbym zobaczyć, jak ten wielki, zły okręt wywraca się do góry dnem i idzie na dno. - Briggs był wciąż pełen podniecenia i entuzjazmu; wcale nie było po nim znać, że wrócił właśnie po dwóch godzinach nurkowania i sześciu godzinach czołgania się na brzuchu.

- Briggs jest mistrzem - powiedział Wohl. - Dziesięć tysięcy mil od domu, na środku Zatoki Perskiej, a i tak potrafi znaleźć ładną dziewczynę. - Nie słysząc reakcji, zerknął na White'a. - Wszystko w porządku, sir?

- A, tak, w porządku - odparł White, wrywając się z zamyślenia. - Tak naprawdę Briggs nie oświetlił laserem tego irańskiego lotniskowca, prawda?

- Nie, to narwaniec i cwaniak, ale dobry z niego żołnierz - odpowiedział Wohl. - Nie jest taki głupi, żeby zlekceważyć rozkazy, bez względu na to, jak by go taki cel korcił. Z lotniskowcem wszystko w porządku. Wystartowało z niego kilka śmigłowców, ale nie wysłali myśliwców ani nie użyli rakiet. Wywiad miał rację, myśliwce i systemy uzbrojenia na „Chomeinim” nie osiągnęły jeszcze zdolności operacyjnej. Mimo to wciąż trudno mi uwierzyć, że Iran dysponuje lotniskowcem. Jestem pewien, że wkrótce o nim usłyszymy.

- Chłopcy wyraźnie nie pałają entuzjazmem na widok Hala - zauważył White. - Prawdę mówiąc, całkiem go ignorują...

- Cóż, ludziom, którzy są ze sobą od tak dawna trudno od razu zaakceptować nowego dowódcę - powiedział Wohl. - To pierwsza operacja Briggsa z tym oddziałem.

- Druga. Zapominasz o ratowaniu Luga na Litwie...

- Briggs znalazł się tam wówczas tylko przypadkiem, razem z McLanahanem i Ormackiem - powiedział Wohl. - Okazało się, że był świetnie przygotowany, bardzo blisko naszych standardów. Ale nie był jednym z nas i na pewno nie był naszym dowódcą...

- Ale teraz jest.

Wohl zatrzymał się, zerknął na White'a i wzruszył ramionami. - Hej, ja tak naprawdę nigdy nie byłem dowódcą grup operacyjnych Zjawy - powiedział. - Poprosiłeś mnie, żebym się do ciebie przeniósł, bo potrzebowałeś oficera dowodzenia, a ja się zgodziłem, bo dość już miałem papierkowej roboty w Parris Island. Ale to było tylko tymczasowe...

- A trwało trzy lata - powiedział White. - Ludzie od razu przywiązali się do ciebie. Nikt inny nie potrafiłby zrobić z nich tak zgranego zespołu.

- Bo ich wszystkich znałem, wszystkich przeszkoliłem, nawet Briggsa - odparł Wohl. - Jesteśmy przede wszystkim marines, oczywiście z wyjątkiem Briggsa, a dopiero potem komandosami AWW...

- Więc dla Briggsa, który służył w rangersach Armii, nie ma wśród was miejsca?

- To już zależy od niego - odpowiedział Wohl. - Jego styl zdecydowanie różni się od mojego. Briggs reaguje emocjonalnie, jest energiczny, otwarty. Nagradza ludzi za dobrą robotę i „doradza” im, kiedy coś sknocą. Ja oczekuję dobrej roboty i głośno opieprzam, jeśli coś jest nie tak. A w dodatku on jest młodym oficerem, młodszym od niektórych chłopaków w oddziale. Po tych

wszystkich latach, jakie zeszyły mi na pyskowaniu na oficerów, facet nie ma łatwego zadania.

- Jest dobrym żołnierzem, ale czy jest równie dobrym dowódcą?

- Za wcześnie jeszcze, żeby coś powiedzieć. Chłopaki nie bardzo wiedzą, jak się z nim obchodzić, to wszystko. Od niego samego zależy, czy mu się uda. Oni są najlepsi - tylko Briggs potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy potrafi nimi dowodzić.

White pokiwał głową w zamyśleniu. Wohl przyglądał mu się przez chwilę, a potem spytał: - Jeśli wszystko jest w porządku, pułkowniku, to skąd to zafrasowane czoło?

- Od początku miałem pewne zastrzeżenia do tej operacji - powiedział White. - Właśnie wsadziliśmy kij w wielkie mrowisko. Boże, zrobiliśmy to w irański Dzień Rewolucji, odpowiednik naszego Czwartego Lipca.

- O cholera! Nie wiedziałem - powiedział Wohl. - Myślałem, że świętują gdzieś w listopadzie, w rocznicę zajęcia naszej ambasady w 1979 roku.

- Nie, to dzisiaj. I powinienem był o tym pamiętać. Nigdy nie doradzałbym przeprowadzenia takiej operacji właśnie tego dnia - powiedział White.

- Ale przecież Rada Współpracy Zatoki musiała wiedzieć, co to za dzień.

- I dlatego Teheran będzie jeszcze bardziej rozwścieczony tym atakiem - powiedział White. - A gniew Iranu skrupi się na Stanach Zjednoczonych. Powtarzamy, że to była operacja Rady Współpracy Zatoki, ale sam dobrze wiesz, że Tarcza Półwyspu nie będzie walczyć na pierwszej linii, kiedy Iran będzie chciał wziąć odwet.

- Skąd możesz wiedzieć, że zechcą brać odwet?

White popatrzył na niego ponuro. - Ponieważ Iran przygotowuje się do takiego ataku od lat, praktycznie od zakończenia wojny irańsko-irackiej. Dostarczyliśmy im właśnie uzasadnienia dla wszystkich tych miliardów dolarów wydanych przez ostatnie sześć lat na nowoczesną broń. Nie spoczną, dopóki ktoś nie zostanie ukarany za to, co dzisiaj się stało.

#### ♦ Teheran, Iran, trzydzieści minut po ataku na wyspę Abu Musa

Generał Hesarak al-Kan Buzhazi był dowódcą naczelnym sił zbrojnych Republiki Islamskiej i dowódcą Straży Rewolucyjnej. Po raz pierwszy w swej karierze został zaproszony do rezydencji przywódcy rewolucji islamskiej ajatollaha Ali Hoseini Chameneiego. Prawdę mówiąc, był przerażony. Ale bez względu na przerażenie, jakie wywoływała obecność człowieka, który, jak przedtem Ruhollah Chomeini, mógł jednym słowem poderwać do boju ćwierć miliarda oddanych mu ciałem i duszą szyickich muzułmanów, podniecające było rozważanie równoczesnej klęski i uśmiechu losu, jakie spotkały go tego ranka. Takiej okazji nie wolno było zmarnować.

Buzhazi pokłonił się głęboko, kiedy zaprowadzono go przed oblicze i stał z pochyloną głową, dopóki faki\* nie zaczął mówić. Zamknięto za nimi drzwi. - Wasza Eminencjo, dziękuję za tę audiencję.

\* Faki\* - w świecie islamu najwyższy przywódca duchowy, wybrany z racji znajomości teologii islamskiej [przyp. tłum.].

- Generale, doszły mnie dziś rano niepokojące wieści - powiedział cicho Chamenei. - Allah powiadomił mnie o wielkim zagrożeniu dla Republiki. Powiedz mi, co się stało.

Buzhazi podniósł głowę i stał pełen powagi, z rękami opuszczonymi i założonymi przed sobą w geście pełnym szacunku, jak przed ołtarzem albo podczas modlitwy. Chamenei dobiegał siedemdziesiątki. Jego poprzednik, ajatollah Chomeini był wysoki, wychudły, a na jego twarzy malowało się surowe uduchowanie; Chamenei był niskiego wzrostu, miał okrągłą twarz, krótką

brodę, ciemną i krzaczastą, i nosił okulary w wielkiej rogowej oprawie, które nadawały mu wygląd profesora. Człowiek, przed którym stał Buzhazi, był nominalnym fakihem, najwyższym znawcą prawa koranicznego w Republice Islamskiej i ostatecznym prawodawcą, mogącym obalać orzeczenia parlamentu i każdego kleryka, każdego prawnika, każdego uczonego w Domu Dwunastowców\*\*; zwano go też Mardża Ala, co oznaczało najwyższego przywódcę duchowego ortodoksyjnej sekty szyickiej, strażnika woli dwunastego imama, który ukrywał się przed światem i który miał wkrótce powrócić, by na zawsze wezwać swych wiernych na łono Allana.

\*\* Dwunastowcy lub imamici - największa sekta szyitów, uznająca dwunastu imamów [przyp. tłum.].

Mimo wszystko, Chamenei był jednak człowiekiem, a nie świętym czy prorokiem. Buzhazi znał go jeszcze z czasów, kiedy fakih był tylko ambitnym, podstępny i mało rozgarniętym narwańcem z bogatej, popierającej szacha rodziny armatorów w Bandar-Anzalt na kaspijskim wybrzeżu Iranu. Zepsuty dzieciak z bogatego domu chciał zaimponować swym przyjaciołom i zbuntować się przeciw rodzicom, wiążąc się z nieokiełznanym fundamentalistycznym klerykiem szyickim Ruhollahem Chomeinim. Przystąpił do rewolucji Chomeiniego, ponieważ pozwalało to zadawać szyku, a nie dlatego, że ogarnęła go święta wizja. Z biegiem czasu stał się jednak gorliwym zwolennikiem teokratycznych idei Chomeiniego. Chamenei piastował wiele wysokich stanowisk w służbie państwowej, między innymi był pierwszym dowódcą Straży Rewolucyjnej, a później nawet prezydentem Republiki. Obecnie zaś był najwyższym przywódcą. Mimo to wciąż pozostawał tylko człowiekiem. Buzhazi widział już tego świętego człowieka w gniewie i smutku, pijanego i zachowującego się po prostu głupio.

Buzhazi wiedział o wiele więcej o mrocznej przeszłości Chameneiego. Fakih był dobrze wyszkolonym żołnierzem i świetnym politykiem, a wspinając się na szczyty władzy pozostawił za sobą niejedne zwłoki. Na początku dziewięcioletniej wojny irańsko-irackiej Iran był bliski całkowitej klęski; kiedy ówczesny prezydent Abolhassan Bani-Sadr oskarżył dowódcę Pasdaranu - Chameneiego - że ten nie wykonał zadania i zawiódł swój kraj, ajatollah Chomeini nieoczekiwanie zdymisjonował Bani-Sadra. Muhammad Ali Radżai - polityk rywalizujący z Chameneim - wybrany na prezydenta w 1981 roku, zginął w tajemniczych okolicznościach wraz ze swym premierem w zamachu bombowym w sali posiedzeń rządu; Chamenei wyszedł bez szwanku. Ali Hoseini Chamenei odpierał zamachy na swą władzę, posługując się kombinacją sprytnych rozgrywek politycznych i niewyjaśnionych, ale zawsze nadchodzących w samą porę kataklizmów.

Buzhazi powtarzał sobie, że nie powinien się bać, że dobrze wie, z kim ma do czynienia. Zapanuj nad sytuacją! - rozkazał sobie w myślach.

- Republika została zdradzona, Eminencjo - rozpoczął. Wiedział, że słowo „zdradzona” przykuje uwagę Chameneiego. - Moje rozkazy zlekceważono i dlatego nasz główny protektorat wyspiarski w Zatoce Perskiej - Abu Musa - został zaatakowany przez lotnictwo Rady Współpracy Zatoki.

Chamenei wydawał się dziwnie nieporuszony tymi wiadomościami; cóż, prawdopodobnie nie były dla niego zaskoczeniem. Buzhazi wiedział, że źródłem jego wiedzy na ten temat nie była boska inspiracja, lecz irańskie Ministerstwo Wywiadu i Bezpieczeństwa. Buzhazi nie miał żadnej kontroli nad tym resortem; ministerstwo podlegało bezpośrednio Radzie Strażników i Chameneiemu.

- Jakie ponieśliśmy straty? Ile jest ofiar w ludziach? - zapytał Chamenei.

- Niewiele ofiar, Allahowi niech będą dzięki, i tylko garstka rannych odpowiedział Buzhazi. - Celem ataku były wyrzutnie rakiet Silkorm i Sunbum oraz główne obiekty portowe. Niestety, są



pewne zniszczenia.

- Z moich informacji wynika, że zniszczenia są bardzo poważne - zauważył Chamenei.

Buzhazi uświadomił sobie, że od ataku minęła dopiero niespełna godzina, a Chamenei już został o wszystkim poinformowany przez swój wywiad. Nieźle, jak na świętego człowieka zatopionego w religijnych medytacjach. Ten człowiek nie siedzi w wieży z kości słoniowej, wpatrzony we własny pępek. - Niestety, to prawda - powiedział Buzhazi. - Ale potencjał obronny wyspy zostanie odbudowany do wieczora, a do tego czasu nad bezpieczeństwem czuwają siły morskie i powietrzne.

- To bardzo dobrze - powiedział Chamenei prawie szeptem. - Jednak wydaje się, że twoja strategia obronna dla wyspy Abu Musa była nieco krótkowzroczna...

- Eminencjo, z całym szacunkiem, ale to nie tak - powiedział Buzhazi. - Systemy obronne, które umieściłem na wyspie były przewidziane do obrony wyrzutni rakiet przeciwokrętowych przed atakami z powietrza, z dużej i małej wysokości, a także przed atakiem z morza. Wyspa znajdowała się w obszarze kontroli radaru dalekiego zasięgu w Bandar Abbas i radaru krótkiego zasięgu na samej Abu Musa. Ponadto, mamy na tej wyspie siedem tysięcy Strażników Rewolucji do obrony przed desantem morskim i wszyscy oni dobrze wiedzą, że nasi wrogowie chcą zniszczyć znajdującą się na Abu Musa broń i odebrać nam wyspę. Wszystkie systemy obronne były w pełni funkcjonalne i w stanie pełnej gotowości.

- W takim razie, generale, dlaczego wszystkie te systemy zostały tak łatwo zniszczone?

- Bo prezydent Natek-Nuri odwołał mój rozkaz otwarcia ognia w momencie ogłoszenia alarmu - powiedział gniewnie Buzhazi - i zamiast tego rozkazał, by - dopóki wyspa nie zostanie zaatakowana bezpośrednio - o otwarciu ognia decydowało Ministerstwo Obrony w Teheranie, a nie dowódcy na miejscu. To było szaleństwo! Polemizowałem z tym stanowiskiem i apelowałem o zmianę rozkazów...

- Radzie Strażników nic o tym nie wiadomo - zwrócił uwagę Chamenei.

- Miałem zamiar przedstawić moje argumenty osobiście przedstawicielowi waszej Eminencji na najbliższym posiedzeniu Najwyższej Rady Obrony - skłamał Buzhazi, dobrze wiedząc, że Natek-Nuri nigdy nie odwoływał żadnych rozkazów. Polityka rządu irańskiego w czasach pokoju nigdy oficjalnie nie przewidywała zasady otwierania ognia w momencie ogłoszenia alarmu, to znaczy strzelania bez ostrzeżenia do każdego statku i samolotu naruszającego obszar, do którego Iran zgłaszał roszczenia; wyjątkiem były tylko najpilniej strzeżone ośrodki badawcze, bazy, obszar stolicy i świętych miast. Sprawnych systemów obrony przed atakami lotniczymi z bardzo małej wysokości było w Iranie niewiele, brakowało też ludzi przeszkolonych do obsługi takich systemów. Nawet gdyby siły na Abu Musa miały rozkaz strzelania w momencie ogłoszenia alarmu, prawdopodobnie nie zdołałyby powstrzymać napastników.

- Teraz wydaje się to bez znaczenia, nie sądzi pan, generale? - zauważył Chamenei.

- Chodzi mi o to, Eminencjo, że powinienem otrzymać niezbędne instrumenty, jeśli mam skutecznie bronić Republiki przed atakami naszych wrogów - odparł Buzhazi. - Abu Musa, Wielki i Mały Tumb należą do Iranu, a nie do Szardży czy tak zwanych Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Rady Współpracy Zatoki, Narodów Zjednoczonych czy Trybunału Międzynarodowego. Otrzymałem zadanie obrony Republiki, ale mam ręce związane przez prezydenta, jego gabinet i parlament, który boi się wywołania niechęci i nienawiści za granicą, boi się utraty inwestorów i popularności. Co jeszcze oddamy? Oddamy Lurestan i Kurdystan tym mordercom Kurdom? Oddamy Szatt al-Arab rzeźnikowi z Bagdadu? A może Turkmenia chciałaby dostać święte miasto Maszhad?

- Dość, generale, dość - przerwał Chamenei z nutą zmęczenia w głosie. - Dlaczego nie przedstawi pan tej sprawy prezydentowi? Obowiązki dowódcy naczelnego przekazał mu Jego Świątobliwość Imam Chomeini.

- Eminencjo, beczynność prezydenta w sprawach obronności jest dla wszystkich oczywista - powiedział Buzhazi. - Natek-Nuri zredukował budżet Pasdaranu tak, że nie wystarcza na szkolenia i utrzymanie odpowiedniego poziomu uzbrojenia. Wolał przekazać te środki milicji Basidż w formie świadczeń socjalnych i kupić sobie tym samym głosy. Sprowadzamy nowoczesną broń, ale nie wydaje się pieniędzy na części zamienne ani na budowę naszej własnej infrastruktury wojskowej. I znów, pieniądze idą na programy opieki społecznej. Przekupywani są w ten sposób właściciele fabryk i bogaci właściciele ziemscy, którzy go popierają. Budowa bazy wojskowej stanęła w miejscu, bo Natek-Nuri pieści się ze związkami zawodowymi. Skutki były nieuniknione, mimo moich wszystkich ostrzeżeń. Potencjał obronny Abu Musa został zniszczony i grozi nam zajęcie naszej bazy wojskowej przez tych, którzy sympatyzują z Amerykanami i syjonistami.

Chamenei bez wątplenia zdawał sobie sprawę, że Buzhazi przejaskrawia i przesadza. Najwyższy przywódca jednak milczał i zamyślił się głęboko. Konflikt między wojskiem a cywilnym rządem narastał od pewnego czasu, a to spotkanie dziś rano było może sygnałem do podjęcia działań, które przewidywał. Których się obawiał? Czas już, żeby duchowieństwo irańskie zajęło stanowisko w tym sporze. Poprzeć rząd, czy wojsko?

Wielki ajatollah znał Ali Akbara Natka-Nuri, byłego marszałka Madżlis-e-Szura e Islami - Islamskiego Zgromadzenia Konsultatywnego, czyli parlamentu irańskiego - desygnowanego następcę byłego prezydenta Haszemi Rafsandżaniego - z okresu przed rewolucją. Obserwował też błyskawiczną karierę generała Buzhaziego i wiedział, że jedyną różnicą między nimi dwoma był mundur. Obaj byli inteligentni, obaj byli oportunistami, żądnymi władzy i bezwzględni. Obaj składali deklaracje w sprawie decydującej roli islamu w strukturach państwa, ale żaden z nich tak naprawdę nie wierzył, że duchowieństwo powinno mieć prawo głośnego wypowiedzania się na temat spraw bieżących. Wielu ludzi w Iranie podzielało zresztą tę opinię.

- A więc co mielibyśmy zrobić?

- Wiele razy mówiłem o moich planach, Wasza Świątobliwość - powiedział Buzhazi. - Sprawą najwyższej wagi jest ochrona Iranu. To nasze najważniejsze zadanie i musimy uczynić wszystko co w naszej mocy, by zostało wykonane. Musimy zabronić obcym okrętom wpływania do Zatoki Perskiej. Żadnych lotniskowców, żadnych krążowników rakietowych, żadnych okrętów podwodnych z raketami Tomahawk. Grupa lotniskowca „Chomeini” musi osiągnąć pełną zdolność operacyjną i niezwłocznie udać się do Zatoki Omańskiej, żeby tam pilnować obcych okrętów - ciągnął Buzhazi. - Jak się przekonaliśmy, nawet jeśli ostrzeżenie nadejdzie od razu, samoloty stacjonujące na lądzie i tak nie zdążą zareagować, kiedy zaatakowane zostaną wyspy. Tylko lotniskowiec może skutecznie bronić wysp przed atakami lotniczymi prowadzonymi z bardzo małej wysokości.

- Ten chiński lotniskowiec? Ta zardzewiała balia w porcie Czah Bahar? - zapytał Chamenei z przekąsem. - Myślałem, że zakwaterowaliśmy tam chińskich doradców, więźniów, ochotników z Basidż i członków Dżihad pracujących przy budowie bazy.

- Lotniskowiec „Chomeini” osiągnął zdolność operacyjną i jest gotów wesprzeć obronę naszych praw - zaprotestował Buzhazi. - Mamy na pokładzie kompletną załogę, pilotów i broń, a eskorta lotniskowca jest gotowa wyjść w morze. Wydałem rozkaz, by lotniskowiec udał się do Abu Musa, żeby wesprzeć obronę wyspy, ale cóż, całe nasze siły zbrojne okazały się nieprzygotowane na ten

zdradziecki atak.

Ajatollah Chamenei zastanawiał się nad postulatem generała. Cała sprawa lotniskowca „Chomeini” od początku przypominała gruszki na wierzbie. Rosyjski lotniskowiec „Warjag” stał w Nikołajewie na Ukrainie od 1991 roku. Zdemontowano wszystkie istotne systemy bojowe. Okręt nie miał radaru, łączności, samolotów, uzbrojenia. Pozostał tylko reaktor atomowy, pokład startowy i ponad trzy tysiące wodoszczelnych przedziałów. Chińska Republika Ludowa kupiła tę jednostkę o wyporności 60.000 ton i zrobiła z niej zdolny do działania okręt, ale światu nie za bardzo podobała się perspektywa operacji chińskiego lotniskowca na Morzu Południowo-chińskim i Morzu Japońskim. Skoro Chiny miały lotniskowiec, Japonia domagała się dwóch, a Stany Zjednoczone chciały wysłać dalsze pięć w ten rejon. Ostatecznie Chińczycy zrezygnowali.

W tym czasie Iran zawarł z Chinami kontrakt na zakup broni wartości 2 miliardów dolarów, a stosunki między obu krajami były lepsze niż kiedykolwiek. Lotniskowiec został wysłany do nowego irańskiego portu wojskowego i terminalu naftowego w Zatoce Omańskiej zwanego Czah Bahar, gdzie po raz kolejny stał beczynnie. Nie pojawiły się żadne konkretne plany wykorzystania tej jednostki; niektórzy mówili, że pójdzie na złom, inni - że zostanie przekształcony w pływający hotel albo w więzienie.

Generał Buzhazi miał inne pomysły. Przez następne 18 miesięcy Irańczycy instalowali na lotniskowcu nowe, stosunkowo nowoczesne systemy uzbrojenia, łącznie z rosyjskimi raketami przeciwokrętowymi i samolotami bojowymi. Prowadzono te prace, zapewniając jednocześnie świat, że są to jedynie „eksperymenty”, bądź że „pomaga” się Chinom w przystosowaniu lotniskowca do innych celów. Potem irańskie załogi rosyjskich myśliwców MiG-29 i Su-33 zaczęły ćwiczyć lądowania na lotniskowcu. Od początku 1996 roku zarówno chińskie jak i irańskie załogi na pokładzie „Warjaga” ćwiczyły operacje pokładowe i lotnicze w Zatoce Perskiej. W tym samym czasie chińskie i irańskie załogi zaczęły odpalać z lotniskowca rakiety przeciwokrętowe, łącznie z potężną raketą ponaddźwiękową SS-N-19 Granit, zdolną do zatopienia lotniskowca z odległości ponad 200 mil morskich. W efekcie oba kraje dzieliły się kosztami całkowicie gotowego do boju lotniskowca.

- Ten lotniskowiec jest gotów do walki? - zapytał ze zdziwieniem Chamenei.

- Tak, Eminencjo - odpowiedział Buzhazi. - Dwadzieścia myśliwców, sześć śmigłowców, dwanaście pocisków raketowych dalekiego zasięgu do zwalczania okrętów nawodnych - ten lotniskowiec jest jednym z najwspanialszych okrętów na świecie. Z naszymi nowymi okrętami eskorty, rosyjskimi, chińskimi i z nadwyżek zachodnich, lotniskowiec „Chomeini” może zagwarantować, że nikt nie odbierze nam naszych praw do Zatoki Perskiej.

- Wzbudzi to wielkie obawy wśród tych, którzy pływają po Zatoce - zwrócił uwagę Chamenei.

- Jeśli taka jest wola Allaha - odparł Buzhazi. Zwykle nie używał w rozmowach fundamentalistycznych określeń religijnych, ale oczywiście w rozmowach z mułami takie zwroty były na miejscu a nawet konieczne.

- Boimy się tylko Allaha, Wasza Świątobliwość. Niech inni dla odmiany boją się Republiki Islamskiej. Wasza Świątobliwość, mamy prawo bronić tego, co nasze, a lotniskowiec „Chomeini” jest tu najlepszym orężem. Ćwiczenia i przygotowania trwają już zbyt długo - jesteśmy gotowi wyjść w morze. Proszę wydać rozkaz, a nie będziemy się więcej martwić o obronę naszej Zatoki przed atakiem.

Buzhazi przerwał na chwilę, po czym dodał: - Odbije się to, oczywiście, na cenach ropy

naftowej, Eminencjo. - Te słowa zwróciły uwagę Chameneiego. Jego kariera polityczna była bezpośrednio uzależniona od cen ropy, a te w ciągu ostatnich kilku lat stale spadały. - Nawet, gdyby ostatecznie nie udało się nam zamknąć Zatoki dla wszystkich obcych okrętów - gdyby Madżlis i prezydent Natak-Nuri spiskowali przeciw waszym życzeniom, Eminencjo, i przeciw narodowi Republiki Islamskiej - to i tak skorzystamy na wzroście cen ropy. Iran może, oczywiście, w dalszym ciągu dostarczać ropę do swego terminalu naftowego Czah Bahar w Zatoce Omańskiej, natomiast dostawy ropy z państw Rady Współpracy Zatoki będą poważnie zredukowane.

Chamenei milczał, ale już podjął decyzję. Firmy ubezpieczeniowe podwoją, a nawet potroją stawki dla supertankowców przepływających przez Zatokę. Ropy będzie za mało, więc jej ceny wzrosną astronomicznie. Korzyści będą ogromne. Ale ryzyko... Fakih skinął głową. - Rozkazy zostaną wydane - powiedział. - Zawsze będziemy orędownikami słusznej sprawy, generale. Światowa opinia publiczna opowie się po stronie Iranu, bo zostaliśmy zaatakowani przez żądny ropy naftowej Zachód i jego marionetki znad Zatoki, ale nie możemy znów narazić się na ostracyzm świata. Chcemy pokoju, Buzhazi, zawsze pokoju.

- Motaszakkeram - podziękował Buzhazi, kłaniając się nisko. - Wasza Świątobliwość, jestem tak bardzo przekonany o słuszności tej sprawy, że jeśli wydasz rozkaz, wezmę na siebie całkowitą odpowiedzialność za konsekwencje. Możesz potem powiedzieć, że oszalałem, że to ja wydałem rozkaz, możesz zaprzeczyć, że cokolwiek wiedziałeś o moich działaniach. Całym sercem jestem przekonany, że tak trzeba. Jestem z Allahem, bo wiem, że Allah będzie ze mną...

- A czy będziesz razem z tysiącami naszych braci, których wymordują siły szatana, jeśli świat wypowie Iranowi wojnę?

- Eminencjo, wydaje się, że już mamy wojnę - powiedział Buzhazi. - Jestem przekonany, że realizując mój plan unikniemy eskalacji konfliktu. Świat znów zacznie się bać Iranu. Zawaha się przed konfliktem. Wydadz rozkaz, Wasza Świątobliwość. Jestem gotów bronić islamu i Republiki. Mam na to dość siły.

Chamenei zawahał się. Odwrócił się plecami do Buzhaziego, tak aby generał nie widział wyrazu zatroskania na jego twarzy. Ale decyzję już podjął. - Inszallah, generale. Niech tak będzie, skoro taka jest wola Allaha.

♦ **Peter Jennings w programie informacyjnym „World News Tonight” sieci telewizyjnej ABC**

Przywódca rewolucji islamskiej w Iranie, ajatollah Ali Choseini Chamenei potępił dziś Radę Współpracy Zatoki, związek sześciu prozachodnich krajów nad Zatoką Perską, za - jak to określił - cytując: „atak na defensywne obiekty bezpieczeństwa” na niewielkiej wyspie w Zatoce Perskiej we wczesnych godzinach porannych i wezwał do „świętej wojny” przeciw krajom Rady Współpracy Zatoki.

Chamenei twierdzi, że atak, przeprowadzony przez - jak powiedział - „terrorystów i sabotażystów” z sił zbrojnych Rady Współpracy Zatoki zwanych Tarczą Półwyspu, spowodował śmierć kilkudziesięciu robotników, którzy zginęli we śnie, oraz poważne zniszczenia obiektów energetycznych, zaopatrzenia w wodę pitną i budynków mieszkalnych na wyspie.

Wyspa ta nazywa się Abu Musa. Jest jedną z trzech niewielkich wysp położonych bardzo blisko szlaków wodnych, którymi transportuje się ropę naftową przez Zatokę Perską. Irak zgłosił roszczenia do tych wysp w 1971 roku, ale były one pod wspólną jurysdykcją Iranu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich - jednego z członków Rady Współpracy Zatoki - do 1992 roku, kiedy strona irańska je

zaanektowała.

Rzecznik Rady Współpracy Zatoki w Rijadzie odmówił komentarzy. Oświadczył jedynie, że Rada Współpracy Zatoki jest często obciążana winą za akcje dokonywane przez irańskie siły antyrządowe - szczególnie przez Mudżahedin-i-Chalk\* co ma na celu wzniecenie fundamentalistycznych nastrojów przeciwko arabskim sąsiadom Iranu w rejonie Zatoki Perskiej.

Rzecznik Departamentu Stanu USA powiedział, że nie zna żadnych szczegółów tego incydentu, ale dodał, że w ostatnich kilku latach Iran silnie ufortyfikował wyspę Abu Musa, instalując tam nowoczesne ofensywne systemy broni przeciwokrętowej i przeciwlotniczej, a jednocześnie przeciwstawiał się wszelkim wysiłkom mediacyjnym Trybunału Międzynarodowego ONZ. Według Departamentu Stanu, nie są zagrożone tankowce ani żadne amerykańskie statki czy samoloty, a administracja prezydenta Martindale'a bada tę sprawę.

A teraz krótka przerwa.

\* Zdelegalizowana irańska partia, dosł. Bojownicy Ludu [przyp. tłum.].

## 1

**♦ Zatoka Omańska, 124 mile morskie na północny zachód od Maskatu w Omanie, południowo-wschodnia część Półwyspu Arabskiego, 15 kwietnia 1999, godzina 01.09 czasu miejscowego**

Statek ratowniczy „Valley Mistress” pod amerykańską banderą szedł szybko, mając niewielkie zanurzenie; tylko sporadycznie zdarzało się, że zatrzymywały go po drodze łodzie patrolowe. Jego trasa prowadziła z Morza Śródziemnego, przez Kanał Sueski, Morze Czerwone, Zatokę Adeńską, Morze Arabskie i Zatokę Omańską. Statki ratownicze rzadko kiedy przewożą cokolwiek, co mogłoby zainteresować celników - ot, jakieś dźwigi, zbiorniki, łańcuchy, masę różnego śmiecia i nie stroniący od mocniejszych trunków robotnicy pokładowi. A statki zarejestrowane w USA nieczęsto przewoziły interesującą kontrabandę w rodzaju narkotyków, broni czy nielegalnych emigrantów. Tak czy inaczej, statek „Valley Mistress” z floty rezerwowej Marynarki USA zatrzymywano bardzo rzadko.

Statek miał teraz niewielkie zanurzenie, ponieważ ważący prawie 25 ton zmiennopłat CV-22 Pave Hammer, zwykle starannie ukryty w podnoszonym hydraulicznie hangarze na tylnym pokładzie, był właśnie w powietrzu z kilkoma komandosami, w tym z Chrisem Wohlem i Halem Briggsem. Cała reszta ładunku ważyła o wiele mniej. „Valley Mistress” był rzeczywiście statkiem ratowniczym i wykonywał wiele zadań na całym świecie. Zarazem był jednak nowoczesnie wyposażoną jednostką szpiegowską, stanowiącą bazę operacji wywiadowczych i specjalnych przeprowadzanych na zlecenie rządu amerykańskiego. Chodziło o wszelkiego rodzaju tajne operacje, od obserwowania portów i śledzenia statków, po rozpoznanie na polach bitew, akcje ratunkowe i najprawdziwszą walkę w powietrzu i na lądzie. Jeśli było jakieś zadanie do wykonania, obojętne jakie, kiedy i gdzie, załoga „Valley Mistress” potrafiła z nim sobie poradzić.

Emerytowany pułkownik Sił Powietrznych Paul White stał na tylnym pokładzie ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, obserwując ciemne sylwetki, uwijające się dookoła. White był nie tylko dowódcą Zławy, ale także szefem trzydziestoosobowej „technicznej” załogi statku, która w tej podróży - a załogi techniczne White'a zmieniały się często, w zależności od potrzeb - składała się z techników, inżynierów i szesnastu żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej; żaden z marines nie nosił munduru.

Etap intensywnego planowania i treningów był już zakończony, więc - podobnie jak u Alfreda Hitchcocka, który szczegółowo rozplanowywał wszystkie ujęcia nowego filmu, zanim postawił nogę na planie - zadaniem White'a było teraz jedynie obserwowanie ekipy w działaniu, śledzenie jej

postępów - do czego służyły mu słuchawki i mikrofon, połączone z interkomem statku - i niewchodzenie ludziom w drogę. Paul White był weteranem z trzydziestodwuletnim stażem, ale nigdy nie uczestniczył w walce, poza kilkoma krótkimi epizodami z okresu, gdy naprawiał urządzenia łącznościowe w Wietnamie. Jego specjalnością była elektronika; był „złotą rączką”, projektował i konstruował skomplikowane systemy z najrozmaitszych części zamiennych; części mogły pochodzić z odbiorników tranzystorowych, starych telewizorów lub samolotów. White potrafił wziąć coś starego, zupełnie zepsutego i naprawić to, a także usprawnić. Co ważniejsze, potrafił też nauczyć tego innych.

W słuchawkach White'a zatrzeszczało. - Radar do dowódcy.

Nie przestając obserwować tego, co działo się na pokładzie, White włączył swój mikrofon. - Mów, radar.

- Rezultat przeszukania radarowego: żadnej aktywności w powietrzu, żadnej aktywności na powierzchni w promieniu pięciu mil - poinformował operator radaru „Valley Mistress”.

- Zrozumiałem - potwierdził White. - Raportuj co dwie minuty, zgłaszaj wszelką aktywność na powierzchni w promieniu dziesięciu mil, bez odbioru. - White uniósł głowę i obserwował wysuwany maszt, na którym umieszczona była antena radaru okrętowego SPS-69 pracującego w paśmie X. Maszt standardowej wysokości ograniczał zasięg SPS-69 do około sześciu mil, ale na „Valley Mistress” można było ten zasięg zwiększyć do prawie piętnastu mil, wysuwając maszt na wysokość ponad trzydziestu metrów; robiono to jedynie nocą i tylko w sytuacjach nadzwyczajnych, ponieważ radar na tak wysokim maszcie wyglądałby bardzo podejrzanie w przypadku jednostki ratowniczej. Jeszcze bardziej podejrzanie wyglądał inny radar, normalnie ukryty w obudowie zaraz za hangarem śmigłowcowym - dwupłaszczyznowy SPS-40E pracujący w paśmie B mógł wykryć samolot zarówno tuż nad wodą, jak i na wysokości 10 tysięcy metrów, w promieniu do stu mil morskich. Statek „Valley Mistress” nie korzystałby zapewne z prawa do dość swobodnego wchodzenia na wody terytorialne większości państw, gdyby państwa te wiedziały, że jego systemy elektroniczne wystarczają do dowodzenia bitwami na morzu i w powietrzu.

Mimo hałasu na pokładzie, White usłyszał znajome odgłosy. Odwrócił się i spostrzegł młodego człowieka ze słuchawkami na uszach, wychylającego się przez reling sterburty. Młody człowiek wychylał się najdalej jak mógł. „Karmienie rekinów”, jak tę czynność nazywała załoga, było czymś bardzo rzadkim na tym stabilnym statku i przy dobrej pogodzie, ale ten biedak miał kłopoty od chwili, kiedy po raz pierwszy postawił nogę na pokładzie. White uśmiechnął się i pstryknął przełącznikiem mikrofonu. - Wszystko w porządku, Jon?

Młody człowiek szybko otarł usta dłonią, sprawiając wrażenie zaskoczonego, chociaż dookoła było pełno ludzi. Wyprostował się i sztywnym, niepewnym krokiem podszedł do White'a. Jonathan Colin Masters miał trzydzieści osiem lat, ale wyglądał na piętnaście. Jego krótkie kasztanowe włosy wyglądały, jakby ktoś - zapewne on sam - ostrzygł je nożycami do żywopłotu. Noszona zazwyczaj daszkiem do tyłu czapka baseballowa zasłaniała tę dziwaczną fryzurę, ale Masters zgubił nakrycie głowy już dawno temu, podczas którejś z częstych wizyt przy relingu. Oczy miał zielone, o rozbrajającym wyrazie, długie, chude ręce i nogi, ale miał też - na końcu cienkiej szyi - jeden z najwspanialszych mózgów na świecie.

Absolwent Dartmouth\* w wieku trzynastu lat, doktor nauk na MIT w wieku lat dwudziestu, był prezesem Sky Masters Inc, firmy badawczej w Arkansas, projektującej i konstruującej małe samoloty oraz statki kosmiczne specjalnego przeznaczenia. Produkty Sky Masters były miniaturami najnowszych osiągnięć przemysłu lotniczego i kosmicznego. Biorąc za podstawę ogromne silniki

rakietowe Delta, Masters potrafił skonstruować pojazdy kosmiczne wystrzeliane z wyrzutni zamontowanych na ciężarówkach. Wielotonowe satelity telekomunikacyjne były dla niego pierwowzorem satelitów miniaturowych, nie większych od pojemnika na pieczywo. Znalazł się na pokładzie „Valley Mistress”, żeby nadzorować zachowanie swego najnowszego produktu.

\* Renomowana uczelnia w stanie New Hampshire [przyp. tłum.].

- Dobrze się czujesz, Jon? - zapytał White, kiedy inżynier o chłopcym wyglądzie zbliżył się do niego. Pytanie nie było zdawkowe - długotrwała choroba morska, powodująca odwodnienie organizmu, zwała z nóg równie szybko jak inne poważne schorzenia, nawet w wypadku ludzi o dobrej kondycji, a Masters był chudy jak tyczka, zaś temperatura w tej części świata często przekraczała 35 stopni Celsjusza, a wilgotność względna powietrza - 90 procent. - Dlaczego nie siedzisz pod pokładem, tam gdzie jest klimatyzacja?

- Paul, ja potrzebuję okien - powiedział Masters słabym głosem. - Ten twój cholerny statek nie ma okien. Do orientacji w przestrzeni potrzebny mi jest horyzont.

- Jon, w powietrzu spędziłeś już z pewnością parę tysięcy godzin - powiedział White łagodnie, widząc, że młody człowiek doszedł jakoś do siebie - ale tutaj masz kłopoty codziennie, od kiedy wypłynęliśmy z Włoch. Czy w powietrzu też chorowałeś?

- Nigdy.

- Używałeś tych plastrów ze skopolaminą, tak jak zalecił doktor?

- Kiedy przyklejałem te cholerne plastry, wyglądałem, jakby mi kalafior wyrósł za uszami - powiedział Masters. - Czuję się przez nie senny, a jedzenie smakowało jak guma. Dziękuję, wolę już raczej jeść, a potem rzygać.

- Może łatwiej zatrzymałbyś coś w żołądku, gdybyś się nie obżerał jak świnia hamburgerami i frytkami. - Masters uwielbiał jedno i drugie, zupełnie jak nastolatek, ale w ogóle nie przybierał na wadze. Pułkownik zastanawiał się wiele razy, czy wszyscy geniusze są zbyt zajęci, by zawracać sobie głowę takimi błahostkami jak zdrowa dieta. Wreszcie doszedł do wniosku, że Masters pozostaje szczupły za sprawą tej ogromnej energii, jaką generuje jego mózg.

- Chce pan poznać stan przygotowań do operacji czy też woli pan krytykować moje ulubione potrawy, pułkowniku? - spytał Masters. White machnął ręką i poprosił, żeby młody naukowiec zapoznał go z końcowymi przygotowaniem do dziewiczego lotu najnowszego wynalazku.

Na tylnym pokładzie śmigłowcowym zmontowano długi na dwadzieścia metrów tor uniesiony w kierunku rufy pod kątem około dwudziestu stopni. Na początku tego toru stał samolot, bardzo przypominający trudno wykrywalny przez radar bombowiec B-2A, o rozpiętości skrzydeł wynoszącej trzynaście metrów. Autonomiczny System Rekonesansowy Wielkiej Wytrzymałości, któremu nadano przydomek „Podniebny Wędrowiec”, był bezzałogowym latającym skrzydłem dalekiego zasięgu i wysokiego pułapu, z wybrzuszoną sekcją środkową stanowiącą kadłub. Podobnie jak w bombowcu B-2A, sekcja silnikowa znajdowała się na kadłubie, z pojedynczym, nisko umieszczonym wlotem powietrza z przodu i bardzo wąską dyszą wylotową z tyłu. Podniebny Wędrowiec był napędzany miniaturowym silnikiem odrzutowym, który od kilku minut pracował na jałowym biegu, podczas gdy technicy White'a wykonywali ostatnie czynności kontrolne. Nie było to marnotrawstwem paliwa - silnik Wędrowca mógłby prawdopodobnie pracować na jałowym biegu dobre trzy dni. Samolot pomalowany na czarno lakierem pochłaniającym promieniowanie radarowe, wyglądał ponuro i niesamowicie, niczym ogromna płaszcza. W odróżnieniu od samolotów zdalnie sterowanych z ziemi, Podniebny Wędrowiec był półautonomiczną maszyną bezzałogową. Wykonywał



polecenia wydawane drogą satelitarną, samodzielnie wyznaczając optymalny tor lotu i prędkość.

W sekcji kadłubowej Wędrowiec miał ważące ponad 450 kilogramów nowoczesne urządzenia łącznościowe i rozpoznawcze. Głównym urządzeniem rozpoznawczym był SAR - radiolokator pokładowy obserwacji bocznej z syntetyczną aperturą, który łączem mikrofalowym przekazywał na „Valley Mistress” cyfrowe zdjęcia radarowe wysokiej rozdzielczości. Ów radar, podobny do tych, które instaluje się w bombowcach B-2A, ale zoptymalizowany na rozpoznanie, a nie na ostrzeżenie przed atakiem i wykrywanie przeszkód terenowych, dostarczał z obserwowanego obszaru, nawet pogrążonego w zupełnych ciemnościach, obrazy fotograficzne, umożliwiające zidentyfikowanie obiektów wielkości psa i elektroniczny pomiar ich rozmiarów. W SAR wykorzystano tę samą technologię LPI\* co w radarach B-2A: bardzo krótkie radarowe „spojrzenia” i cyfrowe przetwarzanie danych, umożliwiające modyfikację obrazów, ich powiększanie oraz analizę.

\* Low Probability of Intercept - małe prawdopodobieństwo przechwycenia (emisji radarowej) [przyp. red.].

- Wygląda na to, że wszystko w porządku.

- Silnik Wędrowca pracuje bez zakłóceń od dziesięciu minut i dwudziestu sekund, wszystkie kanały łączności zestawione i zabezpieczone, możemy startować w każdej chwili - powiedział Masters z przechwałką w głosie.

- Dobrze - stwierdził White. Pewność siebie Mastersa mogła być dla niektórych denerwująca, ale White'owi bardzo się podobała. Młody naukowiec mogąc puścić wodze wyobraźni stawał się prawdziwą kopalnią pomysłów i wykonywał czego od niego oczekiwano, bez względu na okoliczności. - Do startu zostało jeszcze około ośmiu minut. Idę do centrum operacyjnego. Jestem pewien, że będziesz chciał tu zostać, dopóki samolot nie wystartuje. - W duchu modlił się, żeby Mastersowi nie przyszło do głowy oglądać startu z ośrodka rozpoznania. Mógłby narobić kłopotów - panowała tam ciasnota, a większość mocy klimatyzatora szła na potrzeby urządzeń elektronicznych, więc było duszno, a powietrze nie pachniało najlepiej, nawet bez odoru czyichś wymiotów.

Nadeszła pora startu. Po skontrolowaniu obszaru radarem, White wydał rozkaz wysłania Podniebnego Wędrowca na patrol. Masters stopniowo zwiększył do maksimum ciąg turbinowego silnika. Pełny ciąg był potrzebny tylko przez kilka minut, następnie miał zostać zredukowany tak, żeby zużycie paliwa zmniejszyło się do zaledwie dwudziestu litrów na godzinę, co pozwalało na dwanaście godzin lotu. Zwolnił zaczep i Wędrowiec ruszył po torze startowym. Szybował w ciemnościach na wysokości pokładu przez kilkadziesiąt metrów, nabierając prędkości, a potem zaczął się szybko wzbijać. W ciągu niespełna pięciu minut był już na wysokości trzech tysięcy metrów. Kilkakrotnie okrążył „Valley Mistress”, podczas gdy Masters i technicy jeszcze raz sprawdzali wszystkie systemy, a potem ruszył na północ, w kierunku wybrzeży Iranu.

Jon Masters wyglądał całkiem nieźle, kiedy kilka minut później wszedł do centrum operacyjnego. Mokra włosy i klatka piersiowa świadczyły prawdopodobnie, że podstawił głowę pod kran, żeby się odświeżyć.

- Doktorze, wygląda na to, że nasz ptaszek nieźle sobie radzi - zwrócił się do niego White. - Wędrowiec powinien być nad celem za jakąś godzinę.

Masters podszedł do krzesła, ale nie siadał. Rozejrzył się po pomieszczeniu zaniepokojonym wzrokiem. - Nie można by otworzyć okna albo drzwi? - zapytał cicho, jak chłopiec, który pyta, czy może skorzystać z toalety. - Potrzebny mi horyzont, żebym mógł wyskalować moje żyroskopy.

- Przykro mi, nie ma mowy o otwarciu okna - odpowiedział White. - Nawet uchylone drzwi

stanowiłyby ryzyko. - White wiedział, że okręty nawodne i podwodne, samoloty, a nawet elektroniczne systemy obserwacyjne zainstalowane na wybrzeżu mogą wykrywać fale elektromagnetyczne z dużej odległości - pasywny zwiad elektroniczny był jedną z ulubionych misji White'a. Tak więc wszystkie newralgiczne sekcje „Valley Mistress” były ekranizowane, żeby uniemożliwić namiar. Ekranizacja byłaby jednak bezużyteczna, gdyby pozostawiono otwarte pokrywy włazów albo okna. Polecił włączenie wentylatorów, ale nie na wiele się to zdało. Wszyscy w tym ciasnym pomieszczeniu zauważyli - mimo przyćmionego oświetlenia - że twarz Jona Mastersa przybiera szczególnie paskudny odcień zieleni.

Masters szybko wziął się jednak w garść, kiedy jego bezzałogowy samolot zbliżył się do obszaru patrolowania i zaczął nadsyłać zdjęcia. Pierwsze było bardzo wyraźne, a purpurowe i pomarańczowe odcienie dodawały jeszcze kontrastu i głębi ostrości. Operatorzy wprowadzili na dwa trzydziestocalowe monitory obraz wielkiego okrętu idącego na północ. Na dole ekranów wyświetlane były informacje o prędkości, rozmiarach, kierunku podróży i zanurzeniu. - Fantastyczne! - wykrzyknął Masters.

Paul White całkowicie się z nim zgadzał. Był to chińsko-irański lotniskowiec „Ajtollah Ruhollah Chomeini”, w pełni załadowany i z kompletną eskortą, wychodzący z portu Czah Bahar i zmierzający w kierunku Zatoki Omańskiej. White nigdy by nie przypuszczał, że zobaczy coś takiego - irański lotniskowiec żeglujący po Zatoce Perskiej. Wpatrywał się w ekran z zapartym tchem. - Wyśle raport przez satelitę - powiedział. - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego będzie chciała znać szczegóły.

Choć nie tak wielki, jak lotniskowce amerykańskie, okręt wyglądał jednak imponująco. Na jego pokładach zainstalowano tyle wyrzutni przeciwokrętowych pocisków raketowych, że miało się wrażenie, iż do burty lotniskowca przyspawana została kanonierka lub krążownik raketowy. Obawą napawała świadomość, że „Chomeini” mógł najpierw ostrzelać cel różnego rodzaju raketami, a potem wysłać samoloty, żeby dokończyły dzieła zniszczenia. Od tyłu „Chomeini” był trochę podobny do lotniskowców amerykańskich, z umieszczonym skośnie pasem startowym, oświetlonymi krawędziami i linami hamującymi. Główną różnicę stanowiła ogromna ilość najróżniejszego uzbrojenia w części rufowej - zasobniki z pociskami manewrującymi oraz stanowiska artyleryjskie i wyrzutnie rakiet obronnych po obu stronach. Nadbudówka, zwana na lotniskowcu pomostem wyspowym, wyglądała zwyczajnie, z całym lasem anten porozrzucanych pozornie chaotycznie jedna nad drugą i z osobną instalacją antenową z tyłu. Przed i za nadbudówką znajdowały się windy służące do transportu samolotów z hangarów na pokład.

Również tutaj mnóstwo było wyrzutni pocisków manewrujących. Jednak naprawdę niezwykła była sekcja dziobowa pokładu - nie płaska i długa jak na innych lotniskowcach, lecz ostro zakrzywiona w górę, tworząca „skocznię narciarską” dla startujących samolotów.

White powrócił w momencie, kiedy Podniebny Wędrowiec skoncentrował uwagę na przednim pokładzie startowym „Chomeiniego”. - ABN powiadomiona - powiedział. - Nie mają dla nas żadnych instrukcji, więc kontynuujemy monitorowanie grupy bojowej. Wkrótce powinniśmy się czegoś dowiedzieć.

- Człowieku, spójrz na samoloty na pokładzie lotniskowca! - wykrzyknął Masters. Zaczął stukać w ekran licząc maszyny. - Mają co najmniej dziesięć myśliwców ustawionych na pokładzie.

- Co takiego? - spytał White. Policzył razem z Mastersem i powiedział: - To dziwne. Mają na pokładzie formację atakującą.

- A co w tym dziwnego?

- „Chomeini” był kiedyś lotniskowcem rosyjskim, a Rosjanie, w odróżnieniu od Amerykanów, zwykle nie parkują samolotów na pokładzie - wyjaśnił White. - Trzymają je pod pokładem, pozostawiając na górze tylko kilka śmigłowców do operacji ratunkowych i transportu między okrętami w grupie bojowej. To właśnie dlatego zabierają tylko około dwudziestu myśliwców. Amerykański lotniskowiec zabiera ich trzy razy tyle, ale pod pokładem można jednorazowo umieścić tylko dwadzieścia.

- Popatrz tutaj. Ten pokład jest tak mały, że poustawiali śmigłowce tuż przed przednią windą, a wszystkie myśliwce na rufie, za tylną windą - kontynuował White. Potrzebują całej powierzchni, bo, w odróżnieniu od innych lotniskowców, „Chomeini” nie używa katapult startowych. Pierwotnie Rosjanie zaprojektowali skocznnię narciarską dla samolotów krótkiego startu i lądowania, takich jak Jak-38 Forger i Jak-41 Freestyle, z których potem zrezygnowali. Ale skocznia jest, nadaje się także dla konwencjonalnych odrzutowców. - Wskazał na rufową sekcję lotniskowca widoczną na monitorze. - Myśliwce rozpoczynają start aż stąd, w odległości nieco ponad stu osiemdziesięciu metrów od dziobu. Piloci włączają dopalacze i dopiero wtedy zwalnia się zaczepy. Opuszczając skocznnię narciarską, maszyny są wyrzucane na ponad trzydzieści metrów w górę, ale zaraz spadają ponad dwadzieścia metrów, zanim nie nabiorą prędkości wystarczającej do rozpoczęcia lotu...

- Wyglupiasz się! - zawołał Masters.

- Nie - zapewnił go White. - Maszyny spadają tak nisko, że na dziobie lotniskowca trzeba było umieścić tę małą platformę, z której ktoś informuje przez radio oficera startowego i dowódcę okrętu, czy samolot zdołał wystartować. Z bocianiego gniazda nie sposób dostrzec maszyny przez pierwsze piętnaście-dwadzieścia sekund po starcie, a gdyby spadła do morza, lotniskowiec by ją roztrzaskał. Maszyny Su-33 mają prawdopodobnie specjalny system katapultowania sprzężony z wysokościomierzem radarowym. Pilot jest katapultowany automatycznie, jeśli na podwozie nie jest wywierany nacisk, a samolot spada poniżej sześciu metrów. System jest włączany i wyłączany ręcznie, i najprawdopodobniej wiele maszyn stracono podczas ćwiczeń, ponieważ świeżo upieczeni piloci zapominali o wyłączeniu autokatapulty przed lądowaniem. Prawidłowo podchodzili do lądowania i bum - wylatywali z kabiny na ułamek sekundy przed złapaniem liny hamującej. Podczas takich operacji na pokładzie robi się bardzo niebezpiecznie. Myśliwiec pędzący w kierunku skocznii narciarskiej mija zaparkowane śmigłowce w odległości nie większej niż dziesięć metrów - ciągnął White. - Poza tym, nie ma mowy o równoczesnych startach i lądowaniach, bo czekające na start samoloty stoją na pasie do lądowania. Tak więc, jeśli pilot zgłasza kłopoty zaraz po starcie, minie dużo czasu, zanim oczyszczą pokład i pozwolą mu lądować...

- Co pana zastanawia, szefie? - zapytał zastępca Whitea, podpułkownik lotnictwa Carl Knowlton.

White pokręcił głową. - Ach, nic takiego. Dziwi mnie po prostu, że w nocy mają te wszystkie samoloty na pokładzie. - Wpatrzył się uważnie w monitor. - A w dodatku skocznia narciarska nie jest niczym zastawiona. Gdyby opróżnili hangary, żeby posprzątać, albo zorganizować jakieś przyjęcie czy rozgrywki baseballa, jak to się robi na naszych lotniskowcach, porozstawialiby samoloty po całym pokładzie.

- Myśli pan, że zamierzają latać dziś w nocy?

- A skąd, u diabła, mam wiedzieć? - odparł White. - Rosjanie nigdy nie startowali z lotniskowców nocą, a na „Chomeinim” prowadzi się szkolenie od niespełna roku, więc nie sądzę, żeby rwali się do nocnych lotów. Irańczycy musieliby być kompletnymi durniami, żeby wysłać

samoloty z lotniskowca na nocne loty w wąskim kanale żeglugowym, nie stojąc pod wiatr i nie mogąc przyjąć maszyn, które musiałyby lądować awaryjnie. Oczywiście nigdy nie zarzucałem irańskim wojskowym, że są geniuszami. - Przerwał i przez chwilę pogrążył się w myślach. - Dziś w nocy mogą być kłopoty. Jestem naprawdę szczęśliwy, że mamy tam teraz Podniebnego Wędrowca.

Ustawili czujniki Wędrowca tak, żeby widzieć cały lotniskowiec, a następnie zmienili ogniskową, oglądając w maksymalnym zbliżeniu szczegóły każdej sekcji okrętu. Sporadycznie odzywał się system Wędrowca informujący o wykryciu zagrożenia, co oznaczało, że maszyna była omiatana wiązką radaru, ale nic nie wskazywało, by ktokolwiek ją namierzył. Nie pojawił się też w pobliżu żaden obcy samolot. Istniało wprawdzie niewielkie prawdopodobieństwo wykrycia i przechwycenia łączności satelitarnej między Podniebnym Wędrowcem a „Valley Mistress”, ale żadna jednostka z grupy bojowej „Chomeiniego” nie próbowała zakłócać tych sygnałów. White i Masters mieli nadzieję, że Irańczycy nie dysponują jeszcze nowoczesnymi komputerami, bez których nie można odkodować łączności satelitarnej.

- Temu też chciałem się przyjrzeć - powiedział podekscytowany White, kiedy Wędrowiec ruszył znów na północ, zakończywszy trwające godzinę okrążanie „Chomeiniego”. Maszyna skierowała swe czujniki na okręt prawie równie wielki jak lotniskowiec, z wyższą centralną nadbudówką, z której wyrastał las anten. - Krążownik „Zhanjiang”, duma chińskiej marynarki wojennej - powiedział White. - Rzekomo zakwaterowano na nim oficerów i żołnierzy odbywających ćwiczenia na „Chomeinim”, ale myślę, że tak naprawdę jest tu po to, by strzec lotniskowca i zwiększyć siłę ognia irańskiej eskorty. Ma pełny zestaw broni konwencjonalnej - raketowe pociski przeciwokrętowe i przeciwlotnicze dalekiego zasięgu, pociski manewrujące, torpedy napędzane silnikami raketowymi, trzy śmigłowce do zwalczania okrętów podwodnych i tak dalej. Ten jeden okręt dysponuje większą siłą ognia niż całe lotnictwo Iranu, zanim nie zaczęło kupować nowoczesnych rosyjskich maszyn.

- Czyli w praktyce Chińczycy zapewniają eskortę irańskiej lotniskowcowej grupie bojowej - zauważył Masters. - Jeśli ktoś do nich strzeli, Chiny włączą się do walki.

- Nikt nie wie, co zrobiłyby Chiny, gdyby ta grupa została zaatakowana, ani - co bardziej prawdopodobne - co zrobiłyby Chiny, gdyby to Irańczycy kogoś zaatakowali - powiedział White. - Iran i Chiny są sprzymierzeńcami, chociaż łączy je nie tyle ideologia, co ekonomia. Chiny dostarczają Iranowi sprzęt wojskowy wartości miliardów dolarów rocznie po bardzo niskich cenach, w zamian za tanią ropę naftową. Jest to korzystne dla obu stron i myślę, że bardzo zależy im na utrzymaniu dobrych stosunków.

- Ale po co? - Zapytał Masters. - Po co Iranowi lotniskowiec i chiński krążownik raketowy?

- Teraz to oni nadają ton - odpowiedział White. - Masz lotniskowiec albo bombę atomową, to jesteś kimś. Iran chciałby zostać przywódcą świata muzułmańskiego, wysyłając do Zatoki okręty, które kosztowały pięć miliardów dolarów, rzucając w ten sposób wszystkim wyzwanie.

- Ale kto byłby na tyle głupi, żeby je podjąć?

- Nie mówię, że taka jest ich strategia - powiedział White - ale zagrożenie jest duże, a w dodatku dysponują wielką siłą ognia na poparcie swoich gróźb.

- Tak wielką jak epolety na ich mundurach - podsumował Masters. - Przypominają cegły. A więc wyrosli już z zabawy w terroryzm, tak?

- Tego bym nie powiedział - odparł White. - Z biegiem lat stali się mistrzami w sztuce terroryzmu. Nie przyniosło im to uznania, chyba że ze strony innych fanatyków. Ale teraz, dysponując potężną marynarką wojenną i siłami powietrznymi, są szanowani, a przynajmniej wszyscy traktują ich

ostrożnie. Stany Zjednoczone z całą pewnością.

Zakończywszy trwające ponad godzinę okrążanie „Zhanjianga”, Podniebny Wędrowiec kontynuował lot patrolowy. Nadal nic nie wskazywało, że został odkryty, mimo spędzenia ponad dwóch godzin nad irańską grupą bojową. Jak dotąd, operacja była absolutnym sukcesem. Postanowili, że ściągną Wędrowca z powrotem, kiedy grupa bojowa wejdzie do Zatoki Omańskiej, po okrążeniu półwyspu Musandam. Zaprogramowali samolot tak, by przeleciał w odległości około dwudziestu mil na zachód od okrętów, a nie bezpośrednio nad nimi. Radary do obserwacji bocznej, w które wyposażony był Wędrowiec, umożliwiały śledzenie grupy, idącej kursem na południe, w kierunku międzynarodowych szlaków morskich.

Zdobyli dalsze informacje, przyjrzawszy się reszcie irańskiej grupy bojowej. - Niech to diabli, popatrzcie tutaj! - zawołał Masters, uważnie studiując jeden z okrętów. - Wielki jak cholera...

Paul White badał kilka fotografii. Uniósł brwi, wyraźnie zdziwiony. - Nie ma go na liście okrętów w grupie bojowej „Chomeiniego”. Przypatrzmy się bliżej. Wygląda jak niszczyciel... Duża nadbudówka, ale nie tak wielka jak na krążowniku... Wielka wyrzutnia raketowa w sekcji środkowej... Chłopaki, wygląda na to, że Iran dostał wreszcie ten chiński niszczyciel, o którego tak zabiegał. To niszczyciel klasy Luda, z dwoma zasobnikami po trzy pociski raketowe Sea Eagle w każdym. Podniebny Wędrowiec opłacił się już podczas pierwszego lotu, doktorze. Nie sądzę, by ktokolwiek oprócz nas wiedział, że do grupy „Chomeiniego” dołączył jeszcze jeden niszczyciel. To bardzo ważna informacja.

Masters wciąż był zielony na twarzy, ale uśmiechnął się jak uczeń.

- Pewnie, że tak, pułkowniku - powiedział rozpromieniony, jak zwykle z przechwałką w głosie. - Jestem tutaj, by dostarczać wam niespodzianek. - White zlecał właśnie łącznościowcom przekazanie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego informacji o nowym chińskim niszczycielu. - Sky Masters oferuje tylko produkty najwyższej jakości.

- Oho, Pan Skromny znów bryluje...

- To nie przechwałki, lecz fakty - powiedział Masters triumfalnie. - Siły Powietrzne albo CIA powinny kupić setkę Podniebnych Wędrowców. Są szybkie, niezawodne, dokładne - nie ma lepszego rozpoznania...

Nagle jeden z techników Sky Masters zawołał: - Wędrowiec informuje o przegrzaniu pierwotnego układu hydraulicznego! To może być jakaś awaria pierwszego stopnia sprężarki, na przykład na skutek zderzenia z ptakiem. Wyłączam pierwotny układ hydrauliczny...

Masters wyglądał, jakby ktoś go spoliczkował. White i Knowlton nie mogli powstrzymać uśmiechu, mimo że operacja rozpoznawcza przybrała niepomyślny obrót.

- Ściągnij go z powrotem! - krzyknął Masters. - Wydadź rozkaz powrotu!

- Rozkaz powrotu wydany, odbiór potwierdzony - odpowiedział natychmiast technik. - Wędrowiec zawraca... Wędrowiec na kursie powrotnym. Będzie mógł normalnie wylądować. Lądowanie za godzinę i czterdzieści dwie minuty.

Masters pokręcił głową. - Jeśli Irańczycy mają choć trochę oleju w głowie, Wędrowiec nigdy nie wróci - powiedział. - Taka awaria w pobliżu układu hydraulicznego oznacza ogień, a z kolei ogień oznacza, że Wędrowiec przestanie być niewidoczny. Zacznie tracić płyn hydrauliczny, może dojść do wycieku paliwa, może się pojawić dym i płomień, płaszczyzny sterujące zaczną zwisać i koniec z niewidzialnością.

- Więc nie kieruj go z powrotem tutaj, Jon - powiedział White. - Niech leci gdzieś nad ląd, może

do Omanu, albo niech się zniszczy...

- Nie wydam rozkazu samozniszczenia, dopóki Wędrowiec może jeszcze lecieć! - krzyknął Masters. - Ale jeśli będzie leciał prosto na nas, ujawni naszą pozycję. Muszę go przeprogramować ręcznie. Ta awaria nie była przewidziana... Normalnie Wędrowiec ma wracać bezpośrednio do bazy.

- Zawróć go, Jon - powiedział z naciskiem White. - Irańczycy go namierzą i domyśla się, skąd wystartował.

- Wędrowiec informuje o zamiarze radarem artyleryjskim... Pasma K i X, prawdopodobnie radiolokator sterujący raketami przeciwlotniczymi Crotale.

Masters odwrócił się do White'a, a na jego twarzy nie było widać ani śladu niedawnej choroby morskiej. Był teraz śmiertelnie poważny. - Pułkowniku, Wędrowca nie uratujemy - powiedział. - Co gorsza, nie reaguje już na polecenia nawigacyjne.

- Co takiego?

- Przełączył się na tryb awaryjny, Paul - powiedział Masters. - Oszczędza moc, oszczędza paliwo. Może nawet zablokował płaszczyzny sterujące. Nie będzie wykonywał żadnych manewrów, będzie leciał prosto tutaj.

- W takim razie powinniśmy się przygotować na wizytę nieproszonych gości - powiedział ponuro White. Nacisnął przełącznik interkomu. - Mostek, tu dowódca. Zostaliśmy wykryci. Wszyscy na posterunki, rozpoczynamy procedury kamuflażowe, kurs na wybrzeże Omanu. Przygotujcie się na abordaż, atak nieprzyjacielskich samolotów albo jeszcze coś gorszego.

- Tu mostek, zrozumiałem. - Natychmiast rozległ się potrójny dzwonek alarmowy. - Wszyscy na posterunki, wszyscy na posterunki, to nie są ćwiczenia.

♦ **Na pokładzie irańskiego lotniskowca „Chomeini”**

- Mostek, samolot na radarze, kierunek dwa-jeden-zero, odległość siedem przecinek osiem kilometra, prędkość dwa-cztery-jeden, wysokość dwa przecinek jeden kilometr, kurs dwa-zero-zero.

Wiceadmirał Akbar Tufajli, dowódca 7. Zespołu Uderzeniowego Islamskiej Straży Rewolucyjnej, obrócił się na krześle na mostku admiralskim „Chomeiniego”, patrząc w stronę centrum informacji bojowej. Z mostka admiralskiego, znajdującego się o jeden poziom niżej niż mostek główny, ale umożliwiającego obserwację wszystkiego, co działo się na górnym pokładzie, admirał Tufajli wraz ze swym sztabem mógł monitorować całą łączność zewnętrzną i interkom, a jeśli chciał, także bezpośrednio wydawać rozkazy, nawet samolotom w powietrzu i pobliskim okrętom, pomijając wszystkich innych dowódców.

Jak na swój stosunkowo młody wiek, Tufajli dysponował ogromną władzą. Zaczynał przed rewolucją jako zwykły gangster, dokonując brutalnych, krwawych egzekucji na szpiclach szacha. W 1981 roku wstąpił do elitarnego Pasdaranu i szybko awansował, dowodząc coraz większymi formacjami sił specjalnych. Teraz był piątym z kolei oficerem w hierarchii Pasdaranu; wywyższono go ponad wszystkich innych generałów, kiedy powierzono mu dowództwo sił Straży Rewolucyjnej na pokładzie pierwszego irańskiego lotniskowca - prawie trzy tysiące komandosów, żołnierzy piechoty, pilotów i innych wysoko wykwalifikowanych specjalistów.

Ludzie ze sztabu Tufajliego - wiernej kopii sztabu kapitana lotniskowca - zebrali się teraz na mostku admiralskim, monitorując wszystkie ważniejsze sekcje okrętu i składając meldunki szefowi sztabu, generałowi-brygadierowi Muhammadowi Badi.

- Generale - zawołał Tufajli - czy to samolot? Jak mógł się znaleźć tak blisko mojej grupy bojowej zanim został wykryty?

- Jeszcze nie wiem, generale - odpowiedział Badi. - Ale możliwe, że... bardzo mały samolot, ważący mniej niż pięć tysięcy kilogramów, lecący z prędkością poniżej dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i znajdujący się w odległości ponad piętnastu kilometrów od centrum grupy, nie zostałby zakwalifikowany jako zagrożenie. Kiedy rozpoczęliśmy atak, coś tak małego mogło zostać zignorowane lub pominięte.

- Co też pan wygaduje, Badi! To coś małego okazuje się być niezidentyfikowanym samolotem w odległości mniejszej niż pięć kilometrów od mojej grupy bojowej! - krzyknął Tufajli. - Natychmiast to zniszczyć! Nie, zaczekajcie. Czy coś nadaje? Możemy ustalić, czy wysyła jakieś sygnały?

- Zaraz, generale - powiedział Badi. Chwilę później zameldował: - Obiekt transmituje sygnały mikrofalowe, bez żadnego określonego kierunku, krótkimi wiązkami. Jesteśmy w stanie wykryć te sygnały, ale tylko na chwilę. Nie potrafimy ich nagrać ani odkodować.

Tufajli poczuł, jak ogarnia go gniew. Badi uwielbiał ten fachowy żargon; była to jedna z jego kilku przywar. - Sygnały bez określonego kierunku, wiązki... Badi, czy to transmisja satelitarna?

- Ponieważ nie przypomina to zakłócania, transmisji danych ani obserwacji radarowej, najprawdopodobniej chodzi o sygnały satelitarne - przyznał Badi.

- Macie zidentyfikować i przeanalizować te mikrofalowe sygnały, zanim obiekt znajdzie się poza zasięgiem rakiet Crotale lub SS-9-N - rozkazał Tufajli. - A potem dostarczcie mi listę wszystkich jednostek pływających na południowy zachód od nas. Może ten obiekt to jakiś samolot zwiadowczy powracający do bazy. Do roboty i informujcie mnie natychmiast.

- Tak jest! - zawołał Badi i zaczął wydawać rozkazy sztabowi. - Niezidentyfikowany samolot w odległości ośmiu kilometrów, nadal na kursie południe południowy zachód, prędkość dwieście kilometrów na godzinę - poinformował wkrótce Tufajliego. - Nie udało nam się zidentyfikować ani rozkodować sygnałów, które wysyła.

- W porządku, zniszczcie go! - rozkazał Tufajli.

Piętnaście sekund później, tuż przed startem pierwszego śmigłowca bojowego z pokładu „Chomeiniego”, Tufajli dostrzegł błyskawicę, która wystrzeliła w niebo z pokładu chińskiego krążownika „Zhanjiang”, wzniosła się eleganckim łukiem w kierunku południowo-zachodnim, po czym zanurkowała pionowo. Za pierwszą francuską raketą Crotale klasy woda-powietrze poszły dwie następne, ale obie były już zbyt późno. Trzy sekundy później niebo rozświetliła kula ognia, a po wodzie poniósł się głośny huk.

- Niezidentyfikowany samolot zniszczony - zameldował Badi.

- Doskonale - powiedział Tufajli. Wciąż był zafascynowany swą niewiarygodną władzą. Tak, lotniskowiec „Chomeini” z pokładowymi samolotami budził postrach, ale krążownik „Zhanjiang” dysponował taką siłą ognia dalekiego zasięgu, jak cały irański batalion artylerii. Tufajli kontrolował morze, niebo, a wkrótce także ląd w promieniu 100 kilometrów od miejsca w którym się znajdował i napawało go to dumą.

- Niech jeden z okrętów eskorty wyśle szalupę na poszukiwanie szczątków.

- Tak jest.

- Gdzie ta lista statków na kursie niezidentyfikowanego samolotu?

- Jeszcze ją zestawiamy - odpowiedział Badi. - Kurs prowadzi w pobliże wybrzeży Omanu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Jest tam kilka wielkich platform naftowych...

- To nie będzie baza arabska. Żaden z krajów nad Zatoką nie dysponuje tak nowoczesnymi systemami taktycznymi - powiedział Tufajli z irytacją w głosie. - Widziano ostatnio w tym rejonie



jakieś większe jednostki zachodnie?

Badi szybko spojrział w swoją listę i zatrzymał palec na jednej z pozycji. - Tak jest, generale, amerykański statek ratowniczy „Valley Mistress”. Trzy dni temu patrol sudańskiej straży wybrzeża zidentyfikował go na Morzu Czerwonym, w drodze do Bahrajnu...

- Co to za jednostka?

- Były statek ratowniczy klasy Edenton, trzy tysiące ton wyporności, stu trzydziestu ludzi, daleki zasięg, lądowisko dla śmigłowców, hangary - odpowiedział Badi, czytając z kopii raportu, przekazanego przez Sudańczyków dowódcy irańskiej grupy bojowej. - Własność prywatna, ale zarejestrowany jako jednostka floty rezerwowej Marynarki USA. Nie był poddawany inspekcji od czasu przejścia przez Kanał Sueski.

Tufajli nie miał wątpliwości, że niezidentyfikowany obiekt - mały, bez-załogowy samolot zwiadowczy albo balon - wystartował z „Valley Mistress”. Rozmiary amerykańskiego statku w sam raz wystarczały do prowadzenia tak skomplikowanych operacji. - Wyślijcie tam śmigłowiec zwiadu elektronicznego. Niech zrobi kilka zdjęć i uważa na jakieś niezwykle emisje fal radiowych - rozkazał. - Przede wszystkim spróbujcie sprawdzić, czy statek dysponuje łącznością satelitarną. Macie przelecieć bezpośrednio nad nim. Zobaczymy, jak ten rzekomy statek ratowniczy zachowa się w warunkach zagrożenia. Rzućcie flary, bombę, odpalcie marker; róbcie co chcecie, byle sprowokować jakąś reakcję.

Badi wydał rozkazy i pięć minut później śmigłowiec rozpoznawczy Ka-25, wyposażony w czujniki walki elektronicznej i transmitters, znalazł się w powietrzu, lecąc na południowy zachód, w kierunku amerykańskiego statku ratowniczego.

♦ **Na pokładzie SS „Valley Mistress”, w tym samym czasie**

- Straciliśmy kontakt z Podniebnym Wędrowcem - zameldował technik z centrum operacyjnego. - Był krótki namiar radarowy w paśmie K - zapewne radiolokacyjne sterowanie rakieta Crotale - a potem pustka.

Jon Masters gryzł palce z wściekłości. - Niech to szlag, zestrzelili Wędrowca!

- Cóż, koniec z operacjami rozpoznawczymi. Wkrótce Irańczycy zaczną polować na nas - powiedział Paul White. - Uwaga, tu dowódca - zawołał przez interkom. - Nasz samolot zwiadowczy został zestrzelony przez nieprzyjaciela. W każdej chwili musimy się liczyć z wizytą irańskich patroli. Przystąpić do akcji oczyszczania statku, natychmiast rozpocząć akcję oczyszczania. Rozpocząć też procedurę „Przyjaciel”. Sternik, kurs na wody terytorialne Omanu, cała naprzód. Wszyscy dowódcy sekcji spotkają się ze mną na mostku.

- Chwileczkę, pułkowniku! - zawołał Masters. Technicy w centrum operacyjnym wyłączały właśnie wszystkie urządzenia i to nie w jakiejś rozsądnej kolejności, metodycznie, lecz po prostu wyszarpując wtyczki z kontaktów. Nie miało znaczenia, że wyrwany z gniazdka przewód spowoduje zawieszenie lub zniszczenie komputera. Cały sprzęt i tak zamierzali obciążyć kilkuset kilogramami materiałów wybuchowych, wyrzucić wszystko za burtę i zdetonować. Wszystkie dokumenty wrzucano do specjalnych plastikowych pojemników czerwonego koloru, w których były cięte na drobne kawałki i palone. Dyskietki z oprogramowaniem komputerowym były bezpowrotnie zamazywane w silnym polu magnetycznym i niszczone.

- Ogłosiłeś akcję oczyszczania, nie skonsultowawszy się ze mną? Przecież to moje urządzenia!

- Jon, chłopcze przestań się, do cholery, martwić o te swoje zabawki - powiedział White, przygotowując urządzenia do wyrzucenia za burtę. Konsole kontrolne znajdowały się w dużych,

podobnych do walizek pojemnikach z otworami, umożliwiającymi chłodzenie i dostęp. Teraz bez trudu wkładano do tych otworów dwustugramowe kawałki materiału wybuchowego C-4. Proste zapalniki uaktywniane wodą morską powodowały detonację kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią. Poszukiwanie resztek byłoby zadaniem bardzo pracochłonnym...

Byli teraz na wodach międzynarodowych, a wkrótce powinni się znaleźć na wodach terytorialnych Omanu, ale White nie miał żadnych wątpliwości, że Irańczycy będą próbowali zdobyć jakiś dowód szpiegowskiej działalności „Valley Mistress”. Żeby osiągnąć ten cel, bez wahania złamią każde międzynarodowe prawo morskie.

- Irańskiemu myśliwcowi nawet pięciu minut nie zabrałoby uszkodzenie naszego statku rakieta - ciągnął White, pomagając przenosić pierwszy z kilkadziesiątu pojemników do relingu. - Dziesięć minut później możemy mieć nad głową irański śmigłowiec i komandosów na pokładzie. Godzinę później może do nas podejść irańska fregata. Jeśli znajdą któreś z tych urządzeń, uznają nas za szpiegów i już nigdy nie zobaczymy Stanów Zjednoczonych - o ile w ogóle pozostawią nas przy życiu.

Masters nie słuchał. - Pozwól mi przynajmniej przesłać trochę danych - protestował. - Przecież podczas tej operacji mieliśmy ocenić Wędrowca; wciąż próbuję zgromadzić dane.

- Za dziesięć minut wszystko to będzie pokarmem dla ryb - powiedział White. - Jon, na tym statku nie może zostać nic, co nie pasowałoby do jednostki ratowniczej. I tak mamy parę rzeczy, których nie da się ukryć, jak radar kontroli obszaru powietrznego, czy...

- Wysłanie danych zajmie mi tylko chwilę - powiedział Masters, odepchnął technika i zaczął walić w klawiaturę. - Skompresuję to, wyślę przez satelitę i gotowe.

- Jon, zapomnij o tym.

- Skipper, tu mostek - odezwał się interkom. - WLR zgłasza zamiar radarowy, prawdopodobnie radar pokładowy śmigłowca. Odległość około czterdziestu mil, kierunek zero-dwa-zero, prędkość sto sześćdziesiąt na godzinę. Zbliża się. - Urządzenia WLR-1 i WLR-11 były na „Valley Mistress” pasywnymi systemami wykrywającymi radary.

- Czas nam się kończy! - krzyknął White, zapomniawszy o Mastersie, który wciąż stukał w klawiaturę swojego komputera. - Mamy jakieś dziesięć minut na wyrzucenie tego wszystkiego za burtę, zanim nas zobaczą. Potem całą resztę musimy wyrzucić na dno przez śluzę dla pojazdów podwodnych. - Śluza na dnie statku, umożliwiająca przyjmowanie pojazdów SDV, mogła zostać wykorzystana do pozbycia się reszty urządzeń, kiedy Irańczycy będą już w pobliżu. Ludzie White'a zyskiwali dzięki temu kilka dodatkowych minut.

W ciągu niespełna trzech minut centrum operacyjne było opróżnione. Pozostał tam tylko Masters, ale White nie zamierzał dłużej czekać. - Jon, do diabła, zabieraj się stąd, ale już!

- Jestem gotów, transmisja w toku - powiedział Masters. - Jeszcze kilka sekund i gotowe.

White zamierzał właśnie własnoręcznie wyrwać kabel z gniazdka, kiedy na monitorze komputera spostrzegł migający napis UAV SYNC, a pod spodem SYNC ERROR. - Jon, co to, do cholery, znaczy?

Jon zauważył napis w tym samym momencie i natychmiast nacisnął jeden z klawiszy. Napis zgasł. - Nie wiem, o co tu chodzi - powiedział. - Komputer próbuje połączyć się z Podniebnym Wędrowcem...

- Tylko że Podniebny Wędrowiec został zniszczony - powiedział White. Ale z kim do diabła łączył się komputer? - Jasna cholera, Jon, wyłącz to! Ten irański śmigłowiec może być wyposażony

w urządzeniu walki elektronicznej. Może wysyłać sygnały kodowe transponderów satelitarnych. Twój komputer właśnie przedstawia się Irańczykom, którzy próbują go namierzyć!

- Nie zdawałem sobie sprawy, że wciąż jest włączony! - jęknął Masters, wyszarpując kable. - Wędrowca zestrzelili i nie pomyślałem o wyłączeniu kanału łączności satelitarnej!

- Irańczycy musieli namierzyć nasze sygnały satelitarne - powiedział White. - Nie ma mowy, żeby wzięli je za sygnały nawigacyjne czy zwykłą łączność. A jeśli przechwycili sygnały Wędrowca i porównali je z sygnałami naszego transpondera... Niech to diabli, prawdopodobnie wiedzą, że to my byliśmy w kontakcie z Wędrowcem. Właśnie wypapraliśmy przeciwnikowi nasze tajemnice.

#### ♦ Na pokładzie irańskiego lotniskowca „Chomeini”

- Wiadomość ze śmigłowca patrolowego numer trzy - raportował generał Badi admirałowi Tufajli. - Załoga zgłasza sygnały mikrofalowe emitowane ze statku ratowniczego. Sygnały są identyczne z tymi, które wysyłał niezidentyfikowany samolot.

- Doskonale! Mamy ich! - wykrzyknął admirał Tufajli. - I nie ma wątpliwości, że ten niezidentyfikowany obiekt był wrogim samolotem latającym nad moją flotą. To jest akt wojny i mam prawo bronić moich ludzi i okrętów wszelkimi środkami pozostającymi w mojej dyspozycji. Generale Badi, jakie maszyny mamy w stanie gotowości?

- W powietrzu jest jeden myśliwiec, nad punktem kontrolnym numer cztery. Ma dwie rakiety AS-18 naprowadzane radarem i dwie rakiety AA-10 powietrze-powietrze - odpowiedział dowódca operacji powietrznych. - Ma powrócić do bazy za jedenaście minut. Ten, który go zastąpi, będzie gotowy do startu za pięć minut.

- Punkt kontrolny numer cztery znajduje się w odległości zaledwie pięciu kilometrów na wschód od amerykańskiego okrętu - doskonale! Za wróc maszynę znad punktu numer cztery, podaj jej zamiar na ten amerykański statek szpiegowski - rozkazał Tufajli. - Drugi myśliwiec ma wystartować, gdy tylko znajdzie się na pokładzie. Jeśli ten szpiegowski statek będzie jeszcze na powierzchni, ponowić atak. Nie możemy dopuścić, żeby szpieg dostał się na wody terytorialne Omanu, zanim będziemy mogli wejść na pokład. Skieruj niszczyciel „Medina” i kutry patrolowe Pasdaranu w stronę szpiegowskiego statku. Niech zatrzymają wszystkich, którym uda się przeżyć i dokładnie przeszukają szczątki. Śmigłowiec patrolowy numer cztery i śmigłowiec z „Mediny” mają obserwować szpiega do czasu przybycia „Mediny” na miejsce. Damy Amerykanom nauczkę za szpiegowanie naszych okrętów!

#### ♦ Na pokładzie „Valley Mistress”

Jon Masters w rekordowym czasie spakował ostatni terminal i resztę wyposażenia, wsunął ładunki wybuchowe i wyrzucił wszystko za burtę, a potem pomógł w przenoszeniu kilku skrzyń do centrum operacyjnego; załoga za wszelką cenę starała się, by centrum wyglądało jak pomieszczenie ładunkowe. Statkiem wstrząsały podwodne eksplozje, kiedy jeden po drugim wybuchały pięćdziesiąt trzy pojemniki z zawartością mającą związek z Podniebnym Wędrowcem. Szczątki opadły na dno Zatoki Omańskiej.

- Jesteśmy już na wodach Omanu? - zawołał Masters do White'a, wracając po kolejne pudło.

- Jon, załóż kamizelkę ratunkową - powiedział White ponuro. Wrócił właśnie z pokładu śmigłowcowego, gdzie obserwował, jak załoga likwidowała stanowiska radarów do kontroli lądu i obszaru powietrznego. SPS-40 był już w pojemniku, a nawet częściowo zdemontowany; niektóre części zdążono wyrzucić za burtę. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby Irańczycy znaleźli na statku ratowniczym nowoczesny radar kontroli obszaru. Przeciągało się natomiast zdejmowanie SPS-69

zainstalowanego trzydzieści metrów nad pokładem. Sam SPS-69 na „Valley Mistress” nie był jeszcze kompromitujący, ale bardzo podejrzanie wyglądało umieszczenie go na trzydziestometrowym maszcie.

- Kamizelkę mam na dole, w kabinie.

- Więc biegnij po nią! - krzyknął White, łapiąc Mastersa za rękę i popychając w kierunku drabinki prowadzącej do pomieszczeń załogi. - I niech cię bez niej nie widzę, dopóki nie dostaniemy się na ląd.

Masters wpatrywał się w White'a z przerażeniem w oczach. - Hej, pułkowniku...

- Wszystko jedno, czy jesteśmy na wodach terytorialnych Omanu, na wodach międzynarodowych czy na wodach USA - powiedział White. - Irańczycy i tak dobiorą nam się do tyłka. A teraz leć po tę cholerną kamizelkę, upewnij się, że masz przy sobie paszport, i że w twojej kabinie nie ma żadnych papierów, dyskietek, faksów, danych w komputerze. Jeśli nie jesteś pewien, wyrzuć komputer za burtę. Ruszaj się!

Masters nigdy przedtem nie widział White'a w takim stanie i był teraz jeszcze bardziej wystraszony. - Paul... przykro mi z powodu tego komputera i satelity.

- To nie ma znaczenia - powiedział White. - Myślę, że Irańczycy i tak by się nami zainteresowali. A teraz biegnij. Spotkamy się za chwilę tutaj na pokładzie. - Masters całą drogę do swojej kabiny pokonał biegiem.

- Skipper, tu mostek.

White włączył mikrofon. - Mów.

- Pojedynczy obiekt latający zbliża się z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę - poinformował operator radaru na mostku.

White zaklął pod nosem. Wiedział, że szykują się kłopoty. Śmigłowiec wchodził w zasięg obserwacji wzrokowej i bez wątpienia informował o wszystkim pozostałe jednostki irańskie zmierzające ku „Valley Mistress”. - Inne obiekty?

- Nie ma innych.

- Będą - ostrzegł White. - Informuj mnie na bieżąco.

- Paul? - Był to Carl Knowlton, który nadzorował prace przy demontowaniu radaru SPS-69.

- Słucham, Carl.

- Nie uda nam się z tym masztem. Zaciął się.

- A niech to jasna cholera... Cóż, i tak miałem nadzieję, że ABN kupi mi kiedyś lepszy system - powiedział White. - Śmigłowiec patrolowy szybko się zbliża. Wysadź maszt w powietrze. Ostrzeż nas dzwonkiem na piętnaście sekund przed detonacją. Tu dowódca do wszystkich. Uwaga, za chwilę wysadzamy maszt SPS-69. Niech każdy poszuka sobie schronienia, kiedy usłyszysz dzwonek alarmowy.

Masters spotkał się z White'em na lądowisku śmigłowców, skąd mogli obserwować SPS-69, a jednocześnie byli na tyle blisko wrót hangaru, żeby wbiec do środka, gdyby się okazało, że maszt i antena radarowa spadają prosto na nich. Kamizelka ratunkowa Mastersa, przypominała raczej wiatrówkę, a i tak wyglądała na nim jak o trzy rozmiary za duża. - Moja kabina jest czysta - powiedział White'owi, z trudem łapiąc oddech. - Wszystko wyrzuciłem za burtę, nawet pagera.

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Kilka sekund później rozległ się dzwonek alarmowy, a zaraz potem rozległ się huk. Niewielkie ładunki wybuchowe ścięły maszt i linki mocujące na lewej burcie; antena radaru SPS-69 wypadła za burtę wraz z dwunastoma metrami masztu. Dwa następne ładunki uporały się z linkami na prawej burcie i antena ostatecznie poszła na dno. - Ci cholerni Irańczycy są mi winni

nowy radar okrętowy - mruknął White pod nosem.

- Mostek, tu dowódca. Co nowego?

- Flota irańska wywołuje nas przez radio. Rozkazują nam zatrzymać się i poddać inspekcji - poinformował oficer na mostku. - Powtarzamy im, że jesteśmy statkiem ratowniczym floty rezerwowej Marynarki USA, i że nie mają prawa zatrzymywać nas na wodach międzynarodowych, ale oni obstają przy swoim. Cytuję im kolejne paragrafy prawa morskiego, ale mnie ignorują.

- Czytaj im dalej te paragrafy - powiedział White. - I tak nie posłuchają, ale czytaj mimo wszystko. Nadawaj także na międzynarodowej częstotliwości ratunkowej.

Na chwilę zaległa cisza i mostek znów się odezwał. - Pytają, czy mogą spuścić nam na pokład inspektora ze śmigłowca.

- Powiedz im, że nie mamy na to miejsca na pokładzie.

- Pytają, dlaczego uciekamy przed nimi i czy wiadomo nam coś o szpiegowskim samolocie, który dopiero co próbował ich zaatakować.

- Powiedz im... A niech to cholera, powiedz im, co ci przyjdzie do głowy, poczytaj im Biblię, prawo morskie, tylko do niczego się nie przyznawaj. Nie zatrzymamy się.

- Skipper, Irańczycy informują nas, że spuszczają na pokład inspektora celnego na rozmowę z kapitanem. Twierdzą, że jesteśmy na wodach irańskich, i że ich cło ma prawo przeprowadzić inspekcję na naszym statku. Mówią, że jeśli nie poddamy się kontroli, zatrzymają nas siłą.

- Powiedz im, że nie jesteśmy na wodach irańskich, ale że chętnie zgodzimy się na inspekcję w naszym porcie docelowym, to znaczy w Maskacie. Płyniemy tam na pilne wezwanie. Spuszczanie człowieka na pokład nocą jest zbyt niebezpieczne, więc nie zgadzamy się.

- O cholera, popatrz - powiedział Knowlton, wskazując na północ. W chwili, kiedy maszt radarowy spadł do morza, pojawił się irański śmigłowiec patrolowy. Nie ulegało wątpliwości, że jego załoga widziała wysadzenie masztu. W otwartych drzwiach śmigłowca widać było strzelca, który mierzył do nich z czegoś wielkiego. - Facet celuje do nas z czterdziestomilimetrowego granatnika - powiedział Knowlton. - Te sukinsyny nie żartują.

- Machamy do śmigłowca, wszyscy machamy! - zawołał White. - Jesteśmy statkiem ratowniczym, przyjacielem, a nie wrogą jednostką. - Włączył się do interkomu. - Do wszystkich. Tu szef. Mamy gości po prawej. Obowiązuje procedura „Przyjaciel”. Mostek, jesteśmy pozbawieni radaru, więc przekazuj mi dane z AWACS-a. Ten irański śmigłowiec podkrał się do nas i prawdopodobnie widział, jak wysadzaliśmy maszt. Informuj mnie na bieżąco.

- Zrozumiałem, skipper - odpowiedział operator radaru. - AWACS zgłasza drugi obiekt latający, kierunek dwa-osiem-trzy, odległość dwadzieścia pięć mil, wysokość tysiąc sześćset, prędkość siedemset pięćdziesiąt, prawdopodobnie myśliwiec z lotniskowca „Chomeini”.

- Gówno prawdopodobnie! - krzyknął White. - To na pewno myśliwiec. Sternik, tu dowódca, kurs na nadlatujący obiekt numer dwa, jeśli tylko możesz, nie dopuść go na rufę. Radio, wysłać przez AWACS-a zakodowaną wiadomość do Rady Współpracy Zatoki i do sił amerykańskich. Potrzebujemy wsparcia myśliwców, za parę minut zostaniemy zaatakowani. Obsługa Stingerów, zgłóście się natychmiast na lądowisku śmigłowców, ale nie pokazujcie się, zostańcie na razie w hangarze. Irański śmigłowiec wisi nam tuż za rufą. Ekipa od efektów specjalnych, przygotować tratwę. Uwaga, samolot nieprzyjaciela nadlatuje ze wschodu, wszyscy na posterunki, obsługa Stingerów odpowiada ogniem. Mostek, odliczaj mi czas do przybycia myśliwca.

♦ **Na pokładzie „Chomeiniego”**

- Panie admirale, śmigłowiec patrolowy numer trzy informuje, że załoga tego statku ratowniczego zdetonowała niewielki ładunek wybuchowy, ścinając maszt, który mieli na nadbudówce - raportował generał Badi. - Maszt spadł do morza. Część załogi stoi na pokładzie i macha do naszego śmigłowca. Zachowują się przyjaźnie, ale najwyraźniej starają się pokazać, ilu ich jest i uniemożliwić wejście na pokład. Na tym maszcie mogła być antena satelitarna do łączności z samolotem szpiegowskim - ciągnął Badi. - Najwyraźniej nie chcieli, żebyśmy ją zobaczyli na ich statku.

- Rozumiem, Badi. Zareagowali jakoś na nasze wezwania? - zapytał admirał Tufajli.

- Twierdzą, że płyną na pilne wezwanie i nie mogą się zatrzymać - odpowiedział Badi. - Nie chcą pozwolić, żeby kogokolwiek spuścić na pokład.

- Niech śmigłowiec patrolowy numer trzy da im sygnał świetlny z rozkazem zatrzymania się. Jeśli nie posłuchają, oddać strzał ostrzegawczy przed dziób. Jeśli mimo to nie zareagują, otworzyć ogień i strzelać, dopóki się nie zatrzymają - rozkazał Tufajli.

Badi patrzył na Tufajliego z przerażeniem. - Jest pan pewien, admirale? - zapytał ściszym głosem. - Ostrzelać amerykański statek ratowniczy? Ta jednostka jest w rejestrze floty rezerwowej Marynarki USA - to zostało sprawdzone. Atakowalibyśmy okręt amerykański!

- Ten statek ma zostać zatrzymany, a załoga aresztowana - powiedział Tufajli. - To oczywiste, że uciekają na wody terytorialne Omanu, bo boją się, że zostaną zdemaskowani jako szpiegowie. Nie pozwolę na to. Natychmiast zatrzymać ten statek!

### ◆ Na pokładzie „Valley Mistress”

White, Knowlton, Masters i inni ludzie na pokładzie obserwowali śmigłowiec irański, który przeleciał przed dziobem statku i błyskał w kierunku mostku białym i czerwonym światłem. - Sygnalizuje, że mamy się zatrzymać - powiedział Knowlton. Zgodnie z przepisami, na wodach międzynarodowych musielibyśmy się zatrzymać, chyba że rzeczywiście szlibyśmy na ratunek.

- Nie zatrzymamy się.

- To oznacza, że spróbują... - W tym momencie dostrzegli jaskrawy błysk w otwartych drzwiach śmigłowca, a kilkadziesiąt metrów przed dziobem statku pojawił się wielki gejzer. Wszyscy na pokładzie podskoczyli, kiedy rozległ się potężny huk.

- ...oddać strzał ostrzegawczy - dokończył Knowlton.

- Pytanie, czy sukinsyny zaryzykują wpakowanie w nas takiego granatu? - powiedział White. Natychmiast sam sobie odpowiedział i włączył mikrofon. - Radio, jest odpowiedź w sprawie eskorty myśliwców?

- Jest, szefie - nadeszła odpowiedź. - Nasi wysyłają do nas myśliwce. Powinny tu być za piętnaście minut.

- Cholera, przydałyby się teraz myśliwce Omanu albo Zjednoczonych Emiratów Arabskich - powiedział White. - Nasze myśliwce z Arabii Saudyjskiej będą tu za późno. Niech to diabli, siedzimy w gównie po szyję.

W tym momencie poczuli mocne uderzenie po lewej stronie statku, a pod mostkiem pojawiła się kula ognia. White podbiegł wraz z innymi do lewej burty. Zobaczyli, że irański granat wystrzelony ze śmigłowca uderzył w przedni pokład tuż przed nadbudówką, w podstawę przedniego dźwigu. - Obsługa Stingerów na pokład! - rozkazał White. - Cel - śmigłowiec od strony dziobu! - Odwrócił się do ludzi na lądowisku śmigłowców. - Na pokładzie zostaje tylko obsługa Stingerów. Reszta na stanowiska ratunkowe!

Żołnierze piechoty morskiej obsługujący Stingerów w okamgnieniu znaleźli się obok White'a na pokładzie śmigłowcowym. W ciągu niespełna trzydziestu sekund jeden z marines miał już wyrzutnię na ramieniu. Drugi stał obok, naprowadzając go. Kolejni dwaj trzymali się w pobliżu, gotowi załadować następną rakietę do zasobnika-wyrzutni i zastąpić kolegów, gdyby zaszła potrzeba. - Widzę cel! - krzyknął strzelec. W tym momencie drugi granat uderzył w burtę „Valley Mistress” tuż nad linią wodną.

Zobaczyli, jak irański strzelec przesuwając swój granatnik w kierunku pokładu śmigłowcowego. Zaraz potem śmigłowiec obrócił się w prawo, przodem do obsługi Stingerów, starając się stanowić jak najmniejszy cel. - Włączyć zasilanie! - krzyknął White. - Załatwcie skurwysyna!

Żołnierz obsługujący Stingera ściągnął prawym kciukiem dużą dźwignię, włączając zasilanie. - Wyrzutnia gotowa! - krzyknął.

- Odsłonić głowicę! - zawołał obserwator.

Trzymając śmigłowiec na celowniku, strzelec nacisnął duży guzik w przedniej części wyrzutni, odsłaniając przechłodzoną ciekłym azotem głowicę pocisku raketowego. W słuchawkach natychmiast usłyszał znajomy, niski dźwięk. - Cel namierzony! - zawołał.



Obserwator zerknął do tyłu, upewnił się, że nikt za nimi nie stoi i poklepał strzelca po plecach. - Możesz odpalać!

- Odpalenie! - Strzelec uniósł wyrzutnię i ściągnął spust. - Poszła! - Rakieta opuściła wyrzutnię z charakterystycznym sykiem, a z tylnego końca wyrzutni buchnął strumień białego gazu. W ciemnościach nikt nie widział, jak rakieta przeleciała w powietrzu kilkanaście metrów, a potem, w momencie, kiedy krzywa jej lotu zaczęła się obniżać, odpalił jej silnik i wbiła się w irański śmigłowiec, prosto w dyszę silnika. Obsługa Stingerów nie czekała na rezultat pierwszego trafienia - pośpiesznie przygotowywała się do odpalenia następnej rakiety.

Przez dłuższą chwilę wydawało się, że nic się nie stało. Mastersowi przebiegło przez myśl, że rakieta chybiła i spadła do morza, kiedy zobaczył jaskrawy błysk, a potem ogień. Śmigłowiec zaczął szybko opadać, jakby jego pilot zdecydował się na lądowanie. Chwilę później, pochylony na nos, uderzył w wodę i natychmiast znikł. - Dostał! - krzyknął Masters. - O rany, jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Wszystko stało się tak szybko, a jednocześnie jakby w zwolnionym tempie!

- Następne będą irańskie myśliwce! - krzyknął White, biegnąc z powrotem na pokład hangarowy. Przez interkom wezwał ekipę odpowiedzialną za efekty specjalne, by przystąpiła do akcji. - Mostek, gdzie są myśliwce?

Po prawej stronie „Valley Mistress” ludzie od efektów specjalnych spuścili na wodę wielką nadmuchiwaną tratwę, zawierającą specjalnie zaprojektowane reflektory radarowe, generatory sygnałów elektronicznych i promieniowania podczerwonego; całość miała wprowadzić przeciwnika w błąd, imitując obraz statku na radarze i w podczerwieni. Po oddzieleniu się od statku, tratwa zaczęła odpalać rakiety z folią antyradarową. Na wysokości stu metrów rakiety wyrzucały w powietrze wiązki cienkich jak włos pasków metalu, które wkrótce utworzyły chmurę o podłużnym kształcie. Wszyscy mieli nadzieję, że na ekranie radaru chmura ta będzie się prezentować jako bardziej zachęcający cel ataku niż rufa „Valley Mistress”.

- Odległość dziewięć mil. Kierunek jeden-pięć-zero. - Statek zawracał na północny zachód, podczas gdy irański myśliwiec skręcił lekko na południe. Jego pilot chciał atakować statek z boku - cel był wtedy większy. Sternik „Valley Mistress” próbował ustawić się rufą do nadlatującej maszyny.

- Siedem mil, kierunek dwa-dwa-zero... - Zaraz po zakończeniu pierwszego zwrotu statek mocno się przechylił, kiedy sternik wykonał kolejny gwałtowny skręt w lewo. Samolot nadlatywał z południowego zachodu, więc sternik próbował ustawić statek dziobem, a nie rufą w kierunku maszyny. - Sześć mil, kierunek...

Nagle morze za rufą eksplodowało gejzerem wody i piany. Zaraz też nastąpiła druga eksplozja. Chwilę później do statku dotarł huk, przypominający podwójny grzmot. - Ten skurwysyn strzelił do nas! - krzyknął Masters. - Jesteśmy pod ostrzałem! - Myśliwiec Su-33 odpalił dwa naprowadzane radarem raketowe pociski przeciwokrętowe; oba namierzyły cel, który dla radaru wydawał się większy - tratwę z efektami specjalnymi. Rakiety uderzyły w wodę mniej niż tysiąc metrów za rufą „Valley Mistress”.

- Odległość pięć mil, cel zawraca na północ, kurs przechwycenia jeden-osiem-zero... odległość trzy mile...

- Obsługa Stingerów, włączyć zasilanie! - rozkazał White. - Strąćcie go! W odróżnieniu od ataku na śmigłowiec, żołnierz odpalający Stingera nie mógłby zobaczyć myśliwca w celowniku optycznym, więc zastąpił go dwucalowym ekranem ciekłokrystalicznym, na którym wyświetlony był kursor i

sylwetka irańskiego samolotu, a także parametry jego lotu oraz status rakiety. Dane otrzymywane z AWACS-a krążącego nad Arabią Saudyjską były transmitowane łączem cyfrowym na „Valley Mistress”, a stamtąd do odbiornika ekipy obsługującej Stingery. Dane te były zobrazowane na ekranie ciekłokrystalicznym, dzięki czemu obsługujący raketę żołnierz mógł celować w całkowitych ciemnościach.

Kiedy elektroniczny wizerunek myśliwca znalazł się na środku ekranu, żołnierz najpierw nacisnął guzik po prawej stronie uchwytu wyrzutni, wysyłając radiowy sygnał z żądaniem identyfikacji IFF\*. - Negatywne IFF, dajcie zgodę na strzał!

\* Identification Friend or Foe - system identyfikacji „swój-obcy” [przyp. red.].

- Strzelaj! - krzyknął White. Obsługa odpaliła Stingera, który znikł w ciemnościach. Chwilę później, daleko na horyzoncie, zobaczyli jaskrawy błysk i płomień.

Nie czas jednak było świętować zwycięstwo. Wszyscy wiedzieli, że na pokładzie lotniskowca „Chomeini” stacjonowało jeszcze co najmniej dziewiętnaście myśliwców i sześć śmigłowców, istniały także setki maszyn bazujących w Iranie, w odległości zaledwie kilkudziesięciu mil morskich. Każda z nich mogła szybko posłać „Valley Mistress” na dno Zatoki Perskiej. Skuteczny kontratak ofiarował im tylko kilka minut. Może Irańczycy będą teraz trochę ostrożniejsi, może się zawahają, może uda się podpłynąć milę czy dwie do wybrzeża Omanu, gdzie wróg nie odważy się ich ścigać. Walka jeszcze się nie skończyła...

#### ◆ Na pokładzie „Chomeiniego”

- Straciliśmy łączność ze śmigłowcem patrolowym numer trzy! - krzyknął operator radaru przez interkom i zaczął przekazywać ostatnią znaną pozycję, wysokość i prędkość; dane te były przekazywane ekipom ratowniczym. - Straciliśmy też łączność z myśliwcem!

- Co się, u diabła, dzieje? - krzyknął admirał Tufajli. - Rozbił się? Ustalcie, co się stało!

- Odebraliśmy meldunek ze śmigłowca tuż przed utratą łączności - odpowiedział generał Badi. - Pilot poinformował, że wkrótce po tym, kiedy oddał strzały ostrzegawcze, z pokładu amerykańskiego statku ratowniczego odpalono raketę.

- Raketę? Ten amerykański statek odpala rakiety? - krzyknął Tufajli. - Natychmiast pošlijcie ten przeklęty statek na dno Zatoki Omańskiej!

- Wydaje się, że statek wciąż płynie. Wchodzi właśnie na wody terytorialne Omanu. Jest teraz pięć kilometrów od wybrzeża i mniej niż dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Ra's Haffah. Idzie kursem na południowy zachód z prędkością dwudziestu węzłów. Pilot myśliwca meldował namierzenie celu, ale najwidoczniej zaatakował pozorator.

- Pozorator! Rakiety przeciwlotnicze! To nie jakiś statek ratowniczy, czy nawet szpiegowski; to amerykański okręt wojenny, który wypowiedział wojnę Iranowi i mojej grupie bojowej! - krzyczał Tufajli.

- Panie admirale, maszyna numer dziewięć gotowa do startu - powiedział generał Badi. Tufajli wyjrzał przez okno i zobaczył dwa długie języki ognia, wydostające się z dysz wylotowych myśliwca bombardującego Suchoj-33, którego pilot włączył właśnie dopalacze. Chwilę później samolot zaczął się toczyć po pokładzie, najpierw niepokojąco powoli, ale potem coraz szybciej. Płomień dopalaczy opisały na niebie jasnożółty łuk, kiedy myśliwiec wystartował ze skoczni narciarskiej, opadł, powoli wyrównał, a potem przyspieszył, wznosząc się łagodnie. Płomień dopalaczy zgasty, kiedy maszyna osiągnęła pułap dwustu metrów. - Jakie są pańskie instrukcje, admirale?

- Zniszczyć ten statek! - wrzasnął Tufajli. - Zniszczyć go!

- Ale on jest już na wodach Omanu - powiedział Badi. - Ma łąd w zasięgu wzroku, a na wybrzeżu jest wiele osad.

- Nie obchodzi mnie, ile ludzi to zobaczy! Ten amerykański okręt ma zostać zniszczony! - krzyczał Tufajli. - Skieruj tam następny myśliwiec z bronią przeciwokrętową, jeśli ten atak również się nie powiedzie, potem przygotuj jeszcze jedną maszynę. Natychmiast! - Badi nie miał już nic do powiedzenia.

#### ◆ Na pokładzie „Valley Mistress”

Pierwsze dwie szalupy ratunkowe przeznaczono dla techników ze Sky Masters. Siedzieli stłoczeni w trzech rzędach po dziesięciu w każdej z łodzi. Szalupy dopiero co spuszczone na wodę; pierwsza ruszała właśnie w stronę wybrzeża Zjednoczonych Emiratów Arabskich, kiedy przez system nagłaśniający rozległ się komunikat: - Nadlatuje samolot, kierunek zero-trzy-zero, prędkość osiemset kilometrów na godzinę, odległość trzydzieści sześć mil.

- Ruszajcie najszybciej, jak tylko możecie! - krzyknął White do ludzi w drugiej szalupie, którzy oddali właśnie cumy i uruchamiali silnik.

W trzeciej szalupie zajmowali miejsca pozostali cywile i część marynarzy. Na pokładzie „Valley Mistress” zostało zaledwie kilku marynarzy, dziesięciu oficerów i trzydziestu członków Zjawy. - Spuścić szalupę! - krzyknął White. - Ruszajcie do brzegu i nie zatrzymujcie się po drodze! - Włączył mikrofon interkomu. - Spuścić następną tratwę, przygotować Stingery!

Kiedy White powrócił na lądowisko śmigłowców, czekała tam na niego ekipa od efektów specjalnych. Był zaszokowany widząc, że stoi z nimi Jon Masters. - Masters, a ty co tu, do cholery, robisz? Kazałem ci wsiąść do trzeciej szalupy.

- Potrzebowali pomocy przy generatorze sygnałów na tratwie - odpowiedział Masters. - Już naprawilem.

- To już była ostatnia tratwa, prawda? - spytał White. Odpowiedzią było kiwnięcie głową. - Bierzcie czwartą szalupę ratunkową i ruszajcie do brzegu. Jon, mostek, załoga, mechanicy - płyniecie z nimi.

- To już ostatnia szalupa - powiedział Masters. - Zostaniecie bez łodzi.

- Nie ruszymy się stąd bez was - powiedział poważnym tonem sierżant sztabowy Steven Cromwell, najstarszy stopniem w dwudziestoczteroosobowym plutonie marines przydzielonym Zjawie. - Naszym zadaniem jest ochrona grupy technicznej Agencji Wspomagania Wywiadu. Nie rozdzielimy się i nikogo nie zostawimy.

- Jeśli ci pieprzeni Irańczycy was złapią, sierżancie, wszyscy będziemy po uszy w gównie.

- Jak pan sam powiedział, pułkowniku - zauważył Cromwell - „po uszy w gównie” to nasza specjalność. Nie zostawimy was. Jeśli pan chce, możemy wystawić dodatkową obsługę Stingerów.

- Obsługa Stingerów jest mi potrzebna w czwartej szalupie, na wypadek gdyby jakiś irański śmigłowiec zdecydował się na pościg za naszymi łodziami - powiedział White. - Niech czterech ludzi weźmie tyle Stingerów, ile zdołają unieść i ruszajcie za tamtymi. Będziemy wam przekazywać dane taktyczne, dopóki statek będzie sprawny; jeśli stracie połączenie, będziecie musieli celować, kierując się słuchem. Ruszaj, Steve. - Spojrzał na Jona Mastersa, potem na Cromwella. - Zabierz ze sobą doktora Mastersa.

- Wolalbym raczej zostać tutaj, jeśli nie robi to różnicy.

- Robi - powiedział White. - Sierżancie, odpowiada pan za bezpieczeństwo ludzi w szalupach. Ma pan bezpiecznie dostarczyć wszystkich członków załogi statku i cywilów, łącznie z doktorem

Mastersem, do ambasady USA w Dubaju lub Abu Dabi, albo do którejkolwiek z zaprzyjaźnionych agencji czy jednostek wojskowych, a potem dopilnować bezpiecznego przetransportowania ich do Stanów Zjednoczonych. Ma pan całkowicie wolną rękę w doborze środków do wykonania tego zadania. Jasne?

Cromwell wyglądał, jakby zamierzał jeszcze dyskutować, ale wiedział, że White ma rację. Większość personelu Agencji Wspomagania Wywiadu znajdzie się wkrótce na brzegu; White ma na statku czterech Marines do pomocy - Tak jest - odpowiedział krótko, po czym odwrócił się do obsługi Stingerów. - Sierżancie Reynard, pan dowodzi marines pozostającymi na statku. - Młody sierżant potwierdził otrzymanie rozkazu. Cromwell zasalutował White'owi i odszedł ze swymi ludźmi. Masters wciąż się wahał. - Hej, Paul...

- Ruszaj się, doktorze. Za chwilę masz być w szalupie.

- Dlaczego nie popłyniesz z nami? - spytał Masters.

- Nie mogę opuścić statku - odpowiedział White.

- Ale jeśli Irańczycy zaatakują...

- Zakładasz, że zaatakują, zakładasz, że nas trafią i zakładasz, że nas unieszkodliwią - powiedział White. - Ja niczego nie zakładam. Opuścimy statek tylko, jeśli będzie to absolutnie konieczne. Jeśli nie - zostaniemy.

- Ale przecież jesteś z Agencji, jesteś ze Zjawy - zaprotestował Masters. - Potrzebujemy cię, żeby pozbierać naszą ekipę. Niech załoga zajmie się statkiem. Nic im nie grozi w razie zatrzymania.

- Posłuchaj, doktorze, za dużo czasu spędziłem na tej balii, żeby ją opuszczać, zanim nie odwróci się do góry dnem - powiedział Paul White. - Formalnie to może nie mój statek, ale tak naprawdę to ja uczyniłem z niego to, czym jest teraz. Nie opuszczę „Valley Mistress”, chyba że zrobi się naprawdę niebezpiecznie. A teraz ruszaj, Jon. - White odwrócił się, a jeden z marines chwycił Mastersa za ramię, praktycznie wciągając go do ostatniej szalupy ratunkowej.

- Miło było z panem pracować, pułkowniku! - zawołał Masters, ale White mówił właśnie do mikrofonu i w ogóle go nie usłyszał. Po chwili szalupa odbiła od statku i ruszyła z maksymalną prędkością, próbując dogonić pozostałe łodzie. Marines przygotowali jednego Stingera do odpalenia, a „trumnę” - pojemnik z dwiema wyrzutniami, zapasowym uchwytem wyrzutni i trzema bateriami - otworzyli, żeby wszystko było pod ręką.

Kiedy oddalali się od statku, Mastersowi przypomniał się dzień, w którym po raz pierwszy wszedł na pokład „Valley Mistress”, mniej więcej trzy miesiące temu. Pomyślał wtedy, że to najbrzydszy statek, jaki kiedykolwiek widział. Miał rozszczepiony dziób - przez szczelinę wciągało się na pokład kargo. Dziesięcotonowy dźwig na dziobie i dwudziestotonowy na rufie, mnóstwo rur, szlauchów i różnych innych dziwnych rzeczy wystających z pokładu i nadbudówki - trudno było się poruszać bez obijania kostek i łokci. Teraz ten sam statek wyglądał cudownie. Masters żałował, że nie jest z powrotem na pokładzie, gdzie mógłby znów narzekać na brak okien, zły odbiór programów telewizyjnych, nieświeżą wodę, nudne menu i pełną staroci wideotekę.

Słaba zielona poświata elektronicznego celownika oświetliła prawe oko żołnierza obsługującego Stingera, kiedy uniósł wyrzutnię i skierował ją na północ. - Jeden myśliwiec nadlatuje z północy, odległość dwadzieścia kilometrów. Mam też inny cel. Porusza się powoli, zapewne następny śmigłowiec patrolowy. Krąży w odległości około dziesięciu kilometrów na północ od statku.

- Jeśli któryś z nich zbliży się do nas na odległość czterech kilometrów i nie zidentyfikuje się jako swój, zestrzelić go - rozkazał Cromwell. - Przygotować następną rakietę do odpalenia. Maxwell,

miej na oku szalupę numer...

Nagle z prawej burty „Valley Mistress” wystrzeliła jaskrawa, pomarańczowa kula, a zaraz za nią następna. Huk eksplozji dobiegł do nich kilka sekund później; Masters poczuł się, jakby go ktoś zdzielił pięścią. - Niech to szlag, dostali!

- Namiar celu zero-dziewięć-zero, dziesięć kilometrów - zawołał żołnierz ze Stingerem.

- Sternik, zwrot na prawo, kurs na północ - rozkazał Cromwell. - Chcę mieć go z prawej burty! - Sternik ustawił kurs na północ. Wszyscy skulili się, robiąc miejsce obsłudze Stingerów, która po zmianie kierunku musiała ponownie poszukać irańskiego myśliwca.

Statek był oświetlony pożarami na lewej burcie i miał już znaczny przechył. - Ewakuujcie się, do diabła, „Valley Mistress” tonie! - krzyczał Masters do tych, którzy byli jeszcze może na pokładzie zaatakowanego statku. Kiedy myśliwiec nadleciał bliżej, szalupa zoczyła na wschód. I właśnie wtedy zobaczyli Stingera odpalonego z pokładu śmigłowcowego „Valley Mistress”. Obsługa Stingerów w szalupie otrzymywała wszystkie dane - wydawało się, że rakietę odpaloną ze statku jest na idealnym kursie do celu. Nagle na niebie pojawiło się kilka jaskrawobiałych kul, po czym nastąpiła eksplozja. - Flary termiczne - powiedział Masters. - Myśliwiec nienaruszony.

- Zobaczymy! - zawołał żołnierz ze Stingerem. - Odległość trzy mile! Brak odpowiedzi na IFF! Dwie mile!... Straciłem namiar!

- Odśłoń głowicę! - krzyknął Cromwell. Znalezienie myśliwca w ciemnościach graniczyło z niemożliwością, ale Cromwell wiedział, że muszą spróbować. Samonaprowadzająca głowica Stingera była ich ostatnią szansą. - Znajdź tego gnojka!

Żołnierz nacisnął guzik odślaniający głowicę, obracając się w prawo, gdzie - jak przypuszczał - powinna się teraz znajdować iracka maszyna. Od razu usłyszał sygnał namierzenia celu. - Cel namierzony, daj zgodę na odpalenie!

Cromwell zastanawiał się przez chwilę. Jeśli Stinger chybi, zdradzą myśliwcowi swoją pozycję. Może ich potem zaatakować śmigłowiec... ale pozostałe szalupy zyskają na czasie i być może zdołają uciec. - Odpalaj! - krzyknął.

- Rakietę poszła! - zawołał strzelec, nacisnąwszy spust. Stinger wyskoczył z wyrzutni, chwilę potem włączył się jego raketowy silnik. Rakietę ruszyła ostro na północ, skończyło jej się paliwo... Kilka sekund później zobaczyli na nocnym niebie jaskrawą kulę i smugę ognia. - Mamy skurwysyna! - zawołał strzelec.

Patrzyli, jak smuga ognia kontynuuje lot na północ - myśliwiec płonął, ale najwidoczniej był jeszcze zdolny do lotu.

- Lepsze to niż nic - powiedział Cromwell, podczas gdy załoga przygotowywała następnego Stingera. Uporali się z tym w dwadzieścia sekund.

Sternik ponownie skierował szalupę na zachód, w kierunku brzegu, rufą do płonącego statku. Nie można było dojrzeć szczegółów, ale Mastersowi wydawało się, że statek ma teraz znacznie większy przechył, prawie leżał na boku. Nigdy przedtem nie widział tonącego statku; nawet z dużej odległości był to przerażający widok. Nad wodą niosły się odgłosy rozdieranego metalu, słychać było syk pary, ale po kilku minutach zaległa cisza. Statek poszedł na dno.

♦ **Biały Dom, Waszyngton, kilka godzin później**

- Proszę nam nie zarzucać zdrady ani podstępu, pani wiceprezydent - powiedział przez telefon doktor Ali Akbar Welajati, minister spraw zagranicznych Iranu. Mówił dobrze po angielsku, ze śladami brytyjskiego akcentu. - Najpierw Stany Zjednoczone pomagają Radzie Współpracy Zatoki w

niczym niesprowokowanym ataku na ziemię irańską, a potem naruszenie naszej suwerenności, prawo do życia w pokoju oraz prawo swobodnego dostępu do wód międzynarodowych i przestrzeni powietrznej, wysyłając samoloty szpiegowskie nad nasze okręty. Nie koniec na tym. Nasze okręty i samoloty zostały zaatakowane przez wasz okręt szpiegowski! To jest akt wojny i wy tę wojnę rozpętaliście!

- Doktorze Welajati, w pobliżu waszych jednostek nie było żadnych amerykańskich okrętów szpiegowskich ani samolotów - powiedziała stanowczo Ellen Christine Whiting. - Stany Zjednoczone nie będą tolerować ataków z morza czy z powietrza na nieuzbrojone statki cywilne na wodach międzynarodowych bądź na wodach naszych sojuszników...

Welajati przerwał jej, zanim pani wiceprezydent mogła dokończyć zdanie. - Dla pokoju i bezpieczeństwa w całym tym regionie jest niezwykle ważne, by wszyscy poniechali gróźb i oskarżeń, zobowiązali się pomagać w operacjach ratunkowych i współpracować przy przywracaniu pokoju - powiedział Welajati. - Republika Islamska odbudowuje swoje obiekty, zniszczone na wyspie Abu Musa. Muszę pani przypomnieć, że to wy i wasi syjonistyczni poplecznicy przynieśliście tam śmierć i zniszczenie!

- Mogę pana zapewnić, panie ministrze, że rząd Stanów Zjednoczonych nie był zamieszany w atak na wyspę Abu Musa - powiedziała Whiting. - Według moich informacji nie był w to również zamieszany Izrael. Po prostu Rada Współpracy Zatoki zareagowała na zagrożenie, jakie stanowiły rakiety przeciwokrętowe, przeciwlotnicze i rakiety dalekiego zasięgu, które rozmieściliście w waszych nielegalnych obiektach wojskowych. Mogę pana zapewnić, że Stany Zjednoczone nie będą tolerować...

- Powiedziałem już, że to nie Iran ponosi odpowiedzialność! - wybuchnął Welajati. - Proszę nie prowokować mojego rządu! To Ameryka chce wojny z Iranem! W odróżnieniu od Ameryki, my nie chcemy wojny! Chcemy pokoju! Ale będziemy bronić naszych domów! Wszystkie okręty mają natychmiast opuścić Zatokę Perską! Wszystkie obce okręty!

Whiting otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Co pan powiedział, panie ministrze?

- Republika Islamska żąda, żeby wszystkie obce okręty opuściły Zatokę Perską - powtórzył Welajati. - Obecność uzbrojonych obcych jednostek w Zatoce jest zagrożeniem dla pokoju i suwerenności Iranu i może zostać uznana za akt wrogości wobec Iranu.

- Ministrze Welajati, Zatoka Perska nie jest prywatnym jeziorem Islamskiej Republiki Iranu - oświadczyła Whiting. - Wszystkie jednostki, w tym także okręty wojenne, mają prawo swobodnej żeglugi po tych wodach.

- A więc ryzykujecie wojnę. Chcecie wojny z Iranem...

- Nie chcemy wojny z nikim, doktorze Welajati - powiedziała Whiting - za to wy stwarzacie zagrożenie dla żeglugi międzynarodowej i kwestionujecie prawo swobodnego dostępu na wody Zatoki Perskiej, rozmieszczając rakiety przeciwokrętowe na wyspie Abu Musa.

- A więc nie wolno nam strzec naszej własności? - spytał Welajati. - Nie wolno nam bronić naszych praw i naszych swobód?

- Oczywiście, że wolno - odparła Whiting - ale na wyspie Abu Musa Iran rozmieścił broń ofensywną, a nie defensywną.

- Chce pani powiedzieć, pani wiceprezydent, że obecność okrętu USS „Abraham Lincoln” oraz eskortujących go krążowników rakietowych w Zatoce Perskiej, z ich bombowcami, pociskami manewrującymi i głowicami nuklearnymi, ma charakter defensywny, a nie ofensywny? - spytał

Welajati. - Nie sądzę. Obstawiam przy tym, by wasze okręty miały prawo przechodzić w odległości zaledwie kilku kilometrów od terytorium Republiki Islamskiej i wysyłacie samoloty szpiegowskie nad nasze okręty. Stosujecie podejrzanie dwoiste kryteria. Chodzi o nasze wody i naszą ziemię. Mamy prawo bronić ich przed agresorami. Popierając nikczemny atak Rady Współpracy Zatoki na nasze wyspy, ujawniacie swoje wrogie zamiary. Pani wiceprezydent, Islamska Republika Iranu będzie uważać obecność obcych okrętów w Zatoce Perskiej za akt wojny przeciw Iranowi - kontynuował Welajati. - Wzywamy wszystkie kraje spoza zatoki do niezwłocznego wycofania okrętów.

- I pozostawienia tam tylko okrętów irańskich, panie ministrze? - wtrąciła Whiting.

- Iran podejmuje niniejszym zobowiązanie, że również wycofa swe okręty z Zatoki, pozostawiając jedynie siły dokładnie odpowiadające okrętom Rady Współpracy Zatoki - odparł Welajati. - Wycofamy lotniskowiec „Ajatollah Ruhollah Chomeini” i nasze okręty podwodne do bazy Czah Bahar i będziemy je wykorzystywać jedynie do patrolowania szlaków morskich prowadzących do cieśniny Ormuz i Zatoki Perskiej, dokładnie kontrolując, czy ktoś nie narusza tego porozumienia.

- Ciekawa koncepcja, panie Welajati - powiedziała Whiting. Siedzący naprzeciw niej prezydent wzruszył ramionami. Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego skrzywił się demonstracyjnie. - Musimy przedstawić pańską koncepcję prezydentowi i Kongresowi; chcielibyśmy zapoznać się z oficjalnym projektem takiego porozumienia. Do tego czasu, panie ministrze, prawa jakiegokolwiek kraju do swobodnej żeglugi po wodach międzynarodowych nie mogą być naruszane.

- Zatoka Perska ma żywotne znaczenie dla gospodarki Iranu, tak samo jak dla gospodarek państw Rady Współpracy Zatoki i dla przemysłu naszych klientów - kontynuował swój wykład Welajati. - Właśnie dlatego proponujemy całkowitą demilitaryzację Zatoki Perskiej. Obce okręty, obce samoloty bojowe, obce wojska powinny zostać wycofane. Iran zobowiązuje się dołożyć wszelkich starań, żeby w rejonie Zatoki panował pokój. Czy może pani obiecać poparcie dla tej koncepcji, pani wiceprezydent? Czy przekaże ją pani prezydentowi?

- Doktorze Welajati, oczywiście omówię wszystko z prezydentem - powiedziała Whiting - ale najpierw musimy porozmawiać o ataku na cywilną jednostkę floty rezerwowej Marynarki USA, o trzynastu ludziach, wciąż zaginionych od czasu tego ataku, o naszym prawie do prowadzenia operacji ratunkowych w tym rejonie, a także o zamiarach Iranu na wypadek, gdyby Stany Zjednoczone lub jakikolwiek inny kraj zdecydowały się wysłać nasze jednostki przez cieśninę Ormuz.

- Pani wiceprezydent, w odczuciu Iranu obecność jakichkolwiek okrętów w Zatoce Perskiej doprowadzi jedynie do eskalacji napięcia - powiedział Welajati. - Iran zdecydowanie sprzeciwia się zwłaszcza wysyłaniu do Zatoki Perskiej przez Stany Zjednoczone lub jakiegokolwiek inne państwo okrętów zdolnych do atakowania celów na lądzie. Pragniecie negocjacji? Zgoda, ale mój kraj uważa, że prowadzenie rozmów, podczas gdy samoloty Hornet i pociski Tomahawk zagrażają naszym miastom i bazom wojskowym, to nie negocjacje, lecz próba wymuszenia ustępstw pod groźbą użycia siły. Nie zgodzimy się na coś takiego. Jeśli naprawdę pragniecie pokoju, jeśli Ameryka rzeczywiście nie chce eskalacji konfliktu, zgodzicie się niezwłocznie wycofać wasze okręty z Zatoki. My uczynimy to samo. Iran nie będzie traktował przyjaźnie żadnego kraju, który postanowi wysłać do Zatoki Perskiej okręty zdolne atakować cele lądowe.

- Ministrze Welajati, pańskie warunki zdecydowanie wykraczają poza ramy dyplomacji - powiedziała zupełnie zaskoczona Whiting. - Nie możecie tak po prostu, jednostronnie zadecydować o zamknięciu Zatoki Perskiej dla tych jednostek, które wam nie odpowiadają, tak samo jak Stany

Zjednoczone nie mogą zamknąć Zatoki Meksykańskiej...

- Nie będziemy tolerować żadnej amerykańskiej ingerencji! - oświadczył Welajati z naciskiem. - Jeśli Ameryka spróbuje wysłać do Zatoki okręt zdolny do atakowania celów na lądzie, Iran uzna to za akt wrogości. Nie pragniemy wojny, ale jesteśmy gotowi bronić naszych praw i naszych swobód! Ameryka chce nowej Pustynnej Burzy, tym razem przeciw Iranowi! Nigdy więcej Pustynnej Burzy! Żadnych okrętów w Zatoce Perskiej! - W słuchawce zaległa cisza.

Whiting odłożyła słuchawkę na widełki i usiadła wygodniej na kanapie w Gabinetcie Owalnym, gdzie prowadziła tę rozmowę. - Jestem na takie rzeczy za młoda i zbyt niewinna, panie prezydencie - powiedziała. Jako była gubernator stanu Delaware, była zastępczyni ambasadora Stanów Zjednoczonych przy ONZ, Whiting nie musiała się obawiać żadnej debaty.

- Hej, Ellen, Welajati kształcił się w Oksfordzie, spodziewałem się po nim więcej szacunku dla kobiet - powiedział prezydent Kevin Martindale, chcąc ją trochę rozruszać. - Myślałem, że jest łagodny i miły. - Whiting wstała z kanapy i wróciła na swoje miejsce przy stoliku z kawą.

- No dobrze, panie i panowie, co tu się, do cholery, dzieje? - spytał prezydent. Wybrany niedawno, mający zaledwie czterdzieści dziewięć lat, rozwodnik z dwójką dorosłych dzieci, Kevin Martindale odznaczał się doskonałym zdrowiem i witalnością, chociaż stres związany z formowaniem nowego gabinetu odbijał się trochę na jego młodej, przystojnej twarzy. Ubrany był dziś w szare spodnie i konserwatywną białą koszulę pod grubym blezerem. Bujne, szpakowate włosy miał starannie uczesane, ale kiedy wpadał w gniew, na czoło spadał mu niesforny, siwy lok, na który z upodobaniem polowali fotoreporterzy. Czasem ów kosmyk wyglądał groźnie, jak sierp w ręku Kuby Rozpruwacza. Gdy nad prawym okiem pojawiał się drugi lok, wiedziano, że będą spadały głowy.

Oprócz prezydenta i Ellen Whiting, w Gabinetcie Owalnym był jeszcze sekretarz stanu Jeffrey Hartman, minister obrony Arthur Chastain, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Philip Freeman oraz Charles Ricardo, szef łączności Białego Domu. - Dla mnie to coś nowego - ciągnął prezydent. - Iran chce zamknąć Zatokę Perską dla wszystkich okrętów mogących atakować cele na lądzie. Wydaje się to tak absurdalne, że wręcz śmieszne, ale mam wrażenie, że nikomu nie będzie do śmiechu. Najpierw chcę usłyszeć o tym incydencie ze statkiem szpiegowskim. Philip, Arthur, Jeffrey, Charles - wasza kolej. Ellen, możesz się włączyć w każdej chwili. Słucham.

- Statek należący do Agencji Wspomagania Wywiadu, noszącej kryptonim Zjawa, został zaatakowany i zatopiony przez lotnictwo irańskie - rozpoczął Philip Freeman. W poprzedniej administracji był przewodniczącym Kolegium Szefów Sztabów. Cieszył się popularnością i szacunkiem; po przejściu na emeryturę mógłby kandydować na urząd prezydenta, ale zamiast tego przyjął stanowisko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego w nowej administracji Martindale'a. Ta decyzja okazała się słuszna; był powszechnie szanowany nie tylko w Białym Domu, ale także w Kongresie i w ogóle w całym kraju, na równi z Martindale'em.

- Ofiary?

- Jeszcze nie mamy ostatecznych informacji, sir - odpowiedział Freeman. - Załoga statku liczyła stu trzydziestu trzech ludzi. Stu dwudziestu dostało się do Arabii Saudyjskiej; ewakuowali się czterema szalupami ratunkowymi przed i w trakcie ataku. Pozostali zaginęli, być może schwytała ich marynarka iracka. Statek zatonął po ataku z powietrza.

- Wykonywał zadania szpiegowskie?

- Oczywiście - powiedział Freeman. - Działał na podstawie rozkazu 96-119, prowadząc potajemne rozpoznanie cieśniny Ormuz oraz irańskiej floty wojennej. Był bazą dla bezzałogowego



samolotu typu stealth, który Agencja Bezpieczeństwa Narodowego zaczęła wykorzystywać do fotografowania okrętów irańskich w Zatoce Omańskiej.

- Cholera - mruknął prezydent. - Wygląda na to, że straciliśmy coś cennego.

- Statek był też wykorzystywany jako baza morska dla zmienneopłatów i podwodnych pojazdów SDV - powiedział Freeman. - Rozpoczął służbę jakieś dziewięć lat temu, na krótko przed Pustynną Burzą. Oddział z tego statku wspomógł też Radę Współpracy Zatoki w niedawnym ataku na Abu Musa - komandosi z laserowymi znacznikami celu pomagali trafiać arabskim samolotom. Tak, będzie nam tego statku brakować.

- W ogóle nie powinniśmy byli go tam wysyłać - wtrącił sekretarz stanu Hartman. Był najstarszym członkiem administracji; jako były pracownik domu maklerskiego CEO z Wall Street i kongresman z Nowego Jorku przez dwanaście kadencji, wносił do Białego Domu z jego stosunkowo młodym personelem wiedzę o Kongresie i świecie finansów międzynarodowych. Miał też rozległe znajomości; należał do tych, którzy podejmując decyzje woleli polegać na swoich kontaktach niż na dyplomacji i biurokracji. - Rada Współpracy Zatoki nie musiała atakować tej wyspy, a my nie musieliśmy im w tym pomagać.

- Z materiałów wywiadowczych wynika, że Irańczycy szykowali się do ataku na grupę bojową lotniskowca „Abraham Lincoln”, kiedy ta weszła do Zatoki Perskiej - odparł Freeman. - Irańczycy ukradli te wyspy Zjednoczonym Emiratom Arabskim. Przystąpili do rozmieszczania tam rakiet przeciwokrętowych i przeciwlotniczych oraz rakiet balistycznych średniego zasięgu.

- Materiały wywiadowcze mówią o tym od dziesięciu lat - zauważył Hartman. - A Iran nie ukradł tych wysp - one kiedyś do niego należały. Są przedmiotem sporu terytorialnego, ot co. Toczyły się w tej sprawie negocjacje ze Zjednoczonymi Emirata Arabskimi.

- Iran przerwał negocjacje - powiedział Freeman. - Wygląda na to, że Irańczycy chcą zablokować cieśninę Ormuz, wykorzystując swoją grupę bojową lotniskowca.

- Co takiego? - wiceprezydent Whining była kompletnie zaskoczona.

- Dobrze pani usłyszała - powiedział Freeman. - „Chomeini”, lotniskowiec irański, właśnie wyszedł w morze. Grupa bojowa liczy czternaście okrętów, w tym dwa z trzech okrętów podwodnych klasy Kilo, którymi dysponuje Iran.

- Iran ma lotniskowiec? Od kiedy? - zawołała Whining.

- Przynajmniej od 1995 roku - odpowiedział Freeman i przedstawił historię byłego rosyjskiego „Warjaga”.

- Niewiarygodne! - powiedziała Whining. - A teraz chcą go ustawić na środku cieśniny Ormuz i zablokować dostęp do Zatoki Perskiej?

- Generale, niech nam pan poda trochę szczegółów dotyczących tej grupy bojowej - powiedział prezydent.

- Oczywiście. - Freeman przejrzał pokrótce notatki. - Grupa bojowa lotniskowca „Chomeini” jest największą i najpotężniejszą morską grupą bojową w Azji Południowo-Zachodniej z wyjątkiem naszych własnych sił. Większość okrętów irańskiej grupy bojowej to były brytyjskie i amerykańskie fregaty, i niszczyciele, ale przez ostatnie trzy lata kupiono nowe jednostki na wielkich wyprzedażach sprzętu wojskowego w Rosji oraz w ramach kontraktów zbrojeniowych z Chinami. Okrętem flagowym tej grupy jest lotniskowiec „Ajatollah Ruhollah Chomeini”. Chociaż Irańczycy nazywają go „defensywnym krążownikiem w służbie lotnictwa”, faktycznie jest to czystej krwi lotniskowiec, zaprojektowany dla nowoczesnych samolotów, a nie tylko zmienneopłatów i śmigłowców. Jest bazą

dla zgrupowania dwudziestu czterech samolotów i piętnastu śmigłowców, w tym dwóch dywizjonów myśliwców bombardujących Suchoj-33 nazywanych w kodzie NATO Flanker-D, prawdopodobnie ma na pokładzie miejsce dla dalszych sześćdziesięciu samolotów, takich jak przystosowane do startów z lotniskowca bombowce Suchoj-25 i myśliwce MiG-29. Lotniskowiec i samoloty są w doskonałym stanie i świetnie uzbrojone - w ciągu minionych pięciu lat Irańczycy wydali cztery miliardy dolarów na wyposażenie tego okrętu.

- „Chomeini” ma mnóstwo broni przeciwokrętowej i przeciwlotniczej - ciągnął Freeman. - „Warjag” był pierwotnie zaprojektowany do przenoszenia pocisków manewrujących woda-ziemia z głowicami nuklearnymi; nie przypuszczamy, by na „Chomeinim” znajdowała się broń jądrowa, ale z pewnością są pociski manewrujące, prawdopodobnie rosyjskie SS-N-12 Sandbox do zwalczania okrętów i celów na lądzie. Myśliwiec bombardujący Suchoj-33 jest uzbrojony w rakiety krótkiego zasięgu Ch-41 Moskit i dalekiego zasięgu AS-18 Kazoo do atakowania celów na morzu i na lądzie, a także rakiety powietrze-powietrze. „Warjag” był pierwotnie zaprojektowany przede wszystkim do zwalczania okrętów podwodnych, więc „Chomeini” wciąż dysponuje niezłym potencjałem w tej dziedzinie.

- Sprzedaż nowoczesnych pocisków raketowych Iranowi jest naruszeniem porozumienia w sprawie kontroli technologii raketowej - zauważył Hartman. - Rosja i Chiny są sygnatariuszami tego porozumienia.

- Tyle że Iran oficjalnie nie otrzymał ich od Rosji - kupili te rakiety od Ukrainy, Serbii a także od Korei Północnej. Żadne z tych państw nie jest sygnatariuszem porozumienia; żadne z tych państw, z wyjątkiem Korei Północnej, nawet nie istniało w 1989 roku, a Korea Północna cały czas gra na nosie reszcie świata - odparł Freeman. - Krótko mówiąc, Iran może wejść w posiadanie wszelkiego sprzętu wojskowego na którym mu zależy, a my niewiele możemy na to poradzić. Gdybyśmy nakładali sankcje na każdy kraj, który sprzedawał Iranowi nowoczesny sprzęt wojskowy, zrazilibyśmy sobie trzy czwarte naszych partnerów handlowych.

- W skład irańskiej grupy bojowej wchodzi też chińska jednostka „Zhanjiang”, bardzo sprawny krążownik uzbrojony w raketowe pociski i kierowane - kontynuował Freeman. - Służy rzekomo do zakwaterowania chińskich oficerów, odbywających ćwiczenia na „Chomeinim”, ale właśnie ten krążownik brał udział w zestrzeleniu naszego samolotu szpiegowskiego, więc nie ulega kwestii, że wykonuje rozkazy dowództwa irańskiego. Sami Irańczycy kupili jeden konwencjonalny krążownik rosyjski; nazwali go „Sadaf”. Te dwie jednostki - „Zhanjiang” i „Sadaf” - mogą przenosić znaczne ilości broni do zwalczania celów nawodnych, powietrznych i podwodnych, ale ich pierwszoplanowym zadaniem jest obrona lotniskowca. W skład grupy wchodzi też dwie były fregaty amerykańskie klasy Knox, które zajmują się zwalczaniem okrętów podwodnych. Są pozostałością naszych transakcji zbrojeniowych z szachem; wyposażono je w rakiety i elektronikę produkcji rosyjskiej i chińskiej. Mają ponadto cztery były fregaty brytyjskie i otrzymane od Chińczyków cztery szybkie kutry patrolowe klasy Houku uzbrojone w chińskie pociski manewrujące do zwalczania okrętów nawodnych. W skład grupy wchodzi też różne jednostki wspomagające.

- Dzięki naszym „przyjaciołom” w Pakistanie i Bangladeszu, Irańczycy mają mnóstwo sprzętu amerykańskiego, nawet amerykańskie okręty - powiedział prezydent z przekąsem.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby Irańczycy zaczęli wkrótce latać na myśliwcach F-16 - wtrącił sekretarz obrony Chastain.

- To nie żart, sir - podchwycił Freeman. - Przypuszczamy, że Pakistan, Bangladesz, Indonezja,

Malezja oraz Chiny zaopatrują Iran w nowoczesny zachodni sprzęt wojskowy. Decydującą rolę odgrywają względy materialne - niewiele krajów może sobie pozwolić na zrezygnowanie z pieniędzy, jakie Iran płaci za broń i nowoczesne technologie.

- Czy okręty irańskie stanowią zagrożenie dla grupy bojowej „Lincolna”? - spytał prezydent.

- Same nie mogłyby stawić czoła naszej grupie bojowej, sir - odpowiedział Chastain. Jako senator przez cztery kadencje i uznany ekspert do spraw wojskowości, dobrze nadawał się na swe stanowisko w Pentagonie; w odróżnieniu od wielu „spadochroniarzy” politycznych znał siły zbrojne USA oraz Kongres, a na przestrzeni lat zapoznał się z teorią wojny nowoczesnej i zasadami myślenia strategicznego. - Ale najprawdopodobniej operowałyby w zasięgu sił powietrznych stacjonujących na lądzie i mogłyby wezwać setkę maszyn, gdyby chciały zaatakować naszą grupę. Jestem pewien, że w ciągu kilku dni moglibyśmy zniszczyć większość irańskich sił powietrznych i morskich. W porównaniu z naszymi okrętami, „Chomeini” jest po prostu mały; można by go umieścić na pokładzie „Lincolna” i zostałyby jeszcze dużo miejsca. - Przez twarz Chastaina przebiegł uśmiech, ale za chwilę minister znów zrobił się poważny. - A co z trzecim irańskim okrętem podwodnym klasy Kilo, generale? Wciąż w suchym doku, jak wynikało z ostatnich doniesień?

- Nie zlokalizowaliśmy tej jednostki. Myśleliśmy, że jest w suchym doku w nowej bazie okrętów podwodnych w Czah Bahar, ale zniknęła stamtąd - przyznał Freeman, po czym zwrócił się do prezydenta. - Okręty klasy Kilo mają napęd dieslowski i nie posiadają pochłaniającego fale dźwiękowe pokrycia kadłuba, ale i tak są znacznie cichsze niż okręty podwodne z napędem atomowym, bo płynąc w zanurzeniu korzystają z napędu elektrycznego. Nie mogą zbyt długo pozostawać pod wodą, ale gdy są zanurzone, bardzo trudno je odnaleźć i śledzić, zwłaszcza w płytkich akwenach Zatoki Perskiej i cieśniny Ormuz.

- Dwa okręty podwodne i lotniskowiec mogą narobić ogromnych zniszczeń, bez względu na to, jaką siłę ognia przeciw nim wystawimy - dodała wiceprezydent. W Gabinetecie Owalnym znów zaległa cisza; nawet Chastain, zdeklarowany entuzjasta Marynarki, nie mógł polemizować.

- Nie sądzę, żeby doszło do wojny powietrznej między nami a Iranem - powiedział w końcu Hartman - ale sprawa jest niepokojąca. Żaden amerykański lotniskowiec nie został zatopiony w walce od czasu bitwy o Midway; gdyby Irańczykom udało się tego dokonać, ich morale niesamowicie by się podniosło, nawet jeśli ostatecznie i tak przegraliby wojnę.

- Dołożymy starań, żeby tak się nie stało - powiedział prezydent zdecydowanym tonem. - Nie podoba mi się, że Irańczycy nam grożą albo zabraniają nam żeglugi po wodach międzynarodowych, ale grupa bojowa „Lincolna” mogłaby się stać celem ataku. Nie chcę jej narażać, dopóki nie będziemy gotowi bronić jej wszelkimi środkami. Arthur, trzymaj na razie „Lincolna” na Morzu Arabskim, dopóki nie będziemy mieli pełniejszego obrazu sytuacji. - Sekretarzowi obrony wyraźnie się to nie podobało, ale pokiwał głową. Prezydent zwrócił się do swego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Phil, jakieś informacje na temat działań irańskich w wypadku wojny?

- Nowa doktryna wojenna Iranu jest prosta: ścisła kontrola obszaru powietrznego i wód terytorialnych oraz obszarów przyległych ma im zapewnić bezpieczeństwo i podkreślić ich przewodnią rolę w świecie muzułmańskim - powiedział Freeman. - Dobrze uzbrojone siły bezpieczeństwa wewnętrznego, takie jak Pasdaran, tłumią powstania i rebelie oraz kontrolują granice. Dzięki temu regularne siły zbrojne mogą swobodnie przemieszczać się po całej Azji Południowo-Zachodniej. Priorytetowe znaczenie mają dla sił irańskich trzy obszary: Zatoka Perska, cieśnina Ormuz i Zatoka Omańska. Najważniejsza jest cieśnina Ormuz, jako wąskie gardło na szlaku

morskim z i do Zatoki Perskiej.

- Irańska doktryna głosi, że jeśli Iran zostanie sprowokowany, zablokuje cieśninę Ormuz, przeprowadzając zmasowane ataki rozmieszczonymi na wybrzeżu pociskami raketowymi do zwalczania okrętów nawodnych. Wsparcie z powietrza zapewni wielka liczba samolotów ponaddzwiękowych uzbrojonych w rakiety. Ponadto atakować będą małe, szybkie kutry uzbrojone w rakiety przeciwokrętowe lub działa - kontynuował Freeman. - Wyrzutni raketowych będą strzec morskie, lądowe i powietrzne siły obrony przeciwlotniczej, poważnie rozbudowane w ostatnich latach. Bez zmasowanych kontrataków, cieśnina Ormuz byłaby całkowicie zablokowana. W razie powodzenia, Iran odciąłby prawie połowę całego eksportu ropy naftowej z tego regionu.

- Połowę eksportu ropy znad Zatoki Perskiej?

- Tak - potwierdził Freeman. - Ale na tym nie koniec. Przeprowadzając kilka zmasowanych ataków z powietrza, Iran mógłby uszkodzić rurociągi, którymi transportuje się ropę z Arabii Saudyjskiej, Kuwejt, Bahrajnu, Omanu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich - łącznie to kolejne dwadzieścia pięć procent całej ropy z tego regionu. Korzystając z kupionych od Rosjan ponaddzwiękowych bombowców Backfire Irańczycy mogliby też podjąć próbę przzerwania transarabskich rurociągów biegnących na zachód od Morza Czerwonego - następne dziesięć-piętnaście procent. Reszta ropy pochodzi z samego Iranu i prawdopodobnie sami odcięlibyśmy jej dostawy. Tak więc, w razie powodzenia Iran mógłby zredukować światowy eksport ropy o trzydzieści procent, i to własnymi siłami, podczas bardzo krótkiej operacji bojowej.

- Cała ropa z Bliskiego Wschodu - mruknął Hartman. - Jedna trzecia światowych dostaw ropy... Prawie połowa potrzeb Ameryki. Panie prezydencie, to byłaby katastrofa.

- A my nie bylibyśmy w stanie jej zapobiec - wtrącił Chastain. - Mogę powiedzieć, że w obecnym stanie rzeczy znacznie dłużej niż sześć miesięcy potrwałoby sformowanie sił porównywalnych z tymi, jakie zmobilizowaliśmy do Pustynnej Burzy, a dla wojsk amerykańskich wiązałoby się to ze znacznie większym niebezpieczeństwem. Nawet gdyby Irańczycy popełnili ten sam błąd co Irakijczycy i pozwolili nam skoncentrować siły w Arabii Saudyjskiej, sformowanie sił liczących siedemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi zajęłoby prawie rok.

- Rok? - wykrzyknęła wiceprezydent Whiting. - Przesadzasz!

- Przykro mi, Ellen, ale jestem przekonany, że to dokładna prognoza. Z końcem zimnej wojny przestawiliśmy się z wysuniętych sił kontrofensywnych na ekspedycyjne siły obronne, tyle że pieniądze wydawało się nie na takie nudne, proste rzeczy jak samoloty transportowe, statki kontenerowe i wagony kolejowe.

W dodatku mamy mniej żołnierzy w służbie czynnej, a siły z baz za granicą ściągnęliśmy z powrotem do USA. Mamy mniej żołnierzy, którzy stacjonują dalej od Bliskiego Wschodu i mamy mniej środków transportu, żeby dostarczyć ich tam, gdzie trzeba. Krótko mówiąc, panie prezydencie, zakładamy rok i liczymy na cud.

W gabinecie zaległa głucha cisza. Wszyscy pamiętali koncentrację sił przed wojną w Zatoce w 1991 roku; chociaż pierwsze amerykańskie siły obronne przybyły do Arabii Saudyjskiej w niespełna dwadzieścia cztery godziny po irackiej napaści na Kuwejt, wydawało się, że sformowanie czegoś, co można by nazwać siłami ofensywnymi, będzie się przeciągać w nieskończoność. Nawet kiedy Pustynna Tarcza przekształciła się w Pustynną Burzę, nikt nie był pewien, czy wystarczy ludzi i sprzętu, żeby wykonać zadanie. Mieli szczęście - i wszyscy o tym wiedzieli, chociaż mało kto ośmieliłby się powiedzieć to głośno - że Saddam Husajn nie zdecydował się pójść za ciosem i

zaatakować Arabii Saudyjskiej, Izraela i Turcji w okresie długiej mobilizacji sił Sprzymierzonych.

- Arthur, co tam teraz mamy? - zapytał Martindale.

- W tej chwili tylko symboliczne siły w rejonie Zatoki Perskiej - odpowiedział Chastain. Szybko przewertował notatki, a kiedy zaczął z nich czytać, widać było, jak opadają mu ramiona. - Jedna grupa lotniskowcowa w odległości umożliwiającej zaatakowanie Iranu; jedno skrzydło F-16 i jedno F-15w Arabii Saudyjskiej, w sumie zaledwie 40 samolotów i tysiąc ludzi; trzy kompanie obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej z systemem Patriot - w Kuwejcie, Arabii Saudyjskiej i Turcji - plus jedna kompania ćwiczebna w Bahrajnie i jedna w Izraelu; jedno skrzydło bombowe na Diego Garcia. W sumie około piętnastu tysięcy ludzi - tak jak mówiłem, symboliczne siły. Cała reszta stacjonuje w Stanach. W porównaniu z rokiem 1990 nasze siły w Azji i Europie zmniejszyły się o trzy czwarte - kontynuował Chastain. - Siły powietrzne można szybko zorganizować w Arabii Saudyjskiej, Izraelu lub Turcji, o ile Irańczycy nie zniszczą dużych saudyjskich baz lotniczych, albo jeśli Turcja nie zabroni stacjonowania sił bojowych na swoim terytorium, jak tego próbowali w 1991 roku - ale przez kilka miesięcy nie możemy liczyć na siły lądowe, ponieważ po prostu nie mamy ich na wysuniętych rubieżach w Europie czy w Azji. Większość naszych jednostek piechoty i jednostek pancernych musiałaby wyruszyć z Ameryki Północnej: dotarcie na Bliski Wschód zajęłoby im cztery do sześciu miesięcy. Osiągnięcie pełnej przepustowości morskich i powietrznych mostów zaopatrzeniowych też musi potrwać, prawdopodobnie pełne sześć miesięcy. No i nie ma oczywiście dobrego połączenia drogowego z Iranem - nie możemy udać się najpierw do któregoś z zaprzyjaźnionych krajów i stamtąd ruszyć przez pustynię do Iranu, jak to zrobiliśmy w wypadku Iraku...

- Jeśli można, panie prezydencie - wtrącił Jeffrey Hartman. - Może to zabrzmie cynicznie, ale wydaje się, że jesteśmy kwita - my ostrzelaliśmy ich wyspę, oni zatopili nasz statek szpiegowski. Nie uważam, że jesteśmy tam na krawędzi wojny. Iran pobrzękuje szabelką, to prawda, ale przecież cały świat dobrze wie, że grupa lotniskowca „Chomeini” to papierowy tygrys. Panie prezydencie, generale Freeman, wiem, że nawet utrata jednego człowieka jest bolesna, ale nie wierzę, że to początek wojny i sądzę, że nie powinniśmy tak do tego podchodzić. To my rozpoczęliśmy tę awanturę, wspierając operację Tarczy Półwyspu. Utrata tych ludzi z Agencji Wspomagania Wywiadu jest tragiczna, ale cóż, zaryzykowaliśmy i przegraliśmy. Powinniśmy się wycofać i poczekać, aż wszystko się uspokoi. Mówię ci, Philip, wsadziliśmy kij w ogromne mrowisko.

- A może ktoś powinien był zająć się tym mrowiskiem zanim stało się tak wielkie, że zagraża wszystkim dookoła? - odparował Freeman. - Naszym błędem było jedynie dopuszczenie do tego, żeby Rada Współpracy Zatoki biła się za naszą sprawę.

- Chcesz powiedzieć, że to my powinniśmy byli wysłać samoloty na Abu Musa? - spytał Hartman. - My powinniśmy byli zbombardować irańską wyspę? Generale, okrzyknięto by nas agresorami.

- Zamiast tego straciliśmy cenny statek zbierający informacje wywiadowcze - zauważył Freeman - a Iran lada chwila zaparkuje swój lotniskowiec w cieśninie Ormuz i przystąpi do odbudowy wyrzutni raketowych na Abu Musa. Jeffrey, czy jeszcze kiedyś ośmielimy się wysłać lotniskowiec do Zatoki Perskiej? Na jakie ustępstwa musielibyśmy pójść w zamian za gwarancje, że Iran nie zaatakuje grupy bojowej lotniskowca?

- Oni nie zamierzają atakować naszych lotniskowców - powiedział Hartman, kręcąc głową. - Generale, to w ogóle sztuczny problem. Wycofajmy się, pozwólmy im pokrzyczeć i wszystko wróci do normy. W ciągu ostatnich kilku lat dziesiątki razy nasze grupy lotniskowcowe przepływały w

poobliżu irańskich baz wojskowych w rejonie Zatoki Perskiej i cieśniny Ormuz, i Irańczycy nie zwracali na to uwagi.

Freeman nie ciągnął tej dyskusji, co zdziwiło prezydenta Martindale'a który przez chwilę uważnie przyglądał się swemu doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. W poprzedniej administracji Freeman był osamotnionym przewodniczącym Kolegium Szefów Sztabów - bezskutecznie apelował o zdecydowaną, twardą politykę militarną, a Biały Dom wydawał się bardzo niechętny użyciu siły. Przedtem Freeman był jednym z inicjatorów przeprowadzonego przez Pentagon wnikliwego przeglądu doktryny wojskowej USA; przeglądu, którego wyniki miały zadecydować o przyszłości sił zbrojnych na najbliższe dwadzieścia pięć lat.

Freeman był prawdziwym wizjonerem - Martindale doceniał to także w czasach, kiedy był jeszcze przywódcą opozycji w Kongresie. Freeman wiedział, że dla Ameryki skończyły się czasy wielkich wojen międzykontynentalnych. Broń nuklearna ani wielkie kolumny pojazdów pancernych przemieszczające się po Europie - czy po arabskich pustyniach - nie gwarantowały już wygrywania wojen. W rzeczywistości - twierdził Freeman - broń nuklearna i wielkie, ociążałe, kosztowne systemy uzbrojenia wysysały życie z sił zbrojnych USA. Kapitałnego znaczenia nabrała manewrowość. W razie jakiegokolwiek zagrożenia w dowolnym regionie, Ameryka musiała reagować szybko, używając dokładnie obliczonej - zabójczej, ale nie koniecznie ogromnej - siły ognia. Uderzać z doskoku. Nie trzeba równać z ziemią całego pola walki, żeby uniemożliwić wrogowi prowadzenie wojny. Każda niewielka rana, każdy wyłom osłabiały go. Philip Freeman wykazał, dlaczego Ameryka nie potrzebuje trzydziestu baz w Niemczech, dziesięciu baz w Anglii, czy ośmiu baz w Japonii albo piętnastu lotniskowcowych grup bojowych. Globalny zasięg i globalna potęga mogły umożliwić Ameryce, pod warunkiem odpowiedniego finansowania i poparcia Kongresu, prowadzenie działań równocześnie w dwóch dużych konfliktach regionalnych - wojnach na skalę Pustynnej Burzy - i wygraną, nawet mniejszymi siłami.

Freeman widział jednak, jak marnuje się jego ciężka praca i poświęcenie - najlepsza machina wojenna na świecie rozpadała się na jego oczach z powodu braku pieniędzy i - co ważniejsze - braku silnego przywództwa. Biały Dom i Kongres nie tylko zaakceptowały cięcia wynikające z rewizji doktryny wojskowej, ale faktycznie je podwoiły, kalkulując, że skoro Ameryka może zwyciężyć w dwóch Pustynnych Burzach, mając siły zredukowane o 20 procent, to może też zwyciężyć w jednej Pustynnej Burzy, trzymając jednocześnie drugiego wroga na dystans, z siłami zredukowanymi o 40 procent. Wydawało się, że Kongres zupełnie wymknął się spod kontroli: dodatkowe środki otrzymywały bazy, które Kolegium Szefów Sztabów uznało za zbędne, ale które były położone na terenach interesujących kongresmanów, natomiast zamykano żywotnie ważne bazy logistyczne i inżynieryjne w dużych miastach, zatrudniające wielu cywilów.

Katastrofy w dziedzinie polityki zagranicznej frustrowały Freemana w równym stopniu jak sprawy wewnętrzne. Bardzo przeżył śmierć i publiczne zbezczeszczenie zwłok osiemnastu żołnierzy amerykańskich w Somalii, zwłaszcza że somalijski watażka odpowiedzialny za to poniżenie nie tylko pozostał przy życiu, ale nawet korzystał z uprzejmości przedstawicieli ONZ podróżując po kraju. Ogarniały go gniew i frustracja, kiedy w Bośni ginęli żołnierze sił pokojowych. Jako profesjonalista nie mógł pojąć, dlaczego Kongres nie zapewnia dostatecznych środków siłom zbrojnym, tak bardzo zredukowanym w rezultacie rewizji doktryny wojskowej. Widział, jak żądny wojny Iran, Korea Północna i Chiny rosą w siłę militarną, podczas gdy potęga Stanów Zjednoczonych systematycznie malała. Czasy wielkich wojen minęły, modnym pojęciem stały się operacje pokojowe - Freemanowi,

byłemu żołnierzowi, kojarzyło się to z wysyłaniem na ring boksera, któremu ręce skuto kajdankami.

Dla Kevina Martindale'a, który kandydował wtedy na urząd prezydenta, nie ulegało kwestii, że Philip Freeman musi przeżywać ogromne rozterki. Podczas oficjalnych konferencji prasowych nawet przypadkowi obserwatorzy zauważali, że

Freeman był porażony biernością władz; po przejściu na emeryturę stał się nieomal pustelnikiem. Kiedy opuszczał swoje rancho w Billings w stanie Montana, żeby wystąpić na spotkaniu absolwentów, czy na konferencji prasowej - a od czasu odejścia z Pentagonu spotykał się z prasą bardzo rzadko - wielu ludzi, w tym również Martindale, bardzo interesowało się tym, co będzie miał do powiedzenia.

Tak było i teraz. Nieoczekiwane zamilknięcie oznaczało, że Freeman ma jakiś plan i Martindale wprost nie mógł się doczekać, żeby się o nim dowiedzieć, ale przedtem pozostało jeszcze wiele do zrobienia. - Cóż, moi drodzy, nie widzę tu jednomyślności, więc może odłożymy tę kwestię na chwilę. Niech wszyscy postarają się zebrać jak najwięcej informacji. Musimy dokładnie wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Macie jeszcze coś do mnie? - Zebrani rzucili kilka pomysłów, podnieśli jakieś problemy, ale wkrótce spotkanie dobiegło końca. - Phil, zostań, proszę, chciałbym z tobą zamienić parę słów - powiedział prezydent. Kiedy wyszli już wszyscy z wyjątkiem wiceprezydent Ellen Whiting, Martindale gestem zaprosił oboje do stolika z kawą. - Słucham, Phil. Co ci chodzi po głowie?

- Irańczycy są w stanie to zrobić - powiedział Freeman.

- Co zrobić?

- Zamknąć Zatokę Perską. Mają znaczne siły powietrzne w bazach na lądzie, całkiem niezłą sieć stanowisk obrony przeciwlotniczej na wypadek ataku pociskami manewrującymi i milionową armię, zaprawioną w bojach i gotową do walki. Dochodzi do tego rozbudowana marynarka wojenna, łącznie z grupą bojową „Chomeiniego”, która jest w stanie całkiem serio dobrać się do naszej grupy „Lincolna”. Trudno powiedzieć coś bliższego o irańskim arsenale broni chemicznej i biologicznej, ale wiadomo, że intensywnie nad nią pracują; zapewne są też znacznie bardziej niż Irak zaawansowani w pracach nad bronią nuklearną. I jeszcze jedno: Iran jest w lepszej sytuacji niż Irak, jeśli chodzi o sojuszników, zarówno w sąsiedztwie, jak i na całym świecie. Zaliczają się do nich Chiny, Korea Północna, może także Rosja, i niewykluczone, że również wiele państw muzułmańskich, takich jak Syria, Libia, Pakistan, nawet Turcja. Wszystkie te kraje mogłyby narobić nam mnóstwo kłopotów, może nawet otworzyć coś w rodzaju drugiego frontu.

- A więc bardzo łatwo może dojść do konfliktu w rodzaju Pustynnej Burzy?

- Tak, ale tym razem będzie nam o wiele trudniej zareagować - powiedział Freeman. - I to nie tylko z powodów, które już wymieniłem. Proszę sobie wyobrazić brak dostępu na wody Zatoki Perskiej - całe zaopatrzenie wojskowe trzeba by było wysyłać drogą powietrzną, albo samochodami lub koleją od Morza Czerwonego. Saudyjskie bazy wojskowe i zagłębia naftowe będą atakowane przez irańskie bombowce. Bezpośrednie zaatakowanie Iranu od strony lądu nie wchodzi w grę - tylko ataki z powietrza i desanty morskie, tak jak podczas lądowania Aliantów w Normandii - a Iran jest trzy razy większy od Iraku, bardziej górzysty, więc wojna byłaby z pewnością dłuższa i znacznie trudniejsza.

- Czyli, że mówimy o wojnie z powietrza - powiedział prezydent.

- Zmasowane naloty bombowców od samego początku - zgodził się Freeman - dopóki nie zdobędziemy panowania w powietrzu i nie doprowadzimy lotniskowców dostatecznie blisko, żeby

bezpiecznie rozpocząć wybiórcze ataki z powietrza, dopóki nie zabezpieczymy sobie wysuniętych baz w Arabii Saudyjskiej i Turcji. Jeśli Arabia Saudyjska lub Turcja nam odmówią, najbliższą bazą bombowców może być Diego Garcia - wyspa odległa o setki mil. A Irańczycy dysponują bombowcami dalekiego zasięgu, mogącymi zagrozić także Diego Garcia.

- Chryste - mruknął prezydent, kręcąc głową. Uniósł ręce, jakby prosił Boga o radę. - Dlaczego? Dlaczego Iran chce coś takiego zrobić?

- Modłę się, żeby jednak zrezygnowali, sir - odpowiedział Freeman. - Przypuszczam, że pierwsze skrzypce gra tam teraz generał Buzhazi, dowódca wszystkich irańskich sił zbrojnych i Straży Rewolucyjnej. Atak Rady Współpracy Zatoki na wyspę Abu Musa postawił go w kłopotliwej sytuacji. Buzhazi jest też prawdopodobnie sfrustrowany umiarkowaną i niechętną wojsku postawą prezydenta Natka-Nuri, więc zwrócił się w stronę reakcyjnych kleryków. Jednak mułowie nie mają już tej władzy, co w latach osiemdziesiątych. Jeśli Natak-Nuri zdoła zachować kontrolę nad rządem, wszystko może się jeszcze uspokoić, tak jak mówił Jeffrey. Ale jeśli władzę przejmie Buzhazi - dokonując zamachu stanu, wprowadzając stan wojenny - nadejdą dla nas ciężkie czasy.

- Strasznie dużo tych jeśli", generale - wtrąciła Whiting. - Każde pochopne działanie z naszej strony, mające na celu neutralizację irańskich zagrożeń, może doprowadzić do spełnienia się tych jeśli" - coś w rodzaju przepowiedni, które się same spełniają. Musimy bardzo ostrożnie podchodzić do wszelkiego prognozowania.

Prezydent pokiwał głową ze zrozumieniem i zamyślił się, rozważając słowa Freemana i Whiting. - A więc jakie są wasze zalecenia?

- W kwestiach ściśle wojskowych powinien się wypowiedzieć Arthur, na podstawie opinii Kolegium Szefów Sztabów - powiedział Freeman - ale dostrzegam dwie sprawy, które musimy załatwić niezwłocznie: podnieść stopień gotowości bombowców oraz nasilić rozpoznanie w rejonie Zatoki i może wysłać tam jakieś siły uderzeniowe. Uważam, że należy postawić na nogi Dowództwo Strategiczne i oddać mu do dyspozycji coś, co będą mogli utrzymywać w stanie gotowości na wypadek, gdybyśmy musieli reagować natychmiast.

- Generale, obawiam się, że właśnie coś takiego może doprowadzić do eskalacji konfliktu! - zawołała Whiting.

- Chwileczkę, Ellen - powiedział prezydent. - Zgadzam się na zalecenia Phila, pod warunkiem, że będzie się je realizować bez rozgłosu i ostrożnie.

- Dowództwo Strategiczne odpowiadało za planowanie i działania zbrojne w razie konfliktu nuklearnego. W normalnych warunkach nie dysponowało żadną bronią, tylko komputerami i ekspertami. Konieczny był rozkaz prezydencki, żeby powierzyć im bombowce, okręty podwodne i rakiety, pozostające normalnie na stanie innych formacji. Z wyjątkiem ćwiczeń, Dowództwo Strategiczne w swej sześćioletniej historii nigdy nie przejmowało kontroli nad żadnymi systemami uzbrojenia. - Przedyskutuj to z Departamentem Obrony. Nie za dużo i bez rozgłosu - kilka bombowców, kilka okrętów podwodnych, może kilka rakiet Peacekeeper. Działajcie powoli i ostrożnie, niech to nie wygląda na mobilizację, najlepiej by było wpisać to jakoś w zaplanowane ćwiczenia.

- Zgoda - powiedział Freeman.

- A drugie z twoich zaleceń? Przypuszczam, że masz coś konkretnego na myśli. Mów.

- Wiąże się to z pewnymi operacjami z czasów pańskiej poprzedniej administracji, sir - powiedział ostrożnie Freeman.



Prezydent poruszył się niespokojnie na krześle, ale kiwnął głową, zachęcając go, by kontynuował.

- Zawsze gdzieś się coś działo - w Rosji, na Filipinach i na Morzu Południowochińskim, na Białorusi i na Litwie, w Ameryce Środkowej, nawet w Stanach Zjednoczonych. Tu zneutralizowano jakichś terrorystów, tam w dziwnych okolicznościach zniszczona została silnie strzeżona baza wojskowa albo twierdza wroga. Wiem, że nie zrobiły tego nasze regularne wojska; nasi sojusznicy też zapewniali, że to nie ich robota. Podejrzewam, kto mógł za tym stać, ale kiedy kilka tygodni temu zwróciłem się w tej sprawie do paru facetów, nie chcieli ze mną rozmawiać. Ma pan bardzo lojalnych przyjaciół, sir.

- Dotarło do mnie, że zadawałeś pytania - powiedział Martindale. Wstał i zaczął się przechadzać po Gabinetce Ovalnym. Zatrzymał się i wpatrzył w jedną z zaokrąglonych ścian, z rękami założonymi na plecach. - Bill Stuart... Danahall... O'Day... Wilbur Curtis... ach, Boże, Marshall Brent, mój dawny nauczyciel... - Zamilkł na chwilę, ale zaraz odwrócił się do swych doradców. - Czuję się winny, bo za mało o nich myślałem, nie miałem czasu, żeby poprosić ich o radę, skorzystać z ich mądrości i wyobraźni...

- Panie prezydencie, korzystał pan z usług tych ludzi, bo byli najlepsi, bo wiedzieli, jak bardzo pańska administracja pragnie pokoju, ale też chcieli powstrzymać agresję. Chciał pan kontrolować eskalację konfliktu, ponieważ każda inna reakcja mogła doprowadzić do trzeciej wojny światowej.

- Trzecia wojna światowa... Brad Elliott... HAWC Old Dog. - Prezydent odwrócił się, a przez twarz przebiegł mu uśmiech. Zaczął sobie masować kark, ale zaraz przestał, jakby zakłopotany tym co robi. - Włosy stają mi dęba, kiedy pomyślę o tym starym zabijace i o tym, do czego jest zdolny. Masz pojęcie, ile nocy nie przespałem przez tego sukinsyna, martwiąc się, co się stanie, jeśli któryś z jego niedowarzonych pomysłów obróci się przeciwko nam? Jestem pewien, że postarzałem się przez niego o dobre dziesięć lat. Pomyślałeś o nim kilka tygodni temu, przed obecnym kryzysem?

- Konflikt z Iranem wisi w powietrzu od wielu lat, od czasu Pustynnej Burzy, od kiedy Irańczycy przystąpili do umacniania swoich sił zbrojnych po tamtej wojnie, sir - powiedział Freeman. Prezydent skinął głową w milczeniu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie - wtrąciła Whiting. - Znam generała Curtisa, znałam generała Elliotta, kiedy służył w Służbie Ochrony Granic, słyszałam o prawie wszystkich ze starej administracji, których tu wymieniliście i oczywiście o Marshallu Brennie - był genialny, był wcieleniem samego Abrahama Lincolna - ale nie mam pojęcia, co to Hawk, co to, albo kto to jest Old Dog. I co to wszystko ma wspólnego z Iranem?

- Ellen, w kulminacyjnym okresie zimnej wojny, w czasach niepokoju w Związku Radzieckim i w Chinach, nie chcieliśmy uczynić niczego, co mogłoby wzburzyć wielkie mocarstwa, naszych sojuszników, czy naród amerykański - wyjaśnił prezydent. - Mieliśmy wojskową jednostkę naukowo-badawczą zwaną HAWC - cholera, nie pamiętam, skąd się wzięła ta nazwa, prawdopodobnie jakiś skrótowiec z żargonu wojskowego, ale łatwo wpadający w ucho\* - którą dowodził Brad Elliot, na długo zanim przeszedł do Służby Ochrony Granic. Dysponował niezbyt wielkim budżetem, tak głęboko ukrytym w preliminarzu wydatków Sił Powietrznych, że HAWC był pewnie brany za jakiś magazyn, orkiestrę wojskową, albo coś takiego. Ciągłe obcinali mu ten budżet, a on szedł wtedy do Pentagonu i urządzał piekielną awanturę, tupał i wrzeszczał, dopóki nie dorzucili mu trochę pieniędzy, żeby się wreszcie zamknął.

\* HAWC fonetycznie brzmi tak samo jak hawk, czyli jastrząb [przyp. tłum.].

- Tak, czy inaczej, Elliott i jego ludzie potrafili wziąć byle jaki samolot w rodzaju bombowca B-

52 i sprawić, że zaczynał tańczyć - kontynuował prezydent, tak podekscytowany tymi wspomnieniami, że gwałtownie gestykulował, co zdarzało mu się nader rzadko. - Elliott konstruował trudno wykrywalne bombowce wiele lat przed pojawieniem się B-2A; bawił się sterowanymi telewizyjnie bombami, małymi satelitami i inteligentnymi pociskami manewrującymi na wiele lat przed Pustynną Burzą, zanim jeszcze większość ekspertów z Pentagonu w ogóle o czymś takim usłyszała. Był w tym świetny... To, co proponował, było tak niezawodne, tak skuteczne, że... użyliśmy tego raz czy dwa.

- Co takiego? - zapytała wiceprezydent z niedowierzaniem w głosie. - Użyliście? W działaniach wojennych?

- Zanim doszło do działań wojennych - odpowiedział prezydent, wciąż się uśmiechając. - Pamiętacie tę stację laserową na Syberii, tę, która zestrzeliwała satelity, a nawet strzelała do naszych samolotów zwiadowczych? Pamiętacie, jak pewnej nocy po prostu eksplodowała?

- Wszyscy przypuszczaliśmy, że to była robota komandosów SEAL z Marynarki albo Delta Force.

- Czegoś takiego jak Delta Force w ogóle wtedy nie było - przypomniał jej Freeman. - Tamta stacja była tak dobrze chroniona, że przerzucenie pletwonurków na pokładzie okrętu podwodnego, czy Zielonych Beretów samolotem w ogóle nie wchodziło w grę. Myśleliśmy już, że nie obejdzie się bez międzykontynentalnej rakiety balistycznej. - Zwrócił się do prezydenta. - Więc to był Elliott i jeden z jego eksperymentalnych samolotów?

- Pieprzony bombowiec B-52, starszy niż większość członków jego załogi. Ochrzcili go Old Dog. Na Brada Elliota też tak zresztą mówili - powiedział prezydent z dumą. - Elliot nazywał ten bombowiec „latającym pancernikiem”; załadował go inteligentnymi bombami, zdalnie sterowanymi bezzałogowymi samolocikami, mającymi odwracać uwagę przeciwnika, nie uwierzycie, ale mieli nawet rakiety powietrze-powietrze.

- Rzeczywiście nie wierzę! - zawołała Whiting. - Kongres nic o tym nie wiedział?

- Nikt nie wiedział, z wyjątkiem paru wtajemniczonych w Białym Domu - powiedział prezydent. - Do diabła, nawet mnie poinformowano dopiero po fakcie! Elliott tego dokonał, Ellen. Był tak skuteczny, że raz po raz korzystaliśmy z jego usług. Trzeba było wyeliminować chińską stację radarową i krążownik rakietowy na Filipinach? Nie mieliśmy tam żadnych sił w promieniu tysiąca mil, żadnych lotniskowców, żadnych okrętów podwodnych, ale zabawki Elliotta potrafiły się z takim zadaniem uporać. Zabawki Elliotta zniszczyły cały białoruski batalion pancerny, sto czołgów i pojazdów opancerzonych, jednej nocy - podczas jednego nalotu! - i nikt w Europie w ogóle o tym nie wiedział.

Wiceprezydent Whiting wciąż kręciła głową. - Co się z nim stało?

- Wyrzucili go, zmusili, żeby przeszedł na emeryturę - odpowiedział Martindale. - Zaczął popełniać błędy, stał się trochę zbyt pewny siebie. Brał w nim górę instynkt myśliwego. Szukał walki, chciał wysyłać te swoje samolociki wszędzie, gdziekolwiek wybuchał jakiś konflikt. Nigdy się nie poddawał i to było nasze szczęście; niestety, nie wiedział, kiedy przestać.

- Ten facet mi się podoba, sądząc po tym, co usłyszałem - powiedział Freeman z uśmiechem.

- Nie, Phil, to już przeszłość. Jeśli chodzi ci po głowie wykorzystanie go jakoś w związku z sytuacją w Iranie, zapomnij o tym. Nad nim nie można już było panować. Nie spaliśmy po nocach, zastanawiając się, jakie wytłumaczenia przedstawić Kongresowi, narodowi amerykańskiemu, naszym sojusznikom, jeśli Elliottowi podwinie się noga.

- Nie myślałem o Elliocie - powiedział Freeman. - Myślałem o McLanahanie.

- O kim? - spytała Whiting.

- Patrick McLanahan - wyjaśnił Martindale. - Jeden z zastępców Elliotta. Cholernie utalentowany chłopak. Ale myślałem, że on też odszedł.

- Znalazłem go - powiedział Freeman z przewrotnym uśmiechem. - Znalazłem większość członków bandy Elliotta... i wszystkich wstępnie sprawdziłem zgodnie z artykułem trzecim statutu Agencji Wspomagania Wywiadu.

- Jakim znowu artykułem? - spytała Ellen Whiting. Szybko przebiegła wzrokiem projekt rozkazu prezydenckiego, który podał jej Freeman. - Więc proponuje pan, żebyśmy utworzyli formację zbrojną, która działałaby wyłącznie pod rozkazami Białego Domu? Pentagon nigdy się na to nie zgodzi. Kongres nigdy nie przydzieli na to środków.

- Ta formacja istnieje, Ellen - powiedział Freeman. - To Agencja Wywiadowcza Sił Powietrznych. Mają siedzibę pod San Antonio w Teksasie. Działają już od czterech lat, wspomagając Siły Powietrzne w operacjach bojowych, wywiadowczych i w realizacji projektów naukowych. Pracują tam świetni ludzie z różnych rodzajów broni; jest paru z Dowództwa Operacji Bojowych Lotnictwa. To właśnie faceci z Agencji pomagali w wybraniu w Bagdadzie celów dla naszych myśliwców; działali w Iraku, a nawet na Haiti, wybierając cele ataków lotniczych. Mają doświadczenie we współpracy z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego, CIA i zagranicznymi służbami wywiadowczymi. Skontaktujemy ich z Agencją Wspomagania Wywiadu i niech poszukają irańskich rakiet na ruchomych wyrzutniach, niech zakłócą Irańczykom łączność i systemy dowodzenia. Jeśli im się to uda, być może zapobiegniemy wybuchowi wojny.

Ellen Whiting była w dalszym ciągu sceptyczna; jej wyraz twarzy dobitnie świadczył, co myśli o prawnym aspekcie prowadzenia operacji wojskowych bez informowania Kongresu, nie mówiąc już o czymś tak oczywistym, jak pozyskanie poparcia wszystkich członków gabinetu dla takich operacji.

- Pani wiceprezydent, nie sugeruję, byśmy rozpętali wojnę - sugeruję użycie nowoczesnych środków rozpoznania, żeby mieć ten region na oku oraz wysłanie tam niewielkich, ale skutecznych sił na wypadek, gdyby coś się stało - kontynuował Freeman. - Wszyscy dobrze wiemy, że Iran zdecydowałby się na wojnę, gdybyśmy dopuścili do eskalacji w stylu Pustynnej Tarczy albo otwarcie zagrozili im, dokonując jakiejś demonstracji siły - dlatego właśnie sugeruję przeprowadzenie tej operacji bez rozgłosu, w jak największej tajemnicy.

- Ale istnieją przecież realia polityczne i dyplomatyczne - protestowała Whiting.

Prezydent uciszył ją gestem. - Zaczekaj, Ellen. Daj generałowi wyjaśnić. Co proponujesz, Philip?

- Proponuję eskalację technologii, jeśli można to tak nazwać. Najnowocześniejszy sprzęt w rękach ludzi z Agencji Wywiadowczej Sił Powietrznych, żeby uważnie obserwować to irańskie pobrzękiwanie szabelką - powiedział Freeman. - Potrzebny mi ten sam B-2A z HAWC, który latał nad Filipinami w okresie konfliktu z Chinami, ten wyposażony w ową egzotyczną broń, o której nikt nie słyszał. Będziemy potrzebować wyspecjalizowanej załogi dla tego samolotu. Tak się składa, że to cywile, ale myślę, że będą latać dla nas.

- Dlaczego właśnie ten samolot, Phil? - zapytała wiceprezydent Whiting. - I dlaczego mają na nim latać cywile?

- Siły Powietrzne nie mają jeszcze tych nowych rodzajów broni - nikt ich nie ma z wyjątkiem załóg, które latały w HAWC w Newadzie - odpowiedział Freeman. - Nawet B-2A wciąż jeszcze używają konwencjonalnych bomb. Tylko garstka lotników wie, jak posługiwać się sprzętem na miarę dwudziestego pierwszego wieku i ja ich znalazłem.

- Więc proponuje pan wysłanie nad Iran B-2A załadowanego inteligentnymi bombami,

pilotowanego przez szpiegów z CIA, z zadaniem zniszczenia centrum dowodzenia - bez wypowiedzania wojny i bez informowania Kongresu? - zapytała Whiting z niedowierzaniem w głosie. Zarówno Freeman, jak i Whining zauważyli, że prezydent chętnie pozwala jej odgrywać rolę adwokata diabła, wręcz oczekując jak największej liczby zastrzeżeń i wątpliwości, brnęła więc dalej. - Nie przychodzi mi do głowy żaden prostszy, szybszy sposób na rozpętanie wojny światowej i ściągnięcie międzynarodowego potępienia na urząd prezydenta USA. Okrzykną nas szalonymi terrorystami!

- Jeśli ta formacja nie zostanie użyta w Stanach Zjednoczonych, narodowi amerykańskiemu będzie zupełnie obojętne, co robimy, pod warunkiem, że uzyskamy rezultaty.

- Generale, mówi pan teraz jak Bud McFarlane albo Oliver North\* - powiedziała zimno Ellen Whiting. - Zapomniał pan o aferze Iran-Contras? Wprawdzie Republikanie mają teraz większość w Kongresie, ale to nie znaczy, że naród amerykański zaakceptuje to, co zamierza pan zrobić.

\* Postaci z tzw. afery Iran-Contras z lat 80. Chodziło o potajemną sprzedaż broni Iranowi przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego USA wbrew zasadom deklarowanym przez rząd amerykański; część pieniędzy uzyskanych od Iranu za broń Rada przekazała nikaraguańskim Contras - popieranym przez USA rebeliantom walczącym o obalenie marksistowskiej władzy sandinistów; udzielanie pomocy Contras było sprzeczne z ustawą, uchwaloną przez Kongres USA [przyp. tłum].

Whiting odwróciła się twarzą do prezydenta i kontynuowała: - Załóżmy na chwilę, że jest jakiś precedens prawny umożliwiający utworzenie takiej grupy, że Agencja Wywiadowcza Sił Powietrznych może legalnie wykonywać takie zadania. Musi pan jednak zadać sobie pytanie, czy zależy panu na fali krytyki, której z pewnością nie unikniemy? Czy może pan mieć nadzieję, że całe odium spadnie na generała Freemana, albo na jeszcze kogoś, ale nie na Biały Dom? Czy wszystko to można uznać za nadużycie władzy? Za przestępstwo, kwalifikujące się do oskarżenia. Czy nie osłabi to pańskich szans na drugą kadencję? I czy nie pozbawi nas możliwości skutecznego rządzenia już w pierwszej kadencji?

Prezydent podszedł do swojego biurka i rozparł się w fotelu, co prywatnie czynił chętnie, kiedy miał do przemyślenia jakiś ważny problem. Spojrzał na świecące diody w aparacie telefonicznym - personel nie przełączał teraz rozmów, ale prezydent wiedział, że te sygnalizowane zapaleniem się diody należą do najważniejszych. Czas uciekał.

Martindale czuł, że Iran przygotowuje swą machinę wojenną. Tak jak Saddam Husajn w latach 80., jak Miloszević i bośniaccy Serbowie w latach 90. - wszystko zapowiadało zbliżającą się katastrofę: niebezpieczną i krwawą wojnę. Wszyscy dyktatorzy mieli jedną cechę wspólną: chcieli użyć znacznych sił wojskowych, żeby pokazać, zarówno przyjaciołom, jak i wrogom, jacy to z nich potężni przywódcy. Kiedy zarysowywał się konflikt, albo powstawało zagrożenie, bez wahania wysyłali swe wielkie armie na wojnę. Martindale zawsze zarzucał innym, że nie dostrzegają zwiastunów katastrofy i nie reagują na czas - był zdecydowany nie dopuścić, by się to powtórzyło.

Historia nie obeszlaby się z nim łaskawie, gdyby jakaś katastrofa wydarzyła się, zanim czarne charaktery pierwsze sięgną po broń. Gdyby B-2A rozbił się podczas tajnej misji rozpoznawczej nad Iranem, albo gdyby któraś z rakiet zamiast w stację radarową uderzyła w szkołę lub szpital, zabijając niewinnych cywilów, Martindale'a okrzyknięto by agresorem. Kiedy był jeszcze wiceprezydentem, wcale mu to nie przeszkadzało; teraz nie był pewien, czy byłoby to korzystne dla jego kariery politycznej. Ale jeśli obecność B-2A miała zapobiec eskalacji konfliktu, jeśli czas i miejsce były właściwe, odniósłby wielkie zwycięstwo wojskowe i polityczne...

- Zrób to, Philip - powiedział prezydent. - Tylko bez rozgłosu. Sformuj ekipę, opracuj plan, zapoznaj z nim kogo trzeba i złóż mi sprawozdanie. Sam poinformuję gabinet, kiedy już będę znał twój plan. Być może nigdy go nie zrealizujemy, ale trzeba działać. Tylko ostrożnie, generale, małymi krokami i w całkowitej tajemnicy.

- Tak jest, sir - odpowiedział krótko Freeman.

Zobaczył, że Whiting przemyka oczy i zwrócił się do niej. - Odpowiedziałem na twoje pytania, Ellen - tak, podejmę to ryzyko. Zrobię to, jeśli prawo na to pozwala. Muszę coś zrobić - nie mogę czekać, aż cały Bliski Wschód eksploduje, zanim przystąpimy do działania. Chcę mieć coś w zanadrzu, jakiś środek zaradczy, możliwy do wykorzystania, zanim trzeba się będzie zwrócić do sojuszników i do Kongresu o usankcjonowanie aktu wojny. - Podniósł słuchawkę i polecił swemu osobistemu sekretarzowi przynieść listę z nazwiskami najważniejszych ludzi, którzy do niego dzwonili podczas zebrania. - To już wszystko, panie i panowie.

Mylił się jednak, o czym zorientował się, kiedy na jego polecenie sekretarz wybrał pierwszy numer z listy. To nie było wszystko - to był dopiero początek.

#### ♦ Na pokładzie Air Force One, gdzieś nad Teksasem, tego samego dnia

Prezydent, jak to miał w zwyczaju podróżując Air Force One, przeszedł do tyłu, gdzie kilku dziennikarzy z korpusu prasowego Białego Domu pracowało nad materiałami; z każdym z nich spędzał zwykle przy takich okazjach parę chwil przy kawie i ciastkach, które przygotowano właśnie w jednej z dwóch kuchni na pokładzie prezydenckiego samolotu. Zamiast tradycyjnej granatowej marynarki i czerwonego krawata z jedwabiu, prezydent miał tym razem na sobie niebieską bawełnianą wiatrówkę z napisem AIR FORCE ONE, a pod nią białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

- Jak leci? - powitał dziennikarzy prezydent. Kiedy wszedł w towarzystwie ochroniarza - agenta Tajnej Służby - wszyscy wstali z miejsc. Odpowiedział mu niezrozumiały chór i szerokie uśmiechy; zakładał, że wszyscy powiedzieli coś w rodzaju „dziękujemy, w porządku, panie prezydencie”. Podróżowanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych na pokładzie Air Force One było dla dziennikarza najwyższym wyróżnieniem i narzekania zdarzały się rzadko.

- Siadajcie, proszę. Nie brakuje kawy? - Dookoła uśmiechy i kiwnięcia głową. - Zajęcia też nie brakuje? Przydałaby mi się pomoc, muszę przygotować przemówienie, które mam wygłosić w Narodowym Zrzeszeniu Oświatowym. - Tu i ówdzie rozległ się śmiech. - Macie coś dla mnie?

- Zauważyliśmy, że w tej podróży nie towarzyszy panu Miss Szeherezada, panie prezydencie - powiedziała jedna z reporterek. - Między wami wszystko w porządku?

- Na odprawie dziś rano dowiedziałem się, że niektórzy z was dziennikarzy mówią, iż Monika jest na mnie wściekła, bo nie byłem na premierze jej najnowszego filmu - powiedział prezydent Martindale z chłopięcym uśmiechem. - Prasa jest czasem bezlitosna. W rzeczywistości Miss Szeherezada ma w tym tygodniu zdjęcia w Monako... oj, nie powinienem był tego zdradzać, przepraszam, Moniko. - Rozbawiony wyraz jego twarzy potwierdził dziennikarzom, że prezydent świetnie się bawił podczas kontaktów z prasą. - Coś jeszcze?

- Wiem, że Ameryka nie interesuje się prawie niczym oprócz pańskiego życia osobistego, panie prezydencie - powiedział jeden ze znanych komentatorów telewizyjnych, za którym kamerzysta pracowicie wszystko nagrywał - ale Reuters informuje, że zeszłej nocy Iran zaatakował statek, a być może również samolot w Zatoce Omańskiej, w pobliżu Zatoki Perskiej. Jakież informacje na ten temat?

- Nie - odpowiedział prezydent. - Najwidoczniej nie był to statek amerykański ani któregoś z naszych sojuszników, bo nie dotarły do mnie żadne skargi ani protesty w tej sprawie. Coś jeszcze?

- Nie jest pan zaniepokojony obecnością irańskiego lotniskowca tak blisko Zatoki Perskiej? Podobno Irańczycy uzbroili go w najnowocześniejsze samoloty i rakiety?

- Mnóstwo państw ma w Zatoce Perskiej lub w jej pobliżu okręty wyposażone w najnowocześniejszą broń; Stany Zjednoczone też - odpowiedział prezydent. - Stany Zjednoczone i ich sojusznicy potrafią się obronić, jeśli zajdzie potrzeba, ale wydaje się, że nie ma powodów do niepokoju. Co więcej, otrzymałem od irańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych bardzo interesującą propozycję, którą teraz uważnie studiujemy - jest to plan usunięcia z Zatoki Perskiej wszystkich okrętów zdolnych do atakowania celów na lądzie. Nie dysponuję jeszcze szczegółami, ale brzmi to co najmniej intrygująco, prawda?

- Jest tu jakaś sprzeczność: Iran wysyła lotniskowiec w rejon szlaków morskich, którymi transportowana jest ropa naftowa, a potem proponuje wycofanie stamtąd wszystkich tego rodzaju okrętów...

- Cóż, może lotniskowiec jest tylko symbolem ich zdecydowania, pragnienia odgrywania wiodącej roli w tym regionie? - podrzucił prezydent.

- Więc myśli pan, że irański lotniskowiec z eskortą nie stanowi zagrożenia?

- Każdy okręt o napędzie atomowym, dysponujący taką siłą ognia, jaką wydaje się mieć ten lotniskowiec, stanowi zagrożenie - powiedział prezydent - ale jesteśmy przygotowani do odparcia ewentualnego ataku. A perspektywa pokoju wygląda bardzo obiecująco. Jeśli prezydent Natak-Nuri ma coś do zaoferowania, chętnie się tym zainteresuję. Podoba mi się koncepcja demilitaryzacji Zatoki Perskiej.

- Panie prezydencie, wiemy, że nie był pan na premierze, ale czy zamierza pan obejrzeć nowy film Moniki?

Prezydent Martindale odetchnął z ulgą. Doskonale, pomyślał, niech się znów zajmują moim życiem prywatnym. Trudno było prowadzić prywatne życie, będąc dwadzieścia cztery godziny na dobę w centrum zainteresowania mediów, ale sprawa rosnącego zagrożenia irańskiego na Bliskim Wschodzie była jeszcze trudniejsza. Komentator telewizyjny dostrzegł ulgę na twarzy prezydenta i kiwnął ze zrozumieniem głową - cwany sukinsyn. Kiedy przyjdzie czas na krótkie rozmowy z każdym z nich osobno, sprawa Iranu z pewnością znów wypłynie. - Tak naprawdę, to już go widziałem - odpowiedział prezydent z uśmiechem. - Miałem... prywatny pokaz.

Korpus prasowy zareagował konspiracyjnym „Ahaaaa”. - A co pan sądzi o tej rozebranej scenie? - zapytano go po raz dwusetny od czasu, kiedy w zeszłym tygodniu film wszedł na ekrany. - Zgadza się pan, żeby miłość pańskiego życia występowała nago w scenach z Bradem Pittem?

Prezydent posłał im jeden ze swych chłopięcych, niewinnych uśmiechów. - Założę się, że Brad zadaje sobie dokładnie to samo pytanie w związku ze mną - odpowiedział.

## 2

◆ **Baza lotnicza Barksdale, Bossier City, Luizjana, środa, 16 kwietnia 1999, godzina 14.12 czasu miejscowego**

Luizjana wiosną jest z pewnością jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie - pomyślał generał Sił Powietrznych Terrill „Buldożer” Samson. Mała wilgotność powietrza, idealna temperatura, chłodne, czyste powietrze - coś wspaniałego. Wprost nie sposób zamknąć się na cały dzień w biurze.

Trzygwiazdkowy generał miał dobry dzień. Rozpoczął go od cotygodniowego porannego biegu na dystansie trzech kilometrów w towarzystwie około stu oficerów i podoficerów. Miał nadzieję, że to bieganie stanie się dla całego personelu bazy zachętą do dbania o tężyznę fizyczną. Potem zjadł śniadanie w towarzystwie przedstawicieli miejscowego biznesu; spotkanie było poświęcone sugestiom, jak Siły Powietrzne mogą się przyczynić do poprawy warunków życia w okolicy i pomóc w zwalczaniu przestępczości. Resztę przedpołudnia spędził w biurze, otwierając pocztę i odpowiadając na listy. Miał też nieformalne spotkanie ze studentami Podoficerskiej Szkoły Dowodzenia Ósmej Armii Sił Powietrznych. Teraz Samson, który miał czterdzieści sześć lat i serce dwudziestolatka, zerknął na oczyszczone z papierów biurko i szykował się do spędzenia popołudnia na zajęciu, na które ostatnio bardzo rzadko miał czas - zamierzał latać.

W rzeczywistości nie chodziło o latanie dla czystej przyjemności - nikt nie miał teraz tak zasobnego budżetu, żeby po prostu poszaleć sobie pod niebem odrzutowcem kosztującym dwa miliony dolarów. Samson zgłosił się do 2. Skrzydła Bombowego, znalazł młodego instruktora, który nie miał właśnie nic do roboty i poprosił go o kontrolę sprawności w pilotowaniu B-52H Stratofortress. Każdy oficer z uprawnieniami pilota musiał w ciągu kwartału zaliczyć konkretną liczbę wylatanych godzin, liczbę startów i lądowań, lotów na przyrządach i tak dalej. Samson beznadziejnie z tym zalegał i uznał, że przyszła pora, żeby to nadrobić. Sekcja planowania lotów znalazła im samolot, Samson wyjął z szafki swój lotniczy kombinezon i buty, i sprawdzian mógł się rozpocząć.

Oczywiście szarża ma swoje przywileje i sprawdziany trzygwiazdkowych generałów są zwykłą formalnością - kilka lądowań, proste podejście do pasa na przyrządach i po kłopotcie - ale młody instruktor, którego znalazł Samson, ani myślał potraktować w ten sposób dowódcy Ósmej Armii Sił Powietrznych, a generał nigdy by się na to nie zgodził, nawet gdyby instruktor próbował. Sprawdzian rozpoczął się od testu pisemnego z pięćdziesięcioma pytaniami dotyczącymi procedur postępowania w sytuacjach awaryjnych. W arkuszu było też miejsce na wszystkie sześćdziesiąt siedem wierszy najważniejszych procedur awaryjnych dla samolotu szkolnego T-38 Talon; te procedury trzeba było znać na pamięć, i to dosłownie. Nikt nie miał prawa wejść na pokład samolotu Sił Powietrznych bez wykazania się dogłębną znajomością wszystkich systemów maszyny. Na oczach trzech wyraźnie rozbawionych młodych oficerów trzygwiazdkowy generał zasiadł za stołem planowania lotów w centrum operacyjnym bazy i zabrał się do roboty.

Samson miał na swoim koncie więcej godzin w lotach bojowych niż ci trzej w ogóle spędzili w powietrzu i zdążył zapomnieć więcej niż oni będą kiedykolwiek wiedzieć o lataniu, ale teraz musiał mocno wyteżyć umysł i uporać się z tym przekłętym testem, w którym do każdego pytania trzeba było wybrać jedną z kilku odpowiedzi. Zabrał się do tego bez wahania i bez taryfy ulgowej.

Zawsze postępował w ten sposób. W ciągu trzydziestu lat służby wspiał się po szczeblach kariery od szeregowego do trzygwiazdkowego generała. Całe jego życie było pasmem wyzwań i sukcesów.

W 1968 roku Terrill Samson, który miał wówczas zaledwie siedemnaście lat i niedawno przerwał naukę, starał się jakoś wymigać od poboru do wojska i uniknąć wysłania do Wietnamu, gdzie zginęło już wielu jego przyjaciół z młodzieżowego gangu w Detroit. Jego kurator powiedział bez ogródek, że jeśli Samson nie zaciągnie się sam, dostanie wezwanie do poboru w momencie, kiedy ukończy osiemnaście lat; wstąpił do Sił Powietrznych tylko dlatego, że biuro rekrutacyjne Marynarki znajdowało się na terenie kontrolowanym przez rywalizujący gang. Jego matka Melba płakała, podpisując papiery swemu najmłodszemu synowi. Terrill musiał solennie obiecać, że będzie

pisał do domu. Nawet by mu przez myśl nie przeszło złamanie tej obietnicy.

Początek lat siedemdziesiątych upłynął Samsonowi głównie na noszeniu wiader z gorącym asfaltem po rozpalonych słońcem placach budowy. Pracował przy naprawie dróg kołowania i pasów startowych w całej Azji Południowo-Wschodniej w końcowych latach wojny wietnamskiej. Z żołdu zatrzymywał sobie co miesiąc tylko pięć dolarów, resztę wysyłając matce, która pytała go w listach, czy nic mu nie grozi i czy stara się wyjść na ludzi. Obsesją stało się u niego poszukiwanie okazji do ukończenia szkoły, ochotniczego wykonania jakiejś pracy, udoskonalenia umiejętności, zdobycia nowej specjalności, tylko po to, żeby móc wysłać matce nowy certyfikat, czy inny dokument świadczący o osiągnięciach i dowodzący, że czasu nie marnował.

Ponieważ Terrill nie miał pieniędzy na intensywne życie towarzyskie, mnóstwo czasu spędzał w koszarach, dzięki czemu nie ominęła go żadna okazja zrobienia kariery. Jego szef kompanii rozkazał mu zdobyć dyplom ukończenia szkoły średniej, bo zależało mu na podniesieniu wskaźnika wykształcenia w dywizjonie; Samson posłusznie wykonał rozkaz. Inny starszy sierżant rozkazał mu zaciągnąć się na drugą turę, bo chciał się pochwalić dobrymi wynikami rekrutacji; Samson znów posłuchał. Wysoki, przystojny, pracowity Murzyn szybko stał się „chłopcem z plakatu” Sił Powietrznych - żołnierzem idealnym; w rekordowo krótkim czasie awansował na sierżanta sztabowego, a potem otrzymał propozycję pójścia do szkoły oficerskiej w Kelly Field koło San Antonio w Teksasie. Ustalili z matką, że wszędzie będzie lepiej niż w Azji Południowo-Wschodniej, więc propozycję przyjął. Kiedy wojna wietnamska dobiegała końca, Samson miał już dyplom uniwersytecki, patent oficerski i miejsce w szkole pilotażu. Cztery lata później, w randze kapitana, został dowódcą samolotu bombowego B-52 i miał zapewnione miejsce w szkole instruktorów; dwanaście lat później dopracował się pierwszej generalskiej gwiazdki jako dowódca skrzydła bombowców B-1B Lancer.

Obecnie Terrill „Buldożer” Samson, często wymieniany jednym tchem z Colinem Powellem i Philipem Freemanem, dowodził Ósmą Armią Sił Powietrznych i odpowiadał za szkolenie i wyposażenie wszystkich formacji bombowców ciężkich i średnich w Siłach Powietrznych. Powszechnie uważano go za człowieka sukcesu i jednego z najinteligentniejszych ludzi, bez względu na rasę i pochodzenie, jacy kiedykolwiek nosili mundur.

Dowiódł tego i tym razem, osiągając wynik 90 w teście na znajomość procedur awaryjnych i 100 w teście T-38. Następnie szczegółowo omówił z pilotem-instruktorem wszystkie pytania, na które nie odpowiedział, poddając się bezlitosnemu egzaminowi, dopóki instruktor nie nabrał pewności, że Samson rzeczywiście zna odpowiedzi. Żadnych kompromisów. Następnie omówił pokrótce zasady lotów zespołowych z załogą T-38, która miała lecieć z nimi tego popołudnia, a po odprawie i zapoznaniu się z prognozą pogody, zgłosił plan lotu, przebrał się i był gotów do lotu.

W kombinezonie przeciwprzeciążeniowym naciągniętym do pasa, spadochronem na jednym ramieniu oraz hełmem i niewielką płócienną torbą z fotografiami okolic lotniska, mapami i listą kontrolną T-38 na drugim, wyszedł z centrum operacyjnego bazy i ruszył w kierunku samolotów, gestem odprawiając kontrolera lotów, który zaproponował mu podwiezienie - dzień był zbyt piękny, żeby nie pójść piechotą. W drodze na pas prowadził pogawędkę z instruktorem i innymi członkami załogi T-38; rozmawiali o tym, co dzieje się na świecie, co słychać w mieście i co nowego w dywizjonie - zwykli lotnicy nieczęsto mieli okazję swobodnego pogadania z trzygwiazdkowym generałem. W tej chwili wszyscy byli równi - grupa lotników Sił Powietrznych, przygotowujących się do robienia tego, co kochali robić.



Samson był już prawie przy swojej eleganckiej, białej maszynie, kiedy podjechał do niego kolejny samochód. - Generale...

- Nie trzeba mnie podwozić, dziękuję - powiedział po raz szósty podczas tego krótkiego spaceru.

- Niech pan wsiada, sir - powiedział kierowca. - Superpilna wiadomość czeka na pana w punkcie dowodzenia. Priorytet czerwony.

Idylla się skończyła. Meldunki wpływające do centrum dowodzenia Ósmej Armii Sił Powietrznych miały przydzielone priorytety, począwszy od „rutynowych”. Samson nie pamiętał, jaki był najwyższy priorytet, ale najwyższym, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia, był „czerwony” - działo się to w 1991 roku, kiedy świat myślał, że Irakijczycy zaatakowali Tel Awiw bronią chemiczną, a Izraelczycy przygotowywali się do odwetu bronią nuklearną.

Samson wrzucił bagaż na tylne siedzenie samochodu sztabowego, zasalutował załodze mówiąc: - Przykro mi, chłopaki - i wskoczył na przednie siedzenie. Czas wrócić do rzeczywistości...

- Ósma Armia Sił Powietrznych, generał Samson, słucham.

- Buldożer, tu Steve Shaw - padła odpowiedź. Generał Steve Shaw, przełożony Samsona, był szefem Dowództwa Operacji Bojowych Sił Powietrznych USA - odpowiadał za szkolenie załóg i wyposażenie wszystkich dziewięciuset bombowców, myśliwców, samolotów rozpoznawczych i szturmowych Sił Powietrznych. Podlegało mu też 200.000 mężczyzn i kobiet, którzy latali na tych maszynach i zapewniali im serwis. - Pakuj się, zostałeś tymczasowo oddelegowany.

Samson, siedzący przy biurku dowódcy w pomieszczeniu sztabu bojowego w punkcie dowodzenia Ósmą Armią Sił Powietrznych, odpowiedział natychmiast. - Tak jest, sir, jestem gotów. Czeka na mnie rozgrzany T-38.

- Z Barksdale na odprawę do Whiteman zabierze cię C-20 z kilkoma ludźmi i sprzętem.

- Tak jest, sir, będę gotów - powiedział podekscytowany Samson. W bazie Sił Powietrznych Whiteman koło Knob Noster w stanie Missouri stacjonowały trudne do wykrycia przez radar bombowce B-2A Spirit. Choć powierzano im już mniejsze zadania w różnych konfliktach, bombowce B-2A miały dopiero za kilka miesięcy osiągnąć pełną zdolność operacyjną. Co się, u diabła, działo? - Może mi pan jeszcze coś powiedzieć, sir?

- Wygląda na to, że Irańczycy chcą zamknąć Zatokę Perską - powiedział Shaw. - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego chce, żeby siły specjalne sformowały grupę szybkiego reagowania, która zaatakuje cele w Iranie, jeśli zaczniesz się draka - a prezydent zażądał bombowców.

- Tak jest, sir - powiedział Samson. - Kto dowodzi tymi siłami specjalnymi?

- Nie wiem - odpowiedział Shaw, zupełnie zaskakując tym Samsona. - Ścisłe tajne, wszystkim kieruje Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Wstępne materiały informacyjne dostaniesz w samolocie.

- Rozumiem. Mogę wyruszać natychmiast, sir - powiedział Samson.

- Powodzenia, Buldożer. Kto by nie dowodził, z pewnością będzie to jeden z najlepszych. Kiedy już się to skończy, wpadnij do Langley i powiedz mi jak poszło.

- Obiecuję, sir - odpowiedział Samson. - Dziękuję za zaufanie.

Tysiące myśli przebiegało Terrillowi Samsonowi przez głowę, kiedy odkładał słuchawkę na widelki. Powinien zadzwonić do żony, powiedzieć jej, że wyjeżdża na jakiś czas, bo ma do załatwienia parę drobiazgów (drobiazgów - dobre sobie!) powinien poinformować dowódców skrzydeł, powinien poinformować swój sztab, powinien... - Kapitanie Ellis!

- Słucham, sir? - zgłosił się najstarszy rangą z kontrolerów, którzy mieli właśnie służbę w

punkcie dowodzenia. Samson mówił, ruszając do drzwi. - Proszę powiedzieć generałowi Andelmanowi, że wyruszyłem do Whiteman, i że teraz on tu rządzi. Niech personel operacyjny bazy poinformuje mnie natychmiast, kiedy tylko C-20 rozpocznie podchodzenie do lądowania. I proszę powiedzieć mojej żonie... - Przerwał na chwilę, zastanawiając się, co zamierzał właśnie zrobić i jakie może to mieć konsekwencje. - Proszę jej powiedzieć, że zadzwonię do niej dziś wieczorem.

#### ♦ Sacramento, Kalifornia, 16 kwietnia 1999 roku, 20.55 czasu miejscowego

Nowa kelnerka odeszła już pierwszego dnia; powiedziała, że życie jest za krótkie, by harować dla „zestresowanego, rozpędzonego buldoga”, albo coś w tym rodzaju - więc właściciel małego pubu przy Sacramento River w pobliżu starej dzielnicy miasta musiał osobiście obsługiwać gości.

Minęło już wiele lat od czasu, kiedy przyjmował zamówienia na drinki. Wciąż ubrany w białą koszulę z długimi rękawami, ekstrawagancko kolorowy krawat, džinsy i czarne Reeboki, uganiał się między barem, stołami i kuchnią, starając się zapamiętać zamówione drinki i przystawki, wycierając stoliki i układając zastawę; przez cały czas pamiętał, że należy się uśmiechać, zamieniać z gośćmi po parę słów i w ogóle sprawiać radosne wrażenie. Poprzedni właściciel kupił ten pub przed ponad piętnastu laty, kiedy odszedł na emeryturę po latach pracy w policji w Sacramento i już nigdy nie wyglądał na radosnego, czy choćby zadowolonego. Mimo to - a może właśnie dlatego - pub McLanahana, położony zaledwie o kilka przecznic od komisariatu, był wśród policjantów jednym z najbardziej popularnych barów w mieście. Po pracy policjanci, funkcjonariusze Biura Szeryfa, a nawet agenci federalni w stolicy Kalifornii kursowali regularnie między knajpą Gilloya, barem „Pine Cove” i pubem McLanahana. Zawsze mogli liczyć na dobre rady starego sierżanta, na najrozmaitsze opowieści, trochę kpín i przyjacielskiej krytyki - ale nigdy na wesołość.

Nowy właściciel pubu McLanahana nie był policjantem i chociaż jego młodszy brat miał wkrótce rozpocząć naukę w Akademii Policyjnej, a na ścianach wciąż wisiały zdjęcia policjantów i inne policyjne pamiątki, lokal nie był już ulubionym miejscem gliniarzy. Ponieważ klientela stawała się bardziej wymagająca i coraz więcej było wśród niej turystów, bar McLanahana też się zmienił - w karcie znalazł się bogaty wybór win chardonnay z doliny Nappa i różne rodzaje kawy z ekspresu, a także zimne piwo i bourbon. Turyści zamawiający cafe mochas i warzywne przystawki oczekiwali eleganckich barmanów w stylu Toma Cruise'a i wesołych, szczupłych, opalonych kalifornijskim słońcem kelnerek, a nie gliniarzy, których przy barze obsługiwał ponury, przepracowany personel.

Nowy właściciel, Patrick McLanahan junior, wyglądał, jakby lepiej czuł się w samochodzie policyjnym czy na patrolu motocyklowym niż w barze. Patrick był więcej niż średniego wzrostu, ale szerokie bary, muskularne ramiona i kark sprawiały, że wydawał się dość niski. Kiedy ten jasnowłosy, niebieskooki mężczyzna się uśmiechał - co ostatnio zdarzało się bardzo rzadko - wydawał się wręcz rozbrajający, jak wielki, kudłaty pluszowy miś. Ale nikt z personelu baru nie pamiętał, kiedy ich czterdziestoletni szef po raz ostatni uśmiechnął się naprawdę, a teraz wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył, że wali mu się na głowę mnóstwo problemów.

W ten poniedziałkowy wieczór w tawernie było pustawo i cicho. Kilku stałych klientów przy barze, kilku policjantów, którzy wciąż tu siedzieli, chociaż służbę skończyli już ładnych parę godzin temu, kilku przypadkowych gości, którzy schronili się przed deszczem. Najróżniejsze typy. Czworo gości piło kawę - trzech facetów i kobieta, siedzieli przy osobnych stolikach i przeglądali gazety albo oglądali wiadomości w telewizji. Patrick pomyślał, że są z FBI albo z Tajnej Służby. Było kilku kibiców klubu hokejowego San Jose Sharks; świętowali zwycięstwo nad zdobywcami pucharu Stanleya - Buffalo Sabres. Mecz obejrzeli w barze, na ekranie wielkiego telewizora. W narożnej

niszy siedział samotnie wielki Murzyn, który nawet nie zdjął płaszcza. Też oglądał telewizję; wyglądał na trochę zaniedbanego i przepracowanego - może menadżer średniego szczebla w sektorze państwowym, który właśnie pokłócił się z żoną, albo miejscowy biznesmen, martwiący się, co teraz będzie z gospodarką Sacramento, skoro zamknięto tu wszystkie bazy wojskowe. Zapłacił pięćdziesięciodolarowym banknotem. Z nikim nie rozmawiał, poprosił tylko Patricka o przełączenie telewizora na CNN, bo, jak powiedział, na kanale sportowym ESPN nic się nie działo.

W przerwach między podawaniem drinków i wycieraniem stołów Patrick wykonał wiele telefonów, próbując znaleźć kogoś do pomocy. Wreszcie, po półtorej godzinie udało mu się trafić na kogoś, kto obiecał popracować od jedenastej do zamknięcia. Odetchnął, mając w perspektywie trochę czasu na zajęcie się sprawami należącymi do właściciela baru. Wreszcie uciekł do swojego biura i opadł na krzesło obok kobiety, która siedziała przy biurku, wprowadzając dane do komputera z szybkością świadcząca o tym, że nie była nowicjuską przy klawiaturze. - Niech to cholera, nóg nie czuję. Na zawsze mam dość widoku tac i kieliszków.

Wendy - żona Patricka - odwróciła się i posłała mu uśmiech. Patrick machinalnie wziął ją za rękę i zaczęli rozmawiać. Wendy miała trzydzieści kilka lat, krótkie, rudawe włosy i błyszczące zielone oczy. Prawe ramię miała zabandażowane, a po lewej stronie szyi nosiła opatrunek. Oddychanie przychodziło jej z wyraźnym trudem, ale na widok jej uśmiechu Patrick zrobił się miękki jak wosk. Pobrali się niedawno, pod koniec zeszłego roku, ale potem nastąpiły wydarzenia, których niejednemu wystarczyłoby na całe życie. - Kochanie, na drugi raz zastanów się, zanim objedziesz kelnerkę, bo wydaje ci się, że jest zbyt powolna - powiedziała Wendy. Stłumiła atak kaszlu; widząc to Patrick poczuł się, jakby go coś skręcało w środku.

- Jak się czujesz, skarbie? - zapytał. Wendy od tygodnia trochę pracowała, zajmując się księgmami, listą płac i zamówieniami dla pubu. Spędziwszy szesnaście lat w Siłach Powietrznych USA Patrick widział niejednego twardego żołnierza, ale nie miał wątpliwości, że Wendy była od nich wszystkich silniejsza i bardziej wytrzymała. To prawda, że wychudła, że brakowało jej tchu, kiedy za dużo chodziła, że nie mogła się obejść bez dwugodzinnej drzemki po południu, oprócz normalnych ośmiu godzin snu, ale przecież wyszła ze szpitala zaledwie w trzy tygodnie po straszliwej katastrofie lotniczej, a po kilku miesiącach zaczęła pracować.

- Nie zmieniaj tematu, kochanie - powiedziała Wendy z uśmiechem. - W tym tygodniu to już druga kelnerka, która odeszła. Zatrudniamy tylko doświadczonych ludzi, ale przecież to nie roboty. Musisz im dać trochę czasu, niech się oswoją z warunkami, niech sami ustawią sobie robotę; dopiero potem możesz więcej wymagać. Ty od razu zaczynasz od pełnego sprawdzianu sprawnościowego.

Uśmiechnął się, słysząc ten wojskowy żargon. Minęło trochę czasu, od kiedy po raz ostatni go słyszał. - Tak jest, proszę pani - odpowiedział, salutując lewą ręką, a potem złożył pocałunek na jej dłoni. Popatrzyła na niego sceptycznie, jakby niepewna, czy dotarła do niego jej krytyka. - Hej, próbuję tylko wszystkiego dopilnować - zawołał. - Muszę mieć oko na wszystko. Kiedy stoję w drzwiach, widzę, jak kelnerzy się objijają. Ktoś musi ich pogonić...

- Zostaw kelnerom obsługiwanie gości - powiedziała Wendy. - Nie czują się dobrze, mając cały czas szefa na karku. Czy kiedykolwiek pracowałeś lepiej, kiedy ten poganiacz niewolników pułkownik Anderson stał nad tobą i mówił ci, co... - Wendy przerwała, widząc, że Patrick zaczął oczyma duszy patrzeć na twarze i miejsca z odległej przeszłości, ale z pewnością pozostające w pamięci. - Przepraszam kochanie - powiedziała Wendy łągodnie. - Mam nadzieję, że to nie jest dla ciebie zbyt bolesne.

- Nie, wszystko w porządku - powiedział Patrick. - Po prostu już bardzo dawno nie myślałem o żadnym z nich.

- Jeśli mogę coś delikatnie i grzecznie zauważyć: gówno prawda! - stwierdziła Wendy, ściskając go za rękę. - Myślisz o nich przez cały czas. Widzę, jak rozmawiasz przez telefon, albo zamiatasz podłogę i ni stąd, ni zowąd zaczynasz patrzeć gdzieś w dal, i wiem, że jesteś na pokładzie Megafortress albo jakiejś innej maszyny z tych, które skonstruowałeś, i zrzucasz bomby, wrzeszczysz lecąc z prędkością dźwięku, a włosy zaczynają ci się palić.

- Ejże, daj spokój, to już dawno za mną... za nami - powiedział Patrick. Zerknął na żonę, a potem wskazał gestem ekran komputera. - Możesz mi dać listę kandydatów? Zadzwoń do kilku jutro rano i może kogoś przyjmę.

- Ja się tym zajmę - odpowiedziała Wendy. Odwróciła się twarzą do niego. - Wiesz, myślę, że możemy o tym rozmawiać - o lotnictwie. Ja mogę.

- Nie bardzo jest o czym mówić - powiedział Patrick z odcieniem goryczy w głosie. - Zostaliśmy przymusowo wysłani na emeryturę. Wszystko, co stworzyliśmy, już nie istnieje. Jesteśmy dwojgiem świetnie wykształconych profesjonalistów, którzy mieszkają w jednosypialniowym mieszkaniu nad barem. Żyjemy z twojej renty inwalidzkiej, jemy barowe jedzenie, pijemy barowe drinki, oglądamy barową telewizję, bo nie stać nas nawet na własny telewizor. - Wziął ją za rękę i uściśnął uspokajająco. - Nie takiego życia chciałem dla ciebie, Wendy.

- Może powinieneś wsadzić głowę pod kran, kochanie - powiedziała Wendy z naganą w głosie. - Skąd ten nagły napad melancholii? Odszedłeś na wcześniejszą emeryturę jako podpułkownik Sił Powietrznych - na pięćdziesiąt procent uposażenia musisz jeszcze poczekać, bo masz dopiero czterdzieści lat! Przez ostatnie dwadzieścia lat żyłeś intensywniej i dokonałeś więcej niż inni ludzie przez całe życie. Jesteś właścicielem renomowanej restauracji i pubu w stolicy stanu Kalifornia i zarabiasz dość, żeby posłać brata do koledżu, zapłacić za mieszkanie matki w Palm Springs - mieszkamy nad barem, bo nic nas to nie kosztuje i oszczędzamy na apartament z widokiem na jezioro Tahoe, o którym zawsze marzyłeś. Masz tyle obiecujących możliwości, że nie jesteś w stanie wszystkich zliczyć. Tak, jemy barowe jedzenie, ale jest to cholernie dobre jedzenie - nie widzę, żeby sterczały ci żebra, kochanie. Skąd więc nagle taki podły nastrój?

- Nie jestem w podłym nastroju, Wendy - odpowiedział Patrick. - Chciałbym po prostu czegoś więcej.

- Jesteś nieszczęśliwy, bo nie lataasz. O to chodzi, prawda? - spytała Wendy. - Patrick, możesz wrócić do latania, kiedy tylko zechcesz. Jest dość samolotów do wynajęcia. Możesz robić akrobacje, możesz latać na maszynach ponaddźwiękowych, na śmigłowcach, na czym chcesz. Masz uprawnienia do latania na wszystkim, co tylko ma skrzydła. Naprawdę szkoda, że tak rzadko gdzieś się ruszasz. Spotkaj się z kolegami z lotnictwa, albo weź się za napisanie książki. Ale pamiętaj, że spełniłeś już swój obowiązek jako pilot wojskowy. Jesteś autentycznym bohaterem. Ratowałeś ten kraj dziesiątki razy. Ryzykowałeś życiem, do diabła, nie pamiętam już, ile razy! Zrób to dla mnie i dla siebie, zamknij tamten rozdział i rozpocznij nowy, tutaj, ze mną, teraz.

- Na pewno, Wendy - powiedział Patrick. Odetchnął głęboko, ścisnął jej rękę i wstał. - Zobaczę, czy Jenny już przyszła.

- Hej - zawołała, popychając go z powrotem na krzesło. Przytrzymała mu rękę, dopóki nie spojrzał jej w oczy. - Wiesz, Patrick, Charlie O'Sullivan znów pytał, czy mógłby przejrzeć nasze księgi. Chciałby przyjść z Bruce Tomlinsonem z First Interstate. - Przerwała, bo złapał ją kaszel.

- Nic ci nie jest, skarbie?

Zignorowała pytanie i mówiła dalej. - On naprawdę serio myśli o kupnie naszego baru. Znał twojego ojca, kiedy obaj służyli w policji. Ma dość pieniędzy, żeby zrobić z tego miejsca naprawdę szykowny lokal, ściągnąć ludzi o głośnych nazwiskach - nas nie stać nawet na wykupienie zezwolenia na organizowanie dancingów.

- Pracuję nad tym, skarbie.

- Ale nie będziemy mieć dość pieniędzy na niezbędne modernizacje, chyba że zaciągniemy następny kredyt hipoteczny, a to byłoby już trochę ryzykowne, nie uważasz? Sam to mówiłeś. - Potrzęsnęła nim. - Jestem twoją żoną, przyjacielem, kochanką i myślę, że mam prawo ci to powiedzieć: jako barman jesteś do niczego.

- Co takiego?

- Chcesz ugrzęznąć w tym barze, który przejąłeś tylko z miłości do ojca i dlatego, że nie mogłeś się pogodzić z tym, żeby twoja matka go sprzedała? - spytała Wendy. - Tak naprawdę wcale nie chcesz być właścicielem baru, chłopcze. Nie mam wątpliwości, że gdybyś dołożył starań, jakoś byś sobie poradził, ale ty nie wkładasz w to serca... - Znów przerwała; kaszel trwał tym razem trochę dłużej. - Poza tym, kochanie, powietrze w Sacramento jest coraz bardziej zanieczyszczone. Mój lekarz w La Jolla mówi, że zmiana klimatu bardzo dobrze by mi zrobiła - San Diego, Arizona, Tahoe...

- Więc myślisz, że powinniśmy sprzedać pub?

- Mielibyśmy pieniądze na ułożenie sobie życia od nowa - powiedziała Wendy. - Moglibyśmy przenieść się w dowolne miejsce i robić, co nam się podoba. Jon Masters mówił, że natychmiast może ci dać pracę; jeden Bóg wie, co byś tam robił. Każda firma w Ameryce, pracująca na potrzeby sił zbrojnych, zatrudniłaby cię, zatrudniłaby nas, bez wahania, gdybyśmy chcieli wrócić do tamtego życia. Hal Briggs wspominał coś o szkole psów policyjnych, którą jego brat prowadzi w Georgii. Albo po prostu kupilibyśmy łódź i przez cały rok pływali od Friday Harbour do Cabo San Lucas.

Nie mielibyśmy zobowiązań wobec nikogo oprócz nas samych i naszych marzeń. Moglibyśmy...

Przerwała, wiedząc, że jej nie słucha. Patrzył wzrokiem, który weterani wojny wietnamskiej określają mianem „spojrzenia na tysiąc metrów” - pochłonęły go wspomnienia. Jeszcze raz przeżywał naloty bombowe i walki powietrzne, albo inne niebezpieczne misje, w których dookoła niego ginęli ludzie. Zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie wspominała Jona Mastersa i Hala Briggsa. Patrick całym sercem był wciąż z nimi, gdziekolwiek się podziewali. Jeśli czyściec istniał naprawdę, pomyślała Wendy, to Patrick McLanahan właśnie w nim siedział, a ona razem z nim.

Wiedziała, że zmusił się do zerwania kontaktu z przyjaciółmi, żeby ona mogła wrócić do Kalifornii i dojechać do siebie po katastrofie. Rosyjski szpieg, niejaki Kenneth Francis James, zestrzelił eksperymentalny bombowiec, w którym ona była członkiem załogi. Przeżyło tylko dwoje z siedmiu ludzi na pokładzie; podczas szaleńczej ucieczki szpieg zastrzelił jeszcze sześciu żołnierzy, ranił kilku innych i zniszczył sprzęt wart setki milionów dolarów. Ten incydent doprowadził do zwolnienia wszystkich starszych oficerów HAWC w Newadzie (w tym Patricka McLanahana) i do zlikwidowania samego HAWC.

Patrick wybrał wcześniejszą emeryturę zamiast degradacji i przeniesienia, bo chciał pozostać z niedawno poślubioną żoną w okresie jej rekonwalescencji. Żeby jakoś zabić czas, a jednocześnie nie oddalać się za bardzo od domu, przejął prowadzenie rodzinnego biznesu w Starym Sacramento. Kochała go za tę ofiarę, ale wiedziała, że bardzo chciałby być z powrotem w akcji, mimo

rozgoryczenia z powodu postawy rządu i Sił Powietrznych, które zniszczyły tyle karier podczas polowania na czarownice, rozpętanego po incydencie z rosyjskim szpiegiem. Wewnętrzny niepokój, wynikające z poczucia winy pragnienie pozostania z żoną i prowadzenia rodzinnego biznesu, gniew i frustracja - wszystko to zmieniało Patricka Shane'a McLanahana w ponurego, wybuchowego i gniewnego człowieka.

- Zastanowię się nad tym, skarbie - powiedział z roztargnieniem, poczym wstał jak robot, cmoknął ją w policzek i wyszedł. Patrząc za nim Wendy wiedziała, że nie dotarło do niego ani jedno słowo. Pochłaniała go tylko praca, której jeszcze nie ukończył, i myśl, że nie osiągnął w życiu tego, czego by chciał. Opuszczał Siły Powietrzne po szesnastu straszliwie trudnych latach praktycznie bez obrażeń, a jednak ucierpiał bardziej niż inni - zabito w nim ducha, odebrano radość życia.

Uwagę Patricka odwróciły wiadomości telewizyjne o jedenastej. Jak zwykle tematem dnia była sytuacja na Bliskim Wschodzie i chciał posłuchać najnowszych doniesień. Jak dotąd, Iran coraz głośniejsze pobrzękiwał szabelką, a Waszyngton milczał.

- Co pan myśli o tym całym bałaganie, szefie? - zapytał go barman, młodzik imieniem Hank.

- Myślę, że Irańczycy pływają w kółko na tym swoim lotniskowcu, żeby śmiertelnie wystraszyć resztę świata i udowodnić, że są najgorszymi muzułmanami na świecie - odpowiedział Patrick zdawkowo.

- A dlaczego my siedzimy beczynnienie? Boimy się, że dostaniemy w dupę jak dwadzieścia pięć lat wcześniej?

- Hank, to był Wietnam i wcale nie dostaliśmy tam w dupę, wycofaliśmy się - skorygował go McLanahan. - Iran i Irak to dwa różne kraje na Bliskim Wschodzie, a nie w Azji Południowo-Wschodniej. Oba leżą nad Zatoką Perską, w rejonie zasobnym w ropę naftową. Ruszyliśmy na wojnę z Irakiem osiem lat temu, pamiętasz?

- Osiem lat temu... o rety, byłem wtedy w szkole średniej, szefie! - roześmiał się Hank. - No i co, wygraliśmy tamtą wojnę?

- Hank, wygraliśmy tamtą wojnę w ciągu stu dni!

- Sto dni! Czyli... trochę ponad trzy miesiące! - zawołał Hank, próbując wywołać wrażenie, że w ogóle dotarło do niego to, o czym mówił Patrick. - Komandosi i faceci tacy jak Jean-Claude Van Damme rozprawiają się z wrogiem w dzień-dwa!

- Wojna wietnamska trwała dziesięć lat, Hank.

- A tak, uczyliśmy się o tym w szkole - powiedział Hank tym samym co przedtem tonem. - To była ta wojna, w której Johnson i Nixon powoływali do wojska pacyfistów i wysyłali ich do dżungli, żeby zrzucali napalm na wieśniaków i ginęli od bambusów zatrutych szczurzym gównem, dopóki Jane Fonda nie przyłapała Reagana na urządzeniu podsłuchu w jej biurze i nie doprowadziła do wyrzucenia go...

- Jezu, Hank... - nie wytrzymał Patrick. Pomyślał, że przy tym chłopaku czuje się staro. Hank nie pamiętał nawet wojny w Zatoce Perskiej, nie mówiąc o wojnie wietnamskiej, czy Watergate! Całą wiedzę o świecie czerpał z komiksów. - Spróbuj czasem przeczytać coś poważnego, nie zaszkodzi ci.

- Szefie, dlaczego nie pójdziemy tam i nie damy komuś w dupę, tak jak w Iranie?

- W Iraku, Hank.

- Nieważne. Dlaczego ich nie zbombardujemy, albo coś w tym rodzaju? Patrick spojrzał na barmana ze złością, odwrócił się i sięgnął po ścierkę do wycierania stołów. Odchodząc powiedział: - My już na nikogo nie zrzucamy bomb, Hank. Teraz staramy się utrzymywać pokój.

Barman pokiwał głową, zupełnie zdezorientowany. - No tak... pokój...

- Patrick pomyślał, że zamiast z Hankiem, równie dobrze mógłby dyskutować o sprawach międzynarodowych ze ścierką, którą trzymał w ręku.

Tak, chcemy utrzymywać pokój... I stajemy się celem...

Kelnerka jeszcze nie przyszła, więc Patrick zajął się przyjmowaniem zamówień. Faceci, którzy wyglądali jak agenci federalni, chcieli jeszcze kawy. Patrick próbował do nich zagadać, żeby przekonać się, czy instynkt go nie zawiódł, ale żaden z nich nie miał chęci na rozmowę.

W porządku. W narożnej niszy ładna blondynka siedziała z czarnym dżentelmenem; filiżankę postawiła tak, żeby Patrick mógł jej dolać kawy. Próbował lepiej przyjrzeć się jej twarzy, ale nie udało mu się. Dziwka, próbująca złapać frajera? Patrickowi udało się dostrzec zgrabne nogi, ale niewiele więcej.

Wydawało się, że czarny przystojniak od pół godziny nie tknął swojego piwa. Szklanka nie była już nawet zroszona na brzegach. Patrick sięgnął po nią. - Przyniosę panu świeżego Samuela - powiedział.

- Dziękuję, młody człowieku - odpowiedział dżentelmen. - Chyba bardziej interesują mnie wiadomości niż piwo.

- Mnie też - spróbował nawiązać rozmowę Patrick. - A może coś podać? Gorące przystawki? Chcielibyście państwo zajrzeć w kartę?

Blondynka zachichotała, zakrywając usta dłonią. Czarny facet zrugął ją wzrokiem; Patrick zignorował tę scenę, ale poczuł, że ogarnia go wściekłość. Co ja tu, do cholery, robię? Ta dziwka śmieje się ze mnie, bo przyjmuję zamówienia... Nie, to nie dla mnie. Wendy ma rację, to na pewno nie jest dla mnie.

- Słyszałem, co pan powiedział barmanowi o Iranie - powiedział czarny facet trochę tubalnym, autorytatywnym głosem; Patrick doszedł do wniosku, że gość jest trochę wstawiony, albo należy do tych nawiedzonych. - Strach człowieka bierze, kiedy się pomyśli o wiedzy historycznej młodych Amerykanów.

- Nie wszyscy są tacy - powiedział Patrick. - Głównym problemem Hanka jest teraz zdobycie pieniędzy na czynsz, a nie sprawy międzynarodowe. Ale tak w ogóle jest niegłupi.

- Dlaczego sądzi pan, że Irańczycy chcą po prostu wszystkich wystraszyć?

- Iran ma za dużo problemów wewnętrznych, żeby jeszcze zadzierać z którymś z sąsiadów, albo ze Stanami Zjednoczonymi - powiedział Patrick; w zasadzie nie chciał wdawać się w jeszcze jedną bezsensowną dyskusję na temat Bliskiego Wschodu, ale podświadomie odreagowywał trochę stres, jakim była rozmowa z Hankiem. - Atak Rady Współpracy Zatoki na Abu Musa narobił zamieszania w irańskich siłach zbrojnych. Wkrótce przeprowadzą mobilizację Pasdaranu...

- Czego?

- Pasdaranu, korpusu Islamskiej Straży Rewolucyjnej, elitarnej jednostki irańskiej. Pasdaran to irańskie siły szturmowe, takie SS Bliskiego Wschodu. Są najlepsi z najlepszych, są ostrzem miecza. Są tak samo liczni, tak samo szybcy i równie dobrze wyposażeni jak nasza piechota morska - a może i lepsi. - Patrick wskazał ręką telewizor nad prawą stroną baru. CNN pokazywał właśnie mapę Iranu, po raz setny w ciągu godziny.

- I co zrobią?

- Jeśli wojsko zdobędzie poparcie mułłów, którzy rządzą tym krajem, przede wszystkim mogą zamknąć cieśninę Ormuz i Zatokę Perską. Wykorzystają do tego grupę bojową lotniskowca „Chomeini”, wspieraną przez ich nowe bombowce stacjonujące na lądzie.

- Pogubiłem się w tym wszystkim, synu - powiedział facet. - Iran zamierza to wszystko zrobić? Dlaczego?

- Zrobią to, jeśli ktokolwiek, a zwłaszcza Stany Zjednoczone albo Izrael, wejdzie im w drogę - powiedział Patrick. - Jeśli Iran zablokuje dostęp do Zatoki, a potem może także do Morza Czerwonego, kraje naftowe będą tracić miliardy dolarów dziennie. Państwa nad Zatoką nie pójdą na takie ryzyko - będą raczej pertraktować z Iranem, żeby nie stracić wpływów ze sprzedaży ropy.

- No to dlaczego nie weźmiemy jakiegoś bohaterskiego pilota w stylu Steve'a Canyona\* i nie zbombardujemy Iranu, jak to zrobiliśmy z Irakiem? - wtrąciła się kobieta. W jej głosie zabrzmiał sarkazm, jakby powątpiewała, czy zwykły barman potrafi udzielić rozsądnej odpowiedzi. Aha, pomyślał Patrick, więc jednak nie dziwka - albo przynajmniej bardzo dobrze wykształcona dziwka. Tych dwoje nie spotkało się tu przypadkiem i prawdopodobnie miało coś wspólnego z trzema facetami przy barze. Co tu się, u diabła, dzieje?

\* Bohater popularnych komiksów [przyp. tłum.]



- Moglibyśmy, ale istniałoby ryzyko rozpętania wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie - powiedział Patrick. - Trzeba by bardzo grubego notesu, żeby zapisać wszystkie sojusze, kontakty, związki gospodarcze i czynniki religijne na Bliskim Wschodzie. - Zajął się wycieraniem sąsiedniego stołu, żeby w razie czego mieć pretekst do oddalenia się i uniknięcia przydługiej rozmowy z tą dwójką. - Nie moglibyśmy liczyć na pomoc naszych starych przyjaciół, bo Iran jest bardzo trudnym przeciwnikiem, o wiele silniejszym niż Irak. Tym razem zaangażowane są Chiny i Rosja - po stronie Iranu, nie po naszej. A my musielibyśmy prowadzić wojnę, mając mniej bombowców, czołgów, okrętów i ludzi. Nie wygląda to dla nas najlepiej.

- Patrick przerwał na chwilę, ale zaraz dodał: - Nawiasem mówiąc, typy w rodzaju Steve'a Canyona to czysta fikcja.

- Jaka szkoda - westchnęła blondynka.

- Mówi pan jak pilot bojowy - zauważył czarny dżentelmen. - Jest pan pilotem?

- Służyłem kiedyś w Siłach Powietrznych - powiedział Patrick. - Nic nadzwyczajnego. - Oczy mu ściemniały. Odwrócił się do faceta i powiedział: - Zaraz przyniosę piwo.

- A, tak, dziękuję - odpowiedział gość. Kiedy Patrick zaczął odchodzić, dodał nieco głośniejszym głosem: - A jak pan wróci, może zechce pan wyjaśnić, w jaki sposób pojedynczy bombowiec B-2A, wyposażony jak Megafortress, mógłby powstrzymać Irańczyków bez prowokowania wojny bliskowschodniej.

Patrick potrzebował całej siły woli, żeby nie pokazać, jakie wrażenie zrobiło na nim słowo Megafortress. Po plecach przebiegło mu mrowienie.

Megafortress była jednym z jego ściśle tajnych projektów, kiedy służył w Siłach Powietrznych - znacznie zmodyfikowany bombowiec B-52, który nazywali „latającym pancernikiem”, zaprojektowany do lotów dalekiego zasięgu i do przeprowadzania niezwykle precyzyjnych ataków bombowych, a także do eskortowania nad cel mniej nowoczesnych bombowców, takich jak niezmodyfikowane B-52. Zbudowano kilka Megafortress i wykonywano na nich nawet zadania bojowe, nad Litwą i Białorusią - ale po rozwiązaniu HAWC wszystkie te maszyny zostały zdemontowane albo zniszczone. Ten facet wiedział o tym, wiedział o nim, o jego przeszłości. Były to ściśle tajne informacje. Dziennikarz? Szpieg przemysłowy?

Zachowując spokój, udając, że niczego nie słyszał, Patrick nonszalancko postawił na barze szklankę. - Hank, nalej mu następnego Adamsa - powiedział i natychmiast ruszył do swojego biura.

- Jasne, szefie. Hej, będę potrzebował... - Ale Patrick był już za drzwiami, jakby coś go goniło.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, powiedział do żony: - Wendy, wyjdź od tyłu, znajdź budkę telefoniczną i zadzwoń do OSI\*. OSI było punktem kontaktowym na wypadek, gdyby ktoś usiłował wypytywać ich o jakiegokolwiek tajne informacje. Najbliższe biuro OSI znajdowało się w bazie lotniczej Beale w Marysville, około godziny drogi, ale jeśli mieli agentów w rejonie Sacramento, mogli ich przysłać natychmiast. Albo może zadzwonią po pomoc do FBI lub do biura szeryfa...

\*OSI - Office of Special Investigations - specjalny wydział śledczy Sił Powietrznych [przyp. tłum.].

- Myślę, że już za późno, kochanie - powiedziała Wendy.

Obok niej stał nieznajomy w czarnym płaszczu i czarnych rękawiczkach.

Patrick nie zawahał się. Podskoczył do biurka i pchnął monitor komputera w kierunku obcego. Tamten instynktownie złapał lecące na niego urządzenie, co odwróciło jego uwagę i sprawiło, że opuścił głowę do idealnej pozycji - Patrick uderzył prawą pięścią, wkładając w cios całe swoje dziewięćdziesiąt kilo wagi. Trafił obcego w prawą skroń; facet zwałił się na podłogę ze stłumionym

jękiem i leżał bez ruchu.

- Boże! - wykrzyknęła Wendy, patrząc na nieprzytomnego obcego. - Patrick, zaczekaj!

Nie zwlekając ani chwili, Patrick przeskoczył nad rozciągniętym na podłodze facetem, złapał Wendy za lewą rękę i pociągnął ją do tylnych drzwi biura. - Ruszaj do kawiarni na rogu - mają jeszcze otwarte i będzie tam paru policjantów - powiedział do niej. - Powiedz im, że w lokalu jest pięciu, jeden czarny mężczyzna, trzech białych mężczyzn i biała...

- Co to się, do diabła dzieje? - rozległ się za nim tubalny głos. Patrick odwrócił się i zobaczył w drzwiach czarnego przystojniaka i blondynkę. Czarny wytrzeszczonymi oczyma spoglądał na Patricka, potem na nieprzytomnego faceta, leżącego na podłodze z monitorem na piersi, potem znów na Patricka. Kobieta również uważnie studiowała tę scenę, ale na jej twarzy malowało się wielkie rozbawienie. - Co pan wyprawia, panie McLanahan?

- Wendy, uciekaj! - Patrick próbował wypchnąć ją za drzwi, ale bezskutecznie.

- Patrick, kochanie, właśnie znokautowałeś agenta Tajnej Służby - powiedziała Wendy z uśmiechem.

- Co takiego?

- Nie „co” tylko „kogo”, mój drogi - odpowiedziała Wendy uśmiechając się szeroko. - Specjalny agent Frank Zanatti z Waszyngtonu. Pokazał mi swoją legitymację. Próbowałam ci powiedzieć, ale właśnie byłeś zajęty przewracaniem mojego monitora.

- Tajna Służba? - Patrick zupełnie zdezorientowany patrzył na nieprzytomnego faceta, a potem gniewnie wskazał palcem czarnego mężczyznę, który stał w drzwiach biura. - A kim pan, u diabła, jest?

- Nazywam się Philip Freeman, Armia USA, generał w stanie spoczynku, doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Fr... Freeman? Generał Freeman?

- Niech pan tak nie stoi z rozdziawioną gębą, pułkowniku - powiedział Freeman. - Niech pan pomoże wstać agentowi Zanattiemu. - Odwrócił się do stojącej obok kobiety. - Pułkowniku, pani też niech pomoże. McLanahan, jeśli pan go zabił, obedną mnie żywcem ze skóry.

Kobieta, która stała obok Freemana, podbiegła do leżącego na podłodze agenta. Mijając po drodze Patricka zdjęła z głowy perukę i wręczyła mu ją. - Dzień dobry, pułkowniku. Kiedy widziałam pana po raz ostatni, strącał pan właśnie z nieba tego sukinsyna Marakłowa. Nigdy bym nie pomyślała, że kiedyś spyta mnie pan, czy chcę gorącą przystawkę. Nie mogłam powstrzymać śmiechu, przepraszam.

Patrick zamrugał oczami. - Preston? Major Marcia Preston?...

- Podpułkownik Marcia Preston, Patrick - powiedziała i uściśniła go po przyjacielsku. Była kiedyś ochroniarzem Debory O'Day, doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, pilotem myśliwca F/A-18 Hornet w lotnictwie piechoty morskiej i jedną z pierwszych kobiet, które w siłach zbrojnych USA zostały pilotami bojowymi. - Miło cię znów zobaczyć, ale najpierw podnieśmy tego biedaka z podłogi, dobrze?

Patrick wciąż był oszołomiony, kiedy posadzili Zanattiego w fotelu i zaczęli go cucić. Kiedy agent doszedł trochę do siebie, Preston wstała i podeszła do Wendy z wyciągniętą ręką. - Pani jest z pewnością doktor Wendy Tork... przepraszam, doktor Wendy McLanahan. Marcia Preston. - Podały sobie ręce. - Tylko raz leciałam z pani mężem, ale do końca życia tego nie zapomnę.

- To jest Wendy Tork? - spytał zaskoczony Freeman. Również podeszedł do niej i wyciągnął rękę

na powitanie. - W moich aktach jakoś nie pojawiła się wzmianka o waszym ślubie. Gratulacje. To musiało być na krótko przed... wypadkiem?

- Tak jest, generale.

- To był nieszczęsny, tragiczny wypadek, wielka, niewiarygodna strata - powiedział Freeman - ale z popiołów powstanie nowa, jeszcze potężniejsza siła.

Odwrócił się do McLanahana. - Muszę cię prosić o przysługę, Patrick. Chciałbym z tobą porozmawiać tutaj, teraz. Sugeruję, żebyś zamknął dzisiaj wcześniej. Mamy mnóstwo spraw do omówienia. Biały Dom dopilnuje, żeby pokryto ci wszystkie straty.

Twarz Patricka przybrała chłodny wyraz. - Nie bardzo w to wierzę - powiedział - ale skoro i tak wystraszył już pan chyba wszystkich klientów...

- Obawiam się, że tak - przyznał Freeman z kwaśnym uśmiechem.

- Cóż, chyba nie mamy wyboru... jak zwykle - powiedział Patrick i poszedł zamknąć bar.

Ludzie Freemana w ciągu zaledwie kilku minut upewnili się, że w mieszkaniu Wendy i Patricka nie ma podsłuchu i rozpoczęła się rozmowa przy kawie i owocach. Freeman skrzywił się, podnosząc do ust plasterki świeżego kiwi. Wolałby grubo lukrowanego pączka, ale ostatecznie kiwi okazało się nie takie złe, a potem sięgnął nawet po plasterki mango. - Nadaliśmy tej operacji kryptonim LOT PRZYSZŁOŚCI - rozpoczął prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Zbieram z powrotem twoją ekipę, Patrick, przynajmniej tych, do których zdołaliśmy dotrzeć. Ponieważ jesteś najstarszy stopniem, chcę żebyś objął dowództwo. Wypożyczyłem pułkownik Preston z Korpusu Piechoty Morskiej - będzie twoim zastępcą.

- Co dokładnie mamy zrobić, generale? - zapytał Patrick.

- Wszystko i nic - odpowiedział Freeman. - Celem LOTU PRZYSZŁOŚCI jest wspomaganie wyspecjalizowanych operacji wywiadowczych przy użyciu trudno wykrywalnych przez radar samolotów dalekiego zasięgu - przede wszystkim pewnego bombowca B-2A Spirit, który znalazłeś jako Egzemplarz Próbnny Numer Dwa. Należał do HAWC. Przetestowałeś tę maszynę i latałeś na niej przez dwa lata. Samolot jest załadowany najróżniejszymi urządzeniami rozpoznawczymi, łącznościowymi, sprzętem wywiadowczym i jest uzbrojony.

- Ciekawe - zauważył sucho McLanahan. - Coś w rodzaju licencji na zabijanie.

- Będziesz przydzielony do Agencji Wywiadowczej Sił Powietrznych - będziesz podlegał generałowi Brianowi Griffithowi, on mnie, a ja...

- A pan będzie odpowiadał przed prezydentem - uzupełnił Patrick. Freeman skinął głową. - Wydaje mi się to bardzo ryzykowne - mnóstwo możliwości działania poza prawem.

- Robiłeś to przez cały czas, kiedy byłeś członkiem HAWC...

- I proszę popatrzeć, co się z nami staro - powiedział gniewnie Patrick. - HAWC zamknięto, generała Elliota zdegradowano i zmuszono do przejścia na emeryturę, całą resztę rozpedzono na cztery strony świata albo zwolniono. Złamano mnóstwo karier, generale. Gdybyśmy chcieli się odwoływać od tamtych wyroków, wtrącono by nas do więzienia za narażanie bezpieczeństwa narodowego...

- Pułkownik, przeszedł pan na emeryturę z honorami i z prawem do świadczeń po zaledwie szesnastu latach czynnej służby - zwrócił uwagę Freeman. - Myślę, że to nie tak źle.

- Tylko dlatego, że Brad Elliott wykorzystał resztki wpływów politycznych, by wyżebrać dla nas łagodniejsze potraktowanie - powiedział Patrick. - Tylko dlatego, że zgodziłem się milczeć, nie rozmawiać z prasą, nie występować na drogę sądową. Nie jestem dumny ze sposobu, w jaki

odszedłem, generale. Jednym z powodów, dla których nie jestem w służbie i nie robię tego, czego mnie nauczono jest to, że Brad robił wszystko, czego chciały od niego Biały Dom i Pentagon, a potem przyczepiono mu etykietę szaleńca i odwołano. Jaki miałem wybór? Mniej honorowe odejście albo degradację i przeniesienie gdzieś na koniec świata, bez prawa do latania.

- Sir, myślę, że te dziesięć lat czegoś nas nauczyło: Jeśli rządowi zależy na ataku z powietrza albo na misji rozpoznawczej, to niech zleci to siłom zbrojnym - kontynuował Patrick. - Jeśli wojsko nie dysponuje odpowiednim sprzętem albo odpowiednio przeszkolonymi ludźmi, to albo ściągnie się taki sprzęt i specjalistów, albo odwoła misję.

- Ani jedno, ani drugie nie wchodzi w grę, Patrick - powiedział Freeman. - Nie mamy środków na wyposażenie jednostki w służbie czynnej w urzędzenia, które skonstruowałeś w HAWC, ani nie mamy czasu na przeszkolenie pilotów z czynnej służby w obsłudze tych urządzeń, które ty zaprojektowałeś, przetestowałeś i których używałeś w warunkach bojowych. Wyjściem byłoby jedynie odwołanie wszystkich grup technicznych Agencji Wspomagania Wywiadu, co osłabiłoby nasze możliwości pozyskiwania informacji wywiadowczych. Nie chcemy do tego dopuścić - przeciwnie, chcemy wspomagać te grupy, dać im szansę zrobienia czegoś więcej.

- Panie generale, Agencja Wspomagania Wywiadu sama potrafi się o siebie zatroszczyć - powiedział Patrick. - A jeśli to dla nich za trudne, to odwołajcie te grupy techniczne. Jeśli sytuacja jest zbyt niebezpieczna dla Agencji, to prawdopodobnie wojna i tak jest nieunikniona.

- Właśnie o to chodzi, Patrick. Celem LOTU PRZYSZŁOŚCI jest niedopuszczanie do eskalacji konfliktów, zapobieganie wojnom przez ostrożne, kontrolowane użycie środków uderzeniowych - powiedział Freeman. - Mam na myśli Agencje Wspomagania Wywiadu i trudno wykrywalny bombowiec B-2A. Irańczycy uczynili dokładnie to samo: przeciągnęli linię w poprzek wejścia do Zatoki Perskiej, grożąc konsekwencjami każdemu, kto ośmieliłby się ją przekroczyć.

Reszta świata jest zupełnie sparaliżowana ze strachu; Iran zdaje sobie z tego sprawę i nie omieszka tego wykorzystać.

- A pan proponuje nowoczesny terroryzm jako rozwiązanie?

- W pewnym sensie tak! - odparł Freeman zdecydowanie, uderzając się dłonią w kolano. - Kto, do jasnej cholery, powiedział, że Stany Zjednoczone mają tylko dwie możliwości - wojnę albo pokój? Proszę wybaczyć moje słownictwo, doktor McLanahan.

- Proszę do mnie mówić Wendy - odpowiedziała. - Pańskie słownictwo mnie nie razi, ale, szczerze mówiąc, pańskie pomysły nie podobają mi się ani trochę.

- Więc spróbuję je wyjaśnić - powiedział Freeman. - Posłuchajcie, moim zadaniem jest koordynowanie operacji związanych z bezpieczeństwem narodowym Stanów Zjednoczonych, zanim wejdą w fazę działań i bomb. W czasach pokoju oznacza to zwykle operacje wywiadowcze - próby dowiedzenia się, co czarne charaktery planują, zanim zaczną swoje plany wprowadzać w czyn, tak abyśmy mogli poszukać rozwiązań dyplomatycznych i prawnych, i zapobiec wojnie. Czasami Agencja Bezpieczeństwa Narodowego używa agentów, a w niektórych wypadkach, bardzo rzadko, używamy siły militarnej, żeby zlikwidować jakieś konkretne zagrożenie. Ale teraz poszerzamy tę rolę o operacje militarne i paramilitarne. Przestajemy bawić się w chowanego, sięgamy po środki bardziej ofensywne niż operacje wywiadowcze, ale cel pozostaje ten sam: dowiedzieć się z wyprzedzeniem, co planują czarne charaktery, żeby można było sięgnąć po rozwiązania dyplomatyczne i zapobiec wojnie.

- Może pan to ubierać w nie wiem jak piękne słowa, generale - powiedziała Wendy - ale fakt

pozostaje faktem: to terroryzm. Gdyby Irańczycy postępowali tak wobec nas, nazwalibyśmy to terroryzmem, i słusznie.

- A ten atak Rady Współpracy Zatoki na wyspę Abu Musa? - zapytał McLanahan. - Iran twierdzi, że przeprowadził go amerykański bombowiec stealth i izraelskie F-15; osobiście myślę, że to bzdury, ale jedno nie ulega kwestii: do tego ataku musiano użyć precyzyjnie naprowadzanej broni.

- A jeśli nawet tak było?

- No to proszę pamiętać, że brytyjskie samoloty Hawk w siłach powietrznych Omanu i Arabii Saudyjskiej normalnie nie są wyposażone w precyzyjnie sterowane pociski raketowe i bomby - powiedział McLanahan - a śmigłowce szturmowe Super Puma i Gazelle strzelają zwykle raketami AS-12, są to rakiety krótkiego zasięgu, naprowadzane optycznie, niezbyt przydatne do nocnych ataków na dużych prędkościach - potrzebują obserwatorów, którzy znajdą dla nich cele. A załogi Tarczy Półwyspu nigdy nie były przeszkolone w korzystaniu z rakiet Maverick, zwłaszcza w wersji naprowadzanej na podczerwień. Wniosuję z tego wszystkiego, że użyto pocisków raketowych naprowadzanych laserem, prawdopodobnie Hellfire albo francuskich AS-30L A ponieważ żaden z samolotów, które brały udział w ataku, nie był wyposażony w laserowy znacznik, cele musiano oświetlać z ziemi, co z kolei oznacza, że mieliście na miejscu komandosów, którzy współpracowali z pilotami Tarczy Półwyspu. Kto to był, generale Freeman? Marines? Zielone Berety? CIA?

- A co to, do cholery, za różnica, McLanahan? - odparował Freeman, nie dając po sobie poznać, że dokładna analiza, jaką przedstawił pułkownik w stanie spoczynku, zrobiła na nim duże wrażenie. - Rada Współpracy Zatoki zaatakowała zagrażające jej systemy broni ofensywnej...

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie, generale. Kto to był?

- Nie musisz wiedzieć - odparł Freeman. - Dlaczego w ogóle spieram się o to z tobą, McLanahan? Z człowiekiem, którego mentorem był Brad Elliott! Rada Współpracy Zatoki zniszczyła coś, co uważała za wrogą siłę na spornym terytorium!

- Zamiast negocjować! - powiedział McLanahan. - Generale, oni przeprowadzili akcję terrorystyczną! Nie działali w obronie własnej, zaatakowali obcą bazę bez ostrzeżenia i bez wypowiedzenia wojny. To jest akt terroryzmu.

- Ta „obca baza” przygotowywała się do ataków na statki państw Rady i tankowce pod banderą amerykańską, przechodzące przez Zatokę.

- Naprawdę, generale? Kiedy? - wtrącił McLanahan. - Iran miał rakiety na tych wyspach od wielu lat i nigdy żadnej nie odpalił, chyba że na ćwiczeniach. Za to Rada zaatakowała pierwsza i przypuszczam, że USA jej pomogły.

- Tylko zgadujesz.

- Wcale nie muszę nadwierać wyobraźni, sir - powiedział McLanahan. - To bardzo logiczne założenie. Nie wykluczam, że Rada rozpętała cały ten konflikt, bo straciła cierpliwość do negocjacji w sprawie Abu Musa i obu Tumbów.

- A teraz prezydent USA wydał rozkaz, by grupa bojowa lotniskowca „Abraham Lincoln” trzymała się na razie z dala od Zatoki Perskiej - zwrócił uwagę Freeman - co potęguje nerwowość wielu naszych sojuszników na Bliskim Wschodzie. To z kolei oznacza, że Iran już wygrywa wojnę, która zawsze poprzedza wymianę ognia: wojnę psychologiczną. - McLanahan milczał; wiedział, że Freeman ma rację.

- Wysyłam Agencję Wspomagania Wywiadu i ekipę, z którą pracowałeś Patrick, Zjawę, żeby mieli oko na irański lotniskowiec i inne obiekty wojskowe - ciągnął Freeman. - Ludzie z Agencji

będą w pobliżu każdej irańskiej bazy, w której podejrzewamy składowanie broni nuklearnej, chemicznej albo biologicznej; obserwowany będzie każdy irański bombowiec, myśliwiec, rakieta, wyrzutnia pocisków raketowych - wszystko, co może zaatakować grupę „Lincolna” albo osiągnąć cele w Arabii Saudyjskiej, Turcji, Kuwejcie czy Izraelu. Jeśli coś się będzie dziać w którejs z tych irańskich baz, chcę o tym wiedzieć i będę doradzał prezydentowi, żeby rozkazał zniszczenie takiej bazy.

- Cóż, oboje wiecie, jak małe są szanse dotarcia do odizolowanej bazy irańskiej przez A-6 Marynarki albo przez pociski manewrujące Tomahawk. Nie muszę wam tłumaczyć, że tylko B-2A może sobie z tym poradzić. Zabierając odpowiednią mieszankę środków walki elektronicznej Disruptor, można wykonać zadanie przy bardzo małym prawdopodobieństwie zbędnych zniszczeń i ryzyka dla załóg.

Freeman przerwał widząc zaskoczenie na twarzy Patricka, a potem uśmiechnął się do byłego bombardiera. - Aha, widzę, że ta nazwa przyciągnęła pańską uwagę. No, pułkowniku, nie myślał pan chyba, że te wszystkie eksperymenty Brada Elliotta na zawsze pozostaną tajemnicą? A już na pewno nie seria Disruptor\*.

\* (ang.) zakłócaacz [przyp. red.].

Wyraz twarzy Wendy wyraźnie świadczył, że nigdy o Disruptorze nie słyszała. Freeman był zadowolony - Patrick McLanahan potrafił dochować tajemnicy nawet przed żoną, która swego czasu miała taki sam jak on dostęp do najtajniejszych informacji.

Freeman zwrócił się do Wendy: - Generał Elliott bardzo zaangażował się w prace nad bronią, która nie zabija. Nadał jej nazwę Disruptor. Osiągnąwszy skuteczność w precyzyjnym zabijaniu na ogromne dystanse, pod koniec Elliott zaczął eksperymentować ze środkami, które tylko zakłócają, uszkadzają albo wyłączają coś z wielką precyzją i na daleki dystans. Seria Disruptor, to różne rodzaje niezabijającej broni pokładowej, zaprojektowane tak, żeby wprowadzać zamieszanie w szeregach nieprzyjaciela i zakłócać jego urządzenia, ale nikogo nie zabijać i niczego nie niszczyć. Użyliśmy trochę tego rodzaju broni podczas wojny w Zatoce, ale to nic w porównaniu z niektórymi z późniejszych wynalazków Elliotta. Kiedy HAWC zamknięto, część tego, nad czym pracował Elliott, przekazaliśmy facetom z instytutu broni lotniczej Sił Powietrznych w Eglin, natomiast większość trafiła do Sky Masters Inc. Mają tam parę prototypów gotowych do prób. - Freeman ponownie zwrócił się do Patricka z tym samym ironicznym uśmiechem. - Potrzeba nam jeszcze tylko dobrej załogi B-2A, żeby przeprowadzić próby, poćwiczyć i przygotować się do akcji. Jesteś zainteresowany, Patrick?

- Nie mogę sam latać na B-2A - powiedział Patrick. - Potrzebuję kilku członków załogi.

- Na razie wystarczy - powiedział Freeman. - Później ściągniemy może następnych.

Patrick zawahał się, spojrzał na Wendy i pokręcił głową. - Przepraszam, sir, ale nie jestem zainteresowany - stwierdził zdecydowanie.

- Jeśli zgodzisz się spróbować, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa po kryje ci wszystkie utracone dochody - zachęcał Freeman. - Otrzymasz wynagrodzenie pułkownika i świadczenia dodatkowe bez względu na to, czy w końcu polecisz, czy nie. Przeprowadzka nie będzie cię kosztować ani centa, otrzymasz dodatek na rodzinę i świadczenia specjalne, należne wysokim rangą pracownikom Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. - Przerwał na chwilę, wpatrując się w podłogę, po czym powiedział: - Wiem, że zastanawiasz się nad sprzedażą baru. Moglibyśmy ci pomóc go sprzedać.

- Jak, u diabła, mógł się pan o tym dowiedzieć...? - Patrick przerwał w pół zdania, bo znał już odpowiedź - dowiedzenie się o czymś takim nie przedstawiało specjalnych trudności, zwłaszcza w wypadku Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

- Może nawet właśnie trafia się dobra okazja - powiedział Freeman. - Zastanawialiśmy się nad wykorzystaniem Sky Masters jako kamuflażu dla naszych działań. Firma jest znana w branży, realizuje zamówienia rządowe w dziedzinie obronności, nie jest wielka i ma niezłe notowania giełdowe. Część potencjału naukowo-badawczego przenoszą do San Diego, a na terenach państwowych koło Tonopah zorganizowali nowy poligon raketowy. Wiemy nawet, że w San Diego jest na sprzedaż bar nad Pacyfikiem, popularny wśród pilotów z Top Gun\* - gdybyś chciał zostać w branży gastronomicznej, byłaby to świetna okazja. Wiem, że doktor Masters już kilka razy proponował ci pracę. Możesz oczywiście przyjąć jego doskonałe warunki finansowe, nie rezygnując ze świadczeń Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. A i dla ciebie, Wendy, zmiana klimatu mogłaby się okazać korzystna.

\* Słynna wojskowa szkoła doskonalenia pilotażu dla pilotów Marynarki USA [przyp. tłum.].

- To pańska opinia medyczna, generale? - nie wytrzymał Patrick. - Gdybym chciał pracować dla Mastersa, to skorzystałbym z jego propozycji. Nie skorzystałem, bo nie interesuje mnie praca w firmie, prowadzącej interesy z tym samym rządem, który wyciska wszystko ze swoich najlepszych ludzi, a potem wyrzuca ich na śmieci jak zużyte chusteczki higieniczne. Tyle jeśli chodzi o pańską propozycję. Pieniądze i klimat nie obchodzą mnie tak bardzo, jak sposób, w jaki traktujecie ludzi, którzy wierzą w to, co robią.

- Powiedziałem ci, na czym ma polegać twoja misja, Patrick - przerwał mu Freeman. - Masz chronić ludzi z Agencji Wspomagania Wywiadu. Jeśli będzie konieczna akcja militarna, pošlemy wojsko, ale przedtem pošlemy ludzi z Agencji Wspomagania Wywiadu i innych agentów ABN, jak to robiliśmy, zanim przyszedłeś do HAWC jako lotnik, żeby zebrać jak najwięcej informacji wywiadowczych. Chcę jakoś strzec tych, którzy będą ryzykować życiem, żeby zapobiec wojnie.

- Nie przekonał mnie pan; wciąż nie jestem pewien, czy nie skończy się na tym, że będziemy rzućani do akcji przez prezydenta jako jego prywatna banda płatnych zabójców - powiedział Patrick nieufnie.

- Pułkowniku, wysłuchałam propozycji generała Freemana i jestem za - wtrąciła Marcia Preston. - Pracowałam kiedyś w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i wiem, że nie jest to prywatna grupa najemników Białego Domu, czy CIA. Patrick, to uczciwa misja. Mamy nie dopuścić do wojny. Iran morduje naszych agentów...

- Gdzie? - przerwała Wendy. - Co się stało?

- To poufna informacja - powiedział Freeman. - Nie chciałem tego poruszać...

Preston popatrzyła na Freemana; generał lekko skinął głową. - Wydarzyło się to całkiem niedawno - rozpoczęła Preston. - „Valley Mistress”, statek rozpoznawczy Agencji Wspomagania Wywiadu - słyszeliście o nim, oczywiście...

- Grupa Paula White'a? - zawołał Patrick. - Co się stało?

- Wysłali bezzałogowy samolot szpiegowski nad grupę lotniskowca „Chomeini” - odpowiedziała Preston. - Samolot miał awarię, Irańczycy prześledzili jego kurs z powrotem do statku i... zatopili „Valley Mistress”. Zaginionych jest trzynastu członków załogi, łącznie z pułkownikiem White'em... - Freeman dał jej znak ręką, żeby nie mówiła więcej.

- Mój Boże!

- To, co robimy, jest wymierzone przeciw czarnym charakterom, Patrick, a nie przeciw niewinnym ludziom - powiedział Freeman. - Rozwiązujemy konkretne problemy, a dopiero potem martwimy się o długofalowe konsekwencje. To najtrudniejszy aspekt naszej pracy - nie mamy czasu na analizowanie potencjalnych skutków naszych akcji. Problem wymaga rozwiązania, więc go rozwiązujemy, pojawia się kryzys, którym trzeba się zająć, więc się zajmujemy. Wiemy, że to, co robimy, jest potrzebne, jest ważne dla bezpieczeństwa narodowego; modlimy się, żeby to, co robimy, na dłuższą metę okazało się korzystne dla wszystkich.

Patrick milczał przez chwilę; nawet Wendy patrzyła na niego zamyślona. - Nie - powiedział wreszcie. - Przykro mi z powodu Paula i jego załogi, ale nie mogę.

- Więc nic tu po nas - powiedział generał Freeman, wstając. - Dziękuję za czas, jaki nam oboje poświęciliście. Nie muszę wam przypominać, że cała ta rozmowa, całe spotkanie jest objęte ścisłą tajemnicą...

- Generale, niech mu pan powie resztę - powiedziała Preston.

- Nie sędzę.

- A to co znowu? Jakiś podział ról na „dobrego policjanta i złego policjanta”? - powiedział Patrick, również wstając z miejsca. - Powiedziałem, że nie jestem zainteresowany. To ostateczna decyzja.

- Niech mu pan powie, generale.

- Nie.

- Chodzi o Zjawę - powiedziała pośpiesznie Preston. Freeman rzucił się w jej kierunku, ale mówiła dalej. - Jeden z ludzi Agencji Wspomagania Wywiadu, przydzielony do Zjawy...

- Dość, pułkowniku!

- Przeżył i wraca tam, żeby poszukać pułkownika White'a i wszystkich innych, którzy mogli się dostać do niewoli.

- Preston, co to za historia?

- Pułkowniku Preston, nie!

- Jednym z agentów Zjawy jest major Hal Briggs - powiedziała Preston.

- Hal Briggs jest w Agencji Wspomagania Wywiadu?! - wykrzyknął Patrick.

- No dobrze, łamię wszelkie zasady, ale niech będzie. Tak, Hal jest w Agencji - odpowiedział Freeman, piorunując Marcie Preston wzrokiem. - Poszczególne grupy techniczne nie powinny znać członków innych grup - jeden wzięty do niewoli agent może narazić setki ludzi. Ale dobrze, Hala Briggsa ściągnął do służby mój poprzednik, wkrótce po tym incydencie szpiegowskim z Jamesem. Jeśli jego jednostka przetrwa i zostanie odbudowana, Hal ma zostać jej dowódcą operacyjnym.

- Gdzie on jest?

- Jest... w kraju - przyznał Freeman. - Major Briggs ma cenną znajomość - oficera wywiadu ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, który pomagał mu w ataku na Abu Musa. Czeka na zgodę, żeby wrócić na Bliski Wschód i nawiązać kontakt.

- Jestem pewna, że ten oficer to kobieta - powiedziała Wendy z uśmiechem.

- Pułkowniku, doktor Lanahan - powiedział Freeman, wyciągając palec w ich kierunku - muszę jeszcze raz ostrzec, że wszystko to są ściśle tajne informacje - nie muszę wam mówić, co stałoby się z zaangażowanymi w to ludźmi, gdyby ujawniona została ich tożsamość. - Freeman kiwnął głową w kierunku agentów Tajnej Służby, a ci natychmiast ruszyli do drzwi. - Spotkanie z panem było dla mnie przyjemnością i zaszczytem, pułkowniku Lanahan - powiedział. - Nasz kraj - a może i cały



świat - ma już wobec pana ogromny dług wdzięczności. Żałuję, że nie będziemy mogli znów wykorzystywać pańskich talentów. Pani doktor Lanahan, także spotkanie z panią było dla mnie zaszczytem. Do widzenia państwu.

Ale Patrick patrzył w oczy Wendy, a ona dostrzegła w jego oczach to, na co czekała - tę iskrę, to znajome, pewne siebie spojrzenie, które tak zauroczyło ją dziesięć lat temu, w tamtym barze w Bossier City w Luizjanie. Wiedziała, że to Briggs przechylił szalę - Briggs i White, i wspomnienie starych przyjaciół, i towarzyszy broni. W jego wzroku było również pytanie - wiedział, że nie było czasu na rozmowę, na przedyskutowanie wszystkiego, jak to zawsze robili, ale pytał ją o zdanie, prosił o jej zgodę...

Zgódź się, powiedziały mu jej oczy.

I Patrick zrozumiał. Kiedy Freeman próbował wyswobodzić podaną na pożegnanie dłoń, McLanahan nie puszczał.

Freeman spojrzął na niego ze zdziwieniem - Pułkowniku McLanahan, czy to znaczy, że... - rozpoczął, ale Patrick nagle wzmocnił uścisk dłoni. Freeman nie mógł się wyswobodzić. - Doskonale, Patr...

- Będziemy używać Disruptorów - przerwał mu McLanahan, wciąż nie puszczał jego dłoni. - Tylko broń, która nie zabija, chyba że wypowiedziana zostanie wojna - wtedy ruszymy ze wszystkim, co mamy, powtarzam: ze wszystkim.

Freeman otworzył usta. Uścisk dłoni jeszcze się wzmógł. - Zgoda - powiedział. - Nic innego od początku nie wchodziło w rachubę.

- Działamy wyłącznie za granicą, nigdy w Stanach Zjednoczonych lub na terytorium sojuszników, chyba że wypowiedziana zostanie wojna albo dojdzie do inwazji.

- Zgoda - powiedział Freeman, maskując grymas bólu. - A teraz, jeśli można, chciałbym, żeby pułkownik Preston...

- Udzielamy wsparcia wyłącznie operacjom Agencji Wspomagania Wywiadu - żadna CIA, żadne inne agencje, żadne inne operacje. Nie obchodzi nas Agencja do Zwalczenia Narkotyków ani Federalne Biuro Śledcze, żadna specjalna baza Sił Powietrznych - ciągnął McLanahan. - Pełna jawność, pełna weryfikacja, otwarty dostęp.

- Pułkowniku, wszystko to zdążymy jeszcze omówić...

Uścisk dłoni stał się nagle dwa razy mocniejszy. Freeman nie przypuszczał, że to w ogóle możliwe. Zaczynał się pocić. - Niech się pan na to zgodzi, generale! - powiedział McLanahan podniesionym głosem. Agenci Tajnej Służby zaczęli się powoli zbliżać do McLanahana. Uścisk dłoni był tak potężny, że Freemanowi zaczęło wirować przed oczyma. - Czekam! A może Agencja od początku chciała mnie zrobić w konia?

- Niech to diabli, co pan wyprawia?!

Agenci Tajnej Służby ustawili się obok Freemana. - Jeśli te skurwysyny tkną mnie, albo Wendy, cała sprawa bierze w łeb! - krzyknął McLanahan. Gestem lewej ręki Freeman powstrzymał agentów. - Powiedz mi prawdę, Freeman! Stać cię na to?

Coś musiało trzasnąć - jego dłoń, albo cierpliwość agentów Tajnej Służby. - W porządku! - zawołał Freeman przez zaciśnięte zęby. - Zgadza się!

- Zgadza się pan na co?

- Żadnych innych agend rządowych... Tylko Agencja Wspomagania Wywiadu... pełna jawność, pełny dostęp - powiedział Freeman. McLanahan puścił jego dłoń, a generał odskoczył jak oparzony.

Delikatnie masował zbolaną rękę, starając się przywrócić krążenie. McLanahan nawet się nie spocił. - McLanahan, to była dziecinada - zganił go Freeman. - Co chciałeś udowodnić? Jaki twardy z siebie facet?

- Chciałem o czymś panu przypomnieć, na wypadek, gdyby za długo był pan już w Pentagonie albo w Białym Domu - powiedział McLanahan. - Ja i moi ludzie będziemy oczekiwać, że spełni pan swoje obietnice. Bo jeśli nie, to ból, jakiego pan przed chwilą zaznał będzie niczym w porównaniu z ich bólem.

Freeman zdawał sobie sprawę, że powinien być wściekły, ale jakoś nie mógł winić McLanahana, nie po tym, wszystkim, co ten człowiek widział i przeżył. Gniew mijał wraz z bólem w dłoni. Freeman skinął głową. - Dotrzymam obietnicy, nie z powodu twojego pokazu siły, tylko dlatego, że naprawdę troszczę się o ludzi pod moimi rozkazami. Ja nie udaję, pułkowniku McLanahan.

McLanahan zerwał mu z głowy perukę i potrząsnął nią przed twarzą Freemana. - Wy wszyscy udajecie, generale - powiedział gniewnie. - Wszyscy prowadzimy jakąś grę, ale stawką nie może być życie towarzyszy broni. Mnóstwo nauczyłem się od Brada Elliota przez te prawie dziesięć lat, sir, i mam też wiele własnych pomysłów. Jeśli będzie pan wobec mnie fair, zrobimy, co trzeba i wrócimy cało do domu. Jeśli nie, pożałuje pan, że nie zatrudnił pan Brada Elliotta, i że w ogóle kiedykolwiek pan o mnie usłyszał.

Freeman nie był przyzwyczajony, żeby ktoś tak do niego mówił, ale wiedział, że na McLanahana można liczyć. Wszystko, co o nim czytał i słyszał było prawdą. - Jeśli już skończył pan łamać mi palce i kręgosłup, to od tej chwili jest pan w służbie rządu, McLanahan. Pański samolot odlatuje z bazy Travis za siedem godzin. Powodzenia. - Pod wpływem impulsu wyciągnął dłoń, ale natychmiast schował ją za siebie. Uśmiechnął się i powiedział: - Niech pan ucałuje swą śliczną żonę na do widzenia, McLanahan. Pracuje pan teraz w Agencji Wspomagania Wywiadu.

#### ♦ Baza sił powietrznych Whiteman, Missouri.

**17 kwietnia 1999, godzina 06.49 czasu miejscowego**

- Tom, kto to jest, do diabła? - zapytał poirytowany pułkownik Anthony Jamieson stojącego obok jednogwiazdkowego generała. Był chłodny, deszczowy poranek. Obaj oficerowie stali przed centrum operacyjnym bazy Sił Powietrznych Whiteman w Knob Noster w stanie Missouri, czekając zgodnie z rozkazem na przybycie samolotu z jakimś VIP-em na pokładzie. - Kongresman? Doradca któregoś z senatorów?

- Szef powiedział, że nie musisz wiedzieć, Tom - na razie. - Generał brygady Thomas Wright, dowódca 509. Skrzydła Bombowego stacjonującego w bazie Sił Powietrznych Whiteman i szef Jamiesona, z wyraźną niechęcią odpowiadał w taki sposób oficerowi, pilotowi i przyjacielowi, ale nie mógł inaczej.

Jamieson dostrzegł moment zawahania swojego dowódcy i postanowił nalegać.

- Ale ty wiesz, kto to jest? - spytał.

- Nie całkiem - przyznał Wright. - Najwidoczniej ja też nie muszę wiedzieć. Tygrys, przestań zadawać te cholerne pytania, dobrze? Masz z nim polecieć na symulatorze. To pewnie jeden z tych pomysłów Samsona. Takie oprowadzanie wycieczki. Zabaw się, pokaż, co potrafisz - przecież to nie pierwszy raz. Dokopię ci potem na polu golfowym.

Jamieson stłumił przekleństwo i milczał, ale w środku aż się w nim gotowało. Anthony „Tygrys” Jamieson, z dwudziestopięcioletnim stażem w Siłach Powietrznych USA, z ponad czterema tysiącami godzin w powietrzu, uczestnik kilku dużych konfliktów, od Wietnamu przez Libię do Zatoki Perskiej,

miał zabawiać jakiegoś VIP-a. Były as na myśliwca bombardujących, teraz zastępca dowódcy 509. Skrzydła Bombowego, bazy bombowców B-2A Spirit nie był przyzwyczajony, by rozkazywano mu „oprowadzać wycieczki”, jak to nazywał. Wolalby przekazać to dowódcy dywizjonu albo któremuś ze swych instruktorów - typów w stylu Steve'a Canyona, wysokich, z wyrazistymi szczękami i błękitnymi oczyma, którzy tak dobrze prezentowali się w telewizji. Ale szefostwo - dowódca skrzydła i jego przełożony, dowódca wszystkich formacji bombowych w Siłach Powietrznych - zażyczyło sobie Jamiesona, więc pozostawało mu tylko zasalutować, powiedzieć „tak jest!” i wykonać rozkaz, jak tego oczekuje się od oficera.

C-20H do zadań specjalnych - wojskowa wersja odrzutowca Gulfstream IV - wylądował dokładnie o czasie i szybko podkołował do budynku centrum operacyjnego bazy. Jeszcze zanim ucihły silniki, drzwi się otworzyły i z maszyny wybiegli żołnierze, i technicy w kombinezonach. Goście: trzygwiazdkowy generał, dwugwiazdkowy generał, pułkownik i dwaj cywile - przeszli szybko od samolotu do oczekujących samochodów; nie zatrzymali się nawet na chwilę, żeby wymienić uprzejmości, jakby słońce poranka mogło ich porazić niczym wampiry, gdyby pozostali w jego promieniach zbyt długo. Dwa pojazdy terenowe Humvee z agentami w cywilu i oficerami bezpieczeństwa eskortowały samochody sztabowe; Jamieson musiał zająć miejsce w drugim samochodzie sztabowym, ponieważ agent w cywilu, uzbrojony w pistolet maszynowy, ukryty częściowo pod marynarką, usiadł na przednim fotelu. Jamieson zauważył też, że z samolotu wysiadło wielu innych ludzi w kombinezonach; wszyscy natychmiast ruszyli do hangarów, niektórzy nieśli skoroszyty pełne papierów, inni skrzynki z narzędziami i jakieś urządzenia. Niektórzy - sądząc po tuszy i długości włosów - na pewno nie mieli nic wspólnego z wojskiem. Wszyscy wyglądali, jakby byli już spóźnieni na ważne spotkanie.

Żandarmeria wstrzymała ruch na wszystkich skrzyżowaniach i kolumna samochodów bez zatrzymania dotarła do budynku, w którym znajdował się symulator B-2A. Patrząc na to wszystko, Jamieson robił się coraz bardziej rozdrażniony. Samo „oprowadzanie wycieczek” mogło człowiekowi popsuć humor, a tu jeszcze kolumna samochodów i dodatkowe środki bezpieczeństwa dla jakiegoś parszywego cywila? Chęć się popisać, uznał Jamieson. Gość był prawdopodobnie z jakiejś komisji budżetowej Kongresu i zamierzał się zapoznać z procedurami bezpieczeństwa w dywizjonie bombowców B-2A, więc szefostwo zaostrzyło środki bezpieczeństwa, żeby dobrze wypaść. Tutaj, w Whiteman, środki bezpieczeństwa i tak były już bardzo ostre, ale demonstracja siły nigdy nie szkodziła.

Kiedy już zajęli miejsca w pokoju odpraw w budynku symulatora, kiedy drzwi zamknięto i zaryglowano, ustawivszy strażników wewnątrz i na zewnątrz, Jamieson mógł się wreszcie przyjrzeć VIP-owi. Szkoda, że był to facet - kobiety z Kongresu, które często gościły w Whiteman, wszystkie wyglądały szalowo i Jamieson, który miał już za sobą dwa rozwody („gdyby Siły Powietrzne chciały, żebyś miał żonę, to by ci ją przydzieliły”) niejedną zdążył poznać. Facet był jakieś dziesięć lat młodszy, dziesięć centymetrów niższy i dwadzieścia kilo cięższy niż Jamieson. Miał szerokie bary, umięśnione ramiona, uda i łydki jak kulturysta - coś w rodzaju byłego ciężarowca, który po koledżu został disc jockeyem, ale lubił czasem pójść na siłownię - uznał Jamieson. VIP miał jasne, rzadkie włosy i świeżo zapuszczone wąsy, jedne i drugie trochę dłuższe niż dopuszczał to regulamin, i zdecydowanie dłuższe od fryzury „na zero”, tak popularnej w wojsku w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. Miał mocny uścisk dłoni, oczy niebieskie i roziskrzane energią. Kiedy ich przedstawiano sprawiał wrażenie, jakby chciał się uśmiechnąć, ale było w nim coś mrocznego,

bolesnego, co powstrzymywało go przed okazywaniem jakichkolwiek emocji, a zwłaszcza zadowolenia. Worki pod oczami i zmarszczki na twarzy świadczyły o napięciu; VIP był starszy niż mogłoby to wynikać z jego metryki.

Jamiesona przedstawiono innemu VIP-owi, który miał obserwować lot na symulatorze. Był to dowódca Ósmej Armii Sił Powietrznych, generał Terrill „Buldożer” Samson, człowiek odpowiadający za obsadę, szkolenie i wyposażenie oraz działalność wszystkich jednostek bombowców strategicznych w Siłach Powietrznych USA. Samson był „pierwszym bombardierem” Ameryki, osobiście zaangażowanym w utrzymaniu bombowca B-2A i innych ciężkich samolotów bombowych na stanie Sił Powietrznych. Podczas gdy wszyscy dookoła mówili, że trzeba się pozbyć tych „kolosów”, Samson próbował przekonać Kongres, że Ameryka wciąż potrzebuje tej potęgi, jaką zapewniają samoloty bojowe o zasięgu między-kontynentalnym. Jamieson spotkał się już z Samsonem kilka lat wcześniej, kiedy obejmował dowództwo Grupy Operacyjnej 509. Skrzydła Bombowego.

Samson często zapraszał wpływowych kongresmanów i przedstawicieli Departamentu Obrony, którym pokazywał bombowiec B-2A, starając się zyskać ich poparcie dla swoich argumentów. Ponieważ cywilom nie było wolno latać tym samolotem (trzeci fotel w B-2A, umieszczony na stanowisku inżyniera pokładowego za prawym fotelem, nie był już wyposażony w katapultę), kilku specjalnych VIP-ów dopuszczono do symulatora. Jamieson zakładał, że ten facet zostanie potraktowany jeszcze bardziej specjalnie i usiądzie w lewym fotelu. Żaden problem - Jamieson mógł doskonale prowadzić tę bestię bez niczyjej pomocy, siedząc w prawym.

- Dzień dobry, panowie, witam w bazie Sił Powietrznych Whiteman - rozpoczął generał Wright. - Nazywam się Tom Wright, jestem generałem brygady i dowodzę 509. Skrzydłem Bombowym, w którym cztery tysiące oddanych mężczyzn i kobiet opiekuje się najnowocześniejszym samolotem bojowym na świecie, trudno wykrywalnym przez radar bombowcem B-2A Spirit. Jak już być może wiecie, 509. Skrzydło jako jedyna amerykańska jednostka wojskowa użyło broni nuklearnej w warunkach wojennych - jako 509. Grupa Bombowa zrzuciliśmy dwie bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki w czasie drugiej wojny światowej. Jako jedyna jednostka wojskowa mamy prawo do grzyba atomowego na emblemacie. Jesteśmy bardzo dumni z naszej przeszłości oraz z odpowiedzialności, która na nas ciąży.

- Dziś mamy do dyspozycji sprzęt wojskowy, który jest znacznie nowocześniejszy i o wiele ważniejszy dla obrony narodowej niż bomba termojądrowa: trudno wykrywalny przez radar bombowiec B-2A Spirit. Zaprezentujemy państwu najbardziej śmiertelnością maszyną wojenną na świecie. Najpierw przedstawimy powszechnie dostępne informacje o tym samolocie, następnie zaprosimy was na trzydziestominutową sesję w symulatorze - ta część programu jest objęta tajemnicą wojskową - a później oprowadzimy was po obiektach bazy, zorganizujemy spotkanie z wybitnymi lotnikami i, oczywiście, pokażemy sam samolot. A teraz chciałbym przedstawić dowódcę Grupy Operacyjnej 509. Skrzydła, a zarazem naszego najbardziej doświadczonego dowódcę B-2A i instruktora, pułkownika Tony'ego „Tygrysa” Jamiesona, który poprowadzi dzisiejszy program na symulatorze. Pułkownikowi Jamieson?

Jamieson, który już wcześniej przygotował standardowe materiały na odprawę, wstał i włączył rzutnik załadowany slajdami. - Dziękuję, sir. Nazywam się Tony Jamieson, jestem dowódcą Grupy Operacyjnej w Whiteman. Podlega mi pięć dywizjonów naszego skrzydła, około dwóch tysięcy kobiet i mężczyzn, zaangażowanych bezpośrednio w loty bojowe, szkolenia i utrzymanie sprzętu: 393. Dywizjon Bombowy „Tygrysy”, pierwszy dywizjon operacyjny B-2A; 715. Dywizjon Bombowy

„Orły”, który jeszcze w tym roku ma otrzymać swój pierwszy samolot B-2A; 509. Dywizjon „Griffiths” wyposażony w latające cysterny KC-135R Stratotanker, 4007. Dywizjon Szkolenia Bojowego „Sensei” latający na maszynach T-1A Jayhawk i na samolotach szkolnych T-38 Talon oraz obsługujący symulatory systemów uzbrojenia B-2A. W dywizjonie „Sensei” prowadzone są wszystkie szkolenia na B-2A - wstępne, okresowe i szkolenia instruktorów, na ziemi i w powietrzu. Podlega mi również 509. Dywizjon Wsparcia Operacyjnego, zajmujący się systemami bezpieczeństwa, odpowiadający za uzbrojenie oraz zatrudniający oficerów służby meteorologicznej, wywiadu i planowania taktycznego.

- Moje zadanie jest proste: zapewnić generałowi Wrightowi jak największą liczbę załóg latających, gotowych w każdej chwili wyruszyć na wojnę - kontynuował Jamieson. - W tym celu rygorystycznie przestrzegamy terminarza szkoleń, mających na celu utrzymanie wszystkich załóg w pełnej sprawności; do zwykłych treningów sprawnościowych używamy symulatorów i samolotów szkolnych Jayhawk, maksymalizując dzięki temu liczbę bombowców i tankowców gotowych do działań wojennych. Uważamy, że kombinacja częściowych i pełnych symulatorów oraz specjalnie przystosowanych samolotów Jayhawk wystarcza do utrzymania załóg w pełnej sprawności, bez poświęcania zbyt wiele czasu na treningi w samych bombowcach. Pozwala to na maksymalne wykorzystanie B-2A bez ograniczania treningów - możemy praktycznie wysłać za granicę wszystkie bombowce B-2A, nie przerywając szkolenia załóg w pełnym zakresie tutaj, w Whiteman.

- Trzeba reagować szybko - konieczna jest zdolność skutecznego zaatakowania dowolnego celu w dowolnym miejscu na całym świecie, z użyciem dowolnej broni z naszego arsenału, w ciągu dwudziestu czterech godzin od otrzymania rozkazu - kontynuował Jamieson. - Krótko mówiąc, w razie wojny lub otrzymania rozkazu przemieszczenia się do którejś z baz za granicą, moja grupa natychmiast przystępuje do działania, organizuje odprawy załóg, wysyła bombowce i tankowce, ładuje zawniczasu przygotowane pakiety z niezbędnym wyposażeniem do pierwszych dostępnych samolotów transportowych i rozpoczyna ataki bądź dyslokację, w zależności od rozkazów.

- Nie chciałbym dodawać łyżki dziegciu do tej beczki miodu generała Jamiesona - przerwał z uśmiechem generał Samson - ale muszę powiedzieć, że 509. Skrzydło nie osiągnęło jeszcze pełnej gotowości operacyjnej. Z co najmniej rocznym wyprzedzeniem realizujemy plan osiągnięcia wstępnej zdolności operacyjnej z dniem 1 stycznia 2000 roku i już teraz moglibyśmy wysyłać dziesięć samolotów na misje bojowe, ale 509. Skrzydło będzie oficjalnie zdolne do działań bojowych dopiero za rok albo dwa.

Jamieson nabrał głęboko powietrza i nacisnął przełącznik wprowadzając nowy slajd. Strata czasu, pomyślał. VIP sprawiał wrażenie, jakby go to nie interesowało i jakby był myślami zupełnie gdzie indziej. Pewnie już napisał sprawozdanie, uznał Jamieson. - Dziś rano, kiedy oprowadzimy was trochę po bazie - mówił dalej - zapoznamy państwa z organizacją 509. Skrzydła Bombowego, poinformujemy o technice, którą dysponujemy teraz i którą planujemy na najbliższą przyszłość, potem standardowe planowanie lotu i...

- Pułkowniku, wystarczy - powiedział generał Samson, unosząc rękę. - Przepraszam, Tony, ale musiałem cię trochę wprowadzić w błąd. Otrzymałem rozkaz maksymalnego zakamuflowania prawdziwego celu tej wizyty, więc pomyślałem, że zorganizujemy to tak, aby wyglądało na przyjazd VIP-ów. W rzeczywistości chodzi o coś innego. - Gestem wskazał cywila siedzącego obok i powiedział do

Jamiesona: - Tony, masz z tym dżentelmenem przećwiczyć wszystkie procedury awaryjne w

symulatorze B-2A.

Jamieson był tak zaskoczony, że niemal otworzył usta. Żarty sobie robią? - Oczywiście, sir - odpowiedział sarkastycznym tonem. Cywil w bombowcu B-2A. Mam sprawdzić umiejętności naszego gościa. - Tak jest, sir! - Odwrócił się do przybysza z uśmiechem rozbawienia na twarzy i spytał: - Jak pan wypadł na egzaminach, sir?

- Myślę, że nieźle, pułkowniku - odpowiedział VIP beznamiętnie, otwierając aktówkę.

Jamieson skrzywił się, usłyszawszy tę odpowiedź, a potem roześmiał się na samą myśl, że ten facet mógłby zdać egzamin na członka załogi. B-2A. Spoważniał jednak zupełnie, kiedy VIP wyjął teczkę z napisem ŚCIŚLE TAJNE na okładce, a stamtąd pojedynczy arkusz - formularz 509BMW 88, „Książka szkoleń załóg latających B-2A”. Ośłupiały Jamieson przyjrzał się formularzowi. - A to co? - mruknął.

- Jest absolutnie prawdziwy, pułkowniku - powiedział VIP, jakby czytając w myślach Jamiesona. Rzeczywiście zdał niezbędne egzaminy z oceną bliską maksymalnej i ze 100 punktami za test na znajomość procedur awaryjnych. Miał udokumentowaną znajomość wszystkich niezbędnych publikacji - najwidoczniej dysponował całą aktualną dokumentacją techniczną B-2A, łącznie z zaklasyfikowanym jako tajny podręcznikiem uzbrojenia. Zdał egzamin ustny, przeszedł pełne badania lekarskie i testy psychologiczne. Został też sprawdzony zgodnie z procedurą dotyczącą tych, którzy odpowiadają za broń nuklearną lub jej komponenty. Kilka podpisów zostało celowo zamalowanych, tak że Jamieson nie mógł się zorientować, kim byli egzaminatorzy, ale we wszystkich innych rubrykach podpisali się członkowie komisji standaryzacyjnej i egzaminacyjnej Ósmej Armii Sił Powietrznych, w tym, jako ostatnia instancja aprobowująca, osobiście generał Steve Shaw, czterogwiazdkowy szef Dowództwa Operacji Bojowych, dowodzący wszystkimi formacjami bojowymi Sił Powietrznych.

- Taak. No to ja jestem księciem pieprzonej Walii - warknął Jamieson. Odwrócił się do Samsona i cisnął formularz na stół. - O co tu chodzi, generale? Kim jest ten facet? Z jakiej racji egzaminowano go w Ósmej Armii Sił Powietrznych?

- Tony, odpowiem ci na wszystkie pytania... później... może - powiedział Samson. - Ale wszystkie pytania będą bezprzedmiotowe, jeśli ten dżentelmen nie potrafi latać. Sprawdź go.

- Proszę mi wybaczyć, sir, nie wiem, o co tu chodzi i nie jestem pewien czy chciałbym wiedzieć, ale jeśli oczekuje pan, żebym ulgowo potraktował tego faceta, to niech pan sobie znajdzie kogoś innego - powiedział Jamieson zdecydowanym głosem. - Są reguły, których musimy przestrzegać.

- Tony, nie proszę cię o wystawienie mu pozytywnej opinii, jeśli okaże się, że nie zna procedur - powiedział Samson. - Jeśli się nie kwalifikuje, to chcę o tym wiedzieć.

- Więc się nie kwalifikuje, sir - oświadczył Jamieson, nie przejmując się, że mówi do trzygwiazdkowego generała. - Wszyscy członkowie załóg B-2A muszą być pilotami Sił Powietrznych USA, z co najmniej tysiącem godzin wylatanych na odrzutowcach, muszą zostać wybrani przez dowódcę 509. Skrzydła i szefa Dowództwa Operacji Bojowych, a ponadto muszą przejść trening bojowy dla załóg B-2A tutaj, w Whiteman. Pomagam wybierać każdego kandydata, znam osobiście każdego, kto ukończył trening bojowy w 4007. Dywizjonie, z każdym latałem, ale tego tutaj nie pamiętam.

- Tony, chcę, żebyś potraktował tego dżentelmena jakby właśnie ukończył trening w 4007. i był gotów do sprawdzianu przygotowania bojowego - powiedział cierpliwym tonem Samson. - Generał Wright już się na to zgodził, ty masz tylko ocenić, czy facet jest gotów do wykonywania zadań

bojowych.

Jamieson wbił wzrok w Wrighta, ale ten ani drgnął. Tom Wright z pewnością wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie podzielił się tą wiedzą ze starym przyjacielem. Albo Wright oszalał, albo sprawa jest naprawdę poważna. - Jednak pozostaje faktem, sir - nie ustępował Jamieson - że ja wiem, że ten facet nie przeszedł treningu w 4007. Świadomie złamałbym prawo. Chce pan, żebym to zrobił?

- Jest faktem, pułkowniku - powiedział Samson - że on przeszedł wstępne szkolenie w zakresie pilotowania B-2A - po prostu nie mogę panu powiedzieć, gdzie to było, to wszystko.

- Ależ, sir! Jest tylko jedna szkoła początkowego pilotażu B-2A.

- Nie, pułkowniku - powiedział Samson z naciskiem - i nic więcej nie mogę na ten temat ujawnić. A teraz niech pan bierze te swoje cholerne scenariusze i całą resztę, i niech go pan wreszcie sprawdzi, tylko bez rozgłosu. - Samson zakończył dyskusję, przewiercając Jamiesona gniewnym spojrzeniem. Cywil stał spokojnie.

Zarządzono pół godziny przerwy. Jamieson skompletował w tym czasie materiały do egzaminu ze znajomości procedur awaryjnych. Dowiedział się, że jeden z symulatorów został już przygotowany. Rozpoczął od odprawy przed lotem. Zadanie w scenariuszu było proste: kontrola przedstartowa, kołowanie, start, tankowanie w powietrzu, zrzuć bomb z dużej wysokości, zrzuć bomb z małej wysokości i powrót do bazy - ale tego rodzaju sprawdziany nigdy nie wyglądały tak, jak to przedstawiano na odprawie przed lotem. Obsługa symulatorów - dziś przy pulpicie siedział tylko jeden człowiek, cywil, którego Jamieson nigdy przedtem nie widział - mogła w każdej chwili wprowadzić do programu setki różnych awarii i nieprzewidzianych sytuacji.

Sprawdzano przede wszystkim dokładną znajomość procedur awaryjnych - tych wyróżnionych tłustym drukiem w podręczniku - i prawidłowość reagowania na sygnały ostrzegawcze; każdy członek załogi musiał znać na pamięć wszystkie wymagane czynności i wykonywać je bezbłędnie. To był najtrudniejszy egzamin.

Błąd w „tłustym druku” lub „ostrzeżeniach”, albo więcej niż jedna pomyłka przy mniej ważnych reakcjach na sygnał wzywający do ostrożności i egzaminowany natychmiast tracił uprawnienia do latania. Niewielu nowych zdawało ten egzamin za pierwszym razem, a i doświadczeni piloci mieli kłopoty, jeśli nie uczyli się systematycznie, a wezwano ich na sprawdzian bez uprzedzenia.

Kiedy Jamieson skończył, obcy wstał i rozpoczął część odprawy leżącą w gestii dowódcy misji. - Chwileczkę - przerwał Jamieson, zupełnie zaskoczony. - To nie pańska rola...

- Tym razem ja jestem pańskim dowódcą misji - powiedział obcy grzecznie, ale tonem nie znoszącym sprzeciwu. Dowódca misji na pokładzie bombowca B-2A pełnił obowiązki drugiego pilota oraz obsługiwał systemy ofensywne i defensywne, chociaż w razie konieczności każdy z pilotów mógł przeprowadzić misję samodzielnie. - Do zadań dowódcy misji zawsze należy...

- Jeśli będę chciał coś od pana usłyszeć, to się zgłoszę...

- Pozwól mu prowadzić odprawę, Tony - powiedział generał Wright. - Chcemy posłuchać.

- Dziękuję, panie generale - powiedział obcy. - Poprowadzę część odprawy jako dowódca misji, w zakresie procedur awaryjnych podczas lotu na symulatorze. Będę oceniany w trzech podstawowych dziedzinach: znajomości wszystkich procedur i instrukcji technicznych; sprawności na stanowisku dowódcy misji w sytuacjach normalnych i nadzwyczajnych; i sprawności - jako członek załogi latającej - w sytuacjach awaryjnych. Ponieważ pułkownik Jamieson tego nie zrobił, rozpoczniemy od określenia czasu...

Nie zważając na protesty Jamiesona, cywil przystąpił do standardowej odprawy dla załogi, określając zakres swojej odpowiedzialności, podając najważniejsze czasy, trasę lotu, kierunek ataku, wyznaczone cele, bazy z alternatywnymi lotniskami, a potem opisał własne działania w krytycznych fazach lotu. Przeprowadził swą odprawę kompetentnie i zwięźle - było jasne, że się na tym zna.

Jamieson nie ukrywał zdziwienia. Ten facet musiał być kiedyś członkiem załogi bombowca, miał bogate doświadczenie w lataniu na różnych samolotach bojowych, znał najdrobniejsze szczegóły techniczne bombowca B-2A i obowiązujące procedury ataku. Nie miał żadnego wyraźnego akcentu - nie pochodził z Nowej Anglii ani z Południa, ani z Teksasu, ani ze Środkowego Zachodu. Kim był? Dlaczego Jamieson nigdy o nim nie słyszał?

Samson traktował flotyllę bombowców B-2A Spirit Sił Powietrznych USA niemal jak swą własność i nie było mowy, żeby ktoś poleciał taką maszyną, zanim Tygrys go nie sprawdził. Poza tym, zawsze warto było oddać przysługę trzygwiazdkowemu generałowi, zwłaszcza takiemu facetowi jak Buldożer. Terrill Samson spędzał prawie tyle samo czasu, składając na Kapitolu wyjaśnienia w sprawie rozbudowanej floty ciężkich bombowców, co w swej kwaterze głównej w bazie Barksdale pod Bossier City w Luizjanie; jego jedno słowo w Waszyngtonie i w Pentagonie było zapewne na wagę kolejnego zamówienia na dostawę nowoczesnej broni, na modernizację bombowca B-52 lub B-1B, może nawet na wagę jeszcze jednego skrzydła bombowego B-2A - nie mówiąc o jednej, albo i dwóch gwiazdkach na ramionach Jamiesona w niezbyt odległej przyszłości...

Nikt, nawet ten wielki, groźnie wyglądający trzygwiazdkowy generał nie mógł „Tygrysowi” Jamiesonowi mówić, z kim ma latać, ale Jamieson, zaintrygowany tajemnicą otaczającą obcego i wyraźnym pośpiechem, z jakim zorganizowano mu sprawdzian, w końcu zgodził się współpracować.

- Zatrzymać taśmę. - Obraz na monitorze wysokiej rozdzielczości za oknami kabiny natychmiast przestał się zmieniać, podobnie jak wskazania wszystkich instrumentów pokładowych. - Zapisać pozycję przełączników i parametry lotu. Dajcie mi wydruk. - Obraz na monitorze zmienił się - byli teraz nad wielką pustynią, a w dali widać było światła pasa startowego. - Dziękuję. Pięć minut przerwy dla wszystkich, potem przygotujcie symulator do następnej sesji.

Cywil usiadł wygodnie w swym fotelu w kabine symulatora B-2A, „Ducha Piekiel” (wszystkie bombowce B-2A oficjalnie nosiły nazwy stanów amerykańskich, ale temu symulatorowi nadano nazwę miejsca, z którym większość załóg kojarzyła spędzony w nim czas) i rozluźnił mięśnie. - Pułkowniku, pozostało jeszcze do zaliczenia podejście z wyłączonymi silnikami oraz lądowanie - powiedział, wpatrując się w obraz na monitorze wysokiej rozdzielczości, jakby naprawdę patrzył w dal. - Jestem gotów, możemy zaczynać, gdy tylko skonfigurują symulator.

- Nie muszę oglądać podchodzenia - powiedział Jamieson. Z ponurą miną odwrócił się do młodszego mężczyzny w fotelu obok. - Moim zdaniem wie pan dość, żeby stać się zagrożeniem. Wie pan mnóstwo rzeczy o tej bestii, ale to jeszcze o wiele za mało, żeby wykonywać loty bojowe. Sprządzian zakończony.

- Pułkowniku, jesteśmy tu po to, żeby sprawdzić moją znajomość procedur awaryjnych - powiedział cywil. - Jedną z nich jest podejście z wyłączonymi silnikami.

- Nie muszę oglądać podejścia - powtórzył z uporem Jamieson, wycierając pot z czoła i groźnie patrząc na cywila - a wszystkie sprawdziany na B-2A sam opracowałem, więc nie musi mi pan mówić, co obejmują. - Symulator B-2A nie miał sobie równych na świecie pod względem realizmu i nawet po prostych lotach bojowych ludzie często wychodzili z niego wyczerpani, i zestresowani. Jednak obcy wyglądał, jakby w ogóle nie był zmęczony, zauważył Jamieson. Nie miał nigdzie ani



kropelki potu. Albo był na prochach, albo miał w żyłach lód zamiast krwi. - Nie mam wątpliwości, że potrafi pan wykonać podejście, przeprowadzić procedurę kontrolną, może nawet wylądować na jednym silniku, chociaż nie jest pan pilotem B-2A - ani w ogóle pilotem - powiedział Jamieson. - Po prostu nie nadaje się pan do latania tą maszyną i kropka. - Cywil zachował zimną krew, nie zareagował na te słowa, siedział w milczeniu i patrzył w dal.

Ten facet zrealizował właśnie scenariusz procedur awaryjnych, który wykończyłyby większość pilotów, nawet tych najbardziej doświadczonych. Na początek sprawdzianu operator symulatora włączył polecenie startu alarmowego - Jamieson robił coś takiego po raz ostatni dobre pięć lat - temu, kiedy latał na bombowcu B-1B Lancer. Potem mieli całkowitą awarię głównego układu hydraulicznego B-2A i po krótkiej, ale gwałtownej wymianie poglądów postanowili kontynuować lot. Operator dorzucił serię na pozór drobnych usterek, większością których zajęły się automatycznie nowoczesne komputery kontroli lotu B-2A. Pod koniec, podczas nalotu bombowego, wszystkie te drobne usterki okazały się jedną niesamowicie poważną awarią, która groziła przerwaniem misji, a może nawet powodowała konieczność katapultowania się załogi.

Nie katapultowali się. Obcy uporał się ze wszystkimi usterkami. Jamieson musiał przyznać (oczywiście tylko w duchu) że nie miał pojęcia, dlaczego B-2A nie wyrócił się na plecy i nie uderzył w ziemię, albo dlaczego nie został posiekany na kawałki przez stanowiska obrony przeciwlotniczej, które wprowadzono do scenariusza. Podczas normalnego sprawdzianu, kiedy w kabinie robiło się gorąco i załoga zaczynała tracić koordynację, operatorzy zaczęli redukować czynniki zewnętrzne odwracające uwagę - spłaszczali teren, poprawiali pogodę, zmniejszali liczbę zagrożeń - dając załodze ostatnią szansę wzięcia się w garść i produktywnego wykorzystania czasu w symulatorze, nawet jeśli egzamin był oblany. Nie było to realistyczne - w rzeczywistości liczba zagrożeń rosła, a nie malała w miarę upływu czasu - ale przynajmniej sesja w symulatorze nie była zupełnie zmarnowana.

Obcy nie tylko nie oblał egzaminu, ale poradził sobie, mimo że operator symulatora nie zmniejszył liczby zagrożeń. Dotarli nad cel, z dużej wysokości zrzucili serię dziewięćsetkilogramowych bomb burzących na stanowisko dowodzenia, a potem z małej wysokości zaatakowali bombami kasetowymi pas startowy i stację radarową. Wszystkie bomby zrzucili na czas i wszystkie trafiły w cel. Jamieson nie wiedział, czy bomby zostały uzbrojone - dowódca misji sprawdzał tyle list kontrolnych i żonglował na monitorach tyloma informacjami o awariach, ustawiał tyle różnych przełączników, że Jamieson nie mógł za nim nadążyć - ale przeprowadzili zaplanowane ataki i odlecieli znad celu, mając co najmniej dwa silniki sprawne, i obaj wciąż żyli. W warunkach, jakie im zaprogramowano, nie osiągnęłyby tego większość załóg skrzydła. Powrót do bazy nie należał do procedur awaryjnych podczas sesji w symulatorze. - Posłuchaj, synu, jak na cywila jesteś bardzo pojętnym uczniem i myślę, że świetnie poradziłybyś sobie w załodze - mówił dalej Jamieson - ale kandydat na B-2A musi ukończyć dwunastomiesięczny kurs w szkole pilotów Sił Powietrznych, spędzić pięć do siedmiu lat w samolotach szturmowych, przejść przez sito weryfikacyjne, przepuszczające jednego na dwustu, ukończyć trudny, sześciomiesięczny kurs dla załóg B-2A tutaj, w Whiteman, sześciomiesięczny kurs kwalifikacyjny, a potem spędzić jeszcze co najmniej dwa lata jako pilot B-2A, zanim możliwy będzie awans na fotel dowódcy misji. Pokazałeś mi dzisiaj parę rzeczy świadczących, że potrafisz uporać się z takim programem.

Przestań głaskać tego faceta, upomniał się w duchu Jamieson. On nie ma kwalifikacji niezbędnych do latania na B-2A. Nie kwalifikuje się i kropka. Pewnie, znał wszystkie systemy i podstawy latania,

ale to nie daje mu jeszcze prawa do zabawy w dowódcę misji na pokładzie samolotu kosztującego miliard dolarów.

- Ma pan jakieś konkretne zastrzeżenia, pułkowniku? - spytał spokojnie obcy.

- Kilka, ale to bez różnicy - odpowiedział Jamieson. - Największym błędem była decyzja kontynuowania lotu. Myśląca załoga nigdy nie zdecydowałaby się lecieć z awarią głównego układu hydraulicznego. Ten samolot jest zbyt cenny; do cholery, mamy ich tylko dziesięć. W razie poważnej awarii zawraca się do bazy i leci do walki następnego dnia. Natychmiast dostałbyś zgodę na podejście z wyłączonymi silnikami, gdybyś wywołał stanowisko dowodzenia i zawrócił, jak się tego od ciebie oczekiwano. Potem wysłalibyśmy cię na atak bombowy tylko z defektem zasilania i zapewne byłbyś w stanie uniknąć ataku myśliwców, bo hydraulikę miałbyś w porządku, a ster kierunkowy cały. Gdybyś miał opanowaną doktrynę taktyczną, wiedziałbyś o tym. - Jamieson nie wspomniał, że jednak jakoś przeżyli atak myśliwców. Bombowiec typu stealth, który stracił swoje „niewidzialne” właściwości był dziecinnie łatwym łupem dla każdego nowoczesnego myśliwca - dowódca misji zdołał jakoś (znów to słowo) wymanewrować i przetrwali dwa ataki rakietowe oraz dwa ataki z działek pokładowych. Tak, zostali trafieni, ale wciąż żyli, a maszyna była zdolna do lotu! Ten facet spisał się na medal. Niestety, Jamieson nie zamierzał mu go wręczać.

- A może ludzie, którym mieliśmy udzielić wsparcia, pilnie potrzebowali nas nad celem w wyznaczonym czasie? - powiedział cywil. - Może liczyli na nas? Może ich życie zależało od...?

- Nie ma sensu narażać sprzętu wartości ponad miliarda dolarów, broni, paliwa i ludzi - przerwał rozdrażniony Jamieson. - Na pierwszym miejscu stawia się u nas bezpieczeństwo lotu, synu. Przygotowując operację bojową, zawsze planuje się rezerwowe maszyny.

- Jednak nie zawsze, sir. B-2A ma cztery silniki, cztery niezależne układy hydrauliczne i cztery niezależne systemy kontroli lotu z jednego powodu - chodzi o to, żeby móc kontynuować lot, kiedy zawiedzie jeden z systemów, dwa, a nawet trzy.

- Negatywnie oceniam pańskie działania i nie zamierzam wdawać się w dyskusję - przerwał Jamieson. - Wyjaśniam, dlaczego nie zdał pan sprawdzianu na symulatorze - o taktyce i doktrynie możemy porozmawiać u „Snobstera” przy piwie. - „Snobster”, kiedyś klub oficerski w Whiteman, był obecnie zwyczajnym barem, dostępnym dla całego personelu bazy. - Widać, że ciężko pracowałeś, synu, i że aż rwiesz się do akcji. Od razu można poznać, że miałeś już do czynienia z ciężkimi bombowcami, ale wiele, wiele lat temu. Powiem ci prawdę - gównu wiesz o nowoczesnych bombowcach. Skończyły się czasy dokonywania napraw w locie, używania gumy do zucia i kłębka drutu do utrzymania maszyny w powietrzu. Skończyły się i nigdy nie wrócą. Dziś obowiązkiem załogi w nowych Siłach Powietrznych jest monitorowanie i obsługa systemów. Jeśli coś się zaczyna psuć, zawracasz do bazy i sięgasz po plan awaryjny. Jesteś dobry, synu. Jesteś dobrym operatorem systemów...

- W czym problem, pułkowniku? - spytał cywil, zdejmując słuchawki. Przydługie włosy spadały mu na czoło spoconymi pasemkami - aha, więc to jednak nie robot. Jednak się poci! - Skoro mówi pan, że potrafisz latać na B-2A...

- Niech mi pan da parę tygodni, a nawet małą nauczę latać na tej maszynie - powiedział Jamieson, odpinając pasy i ruszając do drzwi w tylnej części kabiny symulatora - ale nie chciałbym lecieć z taką cholerną małpą na wojnę. Małpa może zrzucać bomby, obsługiwać MDU\*, pewnie nawet podejść do lądowania, jeśli dasz jej dość bananów - ale nigdy nie będzie cię mogła zastąpić i nie będzie w stanie podejmować właściwych decyzji. Potrzebuję dowódcy misji, który nie tylko

przeprowadzi procedurę startową, ale też podejmie właściwe decyzje na podstawie znajomości doktryny taktycznej i lat doświadczenia. Przykro mi, pan tego nie potrafi. - Wychodził z kabiny, ale jeszcze odwrócił się do obcego. - Jestem pewien, że jest pan dobrym lotnikiem i zdolnym uczniem, że kiedyś może się pan dostać do B-2A, ale nie teraz.

\* Mission Display Unit - monitor podający informacje dotyczące wykonywanej operacji [przyp. tłum.].

- Dziękuję za tę lekcję, pułkowniku - powiedział cywil do odwróconego już plecami Jamiesona. Mówił cicho, a jednak zabrzmiała w tym jakaś pewność siebie, może trochę przekory?

Jamieson nie odpowiedział. Musiał przyznać, że facet był lepszy niż przypuszczał. Tak, podejmowanie decyzji było ważne, ale przecież właśnie po to Bóg stworzył funkcję dowódcy samolotu i koordynację załogi. Jamieson zdecydowanie wolałby mieć w prawym fotelu dobrego operatora systemów, zamiast jakiegoś zadufanego w sobie eksperta od taktyki. Musiał przyznać, acz niechętnie, że nie podoba mu się, iż - decyzją Sił Powietrznych - w prawym fotelu bombowca B-2A zasiadał drugi pilot, a nie nawigator lub inżynier pokładowy potrafiący latać. A w ogóle najlepiej byłoby pozostawić trzeci fotel i powiększyć załogę o nawigatora-inżyniera-bombardiera. Powiedział cywilowi, że wie trochę o paru rzeczach; tak naprawdę facet wiedział prawie wszystko. Taki ktoś bardzo by się przydał w załodze bombowca, bez względu na to, w jakiej formacji służył, a nawet jeśli nie służył dotąd w żadnej.

Drzwi kabiny otworzyły się i szef obsługi „Ducha Piekieł” podszedł do Jamiesona. - Skończyliśmy na dzisiaj, sierżancie - powiedział Jamieson, wychodząc z kabiny na stalową platformę, na której ustawiony był symulator. - Możesz zresetować komputer, kiedy gotowy będzie wydruk.

- Hm, sir...

- Gdzie jest ten wydruk? - Jamieson chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkł, widząc uzbrojonych strażników w korytarzu prowadzącym do symulatora. - Co tu się dzieje? - spytał ostrym tonem. - Co u diabła robią tu ci strażnicy?

- Ja ich tu ściągnąłem - powiedział generał Terrill Samson. Potężnych rozmiarów trzygwiazdkowy generał był w pomieszczeniu obsługi symulatora. Miał w ręku wydruk danych lotu na symulatorze i wielką aktówkę z szyfrowym zamkiem. Rany boskie, pomyślał Jamieson, ten facet jest naprawdę ogromny! Jak on się mieścił w kabinie myśliwca? - Dziękuję, sierżancie. Przepraszam, ale muszę porozmawiać z pułkownikiem Jamiesonem. Proszę mnie powiadomić, kiedy przyjadą ludzie z serwisu. - Za chwilę byli już sami w pokoju. Jamieson zauważył, że wyszli wszyscy z wyjątkiem dwóch strażników uzbrojonych w pistolety maszynowe Uzi.

Jamieson był wysoki, ale dowódca Ósmej Armii Sił Powietrznych przewyższał go o głowę. Było to trochę przerażające nawet dla kogoś takiego jak Jamieson, który normalnie nie bał się nikogo. Tony Jamieson spędził ponad cztery tysiące godzin za sterami kilkunastu różnych samolotów bojowych Sił Powietrznych USA, między innymi wykonał ponad sześćdziesiąt lotów bojowych nad Irakiem i jeśli ktoś mógł się poszczycić lepszymi osiągnięciami, miał zapewniony szacunek Jamiesona. Terrill Samson był kimś takim. - Panie generale - powiedział Jamieson do Samsona. - Po co te straż?

- Zamierzamy wprowadzić parę modyfikacji do symulatora - powiedział Samson - żeby przetestować kilka nowości. Prace potrwać nie więcej niż dzień-dwa. Na razie będziecie musieli korzystać z drugiej kabiny. Jak poszło z tym chłopakiem?

- Tak sobie - odpowiedział Jamieson. - Ma dużą wiedzę podręcznikową, dobrze zna niektóre systemy, nieźle pilotuje, ale nie zna doktryny taktycznej ani procedur.

- Mógłby być uczestnikiem szkolenia bojowego załóg B-2A? - spytał Samson, nawiązując do wstępnego, sześciomiesięcznego programu treningowego w 509. Skrzydle Bombowym. - A jeśli tak, to na jakim etapie?

- Jako pilot jest przeciętny, ale sądząc po znajomości systemów zaklasyfikowałbym go gdzieś na drugim, albo i trzecim etapie szkolenia. Wyższy poziom...

- Czyli oceniasz, że jest równie dobry jak przeciętny pilot, mający za sobą połowę sześciomiesięcznego szkolenia?

- Jest tam mnóstwo kandydatów, którzy lepiej potrafią latać - powiedział pośpiesznie Jamieson, wciąż nie chcąc otwarcie przyznać, że facet był całkiem dobry. Bał się wywołać wrażenie, że przymyka oko na rygorystyczne kryteria, jakie sam ustanowił dla załóg B-2A. - Facet sprawia wrażenie, jakby wyszedł z wprawy w pilotowaniu ciężkich maszyn.

- Nigdy nie był pierwszym pilotem - powiedział Samson z uśmiechem. - Latał jako nawigator, głównie na B-52.

Jamieson był zaskoczony, wręcz zaszokowany. Nie zdziwiło go, że facet był nawigatorem na bombowcach, ale był przekonany, że tamten musiał być przed laty także pilotem.

- No to gdzie się nauczył latać?

- HAWC - odpowiedział Samson - ale pamiętaj, że to poufna informacja. W najwyższym stopniu poufna.

- HAWC? - wykrzyknął z niedowierzaniem Samson. - Co za bzdury...? Przepraszam, sir, chciałem powiedzieć... Ten facet naprawdę latał w HAWC? Kiedy? Na czym?

Samson przymknął oczy, jakby samo wypowiedzenie słowa HAWC wiele go kosztowało. - Tony, wyświadczyć mi ogromną przysługę i zatrzymaj swoje pytania dla siebie - powiedział zniecierpliwiony.

Jamieson dokładnie tak postąpił - wiedział równie dobrze jak Samson, co Departament Obrony robi z tymi, którzy pisną choćby słówko o jego najtajniejszym z tajnych obiektów badawczych. Tylko najlepsi piloci i inżynierowie dostawali się do HAWC - wielu doskonałych, doświadczonych pilotów, w tym również Jamieson, nie odważyło się starać tam o pracę z obawy przed odmową albo przed konsekwencjami, jakie praca w takim tajnym obiekcie mogła mieć dla ich życia prywatnego.

Samoloty i uzbrojenie, w ogóle wszystko, nad czym pracowano w HAWC, było objęte najściślejszą tajemnicą; każde pytanie o to miejsce, czy nawet zupełnie przypadkowa wzmianka na jego temat musiały być zgłoszone OSI, Specjalnemu Wydziałowi Śledczemu Sił Powietrznych. Jamieson wiedział, że Samson będzie musiał zgłosić go OSI z powodu rozmowy, jaką właśnie prowadzili - i że takie zgłoszenie na zawsze zmieni jego, Jamiesona, życie, ponieważ od tej pory odpowiednie służby będą mu się bardzo uważnie przyglądać. Niedawne przecieki, do jakich podobno doszło w HAWC, nie pozostawiały żadnych wątpliwości - każdy, kto choćby pośrednio miał coś wspólnego z tym obiektem, z pewnością będzie uważnie obserwowany; nie będzie już mieć prawa do prywatności, całe jego życie prywatne i publiczne będzie dokumentowane i analizowane przez Departament Obrony, dopóki śmierć nie zamknie teczek z aktami.

- Przepraszam, sir, ale bardzo wielu rzeczy mi pan nie powiedział - nie ustępował Jamieson. - Mówi pan, że ten facet, chociaż był kiedyś w wojsku, teraz jest cywilem, a mimo to udostępnia mu się dokumentację techniczną B-2A, dokumentację uzbrojenia, wpuszcza się go do symulatora z

włączonym radarem. Nikt bez specjalnego upoważnienia nigdy dotąd nie widział tego radaru przy pracy, a on nie tylko obserwował, ale też wiedział, jak go obsługiwać w warunkach bojowych!

- Skończ z pytaniami, Tygrys - powiedział Samson. - Chcę wiedzieć jedno: poleciałbyś z nim, teraz, zaraz, na lot bojowy?

- Ani teraz ani za sto lat! - odparł Jamieson. - Niby dlaczego, sir? Mam w swoim skrzydle trzydziestu najlepszych pilotów na świecie, w pełni przeszkolonych i zakwalifikowanych do latania na B-2A. Dlaczego miałbym latać z kimś, kto się nie kwalifikuje?

- Nie proszę cię, żebyś dokonywał wyboru między nim a wyszkolonym członkiem załogi - odparł Samson. - Pytam, czy poleciałbyś z nim, gdyby...

- Gdyby był ostatnim człowiekiem na ziemi? - przerwał Samson. Nie miał pojęcia, dokąd ta rozmowa prowadzi, ale z pewnością nie wróżyła nic dobrego. - Mógłby mnie zastąpić przy wykonywaniu większości zadań, ale... nie, sir, nie poleciałbym z nim. Szkoda byłoby dobrego samolotu.

- Wróćmy do dzisiejszej sesji na symulatorze. Jakie były szanse, że zniszczy wyznaczony cel? - spytał Samson.

Jamieson wzruszył ramionami. - Widział pan rezultaty, sir. Trafił w wyznaczone cele, więc zapewne miałby stuprocentową skuteczność. Ale jego szanse dotarcia do celu za pierwszym razem oceniałbym na siedemdziesiąt pięć procent, a to już nie jest dobrze; mógł zawrócić do bazy, gdzie naprawiono by maszynę i polecieć na lot bojowy stuprocentowo sprawnym bombowcem. Jakie były szanse na bezpieczny powrót samolotu i załogi, kiedy dopuścił do skumulowania się tych wszystkich usterek? Dwadzieścia procent, nie więcej. Źle ocenił sytuację.

- A jeśli operację trzeba było koniecznie przeprowadzić wyznaczonego dnia, o wyznaczonej godzinie?

- Można było wziąć zapasową maszynę, sir - odpowiedział Jamieson. - Jeśli do zniszczenia celu potrzebny jest jeden bombowiec, niech wystartują trzy. Jedną maszynę można odesłać do bazy po ostatnim tankowaniu w przestrzeni powietrznej USA, druga niech zawróci tuż przed wejściem w przestrzeń powietrzną nieprzyjaciela. Maszyna z najlepszą załogą leci nad cel i zrzuca bomby.

Samson skinął głową; właśnie tak należało postąpić. Był wdzięczny Jamiesonowi, że mu o tym przypomniał - i wściekły na swych przełożonych, że zmusili go do zlekceważenia podstawowych zasad strategicznego lotnictwa bojowego. Ale tryby już się zaczęły obracać; Samson musiał się trzymać wytycznych, dopóki tylko było to możliwe. - A gdybyś dysponował tylko jednym bombowcem? - spytał. - Co wtedy?

- Sir, przede wszystkim w ogóle nie dałbym się postawić w takiej sytuacji - powiedział Jamieson z przekonaniem. - Nie może pan pozwolić tym liczykrupom, żeby ograniczali panu możliwości w imię oszczędzania pieniędzy albo zmniejszenia ryzyka - jakby w ogóle mieli pojęcie o zmniejszaniu ryzyka, jeśli nie chodzi o ich własną skórę. Jeśli nie ma pan innych możliwości, niech pan zasugeruje odwołanie całej misji i poszukanie innego rozwiązania. - W tym momencie do pokoju wszedł cywil, niosąc swe wykresy i listy kontrolne. - Będzie pan musiał poczekać na zewnątrz, sir. - Facet nie ruszył się jednak z miejsca, a Jamieson zauważył, że w jego postawie, w całym zachowaniu zaszła zmiana. Już nie wyglądał na cichego, skromnego urzędnika.

- Co pan na to, generale? - zapytał cywil.

Jamieson poczuł, że ogarnia go gniew. - Powiedziałem, żeby pan poczekał na zewnątrz...

Obcy nadal ignorował dowódcę Grupy Operacyjnej. - Generale, muszę wiedzieć zaraz.

- Kolego, słyszałeś, co powiedziałem?

- Tygrys... - wtrącił się Samson. Jamieson był wstrząśnięty - obcy praktycznie rozkazywał Samsonowi. - Muszę... musimy cię o coś spytać.

- Co tu się dzieje, sir? - spytał Jamieson i zaraz zwrócił się do cywila.

- Może zechciałby pan wyjaśnić...

- Tygrys, ten dżentelmen... wstąpi na jakiś czas do 509. Skrzydła - rozpoczął Samson. - Mamy zamiar wziąć bombowiec B-2A, załadować go najnowocześniejszym uzbrojeniem i wykonywać loty bojowe za granicą - tyle że nie będą to operacje Sił Powietrznych. Potrzebujemy dowódcy bombowca B-2A, w miarę możliwości najlepszego z najlepszych - generał Wright mówi, że to ty, a ja się z nim zgadzam.

- Generale, o co tu, do diabła, chodzi? - zawołał Jamieson. - Dla kogo ten facet pracuje?

- Nie ma pan prawa niczego ujawniać - powiedział obcy do Samsona.

- Powiedziałem panu, że nie pozwolę, by ktoś z moich ludzi zaangażował się w ten projekt, nie mając pełnego obrazu sytuacji - odparł Samson. - Jamiesonowi można ufać. Powiemy mu, albo sprawa bierze w łeb.

Cywil spojrzał na Samsona, a potem na rozgniewaną twarz Jamiesona i skinął głową. - W porządku, sir - powiedział podpułkownik w stanie spoczynku Sił Powietrznych USA Patrick S. McLanahan. - Przejdźmy do Bunkra.

Bunkrem nazywano dwupiętrowy budynek o powierzchni prawie dwóch tysięcy metrów kwadratowych, należący do Dywizjonu Wsparcia Operacyjnego 509. Skrzydła. Bunkier był strzeżony dzień i noc przez ludzi i mnóstwo najprzeróżniejszych elektronicznych oczu i czujników. Powód: do Dywizjonu Wsparcia Operacyjnego napływały w czasie rzeczywistym informacje wywiadowcze z całego świata; analizowano je tu w trybie ciągłym, przygotowując i aktualizując plany operacji bojowych dla bombowców B-2A i innych bombowców dalekiego zasięgu.

Kiedy Rosjanie przemieszczali raketę SS-21 z jednej wyrzutni na drugą, albo kiedy Irak rozmieszczał nowe myśliwce, kiedy powstawała nowa baza terrorystyczna w Sudanie, albo kiedy w Chinach nowa wyrzutnia rakiet ziemia-powietrze osiągała zdolność operacyjną, komputery Dywizjonu Wsparcia Operacyjnego aktualizowały mapy, plany lotów, kierunki ataków, listy celów i przewidywane zagrożenia, ujęte w dziesiątkach planów operacji bojowych. Jeśli załogi bombowców stealth otrzymywały zadanie bojowe, Dywizjon Wsparcia Operacyjnego po prostu zapisywał najnowsze plany lotów i dane wywiadowcze na dwóch kasetach wielkości kaset wideo oraz drukował w szesnastu kolorach najnowsze mapy, korzystając z komputerowej bazy danych. Załogi wkładały kasety do czytników w samolotach i mogły startować. Łączność satelitarna z bombowcami B-2A umożliwiała załogom otrzymywanie najnowszych informacji wywiadowczych podczas lotu i ciągle aktualizowanie planów ataku, aż do ostatniej chwili przed zrzućeniem bomb.

W budynku Dywizjonu Wsparcia Operacyjnego było kilka sal, w których przeprowadzano odprawy załóg i przekazywano najnowsze informacje wywiadowcze. Generał Wright poprowadził Samsona, Jamiesona i obcego do jednego z większych pomieszczeń, ustawiając jednego strażnika w środku i jednego na zewnątrz.

Obcy wstał, zwrócił się do Jamiesona i zaczął mówić z kamiennym wyrazem twarzy. - To, co mam do powiedzenia, jest sklasyfikowane jako ściśle tajne, pułkowniku.

- Domyśliłem się - przerwał Jamieson, ani myśląc potulnie słuchać cywila. - Proszę mi powiedzieć, kim pan jest i czego pan chce.

- Nazywam się Patrick S. McLanahan, jestem podpułkownikiem Sił Powietrznych USA w stanie spoczynku - powiedział cywil. - Chciałbym...

- McLanahan! Znam to nazwisko! - zawołał Jamieson. - Brał pan udział w nalocie na siły chińskie na Filipinach kilka lat temu. Ja też. Prezydent dał panu jakąś nagrodę, czy pochwałę, ale nikt nie wiedział, kim pan jest, skąd się pan wziął i co pan właściwie robił.

McLanahan przytaknął. - Zgadza się, pułkowniku.

Trzy lata temu marynarka wojenna Chińskiej Republiki Ludowej podjęła próbę inwazji na Filipiny, kiedy wycofały się stamtąd wojska amerykańskie. Jamieson osobiście poprowadził trójkę bombowców B-2A do utrzymanej w tajemnicy operacji przeciwko chińskiemu stanowiskom obrony przeciwlotniczej. Po raz pierwszy użyto wtedy bombowców B-2A w walce... po raz pierwszy według dostępnych informacji. Zdaje się, że były jeszcze inne operacje bojowe...

- Był tam wtedy czwarty bombowiec, Tony - wyjaśnił Samson, jakby czytając w myślach Jamiesona - ale nie wystartował z Whiteman. Był na miejscu, zanim maszyny z Whiteman przeleciały na Guam, prowadził rozpoznanie i zajmował się zwalczaniem obrony przeciwlotniczej. Miał...

- Zwalczanie obrony przeciwlotniczej? Rozpoznanie? Nie mieliśmy wtedy żadnej broni do zwalczania... - Przerwał, zrozumiałwszy wreszcie. - Ten facet poleciał tam przed naszymi bombowcami z bronią do zwalczania obrony przeciwlotniczej? Myślałem, że radary na wybrzeżu i radary okrętowe dalekiego zasięgu zdjeliśmy pociskami manewrującymi.

- HAWC otrzymał zadanie wysłania kilku eksperymentalnych samolotów nad Filipiny oraz użycia eksperymentalnej broni i technologii kosmicznych do wsparcia operacji lotnictwa - wyjaśnił McLanahan. - Prezydent nie był pewien, czy powinien angażować przeciw Chińczykom znaczne siły USA, więc potajemnie wysłał jednostki HAWC, żeby zmiękczyć chińską obronę przeciwlotniczą, a tym samym ułatwić naloty Siłom Powietrznym USA. Zakładano, że im trudniej będzie im bronić się przed atakami, tym szybciej powrócą do stołu rokowań.

- Założenie okazało się słuszne - chińska marynarka wojenna wycofała się w ciągu kilku dni - powiedział z dumą Samson. - Było to wielkie zwycięstwo strategicznej potęgi lotniczej.

- Z tego, co słyszałem, HAWC nie narzekał ostatnio na brak kłopotów - powiedział sarkastycznie Jamieson. - Krążą plotki o katastrofie samolotu, inny samolot został podobno skradziony, zgadza się?

- Nie zamierzam wdawać się w szczegóły tego, co stało się w HAWC, pułkowniku - powiedział McLanahan, próbując nie okazać ogarniającego go gniewu i frustracji. Czuł, jak powracają najczarniejsze wspomnienia.

- Ale ostatecznie HAWC zamknięto, prawda? - spytał Jamieson.

- Tygrys, daj spokój - ostrzegł go Samson.

- W porządku, generale - wtrącił się McLanahan. - Tak, pułkowniku, HAWC rozwiązano. Prace nad nowymi rodzajami broni przeniesiono do bazy lotniczej Eglin; eksperymentalne samoloty przekazano bazie Edwards. Większość najbardziej egzotycznych samolotów i rodzajów broni zniszczono albo przeniesiono do bezpiecznych magazynów. Część odtajniono i przekazano siłom zbrojnym. 509. Skrzydło otrzymało jeden z naszych eksperymentalnych samolotów, AV-011. Personel latający i techników zatrudniono gdzie indziej. Członków kierownictwa posłano na wcześniejszą emeryturę; dotyczyło to także mnie.

- Nie wygląda mi pan na emeryta - powiedział Jamieson. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i strażnicy - mundurowi i w cywilu - wprowadzili jeszcze dwóch oficerów Sił Powietrznych.

- Pułkownik Jamieson, nie przybyłem tutaj, żeby pan mnie przeegzaminował; to ja egzaminowałem pana - powiedział McLanahan. Wskazał gestem nowo przybyłych. - Pułkownik Jamieson, to jest generał Brian Griffith, dowódca Agencji Wywiadu Lotniczego Sił Powietrznych, a to pułkownik George Dominguez, specjalista od spraw obsługi naziemnej B-2A, przydzielony do tej jednostki. Pani pułkownik Korpusu Piechoty Morskiej Marcia Preston jest moim zastępcą i oficerem łącznikowym odpowiedzialnym za kontakty z doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Pułkownik Dominguez, pułkownik Preston i ja tworzymy dowództwo sił specjalnych Agencji Wywiadu Lotniczego, mających oznaczenie kodowe LOT PRZYSZŁOŚCI. - Jamieson otworzył usta ze zdziwienia. McLanahan mówił dalej. - Zamierzamy używać B-2A do tajnych operacji rozpoznawczych i zwalczania obrony przeciwlotniczej, udzielając w ten sposób wsparcia operacjom Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.



- Jest pan z CIA? - wykrzyknął Jamieson. - Jest pan agentem tej cholernej CIA?

- Jestem członkiem załogi bombowca, a nie agentem CIA - zaprzeczył McLanahan.

- Jest pan najemnikiem, byłym lotnikiem pracującym dla CIA - poprawił go Jamieson. - Stracił pan robotę z powodu jakiegoś fiaska w HAWC, więc teraz oferuje pan swoje usługi facetom, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu...

- Gówno pan wie o mnie i mojej misji, pułkowniku!

- I gówno mnie obchodzi jedno i drugie!

- Dość tego, zamknijcie się! Obaj! - przerwał generał Samson. - Pułkowniku, wysłucha pan tego, co ten człowiek ma do powiedzenia. Potem będzie się pan też mógł wypowiedzieć, ale teraz proszę słuchać.

- Tak jest, sir - ustąpił Jamieson. - Przepraszam, ale jestem trochę zdezorientowany i trochę wściekły, że zgłasza mnie się „na ochotnika” do jakichś nielegalnych operacji. A więc czego ten LOT PRZYSZŁOŚCI chce ode mnie?

- Generał Griffith przejmuje AV-011 i przekazuje go na potrzeby LOTU PRZYSZŁOŚCI - wyjaśnił McLanahan. - Moim zadaniem jest pomaganie pułkownikowi Dominguezowi w wyposażeniu tej maszyny, a następnie rekrutacja, treningi i wykonywanie lotów rozpoznawczych oraz operacji zwalczania obrony przeciwlotniczej na Bliskim Wschodzie. Pana wybrałem na mojego dowódcę bombowca.

- Co takiego?

- Mam sformować grupę, która będzie potrafiła prowadzić tajne, ryzykowne operacje rozpoznawcze i bojowe na całym świecie. Bombowiec B-2A nie ma sobie równych; jest zgoda prezydenta i Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Załogę B-2A i obsługę naziemną mam wybrać spośród żołnierzy w służbie czynnej, między innymi.

- Chce pan powiedzieć, że formuje pan tajny dywizjon, żeby wykonywać loty bojowe na B-2A1 - zapytał Jamieson z niedowierzaniem. - To najbardziej zwariowany pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Przepraszam, generale, ale nie mogę w to uwierzyć.

- Nie krępuj się, Tygrys - powiedział Samson, przyglądając się McLanahanowi z wyraźną satysfakcją. - Mów, co masz do powiedzenia.

- No więc, McLanahan? - spytał Jamieson, krzyżując ręce na piersi.

McLanahan nie musiał być psychologiem, żeby zrozumieć, że Jamieson nie zamierza akceptować jakichkolwiek wyjaśnień - te skrzyżowane ręce były czymś w rodzaju ściany, od której odbijają się wszystkie sugestie. - Nie muszę panu niczego wyjaśniać, pułkowniku. Moje instrukcje przewidywały zwerbowanie pana do latania ze mną i moją ekipą oraz zadbanie o mój samolot.

- Pański samolot?

- AV-011 - powiedział McLanahan. - Technicy pułkownika Domingueza dokonują w nim modyfikacji, kiedy my tutaj rozmawiamy.

- Modyfikują go? Pan zwariował? To nasz najlepszy samolot! - wykrzyknął Jamieson. - To najlepsza maszyna, jaka kiedykolwiek opuściła zakłady Northrop! Ma najmniejsze odbicie radarowe, najlepsze silniki, najlepszą hydraulikę, najlepsze...

- Powinien być najlepszy - zajmowałem się nim w HAWC przez dwa lata, dokonując zmian i modyfikacji i poprawiając jego sprawność prawie pod każdym względem - dopowiedział McLanahan. AV-011 był kiedyś Samolotem Eksperymentalnym 002...

- To ten, który jakoby zniszczono podczas testów?

- Tak - powiedział McLanahan - HAWC ocalił go przed zniszczeniem, odbudował go - wydaliśmy pewnie ze ćwierć miliarda dolarów, żeby przywrócić mu sprawność i jeszcze wprowadzić udoskonalenia. Spędziłem niejedną długą noc z inżynierami, wyciskając z tego samolotu dosłownie wszystko. To było przed konfliktem na Filipinach. Tym samolotem latałem na misje bojowe - dwa razy. To jedyny samolot w całej flocie, wyposażony w podwieszane gondole dla urządzeń rozpoznawczych, mogący przenosić rakiety antyradarowe oraz pociski manewrujące...

- To nie może być ten sam samolot - zaprotestował Jamieson. - AV-011 nie ma szyny danych MILSTD\* dla systemów uzbrojenia. Może tylko zrzucać konwencjonalne bomby. Nie nadaje się do uzbrojenia w żadną „inteligentną” broń bez...

\* Skrótem MILSTD - od Military Standard (standard wojskowy) - określa się standardowe układy elektryczne i elektroniczne opracowane przez siły zbrojne USA dla dostawców cywilnych; każdy system uzbrojenia korzysta z MILSTD, aby samolot mógł „rozmawiać” z uzbrojeniem albo innymi systemami [przyp. red.].

- W HAWC nie korzystaliśmy z MILSTD - powiedział McLanahan. - MILSTD były za wolne, przestarzałe, zbyt podatne na zakłócanie i uszkodzenia. Wypożyczyliśmy parę komercyjnych szyn danych od pewnej firmy w Arkansas - technologia 64-bitowa, trzycyfrowa częstotliwość zegara, możliwość zastosowania światłowodów. Mamy to przygotowane dla naszej maszyny - ludzie ze Sky Masters, których tu ściągnąłem, zainstalują cały system z powrotem w ciągu około trzech godzin. Macie jakieś problemy z radarem?

- Nie - odpowiedział Jamieson. - Żaden z naszych radarów nie przysparza nam większych kłopotów.

- Gdyby pańscy ludzie zajrzeli do radaru SAR na AV-011, w ogóle nie wiedzieliby, co to takiego - powiedział z dumą McLanahan. - Zmodyfikowaliśmy niektóre podsystemy rozpoznania, namierzania celu i omijania przeszkód terenowych, wykraczając daleko poza standardy Block 30. Zasięg został zwiększony dwukrotnie, rozdzielczość trzykrotnie, radar ma możliwość przeszukiwania obszaru powietrznego, powierzchni morza, spektrum elektromagnetycznego, można go używać do sporządzania map powierzchni ziemi, do uwzględniania nierówności terenu podczas lotów na bardzo małej wysokości oraz do namierzania celów - ten SAR może jednocześnie programować rakiety antyradarowe i prowadzić zakłócanie. Loty z uwzględnianiem nierówności terenu prowadziliśmy już od lat, kiedy wreszcie oficjalnie wprowadzono standard Block 30.

Jamieson był mocno zaintrygowany. Zawsze podejrzewał, że takie organizacje jak HAWC pracują nad nowoczesnymi rozwiązaniami i bardzo chciałby brać w czymś takim udział, ale czy to, o czym mówił McLanahan, było właściwą drogą? - Nadal mi się to nie podoba, McLanahan - powiedział Jamieson. - Będziecie prowadzić operacje wojskowe, udzielając wsparcia... komu? Radzie Bezpieczeństwa Narodowego? CIA? Amerykańskim skautom?

- Proszę posłuchać, pułkowniku, otrzymałem zadanie do wykonania - zwerbować pana, by latał pan dla mnie na Samolocie Eksperymentalnym 002 - powiedział McLanahan, tracąc cierpliwość. - Zapewniono nas, że generałowie Samson i Wright są gotowi w pełni z nami współpracować. W zamian za to zgodziłem się powiedzieć panu trochę na temat całego przedsięwzięcia. Nie byłem

upoważniony do odpowiadania na jakiegokolwiek pytania i jestem pewien, że powiedziałem panu znacznie więcej niż powinienem. Teraz zgodzi się pan współpracować i przygotowuje...

- Hej, pułkowniku, nie będę latał dla nikogo, dopóki nie poznam całej historii - powiedział Jamieson. - Nie wezmę udziału w żadnej operacji szpiegowskiej w stylu Ollie Northa i Air America\*, za którą mogę zostać wezwany przed jakąś komisję Kongresu albo stanąć przed sądem wojennym. Pan powie mi, o co tu dokładnie chodzi, a ja się zastanowię, czy panu pomóc.

\* Formacja transportu lotniczego CIA, działająca w Indochinach podczas wojny w Wietnamie [przyp. red.].

McLanahan zauważył uśmiech satysfakcji na twarzy Samsona. Generał zdawał się mówić: „A ostrzegałem, że groźbami nic się u niego nie wskóra”. - Generał Samson był przekonany, że groźby nic nie dadzą - powiedział McLanahan - więc postanowiłem nie obchodzić się z panem zbyt ostro.

- Cwaniak z pana, McLanahan...

- Powiem więc tylko jedno, Jamieson. - McLanahan podszedł bliżej do „Tygrysa” Jamiesona i wpatrywał się w niego przez chwilę, nie ukrywając rozbawienia. - Zgodzi się pan współpracować ze mną, albo... znajdę sobie kogoś innego.

- Co takiego? - Jamieson nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby McLanahan właśnie pocałował go w usta. - Nie może pan tego zrobić... - Jamieson uznał, że tamten blefuje. - Niech mnie pan nie rozśmiesza, McLanahan - dodał zimno. Zauważył uśmieшек rozbawienia na twarzy McLanahana, potem zerknął na Samsona - wielki trzygwiazdkowy generał wcale się nie uśmiechał. - Pan zwariował, McLanahan - powiedział nerwowo. - Kogo innego by pan znalazł?

- Nieważne, kogoś znajdę.

- Hej, kolego, to ja szkoliłem wszystkich członków załóg B-2A na całej kuli ziemskiej - powiedział Jamieson, dźgając się w pierś kciukiem dla poparcia tego argumentu, a potem wyciągnął palec w kierunku McLanahana - może tylko z wyjątkiem ciebie i nie jestem całkowicie pewien, że ty się nadajesz. Zapomniałem więcej o tym bombowcu, niż wszyscy inni razem kiedykolwiek się dowiedzą! Nie znajdziesz nikogo lepszego, bo nie ma nikogo lepszego!

- Wezmę Eda Carlisle'a - powiedział spokojnie McLanahan. - Jest dowódcą 715. Dywizjonu Bombowego, młody, ale spędził już mnóstwo czasu w powietrzu, bystry chłopak...

- Carlisle? „Zbłąkany” Carlisle? Jedyne facet na świecie, który kiedykolwiek zabłądził lecąc bombowcem B-2A? - wykrzyknął Jamieson. - Ten facet miał przed sobą sprzęt nawigacyjny wartości pięćdziesięciu milionów dolarów, a mimo to zdołał wylecieć poza poligon podczas ćwiczeń - był prawie w Los Angeles, kiedy się zorientował. Na Boga, przecież to były pilot Marynarki!

- Jest też autorem podręcznika taktyki bojowej dla B-2A - powiedział McLanahan, wstał i zaczął wkładać papiery do teczki. - Potrafi wybiegać myślami w przyszłość, jest innowatorem, planistą - pan jest tylko szoferem. Powiem krótko, Jamieson - albo jest pan ze mną, albo nie bierze pan w tym udziału. Mamy zamiar wziąć udział w wojnie powietrznej przyszłego stulecia; ominie to pana, jeśli się pan do mnie nie przyłączy. No więc?

- McLanahan, bez takich numerów! - Jamieson był wściekły. Zdał sobie sprawę, że McLanahan mówił poważnie - był gotów rozejrzeć się za kimś innym! - Nawet się nie zastanawiasz, czy cały ten projekt ma szansę powodzenia. Teraz tylko strugasz waśniaka. Uderzyło ci do głowy...

- Nie prowadzę żadnej gry, pułkowniku - powiedział surowo McLanahan. - Dostałem zadanie i wykonuję je. Dalsza rozmowa z panem to strata czasu.

- Obaj jesteście jak urażone primadonny kłócące się, która głośniej pierdnie! Dość mam tego.

Zamknijcie się obaj! - powiedział gniewnie generał Samson, wyciągając palec w kierunku McLanahana i Jamiesona. - McLanahan, zgodziłem się poprzeć ten projekt tylko z jednego powodu: współpracują z tobą najlepsi, oddani ludzie, którzy nie zostawią Ameryki na pastwę losu bez względu na to, jak biurokraci, politycy i szpiegzy będą się starać, żeby wszystko spieprzyć. Carlisle jest cholernie dobry, ale ma dla mnie większą wartość jako oficer sztabowy i dowódca dywizjonu...

- Chwileczkę, generale! - przerwał gwałtownie Jamieson. - A co ze mną?

- Powiedziałem: zamknij się, Jamieson! - krzyknął Samson. - Tygrys, też jesteś dobrym oficerem i świetnym pilotem, ale nie jesteś wyrocznią w sprawach strategii wojny powietrznej. To nie konkurs piękności, Jamieson, to poważna sprawa i załatwimy ją teraz, albo wcale. McLanahan udowodnił mi, że potrafi latać na B-2A i nie rozwalić maszyny, więc jestem upoważniony do wyposażenia AV-011 i przekazania go McLanahanowi. Jestem przekonany, że jest tylko jeden członek załogi B-2A, któremu powierzyłbym misję, o jakiej była mowa: Tony Jamieson. Nie ma innej możliwości - albo wy dwaj, albo nikt. Ale to musi być dobrowolne - pułkownik Jamieson może przyjąć albo odrzucić tę ofertę, bez żadnych konsekwencji. - Odwrócił się do Jamiesona. - Powiedz, co myślisz, Tygrys, teraz masz szansę.

- Wszystko to jedno wielkie gówno, sir - powiedział gniewnie Jamieson. - Od kiedy jesteśmy na usługach bandy szpiegów? Jeśli chcą zniszczyć jakiś cel, to dlaczego nie postarają się o oficjalny rozkaz? Zdmuchniemy z powierzchni ziemi wszystko, czego sobie zażyczą. Nie potrzebujemy McLanahana. Mam najlepszych ludzi na świecie, gotowych polecieć na wojnę, zwłaszcza z Iranem. Niech pan powie słowo i ruszamy.

- Pułkowniku, oni mają samolot z bronią precyzyjnego naprowadzania, rakietami antyradarowymi i urządzeniami rozpoznawczymi, o jakich nigdy nawet nie słyszałem - powiedział Samson. - Jak dużo czasu zajęłoby panu przeszkolenie załogi w zakresie obsługi takiego sprzętu?

- Nie wiem, sir - powiedział Jamieson z rozdrażnieniem w głosie. - Może tydzień, może miesiąc. A może wszystko jest tak zautomatyzowane, że w ogóle nie potrzeba specjalistycznego szkolenia - wystarczy włączyć i patrzeć jak pracuje. Niech McLanahan będzie naszym ekspertem technicznym albo cywilnym instruktorem, ale niech pan nie robi z niego członka załogi.

- Pułkowniku, wie pan równie dobrze jak ja, że nie o to chodzi - powiedział Samson, odwrócił się do Jamiesona i przewiercił go na wylot wzrokiem. - Niech pan spojrzy prawdzie w oczy - skrzydło nie osiągnęło jeszcze zdolności operacyjnej. Minie co najmniej rok, a prawdopodobnie dwa lata, zanim pańskie samoloty i załogi będą mogły wykonywać loty bojowe. McLanahan i ten LOT PRZYSZŁOŚCI to najlepsze, czym dysponujemy i chcę, żeby brał pan w tym udział.

Jamiesonowi w dalszym ciągu się to nie podobało, nie akceptował odejścia od dobrze znanej, sprawdzonej drogi służbowej. Ale to była okazja, która zdarza się raz w życiu. - Komu bym bezpośrednio podlegał?

- Mnie - odpowiedział McLanahan. - Samolot, broń, personel - od tej chwili to wszystko należy do mnie.

- Ale pan jest cywilem - zaprotestował Jamieson, choć już nie tak ostro jak przedtem. - Nie będę podlegał jakiemuś cholernemu cywilowi.

- Moim szefem jest generał Griffith; w sprawach dotyczących tej misji podlega bezpośrednio Philipowi Freemanowi - dodał McLanahan. - A Freeman podlega bezpośrednio prezydentowi.

Jamieson wciąż jeszcze zwlekał z ostatecznym wyrażeniem zgody, ale McLanahan wiedział, że już go ma. Odwrócił się i skinął głową generałowi Samsonowi. - Dziękuję za pomoc, sir. Na

odprawie w południe poinformuje pana i generała Wrighta o postępie prac nad AV-011. Pułkownikowi Jamieson, ma pan sześćdziesiąt minut na opróżnienie biurka; spotkamy się tutaj o jedenastej, dokonamy przeglądu modyfikacji w tylnej sekcji AV-011. Proszę zabrać dokumentację techniczną i listy kontrolne, będziemy je musieli solidnie zaktualizować. - Odwrócił się do Samsona. - Ma pan jeszcze coś do mnie, sir?

- Tylko jedno, Patrick - powiedział Samson. - Od lat walczę o dokładnie taką rolę dla naszych strategicznych sił bombowych. Nigdy bym nie oczekiwał, że taka organizacja jak Agencja Wspomagania Wywiadu będzie sponsorować mój program, a tymczasem tak się właśnie stało i jest to bardzo ważne. Ale ja robię karierę dbając, by tego rodzaju misje kończyły się sukcesem i nadal będę walczył, nawet jeśli sprawa nie będzie już w moich rękach, kiedy pokwitujesz odbiór samolotu. To, co teraz robimy, nie przekształci się w kolejną aferę Iran-Contras ani - nie traktuję tego w kategoriach personalnych - w kolejną operację tego szaleńca Brada Elliotta.

- Biorę to osobiście do siebie, generale - powiedział McLanahan, a oczy zaiskrzyły mu gniewem. - Brad Elliott jest moim przyjacielem.

- Skoro tak, to przepraszam - powiedział szybko Samson, ale McLanahan doszedł do wniosku, że nie było to szczere. - Podtrzymuję swoje stanowisko: angażujemy się, gramy, żeby wygrać, ale trzymamy się zasad. Zgoda?

Jasnowłose, niebieskooki młody człowiek milczał przez chwilę. Samson pomyślał właśnie, że McLanahan był kimś, z kim mógłby współpracować, towarzysz broni, który działałby „od środka”, otwierając nowe perspektywy przed trustem mózgow Białego Domu...

Rysy McLanahana nagle stwardniały, oczy zwięziły się i pociemniały. McLanahan podszedł bliżej do wielkiego trzygwiazdkowego generała. - Ma pan rację, generale - powiedział cicho - będziemy się trzymać zasad, ale to będą moje zasady. To nie jest operacja Sił Powietrznych, ani nie pańska - to moja operacja, jasne? - Samson był zbyt zaskoczony nagłą zmianą postawy McLanahana, by zdobyć się na odpowiedź.

- Generale Samson, jest tylko jeden powód, dla którego powołano tę ekipę: ochrona życia agentów w terenie, którzy wykonują rozkazy swoich przywódców w Białym Domu - ciągnął McLanahan. - Jeśli zawiedziemy, ludzie będą ginąć - niektórzy z nich są moimi przyjaciółmi. Jeśli zginą, nie tylko zapomni się o nich - będzie tak, jakby nigdy nie istnieli. Otrzymałem szansę na sformowanie ekipy, która pomoże im przeżyć i dokładnie to będę robił..

Jamieson widział, jak generał Samson zaciska zęby. Jednak zamiast wybuchnąć, skinął głową, wycelował palcem w McLanahana i powiedział spokojnie: - Doskonale, panie McLanahan. Niech pan robi swoje. Gdyby potrzebował pan pomocy Ósmej Armii, żeby wykaraskać się z opresji, wystarczy zadzwonić. - Skinął głową Jamiesonowi, odwrócił się i wyszedł.

McLanahan odprowadzał go wzrokiem. Potem odwrócił się do Jamiesona. - Ma pan coś do dodania, zanim zaczniemy, pułkowniku? - spytał.

- Tak: sądzę, że z pana kawał sukinsyna - powiedział beznamiętnie Jamieson.

- Dziękuję, pułkowniku - powiedział McLanahan. - Z panem też się przyjemnie pracuje.

#### ◆ **Zatoka Omańska, Islamska Republika Iranu.**

**19 kwietnia 1999, godzina 06.12 czasu miejscowego**

Generał Buzhazi spojrział na lotniskowiec „Ajatollah Ruhollah Chomeini” po raz pierwszy, od kiedy przyholowano go do portu przed dwoma laty i pomyślał, że okręt nie wygląda o wiele lepiej - załoga wyczyściła go co prawda, ale sprawiał teraz wrażenie bardziej zagraconego,

zdezorganizowanego. Dwa lata temu stał w rosyjskiej stoczni Nikołajewo na Ukrainie, porzucony, w znacznej mierze odarty ze stalowych płyt, kabli, żarówek i śrubek. Zdarzyło się nawet, że podpalono go podczas jakiejś demonstracji antyrosyjskiej. Potem przeholowano go, najpierw do Bandar Abbas, a następnie do Czah Bahar, gdzie przez krótki czas służył za pływające więzienie. Więźniowie dalej go maltretowali, aż w końcu stał się najbrzydszą jednostką pływającą, jaką Buzhazi kiedykolwiek w życiu widział. A Iran płacił Chińskiej Republice Ludowej 500.000 dolarów miesięcznie, żeby móc z tego brzydactwa korzystać!

Teraz lotniskowiec miał na pokładzie ponad trzydzieści samolotów bojowych i trzy tysiące ludzi. Iran w dalszym ciągu płacił tylko pół miliona dolarów miesięcznie za jego używanie, ale Chiny co miesiąc płaciły Iranowi miliony za szkolenia, utrzymanie załogi i instalację nowoczesnych urządzeń.

- Witamy na pokładzie dumy floty wojennej Republiki Islamskiej - powiedział kwieciście admirał Pasdaranu Akbar Tufajli, kiedy Buzhazi wysiadł ze śmigłowca Mi-8, którym przyleciał na lotniskowiec z Bandar Abbas. Akbar Tufajli był jednym z młodych, energicznych „lwów” Buzhaziego w Pasdaranie. Kiedy Pasdaran był niezależną, elitarną formacją wojskową podczas wojny wyzwolenczej z Irakiem w latach osiemdziesiątych, Buzhazi oczekiwał, że Tufajli, ze swymi koneksjami politycznymi i rodzinnymi, będzie chciał w przyszłości zostać wielkim dowódcą. Kiedy jednak Pasdaran wcielono do regularnej armii irańskiej, szanse

Tufajliego na wielką karierę znacznie zmaleły. W tej sytuacji Tufajli zabiegał o najbardziej eksponowane funkcje, takie, do których nikt inny się nie palił. Na swej drodze do sukcesu nie wahał się kłamać, oszukiwać, kraść, płakać, zebrać i mordować. Uważał się za nieustraszonego, podczas gdy faktycznie był głupi, porywczy i zawsze rozglądał się za kozłami ofiarnymi.

Cóż, niewątpliwie wybrał sobie teraz najbardziej eksponowaną pozycję - był dowódcą pierwszego lotniskowca państwa bliskowschodniego. Sytuacja mu sprzyjała - po ataku Rady Współpracy Zatoki na wyspę Abu Musa budżet Tufajliego znacznie powiększono, a mułlowie spoglądali na niego łaskawie; miał niezłe szanse awansowania w hierarchii Pasdaranu. Ci, którzy wysuwają się przed innymi, czasem okrywają się chwałą, jednak zdarza się to bardzo rzadko. Tufajli sam był kowalem swego losu.

- Dziękuję, admirale - powiedział Buzhazi. - Chciałem przekonać się osobiście, czy wszystko gotowe, łącznie z tą „specjalną” dostawą...

- Wszystko gotowe, pracują nad tym moi najlepsi ludzie - zapewnił Tufajli. - Zaraz wszystko pokażę. - Omijając zabieganych ludzi i myśliwce z włączonymi silnikami, Tufajli poprowadził go przez stalowy pokład, wśród niezliczonych szlauchów, lin i łańcuchów, do ogromnego pomostu wyspowego i wjazdu, którym mieli zejść na niższy poziom. Buzhazi zauważył z pewnym rozbawieniem, że wielka biała flaga z sierpem i młotem - bandera radzieckiej marynarki wojennej namalowana na płaskiej stronie nadbudówki, bezpośrednio nad wjazdem - była w dalszym ciągu widoczna. Niech Allan ma nas w swojej opiece, pomyślał. Jeśli nie mamy dość farby, żeby to przyzwoicie zamalować, to co się stanie, kiedy przyjdzie czas, żeby wysłać tę balię do boju?

Na pokładzie hangarowym lotniskowca było tłoczno: samoloty, ludzie, wózki, narzędzia, części zamienne, stalowe płyty i tysiące najrozmaitszych rzeczy, które trudno było na pierwszy rzut oka rozpoznać i między którymi trudno było przejść. Chińczycy z obsługi pracowali wspólnie z oficerami irańskimi, ale prace przy samolotach wykonywali już tylko Irańczycy - Chińczycy stali dookoła i patrzyli. Zaparkowano tutaj dwadzieścia dwa z dwudziestu czterech myśliwców „Chomeiniego” i czternaście z szesnastu śmigłowców; wszystkie maszyny były w różnych stadiach remontu i żadna nie

sprawiła w tej chwili wrażenia gotowej do lotu.

Środki bezpieczeństwa były coraz ostrzejsze w miarę, jak zbliżali się do podwójnej, stalowej grodzi, która oddzielała hangar od magazynu pocisków raketowych. Następny przedział był równie wysoki i szeroki jak hangar, ale - w odróżnieniu od tego, co działo się na pokładzie hangarowym, było tutaj mnóstwo wolnego miejsca. Panowała ponura cisza - atmosfera pasowała do rodzaju zmagazynowanej tu broni. - Jesteśmy na miejscu, admirale - obwieścił Tufajli z dumą. - To za sprawą tego przedziału „Chomeini” nawet bez myśliwców Suchoj-33, wciąż byłby jednym z najpotężniejszych okrętów na tej planecie.

W dwóch rzędach po sześć sztuk stały przed nimi stalowe zasobniki z wyrzutniami pocisków raketowych średniego zasięgu P-700 Granit. Każdy zasobnik mierzył metr osiemdziesiąt średnicy i jedenaście metrów długości. Sięgały prawie do samego pokładu startowego. Dookoła poustawiane były dźwigi służące do przemieszczania pocisków, każdy o masie pięciu tysięcy kilogramów.

- Nie mamy na razie zapasowych pocisków, admirale - powiedział Tufajli - ale kiedy już zostaną dostarczone, będziemy je przechowywać w opancerzonych magazynach w pobliżu grodzi czołowych i rufowych. Wszystkie pociski raketowe lotniskowca, w tym P-700, są dostarczane przez ten luk na lewej burcie; mamy sprzęt umożliwiający przeniesienie raket, kiedy okręt jest w ruchu, chociaż większość takich operacji będzie się prawdopodobnie odbywać w porcie. Z magazynu rakiety przenosi się dźwigami do zasobników z wyrzutniami.

Tufajli skinął na oficera uzbrojenia. Zapaliło się światło ostrzegawcze i jeden z zasobników zaczął się powoli opuszczać na pokład, niczym sekwoja, opadająca na leśne poszycie. Już na pokładzie, górna część zasobnika odchyliła się, ukazując stożek nosowy rakiety.

Wyglądała jak długa, uskrzydłona igła. Korpus był cylindryczny, wąski, skrzydła krótkie i odchylone ostro do tyłu, w kierunku małych brzechw stabilizujących. Na nosie rakiety widać było niewielki wlot powietrza. Z tyłu, równoległe do dyszy wylotowej, zamontowane były dwa długie, cylindryczne silniki startowe. Cała rakietka była jasnoszara, z wyjątkiem głowicy pokrytej czerwonym plastikiem i stożka nosowego, oznakowanego na czarno i żółto.

- P-700 Granit, raketowy pocisk przeciwokrętowy, największa i najpotężniejsza broń tego typu na świecie - powiedział Tufajli z dumą. - Może lecieć z dwukrotną prędkością dźwięku, jej zasięg przekracza sześćset kilometrów. Jest sterowany własnym komputerem nawigacyjnym, dopóki nie znajdzie się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od celu; wtedy włącza swój radar pokładowy, namierza największy radar w swym zasięgu i precyzyjnie naprowadza się na cel. Do startu z zasobnika służą te dwa raketowe silniki, które rozpędzają pocisk mniej więcej do prędkości dźwięku i wtedy włącza się główny silnik. Rakietka leci po krzywej balistycznej, osiągając w pobliżu celu wysokość do trzydziestu tysięcy metrów, po czym nurkuje z wielką prędkością; praktycznie nie jest jej w stanie zestrzelić żadna ze znanych broni przeciwlotniczych. Ta gumowa osłona spala się podczas lotu nurkowego, chroniąc głowicę i układ naprowadzania.

- Jaka to głowica? - spytał Buzhazi.

Tufajli odwrócił się do oficera uzbrojenia, który zapewnił go, że w przedziale nie było nikogo niepowołanego, po czym skinął głową. - Tak, generale - powiedział do Buzhaziego - właśnie to pragnął pan zobaczyć: głowica termojądrowa NK-55. - Tufajli uderzył dłonią w żółto-czarną sekcję przednią. Rozległo się głośnie plaśnięcie i wszyscy dookoła aż podskoczyli na ten dźwięk. - Siła wybuchu regulowana od pięciu do trzystu kiloton. Zapalniki ciśnieniowe i wysokościowe sterowane radarem, detonacja na wysokości dwóch-trzech tysięcy metrów nad celem i w rezerwie detonacja

wtórna w momencie uderzenia w cel.

- Sądzi pan, że takie poklepywanie głowicy jest rozsądne, admirale? - zapytał lodowatym tonem Buzhazi.

- To absolutnie bezpieczne - odpowiedział Tufajli, w ogóle nie pojawiając, o co chodziło Buzhaziemu; sens pytania był w istocie następujący: „Czy sądzi pan, że straszenie szefa sztabu w ten sposób jest rozsądne z punktu widzenia pańskiej kariery i zdrowia?”.

- No tak... a te inne zasobniki?

- Nadal tylko konwencjonalne głowice z tysiącem kilogramów materiału wybuchowego, eksplodujące w momencie uderzenia - odpowiedział Tufajli. - Chcielibyśmy mieć więcej termojądrowych głowic bojowych do naszych rakiet.

- Nie wydaje się to prawdopodobne - powiedział generał Buzhazi - chyba że zdołamy przekonać prezydenta, iż Republika Islamska potrzebuje więcej takich głowic, by stawić czoło wrogom z regionu Zatoki Perskiej i z innych regionów.

- Myślę, że prezydent Natek-Nuri byłby najszcześniejszy, gdyby Iran w ogóle nie miał żadnych okrętów ani rakiet - zauważył Tufajli. - Ta jego propozycja wycofania wszystkich okrętów z Zatoki Perskiej i Zatoki Omańskiej! Po prostu śmieszne! Powinien pan doradzić prezydentowi, że w naszym najlepszym interesie leży dalsza agresywna rozbudowa potencjału militarnego i stworzenie lepszego krajowego przemysłu zbrojeniowego...

- Tak, admirale, ma pan oczywiście rację - przerwał Buzhazi, uciszając tego egoistycznego, napuszonego błazna. Każdy inny oficer natychmiast zostałby zdegradowany za próbę pouczenia Buzhaziego, ale generał potrzebował Tufajliego, żeby wyposażyc swą grupę bojową „Chomeiniego” i wysłać ją do Zatoki Omańskiej, gdzie efekt psychologiczny, jaki lotniskowiec wyrzuci na Radzie Współpracy Zatoki i na Zachodzie będzie największy...

...a może użyć jej do zablokowania Zatoki Perskiej, co w końcowym efekcie zapewni jemu, Buzhaziemu, prezydenturę.

- Jak szybko może pan dotrzeć do Zatoki Omańskiej, admirale? - spytał Buzhazi, ruszając do luku prowadzącego z powrotem na pokład.

- Pozostały tylko drobne naprawy, nic poważnego - powiedział Tufajli. - W ciągu dwóch dni osiągniemy pełną zdolność operacyjną, łącznie z samolotami i systemami uzbrojenia.

Sądząc po wyglądzie hangaru, ten idiota Tufajli nie będzie gotów do walki nawet za dwa lata, pomyślał Buzhazi, ale nie powiedział tego głośno.

- Bardzo dobrze, admirale. Za dwa dni będzie więc pan na posterunku w Zatoce Omańskiej, gotów stawić czoło każdej sile morskiej, która mogłaby zagrozić suwerenności Republiki Islamskiej. Życzę szczęścia i pomyślnych łowów.

- Dziękuję panu! - zawołał Tufajli jak na paradzie w akademii wojskowej. - Będzie pan ze mnie zadowolony. Nie zawiodę zaufania, jakim mnie pan obdarzył.

Tylko się nie utop przez własną głupotę, Tufajli, pomyślał Buzhazi. Rób tylko to, co ci każe, a wszystko będzie dobrze. Kiedy nadejdzie czas odpalenia tej rakiety, nie trać czasu na myślenie - po prostu to zrób.

#### ♦ Waszyngton, 20 kwietnia 1999, godzina 09.06 czasu miejscowego

- Tajemniczy atak na wyspę w Zatoce Perskiej - niektórzy twierdzą, że przeprowadzony przez Stany Zjednoczone; śmiałe posunięcie, przedstawiane przez Iran jako obronne - wysłanie grupy bojowej z nowym lotniskowcem do Zatoki Omańskiej i niedawny atak tej grupy na nieuzbrojony



statek ratowniczy; Irak, Turcja i Pakistan powiększają siły zbrojne na skalę bez precedensu w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci - rozpoczął Tim Russert, gospodarz programu „Spotkanie z prasą” telewizji NBC. - Po rozpadzie Związku Radzieckiego, w sytuacji, kiedy na światowych rynkach jest coraz więcej nowoczesnej broni masowej zagłady, Bliski Wschód staje się beczką prochu. Czy w każdej chwili może dojść do eksplozji? Oto nasz specjalny gość, który pomoże zobaczyć to wszystko we właściwym świetle - wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Ellen Christine Whiting. Pani wiceprezydent, witamy na „Spotkaniu z prasą”.

- Dziękuję, Tim. - Whiting, bliska wybuchnięcia śmiechem na widok Russerta, „szablozębego pluszowego niedźwiadka”, uśmiechnęła się jednak tylko tym swoim uśmiechem, o którym powiadano, że jest wart dziesięć milionów głosów w wyborach.

- Czy pierwsze sto dni na urzędzie było wystarczającym wyzwaniem, pani wiceprezydent? - zapytał Russert.

Pomyślała, że dziennikarz znów stosuje swoją sprawdzoną taktykę: rozbroić gościa programu niewinnym, chłopięcym uśmiechem, pogadać przez chwilę o niczym, zadać jakieś banalne pytanie, na które mogłaby odpowiedzieć nawet przez sen. Chciał, żeby jego gość się odprężył, nabrał przekonania, że szykuje się miła pogawędka w sobotni ranek, a potem... łuuup!

- Za takim wyzwaniem tęskniłam od czasów, kiedy jako młoda ochotniczka pomagałam w kampanii wyborczej w stanie Maryland, Tim - odpowiedziała Whiting. - Ale przejdźmy lepiej od razu do spraw, o których chcą usłyszeć pańscy widzowie.

- Oczywiście - powiedział Russert, wciąż się uśmiechając, głos wyraźnie mu jednak stwardniał. - Porozmawiajmy najpierw o tym, co w tej chwili zdaje się wszystkich interesować, pani wiceprezydent, to znaczy o ataku na obiekty irańskie na tych spornych wyspach, dokonanego podobno przez Radę Współpracy Zatoki, o nowej irańskiej grupie bojowej lotniskowca o napędzie atomowym, o ataku na amerykański statek ratowniczy i o tych kilku ludziach, którzy stracili wtedy życie oraz o tych kilkunastu, którzy wciąż pozostają zaginioni, a także o postawie administracji USA, która wydaje się nic nie robić w tej kwestii. Co nowego w tych sprawach, pani wiceprezydent?

- Tim, nawet jeśli moje słowa zabrzmiały jak stara, porysowana płyta - a wiem, że większość twoich widzów pamięta jeszcze, co to takiego płyta gramofonowa - staramy się ustalić wszystkie szczegóły tego, co stało się na Bliskim Wschodzie - odpowiedziała Whiting. - Rada Współpracy Zatoki przygotowuje pełny raport na temat ataku na wyspę Abu Musa, ale twierdzi, że było to defensywne uderzenie uprzedzające, wymierzone w irańskie stanowiska rakietowe, które zagrażają statkom na szlakach morskich w Zatoce Perskiej. Jeśli weźmie się pod uwagę, że od czasu bezprawnego zajęcia tych wysp w 1992 roku Iran rozmieścił tam ogromne siły militarne, wyjaśnienia Rady wydają się w jakimś stopniu uzasadnione.

- Iran twierdzi, że w ataku brali udział komandosi amerykańscy i izraelscy.

- Nonsens - odpowiedziała wiceprezydent. - Wszystko wskazuje, że była to operacja Rady Współpracy Zatoki, a Waszyngton nie został powiadomiony o tej akcji, ani z wyprzedzeniem, ani podczas samego ataku. Jeśli zaś chodzi o atak na statek ratowniczy „Valley Mistress”, to działalność amerykańskiej firmy Jersey Tech Salvage z Elizabeth City jest obecnie badana przez Departament Obrony - kontynuowała wiceprezydent. - Najwyraźniej ten statek, zaatakowany przez irańskie lotnictwo, był zamieszany w nielegalną działalność, wykorzystując swój status jednostki floty rezerwowej Marynarki USA. Miało to coś wspólnego z transportem broni, być może do Iraku, a być może dla sił antyrządowych w Iranie.

- Więc doniesienia, że był to statek szpiegowski, są zupełnie nieprawdziwe?

- Nie wykluczam, że w przeszłości ta jednostka wykonywała zadania rządowe, czy obronne - przyznała wiceprezydent - ale nie realizowała żadnego kontraktu rządowego, kiedy została zaatakowana; nie otrzymała kontraktów rządowych od czasu wojny w Zatoce. Prezydent zwrócił się do Departamentu Obrony o wnikliwe zbadanie działalności firmy Jersey Tech Salvage, a także wszystkich innych firm współpracujących z flotą rezerwową Marynarki USA i dopilnowanie, by jak najprędzej wyeliminowane zostały ewentualne nieprawidłowości.

- A co z Amerykanami, więzionymi podobno przez władze Iranu?

- Nie mamy pewności, czy kogoś zatrzymano, a jeśli tak, czy są to obywatele amerykańscy lub pracownicy Jersey Tech Salvage - odpowiedziała Whiting. - Iran odmawia wszelkiej współpracy, ale wciąż rzuca najdziwniejsze oskarżenia i rozpowszechnia plotki, kiedy tylko pojawią się reporterzy. Firma Jersey Tech nie współpracuje obecnie z Departamentem Stanu, ponieważ FBI prowadzi w jej sprawie śledztwo. Bardzo to wszystko nieprzyjemne.

- Ale Stany Zjednoczone z pewnością mają swoich szpiegów, swoich agentów wywiadu w tamtym regionie? Może nam pani coś powiedzieć o wynikach ich działalności?

- Tim, dobrze wiesz, że nie mogę mówić o operacjach wywiadowczych w toku - powiedziała Whiting, nie przestając się uśmiechać, ale z wyraźną naganą w głosie. Miała nadzieję, że telewizyjni w myślach zgania go także, opowiadając się po jej stronie. - To w ogóle nie wchodzi w grę. Bardzo się dziwię, że ty, stary dziennikarz, mogłeś mnie w ogóle o to spytać.

- Nie chodziło mi o żadne szczegółowe informacje, ani o źródła takich informacji; chciałem się dowiedzieć czegoś ogólnie...

- Tim, przecież to dla ciebie nie nowość - rozmawialiśmy już o tym - powiedziała wiceprezydent, nie przypominając sobie, czy rzeczywiście rozmawiali, ale próbując stworzyć wrażenie, że gospodarz programu chce z niej wyciągnąć informacje, o których wie, że są tajne. - Dobrze wiesz, że nie możemy wchodzić w szczegóły. Powiem jedno - krótka przerwa, żeby kamera mogła zrobić zbliżenie, zbudować napięcie, jakby wiceprezydent miała za chwilę ujawnić jakąś bardzo poufną informację - tak, nasi eksperci pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, uważnie studiując wydarzenia na całym świecie. A propos, Tim, jednym ze źródeł informacji, z których korzystamy, jest prasa, nie tylko amerykańska, ale praktycznie z całego świata; media dostarczają wywiadowi mnóstwa informacji. Faceci z wywiadu uważnie studiują każde doniesienie prasowe, rozmawiają z ekspertami, cytowanymi przez prasę, sprawdzają każdy ślad, choćby tylko po to, żeby mieć pewność, że prowadzi donikąd. Spekulacje prasowe, choćby i najciekawsze, potęgują chaos.

- Ale co z rozbudową potencjału wojskowego przez Iran, co z doniesieniami, że Iran chce stać się główną siłą świata islamskiego?

- Nie sądzę, żeby Amerykanie oczekiwali od nas spekulacji na tak ważny temat, Tim - powiedziała wiceprezydent Whiting. - Prasa może sobie pozwolić na luksus spekulowania, ile jej się podoba i jeśli dowiem się czegoś nowego ze źródła uważanego za poważne i wiarygodne, to oczywiście sprawdzimy to. W tym konkretnym wypadku media mają swoich ludzi niemal wszędzie w tamtym regionie, ale ostatnio nie są dobrym źródłem informacji. Faktem jest, że Iran nie wstąpił na ścieżkę wojenną; jest od tego daleki. W rzeczywistości Irańczycy wystąpili z nową, śmiałą inicjatywą pokojową, która może wyeliminować zagrożenie, jakim jest ten lotniskowiec w Zatoce Perskiej.

- Więc Biały Dom nie zamierza nic więcej robić w sprawie Iranu, pani wiceprezydent? - zapytał

Russert.

- Tim - odpowiedziała wiceprezydent poirytowanym tonem, przesadzając nieco na użytek ludzi przed telewizorami - czyżbyś naprawdę sugerował wysłanie wojsk amerykańskich dwanaście tysięcy mil od domu, żeby zagrozić Iranowi tylko dlatego, że postanowiono tam zorganizować taką formację jak grupa bojowa lotniskowca „Chomeini”? Wygląda to tak, jakbyś sugerował, żebyśmy zrobili cokolwiek, byle tylko coś zrobić. Nie zgadzam się z takim podejściem, Tim. Myślę, że naród amerykański chce, żebyśmy byli gotowi działać, jeśli Ameryka, jej sojusznicy lub jej żywotne interesy zostaną zagrożone. Dopóki nie ma takiego zagrożenia, Ameryka chce, żeby jej żołnierze pozostawali w domu, z rodzinami. Będziemy postępować bardzo ostrożnie, wierząc, że zwycięży dyplomacja i zdrowy rozsądek.

### 3

♦ **Na pokładzie bombowca B-2A Spirit AV-01J, nad Zatoką Perską, 23 kwietnia 1999, godzina 01.13 czasu miejscowego**

- Przejdźmy na COMBAT\* - powiedział McLanahan. - Daj zgodę.

\* Tryb bojowy [przyp. tłum.].

Tony „Tygrys” Jamieson przerzucił czerwony przełącznik umieszczony w okolicach jego lewego łokcia, sprawdził konfigurację wszystkich pozostałych przełączników, potem wcisnął się głębiej w siedzenie i dociągnął pasy. - jest zgoda. Przełączyłem. Możemy zaczynać.

McLanahan wcisnął mały, podświetlony przełącznik z oznaczeniem COMBAT na panelu, który miał na wysokości oczu i już wszystko było gotowe do odbezpieczenia uzbrojenia, skonfigurowania systemów informujących o zagrożeniu i systemów obronnych, przygotowania komputerów, systemów sterowania samolotu oraz awioniki w warunkach bojowych. Obaj mężczyźni patrzyli na swoje MDU, na których komputer zgłaszał kolejno status wszystkich podsystemów, a potem przygotowali się do wejścia w przestrzeń powietrzną nieprzyjaciela. Tylko trzydzieści sekund zajęło upewnienie się, że komputer przełączył wszystkie systemy na tryb COMBAT.

- Mamy COMBAT - ogłosił McLanahan.

- Potwierdzam - odpowiedział Jamieson i było to prawie wszystko, co miał do zrobienia przez ostatnie trzy godziny.

Tony Jamieson najbardziej ze wszystkiego nie cierpiał bezczynności. Kiedy latał jako dowódca misji na pokładzie bombowca B-2A Spirit miał pełne ręce roboty; DM był najbardziej zapracowanym członkiem załogi. Chociaż tego, który siedział w lewym fotelu tradycyjnie nazywano DS, dowódca samolotu, to w wypadku B-2A, w odróżnieniu od innych typów samolotów, DS nie był odpowiedzialny za powodzenie misji. Do jego obowiązków należało pilotowanie i monitorowanie systemów; w B-2A oznaczało to trzymanie się „niebieskiej linii”, czyli wykresu trasy, generowanego przez komputer na jednym z monitorów operacyjnych oraz reagowanie na generowane przez komputer ostrzeżenia i alarmy. Każdy przyzwoity DS śledził na bieżąco przebieg misji i był gotów przejąć jej prowadzenie z lewego fotela, gdyby coś złego stało się z dowódcą misji; choć B-2A był w najwyższym stopniu niezawodny i DS rzadko interweniował, to jednak musiał być gotów do zrzucenia bomb, prowadzenia nawigacji i łączności oraz obsługiwania wszystkich systemów obronnych z lewego fotela.

Problem polegał jednak na tym, że Jamieson nie był przygotowany do robienia tego w AV-011. Ten pieprzony samolot został do tego stopnia zmodyfikowany przez obecnego dowódcę misji Patricka McLanahana, zamknięty już HAWC i inżynierów z Agencji Wspomagania Wywiadu, że

Jamieson nie poznawał niczego po prawej stronie kabiny. Na podstawie intensywnych studiów, jakim oddawał się przez ostatnie kilka dni wiedział, że mógłby sporo zrobić siedząc w lewym fotelu, ale poważnie wątpił, czy w gorączce bitewnej byłby w stanie jednocześnie pilotować maszynę i sprawdzać listę kontrolną. Jego faktycznym wkładem w obecną misję była odprawa przed lotem, start i dwa tankowania w powietrzu - jedno na wschód od Hawajów, drugie na północ od Diego Garcia na Oceanie Indyjskim - oraz pilnowanie prędkości, żeby upewnić się, iż lecieli zgodnie z planem, przeglądanie danych na monitorze operacyjnym i w ogóle sprawdzanie, czy wszystko w porządku. Aha, jeszcze wyglądanie przez okno, kiedy gonili zachodzące słońce.

Długie loty w bombowcach B-2A były dla załogi w zasadzie wolne od stresu, a w AV-011 ludzie mieli jeszcze mniej do roboty niż w stacjonujących w Whiteman maszynach, odpowiadających standardom Błock 10 i Błock 20. Nawigacja była automatyczna; zajmował się nią zdublowany układ bezwładnościowy, współpracujący ze sterowanym komputerowo układem optycznym zapewniającym orientację według gwiazd. Układ ten, zwany Astrotracker wyprodukowano w firmie Northrop, pierwotnie został opracowany dla samolotu szpiegowskiego SR-71 Blackbird i mógł śledzić położenie gwiazd także w ciągu dnia, umożliwiając precyzyjne wytyczenie kursu. Oczywiście zamontowano też system nawigacji satelitarnej GPS. Dokładność nawigacji B-2A wynosiła niecały metr, i to bez użycia radaru.

Układ zasilania też był automatyczny i całkowicie bezobsługowy. Jamieson miał do takiego stopnia zaufanie do automatycznej nawigacji i automatycznych systemów kontroli lotu, że pozwalał sobie na krótkie drzemki, kiedy lot był absolutnie spokojny (nigdy nie przyznałby, że ma do McLanahana dość zaufania, żeby być przekonany, iż dowódca misji potrafi wszystkiego sam dopilnować). Fotele były wielkie i wygodne, w odróżnieniu od większości foteli katapultowych ACES II, które były wąskie i twarde - a w kabinie panowała cisza. Można było zdjąć hełm, założyć słuchawki i słuchać stacji radiowych z całego świata, cały czas monitorując komputery. Kontrola najważniejszych parametrów co pół godziny, raport o przebiegu misji, wysyłany łączem satelitarnym co godzinę i można było rozsiąść się wygodnie w oczekiwaniu, aż coś się zacznie dziać. Układ stabilizacyjny GLAS\*, „ogon bobra” wystający z tyłu krótkiego kadłuba B-2A, z łatwością radził sobie z turbulencjami.

Jamieson nie potrafił powiedzieć, czy McLanahan kiedykolwiek drzemał. Kiedy tylko na odbiorniku satelitarnym pojawiał się komunikat, zaraz go odbierał; kiedy tylko komputer sygnalizował zmianę kierunku lub punkt kontrolny misji, McLanahan zawsze reagował natychmiast. Jamieson dość często korzystał z toalety chemicznej, umieszczonej za fotelem dowódcy misji - nigdy nie był zwolennikiem lekkiej diety zalecanej na długie loty; zabrał ze sobą dwa duże pojemniki z pieczonym kurczakiem, kanapkami, surowymi jarzynami i sokiem owocowym oraz drożdżowymi ciastkami, które można było podgrzać w kuchence mikrofalowej, umieszczonej w galeryjce koło wejścia, a także mnóstwo kawy. Natomiast McLanahan wziął jedynie termosy z zimnymi napojami odżywczymi, kawę i wodę. Dopiero dwa razy zajrzał do toalety, widocznie należał do tych z „pęcherzem pilota B-52”, uznał Jamieson. Wielkie bombowce B-52 miały na pokładzie tylko małą, niewygodną i cuchnącą „beczułkę miodu” zamiast prawdziwej toalety chemicznej, więc niejeden członek załogi przyzwyczaił się do odbywania nawet bardzo długich lotów bez korzystania z tego urządzenia.

Ich trasa prowadziła nad Pacyfikiem i Oceanem Indyjskim. Z dala omijali transoceaniczne szlaki powietrzne, aby nie wypatrzyła ich przypadkiem załoga jakiegoś samolotu pasażerskiego. Ponieważ

ich misja była tajna, nie przekazywali swej pozycji ani nie rozmawiali z nikim, przekraczając granice międzynarodowe. Za każdym razem, kiedy przelatywali w pobliżu lądu, McLanahan włączał radar na kilka sekund, ale przez większość czasu trzymał go w stanie czuwania, żeby przypadkowa emisja fal elektromagnetycznych nie zdradziła ich pozycji. Nie mieli żadnych świateł pozycyjnych, nie włączali nadajnika identyfikacyjnego IFF.

Cztery godziny po starcie przelecieli nad Hawajami, pierwsze tankowanie w powietrzu przeprowadzili 120 mil na zachód od Honolulu. Minęli Guam w zasięgu radaru, przelecieli nad Filipinami, na dwie sekundy włączali radar nad Wietnamem, Malezją i Tajlandią, czego w ogóle nie wykryły systemy obrony przeciwlotniczej tych krajów. Byli jak duchy.

Zbliżając się do Malediwów w północnej części Oceanu Indyjskiego, na południowy zachód od Sri Lanki, poza zasięgiem radarów niezłej indyjskiej sieci stanowisk obrony przeciwlotniczej, zorganizowanej jeszcze przez Związek Radziecki, zatankowali po raz drugi z KC-10. Teraz, kiedy zbiorniki znów były pełne, a pilot automatyczny z powrotem przejął sterowanie, czuło się prawdziwy urok tego niesamowitego samolotu bojowego. Gdyby tylko chcieli, mogliby równie łatwo polecieć z powrotem na Hawaje.

\* GLAS - Gust Load Alleviation System - dodatkowa powierzchnia wyważająca [przyp. red.).

Komputer wygenerował listę wszystkich lotnisk alternatywnych i awaryjnych, jakie znajdowały się w zasięgu maszyny, kiedy była zatankowana do pełna: najdalej na północ znajdowało się Anchorage na Alasce, najdalej na południe - Auckland w Nowej Zelandii, był Kapsztad w Afryce Południowej, a nawet Londyn! Gdyby uzupełnić tę listę o lotniska cywilne z pasami wystarczającymi do przyjęcia standardowych Boeingów 727, mieli do wyboru ponad trzysta portów lotniczych.

Tak ogromne możliwości robiły wielkie wrażenie na Jamiesonie; to dlatego pociągało go lotnictwo bombowe, to dlatego siedział teraz w kabinie B-2A Spirit. Potęga, nad którą panował, była wręcz niewiarygodna. Uzupełniając paliwo w powietrzu tylko dwa razy, mógł oblecieć pół świata, a co ważniejsze, mógł przelatywać nad eskadrami okrętów wojennych, bazami wojskowymi, wielkimi miastami, mógł przeciw nim użyć potężnej broni, a ludzie na ziemi w ogóle nie wiedzieliby, że tam był, nawet kiedy rakiety trafiłyby już w cel! Wiedział, że grupa bojowa lotniskowca USS „Abraham Lincoln” znajdowała się zaledwie o kilkanaście minut lotu, dalej na wschód, na Morzu Arabskim; minęli ją w odległości sześćdziesięciu mil, a ta największa morska grupa bojowa na świecie nie miała nawet o tym pojęcia.

Jedenaście godzin po starcie mieli wreszcie Półwysep Arabski w zasięgu radaru. McLanahan wiedział, że nad południowo-wschodnią Arabią Saudyjską krąży amerykański AWACS E-3C, obserwując wszelką aktywność na morzu oraz w powietrzu w pobliżu irańskiego lotniskowca i jego eskorty. Arabia Saudyjska również miała nowoczesny system obrony przeciwlotniczej, obejmujący cały Półwysep. System łączył siedemnaście stacji radarowych z centrum kontrolnym w Rijadzie. Ale bombowiec przeleciał nad Arabią Saudyjską, południowym Irakiem, a potem nad Zatoką Perską i południowym Iranem nie zauważony przez nikogo; nie namierzył ich żaden radar, nikt nie próbował wywołać ich przez radio, chociaż tej nocy loty patrolowe wykonywało mnóstwo saudyjskich, irańskich i amerykańskich myśliwców. W odległości mniejszej niż sześćdziesiąt mil znajdowała się cieśnina Ormuz i irańskie miasteczko wojskowe Bandar Abbas, jedno z najsilniej strzeżonych miejsc na ziemi. A zaledwie sto mil od cieśniny, w Zatoce Omańskiej, była potężna grupa okrętów grupy bojowej „Chomeiniego”, zagrażająca wszystkim, którzy próbowaliby wpłynąć do Zatoki Perskiej.

- To po prostu niewiarygodne! - zawołał Jamieson. - Lecimy nad ziemią niczyją. Niechby ktoś

odpalił przypadkiem raketę, a przy odrobinie szczęścia strąci bombowiec B-2A. - McLanahan nie odpowiedział, co było prawdopodobnie pierwszą tej nocy oznaką zdenerwowania. Wskaźnik na monitorze McLanahana sygnalizował mnóstwo najrozmaitszych zagrożeń: wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze SA-10 w pobliżu większych miast w zachodnim Iranie; ruchome wyrzutnie rakiet SA-8 i artyleryjskie stanowiska obrony przeciwlotniczej ZSU 23/4 w Iraku, wszystkie z włączonymi radarami przeszukującymi niebo; kilka MiG-ów-29 nad Iranem, niezbyt daleko. Dostawali się w wiązki radarów dalekiego zasięgu, ale nic nie wskazywało, by któryś z nich namierzył bombowiec.

Napięcie zawsze było w tym regionie duże, ale od czasu inwazji na wyspę Abu Musa i wyjścia w morze grupy bojowej „Chomeiniego” odnosiło się wrażenie, że wszystkich żołnierzy i cały sprzęt wojskowy wszystkich państw Zatoki postawiono w stan gotowości bojowej. - Co my tu, do cholery, robimy, McLanahan? To szaleństwo...

- Agencja Wspomagania Wywiadu prowadzi operację ratunkową koło Bandar Abbas - powiedział McLanahan; wiedział, że Jamieson znał powód, dla którego tu przylecieli, ale musiał jakoś odwrócić uwagę swego DS od otaczających ich zagrożeń, skłonić go, żeby zajął się powrotem ich misją. - Pamiętasz ten statek ratowniczy, zatopiony przez Irańczyków? To była jednostka Agencji Wspomagania Wywiadu. Kilku ludzi dostało się do niewoli; ekipa Agencji ma ich stamtąd wydostać.

- Słyszałem, że to był cywilny statek - powiedział Jamieson.

- Zgadza się, ale Agencja Wspomagania Wywiadu wykorzystywała go do obserwowania lotniskowca „Chomeini”.

- Ach, to dlatego Irańczycy są tak wkurwieni - zauważył Jamieson. - Możemy im mieć to za złe?

- Możemy i mamy - powiedział McLanahan. - Prowadzili tylko rozpoznanie, nie podchodzili bliżej niż na trzydzieści mil do żadnego okrętu irańskiego, działali na wodach międzynarodowych i w międzynarodowej przestrzeni powietrznej.

- Więc to prawda, co mówią turbaniarze? Że załoga statku zestrzeliła im dwa myśliwce?

- W obronie własnej i dopiero po tym, kiedy statek został zaatakowany przez myśliwce z „Chomeiniego” - powiedział McLanahan i spojrzał na Jamiesona. - Coś jeszcze, pułkowniku?

- Drażliwi jesteśmy - powiedział Jamieson. - Chciałem po prostu posłuchać twoich wyjaśnień na temat tej misji; chciałem się przekonać, do jakiego stopnia stałeś się bezmyślnym robotem w służbie rządu.

- Miło mi, że dobrze się bawisz - powiedział McLanahan. - Według naszego wywiadu, członków załogi zatrzymanych na pokładzie statku zabrano do więzienia Suru pod Bandar Abbas. Nasza grupa infiltracyjna ma wejść do samego więzienia, a my zapewnimy im wsparcie z powietrza.

- Skoro już przelecieliśmy taki kawał drogi, to niech przynajmniej coś rozwalę - powiedział Jamieson. - Lotniskowiec by mi pasował...

- Uwaga, zbliżamy się do celu - przerwał mu McLanahan. Nie mając prawie nic do roboty, Jamieson wychylił się i patrzył, jak McLanahan obsługuje swoją kosmiczną aparaturę. Nie było tam niczego, co przypominałoby standardowe wyposażenie samolotów z Whiteman, ba - nic nie przypominało nawet projektowanego wyposażenia przyszłych samolotów w standardzie Block 30, które nie weszły jeszcze do produkcji, ani w ogóle niczego, co Jamieson widział kiedykolwiek.

Po prawej stronie kabiny B-2A królował ogromny, kwadratowy monitor, większy niż trzy standardowe razem. McLanahan nazywał go supermonitorem. AV-011 najwidoczniej był już kiedyś wyposażony w to urządzenie - zapewne w czasach, kiedy w HAWC znany był jeszcze jako Samolot

Eksperymentalny 002 - ponieważ inżynierom zaledwie niecały dzień zajęło ponowne zainstalowanie ogromnego monitora. Obsługiwało się go nie tradycyjnymi pokrętkami regulacyjnymi i przyciskami na obudowie, lecz za pomocą ikon na ekranie, wybieranych trackballem, bezpośrednio przez dotyk lub komendami głosowymi. Było oczywiste, że McLanahan zna się na tym - używał wszystkich trzech sposobów jednocześnie, pracując z niewiarygodną szybkością.

Przez większą część lotu supermonitor był skonfigurowany tak, że przypominał normalne ekrany po prawej stronie kabiny B-2A. graficzna emulacja trzech monitorów operacyjnych z otwartym menu statusu samolotu i komputera; radiolokacyjny wskaźnik sytuacji w poziomie, kompas, sztuczny horyzont i wskaźniki autopilota; monitory nawigacyjne z informacjami o pozycji, kierunku, prędkości podróży, czasie i odległości do następnego punktu trasy. Co jakiś czas McLanahan wywoływał emulację klawiatury i pisał komunikaty, które potem wysyłał kanałem łączności satelitarnej do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Jamieson zauważył nawet, że McLanahan korzysta z nietypowego układu klawiatury, tak zwanego układu Dvoraka; pisał szybko i bez pomyłek, ale każdy inny miałby z taką klawiaturą mnóstwo trudności.

Byli coraz bliżej celu, akcja miała się rozpocząć za kilka minut. McLanahan wciąż miał na swoim supermonitorze trzy standardowe monitory operacyjne, tyle że trzykrotnie zmniejszone i przesunięte w górną część ekranu, gdzie jednak wciąż obaj mogli je obserwować. Resztę ekranu zajmowała cyfrowa mapa południowoirańskiej prowincji Ormuzgan, łącznie z cieśniną Ormuz i miastem Bandar Abbas. Była to rolnicza prowincja z pagórkowatym krajobrazem, jednym tylko miastem średniej wielkości i może dwudziestoma osiedlami oraz wsiami na całym obszarze o powierzchni prawie pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Miasto Bandar Abbas, jego bazy wojskowe i ośrodki przemysłowe były chronione przez nowoczesne rakiety dalekiego zasięgu SA-10 Grumble, rakiety średniego zasięgu Shahine i rakiety bliskiego zasięgu oraz liczne stanowiska artylerii lotniczej średniego i bliskiego zasięgu. Oprócz tego, na lotnisku w Bandar Abbas stacjonowała największa formacja sił powietrznych w Iranie, jeśli nie liczyć Teheranu: nowoczesne myśliwce MiG-29, a także F-4 Phantom, które kiedyś latały w Siłach Powietrznych USA. Myśliwce przechwytyjące F-14 Tomcat, otrzymane swego czasu przez Iran z Marynarki USA, były właśnie w powietrzu, wykonując lot patrolowy. Jamieson i McLanahan lecieli w zasięgu śmiertelnych rakiet ziemia-powietrze SA-10 Grumble; ich jedyna nadzieja polegała na tym, że B-2A był trudno wykrywalny przez radar. Taka gęsta, wielostopniowa obrona przeciwlotnicza byłaby zabójcza dla każdego innego samolotu próbującego nadlecieć nad Bandar Abbas; tylko bombowiec B-2A Spirit był w stanie zbliżyć się do tego obszaru i zniszczyć wyrzutnie rakiet.

♦ **Baza morska Mina Dżebel Ali, Dubaj, Zjednoczone Emiraty Arabskie, w tym samym czasie**

Starszy sierżant Chris Woni kończył przedstartową inspekcję wyposażenia osobistego swoich ludzi, kontrolując zwłaszcza, czy zabrali właściwą odzież, zapewniającą przetrwanie w razie kłopotów. Chociaż zmiennopłat CV-22 Pave Hammer był bezpieczny i solidny nawet w trudnych warunkach bojowych, Wohl zawsze się upewniał, że ludzie na pokładzie są ubrani tak, jakby mieli wracać do bazy na piechotę lub w pływ.

Jak zwykle podczas operacji Agencji Wspomagania Wywiadu, komandosi byli ubrani w mieszaninę najrozmaitszych strojów; elementy w bliżej nieokreślonym stylu wojskowym przeplatały się z ubraniami cywilnymi, z każdej sztuki wypruto oryginalne metki i naszywki, zastępując je

metkami miejscowych producentów. Niektórzy byli ogoleni, chociaż musieli się golić bez mydła, czy kremu, żeby uniknąć zapachu, który mógłby zaalarmować psy albo strażników; większość wolała się nie golić - nosili krótkie brody w stylu bliskowschodnim. Prawie wszyscy byli krótko ostrzyżeni, a głowy myli specjalnym bezwonny szamponem; niektórzy ostrzygli się do gołej skóry. Nakryciem głowy były najczęściej kominiarki zakrywające całą twarz, albo kaptury opadające na kark, a pod nimi jeszcze czapki chroniące uszy przed odmrożeniem. Większość ludzi z oddziału nosiła grube, wełniane rękawice z jednym palcem, nakładane na cienkie rękawiczki wełniane albo bawełniane. W rękawicach były wycięcia, umożliwiające wysunięcie palca ściągającego spust. Mieli tylko lekką broń, głównie pistolety maszynowe, takie jak Uzi kalibru 9 milimetrów albo dziewięćmilimetrowe MP5; tylko kilku było uzbrojonych w Kałasznikowy. Każdy miał jeszcze ulubiony pistolet lub rewolwer oraz zapas żywności i wody na dwa dni - resztę musieli już organizować w terenie w miarę potrzeb.

Wszyscy byli zawodowcami, więc inspekcja nie potrwała długo, bo nikomu nie trzeba było niczego tłumaczyć. W trakcie inspekcji Wohl prowadził krótką odprawę.

- Słuchajcie - powiedział, kontynuując sprawdzanie ubiorów i wyposażenia. - Mam dla was trochę informacji. Naszym celem dziś w nocy jest więzienny szpital irańskiej marynarki wojennej w Suru, parę kilometrów na południe od Bandar Abbas. Polecimy na północny zachód, obok Abu Musa, nad lądem znajdziemy się na wysokości przylądka Bostaneh, dwadzieścia kilometrów na zachód od Bandar-e-Lengeh, potem na małej wysokości przelecimy przez pasmo Laristan, wzdłuż rzeki Kol i wylądujemy na przedmieściach Bandar Abbas. Infiltrujemy ten rejon po raz drugi. Dobrze pamiętacie, jak tamtej nocy dobrali się do nas nad wyspami Tumb, więc dziś niech się wszyscy mają na baczności. Sprawdzamy trzy obiekty w pobliżu Bandar Abbas. Jeśli będą tam nasi ludzie, macie ich bezpiecznie dostarczyć na pokład Paw Hammera. Hasła i sygnały wszyscy znacie. Każdy, kto nie poda odzewu, jest wrogiem. Nie mamy zamiaru wyrzynać cywilów, ale macie bronić własnych tyłków i tyłków kolegów wszystkimi dostępnymi środkami. - Monroe z przodu, Bennet z lewej, Reid z prawej, ja z tyłu - dodał po krótkiej przerwie. - Nie oddalać się za bardzo, bo jeśli nasi ludzie stracą was z oczu, mogą was powystrzelać, kiedy będziecie się z powrotem zbliżać. Używajcie sygnałów rozpoznawczych natychmiast, kiedy tylko zobaczycie nasz samolot; strzelec pokładowy będzie pewnie trzymał was w celowniku, zaciskając palec na spuście. Shiff jest strzelcem ogonowym, Morgan na lewej burcie, Andrews, ty masz prawą burtę. Strzelcy pokładowi, żądać przez radio identyfikacji zanim otworzycie ogień, zaczekać na odpowiedź, ale jeśli odpowiedzi nie będzie, strzelać. Tylko nie marnujcie amunicji. Hasło na dzisiaj: Japonia”.

Standardowy plan odwrotu znacie, mam nadzieję, na pamięć. Przede wszystkim kierujcie się na zachód, omijając skupiska ludzkie. Wszyscy mają znać alternatywne punkty ewakuacji; po drodze każdy z was pokaże mi je na mapie i jeśli ktoś opuści choćby jeden, przez tydzień będzie miał służbę w kuchni!

Przypominam, że będziemy operować na obszarze, gdzie wojsko irańskie jest w stanie najwyższej gotowości, co oznacza, że starcie jest bardzo prawdopodobne, i że trzeba się liczyć z ofiarami po naszej stronie - ciągnął Wohl, zaglądając ludziom w oczy, jakby próbował zbadać, czy rzeczywiście są gotowi. - Gdyby samolot został trafiony, pamiętajcie, że ewakuujemy się tyłem, a nie bocznymi wyjściami. Można pomóc koledze, albo zabrać coś z wyposażenia, ale ewakuacja ma być błyskawiczna. Po awaryjnym lądowaniu natychmiast odejść jak najdalej od samolotu. Większość tych, którzy dostają się do niewoli w takich okolicznościach, zostaje złapana w pobliżu maszyny w



ciągu dziesięciu minut, więc im bardziej się oddalacie przez te pierwsze dziesięć minut, tym lepiej.

Przemieszczajcie się tylko w nocy, o ile to możliwe unikajcie wszelkich kontaktów z ludnością cywilną, za dnia wychylajcie się z ukrycia tylko po to, żeby się zorientować, gdzie jesteście - mówił dalej Wohl. - Musicie dotrzeć do punktu ewakuacyjnego, ale unikajcie dróg, torów kolejowych, rzek i strumieni; właśnie tam wróg będzie was szukać. Wszelkie próby wmieszania się w miejscową ludność są dobre w Hollywood, ale nie w Iranie. Nie nawiązujcie kontaktu z nikim, chyba że będziecie ranni, ale musiałyby to być naprawdę poważna rana, bo jeśli poprosicie kogoś o pomoc, najprawdopodobniej zostanieie schwytni i poddani torturom, a wtedy ból będzie gorszy od wszystkiego, czego kiedykolwiek doświadczyliście. - Kiedy dotrzecie do punktu ewakuacyjnego, nie leżcie tam tak po prostu; dajcie sobie kilka godzin, żeby dokładnie wszystko sprawdzić. Jeśli to możliwe, zawróćcie i sprawdźcie, czy ktoś za wami nie idzie. Nie chcemy, żeby turbaniarze urządzili zasadzkę na tych, którzy przybędą wam na ratunek. I pamiętajcie, żeby zachować punkty ewakuacyjne dla innych nieszczęśników, którym mogą się w przyszłości przydać. Nie wyskakujcie tak po prostu, kiedy zobaczycie, że ląduje maszyna, która ma was zabrać; jeśli czarne charaktery nie siedzą wam na ogonie, sprawdźcie dokładnie teren, poprawcie kamuflaż i tak dalej, żeby turbaniarzom trudniej było znaleźć to miejsce, rozumiecie? Pytania? - Nie było żadnych.

- W porządku, jeszcze jedno - ciągnął Wohl. - Podczas ostatniej akcji trzech naszych zostało rannych, w tym major Briggs. Nic im już nie grozi, ale przez kilka tygodni nie możemy na nich liczyć. Chciałbym wam przypomnieć, że czasami, choćbyście nie wiem jak długo potrzęsali fiutami, ostatnia kropla i tak może wpaść w spodnie. Z rozpoznania wynikało wtedy, że sporo stanowisk obrony przeciwlotniczej przeniesiono z wysp Tumb na Abu Musa; w ogóle nie wiedzieliśmy, że na Małym Tumbie coś wzmocnili, a potem było już za późno. Powinniśmy się wstydzić. Trudno, zdarza się. Zapomnijcie o tamtej operacji i skoncentrujcie się na obecnej. Niech tamta wpadka was nie demobilizuje. Jesteśmy tu po to, żeby znaleźć pułkownika White'a i naszych towarzyszy broni, i wydostać ich żywych.

- Dziś w nocy będziemy mieli pomoc; jakaś inna komórka Agencji Wspomagania Wywiadu ma odwrócić uwagę turbaniarzy - powiedział Wohl. - Może to poskutkuje, a może nie. Nie zawracajcie tym sobie głowy i róbcie swoje. Naszym zadaniem jest wejść tam, sprawdzić bezpieczne kryjówki i punkty ewakuacyjne, uratować wszystkich, którzy będą tam na nas czekać i powrócić cało. Wsiadamy.

Wohl osobiście wybrał ludzi na ten patrol, więc nie przyglądał się każdemu z nich z bliska, przechodząc wzdłuż szeregu na chwilę przed zajęciem miejsc w samolocie. W zasadzie potrafił każdego rozpoznać po budowie ciała, po broni, głosie i postawie. Podszedł do ostatniego, najstarszego rangą w tej grupie, który miał koordynować działania załogi samolotu i ekipy na lądzie. Monroe naciągnął już kaptur, osłaniając twarz przed chłodem panującym w hangarze.

- Gotowy, Monroe? - spytał Wohl. Nie dostał odpowiedzi; tamten uniósł tylko kciuk i trochę nerwowo przestępował z nogi na nogę. Wohl spojrział na niego uważniej, zobaczył palec prawej ręki na osłonie języka spustowego Uzi, tak, pomyślał, ten chłopak jest gotów...

...ale nigdzie nie polec!

- Ależ z ciebie głupi skurwysyn, Briggs! - powiedział starszy sierżant Chris Wohl nie podnosząc głosu. - Tak głupi, że aż szkoda słów. Naprawdę myślałeś, że się nie zorientuję?

Hal Briggs ściągnął kaptur. - Skąd wiedziałeś, że to ja, sierżancie? Nawet nie spojrzaleś mi w twarz ani w oczy.

- Ty jeden zawsze wysuwasz palec z rękawicy i trzymasz go na osłonie języka spustowego, kiedy jesteś zdenerwowany - powiedział Wohl. - Zauważyłem to już podczas pierwszego wspólnego lotu. Co ty tu, do cholery, robisz? Myślałem, że lekarz kazał ci zostać jeszcze tydzień w łóżku.

- Chory jestem od tego leżenia w łóżku - powiedział Briggs. - Nic mi nie jest, mogę lecieć.

- Lekarz jest innego zdania.

- Do diabła z lekarzem, sierzancie - warknął Briggs. - Mogę wziąć udział w tym patrolu; jasna cholera, muszę polecieć, bo inaczej zwariuję!

- Miałeś rozkaz leżeć w łóżku - powiedział Wohl. - Lekarz tak kazał, ja tak kazałem. Chory, czy zdrowy, dam ci kopa w dupę, jeśli nie zaczniesz słuchać rozkazów.

- Może pan sprawdzić moją formę - podsunął Briggs. - Jest mnóstwo miejsca na pokładzie Pave Hammera. Poza tym, Monroe i tak nie może polecieć dziś w nocy, jakieś przeziębienie, czy zapalenie zatok.

- Przestań pieprzyć - powiedział Wohl. - Nie traktuj mnie jak starej ciotki, która ma cię pilnować, a ty chciałbyś się wyrwać do knajpy. Chcesz wziąć udział w patrolu mimo zaleceń lekarza, to powiedz to wprost.

- Właśnie to mówię, Wohl - powiedział Briggs. - Chcę polecieć.

- Odmawiam - powiedział natychmiast Wohl. - Wydajesz się w porządku, ale rozmawiałem dziś z lekarzem; powiedział mi, że znalazł krew na ręczniku w twoim pokoju. Ukrywasz coś przed lekarzem, Hal?

- Doktor Sabin sprawdza ręczniki w moim pokoju? - zawołał Briggs gniewnie. - Niech się lepiej trzyma z daleka od mojego pokoju!

- Ukrywasz coś przed nim, Hal?

Briggs nie odpowiedział. Zamiast tego spytał: - Jak pan się czuje, sierzancie?

- Dobrze.

- Jest pan pewien?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? To wsadź mi język w dupę i zmierz gorączkę. - Sierżant był wyraźnie zirytowany. - A jeśli nie, to zejdz mi z oczu.

- Dlaczego ciebie nie ranili, Wohl? Byliśmy obok siebie, ramię przy ramieniu. Kiedy artyleria przeciwlotnicza otworzyła ogień, trzech facetów upadło: dwóch po twojej jednej stronie i ja po drugiej. Ty byłeś w środku i nawet cię nie drasnęło. Dlaczego, do cholery?

- Bo marines tacy jak ja żują żyłki na śniadanie - odpowiedział Wohl z kamienną twarzą. - Żremy drut kolczasty i szczamy napalmem.

- Gówno prawda.

- Właśnie, że prawda, Briggs - powiedział Wohl poważnym tonem. - Nie wiem, dlaczego nie dostałem. Może dostanę tym razem. Ucieszyłbyś się?

- Nie to miałem na myśli sierzancie. Nudzę się i chciałbym znów polecieć. Wprost nie mogę uwierzyć, że dostałem z tej wiatrówki. Jestem zbyt młody i przystojny, żeby raniła mnie broń starsza od mojego wujka...

- Powiem ci, co o tym sędzę, Briggs. Naprawdę wierzę, że nie zostałem trafiony, ponieważ jestem z piechoty morskiej. Naprawdę wierzę, że jestem za twardy, za silny i za głupi, żeby dostać z jakiegś tam irańskiej Szyłki.

- Chris, nie przesadzaj...

- Jestem poważny jak krach na giełdzie, Hal - powiedział Wohl. - Widzisz, ty jesteś mądry,

chodziłeś do prawdziwych szkół, podczas gdy ja kończyłem tylko kursy korespondencyjne. Wiedziałaś, że strzela do nas Szyłka, wiedziałaś, jakie to śmiertelne zagrożenie dla nisko lecącego samolotu... Do diabła, prawdopodobnie znasz parametry tego sprzętu, szybkostrzelność, skład załogi, zasady obsługi.

- Znam, no i co?

- Nie chcę cię krytykować, Briggs, ale może ranili cię dlatego, że byłeś przekonany, że zostaniesz ranny. Uważałeś to za coś zupełnie logicznego i zrozumiałego, że jeśli dostaniemy się pod ogień Szyłki, której miało tam nie być, to dostaniesz. Ja natomiast jestem przekonany, że tylko ostatnia łamaga - albo oficer - może zostać trafiony z czegoś tak prymitywnego jak ruskie działko.

- A Barnes i Halmar?

- Dostali, bo siedzieli obok ciebie.

- Dajcie spokój, sierżancie.

- Chodzi o to, majorze Briggs, że ja nie pozwoliłbym sobie zginąć w taki sposób. Mogę zginąć, ratując kolegów, wynosząc spod ognia jednego, czy dwóch, ale nie zabije mnie taka główniana broń, jak Szyłka. A jeśli coś mnie nie zabije, to tylko sprawi, że będę silniejszy - powiedział Wohl, wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. - A może pomogło to, że cały czas się modliłem, albo ta supercienka kamizelka kuloodporna z kewlaru, którą miałem na sobie tamtej nocy. A teraz przestań się wygłupiać i dawaj tu Monroe, żebyśmy mogli wreszcie wyruszyć. Chcesz pomóc? Usiądź przy monitorze w centrum dowodzenia. Tylko niech cię lekarz nie zobaczy.

Monroe był w pobliżu. Przepowiadał Briggsowi, że ten numer się nie uda i czekał, gotów do drogi. Za chwilę był już na pokładzie CV-22 Paw Hammer i operacja ratunkowa rozpoczęła się. Briggs znów musiał pozostać na ziemi.

Niech to szlag trafi! - pomyślał, to nie fair. Tylko dlatego, że nie był takim prostakiem, jak ci wszyscy wypożyczeni marines, musiał siedzieć na dupie, a lekarz przeszukiwał mu pokój bez jego wiedzy!

Po zdaniu Uzi i zapasowych magazynków, Briggs zgłosił się w centrum dowodzenia. Wiedział, że nic nie będzie się działo przez najbliższe dwadzieścia pięć minut, zanim CV-22 nie znajdzie się nad lądem. Podczas ostatniej operacji nie dotarli tak daleko - stanowisko artylerii przeciwlotniczej na wyspie Mały Tumb otworzyło do nich ogień, kiedy przelatywali w pobliżu i dostali półsekundową serią. CV-22 doznał tylko niewielkich uszkodzeń; trzech członków załogi, w tym Briggs, zostało rannych odłamkami.

Tym razem, przy odrobinie szczęścia, Zjawa powinna dotrzeć do samej paszczy lwa - do Bandar Abbas, największego kompleksu wojskowego w Iranie i jednego z największych na całym Bliskim Wschodzie. Wywiad przypuszczał, że ludzie z „Valley Mistress” zostali zabrani do więzienia Suru. Trzeba więc było sprawdzić, jak silnie strzeżone jest to więzienie, spróbować znaleźć słabe punkty, gdyby postanowili wdrzeć się do środka i ustalić bezpieczną trasę odwrotu.

W każdym kraju, w którym działali, komandosi ze Zjawy dysponowali bezpiecznymi kryjówkami i planami odwrotu; przed operacją wszyscy musieli się tego nauczyć na pamięć. Podczas infiltracji każdy był na bieżąco informowany o pozycji, kierunku i prędkości lotu; gdyby samolot musiał awaryjnie lądować, wszyscy wiedzieli, gdzie się znajdują i którędy iść do najbliższego bezpiecznego miejsca. W określonych porach podchodziliby potem ostrożnie do punktu ewakuacyjnego, gdzie - przy odrobinie szczęścia - czekali już ratownicy.

Ale każdy mijający dzień osłabiał szanse na ratunek. Irańskie wojska, Straż Rewolucyjna,

rezerwiści i milicja Basidż były wszędzie, w pobliżu każdego osiedla, miasta, szosy, drogi, toru kolejowego, mostu i rzeki, szukając intruzów. Ukrywający się człowiek nie mógł wytrzymać zbyt długo, nawet jeśli był w świetnej formie fizycznej; ranny był prawie bez szans.

Briggs stracił pułkownika Paula White'a i dziesięciu z jego najlepszych ludzi, zanim jeszcze miał szansę nimi dowodzić...

#### ♦ Lafayette Sare, Waszyngton, o tej samej porze

Sahin, eskortowany przez odźwiernego w smokingu przez wykładane boazerią korytarze luksusowego hotelu „Hay-Adams” w Waszyngtonie miał rozanieloną twarz, kiedy weszli do małej, odosobnionej jadalni. Człowiek, z którym miał się spotkać i jeszcze jeden mężczyzna, prawdopodobnie sekretarz albo doradca, już na niego czekali. Zamknęły się za nim podwójne drzwi; w pomieszczeniu panowała miła, przyjemna atmosfera. Nie to, co w Teheranie, pomyślał.

- Ach, mój przyjaciel Robert, jak to miło... - Ale wyraz twarzy zmienił mu się gwałtownie, kiedy drugi mężczyzna odwrócił się do niego.

- Proszę wejść, panie Sahin - powiedział Philip Freeman, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nie ulegało kwestii, że jego obecność była dla Sahina zupełnym zaskoczeniem. Wyciągnął dłoń na powitanie, Philip Freeman nie zareagował. Następnie Sahin rozejrzał się za krzesłem, żadnego jednak nie dostrzegł. Było oczywiste, że nie zapowiadało się miłe, towarzyskie spotkanie.

Tahir Sahin był osobistością nietuzinkową, liczącą się dla rządów na całym świecie - elokwentny, bywały, wykształcony, był chętnie zatrudniany przez wszystkie strony najrozmaitszych sporów. Pochodził z rodziny bogatych właścicieli ziemskich we wschodniej Turcji. Jego muzułmańska rodzina eskortowała i strzegła ajatollaha Chomeiniego, kiedy w 1963 roku, opuścił Iran, udając się przez Turcję na emigrację do Iraku. Młody Tahir Sahin towarzyszył wtedy Chomeiniemu do Nadżaf, świętego miasta szytów w Iraku i spędził z nim kilka lat jako tłumacz.

Był świadkiem przemiany, jaka dokonana się w Chomeinim i jego wizji światowej rewolucji islamskiej. Z czasem stał się równie żarliwy, jak Chomeini. Kiedy Chomeini został deportowany z Iraku i w 1978 roku przeniósł się do Francji, Sahin powrócił do ojczyzny i zaczął propagować jego wizję nadchodzącej rewolucji, zarówno w Turcji jak i w innych krajach, do których wyjeżdżał w interesach. Kiedy Chomeini triumfalnie powrócił do Iranu i ustanowił swą republikę islamską, Sahin często bywał jego honorowym gościem. Mając paszport turecki i irański dowód tożsamości podpisany przez samego Chomeiniego, Sahin mógł swobodnie podróżować po świecie w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa.

Swą prawdziwą wartość pokazał po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między Stanami Zjednoczonymi a Iranem w następstwie oblężenia ambasady USA w Teheranie w 1979 roku. Uczestniczył w tajnych negocjacjach ze Stanami Zjednoczonymi, których rezultatem były korzystne dla Irańczyków wymiany zakładników na broń, ale też pomógł w doprowadzeniu do uwolnienia brytyjskich, francuskich, włoskich i amerykańskich zakładników, przetrzymywanych w Libanie przez proirańskich fundamentalistów. Choć oficjalnie nie był partnerem Departamentu Stanu USA ani ministerstwa spraw zagranicznych żadnego innego kraju, Sahin pełnił funkcję nieoficjalnego posłańca między rządami, umożliwiając komunikację między krajami, które nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych.

W tej sytuacji Sahin - proirański fundamentalista islamski - mógł się swobodnie poruszać po Waszyngtonie, mimo że był podobno dyrektorem irańskiej organizacji zwanej Niru-je Entazami-e

Dżohurije, to znaczy Instytutu Strategicznych Studiów Bezpieczeństwa. Ten instytut, znany jako trust mózgów sił zbrojnych Iranu, doradzał bogatym krajom Bliskiego Wschodu w sprawach najnowszych technologii obronnych i w sprawach strategicznych, ale powszechnie przypuszczano, że był również szyldem dla międzynarodowej organizacji wywiadowczej, mającej na celu dostarczanie informacji Iranowi kanałami dyplomatycznymi. Gdyby Sahin nie był posłańcem, kursującym między Waszyngtonem a Teheranem, już wiele lat temu wyrzucono by go ze Stanów Zjednoczonych jako podejrzanego o szpiegostwo.

Freeman niechętnie spotykał się z kimś takim, ale nie widział lepszego sposobu na przekazanie Irańczykom, jak poważna stała się sytuacja.

Tahir Sahin na powrót przybrał uszczęśliwiony wyraz twarzy i powitał swych gospodarzy entuzjastycznym skinieniem głowy. - Spotkanie z panem to doprawdy nieoczekiwany zaszczyt, generale...

- Mam proste posłanie do prezydenta Natka-Nuri i generała Buzhaziego - przerwał mu Freeman. - Prezydent Stanów Zjednoczonych uważa atak grupy bojowej lotniskowca „Chomeini” na cywilny statek ratowniczy „Valley Mistress” i uwięzienie załogi tego statku za akt agresji wobec Stanów Zjednoczonych. Prezydent żąda natychmiastowego uwolnienia tych ludzi.

- Ależ, generale Freeman - przerwał mu Sahin, unosząc ręce, jakby się poddawał - jestem tylko skromnym biznesmenem, a nie ambasadorem, czy emisariuszem jakiegoś kraju...

- Nie jest to spotkanie dyplomatyczne - przerwał z kolei Freeman. - Proszę pana tylko o przekazanie wiadomości, panie Sahin. Jeśli może pan to zrobić, wyświadczy pan wielką przysługę Stanom Zjednoczonym i Islamskiej Republice Iranu. Jeśli nie, to wszyscy tracimy tylko czas.

Sahin pokiwał głową w zamyśleniu. - Dołożę oczywiście starań, żeby spełnić pańskie życzenie, panie generale - powiedział. - Mam nadzieję, że znajdę wkrótce okazję do porozmawiania z ministrem Welajatim albo z ministrem Foruzandehem.

- Proszę dołożyć starań, żeby to posłanie zostało dostarczone natychmiast, panie Sahin - powiedział Freeman. - Zamierzamy zagrać w pewną grę z Islamską Republiką Iranu.

- Grę, generale?

- Tak, panie Sahin. Dopóki choćby jeden Amerykanin będzie więziony w Iranie lub jego miejsce pobytu nie będzie znane, Stany Zjednoczone będą codziennie atakować jakiś cel wojskowy na terytorium irańskim. Stany Zjednoczone nie ogłoszą tego oficjalnie, nie będzie żadnych oficjalnych komentarzy. Atakowane będą najważniejsze obiekty wojskowe oraz stanowiska kontroli i dowodzenia. Celem tych ataków będzie stopniowe osłabienie obrony przeciwlotniczej Iranu, możliwości dowodzenia, mobilności i systemów broni dalekiego zasięgu; jeśli wybuchnie wojna, Iran będzie mieć trudności z obroną swych granic i przekona się, że jego siły zbrojne zostały znacznie osłabione, a może nawet niezdolne do mobilizacji.

Tahir Sahin zaśmiał się nerwowo. - To... bardzo dziwne, generale Freeman - powiedział. - To jest... równoznaczne z terroryzmem!

- Może pan to nazywać, jak się panu podoba - powiedział Freeman.

- Jeśli jeńcy nie zostaną zwolnieni, Iran poniesie konsekwencje.

- Czy wiąże się to z propozycją Republiki Islamskiej w sprawie wycofania wszystkich obcych okrętów z Zatoki Perskiej? - spytał Sahin. - To próba zmuszenia Iranu do kapitulacji?

- Nasza inicjatywa nie ma nic wspólnego z Zatoką Perską - odpowiedział Freeman. - Prezydent poważnie rozważa tę propozycję i być może przystanie na nią, pod warunkiem wprowadzenia

pewnych modyfikacji. Ale teraz chodzi wyłącznie o trzynastu zaginionych ze statku ratowniczego „Valley Mistress”. Prezydent żąda ich natychmiastowego, bezwarunkowego zwolnienia. Włos nie może spaść im z głowy, żadnych przesłuchań, żadnego przymuszania do czegokolwiek.

Sahin pokręcił głową, wodząc zaskoczonym wzrokiem po pokoju. - Stanowisko prezydenta jest nieoczekiwane wojownicze i aroganckie, generale Freeman. - powiedział. - Czy prezydent wciąż jest u władzy, czy też może wojsko zajęło już Biały Dom?

- Zapewniam pana, że prezydent panuje nad sytuacją - odparł Freeman. - Gdybym to ja decydował, zniszczyłbym już jedną po drugiej wszystkie irańskie bazy wojskowe, posłał irański lotniskowiec na dno Zatoki Omańskiej i rozkazał wojskom USA zająć prowincję Ormuzgan.

- Sądzi pan, generale, że taka wojownicza, nieustępliwa postawa przyczyni się do poprawy stosunków z Iranem, albo będzie służyć negocjacom?

- Być może nie rozumiał mnie pan, panie Sahin: Stany Zjednoczone nie prowadzą w tej chwili żadnych negocjacji - powiedział Freeman i odwrócił się do wyjścia. - Ataki rozpoczną się i będą trwały aż do czasu spełnienia naszych żądań. Prezydent przystąpi być może do negocjacji w sprawie usunięcia z Zatoki Perskiej okrętów wojennych, mogących atakować cele na lądzie, natomiast w sprawie ludzi z „Valley Mistress” nie będziemy negocjować. Ataki rozpoczną się i będą trwały aż do czasu spełnienia naszych żądań. Do widzenia, panie Sahin.

- To, to... niesłychane! - wykrztusił Sahin, kiedy Freeman był już przy drzwiach. - Muszę zabrać ze sobą jakiś dowód na to, co tutaj powiedziano, jakieś potwierdzenie, że pan i ja rozmawialiśmy...

- Jedyнным dowodem, jakiego panu potrzeba, będzie wiadomość o zniszczeniu jakiegoś celu wojskowego w Iranie - powiedział Freeman. Spojrzał na zegarek marki Ulysses-Nardin, pokazujący wszystkie strefy czasowe. - Tak się składa, że pierwszy atak powinien się rozpocząć lada chwila. Będzie to odwet za nielegalną, niczym nie sprowokowaną napaść na „Valley Mistress”. Żegnam, panie Sahin.

#### ♦ Na pokładzie bombowca B-2A Spirit AV-011, nad Iranem, o tej samej porze

McLanahan skończył wprowadzanie poleceń z klawiatury supermonitora. - SAR skonfigurowany - poinformował. - Pomijamy ukształtowanie terenu i większe obiekty, śledzenie obiektów ruchomych uaktywnione. - Odwrócił się do Jamiesona. - Gotów, DS?

- Całe życie jestem gotów - odburknął Jamieson. - Rób zdjęcie.

- Zaczynamy, radar włączony. - Dwie sekundy później McLanahan poinformował, że radar powrócił do stanu czuwania.

- Ej, DM, dwie sekundy, to dość, żeby turbaniarze nas namierzyli - zauważył ze złością Jamieson. - Do cholery, standardowa procedura przewiduje maksimum jedną sekundę!

Teraz, kiedy znajdowali się tak blisko, była to sprawa najwyższej wagi, ponieważ na czas uaktywnienia radaru SAR trzeba było wyłączyć tryb COMBAT. Jednym z elementów COMBAT w bombowcu B-2A było włączenie systemu

AN/VUQ:13 BEADS\*, czyli swego rodzaju „czapki niewidki”. System BEADS ładował zewnętrzną powierzchnię B-2A i wiatrochron kabiny jonami dodatnimi, przekształcając bombowca w wielki magnes przyciągający elektrony.

Kiedy „czapka niewidka” była uaktywniona, bardzo niewiele energii elektromagnetycznej mogło się przedostać przez pole pozytronowe - elektrony były „wsysane” w to pole i rozpraszane za samolotem; w analogiczny sposób absorbowana była energia elektromagnetyczna promieniująca z bombowca.

W połączeniu z pochłaniającymi promieniowanie radarowe materiałami w kompozytowej powłoce bombowca i właściwościami struktury płatowca ograniczającymi odbicie fal radiowych, BEADS zmniejszył przekrój radarowy B-2A o 60 do 70 procent, w zależności od zasięgu i mocy radaru. Pozostałe 30-40 procent odbitych fal radarowych było rozpraszane w różnych kierunkach dzięki unikatowemu kształtowi samego bombowca. Tak więc mniej niż 1 procent fal emitowanych nawet przez najpotężniejsze radary wracało do stacji radarowej po natrafieniu na bombowiec stealth B-2A Spirit.

Trudność związana z BEADS polegała jednak na tym, że fale elektromagnetyczne nie mogły się przedostać nie tylko do wewnątrz, ale także z bombowca na zewnątrz. W trybie COMBAT załoga nie mogła korzystać z łączności radiowej ani satelitarnej, odbierać sygnałów nawigacyjnych, używać obronnego systemu śledzenia rakiet MAWS\* ani radaru z syntetyczną aperturą SAR. „Czapka niewidka” automatycznie się wyłączała, kiedy, lecąc w trybie COMBAT, załoga uaktywniała SAR albo omijała zabezpieczenia, żeby skorzystać z radia lub złapać namiar nawigacyjny. Choć SAR włączało się zwykle na bardzo krótko, to jednak przekrój radarowy bombowca powiększał się w tym krótkim czasie kilkakrotnie, co w bliskości stanowisk obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela było bardzo niebezpieczne.

\* BEADS - Bomber Electronic Attenuation Defensive System - obronny system tłumienia energii elektromagnetycznej [przyp. tłum.].

\*\* MAWS - Missile Approach and Warning System - system ostrzegający i śledzący rakiety przeciwlotnicze [przyp. tłum.].

Jamieson pomyślał, że uaktywnianie SAR i wyłączenie BEADS było jak zanurzenie członka w akwarium z piraniami - im krócej trwało, tym lepiej. Piranie nie musiały zaatakować od razu, ale im dłużej narząd męskości był zanurzony, tym bardziej rosły szanse, że zostanie odgryziony, a poza tym, piranie z pewnością będą już czekać w pogotowiu, kiedy zanurzy go po raz drugi.

- To nie było standardowe przeszukanie radarem SAR - odparł McLanahan. - Poza tym, o czasie przeszukania decyduje komputer radaru, na podstawie zaprogramowanych parametrów, warunków zewnętrznych, siły sygnału. Ja tego nie kontroluję... Uwaga, drugie przeszukanie... gotów... teraz... radar w stanie czuwania, radar wyłączony.

- Drugie przeszukanie? A po jasną cholere? Jezu, McLanahan, to nas wykończy!

- Spokojnie, DS, czujniki nie sygnalizują żadnych zagrożeń.

- Głupi ma szczęście - odburknął Jamieson. - Po cholere było to drugie przeszukanie?

- Popatrz.

Jamieson spojrział na wielki ekran supermonitora i zamarł. Na mapę prowincji Ormuzgan nałożony był obraz radarowy wypełniony maleńkimi punktami. - Są tu wszystkie małe obiekty, wykryte przez nasz radar - wyjaśnił McLanahan. - Wyrzutnie pocisków rakietowych SA-10 lub Shahine miga być stacjonarne lub w ruchu, musimy więc sprawdzić jedno i drugie. Tu są wyświetlone wszystkie. Teraz poinstruję komputer, żeby poszukiwał echa charakterystycznego dla tych stanowisk w ruchu i gotowych do odpalenia. - W ciągu kilku sekund większość punkcików zniknęła z ekranu; pozostało około dwudziestu.

- No, teraz lepiej. Możemy wybrać dowolny punkt i sprawdzić go bliżej. SAR nie reaguje na atrapy, chyba że mają masę zbliżoną do masy prawdziwej rakiety. Atrapy nadmuchiwane, albo z drewna zostaną pominięte. Ale najpierw poszukam paru innych rzeczy. Faceci z rozpoznania twierdzą, że stanowiska startowe są z reguły otoczone ogrodzeniami, więc powiem komputerowi,

żeby to wziął pod uwagę.

- Ten radar może wychwycić coś tak małego jak parkan?

- Z łatwością - powiedział McLanahan. Po chwili komputer wybrał kilka obiektów. McLanahan naprowadził kursor na jeden z punkcików, znajdujący się o kilkaset metrów od jakiejś lokalnej szosy i wydał kilka poleceń głosem. Punkcik zaczął się powiększać, aż wypełnił cały ekran. Jamieson oniemiał ze zdziwienia - bez trudu rozpoznał ten obiekt. - Jasna cholera, wygląda to jak ciężarówka do przewozu bydła!

- Myślę, że to właśnie taki pojazd - zgodził się McLanahan. Nie przyszło mu to trudno - obraz był ostry jak czarno-biała fotografia wykonana w świetle dziennym. Wprowadził polecenie i obraz zniknął. Przesunął kursor na następny punkcik. Tym razem też nie mieli wątpliwości: znaleźli to, czego szukali. - Mamy jedną!

Jamieson był zdumiony. Patrzył na radarowe zdjęcie pocisku ziemia-powietrze SA-10 Grumble, umieszczonego na ruchomej wyrzutni, podobnej rozmiarami i wyglądem do wyrzutni systemu obrony przeciwrakietowej Patriot. Obraz miał prawie fotograficzną jakość. Mogli bez trudu rozróżnić wszystkie szczegóły rakiety - stateczniki, stożek nosowy; widać było nawet otwarte drzwi ciągnika po stronie kierowcy. - Niewiarygodne! - wykrzyknął. - Znaleźliśmy wyrzutnię SA-10 ustawioną na polu!

McLanahan wystukiwał polecenia na klawiaturze swojego terminalu. - A teraz Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i Agencja Wspomagania Wywiadu też już o niej wiedzą - powiedział. - Z planu lotu wynika, że będziemy tu krążyć jeszcze przez piętnaście minut; zobaczymy, czy nie znajdziemy czegoś więcej.

Przez następne piętnaście minut McLanahan systematycznie sprawdzał punkciki na ekranie supermonitora, programując różne parametry: punkciki na drogach, punkciki na torach kolejowych, punkciki za ogrodzeniem, punkciki na otwartej przestrzeni, punkciki w ruchu i nieruchome. Potem sprawdził wszystko jeszcze raz, porównując informacje o rozmiarach znalezionych obiektów z informacjami o rozmiarach irackich stanowisk obrony przeciwlotniczej. W ciągu tych piętnastu minut ustalił pozycję sześciu nowych stanowisk obrony przeciwlotniczej w pobliżu Bandar Abbas oraz wykrył kilkanaście atrap, ustawionych obok prawdziwych wyrzutni. Jedną z atrap był kawał rury kanalizacyjnej umieszczony na przyczepie traktora; rozmiarami i wyglądem bardzo przypominał prawdziwe stanowisko SA-10 Grumble.

- Nadal żadnych zagrożeń - powiedział McLanahan. - Tylko radary kontroli obszaru. No, narobimy trochę zamieszania. Gotów?

- Do roboty - powiedział Jamieson.

- Drzwi komory uzbrojenia gotowe do otwarcia... otwarte... - Jamieson i McLanahan poczuli wstrząs w kadłubie bombowca, normalnie niewzruszonym jak skała, kiedy cztery wielkie drzwi, zwane przez pilotów „wrotami do stodoły” otworzyły się. W tej samej chwili na monitorze pojawiła się liczba 10 otoczona rombem, a w słuchawkach usłyszeli charakterystyczne, niskie dźwięki. - Radar wyrzutni SA-10...

- No już, do diabła - mruknął Jamieson. - Odpalaj, kurwa, odpalaj! - Bombowiec B-2A był teraz szczególnie narażony na atak. Przy otwartych drzwiach bombowych jego przekrój radarowy był taki sam, jak przekrój każdego innego dużego samolotu. A kiedy odpalał rakiety, ich tor lotu można było prześledzić prosto do B-2A, artyleria przeciwlotnicza nieprzyjaciela widziała wreszcie cel, a celem tym był bombowiec wart miliard dolarów.



- Obrót wyrzutnika... jedna rakieta poszła... druga... - Jamieson oczekiwał, że poczuje jakiś wstrząs, kiedy pociski raketowe o masie 1.800 kilogramów będą opuszczać samolot, ale nic takiego nie nastąpiło. Tylko na monitorze operacyjnym pojawiły się sylwetki, opuszczające komorę uzbrojenia.

Romb wokół „10” na wskaźniku zagrożenia zaczął migotać, a w słuchawkach usłyszeli wysoki sygnał ostrzegawczy. - Uaktywnili wysokościomierz radarowy! - krzyknął McLanahan. Zbliżył palce do ikon MAWS i ECM\* na ekranie supermonitora. - Obrót wyrzutników ... poszła trzecia... czwarta... piąta i szósta... zamykam drzwi komory uzbrojenia. Drzwi zamknięte...

\* ECM - Electronic Countermeasures - elektroniczne środki zakłócające [przyp. tłum.).

W tym momencie zaczęła migotać zarówno „10” jak i romb, a zsyntetyzowany przez komputer głos ostrzegł: - Start rakiety... start rakiety... - McLanahan natychmiast dotknął ikon MAWS i ECM. W bombowcu B-2A MAWS był aktywnym systemem obrony przeciwraketowej; nie tylko zakłócał układ naprowadzania nadlatującej rakiety, ale faktycznie bronił samolotu. Kiedy tylko wykryty został start pocisku raketowego ziemia-powietrze SA-10, z tylnej sekcji spłaszczonego kadłuba bombowca wysunęła się kopuła małego radaru, który natychmiast ustawił się na azymut wyrzutni i rozpoczął omiatanie nieba w poszukiwaniu nadlatującej rakiety.

Radar ALQ-199 systemu MAWS namierzył rakietę, wyświetlił jej pozycję na głównym monitorze pilota, a komputer zasugerował zwrot, żeby uniknąć zagrożenia i przedstawił propozycję zmian ustawień autopilota. Komputer wyrzucił również folię antyradarową - cienkie pasemka metalowej folii, tworzące na niebie ogromne chmury, które powinny zmylić radar pocisku raketowego - a także uaktywnił ECM tak, że wśród sygnałów zakłócających otworzyły się wolne od zakłóceń korytarze, „pokazujące” radarowi naprowadzającemu SA-10 drogę do chmur folii antyradarowej.

Podczas gdy pocisk raketowy SA-10 wznosił się w kierunku bombowca B-2A, uaktywnił się następny, najnowocześniejszy element systemu MAWS - zbliżająca się rakietka została ostrzelana wysokoenergetycznymi wiązkami światła laserowego, które oślepiły jej układ naprowadzania i spowodowały przegrzanie obwodów elektronicznych. W ciągu niespełna trzech sekund SA-10 była ślepa i głucha. Przeleciała obok B-2A, nie wyrządzając żadnej szkody, po czym sama się zniszczyła, opadając ku Zatoce Perskiej.

- Wszystkie nasze rakiety w porządku - zgłosił McLanahan. - Dobry sygnał zwrotny... Wszystkie odpalone pociski w drodze nad wyznaczony obszar.

Pierwszy atak zakończył się po trzydziestu sekundach i Jamieson zdał sobie sprawę, że w ogóle nie przyłożył do niego ręki, nawet nie dotknął dźwigni ciągu, a rękę tylko lekko opierał o drążek sterowy. Nie były potrzebne żadne uniki, nie trzeba się było przemykać na małej wysokości między wzniesieniami, próbując schować się przed nieprzyjacielskim radarem, zbędne były skomplikowane manewry obronne.

To wszystko było takie sterylne, automatyczne - wręcz nieludzkie. Stalowe cienie, śmierć znikąd i zewsząd...

Ale spokój nie potrwał długo. Po kilkunastu sekundach zmienił się sygnał szukającego ich radaru i Jamieson spostrzegł, że jasnożółty łuk na wskaźniku zagrożenia, znajdujący się bardzo blisko sylwetki ich B-2A, zaczął się robić coraz węższy, aż w końcu przekształcił się w cienką linię. Na szczęście linia ta odsuwała się od centrum wskaźnika, co oznaczało, że radar nie namierzył B-2A.

- Wysokościomierz radarowy znów aktywny - powiedział McLanahan. - Wygląda na to, że namierzili jedną z naszych JSOW... Nasz numer dwa odpowiedział...

Rakiety, które odpalili McLanahan i Jamieson nazywały się AGM-154 Joint Standoff Weapons, w skrócie JSOW. Były to małe pociski manewrujące; które można było wyposażać w najrozmaitsze głowice, ładunki, awionikę, czujniki, układy naprowadzania i jednostki napędowe, dostosowując elementy składowe do potrzeb konkretnej misji. Rakiety JSOW, które właśnie odpalili, były wyposażone w broń klasy Disruptor, tak zwane „krzykacze”, transmitujące sygnały zakłócające dużej mocy na wszystkich częstotliwościach. „Krzykacze” powodowały wielokrotne przeciążenie wszystkich układów antenowych w swoim zasięgu. Rakiety JSOW z „krzykaczami”, krążące nad stanowiskami obrony przeciwlotniczej i stacjami radarowymi, paraliżowały te ostatnie i powodowały przeciążenie sieci radiowych w swoim zasięgu aż na sześćdziesiąt minut - dość czasu, żeby ekipy Agencji Wspomagania Wywiadu mogły bezpiecznie przelecieć nad takim terenem.

Żałoga B-2A znów usłyszała w słuchawkach niski sygnał ostrzegawczy i zobaczyła romb z „10” w środku. - Radar SA-10 koło Bandar Abbas... JSOW numer jeden i trzy odpowiadają... - Kiedy na ziemi uaktywniano raketowe systemy obrony przeciwlotniczej, głowice naprowadzające rakiet JSOW namierzały je i przeprogramowywały autopilota na kurs w kierunku radarów nieprzyjaciela. Inny sygnał ostrzegawczy, tym razem z literą H na wskaźniku. - Radar systemu Shahine... rakiet numer cztery odpowiada... Wygląda na to, że Irańczycy ustawili już kolejnego Shahine na Abu Musa. Nie tracili czasu.

- Daruj sobie komentarze, McLanahan - powiedział Jamieson. - Dopilnuj tylko, żeby żadne z tych stanowisk nas nie namierzyło.

- Nasze ECM w stanie czuwania, radary tylko nas omiatają - uspokoił go McLanahan. Postukał w klawiaturę i bombowiec skręcił lekko na południe. - Odchodzę trochę w prawo, żeby trzymać się z daleka od tego Shahine na Abu Musa. Jeśli przeszmy na tę wyspę także SA-10, to tym bardziej wolę zachować bezpieczną odległość. „Krzykacze” powinny się włączyć za kilka sekund.

Efekt był przerażający i zapierający dech jednocześnie. Jak na komendę, wszystkie irańskie stanowiska obrony przeciwlotniczej w promieniu stu kilometrów otworzyły ogień. Odpalało rakiet bądź strzelało osiem stanowisk SA-10, cztery Shahine, co najmniej dziesięć Rapierów, kilka ZSU-23/4 i ZSU-23/2.

- Boże święty! Nie wierzę oczom! - zawołał Jamieson. Przez okna kabiny widzieli, jak niebo przecinają rakiet lecące donikąd, jak z żółtymi i czerwonymi błyskami rozrywają się pociski artyleryjskie. „Krzykacze” uaktywniły irańskie systemy obrony przeciwlotniczej i systemy te zareagowały jak na wielki nalot. W ciągu kilku sekund odpalone zostały wszystkie rakiet, wystrzelone wszystkie pociski... i wszystkie narobiły tylko dziur w powietrzu. Kilka okrętów zacumowanych w Bandar Abbas również otworzyło ogień. Zarejestrowali nawet odpalenie rakiet do zwalczania okrętów nawodnych, ale McLanahan nie miał pojęcia, dokąd poleciała. Jamieson ze zdumieniem patrzył na tę koncentrację systemów obrony przeciwlotniczej i zdał sobie sprawę, że ich bombowiec znajduje się w odległości mniejszej niż sześćdziesiąt kilometrów od tego obszaru.

Sceneria prawie się nie zmieniała, kiedy lecieli na wschód, w kierunku grupy bojowej lotniskowca „Chomeini” w Zatoce Omańskiej. Sylwetka lotniskowca na monitorze świeciła jak choinka bożonarodzeniowa, również krążownik „Zhanjiang”, kilka mil dalej na południowy wschód, miał włączone radary. Na wskaźniku zagrożenia wyraźnie widać było eskortę lotniskowca: otaczały go mniejsze jednostki z systemami obrony przeciwlotniczej bliskiego zasięgu, które - wraz z systemami dalekiego zasięgu, umieszczonymi na większych jednostkach i systemami obronnymi samego lotniskowca - tworzyły kilkustopniowy pierścień obronny wokół tej najcenniejszej maszyny

wojennej Iranu.

- Mamy cztery „krzykacze” zaprogramowane na „Chomeiniego” i jeszcze dwa w rezerwie - podsumował McLanahan. - Przygotowuję przeszukanie radarem SAR.

Jamieson wciąż był oszołomiony efektami użycia Disruptorów. - Nie mogę w to uwierzyć, zaczęli strzelać wszyscy na raz... Dwa dni zajmie im ponowne uzbrojenie tych stanowisk!

- Może nie dwa dni - powiedział McLanahan - ale tak czy inaczej będą musieli ponownie uzbroić stanowiska, być może wymienić przegrzane lufy działek i wypalone wyrzutnie. A kiedy już będą gotowi do strzału, „krzykacze” ponownie się uaktywnią i może Irańczycy znów odpalą wszystko, co mają, tracąc następne rakiety i amunicję. W końcu nasze rakiety JSOW zostaną trafione, albo skończy im się paliwo i spadną gdzieś, ale mam nadzieję, że do tego czasu nasi chłopcy wejdą tam, zrobią swoje i wrócą. Jeśli dopisze nam szczęście, „krzykacze” spowodują trwałe uszkodzenia kilku starszych stanowisk Shahine i Szyłka. Dla naszych ludzi oznacza to dodatkową szansę. Dobra, zobaczymy, czy uda nam się zrobić to samo z lotniskowcem i tym chińskim krążownikiem.

Pierwotnie Jamieson nie ufał Disruptorom McLanahana; jeśli już mieli lecieć tak daleko, to chciał przynajmniej zobaczyć jakiś wielki wybuch! Teraz jednak nawet on musiał przyznać, że jeśli powiedzie się następny atak, Irańczycy będą się mieli z pyszna.

- Zaczynamy... rakiety gotowe... drzwi się otwierają... pierwsza poszła...

- Jedna po drugiej, cztery rakiety opuściły dwa wewnętrzne wyrzutniki rewolwerowe. Mając jeszcze dwie rakiety w rezerwie, bombowiec odszedł ostro w prawo i ruszył z powrotem, ku bezpiecznej przestrzeni powietrznej Zjednoczonych Emiratów Arabskich, oddalając się od irańskiej floty i jej śmiertelnej broni przeciwlotniczej.

Zgodnie z planem McLanahana, cztery rakiety poleciały na północ od irańskiej grupy bojowej, a potem zawróciły na południowy wschód, w kierunku Zatoki Omańskiej, lecąc jedna za drugą w odstępach po około 500 metrów. Zaczęły krążyć w odległości zaledwie sześciu mil na wschód i na zachód od lotniskowca i jego eskorty. Wszystkie cztery pojawiły się na irańskich radarach, ale były tak małe i leciały z tak małą prędkością, że zostały automatycznie wymazane z ekranów jako nie przedstawiające zagrożenia.

♦ **Lotniskowiec Straży Rewolucyjnej Islamskiej Republiki Iranu „Ajatollah Ruhollah Chomeini”, o tej samej porze**

- Panie admirale, sektor obrony przeciwlotniczej Bandar Abbas zgłasza niezidentyfikowany samolot, kierunek dwa-pięć-zero, kurs na wschód, prędkość osiemset kilometrów! - rozległo się nagle w interkomie centrum informacji bojowej. - Teraz kurs dwa-trzy-zero, odległość osiemdziesiąt pięć kilometrów według ostatniego pomiaru i zmniejsza się...

- Co takiego? - wykrzyknął wiceadmirał Pasdaranu Akbar Tufajli. Zaciśnięte szczęki znów go zabolowały, i to trzy razy bardziej niż parę minut temu. Samolot nadlatywał od strony Zjednoczonych Emiratów Arabskich! Kolejny atak Rady Współpracy Zatoki? - Jaka prędkość, jaka wysokość?

- Następne obiekty!... Trzy, może cztery formacje, prędkość osiemset, wysokość dziesięć tysięcy metrów i zmniejsza się.

Wiceadmirał Akbar Tufajli, dowódca grupy bojowej lotniskowca „Chomeini” i nominalny dowódca formacji lotniczej na lotniskowcu, odwrócił się do swego absolutnie zaskoczonego szefa sztabu, generała-brygadiera Mohameda Badiego. - A mówił pan, że zagrożenie zostało wyeliminowane! Badi, radar sygnalizuje atak! To są samoloty Zjednoczonych Emiratów Arabskich, atakujące Bandar Abbas i naszą grupę bojową!

- To... to wręcz nieprawdopodobne, admirale - wykrztusił Badi. - Piloci z Emiratów i ich brytyjscy najemnicy nie są przeszkoleni w atakowaniu celów morskich nocą! Zjednoczone Emiraty Arabskie wynajmowały dla swego lotnictwa bojowego pilotów z całego świata, ale żaden trzeźwo myślący pilot nigdy by się nie zgodził na taką samobójczą misję! Nie mają broni naprowadzanej, tylko bomby konwencjonalne i działka! Muszą chyba wiedzieć, że posiekamy ich na kawałki, zanim znajdą się dostatecznie blisko, żeby zrzucić bomby?

- Nie zrzucą, ale tylko pod warunkiem, że skutecznie ich powstrzymamy! - krzyknął Tufajli. - Ostrzelać ich z możliwie największej odległości! Potem niech wystartują myśliwce! Każdy samolot arabskich zdrajców ma zostać zestrzelony! Niech reporterzy i fotografowie na własne oczy zobaczą szczątki porzucane wzdłuż wybrzeża! Chcę zademonstrować potęgę tej grupy bojowej całemu światu, teraz, zaraz!

- Nieprzyjacielskie samoloty zakręcają! - wrzasnął do interkomu operator radaru „Chomeiniego”. Admirał Tufajli zanotował w myślach, że szef sekcji musi poinstruować swoich ludzi, by zachowali spokój korzystając z interkomu; głos operatora podniósł się co najmniej o oktawę w ciągu tych paru minut, kiedy zbliżały się niezidentyfikowane samoloty. - Odległość sześćdziesiąt kilometrów i zmniejsza się powoli, wysokość spadła poniżej dwóch tysięcy metrów. Rejestrujemy silne zakłócanie.

- Chyba lecą na Bandar Abbas - zauważył Badi - ale w każdej chwili mogą zakręcić w naszą stronę. Brak informacji o ich uzbrojeniu.

- Musimy przyjąć, że dysponują bronią naprowadzaną, chyba że jest to samobójczy nalot na małej wysokości - powiedział Tufajli. Wyrzwał przez okno obserwacyjne na pokład startowy „Chomeiniego”. - Kiedy wystartują myśliwce przechwytyjące?

- Jeszcze tylko kilka minut, sir.

- Do cholery, Badi! Napastnicy nadlatują! Nasze myśliwce mają wystartować natychmiast!

- Tak jest! - odpowiedział Badi. Nie pozostało mu nic innego, jak podnieść słuchawkę telefonu i powiedzieć dowódcy operacji lotniczych, żeby przyspieszył przygotowania do startu.

Tufajli obserwował załogi biegnące do śmigłowców ratowniczych, które stały na pokładzie przed nadbudówką. Śmigłowce ratownicze zawsze startowały przed myśliwcami i zajmowały pozycje obok, i za rufą lotniskowca, gotowe pośpieszyć z pomocą, gdyby któryś z myśliwców spadł do wody zaraz po starcie. - Jeśli któryś z napastników zbliży się do mojej grupy bojowej na mniej niż pięćdziesiąt kilometrów, użyć wszystkich systemów obrony przeciwlotniczej!

Pierwszy śmigłowiec ratowniczy uniósł się właśnie z pokładu i zajmował pozycję przy lewej burcie, gotów przyjść z pomocą pilotowi, który musiałby się katapultować zaraz po starcie. Ściągnięcie załogi i wysłanie tego śmigłowca w powietrze potrwało dłużej niż pięć minut. To niedopuszczalne, pomyślał Tufajli. Zamierzał wziąć się za tę załogę zaraz następnego ranka, zaaplikować im nieprzerwane ćwiczenia...

Generał Badi odwrócił się od pokładu śmigłowcowego i spojrzał na środek lotniskowca, przed pomost wyspowy, gdzie myśliwiec Suchoj-33 z dwiema rakietami powietrze-powietrze dalekiego zasięgu R-73 i dwiema naprowadzanymi termicznie R-51 krótkiego zasięgu przygotowywał się do startu. Ponieważ myśliwiec nie zabierał wszystkich rakiet i nie był zatankowany do pełna, mógł skorzystać z krótszego, stumetrowego pasa startowego, podczas gdy inna maszyna, maksymalnie uzbrojona w rakiety, mogła startować z dwustumetrowego pasa wzdłuż lewej burty.

Admirał Tufajli niecierpliwił się, ale wiedział, że nocne starty z lotniskowca były bardzo

niebezpieczne i że załogi pracowały najszybciej jak umiały. - Odległość od tamtych myśliwców? - spytał.

- Najbliższy cel powietrzny w odległości czterdziestu siedmiu kilometrów. Wydaje się, że atakują stanowiska obrony przeciwlotniczej wokół Bandar Abbas.

Myśliwce Rady Współpracy Zatoki wołały jednak nie atakować lotniskowca, pomyślał Tufajli. Dwa zapłaciły już za to wahanie; zostały zestrzelone przez rakiety z Bandar Abbas. Wkrótce myśliwce z „Chomeiniego” zniszczą wszystkie maszyny nieprzyjaciela. Świat przekona się, jaką potęgę stanowi irański lotniskowiec...

Nagle zawyła okrętowa syrena alarmowa. Ostrzeżenie przed kolizją! W tej samej chwili odpalonych zostało kilka rakiet i zaczęły strzelać działka przeciwlotnicze. - Co się dzieje? - krzyknął Tufajli. - Co tu się dzieje? Meldować!

- Niezidentyfikowany samolot, odległość... odległość niemożliwa do określenia! - krzyknął jeden z oficerów. - Jakby byli tuż nad nami! Wiele maszyn! Są wszędzie! Rejestrujemy silne zakłócanie... czujniki przeciążone! - Tufajli i Badi patrzyli w niebo; startowały rakiety, strzelały działka przeciwlotnicze, ale nie było widać żadnego samolotu... - Zaraz, tam! Widzę trafienie! - krzyknął Tufajli. - Z przodu po prawej... Jednego mamy!

- Nie! - zawołał Badi, przekrzykując huk wystrzałów. - To był nasz śmigłowiec! Przez pomyłkę zestrzeliliśmy nasz własny śmigłowiec ratowniczy! Wstrzymać ogień, do cholery! Wstrzymać ogień!

Minęło kilkanaście sekund, zanim cała broń „Chomeiniego” zamilkła. - Wysłać następny śmigłowiec, natychmiast! - krzyknął Tufajli. - I niech wreszcie wystartują te myśliwce! - Po chwili zaczęły się obracać wirniki następnego śmigłowca Mi-8, który zaraz wzniósł się w powietrze z pokładu za nadbudówką lotniskowca; kilka sekund później dwa myśliwce Suchoj-33 wystartowały ze skoczni narciarskiej.

I znów to samo - nagle przestały funkcjonować wszystkie radia i radary, dosłownie zalane elektronicznym hałasem, a wskaźniki zagrożenia ostrzegały przed wrogiem wokół całej grupy bojowej. Dowódca obrony przeciwlotniczej nie miał wyboru - rozkazał wszystkim stanowiskom otwarcie ognia do niezidentyfikowanych celów. Parę chwil później lotniskowiec „Chomeini”, krążownik „Zhanjiang” i inne duże okręty z grupy bojowej wystrzelały prawie całą przygotowaną amunicję.

- Straciliśmy kontakt radiowy z naszym kluczem myśliwskim - zameldował generał Badi. - Awaria radia. Dowódca lotniskowca uważa, że kontynuowanie operacji powietrznych jest zbyt niebezpieczne.

- Bandar Abbas też jest atakowany - odparł Tufajli. - Oba nasze myśliwce mają kontynuować lot patrolowy, dopóki będzie to możliwe, a potem niech lądują w Czah Bahar.

- Tak jest - powiedział Badi, po czym podszedł bliżej do swojego dowódcy i dodał ściszym głosem: - Admirale, te dziwne sygnały zakłócające i fałszywe cele, jakie wygenerowały, poważnie osłabiły nasze możliwości obrony przed atakiem z powietrza. Gdyby teraz zaatakowały nas rakiety albo bombowce, bylibyśmy w bardzo trudnej pozycji. Zużyliśmy ponad połowę amunicji, a obsługa i załadunek niektórych wyrzutni zajmie prawie godzinę!

- Co z tego? Do rzeczy, generale!

- Panie admirale - powiedział z ociąganiem Badi - może rozsądne byłoby opuszczenie

„Chomeiniego”. Grupa bojowa jest w tej chwili praktycznie bezbronna. Systemy wykrywania na dużą odległość nie działają, sprawność systemów krótkiego zasięgu jest ograniczona, zapasy amunicji w poważnym stopniu wyczerpane, na osłonę myśliwców prawie nie ma co liczyć. Nawet stanowiska obronne na brzegu nie mogą przyjść nam z pomocą. Jeśli to przygotowanie do ataku, ma pan jeszcze czas, żeby uciec. Mógłby pan zabrać ze sobą jeńców.

- Ani myślę! - odparł Tufajli. - To by wyglądało na ucieczkę przed atakiem!

- Można powiadomić Czah Bahar, że wysyła pan jeńców do tamtejszej bazy marynarki wojennej, żeby rozpocząć przesłuchania - zasugerował Badi, kładąc nacisk na słowo „wysyła”, żeby Tufajli zrozumiał, o co chodzi. - Mógłby pan osobiście nadzorować tę operację.

Tufajli przemyślał to ponownie i skinął głową. - Dobrze, generale. Przygotować jeńców; osobiście dopilnuję ich przesłuchania. - Poklepał Badię po plecach w milczącym podziękowaniu. Szef sztabu pośpieszył wykonać rozkazy admirała.

Otoczony przez uzbrojone strażę i oficerów sztabowych, admirał Tufajli oszczędził sobie hańby spojrzenia w oczy marynarzom i żołnierzom Pasdaranu, kiedy szedł na rufę, do śmigłowca, który miał go zabrać do Czah Bahar. Grupka jeńców już tam czekała; byli brudni, obdarci, skuci kajdankami i każdy miał czarny worek naciągnięty na głowę.

Tufajli podszedł do mężczyzny stojącego na czele grupy jeńców. - Widzę, że jest pan dobrze traktowany, pułkowniku White - powiedział, przekrzykując ryk syren alarmowych, krzyki ludzi i warkot śmigłowca.

- Ach, toż to admirał Tufajli - wyskrzecztał White przez wysuszone gardło. Twarz wciąż miał pokrytą warstwą smaru, ropy i soli; był to rezultat godzin spędzonych w morzu po tym, kiedy statek „Valley Mistress” został zatopiony. - Czy mój nos się nie myli, admirale? Wyraźnie czuję wojnę...

Strażnik uderzył White'a w splot słoneczny kolbą karabinu; kilku stojących najbliżej marines próbowało przyjść pułkownikowi z pomocą, ale byli tak osłabieni z głodu i pragnienia, że odciągnięto ich bez trudu.

W tym momencie znów zawyły syreny i systemy obronne okrętu ponownie otworzyły ogień, wydawało się, że we wszystkich kierunkach. Tym razem kanonada trwała tylko kilka chwil i gwałtownie się urwała, chociaż syreny wciąż wyły. Kilku oficerów podbiegło do Tufajliego z meldunkami.

- Co to było, admirale? - spytał White. - Skończyły się panu SA-10? Czy to możliwe? Pewnie zestrzelił pan z dziesięciu, może ze dwudziestu napastników, skoro zużył pan tyle rakiet dalekiego zasięgu.

- Znajdzie się pan na dnie Zatoki Omańskiej obok swojego szpiegowskiego statku, jeśli nie będzie pan milczał, pułkowniku White - ostrzegł Tufajli. - Pańska znajomość farsi z pewnością bardzo zainteresuje śledczych w Czah Bahar.

- Wybieramy się dokądś, admirale? - spytał White. - Może to, co mój nos czuł przed chwilą, to wcale nie była wojna... może śmierdziało coś innego? Zapach dochodzi jakby z pana strony. Co to może być, admirale?

Tufajli zdarł White'owi worek z głowy. - Ostrzegałem, żeby pan milczał, pułkowniku. Teraz dostanie pan nauczkę. - Tufajli wziął karabin od strażnika, odciągnął jednego z marines od grupy jeńców, przystawił mu lufę do głowy i ściągnął spust. Głowa jeńca rozprysnęła się jak dojrzały melon.

Wszyscy dookoła podskoczyli na odgłos strzału; odgłos zwalających się na stalowy pokład zwłok

wydawał się jeszcze głośniejszy. White patrzył ze zgrozą; wyglądał, jakby sam miał za chwilę osunąć się na pokład. - Krew tych, którzy zginęli podczas ataku pańskich kolegów, amerykańskich terrorystów, jest na pańskich rękach, pułkownik White - powiedział Tufajli. - Pan i pańscy ludzie staniecie za to przed sądem.

- Niech cię piekło pochłonie, ty skurwysynu - powiedział White.

- Ach, widzę, że nie jest pan już taki wymowny, jak przed chwilą - powiedział Tufajli. - Bardzo dobrze. To pana nauczy trzymać język za zębami. - Uniósł głos, zwracając się do wszystkich. - Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Islamskiej Republice Iranu, więc wszyscy jesteście jeńcami wojennymi. A ponieważ nie macie na sobie mundurów i jesteście podejrzani o szpiegostwo, nie będziecie korzystali z przywilejów, przysługujących jeńcom wojennym na mocy Konwencji Genewskiej. To oznacza, że staniecie przed sądem wojennym. W Republice Islamskiej za szpiegostwo karze się śmiercią przez powieszenie. Możecie oczywiście przyznać się do popełnionych zbrodni i ujawnić swoją tożsamość; wtedy kara śmierci zostanie zamieniona na dożywotnie więzienie. A może nawet wymieni się was kiedyś na innych jeńców.

- Odpierdol się, szmato - powiedział White. - To ciebie czeka śmierć i mam nadzieję, że z mojej ręki.

- Ponieważ jest oczywiste, że nie chcecie mówić w obecności waszego dowódcy, zaczekamy, aż znajdziecie się w więzieniu wojskowym w mojej bazie Czah Bahar - powiedział Tufajli, uśmiechając się, kiedy pułkownikowi White'owi ponownie naciągano worek na głowę. - Na wymianę jeńców i powrót do domu nie będziecie oczywiście mogli liczyć, jeśli będziecie martwi, więc radzę wam skorzystać z mojej propozycji. Macie trochę czasu, żeby się zastanowić, ale kiedy przybędziemy do Czah Bahar, musicie wybierać: przyznanie się do winy albo śmierć.

**« Baza Marynarki USA Mina Sułtan, Szardża, Zjednoczone Emiraty Arabskie, o tej samej porze**

„Kwatery oficerskie” w Mina Sułtan, jedynej bazie wojskowej w emiracie Szardża, wchodzącym w skład Zjednoczonych Emiratów Arabskich, były prymitywnymi, jednoizbowymi budynkami z betonu, z jednym oknem i płaskim, blaszanym dachem. Były znacznie prymitywniejsze od domów arabskich, bo Zjednoczone Emiraty chciały uniknąć podejrzania o faworyzowanie nie-Arabów. Każdy budynek miał węglową kuchnię, plastikowy zlew, prysznic z trzydziestolitrową termą elektryczną i przenośną toaletę za zasłoną przy tylnych drzwiach, łóżko, biurko, pojedynczą żarówkę pod sufitem, telefon, połączony tylko z oficerem dyżurnym w centrum dowodzenia i komódkę. Briggs żałował czasem, że nie zakwaterowano go w koszarach dla poborowych i podoficerów, które mieściły się w przyjemnych, nowoczesnych, klimatyzowanych budynkach z cegły. Otworzył drzwi i pomyślał, że kiedy będzie wychodził, musi w nich przyciąć jakąś nitkę, żeby sprawdzić, kiedy ten cholerny doktor Nick Sabin przeszukuje mu pokój. A może po prostu załatwić kłódkę?

Briggs zapalił światło i, ku swemu zdumieniu, zobaczył Nika Sabina we własnej osobie. Doktor leżał na łóżku ze związanymi rękami i nogami, i z ustami zaklejonymi przyklepcem. Był cały i zdrowy, ale wściekły jak wszyscy diabli.

Briggs błyskawicznie wyciągnął wielkiego Colta.45 i wymierzył w kierunku jedyne miejsce w pokoju, w którym ktoś mógł się schować, to zasłonę, za którą znajdowała się toaleta. Sabin rzucił się na łóżku, wydając przytłumione odgłosy, ale Briggs nie zwracał na niego uwagi. Zgasił światło, przykucnął koło łóżka i zawołał: - Wychodzić, ale już! - najpierw po angielsku, a potem, najlepiej jak potrafił, po arabsku. - Wychodzić!



- Jestem tutaj, Leopard - dobiegł go miękki, jedwabisty głos. Briggs błyskawicznie się odwrócił. Komódka była trochę odsunięta od ściany - cholera, tak się skoncentrował na toalecie, że nie zwrócił na to wcześniej uwagi - i właśnie stamtąd dochodził kobiecy głos. Wyciągnęła ręce, pokazując, że są puste i wstała. Riza Behruzi, komandos Rady Współpracy Zatoki! Co tu się, u diabła, działo?

- Wyłaż stamtąd! - zawołał Briggs. - Ręce za głowę i kładź się na podłogę! Jeden podejrzanym ruch, a rozwalę ci łeb!

Behruzi zrobiła, co jej kazał. Briggs podskoczył do toalety i zerwał zastanę. Nikogo tam nie było. Zajrzał pod łóżko, pod biurko, obszedł dookoła kuchnię - pusto. Zamknął drzwi frontowe, sprawdził, czy drewniana okiennica jest domknięta, schował Colta i dokładnie przeszukał dziewczynę, bez żadnych ceregieli, jakby przeszukiwał zwykłego jeńca czy podejrzanego. Nie znalazł broni.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - spytał, pamiętając, żeby w obecności Sabina nie użyć ani jej pseudonimu, ani prawdziwego imienia. Przekręcił ją na plecy... i natychmiast poczuł suchość w gardle i pieczenie uszu. Boże, jakaż była piękna!

- Chciałam się z tobą zobaczyć - powiedziała, kiedy Briggs pomógł jej wstać. Kiwnęła głową w kierunku doktora Sabina, który nadal leżał związany na łóżku. - Ten tutaj szperał w twoim pokoju. Właśnie miałam zawołać służbę bezpieczeństwa, kiedy wszedłeś.

- Och, naprawdę? - Briggs wprost nie mógł się doczekać wyjaśnień doktora Sabina. Ostrożnie zerwał mu plaster z ust; dobrze, że doktor był dokładnie ogolony.

- Napadła na mnie! - wrzasnął Sabin, kiedy tylko odzyskał mowę. - Omal nie skrzyła mi karku!

- Wydaje mi się, że mogłaby to zrobić bez najmniejszego trudu, gdyby tylko chciała, doktorze - powiedział Briggs, uśmiechając się złośliwie. Sabin nie widział w tym nic zabawnego. - Był pan w moim pokoju, kiedy pana zaatakowała?

Sabin poczuł się nieco zakłopotany, ale skinął głową. - Przyszedłem zobaczyć, jak się pan czuje - wyjaśnił. - Wiedziałem, że pańska ekipa wyrusza na następną operację, w centrum dowodzenia pana nie było, a do hangaru operacyjnego nie mam wstępu, więc pomyślałem, że zajrzę tutaj...

- Nie lubię, kiedy ktoś wchodzi do mojego pokoju pod moją nieobecność, doktorze - powiedział Briggs, ale nie był w stanie zmusić się do ostrego tonu. Zaczął ostrożnie rozwijać przyłepiec, którym były skrupowane nadgarstki i kostki Sabina.

- No to położę pana w klinice, z zakazem wychodzenia - powiedział Sabin z irytacją w głosie. - Spuściłem pana z oka tylko dlatego, że uprzykrzał pan życie mnie i mojemu personelowi, ale cały czas miał pan być pod obserwacją. Ponieważ nie uznał pan za stosowne przysłać mi próbki kału i moczu, jak o to prosiłem, to postanowiłem przejrzeć pańską brudną bieliznę. Ale skoro tak się mnie traktuje, kiedy chcę pójść panu na rękę, to zachowam się jak bydlę i zamknę pana w klinice na tak długo, jak to uznam za stosowne. Jak się to panu podoba?

Hal zaczął szybciej odwijać przyłepiec; doktor był naprawdę wkurzony. Po chwili Sabin był już wolny. - Przykro mi, doktorze. Robię się trochę nerwowy, kiedy moja ekipa wyrusza na akcję.

Sabin spojrzał na jego ubranie i pokręcił głową z dezaprobatą. - Chciał pan z nimi polecieć, wbrew moim zaleceniom, prawda? - powiedział. Milczenie Briggsa było potwierdzeniem jego podejrzeń. - Nie tylko zamknę pana z powrotem w klinice, ale jeszcze postawię wartownika przy łóżku.

- Nie trzeba, nic mi nie jest, naprawdę - powiedział szybko Briggs. - Gdybym miał jakieś problemy, to na pewno się do pana zgłoszę. Musiał pan nieźle nagadać o mnie sierżantowi, bo wykopał mnie natychmiast. Ale nie musi mnie pan kłaść do szpitala. Będę wypełniał pańskie

zalecenia.

- Tak będzie lepiej dla pana. - Sabin spojrział na Rizę Behruzi. - A teraz, czy mógłby mi pan powiedzieć, kim jest ta pani i co tu robi? Najwyraźniej zna ją pan.

Briggs zawahał się; nie wiedział, jak ma się zwracać do Rizy w obecności kogoś obcego. Ale ona po prostu wyciągnęła rękę i posłała Sabinowi uśmiech, od którego obu mężczyznom zakręciło się w głowie, a potem pokazała mu swoje dokumenty. - Nazywam się Riza Behruzi, zastępczyni szefa Wywiadu Wojskowego Zjednoczonych Emiratów Arabskich. - Podała doktorowi dokumenty, a ten przestudiował je uważnie, zanim oddał je z powrotem. - Otrzymałam rozkaz niezwłocznego przeprowadzenia rozmowy z majorem Briggssem, ponieważ jego grupa została zaatakowana przez stanowisko ZSU-23/4 na wyspie Tumb, o którego istnieniu dotąd nie wiedzieliśmy.

- Teraz? Tutaj? Trochę to dziwne.

- Prawdę mówiąc, doktorze, Dyrektoriat otrzymał wiadomość, że major Briggs nie żyje - powiedziała Behruzi równocześnie rozbawiona i zakłopotana. - Niewiele wiemy o tym, co Amerykanie robią w bazie Mina Sułtan. Poszukujemy też starszego sierżanta Chrisa Wohla; jak się zorientowałam, też nic mu się nie stało. Wie pan, gdzie mogę go znaleźć? Z nim również muszę zaraz porozmawiać.

Sabin spojrział podejrzliwie na Behruzi, potem na Briggsa. Lata służby w siłach specjalnych nauczyły go, że im mniej będzie mówił, tym lepiej.

- Powinna się pani zwrócić do komendanta bazy albo do dowódcy operacji bojowych, majorze Behruzi - powiedział. - Nie wiem, jak pani się dostała na teren bazy bez eskorty, ale mam wrażenie, że major Briggs zna panią i jest gotów za panią poręczyć. Ja nic tu pani nie pomogę. Majorze Briggs, czuje się pan na tyle dobrze, żeby zaprowadzić major Behruzi do kwatery głównej, czy mam wezwać żandarmerię?

- Zajmę się tym, panie doktorze - zapewnił go Briggs. Sabin uśmiechnął się i kiwnął głową. Było oczywiste, że Briggs nie tylko panował nad sytuacją, ale też rwał się jak nastolatek, żeby zostać sam na sam z tą kobietą. Lekarz rozmasował sobie mocno obolałe nadgarstki, jako przeprosiny otrzymał jeszcze jeden zabójczy uśmiech od Rizy Behruzi i wyszedł.

Riza odwróciła się do Briggsa. - Leopard... Hal, przykro mi, że cię tak zaskoczyłam..

Briggs nie dał jej skończyć. Wziął ją w ramiona i mocno pocałował, a ona oddała pocałunek tak samo pełen namiętności, obejmując go jeszcze mocniej. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, oboje mieli zamglone oczy.

- O Boże, Riza - powiedział Briggs łapiąc oddech. - Tak bardzo mi cię brakowało.

- Mnie też - powiedziała Behruzi. - Dopiero dzisiaj dowiedziałam się o twojej wczorajszej akcji. Jesteś ranny? Doktor mówił...

- Nic mi nie jest - przerwał Briggs. - Tylko draśnięcie.

- Draśnięcie? Pokaż. - Spojrzała na jego lewe ramię, jakby dokładnie wiedziała, gdzie szukać, rozpięła mu bawełnianą koszulę i odchyliła podkoszulek. Grube opatrunki po obu stronach ramienia. - Rana wlotowa i wylotowa, Hal? To coś więcej, niż tylko draśnięcie - powiedziała chrapliwie. - Ale teraz jesteś bezpieczny. - Znów się zaczęli całować i to z jeszcze większą namiętnością. - Chciałeś polecieć na akcję? Dzisiaj? Czyś ty zwariował?

- Moja ekipa leci do Iranu.

- Wiem, szukają pułkownika White'a i innych, którzy przeżyli zatopienie waszego statku - powiedziała Behruzi. - Mam dla ciebie informacje o miejscu pobytu twojego dowódcy.

- Paula? Jest bezpieczny?

- Na razie - odpowiedziała Behruzi. Zabrzmiało to złowieszczo. - Jego i dwunastu członków załogi zabrano na pokład irańskiego lotniskowca „Chomeini”... - Briggs gwałtownie odwrócił wzrok, próbując nie dać po sobie niczego poznać, ale dla tak doświadczonego obserwatora jak Behruzi sprawa była oczywista. - Lotniskowiec... Amerykanie zaatakują „Chomeiniego”?

- Nie potrafię powiedzieć, Riza. Powiedziano nam, że ktoś narobi mnóstwo zamieszania, żeby ułatwić nam infiltrację Bandar Abbas...

- Dowiem się, co z tym lotniskowcem - powiedziała Behruzi. Wyjęła telefon komórkowy, połączyła się z Dyrektoriatem Wywiadu Wojskowego w Dubaju i porozmawiała z oficerem dyżurnym centrum dowodzenia. Po kilku minutach wiedziała już, co chciała wiedzieć. - Obserwatorzy Tarczy Pokoju informują, że najprawdopodobniej doszło do jakiegoś incydentu z samolotem w pobliżu „Chomeiniego”. Śmigłowiec albo myśliwiec wpadł do morza, są doniesienia o ogniu ze stanowisk przeciwlotniczych. Po wypadku jeden śmigłowiec odleciał z lotniskowca do Czah Bahar; nie było żadnego lotu do Bandar Abbas.

- To znaczy, że zabrali jeńców do Czah Bahar! - jęknął Briggs.

- Leopard, mogli po prostu ewakuować rannych, albo może odleciał dowódca lotniskowca i jego sztab - powiedziała Behruzi. - A moje informacje wywiadowcze mogą być nieścisłe. Być może jeńców w ogóle nie było na lotniskowcu, a może nadal tam są, może odleciał więcej niż jeden śmigłowiec...

- A może to właśnie szansa uratowania naszych ludzi - powiedział Briggs. - Jeśli zdołamy zebrać ekipę, to jestem gotów spróbować. Muszę powiadomić moich chłopców, potrzebne nam będzie ich wsparcie. Nie traćmy czasu! - Briggs sięgnął po telefon, przekazując swojemu centrum dowodzenia, że Wohl i jego ekipa na pokładzie CV-22 mają wracać, kiedy tylko będzie to możliwe. - Riza, jesteś cudowna - powiedział do dziewczyny. - Całkiem możliwe, że uratowałaś im życie... ale teraz muszę już iść.

- Idę z tobą.

- Riza, tej operacji nikt nie autoryzuje...

- Myślisz, że sam sobie poradzisz? - spytała Behruzi z uśmiechem. - Wyrosną ci skrzydła i polecisz pięćset kilometrów do Czah Bahar?

- Dotrę tam. Znajdę jakiś samolot albo statek - powiedział Briggs. - Moja ekipa będzie z powrotem za niecałą godzinę. Następna godzina na zatankowanie paliwa i odprawę, dziewięćdziesiąt minut lotu...

- Jeśli twoi przełożeni zgodzą się na taką operację - zauważyła Behruzi. - A i tak będzie już dzień.

- Mówiłem ci, że nie chodzi o autoryzowaną operację. Muszę odbić moich ludzi - powiedział Briggs. - Jestem ich dowódcą, przynajmniej nominalnie; może kiedyś zdołam ich o tym przekonać. Mógłbym złapać jakiś samolot transportowy i wyskoczyć ze spadochronem. Przeprowadziłbym rozpoznanie bazy i zameldowałbym się z powrotem.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - spytała Behruzi z troską. - Robisz to, ponieważ jest to twoim obowiązkiem i czujesz, że sobie poradzisz, czy chcesz się raczej zasłużyć ludziom, którzy muszą teraz służyć pod twoim dowództwem?

Briggs zamilkł i spojrzał na nią groźnie, ale pomyślał, że przecież ona ma rację. - Miałem chwilę zaćmienia - powiedział głośno, bardziej do siebie niż do Behruzi. - Chris Wohl nie zabrałby się do

tego w taki sposób. Trzymałby się reguł, zebrałby informacje i dane, opracował plan, przedstawił go swoim przełożonym, uzyskał ich aprobatę, zebrał żołnierzy i sprzęt, przeprowadził odprawę. Działałby metodycznie, z wyrachowaniem i, jak zwykle, cholernie skutecznie. Ale...

Briggs przerwał, widząc zatroskany wyraz twarzy Behruzi. - Hal - powiedziała łagodnie - ty nie jesteś Chrisem Wohlem. Jesteś Halem Briggsem. Jesteś Leopardem!

W tym momencie Briggs ostatecznie zrozumiał. - Riza... masz rację - powiedział. - Nie jestem Chrisem Wohlem. Nie przeszedłem przeszkolenia w Korpusie Piechoty Morskiej. Szkolił mnie mój wujek, szeryf hrabstwa Camden w Georgii; szkolili mnie generał Brad Elliott, John Ormack, Patrick McLanahan, piloci i inżynierowie. Zawsze mówili, że liczy się wykonanie zadania. Nie sposób wszystkiego zaplanować w najdrobniejszych szczegółach. Trenuj i ucz się intensywnie - powtarzali - a potem wykorzystaj ten trening do podjęcia decyzji - i działaj. Dokładnie tak postąpię! - Odwrócił się do Behruzi z wyrazem podniecenia na twarzy. - Riza, potrzebny mi będzie samolot.

- Mam swoją maszynę łącznikową tu na miejscu, w bazie Mina Sułtan - powiedziała równie podniecona Behruzi. - Zorganizowanie jakiegoś innego samolotu zajęłoby mi trochę czasu...

- Co to za samolot?

- OV-10D z nadwyżek waszego Korpusu Piechoty Morskiej. O ile pamiętam, wy nazywaliście go Bronco-D.

- Osobiście dysponujesz samolotem do obserwacji i wsparcia z powietrza? - w moim kraju nie na wiele przydałby się samolot, nadający się tylko do jednego celu - powiedziała Behruzi z uśmiechem. - Ta maszyna należy do najstarszego syna szejka Raszida, który jest ministrem obrony Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Kiedy generał Raszid jest nieobecny, Dyrektoriat ma prawo wykorzystywać ten samolot. Latamy nim na różne spotkania i ćwiczenia w całym regionie. Nieźle też radzę sobie z obsługą pokładowych systemów uzbrojenia.

- Ach, więc samolot jest uzbrojony? I ma luk towarowy?

- Oczywiście - odpowiedziała Behruzi rzeczowym tonem. - To samolot typu D-NOS, przystosowany do nocnego rozpoznania, atakowania celów naziemnych i do obserwacji. Ma wieżyczkę AAS-36, FLIR\*, działko Vulcan w wieżyczce sprzężonej z hełmem, laserowy znacznik celów, nawigację satelitarną, system ostrzegania przed raketami, wyrzutniki folii przeciwradarowej i flar. Szejk nie oszczędza na swoich ulubionych zabawkach.

- Majorze Behruzi, właśnie takiego latającego dywanu pilnie potrzebuję - powiedział uszczęśliwiony Briggs. - Podrzucisz mnie kawałek?

- Tylko pod warunkiem, że polecę z tobą, Leopard - powiedziała Behruzi. - Jeśli rzeczywiście chcesz zrobić to, o czym myślę, to... jak wy mówicie? Chcę być tam, gdzie gra muzyka. Zgoda?

Briggs pocałował ją zamiast odpowiedzi. - Pani major, proszę prowadzić.

Zaledwie dwadzieścia minut później Behruzi i czterej mężczyźni - Hal Briggs i trzech komandosów ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, członków Królewskiej Brygady Wartowniczej emira Dubaju - stłoczyli się w ciasnym tylnym luku bagażowym samolotu szturmowego Bronco OV-10D-NOS\*, pędząc po pasie startowym bazy Marynarki Mina Sułtan, w drodze do bazy Czah Bahar w Iranie.

Nie zgłosili planu lotu, nie występowali o zezwolenie, nie mieli też przyzwoitego planu działania, ale mieli samolot bojowy. Maszyna została zatankowana do pełna, miała 1.500 sztuk 20-milimetrowej amunicji do sterowanego hełmem sześciolufowego obrotowego działka Vulcan, po cztery naprowadzane laserem rakiety AGM-114 Hellfire na dwóch węzłach uzbrojenia pod kadłubem

i po jednym pocisku przeciwradarowym AGM-122A Sidarm po zewnętrznej stronie obu gondoli ze zbiornikami paliwa pod skrzydłami. Bronco miał też zainstalowane w sekcji ogonowej wyrzutniki folii przeciwradarowej i flar do obrony przed radarami stanowisk obrony przeciwlotniczej i rakietami z naprowadzaniem na podczerwień. Wydawało się, że do wzniesienia się w gorące, wilgotne powietrze, mocno obciążony Bronco potrzebował wszystkich 2.700 metrów pasa startowego w Dubaju.

\* FUR - Forward Looking Infrared - kamera na podczerwień do obserwacji przedniej [przyp. red.].

\*\* NOS - Night Observation System - system obserwacji nocą [przyp. tłum.].

Kiedy tylko samolot wyrównał, osiągnąwszy pułap przelotowy, Briggs usiadł do radia i zaczął nadawać na częstotliwości alarmowej w paśmie UKF. - Genesis, Genesis, tu Czerwony, jeśli mnie słyszysz zgłoś się na Historii, powtarzam, Genesis, tu Czerwony, zgłoś się na Historii. - Briggs przełączył się na specjalną częstotliwość, z której korzystali, kiedy był jeszcze dowódcą służby bezpieczeństwa w HAWC. Jeden z poligonów, których używali do testowania broni, nazywał się „Historia” i jak wszystkie poligony miał przydzieloną specjalną częstotliwość. „Czerwony” był znakiem wywoławczym Briggsa z tamtych czasów.

- Kogo wywołujesz, Leopard? - spytała Behruzi.

- Przyjaciela, który, jak sędzę, jest dziś w nocy w powietrzu - odpowiedział Briggs, po czym znów włączył mikrofon. - Genesis, tu Czerwony na Historii, jak mnie słyszysz?

- Głośno i wyraźnie, Czerwony - nadeszła odpowiedź. - Co za spotkanie! Widziałeś ostatnio jakieś jastrzębie z czerwonymi ogonami?

- Tylko w Amarillo - odpowiedział Briggs. - Miło cię usłyszeć, Old Dog.

♦ **Na pokładzie bombowca B-2A SpiritAV-01 J**

- Pamiętaj, to nie jest bezpieczna częstotliwość - powiedział McLanahan.

- Co ty, do diabła, wyczyniasz, McLanahan? - spytał Jamieson. - Zwariowałeś? Namierzają nas jak nic!

- To właśnie ta ekipa, ten facet, któremu mamy udzielić wsparcia - powiedział McLanahan. - Wie o bezpieczeństwie więcej niż każdy z nas, jeśli zaryzykował, to sprawa musi być poważna.

- Szlag by to trafił, to nas wykończy! Wciąż jesteśmy cholernie blisko nieprzyjaciela - utyskiwał Jamieson, ale był też mocno zaintrygowany. - A co to za jastrzębie z czerwonymi ogonami i to Amarillo?

- Prywatny szyfr - odpowiedział McLanahan. - Zadanie, które wykonywaliśmy nie tak dawno. - Włączył mikrofon. - Co się dzieje?

- Zostały ci jakieś „krzykacze”?

Jamieson zupełnie osłupiał; patrzył na McLanahana jakby zobaczył ducha. - On wie...? Skąd, do cholery, może wiedzieć o naszych JSOW?

- Był w HAWC, kiedy je konstruowaliśmy i testowaliśmy - wyjaśnił McLanahan z uśmiechem. - Nie wiem, czy poinformowano go o naszej obecnej misji, ale nie ulega kwestii, że poprawnie wszystko wykombinował. - Przez radio McLanahan powiedział: - Potwierdzam, Czerwony, gdzie ich potrzebujesz?

- Leć za światłami - nadeszła odpowiedź.

- A to co znowu? - spytał Jamieson.

- To znaczy, że dokądś leci, prawdopodobnie do Iranu - powiedział McLanahan. - Daj mi jeden-

osiemdziesiąt; zobaczę, czy uda mi się złapać go na radarze.

- Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni? Chcesz powiedzieć, że polecimy z powrotem tam, gdzie właśnie załatwiliśmy irański lotniskowiec? Zwariowałeś?

- Ejże, pułkowniku, a gdzie żądza przygód? - spytał McLanahan. - Mamy dość paliwa i jesteśmy poza zasięgiem irańskich radarów.

- Ale mój tyłek myśli, że nogi mam amputowane - powiedział Jamie-son. - Będziemy w powietrzu jeszcze przez dwanaście godzin. - Szybko ustąpił jednak, przejął stery bombowca i zawrócił na zachód, w kierunku cieśniny Ormuz.

- Jaką masz wysokość, Czerwony?

- Shoshone - nadeszła odpowiedź.

- Znaie się, kurwa, jak łyse konie - zauważył kwaśno Jamieson. - Znowu jakiś szyfr z HAWC?

- Dokładnie - powiedział McLanahan. - Wzniesienie Shoshone Peak na obszarze zamkniętym 4202A, dwa tysiące metrów nad poziomem morza. Włączam SAR. - McLanahan skonfigurował radar B-2A i przeprowadził jednosekundowe przeszukanie. Sprawa okazała się zupełnie prosta. Na podanej wysokości leciał tylko jeden samolot. - Wyrównaj na Brawley dla potwierdzenia.

- Roger - nadeszła odpowiedź. Kilka chwil później McLanahan ponownie włączył SAR; tamten samolot wyrównał na wysokości dwóch tysięcy dziewięciuset metrów nad poziomem morza, to znaczy na wysokości Brawley Peak w południowo-zachodniej Newadzie, koło Hawthorne.

- Złapałem cię na radarze, Czerwony - powiedział McLanahan. - Leć dalej tym samym kursem. Przez chwilę możemy na ciebie uważać, a gdyby pojawiły się czerwone światła, spróbujemy ci je przełączyć na zielone.

#### ♦ **Na pokładzie samolotu szturmowego OV-10D-NOS Bronco**

- Dzięki, Genesis. Do zobaczenia. Bez odbioru.

- Mogą nam pomóc? - spytała Behruzi.

- Myślę, że tak - odpowiedział Briggs, uśmiechając się tak szeroko, że widać to było nawet w słabo oświetlonym luku bagażowym Bronco. - Mam przecucie, że wszystko, co dziś w nocy działo się nad Bandar Abbas i nad lotniskowcem „Chomeini”, powtórzy się nad Czah Bahar.

#### ♦ **Prowincja Sistan, baza morska Czah Bahar, Iran, 23 kwietnia 1999, godzina 04.08 czasu miejscowego**

Jaskrawy błysk, jakby z żarówki o mocy miliarda watów, oślepił go natychmiast; zaraz potem rozległ się ogłuszający huk, głośniejszy niż jakikolwiek wybuch, jaki w życiu słyszał; potem wstrząs, przypominający potężne trzęsienie ziemi. Pokład, normalnie niewzruszony jak skała, przechylił się na sterburtę, jakby podrzucony ogromną, niewidzialną ręką. Przechylił na drugą stronę, aż po reling. Ludzie krzyczeli głośno, może nawet głośniejsze - jeśli w ogóle było to możliwe - od huku wybuchów i jęku rozdzieranego metalu.

Po raz drugi od kiedy znalazł się w więzieniu, Cark Knowlton odtwarzał w myślach zagładę SS „Valley Mistress”. Było to najstraszliwsze doświadczenie w całym jego życiu. Widział już skutki trafienia irackiego Scuda w koszary koło Chobar podczas wojny w Zatoce, gdzie zginęło bądź odniosło rany 117 żołnierzy amerykańskich. Pamiętał płonąca pustynię, tysiące kilometrów kwadratowych, ogarnięte pożarami szybów naftowych w Kuwejcie; myślał wtedy, że zobaczył kawałek piekła na ziemi. Ale atak na „Valley Mistress” był najgorszy ze wszystkiego. Statek był tak mały, tak bezbronny, a morze tak bezlitosne. Kiedy woda zalała ranny statek, ten naprawdę zawył - dieslowskie silniki najpierw stanęły zatarte, a potem eksplodowały, gwałtownie schłodzone. Statek

wył głośno, jak syrena alarmowa, jak dzikie zwierzę w pułapce...

Tym razem Kowltona wyrwały ze snu nie koszmary, lecz wycie prawdziwych syren, ostrzegających przed nalotem. Obolały, wstał jednak; spodnie trzeszczały mu od zaschłego potu, ropy i soli. Ramiona, kark i ręce miał poparzone płonąca ropą naftową. Ktoś przykrył mu te poparzenia bawełnianą koszulką; przesiąknięta potem tkanina przywarła do oparzelizny.

- Nic panu nie jest, sir? - spytał młody kapral piechoty morskiej J.D. McKay. - Krzyczał pan.

- Przepraszam, kapralu - powiedział Knowlton. - To tylko koszmary sen.

- Strażnicy mogą tu wrócić, jeśli pana usłyszą. Musimy być ostrożni - powiedział McKay. Młody kapral miał prawo pouczać starszego stopniem; wcześniej żołnierze irańskiego Pasdaranu najwyraźniej zorientowali się, że McKay jest amerykańskim marynarzem, bo oddzielili go od reszty i pobili do nieprzytomności, masakrując twarz, wybijając zęby, wrywając włosy i wyłamując palce. Zdecydowanie nie chciał, żeby znów zwrócili na niego uwagę.

- Słusznie, przepraszam. - Zakłopotany Knowlton podszedł do jedyne go okna w celi, którą dzielił z kapralem. Okno było umieszczone wysoko; Knowlton nie mógł nic zobaczyć, a był za słaby, żeby podciągnąć się na parapecie.

- Niech pan mi stanie na plecach, sir. - McKay podczołgał się pod okno na rękach i kolanach. Z zewnątrz dobiegało wycie syren.

- Nie, McKay, nie mogę...

- Niech pan zobaczy, co się tam dzieje, sir - powiedział McKay podstawiając plecy; prawdopodobnie była to jedyna część jego ciała bez większych uszkodzeń. Knowlton poklepał go po ramieniu i zaciskając zęby z bólu wlaź mu na plecy, żeby wyrzeć przez okno. Podciągał się przy tym, zacisnąwszy ręce na kracie, żeby nie opierać się całym ciężarem ciała na grzbiecie chłopaka.

Okno było otwarte, ale zasłonięte metalową żaluzją, więc widział tylko kilka wąskich pasków nieba. Mimo to, zobaczył dosyć. - Widzę reflektory przeciwlotnicze - powiedział. - Jezu, kto by pomyślał, że ktoś jeszcze tego używa! Na północy widzę startujący pocisk przeciwlotniczy. Wygląda jak Shahine, leci na południowy zachód... drugi Shahine... trzeci, ale żadnych eksplozji. - Zszedł z pleców kaprala. - Ktoś tam jest. Myślę... mam nadzieję, że to nasi... - Ściągnął z ramion bawełnianą koszulkę; zabolalo, kiedy odrywał ją od miejsc, w których przyschła do poparzeń. Oderwał z niej długi pas białej tkaniny, potem zdjął spodnie, oderwał długie pasy z nogawek i zaczął je wiązać.

- Co pan robi, sir?

- Próbuję zrobić flagę - powiedział Knowlton. - Jeśli nasi ją zobaczą, będą wiedzieli, gdzie nas szukać. - Oderwał jeszcze jeden kawałek koszulki, podzielił go na cienkie paski i, wlaźszy z powrotem na plecy McKaya, przywiązał je do żaluzji tak, że z wnętrza celi były niewidoczne. Następnie przywiązał do tego trzy długie pasy i wypchnął za okno między listwami żaluzji. Z wnętrza celi trudno byłoby zobaczyć, że na zewnątrz coś wisiało. Knowlton zszedł z pleców kaprala. - Dzięki, McKay.

W tym momencie drzwi celi otworzyły się i do środka wpadło dwóch strażników. Podnieconymi głosami mówili coś w farsi, a potem złapali McKaya i postawili pod ścianą. Jeden z nich brutalnie kopnął kaprala w klatkę piersiową. Skulony McKay upadł w kąt, zwijając się z bólu. Obaj strażnicy wrzeszczeli na jeńców. Knowlton uniósł poparzone ręce, zamierzając bronić się, na ile się tylko da; kiedy strażnicy zobaczyli poparzenia, uznali widocznie, że ma już dość, bo odwrócili się i wyszli z celi. Żaden nawet nie spojrzął w kierunku okna.

- Dranie! Skurwysyny! - przeklinał Knowlton, podbiegając do McKaya. Chłopak nie wyglądał

dobrze, ale może nie było z nim jeszcze aż tak źle. Pomógł mu usiąść, żeby McKay mógł łatwiej oddychać. - No i co, McKay?

- Proszę do mnie mówić J.D., sir - powiedział marine, próbując się uśmiechnąć. - Nie czuję się w tej chwili jak żołnierz.

- Rozumiem cię - odparł Knowlton. - Ja też nie. Możesz oddychać J.D.?

J.D. Przesunął zmiażdżonymi palcami po połamanych żebrach. - Mam nadzieję, że nie dostałem na próżno...

#### ◆ Na pokładzie samolotu szturmowego OV-10-D-NOS Bronco

- Zostało już tylko dwadzieścia pojemników folii, pani major - zameldował po arabsku przez interkom oficer obsługujący systemy bojowe Bronco. - Dwadzieścia pięć kilometrów do brzegu.

Riza Behruzi zakłęta w duchu. - Trudno, poruczniku Dżunajd, przynajmniej jesteśmy żywi. Niech pan dopilnuje, żeby pod tym względem nic się nie zmieniło - odpowiedziała również po arabsku.

- Tak jest - odparł Dżunajd. Młody oficer pomyślał, że jeśli w kabinie pilotów było w tej chwili bardzo nieprzyjemnie, to w ciasnym luku bagażowym, gdzie siedziało tamtych pięcioro biedaków, musiało być znacznie gorzej.

Wskaźnik ostrzegający przed zagrożeniem zaczął piszczeć na długo, zanim weszli w przestrzeń powietrzną Iranu; pierwszy radar dalekiego zasięgu w Czah Bahar namierzył Bronco z odległości stu mil, nad Zatoką Omańską. Zaczęli obniżać lot, żeby schować się przed radarami. Zostali namierzeni po raz drugi z odległości pięćdziesięciu kilometrów, mimo że nad ciemnymi wodami Zatoki Omańskiej lecieli na wysokości zaledwie stu osiemdziesięciu metrów. Kiedy byli czterdzieści kilometrów od celu, wykryli pierwszy radar poszukiwawczy Shahine pracujący w paśmie L, a nieco później radary naprowadzające Shahine w paśmie X. Postanowili wtedy zejść na piętnaście metrów, korzystając z kamery AN/AAS-36 na podczerwień do obserwacji przedniej i wysokościomierza radarowego, który mierzył odległość od spodu kadłuba samolotu do powierzchni, zapobiegając rozbiciu maszyny.

Kiedy w odległości dwudziestu pięciu mil wystartował pierwszy Shahine, rozpoczął się koszmar. Załoga w kabinie widziała start pocisku; smuga ognia z dyszy wylotowej raketowego silnika wyraźnie odcinała się na horyzoncie. Widzieli jasnożółty łuk, kreślący trajektorię lotu Shahine. Pilot wyrzucił folię przeciwradarową, położył Bronco w ciasny zakręt w prawo, z całej siły napierając przy tym na drążek sterowy, żeby jeszcze ten zakręt zacieśnić, ale Shahine był coraz bliżej. Wystartował drugi Shahine, potem trzeci. Irańska obsługa wyrzutni wiedziała, że napastnik może się wprawdzie wymknąć pierwszej rakiecie, ale znacznie wytraci przy tym prędkość, co zwiększy szanse drugiej i trzeciej rakiety. Pilot nastawił sygnał ostrzegawczy wysokościomierza radarowego na dziesięć metrów; Behruzi, Briggs i trzech komandosów w luku bagażowym niemal bez przerwy słyszeli ten sygnał, kiedy pilot schodził coraz niżej, próbując zgubić rakiety. W momencie, kiedy pilot ostro przechyliła maszynę na prawe skrzydło, wysokościomierz radarowy kompletnie zwariował; pasażerowie w luku bagażowym zaczęli się obawiać, że sygnał ostrzegawczy będzie ostatnim dźwiękiem, jaki słyszą, zanim maszyna zwali się do morza.

- Koniec folii - zameldował strzelec. Teraz lecieli już bez żadnej ochrony.

Każdy gwałtowny przechył rzucał pasażerami luku bagażowego na wszystkie strony mimo pasów bezpieczeństwa, ale za każdym razem Behruzi się uśmiechała. - Dobrze sobie radzą - powiedziała do Briggsa, wskazując w kierunku kabiny. W luku bagażowym Bronco było bardzo głośno, ponieważ przed startem wyjęli małe tylne drzwi; uznali, że będzie im dzięki temu łatwiej zrobić to, co



zamierzali, kiedy nadlecą nad irańską bazę. - Myślę, że radzą sobie lepiej ode mnie.

Hal Briggs też się uśmiechał, ale była to tylko fasada; w środku aż go skręcało ze zmartwienia, wątpliwości i zwykłego strachu. Czy podjął właściwą decyzję? Nie liczył się z tym, że oprócz niego życiem będzie ryzykować sześciu innych żołnierzy, a już na pewno nie planował udziału Rizy Behruzi w tej akcji. W wyobraźni widział się skaczącego ze spadochronem z dużej wysokości; otwierał spadochron z opóźnieniem, jedynym towarzyszem w tej wyprawie był mu wierny Uzi; lądował na dachu więzienia, w którym trzymano jeńców, wdzierał się do środka, ratował swoich ludzi, kradł samolot transportowy, wymykał się myśliwcom w drodze powrotnej, uratowani byli cali i zdrowi, on był bohaterem i szczęśliwy wpadał w otwarte ramiona Rizy.

Cóż, rzeczywistość była inna. Prowadził sześcioro obcych prosto w łapy dobrze uzbrojonej, czujnej armii Islamskiej Republiki Iranu. Nad lądem mieli się znaleźć dopiero za pięć minut, a już byli atakowani. Co gorsza, wciąż nie wiedział, gdzie dokładnie przetrzymywano jeńców, ani czy w ogóle byli w tej irańskiej bazie! Nie miał też pojęcia, jak ma ich uwolnić. Szaleństwo! Głupota! Bezsens! Jeśli przeżyje, Wohl będzie miał pełne prawo dać mu kopa w dupę, albo zastrzelić go, jeśli w tej wariackiej akcji zginą jego ludzie.

- Jak sytuacja, poruczniku? - spytała Behruzi młodego pilota. - Wymknęliśmy się trzem Shahine?

- Tak, pani major - odpowiedział porucznik.

- Bardzo dobrze - powiedziała Behruzi po arabsku, uśmiechając się jak zawsze zabójczo. Nawet Hal Briggs zapomniał na chwilę o wszystkim, kiedy znów zobaczył ten uśmiech. - Za kilka sekund powinna być druga salwa. Niech pan użyje pocisków Sidearm. A gdyby nie było następnych Shahine, trzeba się przygotować na ogień Rapiarów lub ZSU-23. Nie chciałabym docierać do celu w pław.

- Zrobię, co będę mógł, pani major... A niech to diabli! Boże, tam... Strzelaj! - krzyknął porucznik. Komandosi w luku bagażowym usłyszeli sygnał wskaźnika ostrzegającego o zagrożeniach, a Bronco wszedł w niesamowicie ciasny skręt, uciekając przed kolejną rakieta. Ale parę chwil później usłyszeli głośnie puf! od strony prawego skrzydła; odpalił pierwszy raketowy pocisk przeciwradarowy Sidearm i po dziesięciu sekundach sygnał alarmowy ucichł.

- Bardzo dobrze, poruczniku! - zawołała Behruzi do pilota, uśmiechając się jeszcze promienniej i żałując, że nie mogła obserwować go w akcji, kiedy manewrował, wymykając się irańskim raketom.

- Tak trzymać. Niech mi pan da znać, kiedy będzie widać więzienie. - Zanim zdążyła nadejść odpowiedź, maszyna znów ostro odpadła, tym razem na prawo i z węzła uzbrojenia wyskoczył kolejny Sidearm. - Co to było, poruczniku? Następny Shahine?

Porucznik zaniemówił; on tu walczy o życie, w każdej chwili ich samolot może wpaść do wody albo dostać rakieta, a oficer wywiadu, zastępczyni szefa Dyrektoriatu Wywiadu Wojskowego, syna emira Dubaju, prowadzi z nim konwersację jakby nigdy nic!

- To był... Niech Allah ma nas w swojej opiece, w górę, w górę!... to był radar Rapiera w paśmie J, pani major.

- Aha, doskonale. Irańczycy popełnili błąd - powiedziała wesoło Behruzi. - Za wcześnie uaktywnili swoje systemy obrony przeciwlotniczej bliskiego zasięgu. Trafił go pan, poruczniku?

- Nie sądzę, pani major.

- To był nasz ostatni pocisk Sidearm; teraz jesteśmy zdani tylko na siebie - powiedziała Behruzi po arabsku. - Tego Rapiera trzeba zniszczyć jak najprędzej, poruczniku. Odległość do brzegu?

- Dwadzieścia kilometrów.

Behruzi zamilkła i Briggs wiedział, dlaczego. Dopiero za kilka minut znajdą się dostatecznie

blisko, żeby móc zaatakować stanowiska obrony przeciwlotniczej pociskami Hellfire. Shahine miały większy zasięg i ich stanowiska mogły namierzyć Bronco bez względu na to, jak nisko leciał.

Briggs sięgnął do radia. - Genesis, tu Czerwony. Światła są teraz jasne jak na Broadwayu. Jak mnie odbierasz? - Brak odpowiedzi. - Genesis, tu Czerwony, nie zwlekaj. - Odpowiedzi wciąż nie było. Zdjął słuchawki i cisnął je na bok. - Wygląda na to, że nasz anioł odleciał z powrotem do nieba.

- Trudno, może robiliśmy sobie złudne nadzieje - powiedziała Behruzi.

- Odległość od brzegu, poruczniku? - zapytała przez interkom.

- Osiemnaście kilome... - Przerwał mu alarm wskaźnika zagrożenia; kolejne stanowisko Shahine.

Behruzi spojrzała w oczy Briggsowi; czuł jej strach; Shahine ich namierzył i nie mieli już dokąd uciekać. - Radar Shahine\ Oświetlają nas!... - Sygnał alarmowy zmienił się, kiedy czujniki wykryły start pocisku Shahine. Szybkość, z jaką stanowisko Shahine przeszło od ich wykrycia do radarowego oświetlenia celu i odpalenia rakiety świadczyła, że Irańczycy widzą ich jak na dłoni. Pilot zaczął manewrować, ale wszyscy czuli, że są to manewry desperackie... Nagle rozległ się sygnał odpalenia drugiego Shahine, a potem trzeciego.

- Rakiety w powietrzu! Namierzyły nas! - krzyknął porucznik. - Więcej rakiet... Widzę więcej rakiet w powietrzu! - Wydawało się, że niebo zapełnia się pociskami raketowymi; dołączył do tego ogień z kilku artyleryjskich stanowisk obrony przeciwlotniczej, który z daleka wyglądał jak pokaz fajerwerków. - Rakiety są wszędzie! - krzyknął histerycznie porucznik. - Dosłownie wszędzie...

Interkom zamilkł. Potężna eksplozja wstrząsnęła samolotem, jakby uderzyła go jakaś gigantyczna pięść, ktoś krzyczał przeraźliwie... ale wciąż lecieli. Behruzi zerwała słuchawki. - Przez radio słyhać tylko jakieś piski!

Briggs uśmiechnął się, po raz pierwszy od bardzo dawna. - To mój anioł! - powiedział.

Minęło kilka minut, zanim w radio i interkomie zaczęły cichnąć zakłócenia. - Co to było, poruczniku? - spytała Behruzi, kiedy tylko łączność przez interkom znowu stała się możliwa.

- Wszystkie wyrzutnie rakiet na wybrzeżu jednocześnie otworzyły do nas ogień - relacjonował podniecony Dzunajd - ale rakiety leciały we wszystkich kierunkach, tylko nie na nas. Potem zaczęło strzelać kilka stanowisk artyleryjskich, ale też jakby tłukły na oślep w niebo. Wciąż odbieram ostrzeżenia o radarach poszukujących i naprowadzających, ale nigdzie nie widzę rakiet ani stanowisk artyleryjskich. Wygląda na to, że nagle strzelili równocześnie ze wszystkiego, czym dysponują, jakby mieli zamiar na mnóstwo celów...

- W porządku, poruczniku - powiedziała Behruzi. - Nasz amerykański przyjaciel zabrał na ten lot swojego anioła stróża. Mam nadzieję, że ten anioł nas nie opuści. Odległość od brzegu?

- Dziewięć kilometrów, majorze.

- Bardzo dobrze. Wreszcie w zasięgu pocisków Hellfire. Namierzył pan już tego Rapiera?

- Majorze, proszę... Robię, co mogę... Chwileczkę... Cel zidentyfikowany! - wykrzyknął nagle porucznik. - Widzę go!

- Niech się pan upewni, że to nie atrapa, poruczniku.

- Widzę miejsce, w które uderzył Sidearm. Trafił w mur przed Rapierelem, chybiając tylko o kilka metrów. Cel namierzony!

- Więc niech pan nie gada, tylko wykończcie go natychmiast - te słowa były skierowane głównie do pilota, który na pokładzie Bronco kontrolował również rakiety, podczas gdy operator systemów uzbrojenia obsługiwał działko M-61A1 Vulcan kalibru 20 mm, potrafiące strzelać z

szybkostrzelnością 4.200 pocisków na minutę. Zaraz też usłyszeli charakterystyczny dźwięk, towarzyszący odpaleniu pocisku Hellfire, a kilka sekund później następny.

Zasięg pocisków Hellfire i Rapier był mniej więcej taki sam, więc zwycięzcą zostawał zwykle ten, kto strzelił pierwszy. - Cel zniszczony! - krzyknął Dżunajd.

- Bardzo dobrze - powiedziała Behruzi. - Niech pan uważa na artylerię przeciwlotniczą, choć zwykle nie ma jej w bazach morskich.

- A teraz potrzebna jest uważna obserwacja całego obiektu - ciągnęła Behruzi. - Szukajcie czegoś, co wskazywałoby na miejsce pobytu jeńców. Ma pan szkic, prawda poruczniku?

- Tak, majorze - odpowiedział Dżunajd. - Nasze koordynaty nawigacyjne są zaprogramowane na więzienie, znajdujące się obok szpitala bazy. Tam rozejrzemy się najpierw.

- Im dłużej to potrwa, tym mniej paliwa zostanie na powrót, poruczniku - ostrzegła Behruzi.

- Rozumiem... Jest szpital... Widzę więzienie. W środku jest chyba ciemno, majorze. Nic nie wskazuje, żeby ktoś tam był. Tylko kilka świateł na parterze, w kwaterze służby bezpieczeństwa. Budynek wydaje się opuszczony, żadnego oświetlenia na zewnątrz, żadnych pojazdów w pobliżu. Za to szpital jest chyba pełen.

Behruzi zwróciła się po angielsku do Briggsa: - Musisz zdecydować, Leopard. Załoga mówi, że więzienie wydaje się puste, żadnych świateł, żadnej aktywności. Za to szpital jest chyba pełen ludzi. Co robimy?

- Więzienie - powiedział Briggs bez wahania.

- Drugiej szansy może już nie będzie.

- Zajmowałem się sprawami bezpieczeństwa przez dziesięć lat - powiedział Briggs z przekonaniem. - Więźniów zawsze umieszcza się w obiektach z odpowiednimi zabezpieczeniami. Jeśli są ranni, sprowadza się lekarza do więzienia, a nie wyprowadza więźniów na obszar bez zabezpieczeń. I jeszcze coś - nigdy nie pozwalałem, żeby ktoś parkował obok zabezpieczonych przeze mnie obiektów; samochodem można staranować bramę, w samochodzie można podłożyć bombę, można się za nim schować podczas ataku. Prosto na dach, jeśli to możliwe.

- W porządku, Leopard - odpowiedziała Behruzi z uśmiechem, wyraźnie zadowolona z jego zdecydowania. Rozłożyła mapę bazy Czah Bahar, po arabsku i po angielsku przekazała dokładne informacje o celu, a potem rozkazała trzem komandosom, żeby się przygotowali.

Pilot nadleciał nad bazę od strony morza, z dużą prędkością i na bardzo małej wysokości. Porucznik wybrał cele dla pocisków Hellfire, koncentrując się na budynkach, które wyglądały na punkty dowodzenia lub łączności, a z rewolwerowego działka ostrzelał wszystkie transformatory, większe pojazdy, zbiornik z paliwem i inne cele, żeby narobić na dole jak najwięcej zamieszania i odwrócić uwagę od tego, co zamierzali zrobić za chwilę.

Ostatnim celem była kwatera główna służby bezpieczeństwa, na parterze budynku więzienia. Odpalili pociski Hellfire, wybierając co ważniejsze pomieszczenia: punkty łączności, magazyny broni, transformatory. Z dwudziestomilimetrowego Vulcana rozwalili latarnie na dziedzińcu i lampy nad zewnętrznymi drzwiami.

- Widzę długi pas tkaniny przywiązany do okna na drugim piętrze! - zawołał Dżunajd.

- Przypomina jakąś literę? - spytał Briggs. - Literę alfabetu łacińskiego?

- Tak, rzeczywiście - odpowiedział porucznik, nastawiwszy kamerę telewizyjną na maksymalne zbliżenie. - Tworzy literę M.

- To jeden z naszych - powiedział Briggs, uśmiechając się po raz pierwszy od dłuższego czasu. -

Marines. Są tam. Przygotujmy się!

Dżunajd zużył dwa pociski Hellfire, żeby wywalić wielkie dziury w ścianie kwatery służby bezpieczeństwa. W odległości około 600 metrów od budynku pilot rozpoczął ostre wznoszenie. W punkcie kulminacyjnym tej świecy Bronco znalazł się dokładnie nad budynkiem więzienia, na wysokości niecałych dwustu metrów. W tym momencie pięcioro komandosów z luku bagażowego wyskoczyło ze spadochronami.

Briggs skakał pierwszy. Stał w otwartych drzwiach tylnego luku bagażowego i kiedy Bronco zaczął się ostro wspinać, zobaczył pod sobą kompleks służby więziennej: dwupiętrowy budynek, otoczony wysokim na cztery metry ogrodzeniem z drutu kolczastego. Tuż przed kulminacyjnym momentem wznoszenia po prostu wypadł przez otwarte drzwi.

Przez chwilę słyszał ryk silników samolotu, pracujących na najwyższych obrotach, ale zaraz nałożyły się na ten dźwięk syreny alarmowe bazy. Prawie natychmiast otworzył się z głośnym trzaskiem spadochron, wyszarpnięty linką, zamocowaną w luku Bronco. Za chwilę cztery pozostałe spadochrony otworzyły się tuż nad nim. Zobaczył, jak Riza ściąga linki, żeby się z nim zrównać. Trzej komandosi ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich robili to samo, starając się wylądować równocześnie.

W momencie otwarcia spadochronów znajdowali się na wysokości mniejszej niż dwieście metrów; nie było ani chwili do stracenia, musieli natychmiast rozpocząć sterowanie w kierunku dachu budynku. Dwaj arabscy komandosi polecili o wiele za daleko, a spadochron Briggsa zderzył się ze spadochronem Behruzi, kiedy oboje manewrowali. Briggs najwyraźniej nie ćwiczył ostatnio skoków ze spadochronem; zносиło go tak bardzo, że na wysokości pięciu metrów musiał zupełnie zgasić czaszę, żeby w ogóle trafić w dach. Behruzi i trzeci komandos arabski wylądowali dokładnie na środku.

- Nic ci się nie stało, Leopard? - zapytała Behruzi, pomagając Briggsowi wstać. Lądował twardo na lewej nodze, ale poderwał się błyskawicznie.

- Straciliśmy dwóch - powiedział Briggs do Behruzi, nakładając na jej i własny hełm noktowizyjne gogle Simrad GN1. Z lewym kolaniem było coś nie w porządku, ale próbował ignorować ból.

- Nie, kazałam im wylądować na ziemi i zabezpieczyć budynek - powiedziała Behruzi, włączając swój noktowizor. - Uważaj, nie postrzel ich przypadkiem.

- Mam nadzieję, że oni też będą na mnie uważać - powiedział Briggs. - Ruszamy! - Bez trudu otworzyli klapę w dachu i dostali się do środka.

Na największy opór natrafili na pierwszym piętrze - wszyscy irańscy strażnicy wycofali się tam z parteru, kiedy dwaj komandosi arabscy przypuścili niespodziewany atak, a poza tym, większość żołnierzy Pasdaranu i tak miała kwatery na pierwszym piętrze. Briggs strzelał bez ostrzeżenia do wszystkiego, co się ruszało. Nie było czasu, żeby okazywać litość.

Hol był oświetlony lampami awaryjnymi. Rozwalili je w pierwszej kolejności. Briggs i Behruzi rozrzučili dookoła rurki oświetleniowe Cyalume, działające w paśmie podczerwieni. Jasno oświetlały wnętrze, ale tylko dla tych, którzy mieli noktowizory. Kiedy Briggs upewnił się, że dwaj arabscy komandosi pozostaną na parterze i nie wejdą na linię ognia, rozpoczęło się zabijanie.

Briggs prowadził. Za nim szła Behruzi uzbrojona w strzelbę Dragon kalibru 12, której magazynek mieścił dwanaście pocisków typu breneka. Trzeci komandos, który ubezpieczał ich od tyłu, miał pistolet maszynowy MP5. Idąc korytarzami, uzbrojony w Uzi z szesnastocalowym tłumikiem i

obladowany magazynkami mieszczącymi po 30 pocisków kalibru 9 milimetrów, Briggs strzelał do wszystkiego, co żyło. Rzadko potrzebował więcej niż dwóch pocisków na jednego strażnika; jeden strzał w pierś i jeden w głowę.

Kiedy oczyścili drugi z czterech korytarzy, usłyszał strzały dochodzące z lewej strony. Wybiegł zza rogu i zobaczył strażnika, który otwierał drzwi celi i strzelał z pistoletu do środka. Briggs skosił go trzema strzałami z odległości dziesięciu metrów. - Zjawą! - krzyknął. - Gdzie jesteście?

Ruszył do czwartego korytarza. Strażników już tam nie było. Behruzi wysłała swoich komandosów, żeby pilnowali schodów i zaczęła z Briggsem sprawdzać celę po celi.

Do rozwalenia zamka w drzwiach pierwszej celi wystarczył jeden strzał ze strzelby Behruzi. Drzwi otwierały się na zewnątrz. Kiedy Briggs, z rurkami oświetleniowymi Cyalume zawieszonymi na szyi, zajrzał do środka, zobaczył dwóch ludzi leżących na podłodze z twarzami odwróconymi od drzwi i wyciągniętymi rękami.

- Podnoście się, chłopcy - powiedział Briggs. - Zabieram was stąd.

W pierwszej celi byli Knowlton i McKay.

- O Jezu! To major Briggs! - zawołał Knowlton, pomagając McKayowi wstać. - Ja go wezmę, Hal. Jest ciężko ranny.

- Dzięki za tę flagę w oknie - powiedział Briggs, podając Knowltonowi pistolet zabitego irańskiego strażnika i ruszył sprawdzać następne cele. - Trzymajcie się tuż za mną!

Sytuacja nie była przyjemna i chwilę później Briggs nie czuł się już jak bohater. W celach znajdowali się ludzie, ale nie ze Zjawy. Briggs nie strzelał do nich. Obszukiwał tylko każdego, upewniając się, że nie ma broni. Chociaż Behruzi ostrzegała ich po arabsku i w farsy, żeby pozostali na razie w swoich celach, kiedy tylko oboje z Briggsem wychodzili, wszyscy więźniowie rzucali się do drzwi, prosto pod kule arabskich komandosów pilnujących wyjść. Komandosi nie mieli wyboru...

Ostateczny rezultat podniósł jednak Briggsa na duchu: dziewięciu członków Zjawy było w niezłej formie. Dwóch zginęło od kul strażników z Pasdaranu, jeden był ciężko ranny. Wciąż jednak nie mogli znaleźć Paula White'a. - Carl, nie wiesz, gdzie może być pułkownik? - spytał Briggs.

- Nie - odpowiedział Knowlton. - Od razu go od nas oddzielili.

- Czy w tym budynku może jeszcze być ktoś z naszych?

- Nie wiem, Hal - powiedział przygnębiony Knowlton. - Prawie przez cały czas byłem nieprzytomny z wyczerpania. Nie wiem, ilu ludzi przeżyło atak na „Valley

Mistress”, a ilu straciliśmy... - Briggs szybko przepytał pozostałych marines, ale oni też nie byli pewni, ilu ludzi zginęło, a ilu mogło dostać się do niewoli. Niektórzy przypuszczali, że nikogo oprócz White'a nie brakuje. - Przykro mi, Hal, nie byłem w stanie skontaktować się z innymi i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej...

- Nie przejmuj się, Carl - powiedział Briggs. - Przeszukamy cały budynek.

Ale okazało się, że nie było na to czasu; jeden z komandosów Behruzi wbiegł po schodach, żeby zameldować, że zbliża się kilka pojazdów opancerzonych. - Cholera, nie tracili czasu, żeby zorganizować kontratak!

- Największe szanse będziemy mieć na szosie - powiedziała Behruzi. - Spróbujemy ukraść jakąś ciężarówkę i wydostać się na otwarty teren. Do granicy pakistańskiej jest tylko sto kilometrów na wschód. - Briggs wiedział, że miała rację; gdyby pozostali w budynku, szybko by się z nimi rozprawiono.

Ale kiedy wybiegli na zewnątrz, natychmiast dostali się pod ogień z pojazdów opancerzonych

irańskiej piechoty. Broń komandosów, przeznaczona do walki na niewielką odległość, była tu bezużyteczna. - Z powrotem do środka! - krzyknął Briggs.

W tym momencie najbliższy z pojazdów opancerzonych zaczął sypać iskrami, podskoczył i stanął w płomieniach. Kilka sekund później usłyszeli nad głową ryk Bronce Jego załoga nie zdecydowała się wracać po zrzuconiu spadochroniarzy; używali tak potrzebne paliwo, żeby osłaniać ich odwrót. - Teraz, albo nigdy! - krzyknął Briggs. - Biegiem do szpitala! Spróbujemy...

Nagle rozległa się ogłuszająca kanonada. Jeden z ciężkich pojazdów opancerzonych piechoty irańskiej nie był transporterem, lecz ruchomym stanowiskiem obrony przeciwlotniczej ZSU-23/4 Szyłka. Jego cztery sterowane radarem działka kalibru 23 mm wystrzeliwały po 3.000 śmiertelnych pocisków na minutę. Bronco został wprost posiekany tym morderczym ogniem, rozwalony na płonące kawałki na długo, zanim roztrzaskał się o ziemię. Komandosi i uwolnieni jeńcy nie mieli wyboru - musieli wycofać się do budynku więziennego. Dwaj arabscy komandosi i dwaj marines ze Zjawy zostali na parterze, gotowi odeprzeć pierwszy atak; pozostali ruszyli na dach.

- Marnie to wygląda - powiedział Briggs. Wszyscy marines ze Zjawy byli już uzbrojeni i wspólnie stanowili niebagatelną siłę, ale też wszyscy wiedzieli, że możliwości gwałtownie się wyczerpują.

- Przybył pan po nas, to najważniejsze, majorze - powiedział kapral McKay do Briggsa.

- On ma rację, Hal, gdybyś zwlekał, już byśmy nie żyli - powiedział Knowlton. - Nikt nie otworzył ust, więc byliśmy dla nich kiepskim źródłem informacji; wiedzieliśmy, że nasz rząd nie przyzna się do nas, ani nie będzie próbował wynegocjować naszego zwolnienia. Irańczycy wykończyliby nas bez ceregieli.

- Wciąż jeszcze mogą nas wykończyć.

- Ale przynajmniej walczymy - powiedział McKay. Miał powyłamywane palce, podpuchnięte oczy, oddychał z trudem, ale wciąż był gotów do walki. - Dziękujemy za szansę, majorze... to jest, chciałem powiedzieć, skipper.

Kiedy tylko budynek został otoczony przez pojazdy opancerzone i żołnierzy z bronią ciężką, rozpoczął się atak. Ciężkie, 100-milimetrowe działa wybiły dziury wielkości człowieka w ścianach na parterze. Zaraz potem posypały się granaty dymne i żołnierze Pasdaranu zaatakowali od frontu. Amerykańscy i arabscy komandosi zastrzelili kilku Irańczyków zbliżających się do klatki schodowej, ale szybko musieli się cofnąć, bo napastników było coraz więcej. Komandosom było znacznie łatwiej strzelać do żołnierzy Pasdaranu z pierwszego piętra, wkrótce i tam dotarł jednak gaz łzawiący. Jeden z marines dostał w pierś; inni zanieśli go na drugie piętro. Wycofywali się cały czas, ale żołnierzom Pasdaranu kazali za to płacić ogromną cenę.

Warkot nadlatujących śmigłowców oznaczał, że możliwości kurczyły się w zastraszającym tempie. Na dach wyszli komandosi niosący martwego marine. W budynku nie sposób już było zliczyć żołnierzy Pasdaranu.

Chwilę później z ciemności wyłoniły się trzy śmigłowce SH-3 Sea King irańskiej marynarki wojennej. Z każdego zwisała linka, po której żołnierze mogli zjechać na dach. Wszyscy komandosi schronili się jak mogli za wystającym zwieńczeniem.

Nagle kłapa w dachu wyleciała w powietrze, wysadzona ładunkiem wybuchowym. Briggs strzelił i dwaj żołnierze Pasdaranu upadli na schody. Inni szybko odciągnęli ciała, nie próbując wdrzeć się na dach. Ale po kłapie pozostał tylko otwór; kilka granatów i ludzie na dachu nie mieliby żadnych szans. Briggs odsunął swoich jak najdalej od tego otworu, pozostawiając przy nim tylko dwóch

komandosów.

- Ma ktoś jakiś pomysł? - krzyknął.

- Obawiam się, że przyjdzie nam się poddać, Leopard - powiedziała Behruzi. - Tamci mają przewagę liczebną i są lepiej uzbrojeni.

- Nie sądzę, żeby Irańczycy byli zainteresowani braniem jeńców, Riza. Na potwierdzenie tych słów nie musieli czekać. Jeden z komandosów

Behruzi zerwał się na równe nogi, upuścił MP5, rozłożył ręce i zaczął coś krzyczeć po arabsku w kierunku najbliższego śmigłowca SH-3. - Schowaj się, głupcze! - krzyknęła Behruzi, ale było już za późno. Ciężki karabin maszynowy na pokładzie śmigłowca otworzył ogień i komandos padł martwy.

- Nie pozwolą nam się poddać - powiedział Briggs ponuro - więc będziemy musieli wywalczyć sobie drogę z dachu. Przynajmniej jest ciemno. Spróbujemy znaleźć jakieś maski przeciwgazowe. Nie dostaną nas bez walki. Ruszamy, naprz...

Nagle jeden z SH-3 Sea King eksplodował w powietrzu, zmieniając się w ogromną kulę ognia w odległości pięćdziesięciu metrów od dachu. Za chwilę, na dole, w płomieniach stanął jeden, a potem drugi z pojazdów opancerzonych, które otaczały budynek więzienia. Głośne wybuchy rozległy się wewnątrz budynku. Briggs i Behruzi wykończyli trzech, czterech, pięciu żołnierzy Pasdaranu, którzy usiłowali się wydostać na dach. Irańczycy nie atakowali, lecz uciekali przed czymś, co zagrażało im w budynku! Kilka sekund później eksplodował następny Sea King i ZSU-23/4. Amunicja, wybuchająca pod wpływem żaru w środku płonącego pojazdu opancerzonego dosłownie rozerwała go na kawałki.

- Co się dzieje, Leopard?

- Mam nadzieję, że kawaleria przybyła z odsieczą - powiedział Briggs.

Nie mylił się. Z ciemności wyłonił się nagle wielki samolot. Leciał w kierunku budynku więzienia z nieprawdopodobnie wielką prędkością, jak na maszynę tych rozmiarów. Jego wielkie śmigła na końcach skrzydeł były ustawione jak wirniki śmigłowca. Obrotowe działko na nosie maszyny rzygało ogniem w kilku kierunkach, ostrzeliwując cele na ziemi, podczas gdy ogromny samolot zwolnił i manewrował precyzyjnie, zbliżając się do dachu. Z nosem i wieżyczką FUR wystającymi nieco nad dach, zmienno-płat C/-22 Pave Hammer zawisł zaledwie metr od budynku, ustawivszy się tyłem. Rampa załadunkowa była otwarta; zbiegali nią komandosi, zajmując pozycje na dachu.

Starszy sierżant Chris Wohl podbiegł do Briggsa i Behruzi, podczas gdy kilku komandosów ze Zjawy pomagało uwolnionym jeńcom wejść do CV-22. - Idziemy, majorze - powiedział Wohl. - Trzeba stąd zniknąć.

Briggs miał chęć uściskać zwalistego sierżanta. - Jak nas, u diabła, znaleźliście?

- Później - powiedział Wohl. - Teraz się stąd wynosimy. Kończy się paliwo, ale cysterna czeka na nas niedaleko brzegu.

W ciągu niespełna minuty na dachu nie było nikogo i G/-22 leciał tuż nad falami w kierunku Zatoki Omańskiej. Wskaźnik zagrożenia zapiszczał kilka razy, ale nie zaobserwowali raket, ani myśliwców, które by ich ściagały. W ciągu dziesięciu minut byli już poza wodami terytorialnymi Iranu, a kilka minut później tankowali paliwo, ustawivszy się za latającą cysterną HC-130N Sił Powietrznych USA, wysłaną z Bahrajnu w ramach wsparcia operacji ratunkowej Zjawy.

- Niemal cały rząd Zjednoczonych Emiratów Arabskich obserwował wasz wypad do Czah Bahar - wyjaśnił Wohl, kiedy skończyli tankowanie i znajdowali się w drodze do Dubaju. Obserwatorzy

poinformowali, że Bronco generała Raszida leci do Iranu; myśleli, że syn emira dezertuje... Kiedy o tym usłyszałem w sieci obrony przeciwlotniczej, kazałem wysłać HC-130N z bazy lotniczej Manama w Bahrajnie, zatankowaliśmy trochę nad Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i natychmiast ruszyliśmy do Czah Bahar. Byłem dziwnie pewien, że to pan; najpierw wiadomość o tym, co się działo na lotniskowcu, potem ten samotny Bronco lecący do Czah Bahar i wreszcie wiadomość dla nas, żebyśmy zawracali...

- Sierzancie, niewiele brakowało, a zgubiłbym nas wszystkich - powiedział Briggs. - Zginęło czterech komandosów ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ich Bronco przepadło...

- Zgadza się - powiedział Wohl. - Wyruszył pan na operację, która nie miała szans powodzenia, bez żadnego przyzwoitego planu, rozpoznania, bez przygotowań, i to tak podstawowych, jak zapewnienie sobie jakiegoś środka lokomocji na powrót. Naraził pan siebie i swoich żołnierzy na śmiertelne niebezpieczeństwo. To było głupie, majorze Briggs, naprawdę głupie. Jako dowódca działał pan pochopnie, w sposób niedojrzały...

Wohl przerwał, pokręcił głową z rezygnacją i dodał: - Ale udało się panu, do ciężkiej cholery! Uratował pan dziesięciu ludzi. Improvizował pan, ale z powodzeniem. Ja nie zabrałbym się do tego w ten sposób, ale ja nie dowodzę Zjawą; to pan jest ich dowódcą.

#### ◆ **Nad Zatoką Omańską, o tej samej porze**

- Klocek Jeden Jeden, tu Koszmar, jak mnie słyszysz, odbiór. - W duchu McLanahan modlił się: bądźcie tam, chłopaki, na Boga, bądźcie na miejscu...

- Koszmar, tu Klocek Jeden Jeden, słyszę cię na pięć - odpowiedział drugi pilot latającej cysterny KC-10 Extender. - Właśnie zaczęło nam się kończyć paliwo. Podaj swoją pozycję. Odbiór.

- Tu Koszmar, dwieście mil na zachód od miejsca, w którym mamy się spotkać. Lecimy w waszym kierunku - odpowiedział McLanahan, wydając westchnienie ulgi. Byli spóźnieni o godzinę na zaplanowane tankowanie w powietrzu w pobliżu grupy bojowej lotniskowca USS „Abraham Lincoln” na Morzu Arabskim i ich B-2A leciał dosłownie na resztkach paliwa; w podobnej sytuacji był także ich tankowiec, Douglas DC-10, zaadaptowany przez Siły Powietrzne USA na latającą cysternę dalekiego zasięgu i transportowiec. Gdyby KC-10 Extender nie mógł na nich dłużej czekać, musieliby lądować na Diego Garcia na Oceanie Indyjskim, co niemal z całą pewnością oznaczałoby, że tajemnica otaczająca ich misję wyszłaby na jaw. Nie trzeba być geniuszem, żeby skojarzyć wszystkie te ataki na Iran z nieoczekiwanym pojawieniem się bombowca B-2A na Diego Garcia...

- Lecimy wam naprzeciw, Koszmar - powiedział drugi pilot KC-10. - Znajdziemy sobie jakieś alternatywne lotnisko, żeby móc was zatankować do pełna. Gdybyście zadowolili się trochę mniejszą ilością paliwa, z pewnością bardzo by nam to pomogło. Odbiór.

McLanahan wyjął wielką mapę Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego, po czym dokonał kilku obliczeń na pokładowym komputerze nawigacyjnym. - Możemy wziąć trzy czwarte paliwa i polecieć na Guam, jeśli nie da się zorganizować jeszcze jednego tankowania po drodze - poinformował, pokazując Jamiesonowi wyniki obliczeń. - Z taką samą ilością paliwa możemy też przelecieć nad Indiami, Azją Południowo-Wschodnią, Chinami i zatankować na zachód od Hawajów. Spora pokusa, co?

- Mamy prawo poruszać się tylko w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, bez względu na to, ile mamy paliwa. Ale masz rację, pokusa jest. Weźmy te trzy czwarte i polecimy na Guam.

- Zgoda - powiedział McLanahan. Przekazał tę informację załodze cysterny; ci bardzo się ucieszyli, że nie będą się musieli starać o pozwolenie na lądowanie w Omanie, i że w ogóle nie muszą zbliżać się do Iranu; każdy lot w rejon Zatoki Perskiej byłby w tej chwili wielkim ryzykiem.



Szczególnie dotyczyło to amerykańskich samolotów wojskowych. Całe irańskie lotnictwo było teraz w powietrzu, pałając żądzą odwetu i rozglądając się za wrogiem jak wielki rój rozdrażnionych pszczoł. Przekazując tylko część paliwa bombowcowi B-2A, cysterna mogła bezpiecznie dolecieć do swej bazy na Diego Garcia, wysepce na Oceanie Indyjskim, odległej o 1.500 mil na południe. Po wojnie 1898 roku Amerykanie przejęli tę wyspę od Hiszpanów, wykorzystując ją jako bazę morską i lotniczą.

Uzgodnili podejście do tankowania. B-2A i cysterna miały lecieć naprzeciw siebie; różnica wysokości wynosiła 300 metrów. Kiedy maszyny zbliżyły się na odległość trzydziestu mil, cysterna skręciła szerokim łukiem w prawo, wychodząc z zakrętu na cztery-pięć mil przed bombowcem, już w zasięgu wzroku. Następnie Jamieson zmniejszył jeszcze tę odległość, a reszta dokonała się automatycznie. Całą operację poprowadził komputer nawigacyjny B-2A, wspomagany sporadycznie danymi z radaru SAR. Kilka minut później teleskopowa rura do tankowania w locie samolotu-cysterny KC-10 trafiła na sondę paliwową B-2A i rozpoczęło się przepompowywanie paliwa. Ponieważ B-2A leciał niemal na resztkach, załoga KC-10 zwiększyła wydajność pomp do prawie tysiąca czterystu kilogramów na minutę; taką ilością paliwa można by zatankować sześćdziesiąt autobusów.

Mniej więcej w połowie transferu paliwa nieoczekiwanie zamrugały światła kierunkowe KC-10-rząd lamp pod brzuchem maszyny, informujących pilota tankowanego samolotu o prawidłowej pozycji - i podajnik wyrwał się z sondy paliwowej bombowca. McLanahan, który obserwował KC-10, sprawdzając jednocześnie rozmieszczenie paliwa we właściwych zbiornikach, zauważył mrugające światła. - Odpadaj, odpadaj! - krzyknął natychmiast. Jamieson gwałtownie zredukował ciąg, rozpoczynając schodzenie w tempie stu metrów na minutę. Pasy przytrzymały jego i McLanahana w fotelach, kiedy siła ciężenia gwałtownie zmieniła kierunek. - Cysterna się wznosi! - zameldował McLanahan.

- Co się stało? - spytał Jamieson, obserwując swoje przyrządy. Awaria podajnika? Za duże ciśnienie?

- KC-10 zgasił światła - powiedział McLanahan. - Straciłem go z oczu...

- Złap go na radarze - powiedział Jamieson. - Potrzebujemy tego paliwa.

W tym momencie usłyszeli przez radio głos, mówiący po angielsku, ale z bliskowschodnim akcentem. - Niezidentyfikowany samolot, niezidentyfikowany samolot, tu myśliwiec przechwytyjący Islamskiej Republiki Iranu na częstotliwości awaryjnej. Zaobserwowano was wlatujących w irańską przestrzeń powietrzną z naruszeniem prawa międzynarodowego. Nakazuję wam lecieć za mną i wylądować w bazie sił powietrznych Czah Bahar. Natychmiast skręćcie w lewo, kierunek trzy-pięć-zero, albo zostanieecie ostrzelani bez dalszych ostrzeżeń!

- Co takiego? - krzyknął Jamieson. - Co to za bzdury? Nie jesteśmy w irańskiej przestrzeni powietrznej!

McLanahan nie odpowiedział; wyciągnął tylko rękę i przerzucił przełącznik COMBAT. Lampka sygnalizacyjna zaczęła mrugać, ponieważ analogiczny przełącznik po stronie Jamiesona nie był ustawiony we właściwej pozycji.

- Daj mi zgodę na COMBAT, DS.

- Co robisz?

- Natychmiast, pułkowniku! - krzyknął McLanahan. - Kontynuuj schodzenie; sprowadź nas na sześćset metrów, szybko! - Jamieson nie był jeszcze przekonany, ale przerzucił przełącznik i lampka

trybu COMBAT zaświeciła jasno, przestawszy mrugać.

Kiedy Jamieson pochylił maszynę, mierząc nosem w morze, McLanahan wyświetlił wskaźnik zagrożenia na swoim supermonitorze. KC-10 wciąż nadawał sygnały, przewidziane procedurą tankowania. - Wyłącz nadajniki, Klocek - modlił się głośno McLanahan. Na wskaźniku zagrożenia pojawił się następny symbol; migające, odwrócone V z żółtym trójkątem emanującym z wierzchołka nałożyło się na symbol KC-10.

- Co to jest? - spytał Jamieson.

- Irański MiG-29 - odpowiedział McLanahan. - Oświetlił naszego KC-10 radarem naprowadzającym.

- Irański MiG? Co on tu robi? Jesteśmy setki mil od irańskiej przestrzeni powietrznej!

- Irańczycy przetrząsają niebo w poszukiwaniu tych, którzy napadli na Czah Bahar, Bandar Abbas i tę ich grupę bojową lotniskowca „Chomeini” - powiedział McLanahan. - To nas szukają.

- A zamiast tego znaleźli naszego KC-10! - krzyknął Jamieson. - Niech to szlag trafi, próbują go zmusić do lądowania w Czah Bahar!

- Ma im zastąpić jeńców uwolnionych przez Briggsa - powiedział McLanahan. - Boże!

- Musimy coś zrobić! - wołał Jamieson. - Włącz tę swoją maszynę! Wywołaj Marynarkę, wywołaj Waszyngton, ale ściągnij jakąś pomoc!

McLanahan natychmiast wysłał przez satelitę meldunek do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, informując o przechwyceniu KC-10, żądając, by w Pościg ruszyły myśliwce z lotniskowca USS „Abraham Lincoln”, i żeby amerykańskie myśliwce patrolujące nad Półwyspem Arabskim spróbowały przechwycić irańskiego MiG-a i KC-10 nad Zatoką Omańską. - Wiadomość wysłana - powiedział McLanahan w momencie, kiedy wyrównali lot na wysokości sześciuset metrów.

- Amerykański samolot-cysterna, tu irański myśliwiec na częstotliwości awaryjnej. Natychmiast zmień kierunek, bo będę zmuszony strzelać. Widziano cię, jak naruszałeś irańską przestrzeń powietrzną i atakowałeś obiekty wojskowe, i cywilne w Iranie. Skręć w lewo, kierunek trzy-pięć-zero, natychmiast. To było ostatnie ostrzeżenie!

- Irański myśliwiec, tu Klocek Jeden-jeden - odpowiedział przez radio pilot KC-10. - Jesteśmy nieuzbrojonym samolotem-cystemą. Nie mamy na pokładzie żadnego ładunku ani broni. Nie jesteśmy w irańskiej przestrzeni powietrznej. Lecimy na Diego Garcia zgodnie z planem lotu, zgłoszonym w Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego. Prosimy o zachowanie dystansu. Nie zbliżaj się do naszego samolotu. Jak mnie zrozumiałeś?

McLanahan wyłączył COMBAT, żeby móc rozmawiać przez radio na UKF. Kiedy tylko znikło elektroniczne pole maskujące wokół bombowca, włączył mikrofon. - Irański samolot, tu Duch Zero-Pięć z lotniskowca USS Abraham Lincoln”, Marynarka USA - McLanahan nie znał znaków wywoławczych dywizjonów myśliwskich na „Lincolnie” i nie miał pojęcia o taktyce myśliwców Marynarki; miał tylko nadzieję, że to, co mówi, brzmi wiarygodnie. - Mamy cię na radarze sto dwadzieścia mil na południe od Czah Bahar na wysokości tysiąca metrów. Idziemy na spotkanie z amerykańskim samolotem-cysterną, któremu grozisz. Wycofaj się natychmiast, albo zaatakujemy z dużej odległości. Odbezpieczam systemy uzbrojenia.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, McLanahan - powiedział Jamieson. Szybko włączył COMBAT, bo potężny radar irańskiego MiG-a-29 zaczął omiatać niebo, próbując ich namierzyć. Irańczykowi udało się to nawet, ale tylko na chwilę. MiG stracił kontakt, kiedy tylko znów włączyli COMBAT. Irańczyk jeszcze raz przeszukał niebo, tym razem na znacznie większym obszarze, po

czym ponownie namierzył KC-10.

McLanahan znów wyłączył COMBAT i sięgnął po mikrofon. - Irański samolot, namierzyłeś naszą cysternę. Jesteś wprost przed nami w odległości osiemdziesięciu mil. Ostrzegam, wyłącz radar i wracaj do bazy, albo zaatakujemy z dużej odległości.

Tym razem radar MiG-a-29 precyzyjnie namierzył B-2A. Na wskaźniku zagrożenia trójkąt obrazujący radar irańskiej maszyny pulsował na przemian żółtym i zielonym światłem. Nawet nie lecąc w trybie COMBAT, B-2A miał bardzo mały przekrój radarowy, ale nie tak mały, żeby zgubić MiG-a-29, znajdującego się w pobliżu. McLanahan zastanawiał się, czy nie doradzić pilotowi KC-10 ucieczki teraz, kiedy MiG nie miał go na radarze, ale uznał, że to bez sensu; Irańczyk z łatwością mógł namierzyć cysternę z powrotem. McLanahan wywołał na supermonitor konsolę środków przeciwdziałania, przygotowując się do uaktywnienia wszystkich systemów obronnych...

...i zrobił to w samą porę, bo trójkąt irańskiego radaru otaczający sylwetkę B-2A zmienił się na czerwony. Usłyszeli sygnał ostrzegawczy i zsyntetyzowany przez komputer komunikat: - Start rakiety... start rakiety.

McLanahan natychmiast włączył COMBAT i uaktywnił wszystkie systemy obronne. System zaraz namierzył nadlatującą rakietę i strzelił laserowym promieniem. - Dwie rakiety w powietrzu! - krzyknął McLanahan. - Odpadaj na lewo! - Jamieson rzucił maszynę w ciasny lewy skręt i dał pełny ciąg.

Kiedy tryb COMBAT był uaktywniony i „czapka niewidka” absorbowowała każdy wat energii radaru, uderzający w naelektryzowane poszycie bombowca, jedynym obiektem odbijającym promieniowanie radaru MiG-a-29 była chmura folii przeciwradarowej, wyrzuconej z B-2A. Właśnie w tę chmurę trafiły dwa naprowadzane radarem pociski raketowe. Trójkąt, symbolizujący radar zmienił kolor na zielony, po czym znikł.

Jamieson zszedł na 30 metrów nad wody Zatoki Omańskiej, rzucając irańskiemu MiG-owi wyzwanie, by ścigał ich nad bezmiarem otwartego oceanu. - Może spróbować pocisku z naprowadzaniem termicznym - powiedział McLanahan, ostrzegając Jamiesona, żeby przygotował środki obronne na wypadek takiego ataku. Ale radar obronnego systemu śledzenia rakiet MAWS pokazywał, że myśliwiec jest wciąż na wysokości dziesięciu tysięcy metrów i nie ściga ich.

- Daj spokój, musi mu już brakować paliwa - powiedział Jamieson. - Do bazy ma prawie trzysta mil.

- Z trzema zewnętrznymi zbiornikami na lot patrolowy ma zasięg ponad tysiąca kilometrów - odparł McLanahan. Ponownie wyłączył COMBAT, śledząc myśliwiec na radarze MAWS. - Irański myśliwiec, tu Duch, dokonałeś właśnie aktu wojny - powiedział przez radio. - Zawracaj natychmiast, albo będziemy...

Ale podstęp się nie udał. Wskaźnik zagrożenia B-2A pokazał, że MiG-29 uaktywnił na chwilę swój impulsowy radar dopplerowski N-019 i ponownie namierzył KC-10. Na radarze MAWS widzieli, jak MiG zbliżył się do latającej cysterny na odległość pięciu mil...

- O Boże, nie!

- Mayday, Mayday, Mayday, Kłoczek Jeden-jeden na międzynarodowej częstotliwości awaryjnej! - krzyczał przez radio pilot KC-10. - Pozycja, dwieście mil na południe od lotniska w Czah Bahar. Zostaliśmy zaatakowani przez irański myśliwiec, powtarzam, jesteśmy atakowani! Zostaliśmy trafieni raketami wystrzelonymi przez... - W radio zaległa cisza.

- Żegnajcie, jankeskie tchórze - powiedział przez radio irański pilot, zawrócił MiG-a i poleciał z

powrotem w kierunku Iranu.

Podczas gdy Jamieson krążył nad miejscem zagłady KC-10, McLanahan wysłał szczegółowy raport do Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Agencji Wywiadu Lotniczego. Uaktywniając co jakiś czas SAR, krążyli nad Zatoką Omańską jeszcze przez godzinę, dopóki nie znikły ostatnie szczątki KC-10, jakie mógł wychwycić radar. Wreszcie, bez słowa, przepelnieni poczuciem winy zaczęli zwiększać wysokość i ruszyli w długą drogę powrotną, biorąc najpierw kurs na Diego Garcia, żeby zaaranżować następne tankowanie w powietrzu.

#### ♦ **Sala prasowa w Pentagonie, 23 kwietnia 1999, godzina 09.04 czasu miejscowego**

- Chciałem wyrazić zaniepokojenie ostatnimi wydarzeniami na Bliskim Wschodzie - rozpoczął sekretarz obrony Arthur Chastain. - Wszystko wskazuje, że wczoraj w nocy czasu irańskiego, Iran kilkanaście razy odpalał pociski raketowe ze stanowisk obrony przeciwlotniczej w cieśninie Ormuz i z lotniskowca w Zatoce Omańskiej. Prezydent natychmiast skontaktował się z prezydentem Iranu Natkiem-Nuri, który wyjaśnił, że były jakieś problemy z integracją obrony przeciwlotniczej grupy bojowej lotniskowca, i że fałszywy alarm w Bandar Abbas w cieśninie Ormuz spowodował podobny fałszywy alarm na lotniskowcu, co było powodem odpalenia rakiet. Według najnowszych doniesień, rakiety te nie stworzyły zagrożenia dla żadnego statku ani samolotu.

Prezydent poinformował o swym głębokim zaniepokojeniu tą demonstracją siły i oświadczył, że takie incydenty mogą postawić pod znakiem zapytania proponowany szczyt państw Bliskiego Wschodu i negocjacje w sprawie irańskiej propozycji ogłoszenia Zatoki Perskiej strefą zakazaną dla okrętów, mogących atakować cele lądowe. Jak wiecie, prezydent poparł propozycję przywódcy Iranu, a nawet sugeruje objęcie zakazem także samolotów, mogących atakować cele lądowe. Prezydent czeka na oficjalny projekt traktatu, zanim przedstawi tę sprawę Kongresowi.

Podsumowując: Wszystko wskazuje, że zeszłej nocy, czasu miejscowego, Iran odpalił kilkadziesiąt raketowych pocisków przeciwlotniczych i przeciwokrętowych oraz prowadził ogień z artyleryjskich stanowisk obrony przeciwlotniczej. Nie stanowiło to zagrożenia dla żadnego samolotu, czy statku, ani dla żadnego kraju. Ani Stany Zjednoczone, ani państwa nad Zatoką nie postawiły swoich sił w stan gotowości w odpowiedzi na tę demonstrację siły. Departament Obrony przypuszcza, że była to jakaś awaria, lub reakcja na fałszywy alarm, albo demonstracja potęgi obrony przeciwlotniczej. Tak, czy inaczej, Irańczycy zmarnowali mnóstwo rakiet i amunicji. Prezydent USA oświadczył, że nadal jest orędownikiem pokoju w rejonie Zatoki Perskiej, i że nie sprowadzi go z tej drogi taka hałaśliwa demonstracja siły. Irański szef sztabu generał Buzhazi twierdzi, że nad jego krajem latają amerykańskie bombowce stealth i grozi atakiem. To po prostu śmieszne. Stany Zjednoczone mają na stanie zaledwie dziesięć bombowców B-2A, cała dziesiątka nadal znajduje się w bazie Sił Powietrznych Whiteman w Missouri i żadna z tych maszyn nigdy tej bazy nie opuściła. Co więcej, tamtejsze skrzydło ma osiągnąć zdolność operacyjną dopiero w październiku.

Panie i panowie, chciałbym postawić tę sprawę całkowicie jasno: Iran nikomu nie grozi wojną, więc po co mielibyśmy wysyłać tam nasze bombowce? Nie ulega kwestii, że prezydent Natek-Nuri bardzo zabiega o pokój na Bliskim Wschodzie; prezydent Stanów Zjednoczonych nie będzie mu w tym przeszkadzał. Natomiast nie potrafię powiedzieć, co zrobią prawicowi, fanatyczni dowódcy wojskowi i fundamentalistyczni przywódcy religijni. Nie potrafię też powiedzieć, czy prezydent Natek-Nuri jest w stanie ich kontrolować, albo pozyskać ich poparcie.

#### ♦ **Teheran, nieco później tego ranka**

- Ty arogancki, niekompetentny głupcze! - krzyknął gniewnie prezydent Islamskiej Republiki Iranu Ali Akbar Natek-Nuri. Słowa te były skierowane do Buzhaziego, szefa sztabu i dowódcy Pasdaranu. W spotkaniu, odbywającym się w biurze prezydenta, uczestniczyli także ministrowie. Od samego początku atmosfera była fatalna, dochodziło do wybuchów gniewu, padały bombastyczne oświadczenia. - Jak śmiesz wkroczyć do mojego biura, przedstawić mi taki raport i bezczelnie powiedzieć mi, że uniemożliwiam ci wykonywanie obowiązków! Powiniennem oddać cię pod sąd wojenny za zaniechanie obowiązków! Nie, powiniennem posłać cię na resztę życia do więzienia za niesubordynację i zaniechanie obowiązków! Ale poczekam z tym na dogodniejszy moment, teraz czeka na nas Najwyższa Rada Obronna.

Irańska Najwyższa Rada Obronna była ostatnią instancją we wszystkich sprawach, dotyczących wojskowości. Oprócz prezydenta i ministra obrony, w jej skład wchodził: premier Hasan Ibrahim Habibi; przyjaciel, protegowany i zaufany Buzhaziego, dowódca irańskich sił powietrznych generał brygady Mansur Satari; dowódca sił lądowych generał Abdullah Nadżafi, dowódca marynarki wojennej kontradmirał Ali Szamchani; przewodniczący Komisji Służb Zbrojnych Madżlisu Kolam Adeli oraz Hamid Mirzadeh, dyrektor agencji prasowej IRNA i szef propagandy wojennej.

- A to co, w imię Boga...? - mruknął Natek-Nuri, wchodząc do sali obrad. Buzhazi był zachwycony, przekonawszy się, że Natek-Nuri dopiero teraz zorientował się, iż przybyli obaj imamowie, reprezentujący Radę Strażników\*. Przywódcy religijni z Rady, wraz z fakiem, Jego Eminencją ajatollahem Chameneim, sprawowali najwyższą władzę polityczną w Iranie i najwyższą władzę duchową wśród większości Dwunastowców. Zazwyczaj mułlowie w ogóle nie byli reprezentowani na posiedzeniach Najwyższej Rady Obronnej; tym razem brakowało tylko Jego Świątobliwości, przywódcy rewolucji islamskiej, ajatollaha Chameneiego.

\* Gremium czuwające nad zgodnością uchwalanych przez parlament ustaw z zasadami islamu [przyp. tłum.].

- To proces, czy egzekucja, panie prezydencie? - spytał szeptem Buzhazi Natka-Nuri.

- Radzę panu trzymać impertynencką gębę na kłódkę, generale - powiedział prezydent, kiedy zajmowali miejsca przy stole.

Buzhazi zauważył z zainteresowaniem, że polityczny poplecznik ministra obrony, generał Hosejn Ismail Achundi, siedział za Foruzandehem. A więc najwyraźniej znaleźli już następcę, pomyślał Buzhazi. Achundi nie miał żadnego wykształcenia wojskowego, żadnego doświadczenia, niczego oprócz pieniędzy i znajomości wśród polityków. Został oficerem i natychmiast awansował na generała na mocy specjalnego dekretu prezydenckiego. Jego kariera świadczyła o niechęci Natka-Nuri do potężnej, sprawnej armii, jaką chciał budować Buzhazi; prezydent chciałby uczynić z armii bezzębnego smoka, wykorzystywanego jedynie do zastraszania innych krajów muzułmańskich.

Zajmując miejsce, Buzhazi odwrócił się na chwilę do swego adiutanta. - Sprowadź go tu i czekaj na mój rozkaz - powiedział. Adiutant pobiegł wykonać polecenie.

Natek-Nuri skinął głową obu imamom. - Jesteśmy zaszczytzeni obecnością przedstawicieli Rady Strażników. Zebraliśmy się tu, żeby omówić raport generała Buzhaziego na temat ataków na Republikę Islamską, dokonanych dziś nad ranem. Jak wam wszystkim wiadomo, były trzy różne incydenty: atak niezidentyfikowanych samolotów na Bandar Abbas, nieszczęsne wypadki na lotniskowcu „Chomeini”, w wyniku których okręt poważnie ucierpiał oraz atak na specjalnie strzeżony obiekt w bazie marynarki wojennej w Czah Bahar.

Prezydent Iranu odwrócił się do Buzhaziego. - Generale, z pewnością dojdziemy wkrótce do

„Chomeiniego” i pańskich teorii na temat tego, co przydarzyło się temu okrętowi i chińskiemu krążownikowi. Ale najpierw chciałbym zapytać pana o atak na Czah Bahar, jako że nie ulega kwestii, iż była to napaść dokonana przez siły Rady Współpracy Zatoki i Amerykanów. Stwierdza pan w swoim raporcie, że nasze radary w powietrzu i naziemne stacje radiolokacyjne wykryły napastników w odległości zaledwie dwustu kilometrów od Czah Bahar, a jednak nie wystartował ani jeden z naszych myśliwców. Jak to możliwe, generale?

- Samolot napastników leciał z prędkością poniżej pięciuset kilometrów na godzinę. Był to pojedynczy samolot i leciał oficjalnym korytarzem powietrznym - wyjaśnił generał Buzhazi. - Nocne loty myśliwców przechwytyjących są niebezpieczne, a poza tym kilka myśliwców z Czah Bahar szukało wtedy napastników, którzy nadlecieli nad Bandar Abbas, więc przeciw temu pojedynczemu, niegroźnemu celowi nie zostały wysłane dodatkowe maszyny. Ponieważ napastnik nie zareagował na nasze wezwania, został ostrzelany przez naziemne stanowiska obrony przeciwlotniczej, kiedy tylko znalazł się w ich zasięgu.

- I wyszedł z tego cało?

- Samolot był wyposażony w bardzo nowoczesne systemy obronne, łącznie z wyrzutnikami folii przeciwradarowej i środkami walki elektronicznej - odparł Buzhazi. - Został zestrzelony nad bazą...

- Po zniszczeniu naszych pojazdów opancerzonych i po zrzuceniu pięciu spadochroniarzy prosto na budynek więzienia!

- ...i zbadaliśmy wrak - ciągnął Buzhazi, nie dając sobie przerwać. - Był to osobisty samolot szejka Mohameda ibn Raszida al-Maktuma, syna emira Dubaju; na tego niewiernego powinno się natychmiast wydać wyrok śmierci. Samolot był silnie uzbrojony, a także wyposażony w urządzenia nawigacyjne do lotów precyzyjnych i do lotów na małej wysokości. Ale głównym czynnikiem był stan obrony przeciwlotniczej wokół Czah Bahar. Jak wspominałem w moim raporcie, rozmieszczone tam wyrzutnie rakiet Shahine były jednymi z najgorzej utrzymanych. Występowałem o stanowiska SA-10 i więcej Rapierów, ale na próżno...

- Nie było sensu umieszczać kosztownego stanowiska obrony przeciwlotniczej SA-10 w pobliżu bazy morskiej, która wciąż jeszcze nie jest gotowa, choć prace nad jej budową trwają już pięć lat i terminalu naftowego, nie ukończonego mimo upływu dziesięciu lat - wtrącił minister obrony Mohammad Foruzandeh. - Czah Bahar to tylko grupka porzrzucanych beładnie betonowych budynków, w większości pustych, często nie wykończonych, które otaczają przestarzałą bazę lotniczą i obiekty portu tak płytkiego, że nie może obsługiwać niczego większego od holowników, w ogóle nie wspominając o dużych okrętach czy supertankowcach. Pański budżet był zwiększany co roku od trzech lat, żeby wreszcie ukończona została budowa bazy, a jednak termin jej ukończenia był rokrocznie przesuwany. Na co idą te wszystkie pieniądze, generale? Na pańskie prywatne konta bankowe za granicą, na pańskie wille w Indonezji i Ameryce Południowej, na pańskie prywatne odrzutowce?

- Jak pan śmie insynuować, że sprzeniewierzam środki rządowe! - zawołał Buzhazi.

- Dość! - krzyknął Natek-Nuri. - Gwarantuję, że generał będzie miał wkrótce okazję ustosunkowania się do wszystkich tych zarzutów. - Wstał i zaczął się przechadzać po sali. - A więc pojedynczy samolot ostrzeliwuje bazę, niszczy elektrownię i całą łączność, potem zrzuca pięciu - pokręcił głową, jakby trudno mu było uwierzyć we własne słowa - pięciu spadochroniarzy na obiekt, w którym służbę pełni trzydziestu dwóch uzbrojonych strażników z Pasdaranu. Wszyscy ci strażnicy giną lub zostają ranni, spadochroniarze uwalniają amerykańskich więźniów, a potem skutecznie

stawiają czoło całej kompanii piechoty Pasdaranu, i na koniec ewakuuje ich inny pojedynczy samolot amerykański? Nie mogę w to uwierzyć, generale Buzhazi. Do wieczora Republika Islamska stanie się pośmiewiskiem całego świata.

- Panie prezydencie, nie byliśmy przygotowani na przybycie tych jeńców z „Chomeiniego” - powiedział Buzhazi. - Budynek więzienny w bazie był strzeżony przez zwykłą liczbę żołnierzy, przewidzianą dla liczby więźniów, którzy już tam siedzieli, w większości za drobne wykroczenia dyscyplinarne. Dowódca bazy otrzymał rozkaz podwojenia straży, jeszcze zanim dowiedział się o transferze jeńców.

- Wydaje się, że jest proste wytłumaczenie wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich paru godzin: generale, był pan nieprzygotowany - powiedział Natek-Nuri. - Nie był pan przygotowany na ataki na Bandar Abbas ani na grupę bojową „Chomeiniego”, nie był pan przygotowany na to, co stało się w Czah Bahar... Podobno ma pan jakąś teorię, która tłumaczy, w jaki sposób napastnikom udało się przedrzeć przez tę pańską obronę, generale?

- Za każdym razem było tak samo: tajemnicze, niezidentyfikowane samoloty rozpoczynały pozorowany atak. W rzeczywistości były to specjalne pociski manewrujące, odpalone z amerykańskich bombowców typu stealth; ich zadaniem było symulowanie ataku i sprowokowanie reakcji naszych stanowisk obrony przeciwlotniczej - powiedział Buzhazi. Widział, jak Natek-Nuri, Foruzandeh i niemal wszyscy pozostali przewracają oczami z niedowierzaniem. - Tak, panowie, bombowce trudno wykrywalne przez radary. Takie same jak ten, który pilot naszego MiG-a-29 widział nad Zatoką Omańską wraz z amerykańską latającą cysterną KC-10. Amerykanie wykonują nielegalne loty rozpoznawcze nad naszym krajem, wykorzystując do tego bombowce typu stealth, z których odpalają nowoczesne, specjalne pociski manewrujące. Pociski te wywodzą w pole naszą obronę przeciwlotniczą, symulując zmasowany atak z powietrza; my z konieczności odpowiadamy ogniem, szybko wystrzeliwując całą amunicję.

- Aha, rozumiem - powiedział minister obrony Foruzandeh z naganą w głosie. Widać było, że wyjaśnienia Buzhaziego nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. - Całą winę zwalimy na jakieś stalowe cienie, bombowce załadowane inteligentnymi pociskami manewrującymi, które latają całkowicie bezkarnie nad naszymi radarami i stanowiskami raketowymi. Generale, sam pan mówił, że amerykański program stealth to oszustwo, świadome wprowadzanie w błąd narodu amerykańskiego, mające przynieść korzyści producentom samolotów i doprowadzić do bankructwa państwa byłego Związku Radzieckiego, zmuszając je do wydawania miliardów na obronę przed fikcyjnym zagrożeniem.

- Amerykańskie bombowce stealth są faktem, ministrze, tak samo jak nowa generacja pocisków manewrujących. To właśnie przed tym musi się umieć bronić nasz kraj, a ja próbuję go do tego przygotować!

- To zeznanie będzie fascynującą lekturą, kiedy stanie pan przed sądem wojennym, generale.  
- Niech mi pan nie grozi! - krzyknął Buzhazi. - W każdej chwili może mnie pan zwolnić z obowiązków, jeśli się pan na to odważy! - Natek-Nuri sprawiał wrażenie, jakby chciał zamordować swego szefa sztabu gołymi rękami. - Ale nie może pan grozić mi karą za to, że próbuję wypełniać swoje obowiązki!

- To właśnie sposób, w jaki próbuje pan „wypełniać swoje obowiązki” doprowadził kraj do bankructwa i sprawił, że grozi nam wojna ze Stanami Zjednoczonymi - powiedział gniewnie Natek-Nuri. - Ale to się skończy. Doktorze Welajati?

Ali Akbar Welajati, minister spraw zagranicznych, uniósł jakieś oficjalne pismo w niebieskiej okładce. - Posłanie od amerykańskiego sekretarza stanu - powiedział do Buzhaziego i reszty członków Rady. - Nadeszło wczoraj wieczorem. Stany Zjednoczone w zasadzie akceptują proponowane przez Republikę Islamską ogłoszenie Zatoki Perskiej strefą zakazaną dla wszystkich okrętów, mogących atakować cele na lądzie, w tym lotniskowców oraz zezwolenie Republice Islamskiej na utrzymywanie w Zatoce Perskiej tylu okrętów, ile ma ich Rada Współpracy Zatoki.

- Jak śmieli wydać takie oświadczenie po niczym nie spowodowanym ataku na nasze siły obrony przeciwlotniczej? - zawołał Buzhazi.

- Cisza, generale Buzhazi - rozkazał prezydent Natek-Nuri. - Proszę kontynuować, doktorze Welajati.

- Stany Zjednoczone chcą, żeby we wrześniu odbył się szczyt wszystkich zainteresowanych krajów, na którym podpisany zostanie traktat - kontynuował minister spraw zagranicznych. - Sekretarz stanu Hartman opowiada się ponadto za objęciem tą propozycją również Zatoki Omańskiej i Zatoki Adeńskiej na zachód od sześćdziesiątego równoleżnika...

- Co takiego? - zawołał Buzhazi. - Od sześćdziesiątego równoleżnika? Przecież to... to tylko trochę na zachód od Czah Bahar... Zdaje pan sobie sprawę, że to prawie całe wybrzeże irańskie?

- I cała linia wybrzeża państw Rady Współpracy Zatoki - powiedział Natek-Nuri. - Na obszarach, przez które transportowana jest ropa naftowa będziemy mieli tyle samo okrętów co nasi adwersarze, a z bazy marynarki wojennej w Czah Bahar będziemy mogli wysyłać okręty według własnego uznania, pod warunkiem, że nie wejdą do Zatoki Omańskiej, Zatoki Adeńskiej, cieśniny Ormuz ani do Zatoki Perskiej, jeśli oznaczałoby to, że naszych okrętów będzie tam więcej niż okrętów Rady Państw Zatoki.

- To zupełne szaleństwo! - wykrzyknął Buzhazi. - Nie może pan tego zrobić!

- Podpiszemy takie porozumienie, jeśli negocjacje przebiegną pomyślnie. I wejdzie ono w życie, pod warunkiem, że ratyfikuje je Madzlis, zaaprobuje Rada Strażników i pobłogosławi fahih - powiedział Natek-Nuri. - Następnie będziemy zabiegać o nowy traktat, ograniczający liczbę samolotów bojowych w rejonie Zatoki Perskiej.

Buzhazi zaniemówił; jego koncepcja wielkiej, silnej armii rozsypywała się jak domek z kart.

- Na dowód naszych dobrych intencji i umiłowania pokoju - ciągnął Natek-Nuri - rozkazuję natychmiastowe zwrócenie Chińskiej Republice Ludowej lotniskowca „Chomeini” i krążownika „Zhanjiang”. Ich obecność tylko potęguje napięcie w naszym regionie. W zamian Stany Zjednoczone obiecały nie wysyłać następnego lotniskowca do Zatoki Perskiej ani do Zatoki Omańskiej. Jesteśmy bardzo zadowoleni z takiego rozwoju wydarzeń; czujemy, że rozpoczyna się era pokoju.

- Pokoju? Jakiego pokoju? - wybuchnął Buzhazi. - Nie słyszał pan, co powiedziałem, panie prezydencie? Jestem przekonany, że Stany Zjednoczone wysyłały samoloty nad nasz kraj, naruszały naszą przestrzeń powietrzną oraz atakowały nasze miasta i nasz lotniskowiec pociskami manewrującymi, odpalanymi z samolotów typu stealth. W zamian my zgadzamy się rozbroić? Amerykanie zaatakowali nasz lotniskowiec, ponieważ wiedzieli, jakim jest zagrożeniem dla ich bezpieczeństwa i bezpieczeństwa ich lokajów z Rady Współpracy Zatoki i z Izraela. Nie możemy ulec ich szantażowi i groźbom!

- Już wydałem polecenia, generale - powiedział Natek-Nuri. - Ten koszmarne lotniskowiec zawsze był kłopotliwy dla Republiki Islamskiej. Pieniądze, jakie wydawaliśmy na tak zwane szkolenia można z większym pożytkiem przeznaczyć dla naszych miast, na tak potrzebną infrastrukturę



w odległych prowincjach oraz dla naszego narodu. Łatwiej niż siłą będzie nam szerzyć rewolucję islamską, mając dobrze wykształconych, zamożnych obywateli. I tak też ma być.

Jeden z imamów, ajatollah Bidżan Kalantari, uniósł rękę i obwoływał, stojący za imamami, nakazał wszystkim ciszę. - Generale Buzhazi - powiedział starzec zaskakująco mocnym głosem - utrata prestiżu w oczach wyznawców prawdziwej wiary na całym świecie obraża fakiha, więc żąda on wyjaśnień. Może pan mówić w obecności Allaha, jego sług w Radzie Przywódczej i wszystkich prawdziwych wiernych w tej sali, i niech pana dotknie karząca ręka sprawiedliwości, jeśli nie powie pan prawdy.

A więc stało się, pomyślał Buzhazi wstając z miejsca. Jego dni były policzone, następcą się znalazł, a pluton egzekucyjny niewątpliwie czekał już na zewnątrz; o jego losie zadecydują słowa, które teraz wypowie...

- Nasz lotniskowiec, miasto Bandar Abbas i baza marynarki wojennej Czah Bahar zostały zaatakowane przez siły powietrzne i morskie Stanów Zjednoczonych - powiedział Buzhazi mocnym, donośnym głosem, wskazując palcem zaskoczonego prezydenta Natka-Nuri - w ramach spisku między naszym zdradzieckim, prozachodnim, prosyjonistycznym prezydentem Ali Akbarem Haszemim Natkiem-Nuri, Centralną Agencją Wywiadowczą Stanów Zjednoczonych, państwami Rady Zatoki Perskiej i rządem USA. Przysięgam przed Allahem i wami wszystkimi, że to prawda i mam na to dowody.

W sali posiedzeń zawrzało, wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Natek-Nuri zerwał się na równe nogi, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa i rozglądając się nerwowo na wszystkie strony. Nawet Buzhazi nie spodziewał się takiej reakcji. Prezydent wyglądał, jakby miał go za chwilę zabić lub wybiec z pokoju jak szaleniec. Nie umknęło to uwagi członków Najwyższej Rady Obronnej. Rozglądając się dookoła, Natek-Nuri widział na twarzach zaskoczenie i podejrzliwość. Wszyscy wpatrywali się w niego.

- Przyznaj się! - krzyknął Buzhazi. - Powiedz prawdę! Przyznaj, że spiskowałeś ze Stanami Zjednoczonymi, żeby zniszczyć irańską marynarkę wojenną!

- Milcz! - zawołał Natek-Nuri. - Twoje fantastyczne oskarżenia nie zasługują na to, żeby im zaprzeczać! Jesteś kłamcą i niekompetentnym despotą, żądnym sławy i władzy...

- Powiedz prawdę! - przerwał mu Buzhazi. - Przyznaj, że utrzymujesz regularne kontakty z przedstawicielami Departamentu Stanu USA i z doradcą amerykańskiego prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego! Zdradzasz nasze tajemnice wojskowe w zamian za poparcie rządów Turcji i Stanów Zjednoczonych!

- Kłamiesz, Buzhazi! - krzyknął Natek-Nuri, ale już nie tak donośnie, jak za pierwszym razem, a w dodatku dopiero po chwili wahania. W sali zaległa nagle cisza, zupełnie jakby prezydent przyznał się do winy. Natek-Nuri brnął dalej. - Dobrze znane osobistości, działające w porozumieniu z naszym Ministerstwem Spraw Zagranicznych, przez krótki czas były w kontakcie z biurokratami amerykańskimi, ale tylko dlatego, że nie mamy ambasady w Waszyngtonie, a potrzebna była bardziej bezpośrednia forma komunikacji. To wszystko.

- A więc zaprzeczasz, że twój wspólnicy rozmawiali z generałem Philipem Freemanem, doradcą prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego i nadzorcą Centralnej Agencji Wywiadowczej? - spytał Buzhazi.

- Generale Buzhazi, pańska teoria spisku jest absurdalna. Chodziło o rutynowe kontakty informacyjne irańskich lojalistów na płaszczyźnie nieoficjalnej i dobrze pan o tym wie. Nie będę

tolerował pańskiego zachowania - powiedział gniewnie Natek-Nuri. - Jestem prezydentem i dowódcą naczelnym sił zbrojnych. Rozkazuję panu milczeć, albo osadzę pana w areszcie. Nie odpowiadam przed panem, a jedynie przed fakiem i narodem...

- Bardzo to wznuszące, panie prezydencie - powiedział Buzhazi - ale odmawia pan odpowiedzi na moje pytania i nie odrzuca pan moich oskarżeń. Jest pan w kontakcie z kierownictwem Centralnej Agencji Wywiadowczej USA, czy nie? Działa pan wspólnie ze skorumpowanymi i niemoralnymi Stanami Zjednoczonymi oraz arabskimi zdrajcami islamu w Radzie Współpracy Zatoki, dążąc do zachowania władzy i pozycji kosztem sił zbrojnych Islamskiej Republiki Iranu? Wiedział pan, że grupa bojowa lotniskowca „Chomeini” zostanie zaatakowana, ale nie uczynił pan nic, żeby ów atak powstrzymać, a nawet nakazał mi pan wycofanie moich sił obronnych, ba, zwolnił mnie pan, żeby atak mógł się powieść?

- Milczeć, generale, albo każę pana aresztować! Nie będę tego dłużej tolerował! - zawołał Natek-Nuri.

Ajatollah Kalantari uniósł dłoń. - Milczeć wszyscy, wysłuchany zostanie imam! - krzyknął obwoływacz. W sali obrad natychmiast zaległa cisza.

- Przepraszam, panie prezydencie - powiedział Kalantari tak cicho, że ledwie go słyszano. - Zarzut spiskowania z Amerykanami i Radą Współpracy Zatoki, naszymi głównymi przeciwnikami, to poważna sprawa. Generał Buzhazi wiele ryzykuje, wysuwając przeciw panu takie oskarżenia. Jeśli okażą się nieprawdziwe, okryje się hańbą przed Najwyższą Radą Obronną i zostanie natychmiast wtrącony do więzienia. Chociaż generał wciąż jest pańskim podwładnym i naraża się na działania dyscyplinarne, skoro nosi mundur, a nie słucha pańskiego rozkazu, by milczał, to jednak pragniemy, aby cała ta sprawa została wyjaśniona. Chcemy usłyszeć pańską odpowiedź na te zarzuty.

- Oto moja odpowiedź: generał Buzhazi jest kłamcą, a oskarżenia rzuca tylko po to, żeby ukryć swe desperackie próby rozpętania wojny z Radą Współpracy Zatoki i ze Stanami Zjednoczonymi, swe operacje wojskowe, które skończyły się fiaskiem, a także po to, żeby uniknąć degradacji albo dymisji - powiedział Natek-Nuri. - Zdecydowanie zaprzeczam wszystkim jego oskarżeniom i jako dowódca naczelny zwalnię go z dowodzenia Pasdaranem, i siłami zbrojnymi Republiki Islamskiej.

Imam zwrócił się beznamyślnym głosem do Buzhaziego. - Może pan mówić, generale. Prezydent Natek-Nuri zaprzeczył pańskim oskarżeniom. Pod groźbą dymisji i hańby, musi pan udowodnić swoje zarzuty. Jaka jest pańska odpowiedź?

- Oto moja odpowiedź, Wasza Świątobliwość! - wykrzyknął Buzhazi unosząc rękę. Drzwi sali otworzyły się i dwóch uzbrojonych strażników wprowadziło więźnia. Miał na sobie zielono-żółty drelich więzienny, był skuty łańcuchem w nadgarstkach, na kostkach i na szyi, a dla dodatkowego efektu założono mu jeszcze kajdanki. Oczy miał opuchnięte i przekrwione, palce grubo owinięte bandażem. Chodzenie sprawiało bosemu więźniowi wyraźny ból.

- Tego mężczyznę wyłowiono z cieśniny Ormuz tej nocy, kiedy wróg przeprowadził rozpoznanie grupy bojowej „Chomeiniego”! - zawołał Buzhazi, wskazując palcem człowieka w łańcuchach. - Był na pokładzie statku, który zestrzelił tamtej nocy śmigłowiec i samolot myśliwski z naszego lotniskowca. Mamy powody przypuszczać, że jego statek był bazą małego, ale bardzo nowoczesnego samolotu zwiadowczego typu stealth, który fotografował grupę bojową lotniskowca „Chomeini” i przekazywał informacje amerykańskiej CIA, siłom Rady Współpracy Zatoki oraz Izraelowi. Nasze myśliwce zatopiły jego statek, ale kilkunastu członków załogi zdołało uciec do Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Buzhazi spojrział na więźnia i uśmiechnął się diabolicznie. - Wyłowiliśmy też kilka zwłok. Wydaje się, że niektórzy z martwych byli żołnierzami amerykańskimi, być może piechoty morskiej. - Więzień przymknął oczy, jakby cierpiał wielki ból; zgromadzeni dostrzegli to i pokiwali głowami. Dla nich było to przyznaniem się. - Z ich ubrań pieczołowicie usunięto wszystkie metki. Moi ludzie mówią, że to typowa procedura na statkach szpiegowskich.

Ajatollah Kalantari dał znak strażnikom, żeby podprowadzili więźnia bliżej. Zrobiono mu miejsce przy stole i stanął tam przed imamami, sponiewierany, słaby, ale głowę trzymał uniesioną. - Jak się pan nazywa? - spytał władczy tonem Kalantari. - Wolno panu mówić.

Obwoływacz przetłumaczył jego słowa, a potem odpowiedź więźnia.

- Nazywam się Paul White. Jestem oficerem operacyjnym i rachunkowym na SS „Valley Mistress”. Nie mogłem dotąd zatelefonować do rodziny i powiadomić, że żyję. Nie pozwolono mi też zatelefonować do konsulatu amerykańskiego. Wasze myśliwce zatopiły mój statek, kilku członków mojej załogi nie żyje, żądam, żeby...

- Niech pan zamilknie, panie White - powiedział Kalantari przez swego tłumacza. - Będzie się pan mógł skontaktować z rodziną dopiero wtedy, kiedy potwierdzona zostanie pańska tożsamość i cel pańskiej podróży.

- Ależ nigdy nie zbliżyłem się do waszego lotniskowca - wtrącił White. - Mój statek był co najmniej pięćdziesiąt mil...

- Milczeć, albo wróci pan do celi - powiedział Kalantari. - Niech pan odpowiada na moje pytania. Jakiego rodzaju statkiem był „Valley Mistress”?

- To statek ratowniczy i naprawczy - odpowiedział White. - Możemy podnosić z dna mniejsze jednostki, wydobywać przedmioty z wielkiej głębokości, holować wielkie statki, przeprowadzać naprawy zespołów napędowych i kadłubów na pełnym morzu, albo...

- Co robiliście w pobliżu naszego lotniskowca i jego grupy bojowej?

- Czekaliśmy na okazję, żeby zarobić - powiedział White. Uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami, spoglądając nieśmiało na zebranych. - Prawdę mówiąc irańskie okręty są w bardzo kiepskim stanie, a wy ich nie oszczędzaliście. Mój statek może... to znaczy, mógł, wziąć na hol każdy z waszych okrętów, łącznie z lotniskowcem, mogliśmy naprawić każdy zespół napędowy, oczywiście z wyjątkiem reaktora atomowego. Jesteśmy też niezli w drobnych naprawach: maszyny, urządzenia, elektronika. A ponadto mieliśmy całkiem przyzwoite zapasy oleju, paliwa dieslowskiego, benzyny, mrożonej żywności, podzespołów elektronicznych, kaset wideo; wiele statków zapraszało nas, żeby pohandlować. Ale do was nigdy się nie zbliżałem. Zwykle, jeśli ktoś potrzebował pomocy, śpieszyliśmy natychmiast, ale nigdy nie pchaliśmy się nieproszeni. Obawialiśmy się was zdenerwować; to wy macie armaty. Przysięgam nigdy...

- Czy można, Wasza Świątobliwość? - wtrącił Buzhazi. Kalantari dał mu przyzwalający znak ręką. - Czy raketowe pociski przeciwlotnicze Stinger były częścią waszego wyposażenia „ratowniczego”, panie White? - spytał Buzhazi przez tłumacza.

- Stingery? Nic nie wiem o żadnych Stingerach, sir...

- Nasz śmigłowiec patrolowy zgłosił odpalenie dwóch Stingerów z waszego statku, panie White... a może powinienem powiedzieć: pułkownikowi White - przerwał mu Buzhazi. Czytając z akt, które wręczył mu adiutant, Buzhazi uniósł głos. - Pułkownik Paul White, prawdopodobnie w stanie spoczynku, Siły Powietrzne USA. Pańską ostatnią jednostką była 675. Grupa Oceny Broni w Hurlburt Field na Florydzie; jako inżynier pracował pan nad bronią i wyposażeniem dla tajnych jednostek

operacyjnych. Hurlburt Field leży bardzo blisko kwatery głównej amerykańskich operacji specjalnych na Florydzie i skrzydła operacji specjalnych w bazie Sił Powietrznych USA w Eglin. Sześć miesięcy po oficjalnym przejściu na emeryturę w 1990 roku został pan oficerem na statku ratowniczym „Valley Mistress”, płynącym tranzytem przez Morze Czerwone, a później przez cieśninę Ormuz, z Bahrajnem jako portem docelowym; zaraz potem rozpoczynają się akty wrogości przeciw Irakowi...

- Hej, generale, wszyscy wiedzieli, że w Zatoce Perskiej szykuje się wojna; nie tylko ja tam byłem - powiedział White. - Mnóstwo okazji dla firmy ratowniczej i naprawczej, pod warunkiem, że nikt nie pomyli statku ratowniczego z okrętem wojennym i nie zrzuci na niego bomby.

- Jak emerytowany oficer Sił Powietrznych USA dostaje pracę na statku ratowniczym, żeglującym po wodach Bliskiego Wschodu?

White ponownie wzruszył ramionami. - Szukałem pracy, im potrzebny był elektronik. Przed tamtą wojną nie brakowało ofert zatrudnienia, nawet w Iranie. Wszyscy wiedzieli, że szykuje się burdel... to jest, chciałem powiedzieć, wszyscy wiedzieli, że szykuje się zamieszanie.

- Odnosi się wrażenie, że wszędzie, gdzie pojawiał się pański statek „Valley Mistress”, wkrótce wybuchały konflikty - ciągnął Buzhazi. Pozostali członkowie Rady, z wyjątkiem prezydenta Natka-Nuri, słuchali z najwyższą uwagą. - Pański statek był na Filipinach na krótko przed wybuchem tamtejszego konfliktu z Chinami; na Morzu Żółtym tuż przed przypadkowym konfliktem między Koreą Północną a Koreą Południową w związku z aferą naddźwiękowego samolotu szpiegowskiego Aurora; na Bałtyku tuż przed wybuchem konfliktu o Litwę między Stanami Zjednoczonymi a Rosją; na Adriatyku podczas inwazji amerykańskiej piechoty morskiej na Bośnię; nawet w Bosforze tuż przed wybuchem konfliktu między Ukrainą a Rosją.

Buzhazi oddał akta adiutantowi. - Podczas każdego z tych incydentów, pułkownik White, Stany Zjednoczone wysyłały tajne oddziały paramilitarne bądź siły specjalne, powierzając im misje szpiegowskie i inne zadania specjalne, takie jak sabotaż, zabójstwa, porwania. W kilku wypadkach siły takie, przerzucane śmigłowcami, pojawiały się dosłownie znikąd; parę razy ustalono, że śmigłowce mogły wystartować wyłącznie z pańskiego statku. Ten statek ma lądowisko śmigłowcowe, prawda?

- Miał, zanim nie zatopiły go wasze myśliwce, zabijając moich ludzi i eliminując mnie z biznesu! - odparł White. - Rzeczywiście byłem w tych miejscach, ale przecież kieruję firmą ratowniczo-naprawczą; oczekuje się od nas, żebyśmy byli tam, gdzie robi się gorąco, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Pewnie, że korzystałem z moich przyjaciół w Siłach Powietrznych, żeby się dowiedzieć, gdzie się coś szykuje. Zawsze staramy się być w pobliżu takich miejsc; przecież na tym polega nasz biznes. Tak, mamy duże lądowisko śmigłowcowe i niewielki hangar, bo śmigłowce znacznie zwiększają zasięg naszego działania. Jesteśmy także firmą ratowniczą, a nie tylko naprawczą. Mnóstwo firm prywatnych korzystało z naszego statku, ale nigdy nie miałem na pokładzie szpiegów! To szaleństwo, generale.

- Więc może potrafi nam pan wyjaśnić - powiedział Buzhazi, odbierając z rąk adiutanta dużą czarno-białą fotografię - do jakich celów statek ratowniczy używał radaru SPS-69, to znaczy radaru do wykrywania celów powietrznych?

- Co takiego? Przepraszam, generale, ale nie wiem, o czym...

- Radar SPS-69, potrafiący wykrywać samoloty z odległości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów - wyjaśnił Buzhazi. - Bardzo nowoczesny sprzęt, dość nietypowy jak na statek

ratowniczy. Znaleźliśmy taki radar w odległości zaledwie kilkuset metrów od pańskiego statku. Ta fotografia przedstawia antenę, którą wydobyliśmy z dna cieśniny Ormuz.

- Ach, ma pan na myśli ten starość? - powiedział White z niewinną miną, próbując się nawet uśmiechnąć, mimo bólu w nogach i w plecach. - Wydobyliśmy to u wybrzeży Florydy, w pobliżu złomowiska Marynarki USA i zamontowaliśmy w celach reklamowych. Nasz statek wyglądał bardzo nowocześnie. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co to jest. Mówi pan, że to antena radaru do wykrywania celów powietrznych? Cóż, wierzę panu, ale na pewno śledzenie samolotów nie należało do naszych zadań. Po co mielibyśmy to robić?

- Znaleźliśmy też na dnie sporo innych ciekawych rzeczy, głównie urządzenia elektroniczne. Odnosi się wrażenie, że zostały zniszczone umieszczonymi w środku ładunkami wybuchowymi, tak jakby komuś zależało, żeby nie zostały zidentyfikowane - kontynuował Buzhazi. - Staramy się wydobyć je jak najszybciej i wkrótce ustalimy, do czego służyły. Dowódca grupy bojowej lotniskowca „Chomeini” zgłaszał też zakodowaną łączność satelitarną z waszego statku; przypuszczamy, że były to sygnały, wysyłane do samolotu rozpoznawczego typu stealth, który krążył nad naszą grupą bojową.

- Przysięgam, Wasza Wysokość, nie mam pojęcia, o czym on mówi! - powiedział błagalnie White. - Korzystamy z satelitów do łączności i nawigacji, oczywiście, ale nie do sterowania samolotami rozpoznawczymi typu stealth, nie wiem nawet, co to takiego.

- Jest pan szpiegiem, pułkowniku White! - krzyknął Buzhazi - zatrudnionym przez amerykańską Centralną Agencję Wywiadowczą i współpracującym z Ali Akbarem Natkiem-Nuri na szkodę naszego potencjału obronnego. Chcecie podporządkować nas despotycznemu, imperialistycznemu Zachodowi!

- Szpieg? CIA? Ja współpracuję z waszym prezydentem? To szaleństwo! - odparł White, wstrząśnięty i zdziwiony. Wzniósł się na szczyty aktorstwa, ale przecież walczył o życie. Odwrócił się do Natka-Nuri. - Proszę im powiedzieć, panie prezydencie. Proszę im powiedzieć, że nie pracuję dla pana. - Patrząc prezydentowi w oczy, powtórzył z determinacją, uważnie dobierając słowa: - Proszę im powiedzieć, że nic mnie nie łączy z żadną cholerną CIA, że nie zajmuję się szpiegostwem ani niczym w tym rodzaju, że po prostu naprawiam radia i dowodzę statkiem ratowniczo-naprawczym.

- Generał Buzhazi kłamie, panie White - powiedział Natek-Nuri w farsy, zrozumiawszy angielski White'a na tyle, żeby nie czekać na tłumacza. - Próbuje odwrócić uwagę od własnych porażek, oskarżając mnie i kogo się tylko da o spisek. Być może jest pan szpiegiem, nie wykluczałbym tego, ale nie współpracujemy i nigdy bym się na taką współpracę nie zgodził.

Buzhazi zwrócił się do ajatollaha Kalantariego. - Wasza Świątobliwość, proszę, żeby więzień był pilnie strzeżony, dopóki nie zbierzemy więcej dowodów jego działalności szpiegowskiej. Przypuszczam, że potrwa to co najmniej cztery do sześciu tygodni. Nikt ze Stanów Zjednoczonych nie pytał dotąd o pułkownika White'a, co potwierdza tylko, że jest on szpiegiem.

- Zgoda - odpowiedział Kalantari. - Uważamy, że jest aż nadto dowodów, by postawić tego człowieka przed sądem za szpiegostwo oraz za zaatakowanie i zniszczenie własności rządu irańskiego na pełnym morzu. Wyprowadzić więźnia.

Strażnicy chwycili White'a i pociągnęli do drzwi. - Hej, generale, Wasza Wysokość, mógłbym zatelefonować do rodziny? Czy możecie opatrzeć mi rany? Dlaczego traktujecie mnie jak zwierzę? Nic nie wiem o Stingerach, radarach ani szpiegostwie! Jestem niewinny, klnę się na Boga i na oczy

mojej matki, jestem niewinny!

- Nie przywołuj Boga dla ukrycia swoich kłamstw! - krzyknął ajatollah Kalantari. - Błuznierca! Narzędzie diabła! Zabierzcie stąd to paskudztwo!

White zignorował Kalantariego i Buzhaziego. Patrząc prosto w oczy prezydentowi Natkowi-Nuri, powiedział w farsy, jakby nikogo innego nie było na sali: - Panie prezydencie, niech pan pomyśli o przyszłości. Pański szef sztabu zdradził pana. Potrzebuje pan pomocy. Niech mi pan pomoże, a ja pomogę panu.

- Widzicie? Widzicie? - wykrzyknął Buzhazi. - Więzień zna nasz język i próbuje się dogadać z drugim spiskowcem. To dowód winy Natka-Nuri!

- Żądam powiadomienia władz amerykańskich, że zostałem uwięziony! - zawołał White po persku. - Żądam sprawiedliwości! Co to za rząd? - Zignorowano go jednak, a strażnicy wywlekli go z sali.

Kiedy znów zrobiło się cicho, Kalantari zwrócił się do Buzhaziego. - Rzucił pan bardzo poważne oskarżenie, generale i zostanie ono potraktowane z całą uwagą, zwłaszcza w świetle podstępnych działań Stanów Zjednoczonych. - Odchrząknął. - Ale nic z tego, co usłyszeliśmy nie dowodzi udziału prezydenta Natka-Nuri w jakimś spisku przeciw naszym siłom zbrojnym. Jeśli ma pan dowody, niech je pan teraz przedstawi, albo poniesie pan konsekwencje. Ma pan jakieś dowody?

- Mam, Wasza Świątobliwość - odpowiedział Buzhazi. Czas na ostatni rzut kośćmi. Adiutant podał mu teczkę z aktami. - Zapis rozmowy telefonicznej z wysokim rangą przedstawicielem Ministerstwa Obrony, pierwszym zastępcą ministra Foruzandeha, a pewnym Turkiem, cywilem nazwiskiem Tahir Sahin. Ten Sahin spotkał się niedawno z doradcą amerykańskiego prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i sekretarzem stanu USA, po czym ostrzegł Foruzandeha, że jakaś niezidentyfikowana formacja wojskowa USA ma zaatakować grupę bojową lotniskowca „Chomeini”. Atak rozpoczął się w kilka minut po tej rozmowie; pół godziny później minister Foruzandeh spotkał się z prezydentem Natkiem-Nuri i ministrem spraw zagranicznych doktorem Welajatim. Jednak nikt z Ministerstwa Obrony, Ministerstwa Spraw Zagranicznych ani z biura prezydenta nie pofatygował się do mnie, ani nie ostrzegł nikogo przed atakiem, mimo że z biura ministra Welajatiego przeprowadzono kilka rozmów telefonicznych ze Stanami Zjednoczonymi i z tym niewiernym Muhammadem ibn Raszidem ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

- Generał Buzhazi znów dramatyzuje. To były rutynowe kontakty dyplomatyczne - przerwał prezydent Natek-Nuri. - Tak, poleciłem ministrowi Welajatiemu skontaktowanie się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale tylko po to, żeby powiadomić, że z Bandar Abbas startować będą samoloty wojskowe, lecące na patrole w naszej przestrzeni powietrznej. Rutynowa, grzecznościowa notyfikacja, nic więcej. Chodzi o to, żeby nie pomyśleli przypadkiem, że zamierzamy ich zaatakować.

- „Rutynowa, grzecznościowa notyfikacja”? Grzeczność świadczona temu narzędziu szatana, emirowi Dubaju? Wygląda to na coś więcej niż na zwykłą grzeczność, panie prezydencie. A jednocześnie nie uznał pan za stosowne powiadomić mnie ani moich dowódców polowych o zbliżającym się ataku na grupę bojową „Chomeiniego” i na bazę marynarki wojennej w Czah Bahar? O ataku, przeprowadzonym z samolotu należącego do emira Dubaju osobiście, przez komandosów ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich w służbie emira Dubaju? To tak, jakby pan osobiście zapalił zielone światło dla tego ataku, panie prezydencie! Wasza Świątobliwość, spisek nie ulega wątpliwości.

- Atak już trwa, kiedy kontaktowaliśmy się z doktorem Sahinem, lojalnym i godnym zaufania sługą Allaha i tego rządu; w tej sytuacji mogliśmy jedynie przygotować się na wypadek wybuchu działań wojennych w całym regionie, gdyby okazało się, że jest to część jakiejś większej operacji zbrojnej przeciw nam. - Natek-Nuri zwrócił się do Buzhaziego. - W ogóle nic by się nie stało, Buzhazi, gdybyś nie zatopił tego amerykańskiego statku! - powiedział gniewnie.

- Próbowałem chronić nasze siły zbrojne przed kolejnym podstępym atakiem państw Rady Współpracy Zatoki oraz ich pana i mistrza, Stanów Zjednoczonych - odparował Buzhazi. - Z powodu twojego rozkazu nie mogłem rozmieścić moich sił lądowych tak, żeby powstrzymać dalsze ataki. Rezultaty wszyscy widzieliśmy. - Odwrócił się do Kalantariego. - Wasza Świątobliwość, ponieśliśmy wielkie straty, a wszystko z powodu tego człowieka. Żądam, żeby ustąpił z urzędu i przekazał kontrolę nad rządem Radzie Przywódczej, dopóki nie minie kryzys i nie będzie można przeprowadzić wyborów parlamentarnych. Jeśli nie ustąpi dobrowolnie, to proszę Radę Przywódczą o odwołanie go z urzędu i przeprowadzenie śledztwa w sprawie jego przestępczej działalności. Nie można pozwolić, żeby czynił zło choćby tylko jeszcze jeden dzień; Republika Islamska mogłaby przez to cierpieć całymi dziesięcioleciami! Żądam...

- Cisza, generale - przerwał mu Kalantari. Prezydent i generał wpatrywali się w siebie, Buzhazi z uśmiechem zadowolenia, Natek-Nuri zmieszany i przybity. - Generale Buzhazi, nie przedstawił nam pan jeszcze dowodów, ale oskarżenia są poważne i wiele poszlak świadczy przeciw prezydentowi. - Odwrócił się do Natek-Nuri i powiedział cichym głosem: - Proszę mówić, panie prezydencie. Co pan uczyni?

Natek-Nuri był jak porażony. Obojętne, co uczyni, Buzhazi będzie górą. Wydawało się, że nie ma już żadnego sposobu, by temu zapobiec. Czas ratować własną skórę. A później, kiedy plany Buzhaziego skończą się fiaskiem i armia irańska zostanie rozbita... - Wasza Świątobliwość, Rada Przywódcza i Rada Strażników mają prawo w każdej chwili przejąć kontrolę administracyjną nad Republiką Islamską - powiedział Natek-Nuri. - Jestem sługą Allaha, Jego Świątobliwości Fakiha i wybranych z Rady Przywódczej. Przysięgam, że nie jestem zdrajcą, i że z nikim nie spiskowałem przeciw Republice Islamskiej. Ale jeśli chcesz, żebym ustąpił, to zgadzam się. - Ministrowie otaczający Natek-Nuri nie wierzyli własnym uszom. Było oczywiste, że generał Buzhazi, skompromitowany w oczach wszystkich członków rządu, strzelał w ciemno, rzucając swe oskarżenia i opowiadając te fantastyczne historie; nikt nie oczekiwał, że Natek-Nuri ugnie się pod jego groźbami i zarzutami! Czyżby w słowach Buzhaziego było jednak trochę prawdy?

- Obiecuję, że jeśli Wasza Świątobliwość będzie potrzebował moich usług w przyszłości, kiedy już kłamstwa Buzhaziego wyjdą na jaw i zapanuje chaos, będę gotów znowu służyć Republice Islamskiej - kontynuował Natek-Nuri. - Proszę o przydzielenie mi ochrony, którą sam sobie wybiorę, ponieważ obawiam się o swoje bezpieczeństwo, skoro Pasdaranem i Strażą Stołeczną dowodzi generał Buzhazi.

- Pańska prośba będzie spełniona - powiedział ajatollah Kalantari. - Dopóki nie zostanie zwołany trybunał, który rozpatrzy oskarżenia generała Buzhaziego przeciw panu, będzie pan korzystał z rangi i przywilejów należnych prezydentowi Republiki Islamskiej i może pan sformować sobie ochronę osobistą wedle własnego życzenia.

Ajatollah Kalantari zwrócił się donośnym głosem do członków Najwyższej Rady Obronnej: - Niniejszym zarządza się, że Jego Świątobliwość Fakiha, przywódca rewolucji islamskiej, ajatollah Ali Hoseini Chamenei, obejmuje przywództwo nad rządem Islamskiej Republiki Iranu oraz funkcję

dowódcy naczelnego sił zbrojnych Republiki. Nikt, pod groźbą ukarania przez Radę Przywódczą, nie ma prawa uczynić żadnej szkody prezydentowi Natkowi-Nuri, jego rodzinie ani jego współpracownikom.

Natek-Nuri pomyślał, że Buzhazi nie odniósł jednak zwycięstwa absolutnego. Pod kierownictwem Chameneiego rząd zwróci się co prawda bardziej na prawo, ale nie tylko nie będzie działać szybciej, lecz prawdopodobnie znacznie, znacznie wolniej. Tak więc Buzhazi jeszcze...

- Niniejszym obwieszcza się również - kontynuował Kalantari - że w związku z nadzwyczajną sytuacją militarną, spowodowaną nieusprawiedliwionym atakiem na siły zbrojne Republiki, w Iranie istnieje stan zagrożenia narodowego i potrzebne jest wprowadzenie stanu wojennego. Zarządza się, że generał Hesarak al-Kan Buzhazi zachowuje stopień i przywileje oraz otrzymuje pełną władzę nad wszystkimi agendami i służbami rządowymi, aby, postępując według własnego uznania, chronić rząd Islamskiej Republiki Iranu i życie wszystkich prawdziwych wiernych. Taka jest wola Allaha i polecenie Jego Świątobliwości Fakiha, więc niech się tak stanie. Generale Buzhazi, Rada jest na pańskie rozkazy.

- Nie! - wykrzyknął Natek-Nuri, zrywając się na równe nogi. - To niemożliwe! Iran nie jest w stanie zagrożenia narodowego! Istnieje tylko zagrożenie, do którego doprowadził Buzhazi w imię swoich własnych celów!

Ale imamowie, reprezentujący Radę Przywódczą, kroczyli już do drzwi, odwróciwszy wzrok i nie zamierzając rozmawiać. Fakihi uznał, że czasy są dogodne, by zademonstrować potęgę militarną Iranu. Jedynym sposobem na ominięcie konstytucji i realizowanie tych planów było oddanie spraw w ręce Buzhaziego, a to oznaczało stan wojenny.

Buzhazi wstał i rozbawionym wzrokiem patrzył na Natka-Nuri. - Straże, eskorta dla Ich Świątobliwości! - zawołał. W tym momencie do sali wbiegło kilkudziesięciu żołnierzy Pasdaranu, uzbrojonych w karabiny. Kilkunastu z nich otoczyło obu imamów, opuszczających salę. Kiedy duchowni wyszli, wszyscy zaczęli się nawzajem przekrzykiwać.

- Cisza! - krzyknął Buzhazi. - Uspokójcie się natychmiast, albo każę was wyprowadzić!

Kilku strażników z Pasdaranu ruszyło do Natka-Nuri, ale natychmiast zastąpiła im drogę ochrona osobista prezydenta, siedmiu żołnierzy, którzy służyli kiedyś w syryjskich siłach specjalnych. Choć ci z Pasdaranu mieli nad nimi przewagę liczebną, nie ulegało kwestii, że ochroniarze będą bronić prezydenta do ostatka. - Stać! - rozkazał Buzhazi. - Jego Świątobliwość ajatollah Kalantari zabronił wyrażania jakiegokolwiek szkody byłemu prezydentowi. Były prezydent ma być bezpiecznie wyprowadzony z sali i ma się natychmiast udać do swej rezydencji, gdzie dla własnego bezpieczeństwa zostanie umieszczony pod strażą. Pułkowniku, proszę tego dopilnować.

Natek-Nuri został otoczony ludźmi ze swej ochrony osobistej, następnie przez żołnierzy Pasdaranu, wreszcie przez swoich doradców i lojalnych ministrów z Najwyższej Rady Obronnej. Uniósł głos tak, by wszyscy mogli go usłyszeć. - Generale Buzhazi, pańskie dni są policzone, a ja będę w pobliżu, kiedy nadejdzie pański koniec, kiedy kule plutonu egzekucyjnego przebiją pańskie niegodne ciało.

- Odważne słowa, jak na zdrajcę! - krzyknął Buzhazi. - Niech pozostaną wszyscy z wyjątkiem Natka-Nuri. Mam jeszcze kilka spraw do omówienia.

- Przysięgam na Allana, że dopilnuję, byś sam ukreślił na siebie stryczek - powiedział Natek-Nuri i pozwolił się wyprowadzić.

W sali zaległa cisza. Wstrząśnięci ministrowie wpatrywali się w Buzhaziego, jakby nie wierząc



jeszcze w to, co się stało. - Oszalałeś, Buzhazi, zupełnie oszalałeś - powiedział zjadliwie Mohammad Foruzandeh, irański minister obrony. - Dobrze wiesz, że wszystko, co powiedział prezydent, to prawda; nie jest zdrajcą, a nieoficjalne kontakty, które utrzymywał, były zupełnie legalne i uczciwe. W przeszłości sam z nich korzystałeś.

- Jak śmiesz? - zawołał do Buzhaziego premier Hasan Ibrahim Habibi. - To próba wojskowego zamachu stanu!

- Milczeć, wszyscy-warknął Buzhazi. - To nie zamach stanu, panowie, to rozkaz Rady Przywódczej. Islamska Republika Iranu jest poważnie zagrożona i natychmiast trzeba temu zaradzić. Natek-Nuri jest słaby. Wybrał drogę współpracy właśnie z tymi agentami imperializmu i ucisku, którzy próbują nas zniszczyć. Ja natomiast nie będę siedział z założonymi rękami i przypatrywał się, jak mój kraj cierpi. Ze skutkiem natychmiastowym, na mocy władzy, przyznanej mi jako wojskowemu przywódcy Republiki Islamskiej, do odwołania zawieszam i rozwiązuję Madżlis, Sąd Najwyższy i Wysoką Radę Sądowniczą.

- Co takiego? - wykrzyknęło kilku cywilów. Buzhazi za jednym zamachem rozwiązał całą władzę cywilną w Iranie: 270-miejscowe Islamskie Zgromadzenie Konsultatywne, Sąd Najwyższy i cywilną kontrolę nad sądownictwem. Do rządu Iranem pozostały więc, oprócz sił zbrojnych, jedynie trzy główne organy religijne: Rada Przywódcza, na której czele stał przywódca rewolucji islamskiej Chamenei; Rada Ekspertów z ajatollahem Meszkinim i Rada Strażników z ajatollahem Jazdim na czele. Wszyscy ci mułłowie byli zwolennikami silnej armii, skrajnymi fundamentalistami i orędownikami eksportu rewolucji islamskiej na cały świat, pod przewodnictwem szyitów. Teraz, w warunkach stanu wojennego, mieli za sobą wojsko. - Buzhazi, nie masz takich uprawnień!

- W warunkach stanu wojennego, przestępstwa przeciw rządowi będą karane przez sądy wojskowe; odwołania od wyroków będzie rozpatrywać Rada Strażników i Rada Ekspertów - powiedział Buzhazi. - Gabinet i Najwyższa Rada Obronna również zostają niniejszym rozwiązane; ministrowie zachowują teki i władzę, ale od tej chwili podlegają mnie i kontaktują się ze mną za pośrednictwem oficerów Sztabu Generalnego. Gazety „Kajchan”, „Ettelaat”, „Teheran Times” oraz wszystkie inne pisma publiczne i organy prasowe ugrupowań politycznych natychmiast przestają się ukazywać; tylko gazeta „Dżomhuri Islami” będzie się mogła ukazywać, pod kontrolą Biura Spraw Publicznych Sztabu Generalnego. Natychmiast przerywają nadawanie wszystkie stacje radiowe i telewizyjne z wyjątkiem radia „Naft-e-Melli”; ze skutkiem natychmiastowym zawieszają się działalność stacji naziemnych INTELSAT-u i radiowych stacji przekaźnikowych, z wyjątkiem operacji ściśle wojskowych, do czasu zapewnienia kontroli wojskowej...

- Generale, na ulicach Teheranu wybuchnie panika - powiedział gniewnie premier Habibi. - Nie można tak po prostu zamknąć wszystkich mediów, a mimo to panować nad siedemdziesięciomilionową ludnością.

- Nad porządkiem w miastach czuwać będą całe Siły Bezpieczeństwa Republiki Islamskiej, wzmocnione Pasdaranem - powiedział Buzhazi z poważną miną. - Zmobilizuję też milicję Basidż i podporządkuję ją Pasdaranowi, żeby wesprzeć siły bezpieczeństwa wewnętrznego i straż graniczną. Przede wszystkim jednak rozkażę memu sztabowi szczegółowe poinstruowanie wszystkich członków gabinetu, jak mają wypełniać swe codzienne obowiązki w obliczu zagrożenia, przed jakim stanął nasz kraj. Stan wojenny nie oznacza końca republiki; po prostu konieczne są środki nadzwyczajne, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Oczekuję, że wszystkie instytucje rządowe i ministrowie we właściwej formie przekażą to dalej. Dalsze instrukcje wyda mój szef sztabu. Możecie się rozejść.

Buzhazi uważnie studiował mapę Bliskiego Wschodu z rozmieszczonym centralnie Iranem, kiedy członkowie kolegium szefów sztabów Republiki Islamskiej pośpiesznie weszli do sali. - Należy niezwłocznie zapewnić pełne bezpieczeństwo terytorialne - rozkazał Buzhazi. - Żaden cudzoziemski okręt nie ma od tej chwili prawa wpłynąć do cieśniny Ormuz. Wszystkie nasze jednostki pływające, jakie mamy w Cieśninie, będą obserwować każdy przepływający tamtędy statek.

- Trzeba będzie sięgnąć do rezerw - powiedział dowódca sił lądowych, generał brygady Mohammed Sohrabi.

- Zarządzimy pełną mobilizację - odparł Buzhazi. - W razie potrzeby można skorzystać z milicji Basidż. Szlaki morskie mają się zapełnić irańskimi patrolami, i to natychmiast, a nie za sześć, czy dwanaście miesięcy. Trzeba śledzić każdy tankowiec, każdy statek towarowy, który przepływa przez Cieśninę. Chcę również patroli w powietrzu; patrole bojowe na małej wysokości, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chcę, żeby nasze siły były widoczne dla wszystkich w odległości 200 kilometrów od naszych wybrzeży. Wystawimy na próbę Radę Współpracy Zatoki i amerykańskie siły powietrzne. Poszukamy ich słabych punktów.

- Być może jeden już znalazłem - wtrącił dowódca sił powietrznych, generał brygady Mansur Sattari. - Ostatniej nocy widzieliśmy amerykański bombowiec typu stealth.

- Co takiego? - Buzhazi zwolnił pozostałych członków sztabu i zasiadł do rozmowy z Sattarim. Miał nadzieję, że Sattari, nad którego karierą czuwał osobiście, będzie wkrótce jego szefem sztabu, kiedy on, Buzhazi, zostanie prezydentem. - Jak to zrobiliście?

- Stealth działa dzięki dwóm czynnikom: samolot absorbuje część energii, emitowanej przez radar, a reszta odbija się od płaszczyzn poszycia w różnych kierunkach, tylko nie z powrotem w kierunku nadajnika. W rezultacie, do anteny radaru powraca bardzo słaby sygnał zwrotny, tak słaby, że nie powstaje obraz radarowy - wyjaśnił Sattari. - Energia, absorbowana przez powłokę, którą pokryty jest samolot oraz przez inne systemy, tak zwaną „czapkę niewidkę”, stosowaną podobno w tych maszynach, jest dość mała, zapewne wynosi od dziesięciu do dwudziestu procent całej energii fal radarowych, docierających do samolotu. Reszta energii nie ginie, ale po prostu nie jest odbijana z powrotem w kierunku radaru, który ją wyemitował.

- Mów dalej, Mansur.

- Nie chodzi o to, że nie możemy odebrać echa radarowego, ani o to, że jest ono za słabe. Po prostu antena, która ma odebrać sygnał, znajduje się w nieodpowiednim miejscu. Gdyby można było przemieścić antenę odbiorczą i zsynchronizować ją z anteną nadawczą, albo użyć kilku różnych anten, odpowiednio zsynchronizowanych, fale odbite od samolotu zostałyby wykryte i samolot ten pojawiłby się na radarze. Przez krótką chwilę stało się tak ostatniej nocy. Zupełnie przypadkiem mieliśmy dwie stacje radarowe idealnie zsynchronizowane. Powietrzny system radarowy A-10 Mainstay nad Cieśniną i stacja radarowa w Bandar Abbas były ze sobą sprzężone, przekazując sobie nawzajem dane radarowe. Kiedy A-10 transmitował, stacja naziemna odbierała i bombowiec stealth pojawił się na ekranie radaru w Bandar Abbas. Trwało to tylko sekundę, zbyt krótko, żeby go namierzyć, ale jednak pojawił się na radarze.

- Więc jeśli zsynchronizujemy dwa radary - powiedział Buzhazi - albo nawet więcej niż dwa, powinniśmy widzieć samolot dostatecznie długo, żeby go namierzyć.

- Tak, to bardzo prawdopodobne - powiedział Sattari. - Pracują już nad tym moi najlepsi inżynierowie. Przyjąłem założenie, że chce pan zapewnić jak najlepszą ochronę grupie bojowej lotniskowca „Chomeini”, więc tworzę system Jeden pan, dwóch niewolników”. Głównym

elementem „panem”, będzie radar dalekiego zasięgu „Chomeiniego”, a „niewolnikami” będą dwa inne radary: radar dalekiego zasięgu w Czah Bahar i radar na pokładzie A-10 Mainstay. Musimy bardzo precyzyjnie zestroić częstotliwości i czas. Kiedy główny radar będzie transmitował, „niewolnicy” będą odbierać i vice versa. Potem „niewolnicy” przekażą dane „panu” kanałem informacyjnym, a „pan” zestawi je i przetworzy w obraz radarowy. A co najciekawsze - mówił dalej Sattari, uśmiechając się złośliwie - samolot stealth może w ogóle nie wiedzieć, że jest śledzony!

- Jak to możliwe, Mansur?

- Ponieważ będziemy na niego naprowadzać myśliwce, korzystając tylko z radarów dalekiego zasięgu - wyjaśnił Sattari. - Twórcy samolotów stealth są przekonani, że te maszyny są odporne na takie radary. Radary myśliwców, które będą miały honor zestrzelić bombowiec stealth nie będą namierzały nieprzyjacielskiej maszyny, dopóki nie znajdą się bardzo blisko, a może nawet uda się użyć pocisków raketowych z naprowadzaniem termicznym, zanim załoga bombowca stealth w ogóle zacznie podejrzewać, że ich widzimy!

- Doskonale, Mansur, doskonale - powiedział podekscytowany Buzhazi. - Jeśli się to uda, otrzymasz awans na zastępcę szefa sztabu. Natychmiast uruchamiaj ten system. Dopilnuj też, żebyśmy mieli wielkie formacje myśliwców w powietrzu. Jeśli nadlecą cztery myśliwce amerykańskie, my musimy wysłać osiem, żeby stawić im czoło.

- Panie generale, może jednak robić to stopniowo, a nie od razu. Cały świat mógłby zwrócić się przeciw nam! - zaprotestował Sattari.

- Świat, a zwłaszcza Amerykanie i Rada Współpracy Zatoki, przekona się wkrótce, jak niebezpieczne jest prowokowanie Iranu! - powiedział Buzhazi. - Cieśnina Ormuz ma zostać szczelnie zamknięta; dokona tego grupa bojowa lotniskowca „Chomeini”, wspierana przez myśliwce i bombowce z Czah Bahar. Zatoka Perska będzie teraz nasza!

◆ **Baza Sił Powietrznych Andersen, Yigo na wyspie Guam, 23 kwietnia 1999, godzina 18.38 czasu miejscowego**

Sen był tak realistyczny, że McLanahan wszystko czuł i słyszał, jakby był tam razem ze skazanym na zagładę samolotem: krzyki załogi KC-10, kiedy latająca cysterna weszła w spiralę śmierci, spadając do Zatoki Omańskiej; straszliwy huk, kiedy samolot uderzył w powierzchnię morza z ogromną prędkością; chłód morskiej wody, która w chwili zderzenia była twarda i nieustępliwa jak skała, miażdżyła ich ciała, a potem wchłonęła je na zawsze. Krzyczeli, wykrzykiwali jego imię, przeklinali go, przeklinali jego głupotę...

Zabiłem ich, pomyślał McLanahan. Po atakach na Bandar Abbas, grupę bojową „Chomeiniego” i Czah Bahar w żadnym wypadku nie należało zamawiać latającej cysterny w pobliżu Iranu. Wiedział, że lotnictwo irańskie będzie postawione w stan najwyższej gotowości, że samoloty będą patrolować przestrzeń powietrzną, szukając zemsty... Czuł, jak pochłania ich ocean, jak słona woda zabiera ich daleko od wszelkiej pomocy, daleko od domu... Rzeczywiście, woda była słona, ale nie pochodziła z Zatoki Omańskiej. To były łzy. Patrick płakał przez sen, przepelnięny żalem po śmierci załogi KC-10. Ale kiedy się zbudził, spostrzegł, że były to nie tylko jego łzy...

- Wendy! - wykrzyknął. - Mój Boże, to naprawdę ty! - Objął żonę i trwali tak spleceni w uścisku przez kilka długich chwil. Na szyi nie miała już bandaży, a blizny pokryte były maścią przeciwuczuleniovą. Włosy miała dłuższe, związane w jakiś wymyślny kok.

- Kiedy weszłam, zobaczyłam, że płaczesz przez sen - powiedziała Wendy. - Nie chciałam cię budzić, ale też nie chciałam, żebyś tak cierpiał.

- Wendy, co ty tu robisz?

- Kiedy powiadomiłeś przez radio Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, że zatankowałeś w powietrzu i będziesz lądował na Guam, Jon Masters załadował swojego DC-10, osobiście wycarterował kilka innych samolotów transportowych i przylecieliśmy tutaj - powiedziała Wendy. - Ściągnął tu wszystko, co miał, łącznie z Disruptorami, chce się zemścić na Irańczykach za to, co zrobili z „Valley Mistress” i jego załogą.

- Pracujesz teraz w Sky Masters?

- Zgłosiłam się tam wkrótce po tym, kiedy odleciałeś z generałem Freemanem - powiedziała Wendy. - Jestem tam wiceprezesem i odpowiadam za prace badawczo-rozwojowe. Jon załatwił nam mieszkanie w San Diego, samochód, samolot, który zabiera mnie do jego zakładów w Tonopah i tak dalej.

- A bar?

- Wynajęłam go - odpowiedziała Wendy. - Przepraszam, że najpierw cię nie spytałam, ale przecież oboje wiemy, że nie byłeś tam szczęśliwy. Wciąż jesteś właścicielem, regularnie wpływa nam trochę pieniędzy, a jednocześnie masz wolną rękę; możesz ratować świat, zamiast obsługiwać gości. Jeśli chcesz, możesz mieć bar z powrotem w przyszłym roku, albo możesz go w każdej chwili sprzedać. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, ale...

Patrick ujął jej dłoń, uścisnął delikatnie i ucałował. - Słusznie postąpiłaś, Wendy - powiedział. - Masz rację, nie byłem tam szczęśliwy, ale nie miałem odwagi otwarcie się do tego przyznać.

♦ **Nad morzem Arabskim, na wschód od Zatoki Omańskiej, 300 mil na południowy zachód od bazy morskiej Czah Bahar w Iranie, 26 kwietnia 1999, godzina 02.51 czasu miejscowego**

- Mrówkojad Jeden-Dwa-Jeden, tu Rekin, kurs dwa-osiem-pięć, wejdz na dziesięć tysięcy, masz niezidentyfikowany samolot, namiar trzy-jeden-zero... lotniskowiec trzy-zero-zero.

- Jeden-Dwa-Jeden, zrozumiałem - odpowiedział porucznik Scott „Wrona” Crowley, prowadzący parę F-14B Tomcat. Świetnie się składa, pomyślał. Nabrał właśnie do pełna paliwa, a jego skrzydłowy, porucznik Erie „Połysk” Matte też zatankował, kilka minut wcześniej. - Jaszczurka Pięć-Dwa-Zero, odłączam. - Crowley nacisnął guzik na drążku sterowym, oznaczony AR/NWS/DISC i obserwował, jak wielka, przypominająca kształtem koszyk końcówka węża do tankowania odskoczyła od sondy paliwowej po prawej stronie jego kabiny. Samolot-cysterna KA-6D z 95. Dywizjonu „Zielonych Jaszczurek” szybko wciągnął wąż paliwowy i zezwolił dwójce F-14B Tomcat z dywizjonu FG-114 „Mrówkojadów” stacjonującego na lotniskowcu USS „Abraham Lincoln”, przejść na dolny pułap obszaru tankowania. Znalazłszy się sześćset metrów pod KA-6D, Tomcaty ostro skręciły w lewo i ruszyły na północny zachód, kursem podanym przez samolot wczesnego ostrzegania E-2C Hawkeye oznaczony jako Rekin.

- Dwa-Jeden, wszystko OK - powiedział Crowley przez radio, zakończywszy kontrolę po tankowaniu w powietrzu. Wiedział, że Matte też upora się za chwilę ze swoją listą kontrolną i dołączy do niego.

- Dwa - odpowiedział Matte, informując, że wszystko było w porządku: tankowanie przebiegło bez problemów, zbiorniki pełne lub prawie pełne, przyrządy w porządku, systemy w porządku, tlen w porządku, RIO\* w porządku. Crowley spojrzął na wskaźnik paliwa, wziął poprawkę na swego skrzydłowego, odliczając ilość wystarczającą na pół godziny lotu i jeszcze trochę „dla żony i dzieci” i uznał, że ma około dwóch godzin, zanim będą musieli zawracać na „Lincolna”, odległego o około 300 mil morskich.

\* RIO - Radar Intercept Officer - oficer przechwytywania radarowego, tzn. lotnik odpowiedzialny za nawigację i obsługę elektronicznych systemów prowadzenia walki; w Tomcacie RIO siedzi na tylnym fotelu [przyp. tłum.].

Oba F-14B Tomcat były podobnie wyposażone na ten nocny patrol bojowy: dwa zewnętrzne, tysiąclitrowe zbiorniki paliwa pod gondolami silnikowymi, dwa naprowadzane radarem pociski raketowe średniego zasięgu powietrze-powietrze AIM-120A i dwa naprowadzane termicznie pociski raketowe krótkiego zasięgu AIM9-M Sidewinder pod skrzydłami, a także cztery wielkie, naprowadzane radarem pociski raketowe dalekiego zasięgu AIM-54C Phoenix na węzłach podkadłubowych. Ponieważ grupa bojowa lotniskowca „Lincoln” zapuściła się tak daleko na Morze Arabskie, zadaniem patroli F-14 było przede wszystkim przeciwdziałanie zagrożeniu ze strony irańskich myśliwców bombardujących dalekiego zasięgu i samolotów patrolowych dalekiego zasięgu. Dlatego też oba Tomcaty miały po dwa dodatkowe pociski Phoenix. Zasięg tych pocisków wynosił ponad 160 kilometrów, co oznaczało, że Tomcaty mogły zostać wykryte przez irańskie radary, ale nie stanowiły dla nich zagrożenia rosyjskie pociski raketowe powietrze-woda, w które wyposażone były maszyny irańskie.

Kilka minut po otrzymaniu namiaru od Rekina, krążącego 200 mil na północny zachód od „Lincolna”, RIO Crowleya zobaczył na radarze niezidentyfikowany samolot. - Kontakt radarowy, odległość dwa-pięć-zero, na wprost przed nami.

- Jest wasz - powiedział przez radio operator radaru E-2C, potwierdzając zgłoszenie RIO. Teraz Tomcaty były odpowiedzialne za przechwycenie.

Była to zabawa w kotka i myszkę, powtarzająca się już przez kilka nocy z rzędu. Najróżniejsze maszyny irańskie, od nowoczesnych MiG-ów-29 Fukrum, MiG-ów-25 Foxbat i myśliwców MiG-31 Foxhound po wielkie, ociążałe maszyny rozpoznawcze P-3 Orion i EC-130. Mniejsze irańskie samoloty bojowe, którym zaczynało już brakować paliwa na powrót, bo „Lincoln” był daleko od brzegu, podlatywały najbliżej, jak tylko śmiały do grupy bojowej, żeby obserwować, jak zareagują Amerykanie. Dwa samoloty wczesnego ostrzegania - jeden E-2 nad lotniskowcem i jeden między lotniskowcem a wybrzeżem Iranu - zapewniały amerykańskiej grupie bojowej obserwację obszaru o promieniu co najmniej 200 mil od „Lincolna”. Amerykanie prowadzili też obserwację radarową wąskiego korytarza powietrznego, prowadzącego w linii prostej do irańskiej bazy w Czah Bahar, odległej o 400 mil.

W większości wypadków irańscy „harcownicy” nadlatywali, prawdopodobnie rejestrując wszelkie sygnały elektroniczne wysyłane przez „Lincolna”, jego eskortę i samoloty patrolowe, a potem, kiedy zbliżały się do nich Tomcaty, zawracali czym prędzej w kierunku Iranu. Irańczycy wiedzieli wszystko o Tomcatach i pociskach raketowych AIM-54 Phoenix, ponieważ sami wciąż mieli je w uzbrojeniu. W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy u władzy był szach, Stany Zjednoczone przekazały Iranowi 100 tych nowoczesnych myśliwców; obecnie brakowało dokładnych danych, ale przypuszczano, że Irańczycy mają jeszcze około dziesięciu sprawnych Tomcatów i około 100 Phoenixów w dobrym stanie. Irańczycy zdawali więc sobie sprawę z potęgi Phoenixów i na pierwszy sygnał radaru AWG-9 Tomcatów zwykle czym prędzej uciekali.

Ale nie tym razem...

- Rekin namierzył tę maszynę z odległości prawie trzystu mil; dalej jego radar nie sięga - powiedział Crowley, głośno myśląc. - To musi być coś wielkiego. Wiemy już coś o nim, „Świt”?

- Odległość dwa-dwa-zero i szybko maleje - powiedział RIO Crowleya, porucznik Adam „Świt”

Lavoyed. - Wysokość dwanaście tysięcy, prędkość... o cholera! Prędkość 1.300 kilometrów na godzinę.

- Czyli to nie jest Orion - powiedział Crowley. Irańczycy dysponowali amerykańskimi samolotami P-3 Orion - jeszcze jedną pozostałością po reżimie szacha - mogącymi przenosić pociski raketowe Harpoon i Exocet do atakowania okrętów nawodnych. Samoloty te były jednak wielkie i ociążałe, napędzane silnikami turbośmigłowymi, umożliwiającymi lot z prędkością około 600 kilometrów na godzinę.

Maszyna, którą przechwytywali teraz, leciała prawie dwa razy szybciej.

- Nasza odległość od lotniskowca? - spytał Crowley.

- Trzysta - odpowiedział Lavoyed.

- Czego tu szukasz, dupku? - mruknął Crowley przez interkom do niezidentyfikowanego samolotu.

- Mam drugiego na radarze - zawołał Lavoyed. - O cholera, Wrona, ten drugi ma już trzysta tysięcy metrów, prędkość dwa tysiące dwieście... trzeci na radarze, tuż za drugim, mija piętnaście tysięcy, prędkość dwa tysiące trzysta. Bogey\* numer jeden skręca na północny zachód i przyśpiesza!

- Kitchen - krzyknął Crowley. Włączył dopalacze i zadarł nos swojego Tomcata, ruszając w pościg. - Kitchen, Kitchen - wołał przez radio. - Gonię dwie, prędkość dwa machy...

- Uaktywnij systemy uzbrojenia - nadeszła odpowiedź. Crowley ostrzegwał o starcie wielkiej rakiety do zwalczania okrętów nawodnych. Przez wiele lat standardowym pociskiem tego rodzaju, odpalonym z radzieckich bombowców, była AS-4 Kitchen - ważący 6,35 tony pocisk manewrujący na paliwo ciekłe, mający zasięg ponad 300 kilometrów i prędkość ponad trzykrotnie większą od prędkości dźwięku. Bombowiec Tu-22M Backfire mógł przenosić aż trzy takie rakiety. AS-4 była uzbrojona w tysiackilogramową głowicę konwencjonalną; do zatopienia małego okrętu wystarczała jedna rakietka... W okresie zimnej wojny radzieckie Kitchen wyposażano w głowice nuklearne po 350 kiloton; jedna taka głowica mogła zniszczyć całą grupę bojową lotniskowca.

- „Połysk”, bierz drugą, ja wezmę pierwszą! - krzyknął Crowley przez radio.

Matte potwierdził pełnym napięcia głosem. Serce podchodziło mu w tej chwili do gardła, podobnie jak Crowleyowi. Obaj wyraźnie to słyszeli.

W okamgnieniu Crowley znalazł się w zasięgu i odpalił pierwszego Phoenixa, nawiasem mówiąc, po raz pierwszy w całej swojej karierze. Zamknął oczy podczas startu pocisku i ruszył nieco w prawo i ostro do góry. Huk, towarzyszący odpaleniu rakiety, był tak wielki, że zatrząsnęły się skrzydła Tomcata. Crowley musiał wprowadzić swą maszynę w ciasny prawy skręt, żeby jego radar AWG-9 utrzymywał namiar na Kitchen i naprowadzał Phoenixa, do czasu uaktywnienia się własnego radaru rakiety. Kiedy był pewien namiaru, odpalił drugiego Phoenixa, mając Kitchen prosto przed sobą. Zastanawiał się nad odpaleniem trzeciego i czwartego pocisku, ale było już za późno; AS-4, lecące z prędkością znacznie przekraczającą dwa machy - szybciej od Phoenixów, - znalazły się poza zasięgiem.

Crowley patrzył zafascynowany na ten niewiarygodny pościg. Zobaczył jaskrawy błysk, potem jeszcze jeden, bardzo daleko.

\* W żargonie lotników niezidentyfikowany samolot (dosł. goblin) [przyp. red.].

- Pudło - zameldował RIO. - Bandyta numer dwa leci prosto w kierunku lotniskowca, dwa przecinek cztery macha, dwadzieścia tysięcy i wciąż się wznosi. - Crowley zauważył, że Lavoyed wciąż ma pierwszą Kitchen na radarze AWG-9. Dla Phoenixa było to już jednak o wiele za daleko. Teraz Kitchen musiały zatrzymać inne myśliwce albo obrona przeciwlotnicza „Lincolna”.

Matte miał więcej szczęścia. - Jedna Kitchen rozwalona! - krzyknął uradowany. - Mam ją!

- Ja chybiłem - powiedział Crowley przez radio. - No, „Lincoln”, wykończ tego sukinsyna!

W oddali Crowley spostrzegł kilka błysków, a potem niezbyt jasną smugę światła, mierzącą prosto w niebo. Eskorta „Lincolna” odpalała rakiety. Ułamek sekundy później, bardzo wysoko na ciemnym niebie, ujrzeli kulę jaskrawego światła.

- Jedna Kitchen rozwalona - poinformował oficer dowodzenia na pokładzie E-2C Hawkeye. - Dostał ją „Lakę Erie”. - USS „Lakę Erie” był jednym z krążowników raketowych standardu AEGIS z eskorty lotniskowca.

- Mrówkojad Jeden-Dwa-Jeden, bandyta zawraca, lećcie z powrotem do cysterny, kierunek jeden-jeden-zero, utrzymujcie dziesięć tysięcy. Mrówkojad Jeden-Dwa-Dwa, mam cię na radarze na dwunastu tysiącach. Jeden-Dwa-Jeden, twój skrzydłowy jest po twojej godzinie drugiej, odległość trzydzieści mil, nad tobą.

- Jeden-Dwa-Jeden, roger - potwierdził Crowley. Czekaając, aż Lavoyed namierzy drugiego Tomcata, wyciągnął przed siebie prawą rękę. Drżała. - O Jezu, Połysk - powiedział przez interkom. - Irańczycy wystrzelili dwie rakiety na „Lincolna”. Niewiele brakowało!

- Odpalili je z Backfire’a - dodał Lavoyed. - Wywiad od lat podejrzewa, że Irańczycy kupili Backfire od Rosjan.

Ustawienie się za nową latającą cysterną KA-6D i połączenie zabrało Tomcatom dwadzieścia minut. W eterze zrobiło się gwarno. Z „Lincolna” wystartowały następne trzy dwójki F-14; w sumie było już w powietrzu dwanaście Tomcatów. Przygotowywano się także do startu trzeciego samolotu wczesnego ostrzegania E-2C Hawkeye, mającego obserwować obszar dalej na północ od grupy bojowej. Grupa przechodziła z bojowych patroli powietrznych, obejmujących zwykle loty na odległość 100-200 mil od lotniskowca, na patrole zaporowe, co oznaczało podwojenie tego dystansu. Wkrótce przechwytywane miało być prawie wszystko, co startowało z Iranu, a każdy samolot, dostatecznie duży, by przenieść pociski AS-4 zostałyby z pewnością zniszczone, zanim zbliżyłby się na odległość umożliwiającą odpalenie. Dowódca grupy bojowej z pewnością reorganizował też eskortę, wysyłając okręty trochę dalej, żeby wcześniej można było uaktywnić ich systemy obrony przeciwlotniczej; bezpośrednio w pobliżu „Lincolna” należało pozostawić jeden-dwa krążowniki lub niszczyciele raketowe jako ostatnią linię obrony lotniskowca i jego pięciotysięcznej załogi.

Crowley ustawił właśnie swojego Tomcata za KA-6D i przygotowywał się do złapania końcówki węża paliwowego, kiedy nagle usłyszeli: - Do wszystkich, do wszystkich, niezidentyfikowane samoloty, niemiary zero-dwa-zero, cztery-cztery-zero od lotniskowca, siedem tysięcy, prędkość dziewięćset, wszystkie Mrówkojady, podać zapas paliwa i czekać w pogotowiu.

- Jeden-Dwa-Jeden przy wężu paliwowym! - krzyknął Crowley i pośpiesznie próbował wprowadzić sondę do końcówki węża, żeby nabrać choć trochę paliwa. Przez dłuższy czas mu się nie udawało, ale wreszcie, kiedy cysterna trochę dłużej niż zwykle leciała nie zmieniając kierunku ani wysokości, zatankował prawie 2.300 kilogramów, rozłączył się i odszedł na bok. - Jeden-Dwa-Jeden zatankowany.

- Jeden-Dwa-Jeden, przechwytyjesz pierwszego bogey, kierunek zero-pięć-zero, dwanaście tysięcy - rozkazał oficer dowodzenia na pokładzie E-2C Hawkeye. Crowley uświadomił sobie, że był to nowy Hawkeye, który wystartował właśnie, żeby obserwować obszar na północ od grypy bojowej z „Lincolnem”. Najprawdopodobniej kolejny bombowiec Tu-22M Backfire zbliżył się do

lotniskowca na odległość mniejszą niż 250 mil! - Leć sam, Jeden-Dwa-Dwa dołączyć po zatankowaniu.

Crowley potwierdził, biorąc kurs na przechwycenie i zwiększając ciąg, po czym poinformował Rekina, że za dwadzieścia minut paliwa pozostanie mu tylko na powrót na lotniskowiec.

- Rozumiem, Jeden-Dwa-Jeden. Mrówkojad Jeden-Dwa-Dwa, będziesz naszym jedynym samolotem patrolowym na północy, kiedy twój prowadzący zawróci. Podaj status.

- Tu Jeden-Dwa-Dwa, zrozumiałem. Też kończy mi się paliwo, jestem właśnie przy węźle.

RIO Crowleya namierzył drugiego Tupolewa dopiero, kiedy ten zbliżył się do lotniskowca na odległość mniejszą niż 250 mil, a od Tomcata dzieliło go zaledwie 100 mil. - Uwaga na Kitchen - ostrzegł Crowley „Lincolna”.

Ale Tu-22M wciąż się zbliżał, lecąc znacznie szybciej niż dźwięk. - Rekin, tu Jeden-Dwa-Jeden, mam się wziąć za tego Backfire, czy poczekać na Kitchen?

- Chwileczkę, Jeden-Dwa-Jeden...

- Pośpiesz się z odpowiedzią, Rekin - powiedział Crowley. Miał nieprzyjacielski samolot w zasięgu swojej broni, ale Backfire nie odpalił dotąd rakiety. - No i co, Rekin?

Crowley był już prawie gotów strzelać, kiedy oficer dowodzenia na pokładzie E-2C Hawkeye wreszcie się zgłosił. - Bogey numer jeden zawraca... leci teraz kursem dwa-siedem-pięć, czternaście tysięcy, wygląda na to, że ucieka... Jeden-Dwa-Jeden, lotniskowiec mówi, żebyś nie strzelał. Pozostań na nasłuchu.

- Zrozumiałem, Rekin...

- Start rakiety! - krzyknął nagle Matte. - Backfire odpala rakiety!

Wszystko stało się tak szybko. Spodziewali się następnego ataku na lotniskowiec, a tymczasem, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Backfire odpalił cztery rakiety, ale nie w kierunku „Lincolna”. Celem ataku był trzeci E-2C Hawkeye, który dopiero co wystartował z lotniskowca.

Były to nowe rosyjskie pociski rakietowe powietrze-powietrze KS-172 Pyton, zaprojektowane specjalnie do zwalczania samolotów wczesnego ostrzegania. Pociski te namierzały radary takich samolotów i emisje fal elektromagnetycznych. Potrafiły wychwycić nawet promieniowanie ekranów komputerowych. Pytony, odpalane z odległości ponad 300 kilometrów i lecące z prędkością dwóch machów, były straszliwą bronią. Wprawdzie E-2C wyłączył radary i zaczął uciekać, ale rakiety „zapamiętały” ostatnią pozycję samolotu i włączyły własne radary pokładowe, kiedy zbliżyły się na wystarczającą odległość. Nie mogły chybić. Wszystkie cztery Pytony trafiły w sześciometrową kopułę radaru E-2C, odrywając ją od kadłuba. Hawkeye wpadł w korkociąg i runął do morza.

Crowley nie był w stanie nic zrobić, kiedy zerwała się łączność z trzecim Rekinem. Wprawdzie natychmiast ruszył w pościg, włączywszy dopalacze, ale nie udało mu się wejść w zasięg Phoenixów. Po kilku minutach musiał zawrócić do cysterny, bo kończyło mu się paliwo.

♦ **Gabinet Owalny, Biały Dom, 25 kwietnia 1999, godzina 13.21**



- Mamy pewność, że to był irański bombowiec Backfire? - zapytał prezydent Stanów Zjednoczonych. - Został zidentyfikowany?

- Nie zdołaliśmy go zidentyfikować wzrokowo, sir - odpowiedział Philip Freeman. Przed chwilą odwołał prezydenta, który w Ogrodzie Różanym podpisywał jakąś ustawę. Teraz znajdowali się w Gabinetce Owalnym; prezydent zapoznawał się z pisemnym raportem na temat incydentu nad Zatoką Omańską. - Rozmiary tego samolotu oszacowali nasi operatorzy radarów. Musiała to być wielka maszyna, biorąc pod uwagę dużą odległość, z jakiej ją wykryto. Do tego dochodzą informacje o prędkości, wysokości i charakterystyka lotu rakiet, które odpalił; jesteśmy na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewni, że był to irański bombowiec Backfire.

- Która z naszych maszyn mogłaby wykonać takie zadanie?

- Bardzo podobne parametry ma bombowiec B-1B Lancer - odpowiedział Freeman. - Myśliwce F-111, F-15, F-16 i F-22 mogłyby naśladować Backfire'a, jeśli chodzi o prędkość i charakterystykę lotu, ale mają o wiele mniejszy zasięg i udźwig. Poza tym, nie mamy niczego podobnego do rakiety AS-4 Kitchen, żaden z naszych pocisków manewrujących nie osiąga prędkości dźwięku.

- A co z innymi krajami?

- Chińczycy mają swoją wersję rosyjskiego B-6D Badger, który prawdopodobnie osiąga taką prędkość jak Backfire - powiedział Freeman. - Mają też naddźwiękowe pociski manewrujące do atakowania okrętów nawodnych, ale ich zasięg wynosi zaledwie 40 mil, podczas gdy zasięg AS-4 przekracza 200 mil. Irak i Libia też mają bombowce Backfire, ale według naszych informacji maszyny te nie są zdolne do lotu, a poza tym, o ile wiemy, żaden z tych krajów nie ma naddźwiękowych pocisków manewrujących. Pod względem prędkości pasowałby jeszcze pakistański myśliwiec F-16, ale nie jest zdolny do przenoszenia pocisków raketowych w rodzaju AS-4.

Oczywiście bombowce Backfire latają w rosyjskich siłach powietrznych. Rosjanie mają też naddźwiękowy bombowiec najnowszej generacji, Tu-145 Blackjack. Ukraina posiada kilkanaście bombowców Backfire i Blackjack, otrzymanych swego czasu od Rosjan, ale nie wiadomo, czy maszyny te utrzymują zdolność operacyjną. Rosja dysponuje jeszcze raketami AS-4, kilkoma AS-6, a także naddźwiękowymi pociskami manewrującymi AS-9, przeznaczonymi do zwalczania okrętów nawodnych.

- Mówisz, że mogli to zrobić Rosjanie?

- Sir, to bardzo mało prawdopodobne - powiedział Freeman, kręcąc głową. - W stanie gotowości do lotu Rosjanie utrzymują co najwyżej dwadzieścia pięć procent swych bombowców naddźwiękowych. Wyprzedawali swoje bombowce Backfire każdemu, kto się nimi interesował, nie protestowali też zbyt głośno, kiedy Ukraina przejęła bombowce Blackjack. Jeśli wziąć pod uwagę to, co się stało w Iranie w ciągu ostatnich kilku dni - wprowadzenie stanu wojennego, zawieszenie prezydenta Natka-Nuri przez ajatollaha Chameneiego - to uważam, że najbardziej prawdopodobnym winowajcą jest Iran. - Zawahał się przez chwilę, po czym spytał: - Chce pan, żebyśmy zdobyli pewność, zanim poczynimy jakieś kroki?

- Do diabła, Philip, nie! Mam pewność - powiedział zdecydowanie prezydent. - Nie musi mi bomba spaść na głowę, żebym się domyślił, że to Buzhazi próbuje nas wypędzić z Morza Arabskiego.

Ale mówiłeś, że nadal szukacie bazy tych Backfire'ów?

- Teraz będzie ją zapewne znacznie łatwiej znaleźć, sir - powiedział Freeman. - Po ataku Marynarka śledziła je przez dłuższy czas, kiedy były już nad terytorium Iranu. Jon Masters wprowadził dwa satelity rozpoznania taktycznego na orbitę, której parametry określiło nasze Dowództwo Kosmiczne. Masters prowadzi stałą obserwację każdego lotniska w Iranie, na którym mogłyby lądować bombowce Backfire.

- Doskonale - powiedział prezydent. - Kiedy już się to skończy, chciałbym poznać tego Mastersa. Ale do rzeczy; musimy zadać uderzenie odwetowe, ale tak, żeby nie rozpętać jakiejś wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie. To bardzo ważne - kontynuował, wpatrując się w swego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Nasi sojusznicy i tak są już dość nerwowi, podobnie jak firmy naftowe; ceny ropy gwałtownie rosną. Wiem, że Agencja Wspomagania Wywiadu użyła „krzykaczy”, ale teraz to nie wystarczy; musimy przystąpić do pozbawiania Iranu możliwości prowadzenia wojny. Czym dysponujemy?

- LOT PRZYSZŁOŚCI otrzymuje właśnie całą gamę broni typu Disruptor - powiedział Freeman. - Disruptory Brada Elliotta potrafią o wiele więcej niż tylko zakłócać radary i czujniki; mogą wyrządzać wielkie zniszczenia.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że powiem coś, co zabrzmiałoby jak kwestia z kiepskiego filmu, ale cóż: Philip, chcę, żeby to wyglądało na wypadek - powiedział prezydent. - Kiedy Masters znajdzie te bombowce Backfire, trzeba je uziemić na dobre, ale ma to wyglądać na wypadek. Jeśli ten irański lotniskowiec zbliży się do „Lincolna”, albo jakiegokolwiek innego okrętu amerykańskiego, pošlemy go na dno, ma to jednak wyglądać na wypadek. Gdyby Iran ważył się odpalić Scudy na Arabię Saudyjską lub Turcję, chcę, żeby rozwalony został któryś z wielkich budynków wojskowych w Teheranie, ale również ma to wyglądać na wypadek. Możecie to zrobić?

- Całkowicie pana rozumiem, sir - powiedział Freeman. - Tak, myślę, że możemy.

- Dobrze. Masz zielone światło, powiadom mnie przed rozpoczęciem jakiegokolwiek operacji, w dzień, czy w nocy - powiedział prezydent, poprawił krawat i ruszył na przyjęcie, odbywające się w Ogrodzie Różanym. - Przygotuj wszystko i jak najszybciej złóż mi sprawozdanie. Będę osobiście autoryzował każdą misję, zanim B-2A wejdzie w przestrzeń powietrzną nieprzyjaciela. Generale, trzeba to przeprowadzić po cichu, perfekcyjnie i tak, żebyśmy w razie czego mogli wszystkiemu zaprzeczyć. Ale przede wszystkim Iran musi zapłacić za zestrzelenie naszego samolotu. Sukinsyny zaatakowały nieuzbrojony samolot, to najpodlejsza rzecz, jaką może zrobić wojskowy. Chcę, żeby Buzhazi poczuł się, jakby dostał kopa w krocze. Dopilnuj tego, Philip.

Generał Philip Freeman był mocno podekscytowany i trochę zaskoczony własnym entuzjazmem, śpiesząc wydać rozkazy Agencji Wspomagania Wywiadu. Koniec z samym zakłócaniem, koniec z „krzykaczami”; prezydent życzył sobie demontażu irańskiej maszyny wojennej, kawałek po kawałku i dokładnie tak to się odbędzie.

#### ◆ Baza Sił Powietrznych Andersen, Guam.

26 kwietnia 1999, godzina 16.25 czasu miejscowego

Jon Masters wszedł bez pukania. Nigdy nie pukał. Zawsze wpadał do pokoju, w dzień czy w nocy, i zaczynał mówić, jakby kontynuował rozmowę, rozpoczętą przed kilkoma minutami. Tym razem trafił na odprawę, podczas której pułkownik Dominguez wyjaśniał zasady obsługi naziemnej bombowca B-2A Spirit.

- Okay, mamy ich, generale - powiedział Masters, z trudem łapiąc oddech. - Po prostu

odpaliliśmy dwie rakiety z programu NIRTSAT; każda wyniosła nad Iran po cztery satelity wywiadowcze Pacer Sky, przekazujące fotografie cyfrowe. Obserwowaliśmy wszystkie lotniska w Iranie, cywilne i wojskowe, dłuższe niż tysiąc czterysta metrów i szersze niż czterdzieści pięć metrów, a więc mogące przyjmować samoloty w rodzaju bombowca Tu-22M Backfire. Każde lotnisko fotografowaliśmy przez sześćdziesiąt do dziewięćdziesięciu minut. Irańczycy nie mieli oczywiście pojęcia, że wystrzeliliśmy te satelity; co tam Irańczycy, nikt nie miał pojęcia, z wyjątkiem pana i mnie. Mamy ich.

Griffith i Dominguez zerwali się na równe nogi i podążyli za Mastersem korytarzem na trzecim piętrze budynku kwatery głównej Trzynastej Armii Sił Powietrznych, przekazanego teraz personelowi Agencji Wywiadu Lotniczego i LOTU PRZYSZŁOŚCI na potrzeby misji B-2A przeciw Iranowi. Kiedy wszyscy zajęli już miejsca, a drzwi zamknięto i zaryglowano, Masters nacisnął jeden z guzików na konsoli i na wielkim monitorze komputerowym ukazał się obraz bardzo dużego lotniska. - Mogą sobie uciekać, ale ja i tak ich znajdę - powiedział Masters z dumą. - Firma Sky Masters jak zwykle niezrównana.

NIRTSAT-y Jona Mastersa były niewielkimi urządzeniami, mniejszymi od pralki automatycznej, ale potrafiły sfotografować psa z wysokości trzystu pięćdziesięciu kilometrów na tyle wyraźnie, że można było rozróżnić rasę. Cztery takie satelity wywiadowcze Pacer Sky, można było wynieść na orbitę za pomocą małej, dwustopniowej rakiety, którą Masters nazwał ALARM\*. Dwa takie ALARM-y można było wziąć na pokład samolotu DC-10, specjalnie przystosowanego przez Mastersa. DC-10 zwalniał ALARM-y na wysokości 12 kilometrów, następnie dwustopniowe silniki raketowe wynosiły satelity w przestrzeń kosmiczną, na wysokość siedmiuset kilometrów, umieszczając je na orbicie. W ciągu zaledwie kilku godzin Masters był w stanie dostarczyć prawie każdemu dowódcy polowemu komplet informacji wywiadowczych i udostępnić łączność satelitarną.

\* ALARM - Air-Launched Alert Response Missile - startująca z powietrza rakietka szybkiego reagowania [przyp. tłum.].

Dziś jednak Masters nie realizował kontraktu rządowego ani żadnego zlecenia komercyjnego, wysyłając NIRTSAT-y nad Iran; działał z własnej inicjatywy.

- Lotnisko Beghin, w pobliżu Kermanu, Iran, około trzystu pięćdziesięciu kilometrów na północ od Bandar Abbas - kontynuował Masters. - Dwie godziny po ataku na grupę „Lincolna” sfotografowaliśmy to. - Skierował laserowy wskaźnik na ekran, po czym nacisnął inny guzik, powiększając obraz wokół świetlnego punktu. Na ekranie widać było wyraźnie samolot podobny do bombowca B-1B Lancer, z długim, spiczastym nosem, wąskim kadłubem i skrzydłami o bardzo dużym skosie.

- Panowie, oto wasza baza bombowców Tu-22M, a przynajmniej jedna z nich. - Masters wywołał na ekran obraz całego lotniska. - Te hangary mogą pomieścić sześć bombowców Backfire ze złożonymi skrzydłami, po dwie maszyny w każdym hangarze, więc wciąż jeszcze brakuje nam miejsca na co najmniej sześć maszyn. Będziemy obserwować lotnisko Beghin przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a poza tym rozglądamy się za tymi sześcioma brakującymi bombowcami.

- Dziękuję, Jon - powiedział generał Griffith, dowódca Wywiadu Sił Powietrznych USA. - Dobra robota.

- Cholernie mi miło, sir - powiedział Masters. - Dane przekazaliśmy McLanahanowi i Mastersowi via MIISTAR, prosto do ich komputera. Będą nad celem za dziesięć godzin.

◆ **Riverside, Kalifornia, o tej samej porze**

Porucznik Sheila McNichol wracała z toalety po raz szósty tego popołudnia; pomyślała, że szósty miesiąc ciąży spędza prawie bez przerwy w toalecie. Podeszła do swojego biurka w gabinecie dowódcy 772. Skrzydła Tankowców. Przeniesiono ją tam na okres ciąży. Normalnie pełniła obowiązki drugiego pilota KC-10 Rezerwy Sił Powietrznych. Teraz była oficerem operacyjnym skrzydła. Nagle spostrzegła przestraszony, prawie panikę na twarzy cywilnej sekretarki dowódcy skrzydła. Natychmiast zaschło jej w gardle, dziecko zaczęło kopać i poczuła, że uginają się pod nią kolana.

Jeszcze zanim sekretarka wstała i ruszyła w jej stronę, zanim zobaczyła ściągniętą bólem twarz generała, wychodzącego z gabinetu, zanim spostrzegła kapelana bazy i dowódcę dywizjonu, wiedziała, że Scott nie żyje.

Mąż Sheili, major Scott McNichol, był jednym z najlepszych, najbardziej doświadczonych pilotów KC-10 Mender w Siłach Powietrznych USA. Miał na koncie ponad 400 misji, z tego część nad terytorium wroga podczas Pustynnej Tarczy i Pustynnej Burzy. Był oddanym, kompetentnym dowódcą i instruktorem. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Niepisana zasada „nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika” Scotta nigdy nie obchodziła; zawsze zgłaszał się na ochotnika. Najtrudniejsze zadania, najkrótsze pasy startowe - wprost uwielbiał latać swym ważącym 270 ton KC-10 Extender w najbardziej niebezpieczne rejony.

Za udział w Pustynnej Burzy otrzymał Medal Lotniczy z liśćmi dębowymi; było to szczególne wyróżnienie, biorąc pod uwagę, że w zasadzie jego samolot w ogóle nie powinien był się znaleźć nad terytorium nieprzyjaciela. Na całym świecie istniało tylko czterdzieści latających cystern KC-10, ale usługi, jakie oddawały, były wprost nieocenione. Zwielokrotniały potęgę sił sojuszniczych, dostarczając paliwo Siłom Powietrznym, lotnictwu Marynarki, piechocie morskiej i wielu obcym samolotom. Były zbyt cenne, żeby ryzykować wysyłanie ich nad terytorium nieprzyjaciela. Ale Scotty tam latał.

Niech go piekło pochłonie, przeklęta Sheila w duchu, zrobił to z rozmysłem! Kiedy zaszła w ciążę, zdał sobie sprawę, że będzie musiał zrezygnować z tego wszystkiego, z tych wielotygodniowych wypraw w egzotyczne miejsca, z tajnych operacji; koniec z telefonami w środku nocy, z pakowaniem ciepłej odzieży, kiedy na dworze upał przekraczał trzydzieści stopni Celsjusza. Wiedziała, że nie będzie się bawił na Hawajach, podczas gdy ona siedziała w domu z bólem w plecach, opuchniętymi kostkami i hemoroidami. Pragnął jak najwięcej tego podniecenia, tych bohaterских czynów, zanim poprosi go, żeby się ustatkował i był normalnym tatusiem, normalnym facetem, po raz pierwszy w życiu.

Dowódca skrzydła zaprosił ją gestem do swojego gabinetu i pomógł usiąść. Sheila знаła kapelana i dowódcę dywizjonu, więc nie czekała dłużej. - Scotty... nie żyje?

- Jego samolot miał katastrofę nad Zatoką Omańską - powiedział dowódca skrzydła. - Nie wiemy dokładnie, jak się to stało, ale wszyscy na pokładzie zginęli. Przykro mi, pani porucznik.

Sheila próbowała powstrzymać płacz, ale łzy popłynęły same, a potem przyszedł szloch. Nie chciała płakać w obecności dowódcy skrzydła, dowódcy dywizjonu i kapelana, ale nic nie mogła poradzić, nie mogła powstrzymać płaczu. Przestała jednak, kiedy usłyszała, że dowódca skrzydła prosi sekretarkę o wezwanie ambulansu. Nie, tylko nie to.

- Katastrofa, sir? Jaka katastrofa? Zderzenie ze stadem ptaków? Awaria kompresora? Układu paliwowego? - Z wyjątkiem kapelana, wszyscy w pokoju mieli doświadczenie za sterami KC-10, a i kapelan spędził na pokładzie latającej cysterny kilkaset godzin. Dlaczego dowódca mówił tak

ogólnikowo? Prawdopodobnie dlatego, że samolot wpadł do morza. Trudno badać szczątki porzucane po dnie morskim. Dowódca wyraźnie nastawił się na pocieszenie jej; może wcale nie zamierzał udzielać tak ogólnikowych wyjaśnień; może po prostu nie przywykł do mówienia wdowom o awariach kompresorów, przesunięciach środka ciężkości i tak dalej.

- Jeszcze nie wiemy, Sheila - powiedział generał. - Śledztwo trwa.

- Zatoka Omańska? Co Scotty tam robił? - spytała Sheila. - Słyszałam, że wprowadzono tymczasowy zakaz lotów w promieniu poniżej pięciuset mil od Iranu. Co on robił nad Zatoką Omańską?

Dowódca Skrzydła spojrzał na kapelana, który puścił rękę Sheili i odszedł na bok. - Sheila, proszę, zostawmy na razie sprawę miejsca, dobrze? Chciałbym tylko powiedzieć, że jest nam wszystkim bardzo przykro, i że chcielibyśmy ci pomóc przejść jakoś przez tę straszliwą tragedię.

- To musiało mieć coś wspólnego z Iranem, prawda? - spytała Sheila. Rozpacz zmieniła się w zimny, nienawistny gniew. - Wszystko, co rząd opowiada, jak pięknie sprawy układają się na Bliskim Wschodzie, to nieprawda, to...

- Poruczniku...

- Irańczycy go zestrzelili, tak? - Był to raczej zarzut niż pytanie. - Irańczycy zestrzelili mojego Scotty'ego, który leciał nieuzbrojonym samolotem-cysterną.

- Poruczniku, proszę. Zdaję sobie sprawę, że jest pani wstrząśnięta i bardzo mi przykro, ale swoje opinie niech pani zachowa dla siebie, proszę!

- Mam nadzieję, że byli tam nasi, że zrzuciliśmy bomby na te cholerne łby w turbanach! - krzyczała Sheila. Do gabinetu wbiegli sanitariusze z noszami i próbowali ją uspokajać. Sheila czuła, jak serce zmienia jej się w bryłę lodu. Dziecko w jej łonie było w tej chwili zupełnie nieruchome. Ani myślała powściągać gniew. Ten wybuch dobrze jej robił, był potrzebny. - Mam nadzieję, że Scotty pomógł nam dostać tych przeklętych irańskich terrorystów! Mam nadzieję, że wszyscy będą się smażyć w piekle!

## 5

### ◆ Port lotniczy Beghin, prowincja Kerman, Iran.

**17 kwietnia 1999, godzina 02.06 czasu miejscowego**

Zgodnie z przepisami, wszystkie samoloty lądujące w Iranie musiały być zaparkowane przy budynku portu lotniczego nie później niż o północy. Ostatnia maszyna przylatująca do Beghinu wylądowała o dziesiątej wieczorem i wkrótce potem port lotniczy praktycznie zamknięto, pozostawiając tylko ekipy serwisowe. O drugiej nad ranem lotnisko wydawało się zupełnie opustoszałe...

...z wyjątkiem krańca na południe od długiego na 3.350 metrów i szerokiego na 45 metrów, betonowego pasa startowego, biegnącego z północnego zachodu na południowy wschód. Dwa lata wcześniej ten pas zamknięto dla ruchu cywilnego. Obok pasa znajdowały się trzy dość obskurnie wyglądające hangary i kilka mniejszych budynków oraz wielka, zupełnie pusta rampa. Chwasty, wyrastające ze szczelin w spękany betonie sugerowały, że nie korzystano z niej od dłuższego czasu.

Była to tajna irańska baza dywizjonu najgroźniejszych samolotów, jakimi dysponowały siły zbrojne Iranu: sześciu bombowców Tupolew-22M, określanych w kodzie NATO jako Backfire. Naddźwiękowy Backfire produkcji rosyjskiej mógł osiągnąć dowolny cel na Bliskim Wschodzie w ciągu godziny, a jeśli tankował w powietrzu z latającej cysterny C-707, w ciągu dwóch godzin był w stanie dolecieć nad Włochy lub nad Niemcy. Zabierał śmiertcionośny ładunek o masie dwudziestu

czterech ton: bomby konwencjonalne, pociski raketowe do zwalczania okrętów nawodnych, albo miny morskie lub lądowe. Pogłoski o bombowcach Tu-22M Backfire w siłach powietrznych Islamskiej Republiki Iranu krążyły od 1993 roku, ale nie traktowano ich poważnie, ponieważ nikt nigdy nie widział tych maszyn w Iranie.

- I to ma być tajna baza bombowców? To miejsce wygląda raczej jak zdezelowana bocznicą kolejowa - mruknął Jamieson. Wraz z McLanahanem krążył nad tą bazą od dwudziestu minut, omiatając ją co kilka minut radarem SAR i porównując kolejne obrazy. Zestawiali informacje, próbując uzyskać potwierdzenie, że rzeczywiście znajdowały się tam bombowce Backfire. Badali każde pęknięcie w betonie, każdy ślad opon na pasie startowym, każdy pojazd na terenie lotniska - i nic. Ani śladu jednego z najnowocześniejszych bombowców na świecie. - Mamy jeszcze dwadzieścia minut, a potem musimy wracać.

- Zobaczysz, coś znajdziemy - powiedział McLanahan. - NIRTSAT-y Jona Mastersa nigdy dotąd nas nie zawiodły... no, może raz...

- Wspaniale - jęknął teatralnie Jamieson. - I wiesz co, McLanahan, mam już dość zabierania na pokład tej tak zwanej broni, która nie zabija. Turbaniarze chcą walki, więc weźmy trochę prawdziwej broni. Przydałoby się choćby kilka rakiet JSOW z głowicami bojowymi; przecież nie żądam aż tak wiele...

- Za chwilę kolejne ujęcie SAR - zapowiedział McLanahan. - SAR gotów... już. SAR wyłączony, antena zabezpieczona.

- Niech mnie licho, są! - wykrzyknął Jamieson, studiując obraz radarowy na supermonitorze McLanahana. Jak na czarno-białej fotografii, wyraźnie widać było długi, wąski kadłub bombowca Tu-22M Backfire, który wytoczył się właśnie z jednego z hangarów na południowym krańcu lotniska. Za nim, nieco z boku, wylaniał się z tego samego hangaru drugi Backfire, a trzeci wystawił nos ze środkowego hangaru, najwidoczniej czekając na swoją kolej do kołowania. Posługując się kursorem, McLanahan przekręcił obraz radaru SAR tak, że zaglądali teraz do wnętrza hangarów, jakby stali na prawo od rampy. Wszystkie trzy hangary miały drzwi otwarte i w każdym znajdowały się dwa Tu-22M. Otwarte były także tylne drzwi hangarów, dzięki czemu bombowce mogły włączyć silniki, pozostając w bezpiecznym ukryciu. - Bingo! - zawołał Jamieson. - Jasna cholera, naprawdę tam są!

- I wydaje się, że znów wyruszają na łowy - powiedział McLanahan. - Chyba potrafimy temu zaradzić. - Parę chwil później sześć rakiet AGM-154 JSOW było już w drodze nad lotnisko Beghin. Zostały zaprogramowane tak, by przelecieć na wysokości zaledwie piętnastu metrów nad pasem startowym.

Elektroniczne kamery zamontowane na rakietach JSOW przekazywały obraz telewizyjny do bombowca B-2A Spirit, krążącego na wysokości prawie czterech kilometrów. McLanahan posłużył się kursorem, naprowadzając siatkę elektronicznego celownika na jeden z bombowców i rakietą JSOW, prowadzona przez autopilota, znalazła swój cel. Kiedy przelatywała nad Tu-22M, otworzyło się dwoje z jej czterech drzwi bombowych i dwie trzydziestokilogramowe kule gęstej, kleistej substancji spadły na stojący przed hangarem samolot. Rakietę poleciała dalej; McLanahan zaprogramował ją na następny cel: stację transformatorową lotniska. Dwie ostatnie kleiste kule trafiły w cel. Po wykonaniu zadania, rakietę odleciała pięćdziesiąt kilometrów na zachód i wpadła do zbiornika wodnego Bahlamabad. Pozostałe rakiety JSOW jedna po drugiej zrzuciły po dwie tajemnicze kule na bombowce Tu-22M, a zaraz potem następne dwie na inne cele w południowej

części lotniska: kopułę radaru kontroli obszaru, anteny urządzeń łącznościowych, drugą stację transformatorową, magazyn paliw i smarów.

- Strasznie to podniecające - mruknął Jamieson, kiedy McLanahan skończył programować dwie ostatnie rakiety JSOW. Obrął kierunek na południe, wzdłuż granicy Afganistanu i Pakistanu, a potem znów nad Zatokę Omańską.

Radar kontroli obszaru pierwszy odczuł skutki działania kleistej mazi. Dwie wielkie kule trafiły w kopułę ze wzmocnionego włókna szklanego i natychmiast się przez nią przeżarły, pokrywając następnie obrotową antenę i urządzenia kontrolne w środku. W ciągu kilku minut cienka metalowa antena, obracająca się dwanaście razy na minutę, zaczęła tracić kształt, po czym urwała się i spadła.

Kleiste kule, które spadły na Tu-22M, żrącym kwasem pokryły górną część kadłuba i nasadę lewego skrzydła; drugi bombowiec został trafiony w kadłub tuż za kabiną i w okolice prawego wlotu powietrza, a część tajemniczej substancji chlapnęła na głowicę i układ sterowania pocisku AS-4, podczepionego pod prawym skrzydłem. Kiedy pierwsze dwa bombowce wykołowały na pas startowy i zaczęły nabierać prędkości, kleista substancja rozlała się na płyty, zbiorniki paliwa i osłony silników, stateczniki i ster kierunku.

Kiedy kwas przeżarł się przez cienkie, aluminiowe poszycie, pierwszy bombowiec był już na wysokości prawie tysiąca metrów i przekraczał prędkość pięciuset kilometrów na godzinę. W momencie, kiedy pilot zaczął zwiększać skos skrzydeł z dwudziestu stopni, czyli z ustawienia startowego, do trzydziestu stopni stosowanych przy prędkości przelotowej, zawiódł śrubowy mechanizm zmiany skosu. Lewe skrzydło złożyło się maksymalnie, do sześćdziesięciu stopni. Bombowiec przechylił się gwałtownie w lewo, szybko tracąc wysokość.

Pilot ostro skręcił w prawo i przy pomocy drugiego pilota zdołał wyrównać maszynę na wysokości 150 metrów. Zwiększał właśnie prędkość, kiedy kwas przeżarł się w końcu przez grubsze, bardziej wytrzymałe tytanowe pokrycie krawędzi statecznika pionowego. Bombowiec zaczął kręcić niekontrolowaną bączkę w lewo, natychmiast stracił całą siłę nośną i runął na ziemię na południe od miasta Kerman.

Losy drugiego bombowca Backfire rozstrzygły się znacznie szybciej. W momencie, kiedy koła głównego podwozia odrywały się od pasa startowego, odpadła cała osłona kabiny, zdzierając po drodze dziesięciometrowy pas poszycia kadłuba. W tej samej chwili zaiskrzył układ elektroniczny prawego pocisku raketowego AS-4, buchnął ogień i tysiackilogramowa głowica Kitchen eksplodowała, zmieniając wazę 136 ton samolot w spektakularną kulę ognia, która rozświetliła całe lotnisko.

Załogi trzeciego i czwartego Tu-22M miały więcej szczęścia. Ich maszyny nie oderwały się jeszcze od pasa startowego, a uszkodzenia, spowodowane kwasem, były mniej rozległe i nie tak groźne. Kwas przeżarł zbiorniki paliwa i instalację hydrauliczną, wywołując pożar. Obie czteroosobowe załogi bezpiecznie opuściły samoloty i przypatrywały się bezsilnie, jak trawił je ogień. Jeden bombowiec Backfire kosztował 200 milionów dolarów...

Wkrótce blask płonących samolotów był jedynym źródłem światła na całym lotnisku; kleista substancja, zrzucona przez rakiety JSOW uporała się ze stacjami transformatorowymi... zaraz jednak w niebo strzelił jaskrawy, kilkusetmetrowy słup ognia, kiedy eksplodował magazyn paliw.

W ciągu kilku minut cały dywizjon ciężkich bombowców irańskich został zniszczony, a ich baza uszkodzona tak bardzo, że nie nadawała się do użytku.

Kiedy zbliżyli się do Zatoki Omańskiej, na wskaźniku zagrożeń bombowca B-2A pojawiły się

dziesiątki punktów, w większości oznaczających irańskie myśliwce MiG-29 i F-14. McLanahan był na tyle zaniepokojony, że powiększył wskaźnik zagrożeń, teraz zajmował on prawie całą powierzchnię supermonitora. Wskaźnik obrazował graficznie położenie każdego nieprzyjacielskiego samolotu i prawdopodobny zasięg jego radaru. Kolor zielony, żółty lub czerwony wskazywał, czy radar był nastawiony na przeszukiwanie, śledzenie celu, czy naprowadzanie rakiet. Kilkakrotnie omiotły ich wiązki radarów irańskich myśliwców, co zostało zobrazowane w samym centrum wskaźnika zagrożeń B-2A, ale kolor ani razu się nie zmienił, co oznaczało, że radary ich nie namierzyły. Oprócz licznych patroli myśliwskich, Irańczycy mieli też w powietrzu dwa samoloty wczesnego ostrzegania A-10 Mainstay, a także sieć naziemnych stacji radarowych i wyrzutni rakiet naprowadzanych radarami.

- Boże, w powietrzu aż gęsto od irańskich maszyn - powiedział McLanahan. - Myślę, że nieźle zaleźliśmy im za skórę zeszłej nocy w Czah Bahar.

- Zasłużyli sobie na to - powiedział Jamieson - i cieszę się, że to właśnie my mogliśmy dać im kopa w dupę. Kiedy znajdziemy się nad morzem?

- Za piętnaście minut - odpowiedział McLanahan z troską w głosie. Zamilkł; Jamieson zauważył, że McLanahana coś gryzie. - Problemy, DM?

- Rozlokowanie tych irańskich maszyn... zmieniło się, od kiedy nadlecieliśmy nad ląd - powiedział McLanahan, wskazując na supermonitor. Skonfigurował wskaźnik zagrożeń tak, że widać było na nim cały region od Bandar Abbas do wschodniego krańca Zatoki Omańskiej. Okręgi oznaczające zasięg radarów wokół Czah Bahar, radarów na lotniskowcu „Chomeini” i radarów obu A-10 Mainstay tworzyły „kosz” wzdłuż południowych i południowo-zachodnich obszarów Iranu; B-2A leciał prosto w ten kosz. - Dwa irańskie AWACS-y nad Zatoką Omańską, niemal jeden obok drugiego, to bardzo dziwne. Strasznie się tu tłoczą. Nie jest to skuteczne wykorzystanie środków obrony przeciwlotniczej.

- A kto powiedział, że turbaniarze są cwani? - spytał Jamieson. - Musimy tylko uważać na czerwony i żółty; nic nam nie grozi, dopóki na wskaźniku zagrożeń jest tylko kolor zielony, prawda?

McLanahanowi wciąż coś nie dawało spokoju. To wszystko wyglądało bardzo dziwnie. W przeszłości Irańczycy znacznie skuteczniej rozmieszczali swe środki obrony przeciwlotniczej. Jeszcze kilka godzin wcześniej, kiedy B-2A nadlatywał nad cel, irańska obrona przeciwlotnicza była skonfigurowana bardzo skutecznie. Teraz w powietrzu zrobiło się tłoczno, przy czym myśliwce irańskie sprawiały wrażenie, jakby latały bez celu w tę i z powrotem. Czy takie zamieszanie spowodował atak na lotnisko Beghin? Czy Irańczycy byli zdezorganizowani i zdesperowani jednocześnie? Próbowali złapać cień, marnując przy okazji swój potencjał obrony przeciwlotniczej? Może...

- Popatrz tutaj - powiedział do Jamiesona. - Te symbole zagrożenia nie pojawiają się jeden po drugim, ale po kilka na raz, jak na komendę.

- I co z tego?

- Nigdy dotąd nie zetknąłem się z czymś takim - wyjaśnił McLanahan. - Zwykle najpierw pojawia się jeden, potem drugi i następne; ich radary pracują na różnych częstotliwościach, anteny obracają się z różnymi prędkościami. Za to teraz odnosi się wrażenie, jakby wszystkie te radary były zestrojone.

- To niemożliwe - powiedział Jamieson. - Nie sposób tak zestroić radaru na pokładzie samolotu i radaru na ziemi. To raczej nasz wskaźnik w taki sposób przetwarza sygnały. Nic takiego.



Tak, nic takiego. Tak, to niemożliwe, albo przynajmniej bardzo mało prawdopodobne, żeby wszystkie irańskie radary były zsynchronizowane tak dokładnie... a może to jednak prawda?

- Zmieńmy trasę - powiedział McLanahan. - Lećmy nad Pakistanem.

- Co takiego?

- Wiem, że mamy wykonać zdjęcia Czah Bahar i „Chomeiniego”, żeby ustalić, ile ściągnęli tam dodatkowo myśliwców i naziemnych stanowisk obrony przeciwlotniczej, ale to wszystko mi się nie podoba. Mam wrażenie, jakby Irańczycy rozmieścili środki obrony przeciwlotniczej dokładnie na trasie naszego lotu, rzucając nam wyzwanie. I ta synchronizacja radarów... Co oni knują?

- E tam, cały czas są głupi, ślepi i głusi - powiedział Jamieson, uśmiechając się z satysfakcją. - Daj spokój, DM, nie mogą nas widzieć, przekonaliśmy się o tym ponad wszelką wątpliwość. Po prostu podgrzewają chmury mikrofalami. Poza tym, nie mamy zgody na przelot nad Pakistanem. Gdybyśmy mieli pecha i musieli tam lądować, byłibyśmy w nie lada kłopotcie. Jestem za tym, żeby lecieć zgodnie z planem i zobaczyć, co się stanie.

McLanahan upewnił się po raz nie wiadomo który, że włączony jest tryb COMBAT i że działają wszystkie systemy obronne. Może trochę przesadzał, może ogarniała go paranoja? Czy to dlatego, że na Guam czekała Wendy? Zapewne... - Okay, lecimy zgodnie z planem - powiedział. Ale kiedy lecieli dalej na południe, w sam środek skupiska irańskich radarów, zarządził krótkie samosprawdzenie systemów obronnych. Wszystko w porządku. Na wszelki wypadek zaczął jednak w myślach opracowywać plan awaryjny...

Z każdą sekundą było coraz gorzej.

Od kilku minut znajdowali się w zasięgu radaru w Czah Bahar, ale absolutnie nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek się nimi interesował. Kiedy zbliżyli się do wybrzeża, lecąc na wysokości piętnastu tysięcy metrów w odległości pięćdziesięciu mil od Czah Bahar, weszli w zasięg radarów lotniskowca „Chomeini”. Jednak różnica między mocą sygnału zarejestrowanego przez wskaźnik zagrożeń B-2A, a mocą sygnału odbitego w kierunku źródła, które go wyemitowało (tak zwany próg delta) była tak duża, że nie musieli się obawiać, iż obraz ich samolotu pojawi się na irańskim radarze. Gdyby zostali wykryci, jeden z tych radarów - prawdopodobnie radar dalekiego zasięgu na „Chomeinim” - przełączyłby się na śledzenie celu. Uaktywniłby się wtedy dodatkowy radar, służący do pomiaru wysokości; natychmiast zauważyliby go na swoim wskaźniku zagrożeń. Nic się jednak nie działo... z wyjątkiem...

- Myśliwce - mruknął McLanahan. - Myśliwce zniknęły.

- Co?

- Dokładnie tutaj były dwa myśliwce. Teraz ich nie ma - powiedział McLanahan. - Wyłączyły swoje radary.

- Jak daleko były od nas?

- Około stu kilometrów. Za daleko na odpalenie rakiety...

- Oczywiście, że za daleko - powiedział Jamieson. - Wprawdzie AA-11 ma zasięg ponad stu pięćdziesięciu kilometrów, ale naprowadza się na radar, a my przecież mamy radary wyłączone. Na pewno wyłączone?

- Na pewno - zapewnił go McLanahan, ale na wszelki wypadek obaj szybko sprawdzili położenie przełączników. Lecieli w trybie COMBAT, wyłączone były wszystkie nadajniki, radar SAR, radar dopplerowski, radarowy system śledzenia rakiet, za to włączona była „czapka niewidka”, spod której nie mogło się wydostać żadne promieniowanie. Byli niewidzialni. - Mimo wszystko, coś mi się tu nie

podoba.

- Więc się pośpieszmy, zrobmy parę zdjęć lotniskowca SAR-em i wynośmy się stąd do diabła! - powiedział Jamieson.

Lotniskowiec mieli już w zasięgu radaru SAR, około stu kilometrów przed nosem. - Okay, uwaga, uaktywniam SAR.

Ale przed włączeniem systemu, który automatycznie określał czas projekcji SAR, niezbędny do otrzymania dobrego zdjęcia lotniskowca, McLanahan włączył system AN/ALQ-199. Gdy tylko wyłączony został system BEADS, ich „czapka niewidka”, omiółł radarem niebo wokół bombowca w poszukiwaniu zagrożeń. - A to po co?

- Na wszelki wypadek - odpowiedział McLanahan, po czym zaczął odliczać sekundy do uaktywnienia radaru SAR. - Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, SAR włączony...

W tym momencie usłyszeli wysoki sygnał ostrzegawczy, a na wskaźniku zagrożeń pojawił się symbol myśliwca i to tuż za sylwetką ich B-2A! - Myśliwiec, godzina czwarta, sześć kilometrów, ta sama wysokość! - krzyknął McLanahan. - Na dół i przyspiesz! SAR wyłączony! Tygrys, odpadaj w prawo!

Na szczęście Jamieson nie wahał się ani przez chwilę. Natychmiast przechylił wielki bombowiec o 120 stopni, prawie kładąc go na plecy. Do oporu odepchnął drążek sterowy i przesunął dźwignie na pełny ciąg. Trzymał maszynę w przechyle, wykonując ciasny skręt o prawie 180 stopni, tak aby znaleźć się naprzeciw myśliwca, odwrócić od niego gorącą dyszę wydechową i zaprezentować mu jak najmniejszy przekrój radarowy i termiczny.

Nie zdążył. Usłyszeli głośny wybuch, dochodzący z lewej strony, wielkim bombowcem zatrzęsło, a na konsoli zapaliło się światło ostrzegające o pożarze silnika numer jeden. Supermonitor McLanahana automatycznie przełączył się na procedury awaryjne, monitorując wyłączenie płonącego silnika, ale wstrząsy były tak silne, że nie można było obserwować ekranu. McLanahan musiał zawierzyć komputerom, które powinny wyłączyć silnik, zanim ogień ogarnie całą maszynę.

Jamieson trzymał bombowiec w przechyle na prawo, ale teraz nie zakręcali już; wpadli w korkociąg! Skrzydła nie wytwarzały siły nośnej i B-2A przestał lecieć! Beznadziejnie przeciągnięty, z jednym skrzydłem skierowanym ku ziemi, natychmiast wszedł w „spiralę śmierci”. Nos bombowca celował teraz niemal pionowo w powierzchnię oceanu. Spadali w korkociągu ku Zatoce Omańskiej z prędkością stu metrów na sekundę.

- Wyciągaj! - krzyczał McLanahan. - Wyciągaj, Tygrys! - Zaczynał tracić orientację. Supermonitor ze wskaźnikiem zagrożeń zakrywał przyrządy, za oknami kabiny było zupełnie ciemno, nie wiedział, gdzie góra, gdzie dół, prawo i lewo. Odchylił się w lewo, wyciągając szyję, żeby spojrzeć na sztuczny horyzont po stronie pilota, ale ten ruch tylko spotęgował dezorientację. Boże, zupełnie stracili kontrolę nad maszyną! Lada chwila uderzą w powierzchnię oceanu!

McLanahan wcisnął guzik BYPASS\* na swoim drążku kontrolnym, po czym zaczął macać ręką w okolicach dźwigni ciągu, szukając przycisku włączającego hamulce aerodynamiczne. W normalnych warunkach nie można było włączyć tych hamulców podczas lotu w trybie COMBAT, ponieważ bombowiec zbyt wiele straciłby ze swej „niewidzialności”. Poczul wstrząsy kadłuba, kiedy stero-klapo-lotki na krańcach skrzydeł bombowca ustawiły się przeciwległe, działając jak hamulce aerodynamiczne, mające powstrzymać niekontrolowany spadek. Maksymalnie odepchnął drążek sterowy i wcisnął lewy pedał orczyka, żeby przeciwdziałać prawemu korkociągowi. Na próżno. Spróbował odepchnąć drążek sterowy w lewo, mając nadzieję, że przy działających jak hamulce

stero-klapo-lotkach...

\* (ang.) (tu) - ominiecie systemu [przyj. red.].

- Puść stery, DM! - krzyknął Jamieson.

- Poradzę sobie! - odkrzyknął McLanahan. - Wyprowadzę!

- Puść stery, do diabła!

- Nie! Wyprowadzę maszynę! Daj mi znać, kiedy zaczniesz wychodzić! Nagle McLanahan poczuł potężne uderzenie w twarz i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Pomyślał, że nie żyje... za sekundę wpadną do oceanu, zachłyśnie się słoną wodą i...

Ale nie uderzyli w wodę. To Jamieson wierzchem dłoni uderzył McLanahana w twarz. - Powiedziałem, żebyś puścił stery - oświadczył spokojnie. Ostrożnie przestawił dźwignie na jałowy ciąg i wdepnął prawy pedał orczyka.

Korkociąg wciąż był tak samo szaleńczy, jak przedtem. - Wciąż się kręcimy! - krzyknął McLanahan. - Puść pedał!

- Patrick, lecimy już prosto - powiedział Jamieson. - To ten twój cholerny mózg nawigatora dostał kręćka. - Jamieson wyciągnął rękę, przerzucił jakiś przełącznik i na supermonitorze McLanahana w szesnastu kolorach wyświetlił się wielki wskaźnik informujący o wysokości i kierunku lotu. Widać było wyraźnie, że nos maszyny jest trochę pochylony, ale z całą pewnością bombowiec nie zwisał na skrzydło. - Teraz wiesz, dlaczego nazywają to spiralą śmierci. Zawsze, kiedy próbujesz z niej wyjść, nie patrząc na instrumenty, wprowadzasz maszynę w następny korkociąg, tyle że w drugą stronę.

Musiało minąć parę chwil, zanim McLanahanowi przestało się kręcić w głowie, ale dopiero, kiedy wpatrzył się w monitor i zmusił się, żeby uwierzyć jego wskazaniom, w końcu się uspokoił. Zorientował się w sytuacji. Jamieson prowadził bombowiec trzydzieści metrów nad powierzchnią Zatoki Omańskiej. Na pełnym ciągu lecieli w kierunku przestrzeni powietrznej Omanu, zostawiając za sobą „Chomeiniego” i irańskie radary.

- Już w porządku? - spytał Jamieson.

- Tak... tak, już dobrze, dziękuję - powiedział McLanahan słabym głosem. Sprawdził komunikaty ostrzegawcze. - Uruchomił się system gaśniczy, więc z silnikiem możemy się pożegnać - powiedział. - Uaktywniły się wszystkie systemy awaryjne. Wahania ciśnienia paliwa... ciśnienie hydrauliczne w porządku... układ elektryczny OK... układ paliwowy... czekaj... trzeci i czwarty zawór paliwowy wciąż są otwarte. Przełączam na ręczną obsługę... w porządku, odciąłem dopływ paliwa do silnika numer jeden. Zasilanie wszystkich silników ze zbiornika w prawym skrzydle. Opróżnię go w pierwszej kolejności, na wypadek, gdyby doznał jakichś uszkodzeń. - Jamieson skontrolował położenie przełączników i kiwnął głową.

W górze pełno było myśliwców irańskich i następne dwadzieścia minut lotu okazało się prawdziwym koszmarem. Co jakiś czas obserwowali zbliżające się do nich myśliwce, więc zmieniali kurs i schodzili najniżej, jak tylko się dało. W pewnej chwili znajdowali się zaledwie piętnaście metrów nad powierzchnią oceanu; niżej już nie śmieli bez włączenia radarowego wysokościomierza lub radaru SAR. Myśliwce ścigały ich nawet po opuszczeniu irańskiej przestrzeni powietrznej. Zawróciły dopiero tuż przed wybrzeżem Omanu. Wreszcie B-2A znalazł się nad lądem.

- Jezu, niewiele brakowało. Pilot tamtego myśliwca miał niesamowite szczęście; tak po prostu się na nas natknął...

- To nie była kwestia szczęścia. Popatrz tutaj - powiedział McLanahan, wskazując ręką na swój

monitor. - Jesteśmy już jakiś czas w zasięgu radarów omańskiej obrony przeciwlotniczej i saudyjskich F-15, a nikt nie zwraca na nas uwagi. Nie mam wątpliwości: Irańczycy znaleźli sposób na śledzenie bombowca B-2A.

- Śledzili nas? Czym? Przecież ich radary nie są w stanie nas namierzyć.

- Wiem, ale jednak nas znaleźli - powiedział McLanahan. - Znaleźli sposób, żeby nas namierzyć i naprowadzić myśliwce. Pamiętasz, jak irańskie samoloty nagle, jak na komendę, wyłączyły radary? Chodziło o to, żebyśmy się nie zorientowali, że zostaliśmy wykryci. To musi mieć coś wspólnego z tą ich dziwną konfiguracją radarów.

- Jeśli to prawda, to dla nas ta wojna raczej się skończyła - powiedział Jamieson. - Cały program B-2A może być zagrożony. Pentagon nie zaryzykuje ani jednej misji B-2A, dopóki nie ustalimy, jak Irańczycy mogli nas wykryć.

- Nie sądzę, żeby zostało nam dużo czasu - powiedział McLanahan, przygotowując dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i Agencji Wywiadu Lotniczego raport o tym przerażającym incydencie. - Irańczycy są teraz górą i pewnie nie spoczną, zanim nie dostaną wszystkiego, na czym im zależy.

#### ◆ Rezydencja prezydenta, pałac Szamsol Emareh, Teheran, Iran

Prezydent Republiki Islamskiej Ali Akbar Natek-Nuri pisał w swoim dzienniku; tradycyjnie, ołówkiem na papierze. W jego kwaterze nie było nie tylko komputera, ale także radia ani telewizora. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł generał Hesarak al-Kan Buzhazi.

- Proszę wejść, drzwi są otwarte - powiedział z przekąsem Natek-Nuri.

Buzhazi, wyraźnie wściekły, nieomal poderwał prezydenta na nogi.

- Żądam kodów! - zawołał.

- Czuję się doskonale, dziękuję, że się pan zainteresował, generale - powiedział prezydent. - A jak pan się miewa?

- Wsadzę ci lufę w gębę i rozwalę ten twój zgniły mózdzek, a zrobię to tak, żeby wyglądało na samobójstwo! - wrzeszczał Buzhazi. - Żądam...

- A skąd wziąłbym broń, generale?

- Odebrałeś ją strażnikowi i...

- Wszyscy pańscy wspaniali żołnierze z Pasdaranu są co najmniej o dziesięć kilo ciężsi i dwadzieścia centymetrów wyżsi ode mnie - zauważył Natek-Nuri. - Jak to możliwe, żebym zdołał obezwładnić jednego z pańskich wspaniałych „Strażników Allana”, mimo że jestem zagłodzony prawie na śmierć w mojej własnej rezydencji?

- Żądam kodów.

- Kodów? Jakich kodów?

Buzhazi miał dość. Zacisnął pięść, zamachnął się i uderzył prezydenta w usta. Natek-Nuri zatoczył się po tym ciosie i minęło kilka chwil, zanim z powrotem doszedł do siebie. - Doskonale pan wie, o jakie kody chodzi, panie prezydencie - powiedział generał. - Niech mi je pan wyda, a zostawię pana przy życiu.

- Nie mam żadnych złudzeń co do pańskich prawdziwych intencji - powiedział prezydent. - To dowodzi, jak mało pojęcia ma pan o zamachach stanu, generale. Powinien pan najpierw odebrać mi kody, a dopiero potem ogłosić stan wojenny i zlecić zabicie mnie. Tak, czy inaczej, dowodzi pan znaczącymi siłami zbrojnymi; nie rozumiem, po co panu kody, służące do odbezpieczenia broni nuklearnej. Przypuszczam, że chce pan odbezpieczyć P-700, tę raketę do zwalczania okrętów nawodnych, którą ma pan na „Chomeinim”?

Buzhazi starał się nie okazać zdziwienia; Natek-Nuri, który dystansował się od wojska przy każdej okazji i czynił wszystko, co w jego mocy, żeby zmniejszyć liczebność i uprościć strukturę sił zbrojnych, wiedział o supertajnej rakiecie z głowicą nuklearną! Cóż, taka broń nie mogła zbyt długo pozostawać tajemnicą. - Nasz kraj jest atakowany, panie prezydencie - powiedział Buzhazi, zmieniając nieco taktykę. - Kilka minut temu zostało zaatakowane lotnisko Beghin w prowincji Kerman. Dwa bombowce Backfire zniszczone, dwa poważnie uszkodzone, ośmiu członków załogi zginęło, straty w obiektach lotniskowych idą w miliardy riali. Podejrzewam, że to sprawka Stanów Zjednoczonych i ich bombowców stealth.

- Całkiem możliwe, generale - powiedział Natek-Nuri. - Nie może pan mieć nadziei na pokonanie Amerykanów. Przypuszczam, że użyli tylko jednego bombowca stealth do przeprowadzenia tych wszystkich ataków: Bandar Abbas, pański lotniskowiec, Czah Bahar, a teraz Beghin. Oglądałem wiadomości, generale. Amerykańskie sieci telewizyjne mają reporterów w głównej bazie bombowców B-2A w amerykańskim stanie Missouri; żaden z bombowców nie opuścił tej bazy. To oznacza, że Amerykanie mają gdzieś jeszcze jedną taką maszynę piekielną, a może i więcej, na usługach jakiejś tajnej agencji rządowej.

- A więc zgadza się pan ze mną! - zawołał Buzhazi. - Zgadza się pan, że atakują nas Amerykanie!

- Pewnie, że tak, ty idioto! - powiedział prezydent. - Przecież to wszystko jest odwetem za twoje operacje lotnicze z lotniskowca, za zatopienie ich statku szpiegowskiego i za uwięzienie amerykańskich szpiegów.

- A więc przyznajesz, że Amerykanie nas szpiegowali.

- Ma pan o sobie kiepskie mniemanie, generale, albo jest pan jeszcze głupszy niż myślałem - powiedział Natek-Nuri, uśmiechając się złośliwie. - Amerykanie pomagali Radzie Współpracy Zatoki w ataku na wyspę Abu Musa. Pan zareagował wysłaniem tego piekielnego lotniskowca. Amerykanie odpowiedzieli wysłaniem bezzałogowego samolotu zwiadowczego z tego szpiegowskiego statku; głupio postąpili, o wiele prościej byłoby wysłać łódź wiosłową na Zatokę Omańską i informować przez radio o naszych poczynaniach! A co pan na to? Pan zatapia ich statek szpiegowski i zatrzymuje wszystkich szpiegów. Już zatopienie tego statku było ogromnym błędem, ale Amerykanie puściliby to pewnie w niepamięć, gdyby nie to, że uwięził pan tych ludzi. W końcu był to statek szpiegowski, zakamuflowany jako jednostka cywilna; gdyby sojusznicy Amerykanów nad Zatoką dowiedzieli się, że cywilny statek ratowniczy jest w rzeczywistości jednostką szpiegowską, byłiby bardzo niezadowoleni. Amerykanie chętnie machnęliby ręką na ten statek, żeby tylko nikt nie dowiedział się, że była to jednostka szpiegowska.

- Gdyby niezwłocznie zwolnił pan tych ludzi, nie mielibyśmy teraz tych wszystkich problemów - ciągnął prezydent. - Zawarlibyśmy porozumienie, na zawsze likwidujące zagrożenie, jakim jest amerykańska grupa bojowa lotniskowca w pobliżu naszego wybrzeża. Zwiększyłyby się inwestycje zagraniczne w Iranie, ponieważ znikłaby groźba konfliktu zbrojnego. Zamiast tego, sprowokował pan Amerykanów do wymiany ognia. Oburza pana los lotniska Beghin i paru bezużytecznych bombowców? Niech pan zaczeka, aż pociski manewrujące i naprowadzane laserem bomby zaczną spadać na Teheran.

- Jest tylko jeden sposób, żeby temu zapobiec, panie prezydencie. Na siłę trzeba odpowiedzieć siłą - powiedział gniewnie Buzhazi. - Wystarczy zatopić jeden z ich lotniskowców i naród amerykański nie pozwoli Martindale'owi kontynuować tych ataków bombowych na Iran.

- Jest pan taki naiwny, generale - powiedział Natek-Nuri, smutno kręcąc głową. - Mogłoby się tak

stać trzydzieści lat temu, kiedy Amerykanie walczyli i ginęli w wietnamskiej dżungli, a naród chciał pokoju za wszelką cenę. Teraz jest inaczej; obecny prezydent Stanów Zjednoczonych zdecydował się na walkę. Wezwie do wojny przeciw Iranowi, mając za sobą naród i amerykańskie siły zbrojne.

- A co z pańskim narodem, panie prezydencie? - spytał Buzhazi. - Co sobie pomyślą nasi ludzie, jeśli pozwolimy Amerykanom swobodnie latać nad naszym krajem, zabijając naszych żołnierzy, niszczyć nasze bazy wojskowe?

- W odróżnieniu od pana i religijnych przywódców naszego kraju, naród irański chce pokoju, nie wojny - powiedział Natek-Nuri. - Znam mój naród, generale; pan go nie zna i mułowie też nie. Układ z Amerykanami i Radą Współpracy Zatoki, eliminujący z Zatoki Perskiej lotniskowce i inne okręty, które mogłyby atakować cele lądowe, był naszą nadzieją na pokój. Amerykańskie bombowce stealth nigdy nie naruszyłyby naszej przestrzeni powietrznej, gdyby Waszyngton nie został do tego zmuszony.

- I kto tu jest naiwny, panie prezydencie? - przerwał Buzhazi. - Kto ma pewność, że Amerykanie po raz pierwszy wysłali nad Iran bombowce stealth? Prawdopodobnie pomagają rebeliantom kurdyjskim ukrywającym się w Iraku i wspomagają Ormian, destabilizujących sytuację na naszej północnej granicy.

- Może pan puścić wodze swojej paranoicznej fantazji, generale, ale prawda jest taka, że nasz rząd znacznie bardziej niż Amerykanie wpływa na sytuację wzdłuż naszych granic i na nastroje wobec Iranu na całym świecie. To prawda, że agenci amerykańskiej CIA przez całe lata działali w Iranie, wspierając rozmaite ugrupowania antyrządowe i była to działalność równie szkodliwa jak działalność terrorystycznych szwadronów szacha. Ale od czasu rewolucji, o naszym losie decydujemy przede wszystkim my sami, a nie szach, czy Amerykanie. Mogliśmy mieć pokój, generale. Wyspą Abu Musa mogliśmy się podzielić ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Dzięki naszym urządzeniom wydobywczym ropy naftowej oraz ich kapitałom i my, i oni moglibyśmy się bogacić. Pieniądze, które wydajemy na to monstrum, któremu ośmielił się pan nadać imię imama Chomeiniego i na te wszystkie rosyjskie bombowce, myśliwce i pociski manewrujące można by wykorzystać na ukończenie budowy terminalu naftowego w Czah Bahar. Nie byłibyśmy zdani na łaskę Iraku, Rady Współpracy Zatoki, czy Zachodu za każdym razem, kiedy transportujemy ropę przez cieśninę Szatt al-Arab albo przez Zatokę Perską. Pan jednak wybrał wojnę, której nie jesteśmy w stanie wygrać. Nie będę panu w tym pomagał, generale. Niech pan walczy i ginie, ale na własny rachunek.

W odpowiedzi Buzhazi wyciągnął pistolet, odbezpieczył, stanął po prawej stronie prezydenta i wycelował mu w skroń. Prezydent Iranu przymknął oczy, oczekując kuli...

- Jakież to by było proste, panie prezydencie.

- Więc niech się pan nie waha, generale - powiedział Natek-Nuri. - Jeśli nie boi się pan gniewu ajatollaha Chameneiego i Rady Przywódczej, która zabroniła mi krzywdzić, niech pan to zrobi. Ja jestem gotów umrzeć. Czy pan jest gotów żyć?

- Gotów, czy nie, pan zginie, a ja będę żył - powiedział Buzhazi. - Sam pan wie, że w końcu zdobędę te kody do broni nuklearnej i chemicznej. Nie potrafi mnie pan powstrzymać.

- Wygląda na to, że wszystko pan przewidział - powiedział kpiąco Natek-Nuri. - Niech więc realizuje pan swój plan. Niech mnie pan zabije. A potem niech pan wytłumaczy imamowi, że to było samobójstwo, albo wypadek. Zobaczymy, jak długo pozostanie pan potem dowódcą.

Buzhazi nabrał głęboko powietrza, zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu... ale nie strzelił. Schował broń do kabury, zaklął i opuścił rezydencję prezydenta. Kiedy wychodził, Natek-Nuri zauważył, że na

zewnątrz przed drzwiami rezydencji stało dwóch żołnierzy Pasdaranu.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Natek-Nuri głęboko odetchnął, podszedł z powrotem do biurka na uginających się nogach i opadł na krzesło. Jego harda, nieugięta postawa była tylko grą; w rzeczywistości bał się śmierci, a wręcz przerażeniem napawała go myśl, że miałby zginąć z ręki Buzhaziego, leżeć u jego stóp w kałuży krwi. Zbyt ciężko pracował, żeby wszystko miało się skończyć w taki sposób...

- Kłopoty z personelem, panie prezydencie? - spytał kobiecy głos w farsji. Natek-Nuri odwrócił się, a serce na moment mu zamarło. Zza zasłon, otaczających sypialnię, wychodzili właśnie mężczyzna i kobieta, oboje w czarnych, obcisłych kombinezonach komandosów, w wysokich butach i rękawiczkach. Oboje byli uzbrojeni, ale broń mieli przy boku, nie w rękach.

Doszedłszy do siebie, prezydent Iranu niedbałym gestem zaprosił obcych. - Wejdźcie, wejdźcie proszę - powiedział w farsji. - Mam wrażenie, że w mojej rezydencji wszyscy czują się jak u siebie w domu, więc dlaczego z wami miałyby być inaczej? Pani jest Arabką, jestem tego pewien - Natek-Nuri przeszedł na arabski, którym posługiwał się płynnie, prawie bez śladu obcego akcentu. - A pani przyjaciel? Libijczyk? A może Sudańczyk?

- Przynajmniej jest towarzyski - powiedział obcy po angielsku.

- Ach! Amerykanin! - powiedział Natek-Nuri, przenosząc wzrok z kobiety na mężczyznę. - Witaj w moim domu, młody człowieku - dodał płynną angielszczyznę. - Dobre maniery, to jedyny luksus, jaki mi pozostał. Ale może powiedzielibyście, co was do mnie sprowadza? Przyszliście mnie zgładzić?

- Powinienem cię rozwalić, skurwielu, za to, co zrobiłeś z moimi chłopcami!

- Pański dialekt z czarnego getta jest dla mnie mało zrozumiały, młody człowieku, ale zakładam, że ma pan coś wspólnego z pułkownikiem Paulem White'em i gniewa się pan na mnie za okoliczności, w jakich pułkownik został schwytany i uwięziony - powiedział prezydent Iranu. - Oczekiwałem was, ale prawdę mówiąc myślałem, że przeprowadzicie błyskawiczny atak na kwaterę główną, że najpierw wasze bombowce stealth zrzucą kilka tych cudownych pocisków manewrujących, a potem nadlecą wasze, jak wy to nazywacie, zmiennopłaty, pełne świetnie wyszkolonych, twardych jak stal, pijących whisky komandosów, którzy strzelając wyskoczą ze spadochronami albo spuszczą się na linach, prowadząc bohaterką akcję ratowniczą... ale może się nie rozczaruję? Może taka akcja jest właśnie w toku?

- Proszę nam powiedzieć, gdzie jest pułkownik White, panie prezydencie, a nic się panu nie stanie.

- Młody człowieku, po co te groźby? Praktycznie już jestem martwy - powiedział Natek-Nuri z rozbawieniem w głosie. - Sądzę, że słyszeliście generała Buzhaziego. Kiedy tylko dostanie w swoje ręce kody do broni nuklearnej na pokładzie lotniskowca „Chomeini”, pozbędzie się mnie. Nieudolnie, jak wszystko co robi, spróbuje upozorować samobójstwo, ale i tak wszyscy będą wiedzieć.

- Panie prezydencie, proszę nam tylko powiedzieć, gdzie jest pułkownik White.

- Pański pułkownik Paul White jest przesłuchiwany w kwaterze głównej Pasdaranu - odpowiedział Natek-Nuri - ale prawdę mówiąc, nie wiem, czy jeszcze żyje.

- Przekonamy się, a jeśli nie żyje, będzie to dla nas bardzo zła wiadomość - powiedział zimno Briggs. - Mógłby pan podać trochę więcej szczegółów, panie prezydencie?

- Niestety nie - przyznał Natek-Nuri. - O ile wiem, Pasdaran przesłuchuje więźniów, wstrzykując

im narkotyki. Odbywa się to w tak zwanym lazarecie w piwnicy kwatery głównej. To straszliwe miejsce, pełne złych, brutalnych ludzi. Nie wiem jednak, czy właśnie tam zabrano White'a.

- A może mógłby się pan dowiedzieć, panie prezydencie?

- Nigdy nie byłem sympatykiem Pasdaranu - powiedział Natek-Nuri - sądzę jednak, że w kwaterze głównej znajdzie się paru oficerów, którzy zechcą mi coś powiedzieć. - Prezydent sięgnął po telefon.

Briggs uniósł swoje Uzi. - Niech pan będzie bardzo ostrożny, panie prezydencie.

Prezydent Iranu uśmiechnął się chłodno. - Młody człowieku, jest pan w tej chwili najmniejszym z moich zmartwień. - Wybrał numer, porozmawiał krótko po persku z dwoma ludźmi i odłożył słuchawkę. - Pułkownik White rzeczywiście znajduje się w kwaterze głównej Pasdaranu, pierwsze piętro pod ziemią, sektor A, cela A193. Żyje i prawdopodobnie jest nawet przytomny. Za sprawą moich przyjaciół, przez najbliższe pół godziny strażnicy będą tam „zajęci czym innym”. Wierzę, że potrafiacie w tym czasie coś zorganizować.

Hal Briggs był tak zaskoczony, że przez chwilę zabrakło mu słów. Wzruszył ramionami, posłał Rizie zdziwione spojrzenie, po czym kiwnął głową. - Na pewno, panie prezydencie. To wspaniale. - Przerwał na chwilę, po czym spytał: - Czy będzie pan bezpieczny, kiedy generał Buzhazi się o tym dowie?

- Nie wiem, młody człowieku.

- Proszę mi mówić Hal, panie prezydencie - przerwał mu Briggs. Riza spojrzała na niego bardzo zdziwiona; ludzie z Agencji Wspomagania Wywiadu nie powinni ujawniać swoich prawdziwych imion i nazwisk. Ale w tym wypadku nie kłóciło się to z całą tą absurdalną sytuacją. Jeszcze trzydzieści sekund temu Briggs był gotów strzelić temu człowiekowi między oczy, a teraz przedstawiał mu się, podając swoje prawdziwe imię!

- Dziękuję, Hal... a może powinienem powiedzieć: pułkowniku, majorze, kapitanie...?

- Hal wystarczy.

- W porządku, niech będzie Hal. - Natek-Nuri przyglądał się przez chwilę Rizie, szukał w pamięci, wreszcie uśmiechnął się i powiedział: - Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Konferencja ministrów OPEC w zeszłym roku, Quito, Ekwador, przyjęcie w rezydencji ministra energetyki Nazuriego. Upał był większy niż latem w Mogadiszu i ta wilgotność... Proszę mi wybaczyć, nie pamiętam pani nazwiska, ale nigdy nie zapomnę tej czarnej sukni, którą miała pani wtedy na sobie, ani tej cudownej, wysadzanej diamentami bransoletki, którą nosiła pani na kostce. Muszę przyznać, że wyglądała pani bardzo ponętnie. Była pani na tym przyjęciu w towarzystwie ministra Jusufa ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale zauważyłem, że poświęcała mu pani bardzo niewiele uwagi. O ile dobrze sobie przypominam, on miał już młodą tłumaczkę, którą był wyraźnie zafascynowany, więc pani musiała być tam z jakąś tajną misją, może na zlecenie Dyrektoriatu Wywiadu Zjednoczonych Emiratów Arabskich?

- Ma pan doskonałą pamięć, panie prezydencie - powiedziała Behruzi, poruszona szarmanckimi słowami tego człowieka, który stał przecież tuż nad przepaścią - ale byłoby najlepiej, gdyby pańskie wspomnienia ograniczyły się do tej brylantowej bransoletki w Ekwadorze.

- Oczywiście - powiedział Natek-Nuri. - Ale w zamian musicie coś dla mnie zrobić.

- Co takiego?

Natek-Nuri spojrzał na nich oboje poważnie. - Hal, zniszczcie lotniskowiec „Chomeini” - powiedział prezydent Iranu.



- Co pan powiedział?

- Widzisz, Hal, nie będę w stanie zbyt długo opierać się generałowi Buzhaziemu - powiedział Natek-Nuri z rezygnacją w głosie. - Buzhazi jakoś zdobędzie ten kod, w ostateczności wydusi go ze mnie na torturach i sądzę, że nastąpi to już wkrótce, może nawet dziś w nocy.

- Kod? Jaki kod?

- Kod, umożliwiający odbezpieczenie głowicy nuklearnej, znajdującej się na „Chomeinim” - powiedział Natek-Nuri. - Jedna z rakiet na pokładzie tego lotniskowca jest uzbrojona w głowicę nuklearną, wystarczającą, jak sądzę, do zatopienia waszego „Abrahama Lincolna”.

- Kurwa mać!

- Młody człowieku, powściągnij swój bluźnierczy język - Natek-Nuri zganił Briggsa. - Żeby wszystko było jasne: generał Buzhazi ma jeden zestaw kodów, a ja drugi. Nie wiem, jak długo wytrzymam, wiem natomiast, że generał potrafi bardzo skutecznie zdobywać informacje, na których mu zależy. Wkrótce będzie więc miał oba zestawy kodów, co umożliwi mu odbezpieczenie głowic nuklearnych. Kiedy już to osiągnie, odpali z lotniskowca raketę P-700 na Arabię Saudyjską, na Irak albo może na waszą grupę bojową lotniskowca „Lincoln”, nie wiem. Przeczuwam, że użyje lotniskowca, wraz z innymi siłami, żeby zdziesiątkować bazy wojskowe Rady Współpracy Zatoki. Musicie go powstrzymać.

Briggs spojrział na Behruzi. - Miałem kiedyś tego sukinsyna w celowniku, panie prezydencie; z radością wyceluję do niego jeszcze raz i pošlę go do Abrahama na piwo. Ma pan to jak w banku.

- Doskonale - powiedział Natek-Nuri. - Myślę, że powinniście już pójść. Powodzenia. - Natek-Nuri ruszył ku drzwiom swojej sypialni, pozostawiając dwójkę komandosów samym sobie.

- Riza, ja chyba śnię - powiedział Briggs, przygotowując się do odejścia. - Prezydent pieprzonego Iranu pomaga nam uwolnić pułkownika Whitea, a w zamian chce, żebyśmy zniszczyli jego pierdol... to jest, chciałem powiedzieć, ten jego pieprzony lotniskowiec...?

- Nie jestem zaskoczona; Ali Akbar Natek-Nuri naprawdę pragnie pokoju. Takich jak on nie ma obecnie zbyt wielu w Iranie - powiedziała Behruzi z uśmiechem. - Natomiast zaskoczyło mnie, że podałeś mu swoje prawdziwe imię!

- Pomyślałem, że właściwie niczym nie ryzykuję - odparł Briggs chłodno. - Należały mu się jakieś wyrazy wdzięczności, trochę szacunku. Poza tym, nie sądzę, żeby pożył wystarczająco długo, by komukolwiek o nas powiedzieć.

Skomplikowany układ architektoniczny sprawiał, że tylny portyk rezydencji prezydenta był prawie niewidoczny z pozostałych części starego pałacu. Kamery i czujniki skutecznie to kompensowały, ale komandosi ze Zjawy nie mieli z nimi najmniejszego problemu.

Chris Wohl stał na zewnątrz, tuż pod oknem apartamentu prezydenta, osłaniając główną drogę ucieczki, kiedy nagle zobaczył, jak zafalowała zasłona i otworzyły się rozsuwane drzwi. Usłyszał przyciszone głosy. - Briggs, do cholery, co ty wyprawiasz? - mruknął do siebie. Pośpiesznie włączył radio, chcąc powiadomić pozostałych dziesięciu komandosów, że mają się przygotować, i że prawdopodobnie zostali wykryci, kiedy nagle usłyszał za sobą jakieś odgłosy. Odwrócił się gwałtownie, z bronią gotową do strzału.

- Spokojnie, sierżancie, to my. - Wohl zobaczył Briggsa i Behruzi schodzących po murze budynku. - Ruszamy. Wiemy, gdzie jest pułkownik White i mamy trzydzieści minut, żeby go wydostać.

- Briggs, o czym ty, do diabła, mówisz?

- Dowiedzieliśmy się, gdzie jest White - powiedział Briggs. - Trzymają go w kwaterze głównej

Pasdaranu, w piwnicy, cela A1 39. Czeka na nas.

- Czeka na nas? Kto ci o tym powiedział?

- To jego zasługa - powiedział Briggs. Wohl spojrział w kierunku, w którym Briggs pokazywał palcem, na mury pałacu Szamsol Emareh i ku swemu ogromnemu zdziwieniu zobaczył prezydenta Iranu, Ali Akbara Natka-Nuri, spoglądającego na dół z otwartego okna na czwartym piętrze!

- Musimy ruszać, Chris; prezydent ma dla nas robotę.

- Prezydent? Masz na myśli prezydenta pierdolonego Iranu?

- Młody człowieku, powściągnij swój bluźnierczy język - Briggs zganił Wohla. - Sprawa jest poważna; w rejonie Zatoki w każdej chwili może się zacząć grubsza awantura. Natek-Nuri powiedział nam o tym i poprosił o pomoc; na dowód, że jego intencje są szczerze, dowiedział się, gdzie jest pułkownik White. Prawdopodobnie poświęcił własne życie, żeby nam pomóc. W zamian chce, żebyśmy zniszczyli irański lotniskowiec...

- Co takiego?

- Nie przejmuj się tym teraz, Chris; kiedy wrócimy, skontaktujemy się z LOTEM PRZYSZŁOŚCI i wyślemy ich na polowanie. Teraz musimy wydostać pułkownika White'a, zanim żołnierze Pasdaranu dobiorą nam się do skóry. Ruszamy. - Briggs i Behruzi ruszyli ustaloną wcześniej trasą. Chris Wohl i pozostali komandosi stali przez chwilę jak wrośnięci w ziemię, kręcąc z niedowierzaniem głowami.

♦ **Gabinet Owalny, Biały Dom, Waszyngton.**

**27 kwietnia 1999, godzina 21.36 czasu miejscowego**

- Generale Buzhazi, tu prezydent Kevin Martindale. Dzwonię z Waszyngtonu. Jak pan się miewa dziś rano?

- Bardzo dobrze, dziękuję - dobiegł ze słuchawki głos tłumacza. Inny tłumacz, przysłuchujący się tej rozmowie, robił notatki na komputerze obok prezydenta, weryfikując przekład irańskiego tłumacza.

- Chcę z panem porozmawiać o lotniskowcu „Chomeini”, generale - powiedział prezydent. - Mój rząd otrzymał niepokojące informacje. Dowiedzieliśmy się, że lotniskowiec jest uzbrojony w pocisk manewrujący z głowicą nuklearną.

Kiedy tłumacz skończył, w słuchawce zaległa długa cisza. Wreszcie nadeszła odpowiedź. - Republika Islamska nie może potwierdzić ani zdementować doniesień o broni nuklearnej, którą jakoby posiadamy, panie prezydencie.

Martindale zaklął pod nosem, wpatrując się gniewnie w ścianę. Wiceprezydent Ellen Whiting, sekretarz stanu Jeffrey Hartman, sekretarz obrony Arthur Chastain i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Philip Freeman czekali z zapartym tchem. Prezydent zrozumiał kpinę; odpowiedź Buzhaziego była odpowiedzią, jakiej amerykańskie siły zbrojne udzielały rutynowo, pytane o broń nuklearną w bazach wojskowych lub na okrętach. Stany Zjednoczone nigdy nie wypowiadały się na temat swojej broni nuklearnej.

- Rozumiem, generale - powiedział Martindale.

- Chce pan jeszcze o czymś porozmawiać, panie prezydencie?

- Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, że posiadanie przez Iran broni nuklearnej i rakiet dalekiego zasięgu z głowicami nuklearnymi stanowi naruszenie układu z 1968 roku o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i układu z 1993 roku o zakazie eksportu technologii rakietowych - powiedział prezydent. - Iran podpisał te układy, nie zgłaszając zastrzeżeń.

- Układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej został podpisany przez zdradziecki reżim szacha Rezy Pahlawiego, panie prezydencie - przypomniał mu Buzhazi - a nie przez rewolucyjny rząd islamski. Dla nas układ ten jest bez znaczenia. O drugim porozumieniu, o którym pan wspomniał, w ogóle nie słyszałem.

- Wasze członkostwo w Organizacji Narodów Zjednoczonych, Banku Światowym, OPEC, Komisji do spraw Dna Morskiego i Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego również datuje się z okresu przed rewolucją islamską - powiedział prezydent. - Czy wasze członkostwo w tych organizacjach mamy uważać za nieważne?

- Może pan uważać, co pan chce, panie prezydencie - powiedział Buzhazi. - Tak, czy inaczej, dla nas jest to bez znaczenia. Lotniskowiec „Chomeini” i krążownik „Zhanjiang” są własnością Marynarki Wojennej Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Iran obsługuje i odnawia te jednostki za opłatą oraz wykorzystuje je do prowadzenia kursów pilotażu. Z czasem oba okręty zostaną zwrócone Chinom. Uzbrojenie obu tych okrętów leży w gestii Chińskiej Republiki Ludowej. Może powinien pan porozmawiać z premierem Jiang Zeminem? - Jiang Zemin, następca Deng Xiaopinga był wykształconym, elokwentnym człowiekiem, młodym jak na chińskiego przywódcę - miał sześćdziesiąt lat - ale był jeszcze bardziej enigmatyczny i nieobliczalny niż Buzhazi. Od czasu chińskiej inwazji na Filipinach i transferu broni do tak niestabilnych krajów jak Korea Północna, Syria, Irak, Sudan i Iran, stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Chinami były napięte; Martindale i Zemin nie mieli sobie wiele do powiedzenia.

- Ponieważ to pan kontroluje „Chomeiniego”, generale, będę rozmawiał z panem - powiedział prezydent. - Pańskie bombowce dalekiego zasięgu bez powodzenia atakowały zeszłej nocy nasz lotniskowiec „Abraham Lincoln”, a teraz obserwujemy wasz lotniskowiec, opuszczający Zatokę Omańską i zmierzający w kierunku naszej grupy bojowej. Uważamy to za akt wrogości i poczynimy niezbędne kroki, jeśli wasz lotniskowiec natychmiast nie wróci do portu.

- Ależ wróci - powiedział Buzhazi. - Lotniskowiec „Chomeini” i krążownik „Zhanjiang” powrócą do macierzystego portu... Ningbo.

- Ningbo? Gdzie to jest? - spytał prezydent swoich ludzi, zasłoniwszy dłonią słuchawkę. Chwilę później odpowiedź pojawiła się na ekranie komputera, przesłana przez specjalistę z wywiadu wojskowego. W Ningbo mieściła się kwatera główna chińskiej Floty Wschodniej. Miejscowość ta leżała nad Morzem Wschodniochińskim, w zasięgu stacjonujących tam myśliwców znajdowała się cała Korea Południowa, łącznie z Seulem, główne japońskie wyspy Kiusiu i Szikoku oraz zachodnia część Honsiu, całe wyspy Ryukyu, łącznie z Okinawą, a także Tajwan. - Wysyła pan lotniskowiec z bronią atomową na Morze Wschodniochińskie?

- Nasz partner sobie tego zażyczył, prezydencie Martindale - powiedział tłumacz Buzhaziego. - Będziemy prowadzić próby na Morzu Arabskim i na Oceanie Indyjskim, a przedtem odwiedzimy być może jeden z portów nad Morzem Czerwonym; później lotniskowiec popłynie najpierw do Victorii, a potem do Ningbo. Mam nadzieję, że Stany Zjednoczone nie będą w to ingerować.

Port Victoria był najnowszą chińską bazą morską, na wyspie Hongkong, która niedawno wróciła pod kontrolę Chin.

- Zdecydowanie sprzeciwiamy się obecności broni nuklearnej na tym okręcie - powiedział prezydent - i wezwiemy wszystkie kraje, których to dotyczy, żeby zabroniły wam wejścia na ich wody terytorialne.

- A ja sprzeciwiam się lotom amerykańskiego bombowca stealth w naszej przestrzeni

powietrznej, atakowaniu naszych lotnisk, zabijaniu naszych obywateli - przerwał gniewnie Buzhazi. - Amerykańskie okręty z bronią nuklearną przechodzą koło naszego kraju od ponad czterdziestu lat; tłumaczycie to waszymi „interesami narodowymi” i „interesami obronnymi”, a teraz my zrobimy to samo. Ma pan jeszcze coś do mnie, panie prezydencie?

- Chciałbym spytać o prezydenta Natka-Nuri i jego status polityczny - powiedział Martindale.

- Z przykrością muszę pana poinformować, panie prezydencie, że prezydenta Ali Akbara Natka-Nuri znaleziono niedawno martwego w jego domu w Teheranie - powiedział Buzhazi beznamiętnym głosem. - Znaleziono go z kulą w głowie; pocisk pochodził z włoskiej Beretty 92. O ile wiem, ta broń jest standardowym wyposażeniem amerykańskich sił zbrojnych. Mam rację?

- Ty skurwysynu! - nie wytrzymał Martindale. - Zamordowałeś go!

- Śledztwo jest w toku, ale przypuszczamy, że morderstwa dokonali zagraniczni zamachowcy - powiedział Buzhazi. - Nie wykluczamy, że prezydenta zmuszono do pomocy w uwolnieniu cudzoziemskiego więźnia z więzienia wojskowego, a potem zgładzono. Incydent godny ubolewania. Mam nadzieję, że Allah będzie bezlitosny dla tych, którzy dopuścili się takiego czynu.

Wściekły i zde gustowany Martindale cisnął słuchawkę na widełki. - Co za skurwysyn! - krzyknął. - Szalony skurwysyn! Kazał zamordować Natka-Nuri za to, że prezydent pomógł Paulowi White'owi uciec z Teheranu!

- Bardzo mi przykro, panie prezydencie - powiedział Philip Freeman. - To moi ludzie wplątali Natka-Nuri w taką kabałę. Biorę pełną odpowiedzialność za jego śmierć.

- Gówno prawda, Philip, Buzhazi na pewno osobiście pociągnął za spust - powiedział sekretarz obrony Chastain. - Od dawna starał się jakoś pozbyć prezydenta; nie jest tajemnicą, że sam zabiegał o prezydenturę, ale w wyborach nie miał absolutnie żadnych szans. To człowiek chorobliwie żądny władzy.

- A teraz przychylnie patrzą na niego mułowie, łącznie z Chameneim - powiedział sekretarz stanu Hartman. - Jeśli zaakceptuje go Rada Przywódcza, jego władza niesamowicie się umocni, zwłaszcza gdyby udało mu się scementować stosunki między Teheranem a Pekinem. Wtedy nikomu nie uda się go już powstrzymać. Niewykluczone, że stanie się dostatecznie silny, by podważyć pozycję imamów.

- W tej chwili naszym problemem jest ten lotniskowiec - powiedział prezydent. - Nie może opuścić Zatoki Omańskiej. Philip, czy twoi chłopcy potrafią go zatrzymać, nie wywołując wojny na Bliskim Wschodzie?

- Sir, mieliśmy trochę kłopotów podczas ostatniego lotu - powiedział Freeman. - Irańczycy najwyraźniej znaleźli jakiś sposób na wykrywanie bombowców stealth.

- Co takiego? - zawołał Chastain. - Co się stało?

- Idealnie synchronizują trzy stacje radarowe, na ziemi, na morzu i w powietrzu - wyjaśnił Freeman. - Każda z tych stacji otrzymuje sygnały dwóch pozostałych, nakłada je na siebie i wyświetla na ekranie. Wprawdzie krzywizny konstrukcji bombowca stealth odbijają promieniowanie radarowe tak, żeby nie wróciło do źródła; odbite fale wychwytyują jednak pozostałe stacje i przekazują informacje głównemu radarowi. To wystarczy, żeby uzyskać obraz radarowy, słaby bo słaby, ale zawsze... Potem wystarczy podać namiar myśliwcowi, który podleci na tyle blisko, żeby zobaczyć bombowiec, albo złapać go w podczerwieni i już nas mają. Podczas ostatniej misji irański myśliwiec zbliżył się na tyle, że mógł odpalić raketę w kierunku naszego B-2A; naszym udało się wyjść z tego cało dzięki aktywnym środkom obrony przeciwraketowej, w które wyposażony jest bombowiec, ale i tak jeden silnik B-2A został trafiony i zniszczony. Jamieson i McLanahan mieli

szczęście, że na tym się skończyło.

- Dzięki Bogu, że wyszli cało - prezydent odetchnął z ulgą. - I co zrobimy w tej sytuacji?

- Sir, musimy wyeliminować te zsynchronizowane stacje radarowe - powiedział Freeman. - Mamy pociski raketowe, mogące zniszczyć stację radarową z odległości piętnastu kilometrów. Problem polega jednak na tym, że Irańczycy mają w powietrzu dosłownie wszystkie maszyny i nie ulega wątpliwości, że z dużej odległości przechwycą nasze samoloty, mające odpalić te rakiety. Jest jeszcze jeden problem. Wszystkie nasze maszyny w tym regionie, mogące odpalać raketowe pociski przeciwradarowe - EA-6 Prowler, A-6 Mruder i F/A-1 8 Hornet - znajdują się na pokładzie „Lincolna”. Musielibyśmy użyć ich wszystkich, żeby zniszczyć irańskie stacje radarowe.

- To byłaby już inwazja - powiedział prezydent - a właśnie tego chciałbym uniknąć. Iran nikomu nie wypowiedział wojny; jeśli to my strzelimy pierwsi, na nas spadnie całe odium.

- A i tak nasze szanse powodzenia byłyby niewielkie - przyznał Freeman. - Na każdą naszą maszynę z raketami przeciwradarowymi przypadałoby dziesięć myśliwców irańskich. W dodatku nasi zostaliby wykryci na długo przedtem, zanim zbliżyliby się na odległość umożliwiającą odpalenie rakiet. A ponieważ „Lincoln” jest w tej chwili tak daleko od Zatoki Omańskiej, osłona myśliwców byłaby minimalna, albo nie byłoby jej wcale.

- Zakładam, że masz jakiś alternatywny plan; inaczej by cię tu nie było - powiedział prezydent. - Co proponujesz?

- Mój plan oznacza poważne ryzyko dla B-2A, którym latają Jamieson i McLanahan - powiedział Freeman. - Nasz bombowiec zostanie wysłany w pojedynek przeciw irańskiej obronie przeciwlotniczej, wyposażony w broń klasy Disruptor. Oznacza to, że ryzyko będzie o wiele większe, nie tylko dla załogi, ale także z politycznego punktu widzenia. Jeśli operacja się nie powiedzie, pan znajdzie się pod pręgierzem. Nie będzie żadnych wątpliwości, co próbował pan zrobić. Jeśli nam się uda, wszystkiemu da się zaprzeczyć, straty w ludziach będą żadne lub minimalne i nikt nie będzie podejrzewał inwazji, mającej na celu zniszczenie Iranu.

- Więc zrobmy to - zdecydował prezydent. - Przedstaw mi plan i bierzmy się do roboty.

- Powinien pan to dobrze przemyśleć, panie prezydencie - powiedział Freeman. - Ten plan wiąże się z wielkim osobistym ryzykiem politycznym.

- Philip, mój urząd to jedno nieprzerwane pasmo wielkiego osobistego ryzyka politycznego - powiedział prezydent Martindale. - Ale powtarzam, musimy zatrzymać ten lotniskowiec. Jeśli potrafisz to zrobić, nie wywołując wojny na Bliskim Wschodzie...

Freeman zaczął wyjaśniać swój plan prezydentowi i jego doradcom.

#### ♦ Teheran, Iran, o tej samej porze

Generał Buzhazi z uśmiechem odłożył słuchawkę. - Pańskie groźby na nic się panu nie zdadzą, prezydencie Martindale - powiedział, po czym zwrócił się do generała lotnictwa Sattariego, który był teraz jego szefem sztabu: - Czy możemy kontynuować operację, generale?

- Tak jest - odpowiedział Sattari. - Bombowce Backfire z Esfahanu i samoloty bojowe z Bandar Abbas zaatakują bazy Zjednoczonych Emiratów Arabskich: Tauila, Mina Sakr i Mina Sułtan, a także omańską bazę morską na półwyspie Musandam. Sześć myśliwców bombardujących z „Chomeiniego” zaatakują bazę morską i lotniczą Sib koło Maskatu w Omanie. Sześć myśliwców z „Chomeiniego” zapewni osłonę od strony wschodniej, korzystając ze wsparcia myśliwców z Czah Bahar. Bandar Abbas i Abu Musa zapewnią lądową i powietrzną obronę przed atakami lotniczymi z zachodu. Nasz atak będzie idealnie skoordynowany, wszystkie ciosy zadamy jednocześnie, a myśliwce obrony

przeciwlotniczej wystartują później, nie alarmując nikogo zawczasu i będą osłaniać odwrót.

- A co z Amerykanami? - spytał Buzhazi. - Patrolują Półwysep Arabski aż po Zatokę Omańską.

- Mamy trzykrotną przewagę liczebną nad wszystkimi siłami Zachodu i Rady Współpracy Zatoki - odpowiedział Sattari. - Zgodnie z pańskim rozkazem, na każdy ich myśliwiec będzie przypadać sześć naszych. Amerykańskie i saudyjskie F-15 są groźne, ale nie mogą się mierzyć z chmarą naszych MiG-ów-29 i Tomcatów.

- Bardzo dobrze - pochwalił Buzhazi. - A przygotowania na wypadek ataku bombowców stealth?

- Wszystkie stacje radarowe od Szirazu po Czah Bahar są już zsynchronizowane. Nasza kontrola radarowa umożliwi wykrycie bombowców B-2A na całym obszarze Zatoki Perskiej i Zatoki Omańskiej - odpowiedział z dumą Sattari. - Sieć jest kontrolowana z głównego centrum dowodzenia na pokładzie „Chomeiniego”, ale praktycznie każda stacja radarowa może w razie potrzeby przejąć dowodzenie. Radary obrony przeciwlotniczej dalekiego zasięgu wokół Teheranu również zostały zsynchronizowane, a wkrótce wszystkie irańskie systemy radarowe dalekiego zasięgu będą w stanie wykrywać samoloty typu stealth.

- A co z naszymi przygotowaniami do następnych ataków?

- Jesteśmy gotowi - odpowiedział Sattari. - Po pierwszym uderzeniu zaatakują dwa myśliwce bombardujące i dodatkowo formacja myśliwców przechwytyjących. Z przyczyn taktycznych lotnictwo na „Chomeinim” podzieliliśmy na dwie formacje bombowców i dwie formacje myśliwców, żeby zapewnić ciągłość patroli powietrznych, kiedy bombowce będą startować i lądować. Formacje z Czah Bahar i Bandar Abbas niezwłocznie zaatakują kolejne cele w Arabii Saudyjskiej, Bahrajnie i Katarze. Ponadto, nasze siły w Tabrizie i Mahabadzie zostaną postawione w stan gotowości, na wypadek, gdyby wydał pan rozkaz zaatakowania celów w Turcji.

- Doskonale, Sattari, doskonale - powiedział Buzhazi. - Atakujemy dziś w nocy. Niech Allah będzie z naszymi pilotami.

♦ **Baza lotnicza Andersen, Guam.**

**28 kwietnia 1999, godzina 15.51 czasu miejscowego**

Patrick McLanahan stał na trzecim poziomie pomostu w hangarze, w którym kończono właśnie obsługę jego bombowca B-2A Spirit. Miał na sobie czarny kombinezon lotniczy bez żadnych naszywek i emblematów, wyglądający jak strój roboczy mechanika, oraz grube i miękkie buty chińskiej produkcji.

- Dobrze się spisali w tak krótkim czasie - powiedziała Wendy, patrząc na gondolę lewego silnika. - Nikt by nie poznał, że omal nie rozwaliła was irańska rakietka.

- Wendy...

- To naprawdę zwariowany pomysł - powiedziała Wendy gniewnie. - Wprost nie mogę uwierzyć, że coś takiego przyszło ci do głowy, i że Freeman się na to zgodził.

- To jedyny sposób, Wendy - powiedział Patrick, myślami wciąż będąc gdzie indziej, wpatrując się w dal, jakby chciał spojrzeć w przyszłość i zobaczyć, czy im się uda. - Gdyby był jakiś inny sposób, to chętnie posłucham...

- Mam jeden: zostawić to tak jak jest. Zostawić w spokoju ten irański lotniskowiec - powiedziała rozgniewana Wendy. - Nikt nikomu nie wypowiedział wojny. Paul White jest bezpieczny, tak samo inni, którzy przeżyli zatopienie „Valley Mistress”. Hal już odpłacił Irańczykom za to, co zrobili. Czy rachunki nie zostały wyrównane?

- Były wyrównane, dopóki Buzhazi nie zabił prezydenta Natka-Nuri - powiedział Patrick. - To

oczywiste, że Buzhazi nie chce pokoju. Za pomocą grupy bojowej „Chomeiniego” chce się zniszczyć w całym regionie. Jest żądny władzy i chwały.

- Ale dlaczego masz ryzykować życiem dla człowieka, którego nie znałeś, dla Irańczyka? - spytała Wendy sceptycznie. - Był po prostu jeszcze jednym fundamentalistą muzułmańskim, starającym się narzucić reszcie świata swoją odmianę islamu, nie przebijając w środkach...

- Natek-Nuri pragnął pokoju - powiedział Patrick. - Nie był fundamentalistą; był realistą. Być może nie wielbił Stanów Zjednoczonych, ale był na tyle mądry, żeby szukać nowatorskich sposobów na unikanie konfliktów. Buzhazi też nie jest fundamentalistą; jest groźnym psychopata. Wysłała przeciw naszym lotniskowcom Backfire i pociski manewrujące, i robi to dlatego, że go to bawi. Co będzie, jeśli szczęście mu dopisze i wpakuje tysiackilogramową głowicę w „Abrahama Lincolna”? - Wendy nie potrafiła na to odpowiedzieć.

Stali obok siebie jeszcze przez kilka minut, dopóki Patrick nie spojrział na zegarek. - Muszę już iść - powiedział, westchnąwszy głęboko.

- Wiem - odpowiedziała Wendy. Objął ją, a ona zaczęła płakać. - Pamiętasz... pamiętasz, jak mówiliśmy, że spróbujemy mieć jeszcze jedno dziecko? - powiedziała Wendy przez łzy. - No więc już nie musimy próbować...

- Dlaczego? - spytał Patrick. - Dlaczego, Wendy? Oboje tak tego pragniemy... Dlaczego? - Zobaczył w jej oczach ból i pokręcił głową, pełen rozgoryczenia. - To dlatego, że biorę udział w LOCIE PRZYSZŁOŚCI? Do diabła, Wendy, obawiałem się, że tak się stanie. Nie powinienem był przyjmować tej propozycji. Byłem szczęśliwy, prowadząc pub w Starym Sacramento...

- Nie, nie byłeś - przerwała mu Wendy. - Chciałeś wrócić do latania. Kiedy pojawił się Freeman, spełniły się twoje marzenia. Podjąłeś decyzję.

- Ale ja cię kocham, Wendy. Chcę, żebyśmy oboje byli szczęśliwi. Wiem, jak bardzo pragniesz dziecka, jaka byłaś nieszczęśliwa, kiedy straciłaś pierwsze. Jeśli to dla ciebie tyle znaczy, Wendy, to podam się do dymisji...

- Zrobisz to? Teraz, zaraz? Na trzy godziny przed startem?

- Tak - powiedział Patrick zdecydowanie. - Znaczysz dla mnie więcej niż ta operacja, LOT PRZYSZŁOŚCI, czy cały ten cholerny kraj!

Wendy była zupełnie zaskoczona. - Nie mogę w to uwierzyć... zrobiłbyś to dla mnie? Dla nas?

- Tak.

- Jakież to cudowne... Tak bardzo cię kocham, Patrick - powiedziała Wendy. - Ale nie to miałam na myśli.

- Co? Nie to... Wendy, już nic nie rozumiem. Co chcesz powiedzieć? Nie chcesz, żebym zrezygnował z latania?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Wendy. - Miałabym przyglądać się, jak całymi dniami tęsknisz do samolotu, nie możesz sobie znaleźć miejsca w domu, a wieczorem wrzeszczysz na kelnerki? Nie, robisz to, co kochasz i w dodatku jesteś najlepszy, więc rób to dalej. Porozumiem się z Jonem Mastersem i myślę, że zgodzi się, żebym pracowała dla Sky Masters w domu, kiedy będę się opiekować naszym dzieckiem.

- Kim?

- Naszym dzieckiem, głuptasie - powiedziała Wendy. - Możemy przestać próbować, bo już nam się udało. Jestem w ciąży.

- Ale... jak to możliwe...?

- Jak? Mamusia nigdy ci nie mówiła, jak to jest?

- Nie... tak... cholera, myślałem, że nie możesz mieć dzieci, że to przez ten wypadek... Myślałem, że będziemy musieli przejść przez tę całą procedurę zapłodnienia in vitro, testy, specjalistyczne badania, punkcje...

- Cóż, albo to było niepokalane poczęcie, albo lekarze nie mieli racji. Zaszłam w ciążę w tradycyjny sposób, bez synarelu w spreju, bez zastrzyków z pergonalu - powiedziała Wendy z dumą. - Jednak będziesz tatusiem... to znaczy, jeśli do mnie wrócisz.

- Oczywiście, że wrócę, Wendy - powiedział Patrick. - Nawet, gdybym miał iść pieszo. Wszystko zrobię, żeby do ciebie wrócić.

Objęli się jeszcze raz, mocniej niż przedtem. Wśród warkotu samochodów na zewnątrz, krzyków żołnierzy, hałasu towarzyszącego mocowaniu rakiet w zaczepach rewolwerowych wyrzutników, wśród tych wszystkich odgłosów wojny, przez krótką chwilę byli tylko we dwoje...

Start nastąpił wkrótce potem, kiedy na Guam zaległa ciemność. Sprawdzono, czy w okolicy nie ma żadnych niezidentyfikowanych samolotów lub statków i AV-011 uniósł się w powietrze z pasa startowego północ-południe bazy Andersen. Maszyna znalazła się natychmiast na wysokości 150 metrów nad poziomem morza, ponieważ pas kończył się na klifowym wybrzeżu na północnym krańcu wyspy. McLanahan przypomniał sobie, że kiedy poprzednio wyruszył z Guam bombowcem B-2 do lotu bojowego, misja omal nie skończyła się tragicznie. Ale wydawało się, że było to już tak dawno...

Również Tony Jamieson czuł się nieswojo. Aż za dobrze pamiętał tamtą wyprawę na Filipiny przeciw marynarce wojennej i lotnictwu Chin.

A ich obecna misja była jeszcze bardziej szaleńcza. Mieli mniej czasu na planowanie, a w dodatku planowaniem tym zajął się w całości McLanahan - cholerny cywil! - korzystając z komputerów i pomocy kumpli ze Sky Masters Inc. Wróg był tym razem liczniejszy, lepiej wyposażony, lepiej przygotowany i był u siebie, bronił swojej ojczyzny. Jednak Jamieson zgodził się polecieć i teraz nie mógł się już wycofać. Musiał sam sobie udowodnić, że jest coś wart w boju.

Dwie godziny po starcie, w pobliżu Filipin, spotkali się z latającą cysterną KC-135, która wystartowała przed nimi i napełnili zbiorniki. Poczuli się straszliwie osamotnieni, widząc zawracającego KC-135. Rozpoczęli wchodzenie na pułap czternastu tysięcy sześciuset metrów, starając się maksymalnie oszczędzać paliwo. Widzieli światła Manili w odległości 300 mil na południe i światła Tajpej 300 mil na północ. Przed sobą, na horyzoncie, mieli światła Victorii i Makau. Zmienili nieco kurs, żeby ominąć Hongkong...

...i nadlecieli nad ląd nad miastem Zhelang w chińskiej prowincji Guangdong. Przelatywali nad Chinami, żeby zaatakować Iran.

- Aż trudno mi w to uwierzyć - powiedział Jamieson - ale przecież to fakt. Amerykański uzbrojony bombowiec strategiczny naruszył właśnie przestrzeń powietrzną Chińskiej Republiki Ludowej.

Ich największym zmartwieniem była teraz ogromna baza morska i lotnicza w Guangzhou. Już z odległości 300 mil, wkrótce po tankowaniu w powietrzu, zaczęli rejestrować mocne sygnały radarów obrony przeciwlotniczej. Stanowiska obrony przeciwlotniczej w Guangzhou były w stanie gotowości; w większości były to starsze systemy, jeszcze z okresu Związku Radzieckiego, takie jak rakiety dalekiego zasięgu Ł4-2, zwane latajczymi súpami telegraficznymi. W powietrzu znajdowały się tey chińskie samoloty, wykonujące loty patrolowe. Większość myśliwców przechwytyjących, zasygnalizowanych na wskaźniku zagrożeń B-2A okazała się MiG-ami-21, ale było też kilka



nowoczesnych Su-27. - Wygląda na to, że skośnoocy chłopcy nie śpią dziś w nocy - zauważył Jamieson. - Mam nadzieję, że to tylko loty treningowe.

Dokładnie w tym momencie jeden z myśliwców Xian J-7, produkowanych w Chinach na wzór MiG-a-21, omiótł ich bombowiec wiązką radaru. Trójkąt, reprezentujący ten radar, zmienił się z zielonego w żółty. - O kurwa, ten MiG nas namierzył! - zawołał Jamieson. - Godzina ósma, odległość trzydzieści kilometrów!

- Jeśli zostaniemy przechwyceni, najlepiej będzie zejść awaryjnie i zboczyć na południowy zachód, przez Laos i Birmę - powiedział McLanahan, powtarzając zaplanowane w pośpiechu procedury na wypadek takiej sytuacji. - Do granicy Laosu mamy dziewięćset kilometrów. W rejonie na południowy zachód prawie nie ma radarów.

- Jeśli nas rzeczywiście namierzył, będziemy mieli szczęście, jak przetrwamy pięć minut - mruknął Jamieson. Na szczęście parę chwil później pokładowy radar myśliwca zgubił ich i nie szukał ponownie. - Boże, niewiele brakowało.

Ale kłopoty jeszcze się nie skończyły. Po kilku minutach przeszukiwanie obszaru powietrznego rozpoczął inny samolot, tym razem Suchoj-27 produkcji rosyjskiej, znacznie nowocześniejszy myśliwiec bombardujący. W ciągu kilku sekund B-2A znów został namierzony. - Su-27 ma nas - powiedział McLanahan. - Godzina siódma, dwadzieścia kilometrów.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - spytał Jamieson. - Sprawdź swoje przełączniki. - Pośpiesznie przeprowadzili kontrolę, ale wszystko było w porządku. Lecieli w trybie COMBAT, wszystkie systemy kamuflujące i obronne funkcjonowały. - Namierzili nas już dwa razy. Coś nam zwisa?

- Nie widzę innej możliwości - powiedział McLanahan. - Spróbuj skrętu w lewo. - I rzeczywiście, kiedy tylko nos B-2A zwrócił się w stronę myśliwca, trójkąt ostrzegający przed radarem zmienił się z żółtego na zielony, a Su-27 zaczął przeszukiwać niebo w różnych kierunkach, próbując ich odnaleźć. Najmniejsza odległość, na jaką się do nich zbliżył, wynosiła piętnaście kilometrów; za daleko na kontakt wzrokowy, nawet z pomocą urządzeń noktowizyjnych.

- Tego się obawiałem - powiedział Jamieson.

Obsługa B-2A w niczym nie przypomina obsługi żadnego innego samolotu. Ekipy serwisowe muszą przejść specjalne przeszkolenie, a samolot trzeba sprawdzać także pod kątem zachowania niewidzialności. Jedna śruba niewkręcona do końca, jeden szew poszycia nie zakryty jak trzeba, jedno wgłębienie w powłoce i koniec z niewidzialnością; przekrój radarowy może się zwiększyć dwa albo i trzy razy.

Jamieson odwrócił się do McLanahana. - Musimy podjąć decyzję. Wszyscy wiedzą, że chiński sprzęt wojskowy jest gówno wart, a tu ich standardowe myśliwce namierzyły nas dwukrotnie i zbliżyły się na odległość umożliwiającą odpalenie rakiet. Iran dysponuje nowoczesnym sprzętem, tak samo Indie i Pakistan. Birma jest dla nas ostatnią szansą bezpiecznego zawrócenia.

McLanahan zdawał sobie sprawę, że nie mają wyboru; misja była poważnie zagrożona. - W porządku - powiedział. - Muszę się zgodzić. Myślę, że mimo wszystko jakoś byśmy sobie poradzili, ale ryzyko jest za duże. Zawrócimy przez Birmę, kiedy tylko wyjdziemy z zasięgu chińskich radarów. Powiadomię bazę Andersen, żeby wysłali latającą cysterne. - W podświadomości cały czas tkwiła zaskakująca nowina Wendy: miał zostać ojcem. Nie mógł ryzykować, że jego dziecko będzie się wychowywać bez ojca.

McLanahan przygotowywał raport o przerwaniu misji, zamierzając wysłać go łączem satelitarnym. Po godzinie lotu, kiedy znaleźli się poza zasięgiem chińskiej obrony przeciwlotniczej w

rejonie Chengdu, mogli wreszcie bezpiecznie wyłączyć na chwilę „czapkę niewidkę” AN/VUQ:13 BEADS, złapać namiary nawigacyjne w systemie GPS i skorzystać z łączności satelitarnej. W chwili, kiedy McLanahan zamierzał wysłać raport, otrzymali jednak pilną wiadomość.

- Cholera! - zawołał McLanahan. - Iran atakuje Zjednoczone Emiraty Arabskie i Oman!

- Co takiego?

- Irańskie bombowce atakują trzy bazy w Emiratach i dwie w Omanie - czytał McLanahan. - Iran eliminuje każdą bazę Rady Współpracy Zatoki, która mogłaby stworzyć zagrożenie dla lotniskowca „Chomeini”, dopóki znajduje się on w Zatoce Omańskiej. Liczne myśliwce irańskie zapewniają osłonę w całym regionie, także w pobliżu grupy bojowej „Lincolna”... żadne ze stanowisk obrony przeciwlotniczej USA, czy Rady Współpracy Zatoki, nie było w stanie zareagować. Atak nastąpił zupełnie niespodziewanie.

- Dostaniemy w dupę - powiedział Jamieson. - Jeśli Iran pójdzie za ciosem, możemy stracić wszystkie bazy morskie i lotnicze na wschód od Morza Czerwonego. To by... - Wiedział, obaj wiedzieli, co trzeba zrobić: nie mogli przerwać misji. Ich bombowiec B-2A był jedynym samolotem bojowym sił sojuszniczych w rejonie Zatoki, gotowym do walki, jedynym, który mógł powstrzymać Irańczyków. - Za ile tam będziemy, DM?

- Za około trzy godziny - odpowiedział McLanahan.

- Cóż, nie zdążymy zareagować na pierwsze ataki, ale z pewnością spróbujemy coś zrobić w następnymi - powiedział Jamieson. - Zakładamy „czapkę niewidkę” i bierzemy kurs prosto na cel; mamy lotniskowiec do zatopienia.

Kiedy minęli Chengdu, aktywność chińskich radarów obrony przeciwlotniczej znacznie osłabła. Wyłączyli BEADS, żeby przez satelitę otrzymać najnowsze dane, włączyli go na krótko, zbliżając się do Lhasy w południowych Chinach, a potem jeszcze raz w pobliżu Katmandu w Nepalu.

Dolatując do Indii, uważnie studiowali mapy z naniesionymi stanowiskami obrony przeciwlotniczej. - Myślę, że to zbyt ryzykowne - powiedział w końcu McLanahan. - Pierwotny plan przewidywał przelot nad północnymi Indiami i Pakistanem; tak byłoby najbliżej, ale za dużo tam radarów. Cały ten obszar jest silnie ufortyfikowany w związku z indyjsko-pakistańskimi starciami granicznymi w Pendżabie i Kaszmirze. Najrozsądniej byłoby polecieć dalej na północ, nad Afganistanem na północ od Kabulu, a potem na południe do Czah Bahar.

- A co z paliwem? - spytał Jamieson.

- Musielibyśmy nadłożyć godzinę drogi - powiedział McLanahan. - Jeśli przyjąć, że wszystkie nasze bazy na Półwyspie Arabskim i w Turcji są niedostępne z powodu ataków irańskich, to albo złapiemy cysterne zaraz nad Morzem Arabskim w drodze powrotnej, albo wpadniemy do morza. Diego Garcia jest za daleko, innych alternatywnych lotnisk też nie ma.

- Kiedy musimy podjąć decyzję?

- Mniej więcej teraz - odpowiedział McLanahan. - Jeśli zdecydujemy się teraz przerwać misję, zawrócimy, polecimy nad Birmą, potem na wschód i złapiemy cysterne koło Manili. Prawdopodobnie moglibyśmy też zawrócić później i polecieć nad Indiami, ale musielibyśmy wtedy zamówić cysterne z Diego Garcia, żeby spotkała się z nami nad Morzem Arabskim albo nad Zatoką Bengalską. Tak czy inaczej, od tej chwili będzie kiepsko z paliwem. To ostatni moment, kiedy mamy w zbiornikach przyzwoitą ilość.

- Szlag by to trafił! - zaklął Jamieson. - Dokładnie przed tego rodzaju sytuacją przestrzegałem generała Samsona. Nie można dać się zapędzić do narożnika. Nie można głupio szarżować. Cóż,

zdaje się, że za biurkiem człowiek tetrycjeje. - Odwrócił się do McLanahana. - Ty jesteś dowódcą. Ja poprowadzę nasz autobus, dokąd sobie zażyczysz.

McLanahan spojrział na niego zdziwiony. - Hej, Tygrys, po raz pierwszy powiedziałeś to bez sarkazmu.

- Tak, pewnie powinienem sprawdzić aparaturę tlenową. Zdaje się, że odczuwam skutki niedotlenienia. - Wzruszył ramionami, a potem skinął głową. - Jesteś w porządku, stary. Przyprowadziłeś nas tutaj. Teraz decyduj.

McLanahan zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział: - Wiesz, właśnie się dowiedziałem, że zostanę ojcem. Wendy jest w ciąży.

- Nie bujasz? To wspaniale. Gratulacje. Sam mam trójkę dzieciaków. Te maluchy odmieniają człowiekowi życie, możesz mi wierzyć. - Spojrział uważnie na McLanahana. - Więc zastanawiasz się nad przerwaniem misji?

- Trudno byłoby o lepszy powód... - Zawahał się, myślał przez chwilę i dodał: - ...ale ci faceci tam, na ziemi, liczą na nas. Musimy lecieć dalej, Tygrys.

- Więc lecimy - zgodził się Jamieson. - Nie ma odwrotu.

Lot nad Afganistanem minął zupełnie spokojnie, ale sytuacja gwałtownie się zmieniła, kiedy zbliżyli się do południowo-wschodniego Iranu. Plan przewidywał, że polecą nad słabo zaludnionymi obszarami na północnym wschodzie prowincji Kerman i na północy prowincji Beludzystan i Sistan, ale kiedy zbliżyli się do irańskiej bazy lotniczej koto Zahedanu, stało się jasne, że nie mogą ustawiać lewego skrzydła w kierunku jakiegokolwiek radaru. Polecieli więc na wschód od Zahedanu, nad zachodnim Pakistanem.

Koło Zahedanu wyłączyli na chwilę „czapkę niewidkę”, żeby zaktualizować pokładowy system nawigacji bezwładnościowej danymi z GPS, skorzystać z radaru SAR do wyskalowania wysokościomierza ciśnieniowego oraz odebrać najnowsze informacje wywiadu satelitarnego o irańskich atakach na Zjednoczone Emiraty Arabskie i Oman. - Bitwa weszła w drugą fazę - poinformował McLanahan, czytając z ekranu. - Baza morska Kamza Omani na półwyspie Musandam w cieśninie Ormuz została zniszczona. Baza lotnicza Sib w Omanie odniosła znaczne uszkodzenia. Prawie całe lotnictwo omańskie niezdolne do akcji. Baza morska Mina Sułtan w Emiratach: znaczne uszkodzenia; właśnie tam stacjonowała Zjawa. Boże, mam nadzieję, że wyszli z tego cało. Tarcza Półwyspu informuje o kontrataku komandosów z Mina Sułtan na odbudowane stanowiska irańskiej obrony przeciwlotniczej na wyspie Abu Musa. Kilku rannych, ale nikt nie zginął; irańska obrona przeciwlotnicza zneutralizowana: zniszczone dwa stanowiska Shahine, jeden Rapier i centrum dowodzenia. Pas startowy niezdatny do użytku. Tak, to mi wygląda na robotę moich przyjaciół.

Lecieli na południowy zachód, mijając Zahedan, kiedy zarejestrowali pierwsze sygnały radaru obrony przeciwlotniczej w Czah Bahar. - Schodzimy - powiedział McLanahan, wprowadzając polecenia z klawiatury komputera. - System COLA uaktywniony. - Skonfigurował swój supermonitor tak, żeby widzieć, co dzieje się wokół B-2A i na ziemi.

- Gotów - zameldował Jamieson. Ustawił autopilota zgodnie z nowymi poleceniami wprowadzonymi do systemu kontroli lotu i B-2A zaczął wytracać wysokość z prędkością ponad czterech tysięcy pięciuset metrów na minutę. Z uwagi na BEADS, bombowiec B-2A, w odróżnieniu od B-52, F-111, F-15E czy B-1B, nie mógł korzystać z konwencjonalnego systemu radarowego do wykrywania przeszkód terenowych podczas lotu na bardzo małej wysokości. Nie można było nawet korzystać z wysokościomierza radarowego, ponieważ BEADS absorbował całą emitowaną z

samolotu energię.

Zamiast tego B-2A był wyposażony w system, opracowany przez Ośrodek Nowoczesnej Broni Lotniczej. System nazywał się COLA\* i po raz pierwszy zastosowano go w eksperymentalnym bombowcu B-52H, zwanym Megafortress, B-52H służył do testowania wielu nowoczesnych systemów uzbrojenia i rozwiązań problemu „niewidzialności”, wykorzystywanych potem w kolejnych generacjach samolotów bojowych. W ramach systemu COLA całą kulę ziemską podzielono na „bloki” o powierzchni jednej mili kwadratowej i do komputerów kontrolujących lot B-2A wprowadzono dane o najwyższych wzniesieniach w każdym z tych bloków. Dzięki nawigacji bezwładnościowej, system kontroli lotu B-2A „pamiętał”, jak ukształtowana jest powierzchnia ziemi na trasie i automatycznie dobierał możliwie najniższą wysokość, dostosowując ją do nierówności terenu. Komputer „przewidywał” ukształtowanie terenu przed samolotem, na bieżąco kontrolował parametry lotu i warunki zewnętrzne, prowadząc maszynę jak najbliżej powierzchni ziemi, czasem na wysokości zaledwie trzydziestu metrów. Ludzie z załogi byli w tej sytuacji „ślepi, głusi i głupi”. Dokładność nawigacji bezwładnościowej pogarszała się z upływem czasu, a przy uaktywnionym systemie BEADS, to znaczy przy naciągniętej „czapce niewidce”, nie było mowy o kalibrowaniu. System COLA uwzględniał to, dokładając pewien margines bezpieczeństwa do prognozowanej najniższej wysokości.

\* COLA - Computer Generated Lowest Altitude - najniższa wysokość określana komputerowo [przyp. tłum.].

W południowo-wschodnim Iranie teren był płaski, tylko sporadycznie zdarzały się ostre, wąskie granie i płytkie doliny z bagnami lub wyschniętymi jeziorami na dnie. Osiemdziesiąt kilometrów na południe od Zahedanu przelecieli nad autostradą Maszhad Czah Bahar. Potem lecieli równolegle do tego ważnego szlaku drogowego, zachowując od niego dystans około sześćdziesięciu kilometrów, żeby nie zbliżać się za bardzo do skupisk ludności wzdłuż autostrady, którą jednak Jamieson wciąż widział przez swoje okno. - Niesamowity ruch - powiedział. - Wszyscy jadą na północ. To nie takie głupie: wynieść się w tych dniach z wybrzeża.

Około trzystu kilometrów na północ od Czah Bahar zarejestrowali pierwsze stacje radarowe nad Zatoką Omańską. Na wskaźniku zagrożeń pojawił się symbol przypominający skrzydła nietoperza: powietrzny system wczesnego ostrzegania. - irański A-10 - powiedział McLanahan. - Odległość około dwustu pięćdziesięciu mil, siedemdziesiąt mil od brzegu. Do drugiej stacji radarowej nad Zatoką Omańską jest sto dwadzieścia mil. To oznacza, że jeśli nas tu wykryją, będziemy na ich ekranach przez dziesięć, piętnaście minut...

W tym momencie na wskaźniku zagrożeń pojawił się następny symbol; tym razem nie A-10, lecz irański myśliwiec F-14 Tomcat. - Mamy Tomcata przed nosem, odległość około stu mil - powiedział McLanahan. - Jeszcze nas nie namierzył, ale leci prosto na nas...

- To musi być coś z tym lewym skrzydłem, obluźwana śruba, albo nit - powiedział Jamieson. - Zwiększa nam się przekrój radarowy. F-14 są zaprojektowane do szukania nisko lecących obiektów, tak małych jak pociski manewrujące.

- No to dajmy im coś większego, do czego będą sobie mogli postrzelać - powiedział McLanahan. - Myślałem, że zacznie się to trochę później, ale zainteresowali się nami już teraz. Ustawię wysokość na sto pięćdziesiąt metrów; przygotuj się do startu rakiety. - McLanahan ustawił system COLA na sto pięćdziesiąt metrów i odpalił pierwszy pocisk manewrujący AGM-86C. Poddźwiękowy pocisk z silnikiem turboodrzutowym leciał z prędkością dziesięciu kilometrów na minutę i miał zasięg

ośmiuset kilometrów. Ten, który właśnie odpalili, zamiast głowicy bojowej miał nadajniki radiowe, pozorujące przekrój radarowy i charakterystykę elektroniczną wielkiego bombowca. Zaraz po starcie pocisk skręcił w prawo i ruszył w kierunku Bandar Abbas. F-14 Tomcat rzucił się w pościg. - Połknął przynętę - powiedział McLanahan. - Zboczmy na wschód, żeby mieć Iranszahr po stronie prawego skrzydła. - Ponownie ustawił system COLA na najmniejszą bezpieczną wysokość i znów przecięli autostradę Maszhad-Czah Bahar, lecąc na wschód wzdłuż pasma wzgórz.

- Dwieście kilometrów do celu - powiedział McLanahan. - Wskaźnik zagrożeń czysty... włączony radar SA-10 koło Czah Bahar, ale na razie...

- W tym momencie na wskaźniku zagrożeń ponownie pojawił się Tomcat.

- Cholera, F-14 wrócił; pewnie zestrzelił naszą rakietę, myśląc, że to bombowiec i szuka skrzydłowego.

- No to mu go dajmy, ale tym razem niech cel ucieka od Czah Bahar.

- Ponownie ustawił system COLA na 150 metrów i odpalił drugi pocisk AGM-86C, zaprogramowany na lot w kierunku północnym, na lotnisko Beghin. - Rakietę poszła, resetuję system COLA..

W tym momencie w słuchawkach usłyszeli zsynchronizowany przez komputer komunikat: - Ostrzeżenie, start rakiety, ostrzeżenie, start rakiety. - Namierzyła ich wyrzutnia rakiet ziemia-powietrze SA-10 Grumble; z otwartymi drzwiami bombowymi B-2A był bardzo zachęcającym celem, nawet z dużej odległości. - MAWS uaktywniony! - krzyknął McLanahan. - Zakłócanie działa! - Kilka sekund później zdał sobie sprawę, że podjął błędną decyzję. - Nie, SA-10 namierzyła nasz pocisk manewrujący! - Jednak było już za późno. Uaktywniając system śledzenia rakiet MAWS i zakłócanie musiał wyłączyć BEADS i irański Tomcat, który nie wykrył jeszcze drugiego pocisku AGM-86C, namierzył ich bombowiec.

- MAWS wyłączony, zakłócanie w pogotowiu - zameldował McLanahan. Widzieli, jak F-14, który patrolował na dużej wysokości, spada prosto na ich B-2A - Leci na nas. Spróbuję... - Nagle w słuchawkach znów rozległo się: - Ostrzeżenie, start rakiety. - Irański Tomcat zaatakował.

McLanahan ponownie uaktywnił system MAWS, który natychmiast wyrzucił folię radarową z zasobników po lewej stronie, podczas gdy Jamie-son odszedł ostro w prawo. - Zakłócanie włączone, MAWS działa!

Widzieli, jak pierwsza rakietka sygnalizowana na wskaźniku zagrożeń, prawdopodobnie Phoenix albo wystrzelony z powietrza Shahine, była z każdą sekundą coraz bliżej... Znów rozległo się: - Ostrzeżenie, start rakiety - i drugi pocisk rakietowy został odpalony z dużej odległości.

System obronny HAVE GLANCE zaczął strzelać wiązkami światła laserowego, kiedy pierwszą rakietę dzieliły od bombowca zaledwie trzy sekundy, ale to wystarczyło. Radar Phoenixa przegrzał się i pocisk dokonał samozniszczenia. Eksplozja nastąpiła w odległości niespełna stu pięćdziesięciu metrów od B-2A - Odejdź w lewo, nadlatuje druga rakietka! - krzyknął McLanahan i Jamieson wykonał ostry skręt w lewo. System MAWS wyrzucił folię z zasobników po prawej stronie.

Folia zmyliła na chwile drugą rakietę, zwłaszcza że urwał się również kontakt radarowy, kiedy lewe skrzydło zniknęło z pola widzenia. Wprawdzie rakietka ponownie złapała namiar, kiedy folia się rozproszyła, ale był to namiar na górę Kuhiri na południe od Iranszaru, a nie na bombowiec B-2A Ta druga rakietka chybiła zaledwie o dziewięćdziesiąt metrów - taką odległość pokonywała w jedną dziesiątą sekundy! - i eksplodowała na zboczu pod nimi.

Nadlatywał jednak A-14. - Myśliwiec, godzina pierwsza, w górze, zbliża się z prędkością tysięcy

sto... system HAVE GLANCE uaktywniony!

System HAVE GLANCE, wysokoenergetyczny laser sprzężony z radarem, był zabójczy dla delikatnych czujników, takich jak montowane w pociskach raketowych naprowadzanych termicznie lub radarem, a także... dla ludzkiego wzroku. Pilot F-14 schodził ostro, mijając właśnie 4.500 metrów i odbezpieczając dwudziestomilimetrowe działko, kiedy laser systemu HAVE GLANCE strzelił wiązką oślepiającego światła.

Laser helowo-argonowy, nie większy od dużej kamery wideo, jest równie potężny, jak przemysłowe lasery do cięcia diamentów. Pilot F-14 nie poczuł bólu, kiedy promień fioletowego światła trafił go w oczy. Zobaczył jaskrawy błysk, który na moment pozbawił go zdolności widzenia, jak kłęb dymu, czy piaszczysta chmura. Zamrugnął powiekami, ale wciąż nic nie widział. Mrugnął jeszcze raz; zrobiło się trochę lepiej. Na swoim wyświetlaczu HUD widział podawaną przez radar odległość... 3.000 metrów do otwarcia ognia... 2.000 metrów... gotów do strzału... teraz!

Ale radar Tomcata nie namierzał już bombowca B-2A. Podobnie jak w wypadku Phoenixa, najpierw dał się zwieść folii przeciwradarowej, a potem namierzył jakąś nierówność terenu, podczas gdy bombowiec odszedł w bok. W rzeczywistości radar Tomcata odliczał odległość od ziemi! Światła samochodu, przejeżdżającego koło miasta Czah Bahar były dla pilota pierwszym sygnałem, że znalazł się bardzo blisko ziemi. Ułamek sekundy później nurkujący pionowo prawie z prędkością dźwięku myśliwiec uderzył w ziemię.

- Wskaźnik zagrożeń czysty - powiedział McLanahan. - Przed nami Czah Bahar, odległość siedemdziesiąt kilometrów. Jesteśmy w zasięgu radaru irańskiego A-10.

#### ◆ Na pokładzie lotniskowca „Ajatollah Ruhollah Chomeini”, o tej samej porze

- Stacje radarowe informują o samolocie, dwieście pięćdziesiąt kilometrów od nas. Leci na południe na bardzo małej wysokości, mniej niż dwieście metrów, z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę - zameldował generał Muhammad Badi. - Siły obrony przeciwlotniczej w Czah Bahar atakują liczne niezidentyfikowane cele na południe od Iranszaru. Jeden z tych celów został zniszczony, ale prawdopodobnie był to pozorator.

- Dobrze - powiedział Tufajli z pewnością siebie w głosie. - Nowy system radarowy wydaje się funkcjonować doskonale.

- Mamy wysłać w pościg myśliwce?

- Nie, Badi, jeszcze nie teraz - odpowiedział Tufajli. - Zaczekamy, aż wróg nadleci nad morze i dopiero wtedy użyjemy naszych sił. - Przerwał na chwilę, żeby pomyśleć. - Samolot jest teraz nad wschodnim Iranem? To znaczy, że musiał przylecieć kursem zachodnim, znad Afganistanu, a przedtem leciał nad Indiami, a może i nad Chinami? To oznacza, że Amerykanie naruszyli być może przestrzeń powietrzną Chin, żeby zaatakować od strony azjatyckiej; woleli nie próbować następnego ataku od strony morza! Myślę, że naszych chińskich przyjaciół bardzo to zainteresuje, nie sądzi pan, Badi? Połącz mnie natychmiast z chińskim dowódcą w Czah Bahar.

#### ◆ Na pokładzie A V-011

- Raz się udało, zobaczymy, czy uda się jeszcze raz - powiedział McLanahan. - Odpalam raketę... gotów... drzwi otwarte... jedna poszła... druga poszła... drzwi zamknięte... - W tym momencie rozległo się kolejne ostrzeżenie przed startem rakiety z wyrzutni SA-10.

Pocisk raketowy SA-10 Grumble leciał krzywą balistyczną nad pofałdowaną powierzchnią południowo-wschodniego Iranu, wznosząc się na piętnaście tysięcy metrów przed rozpoczęciem nurkowania do „koszyka”, w którym spodziewany był cel. Kiedy raketa uaktywniła swój radar i

omiotła nim „koszyk”, natychmiast namierzyła bombowiec B-2A. Pocisk raketowy SA-10 Grumble był wyposażony w dwie głowice naprowadzające: jedną, z aktywnym radarem, w części dziobowej i - ponieważ Grumble leciał obliczonym przez komputer kursem na przechwycenie - głowicę naprowadzającą na podczerwień, zamontowaną w korpusie i „patrzącą” w bok. Naprowadzanie na podczerwień było alternatywą na wypadek defektu naprowadzania radarowego. Pocisk SA-10 z dwiema głowicami naprowadzającymi bardzo trudno było zmylić.

Laser systemu HAVE GLANCE natychmiast zniszczył jednak głowicę naprowadzania na podczerwień, powodując przy okazji przekazanie przez komputer tej głowicy błędnych danych, dotyczących korekty kursu rakiety. Trwało to zaledwie sekundę, ale wystarczyło, żeby rakiecie zupełnie pomieszały się parametry przechwycenia. W chwili, kiedy uaktywnił się laser systemu HAVE GLANCE, Jamieson wprowadził maszynę w ciasny lewy skręt, a McLanahan wyrzucał folię przeciwradarową. Rakieta SA-10 zakołysała się, namierzyła folię, uznała, że ten cel ma za małą prędkość, ponownie namierzyła bombowiec i trafiła go w końcówkę prawego skrzydła, niedaleko krawędzi spływu. Głowica bojowa wyrwała w skrzydle sześć-dziesięciocentymetrową dziurę, niszcząc prawe stero-klapo-lotki i uszkadzając zbiornik paliwa.

Bombowiec B-2A przechylił się w prawo o dobre dziewięćdziesiąt stopni i zaczął przepadać. Jamieson próbował wyrównać, ale samolot przestawał słuchać sterów. - Stery nie działają! - krzyknął do McLanahana. - Straciliśmy prawe stero-klapo-lotki... no, rusz się do diabła! - Obaj mężczyźni musieli wspólnymi siłami napierać na drążek sterowy i do końca wychylić lewy trymer, żeby wyprowadzić maszynę.

- Straciliśmy prawe stero-klapo-lotki - potwierdził McLanahan. - Lewe stero-klapo-lotki wysunięte na pięćdziesiąt-sześćdziesiąt procent. Silniki w porządku, wszystkie inne systemy w porządku. Wygląda na to, że z prawego skrzydła wycieka paliwo... zawory w prawym skrzydle zamknięte, wszystkie silniki zasilane z lewego skrzydła, pompy zasilające włączone, wszystko odbywa się automatycznie, ale będę tego pilnował. Hydraulika w porządku.

Tymczasem dwa pociski manewrujące JSOW były już w drodze. „Krzykacze” jak zwykle narobiły mnóstwo zamieszania. Zasymulowały tyle celów, że tuzin stanowisk obrony przeciwlotniczej w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Czah Bahar równocześnie otworzyło ogień. Wszystkie strzelały na wschód albo na zachód, zamiast na północ, do B-2A.

W odległości dwudziestu kilometrów od Czah Bahar McLanahan odpalił kolejne dwie rakiety. Tym razem były to naddźwiękowe AGM-88 HARM\* do zwalczania radarów, uzbrojone w konwencjonalne siedemdziesięciokilogramowe głowice bojowe z kostkami ze stali wolframowej umieszczonymi w materiale wybuchowym, co potrajało siłę rażenia. Pociski HARM opuściły wyrzutnik rewolwerowy, odpaliły i szybko namierzyły radar w Czah Bahar, znajdujący się prosto przed nimi. Za sprawą „krzykaczy” radar pracował pełną mocą, naprowadzając stanowiska obrony przeciwlotniczej, więc oba pociski miały łatwe zadanie. Kilka sekund później radar poszukiwania w Czah Bahar został całkowicie zniszczony.

\* HARM - High-speed Anti-Radiation Missiles - szybkie rakiety antyradarowe [przyp. tłum.].

- Okay - powiedział Jamieson. - Możemy zawrócić i uciekać. Mamy całkiem niezłe szanse wydostania się stąd. Możemy uciekać nad Pakistanem albo Afganistanem, a potem złapać cysterne nad Zatoką Omańską.

- Tak naprawdę, to wcale tego nie chcesz, Tygrys - odparł McLanahan.

- Chcesz zobaczyć, jak tonie irański lotniskowiec. Ja też.

- Taak, masz rację - powiedział Jamieson. - Do diabła, i tak nigdy nie chciałem żyć wiecznie. Bierzmy się do roboty, a potem się stąd wynośmy.

- Pchnął dźwignie, zwiększając ciąg, podczas gdy McLanahan wyłączył system COLA. Rozpoczęli strome wznoszenie nad Zatoką Omańską, lecąc w kierunku lotniskowca.

#### ♦ Na pokładzie „Chomeiniego”, o tej samej porze

- Radar w Czah Bahar nie działa - zameldował Badi admirałowi Tufajliemu. - Synchronizujemy samolot radiolokacyjny A-10 z naszym radarem poszukiwania.

A-10 będzie krążyć o pięćdziesiąt kilometrów dalej na północ, żeby skompensować utratę stacji naziemnej. Zażądaliśmy następnego A-10 na jego miejsce, przybędzie za około trzydzieści minut... Uwaga... Ponownie namierziliśmy cel, kierunek zero-jeden-pięć, odległość dziewięćdziesiąt sześć kilometrów, prędkość sześćset kilometrów na godzinę. Wydaje się, że znacznie zwolnił.

- Może jest uszkodzony - powiedział Tufajli. - Czas wysłać myśliwce. Niech dopadną ten bombowiec i zniszczą go raz na zawsze!

- Odległość dziewięćdziesiąt kilometrów, prędkość pięć-dziewięć-zero, wysokość... wysokość rośnie. Cel się wspina... minął trzysta metrów... czterysta... odległość osiemdziesiąt kilometrów, wysokość sześćset metrów. Namierziliśmy go... Odległość siedemdziesiąt pięć kilometrów i maleje. Prędkość spadła do pięciuset kilometrów na godzinę!

- Atakować z jak największej odległości - rozkazał Tufajli. - Niech myśliwce startują. Wszystkie nasze maszyny mają się znaleźć w powietrzu. Gdzie jest teraz ten bombowiec?

- Wciąż się wspina... Myśliwce przechwytyjące numer dwadzieścia i numer dwadzieścia jeden zbliżają się do niego. Odległość sześćdziesiąt kilometrów...

- Dwadzieścia i dwadzieścia jeden? Skąd one są? - spytał Tufajli.

- To F-4 Phantom obrony przeciwlotniczej w Czah Bahar, współpracują z A-10. - Przerwał i spojrzał na dowódcę. - A-10? Czyżby bombowiec chciał zaatakować samolot radiolokacyjny?

- Zabrać stąd tego A-10! Niech natychmiast ucieka! - Ale było już za późno. B-2A odpalił dwa pociski rakietowe AGM-88 HARM, które natychmiast namierzyły A-10 i strąciły go do Zatoki Omańskiej.

- Zniknął!... Zniknął nam z ekranów radarowych! Myśliwce przechwytyjące straciły kontakt!

- Nie! - krzyknął Tufajli, uderzając z wściekłości pięścią w fotel. Radary pokładowe myśliwców F-4 były w opłakanym stanie, brakowało do nich części zamiennych, były znacznie mniej sprawne niż radary samolotów Su-33 czy MiG-29. - Byliśmy tak blisko! Badi, wszystkie nasze myśliwce mają się natychmiast znaleźć w powietrzu! Strzelać do wszystkiego, co na radarze choć trochę przypomina bombowiec! Miejsce tej amerykańskiej maszyny jest na dnie Zatoki Omańskiej!

#### ♦ Na pokładzie A V-011

Z nosem skierowanym w dół i na jałowym ciągu, żeby od tyłu prezentować jak najmniejszy przekrój termiczny, bombowiec B-2A Spirit leciał ku ciemnej powierzchni Zatoki Omańskiej opracowanym przez komputer kursem, prowadzącym do lotniskowca „Chomeini”. Kiedy minęli tysiąc pięćset metrów, McLanahan dostrzegł maleńkie światełko na powierzchni morza, a zaraz potem następne...

- Włączam SAR - poinformował. - SAR wyłączony. Mam lotniskowiec, prosto przed nami, piętnaście mil... ostatnie cztery rakiety zaprogramowane i gotowe do odpalenia.

- No to odpalaj i wracamy do domu - powiedział Jamieson.

Trzydzieści sekund później ostatnie cztery pociski JSOW poleciały w kierunku lotniskowca



„Chomeini”.

Zgodnie z planem lotu, zaprogramowanym przez McLanahana, cztery pociski JSOW zaczęły się ostro wznosić, znajdując się na północ od irańskiej grupy bojowej lotniskowca, ale zaraz skręciły na południowy wschód i zaczęły schodzić, lecąc jedna za drugą w odstępach mniej więcej co pięćset metrów. Kiedy przelatywały nad okrętami, od czubka anteny krążownika „Zhanjiang” dzieliło je zaledwie kilkanaście metrów. W każdej z rakiet otworzyły się niewielkie drzwi bombowe i nad okrętami roztoczyła się niewidoczna chmura rozpylonej cieczy. Kropelki cieczy natychmiast osiadły na okrętach, pokrywając je cieniutką bezwoną warstewką. Wykonawszy zadanie, rakiety spadły do Zatoki Omańskiej, nie zauważone przez nikogo.

W ciągu kilku sekund od zetknięcia z powietrzem, cienka warstewka, która pokryła dwa wielkie okręty, zaczęła działać...

#### ◆ Na pokładzie lotniskowca „Chomeini”

- No, nareszcie! - krzyknął admirał Tufajli.

Pierwszy śmigłowiec ratowniczy uniósł się właśnie z pokładu i zajmował pozycję po lewej stronie, gotów śpieszyć z pomocą załogom, które musiałyby się katapultować zaraz po starcie z lotniskowca. Ściągnięcie załogi śmigłowca i wysłanie go w powietrze zajęło piętnaście minut; taka opieszałość była absolutnie niedopuszczalna, pomyślał admirał.

Admirał przeniósł wzrok z pokładu śmigłowcowego na miejsce przed pomostem wyspowym lotniskowca, gdzie myśliwiec Su-33 stał uzbrojony w dwa pociski rakietowe dalekiego zasięgu R-73. Obsługa zdołała wyładować cztery naprowadzane laserem pociski Ch-25, w które przedtem uzbrojony był myśliwiec, ale nie było już czasu na podwieszenie dalszych R-73. Ze zbiornikami napełnionymi tylko częściowo podwieszenie o masie zaledwie 400 kilogramów, Su-33 mógł skorzystać z krótszego, stumetrowego pasa startowego; cięższe myśliwce musiały startować z dwustumetrowego pasa wzdłuż lewej burty. Tufajli coraz bardziej się niecierpliwił, ale też zdawał sobie sprawę, że nocne operacje lotnicze z lotniskowca są bardzo niebezpieczne. Wiedział, że załoga robi, co może. - Czy ten bombowiec pojawił się znów na naszych radarach? - spytał.

- Niezidentyfikowany cel, kierunek zero-pięć-zero, odległość dwadzieścia mil morskich, oddala się od nas - nadeszła odpowiedź.

- To musi być ten bombowiec, Badi - powiedział Tufajli. - Trzeba to natychmiast sprawdzić! Niech wystartuje śmigłowiec radiolokacyjny! Kiedy nasze myśliwce zestrzelą maszynę jankesów, postaramy się wydobyć wrak i ciała...

- Panie admirale, pilot śmigłowca ratowniczego zgłasza awarię hydrauliki. Chce, żebyśmy przygotowali pokład na lądowanie awaryjne - zameldował nagle generał Badi.

- Odmawiam! - wrzasnął Tufajli. - Najpierw muszą wystartować dwa myśliwce!

- Panie admirale, śmigłowce Mi-8 mają jeden układ hydrauliczny i układ awaryjny, który pozwala tylko na kontrolowane schodzenie, ale nie na manewrowanie - przypomniał Badi. - Ponieważ w tej chwili nikt nas nie atakuje, wysłanie myśliwców w powietrze nie ma krytycznego znaczenia. Powinniśmy ściągnąć ten śmigłowiec na pokład.

- Dobrze, Badi, ale dopiero po starcie pierwszego myśliwca! - powiedział Tufajli. Badi odetchnął z ulgą i wydał odpowiednie rozkazy.

Drugi myśliwiec czekał więc na początku dwustumetrowego pasa, podczas gdy pierwszy, na krótszym pasie, włączył dopalacze i po kilku sekundach, potrzebnych do ustabilizowania ciągu, ruszył w kierunku skoczni narciarskiej. Wydawało się, że przyspiesza normalnie, chociaż startom z

krótszego, stumetrowego pasa, zawsze towarzyszyło ogromne napięcie. Myśliwiec najechał na skocznię narciarską i wdzięcznie wyszedł w powietrze. Ludziom na pokładzie znikł na moment z oczu, kiedy opadł poniżej skoczni, ale zaraz zobaczyli go przed dziobem lotniskowca. Leciał jeszcze na włączonych dopalaczach. - Nareszcie! - krzyknął Tufajli. - Ściągnijcie ten śmigłowiec, a potem niech natychmiast startuje drugi myśliwiec...

- Myśliwiec przechwytyjący numer jeden zgłasza awarię sterowania! - krzyknął Badi. Tufajli spojrział w kierunku myśliwca, który dopiero co wystartował i wciąż leciał na dopalaczach, wznosząc się stromo. - Pilot mówi, że z najwyższym trudem może poruszać sterami, i że podwozie utknęło w pozycji pośredniej, ani wysunięte, ani schowane.

- Co się, u diabła, dzieje, Badi? - krzyknął Tufajli. Myśliwiec był coraz dalej, wciąż lecąc na dopalaczach. Tufajli pomyślał, że przy takim zużyciu paliwa będzie miał czas na odpalenie tylko jednej rakiety dalekiego zasięgu, zanim będzie musiał zawracać.

- Może jakieś zanieczyszczenia w płynie hydraulicznym - zastanawiał się głośno Badi. - Awaria jest podobna jak w śmigłowcu ratowniczym... - Przerwał, żeby wysłuchać meldunku z interkomu. Nagle twarz mu poszarzała. Odwrócił się do Tufajliego. - Kontrola lotów informuje, że pilot myśliwca numer jeden stracił panowanie nad maszyną i musiał podjąć próbę katapultowania się.

- Katapultowania? - wrzasnął Tufajli. Zerwał się na równe nogi i zaczął się rozglądać po nocnym niebie w poszukiwaniu spadochronu, ale na próżno. - Co się stało?

- Według ostatniego meldunku pilota, katapulta zawiodła - powiedział Badi. - Myśliwiec znikł z radaru.

Tufajli stał przez chwilę, jak porażony, ale myślał tylko o nieprzyjacielu. - Myśliwiec przechwytyjący numer dwa ma natychmiast wystartować! - krzyknął.

- Coś się dzieje na pokładzie startowym - powiedział Badi. - Nie wiem, czy to zanieczyszczenie paliwa, czy płynu hydraulicznego, jakaś korozja, czy błąd w obsłudze, ale nie wykluczam, że dotknięte zostały wszystkie samoloty. Powinniśmy wstrzymać wszystkie starty do czasu ustalenia...

- Nie! - krzyknął Tufajli. - Bez osłony powietrznej jesteśmy bezbronni! Myśliwce mają natychmiast startować! W jakiej odległości jest ten bombowiec?

- Jedyne prawdopodobne zagrożenie jest obecnie odległy o trzydzieści kilometrów od lotniskowca i oddala się. Nie stanowi zagrożenia dla naszej grupy - powiedział Badi. Przytrzymał ręką słuchawki, uważnie słuchając następnego meldunku. - Panie admirale, sekcja bojowa zgłasza awarię anteny radarowej.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - wrzasnął Tufajli. - Wszystko na raz się psuje? Co to za awaria?

- Problemy z anteną, może uszkodzenie łożyska, a może coś z przekładnią. Antena nie obraca się tak, jak powinna - odpowiedział Badi. - Ale wciąż mamy wystarczającą osłonę radarową i obronę przeciwlotniczą... Myśliwiec przechwytyjący numer dwa jest gotów do startu. Proszę o zgodę na opóźnienie startu do czasu przeprowadzenia kontroli układu hydraulicznego w tym samolocie. To potrwa tylko...

- Nie, ma startować natychmiast! - krzyknął Tufajli. Badi nie miał wyboru.

Wydawało się, że start przebiega normalnie, ale tylko przez pierwsze kilka sekund. Myśliwiec włączył dopalacze, ruszył w kierunku skoczni narciarskiej, nagle jednak zaczął zwalniać! Tufajli pomyślał, że to złudzenie, ale kiedy myśliwiec był już prawie na skoczni, admirał odniósł wrażenie, że pilot próbuje zatrzymać maszynę. Samolot niewątpliwie zwalniał! - Badi, na Boga, co się...?

Badi wołał właśnie przez mikrofon, żeby kontrola lotów rozkazała pilotowi przerwanie startu,

kiedy nagle dwa długie języki płomieni, wydobywające się dysz wylotowych myśliwca, który miał włączone dopalacze, zakołysały się w prawo i w lewo, a potem strzeliły w górę, kiedy złamało się przednie podwozie. Moc silników z włączonymi dopalaczami przełamała samolot na pół, rozerwały się zbiorniki paliwa i Su-33 eksplodował. Wielka kula ognia natychmiast ogarnęła cały pokład startowy. Ludzie na mostku admirałskim rzucili się na podłogę, kiedy wybuch wyrwał okna na mostku. Przetoczyła się fala gorąca, a zaraz za nią ogłuszający huk. Po chwili nastąpiło kilka wtórnych eksplozji, kiedy pożar ogarnął pozostałe śmigłowce i myśliwce na pokładzie.

- Wstrzymać wszystkie operacje! Raport o uszkodzeniach! - krzyczał Tufajli.

Dookoła wyły syreny alarmowe. Admirał podniósł się i z absolutnym przerażeniem patrzył przez wyrwane okna na pokład startowy pierwszego bliskowschodniego lotniskowca. Chociaż wyrzutniki pianny gaśniczej włączyły się automatycznie, przednia połowa pokładu wciąż jeszcze stała w ogniu. W świetle reflektorów widać było dziesiątki zwęglonych zwłok, porzrzucanych po spalonym pokładzie. - Badi, melduj, do diabła!

- Nie ma jeszcze informacji o skali uszkodzeń! - odpowiedział Badi. Twarz miał osmaloną i zranioną w kilku miejscach. - Odbieram właśnie meldunek z krążownika „Zhanjiang”...

- Nic mnie nie obchodzi krążownik, Badi. Co się dzieje z moim lotniskowcem?

- „Zhanjiang” informuje o jakiejś dziwnej substancji na pokładzie i na nadbudówce. To ta substancja niszczy wszystkie urządzenia, które nie są pod pokładem - mówił dalej Badi. - To jakaś żrąca ciecz, uszkadzająca radary, uzbrojenie i tak dalej, a ponadto jest tak kleista, że uniemożliwia jakikolwiek ruch, wiąże ze sobą różne obiekty jak niesamowicie mocny klej.

- Co takiego?

- „Zhanjiang” nie może uruchomić radaru ani naprowadzić na cel żadnego ze swych systemów uzbrojenia. Ludziom jest się bardzo trudno poruszać po pokładzie. Być może taka sama substancja spadła na „Chomeiniego”. Jeśli dostała się do podwozi samolotów, nie ma mowy o starcie. A jeśli dostała się na wirniki i przekładnie śmigłowców, dojdzie do przeciążenia układów hydraulicznych i przegrzania...

- Co ty, u diabła, wygadujesz, Badi? - krzyknął Tufajli. - Mówisz, że zostaliśmy zaatakowani... klejem? Ktoś spryskał nasze okręty klejem, powodując takie uszkodzenia?

- Nie wiem, panie admirale - powiedział Badi, przykładając rękę do rozciętego czoła. Wysłuchał meldunku z interkomu i zwrócił się do Tufajliego: - Ogień rozszerzył się na pokład hangarowy. Ekipy ratownicze w akcji. Składy amunicji i paliwa nie są bezpośrednio zagrożone. - Zrobił krótką przerwę. - Panie admirale, powinien się pan zastanowić nad opuszczeniem okrętu. Może się pan przenieść na „Sadafa”.

- Ewakuować... mój... okręt? - Tufajli nie wierzył własnym uszom. - Nigdy! Nigdy, rozumie...

Przerwała mu głośna eksplozja, która przetoczyła się po lotniskowcu. Rozejrzał się i stwierdził, że jedna z rakiet P-700 Granit do zwalczania okrętów nawodnych, umieszczona na dziobie lotniskowca, w pobliżu skoczni narciarskiej, eksplodowała w swoim zasobniku, wyrzucając w niebo wielkie płaty stali, po których w kadłubie pozostały ziejące dziury. Każdy Granit miał masę pięciu ton i był wyposażony w głowicę bojową z tysiącem kilogramów potężnego materiału wybuchowego.

- Granit eksplodował - zameldował Badi.

- Przecież widzę! - krzyknął Tufajli. - Jakie uszkodzenia?

- Poważne uszkodzenia na wszystkich przednich pokładach - meldował Badi. Sztab bitewny generała był w zupełnej rozsypce; meldunki nadchodziły ze wszystkich zakątków okrętu, ale Badi

większości z nich nie rozumiał. - Powinien pan natychmiast opuścić okręt. Trzeba zabrać wszystkich ludzi z wywiadu. Na pokładzie pozostaną wyżsi oficerowie. Proponuję przenieść się na ląd, do Czah Bahar, ponieważ wygląda na to, że również „Zhanjiang” został uszkodzony i nie jest w stanie się bronić, a podejście „Sadafa” do naszej burty byłoby zbyt niebezpieczne.

Tufajli zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową. Jeśli tylko kilka z pozostałych Granitów eksploduje, lotniskowiec w ciągu paru minut pójdzie na dno Zatoki Omańskiej. A gdyby eksplodowała rakietka numer siedem, ta z głowicą nuklearną... cóż, przynajmniej oszczędzony zostałby im poniżający sąd wojenny.

- W porządku, generale - powiedział Tufajli. - Przenieść się do Czah Bahar z ludźmi z wywiadu, ale kapitan zostaje na okręcie, słyszy pan? Cała załoga zostaje, chyba że okręt zacząłby się wywracać lub tonąć! „Sadaf” ma wysłać śmigłowiec do Czah Bahar. Gdyby bombowiec próbował zaatakować naszą flotę ponownie, natychmiast polecę na „Sadafa”, żeby dowodzić tym, co zostanie z grupy bojowej. Jeszcze jedno, Badi „Chomeini” ma się natychmiast udać na międzynarodowy szlak żeglugowy w Zatoce Omańskiej i zostać tam. Jeśli zatonie, to niech się to stanie na samym środku szlaku żeglugowego. Chcę też, żeby wszystkie pozostałe okręty również blokowały szlaki żeglugowe. Bez względu na to, kto nas zaatakował, chcę pokazać, że zamkniemy ten akwen dla wszelkiej żeglugi. To my będziemy kontrolować dostęp na te wody, a jeśli trzeba, to użyjemy do tego kadłuba naszego własnego okrętu!

Minęła godzina, zanim Tufajli mógł się ewakuować. Ponieważ wszystkie śmigłowce „Chomeiniego” były zniszczone, uszkodzone, unieruchomione kleistą substancją albo znajdowały się właśnie w naprawie, po admirała musiał przylecieć Mi-8 z „Sadafa”; na pokładzie rozłożono płachtę, żeby mógł bezpiecznie wylądować. Czekając na śmigłowiec, Tufajli cierpiał męki, słysząc przez radio, jak lotnictwo Rady Współpracy Zatoki systematycznie niszczy irańską flotę wojenną. Jeden po drugim, mniejsze okręty z eskorty „Chomeiniego” były trafiane rakietami Harpoon, Exocet i Sea Eagle, odpalanymi z nadlatujących falami myśliwców i śmigłowców Rady. Bez wczesnego ostrzegania radarowego i obrony przeciwlotniczej „Chomeiniego” oraz „Zhanjianga” te mniejsze jednostki były łatwym łupem. „Zhanjiang” został trafiony dwukrotnie; trzy razy stanowiska obrony przeciwlotniczej „Chomeiniego” niszczyły nadlatujące rakiety w ostatniej chwili, dosłownie na kilka sekund, zanim trafiły w cel.

Tufajliego zaprowadzono na pokład, do czekającego już śmigłowca. Rozejrzył się dookoła. Zniszczenia były ogromne. Wszędzie, aż po horyzont widział pożary. Te czerwone, żółte i pomarańczowe płomienie oznaczały płonące okręty irańskie. „Zhanjiang” wciąż płynął, ustawivszy się między wybrzeżem Omanu a lotniskowcem, ale pożary pod pokładem chińskiego okrętu nie zostały jeszcze ugaszone. Gorszy od tego widoku był strach, gniew i pogarda, jakie widział w oczach otaczających go marynarzy irańskich. „Chomeini” wciąż płynął, był wprawdzie uszkodzony, ale nadal zdolny do walki, a jego dowódca uciekał. Tufajliemu wydawało się, że słyszy, jak marynarze okrzykują go tchórzem.

To już bez znaczenia, pomyślał Tufajli z goryczą. Ich zadaniem było umierać za niego i za swój kraj; jego zadaniem było dowodzenie i nie mógł go wykonywać z uszkodzonego lotniskowca, oblepionego jakimś superklejem, z sześciometrową dziurą w kadłubie i głowicą nuklearną, która mogła wybuchnąć w każdej chwili.

♦ **Na pokładzie zmiennopłatu CV-22 Pave Hammer, nad Zatoką Omańską, o tej samej porze**

Sonda paliwowa CV-22 Pave Hammer zagnieździła się właśnie w koszyku węża paliwowego latającej cysterny HC-130P Hercules i zmiennopłat nabral pierwsze kilkadziesiąt litrów paliwa JP-7, kiedy nawigator na pokładzie Herculesa zawołał na bezpiecznej częstotliwości: - Hammer Zero-Jeden, obserwatorzy Tarczy Pustyni zgłaszają pojedynczy śmigłowiec, opuszczający pokład „Chomeiniego”. Śmigłowiec otrzymuje sygnaturę Cel Numer Siedem.

- Roger - potwierdził pilot CV-22. - Kontynuuj tankowanie. - Przełączył się na interkom. - Dokładnie tak, jak pan przewidział, majorze.

Hal Briggs, wyraźnie zadowolony, uśmiechnął się szeroko do otaczających go ludzi ze Zjawy. - Miałeś rację, Paul, ale nie wiemy, czy admirał Tufajli jest na pokładzie tego śmigłowca. Może transportują rannych, albo...

- Tak, czy inaczej, Tufajli jest na pokładzie. Bez względu na to, ilu rannych czeka na ewakuację z lotniskowca, Tufajli załatwi sobie miejsce w śmigłowcu. - Pilot przerwał, spojrzał na Briggsa i powiedział: - Następne posunięcie należy do ciebie, Hal. Ty dowodzisz tą operacją.

- Dziękuję - powiedział Briggs. - Zobaczmy, kto to lata tak późno w nocy. - Do interkomu powiedział: - Greg, weź namiar na Cel Numer Siedem, skończ tankowanie i przechwytyjemy.

- Jasne - odpowiedział uradowany pilot CV-22.

W ciągu niespełna pięciu minut Hercules napełnił zbiorniki CV-22. Zmiennopłat rozłączył się, skręcił, żeby oddalić się od tankowca - lecieli niecałe sto pięćdziesiąt metrów nad powierzchnią Zatoki Omańskiej, więc nikt nie zaryzykowałby schodzenia - przeszedł na lot samolotowy i ruszył za irańskim śmigłowcem. Ich prędkość maksymalna w locie śmigłowcowym wynosiła zaledwie dwieście kilometrów na godzinę, ale kiedy obie gondole silnikowe przekreśliły się do położenia poziomego, dzięki czemu wirniki nośne pracowały jako śmigła samolotowe, CV-22 przyśpieszył do ponad pięciuset kilometrów na godzinę. Zgodnie z kursem, otrzymanym od saudyjskiego AWACS-a E-3, krążącego w pobliżu granicy Omanu na d południowo-wschodnim krańcem Półwyspu Arabskiego, CV-22 poleciał na północ na małej wysokości.

Lecąc z prędkością o prawie trzysta kilometrów na godzinę większą od irańskiego śmigłowca, zmiennopłat, używany przez Zjawę do operacji specjalnych, dogonił go po dziesięciu minutach, niespełna sto mil od wybrzeży Iranu. Irański Mi-8, używany zarówno do transportu towarów jak i do zwalczania okrętów podwodnych, kształtem przypominał okrągłego, przysadzistego żuka. Miał podwójny statecznik pionowy i dwa wirniki nośne na tej samej piaście, obracające się przeciwbieżnie. Irańska maszyna była wyraźnie widoczna na ekranie skanera podczerwieni C/-22. Zmiennopłat ustawił się nad śmigłowcem, nieco z lewej, poza polem widzenia irańskiego pilota. Mi-8 leciał na średniej wysokości, bez świateł, dysze wylotowe były rozgrzane do czerwoności, co świadczyło o przeciążeniu silników. Pilot CV-22 obrócił kciukiem niewielkie pokrętło na drążku sterowniczym, przekreślając gondole silników o trzydzieści pięć stopni. Takie ustawienie zapewniało optymalną kombinację prędkości poziomej, zdolności manewrowej i wznoszenia.

- Mi-8 zdecydowanie nie został zaprojektowany do lotów z dużą prędkością - zauważył Briggs, wpatrując się w obraz irańskiego śmigłowca na monitorze drugiego pilota. - Po tym locie jego silniki będą się prawdopodobnie kwalifikować do wymiany. Widać jakieś uzbrojenie?

- Nie - odpowiedział pilot. - Ale oczywiście mogą wystawić lufę przez okno i zdmuchnąć nas.

- No, my też mamy z czego strzelać - powiedział Briggs. - Gdybyście zobaczyli, że mierzą do nas choćby z pistoletu, natychmiast ich wykończcie.

- Na pewno zawołają pomoc - powiedział pilot - a irańskie myśliwce są niezbyt daleko. Nie

mamy urządzenie do zakłócania łączności...

- Damy Tufajliemu szansę poddania się, a jeśli nie skorzysta, rozwalimy go - powiedział Briggs.

- Nie pozwolę mu uciec. Miejmy nadzieję, że w razie czego obserwatorzy z Tarczy Półwyspu w porę nas ostrzegą. No, bierzemy się za ten wiatrak. - Pilot CV-22 delikatnie przesunął dźwignię ciągu i Pave Hammer znalazł się w polu widzenia drugiego pilota Mi-8. Zapaliły się reflektory...

- Co, na Allaha...? - Pierwszy pilot obejrzał się gwałtownie, słysząc okrzyk drugiego pilota. Trudno było dokładnie powiedzieć, co działo się za oknem, ale w migających białych i czerwonych światłach niewątpliwie widać było ogromny samolot, wielki jak maszyna transportowa, ze śmigłami ustawionymi pod dziwacznym kątem. Nie pozostawiała też żadnych wątpliwości czarno-zielona gwiazda na trzech poziomych pasach: emblemat amerykańskiego samolotu wojskowego. Drugi pilot dostrzegł węzły uzbrojenia z jakimiś pociskami raketowymi, a także wielkie obrotowe działko w wieżycze, wycelowane prosto w śmigłowiec! Kilka sekund później reflektory amerykańskiego samolotu zgasły i wszystko pograżyło się w zupełnych ciemnościach. - Admirale!

- Widziałem - powiedział admirał Akbar Tufajli. - Na co czekasz? Włączaj radio i zawołaj na pomoc myśliwce z Czah Bahar lub z Bandar Abbas.

- Mamy spróbować go zgubić?

- Nie bądź idiotą - powiedział Tufajli. - Znalazł nas bez trudu, w nocy i na małej wysokości. Muszą być w kontakcie ze swoimi samolotami radiolokacyjnymi i na pewno używają termolokatorów. Ucieczka na nic się...

- Uwaga, irański śmigłowiec Mi-8 - rozległ się przez radio głos, mówiący po angielsku na międzynarodowej częstotliwości awaryjnej. - Zostaliście przechwyceni. Natychmiast skróćcie w lewo, kierunek dwa-zero-zero, albo zostaniecie zestrzeleni. Powtarzam, natychmiast skróćcie w lewo, kierunek dwa-zero-zero, albo zostaniecie zestrzeleni.

- Zignoruj ich - rozkazał Tufajli. - Leć dalej z tą samą prędkością i tym samym kursem. Jest odpowiedź w sprawie myśliwców?

- Dwójka MiG-ów-29 będzie tu za pięć minut - odpowiedział drugi pilot.

- Dobrze - powiedział Tufajli. - A teraz...

W tym momencie zapłonęło jaskrawe światło, a niebo przecięły pociski smugowe, przelatujące tuż przed nosem śmigłowca. Zaraz potem usłyszeli głos, mówiący w farsy: - Admirale Tufajli, nie zdoła pan uciec.

- Wiedzą, że pan tu jest! - krzyknął pilot. - Wiedzą, że jest pan na pokładzie!

- Pułkownik Paul White - powiedział gniewnie Tufajli. - To ten amerykański szpieg, którego schwytaliśmy. A więc to prawda: prezydent Natek-Nuri spiskował z Amerykanami, pomagając wydostać White'a z więzienia.

- Admirale Tufajli, to pańska ostatnia szansa - powiedział White przez radio. - Albo pan zawróci, albo zginie.

- Gdzie te myśliwce? - krzyknął Tufajli.

- Nasze myśliwce mają amerykańską maszynę na radarach! - krzyknął drugi pilot, który monitorował częstotliwość taktyczną. - Wejdą w zasięg rakiet w ciągu niespełna dwóch minut.

- Powiedz im, żeby włączyli dopalacze.

Przed upływem minuty MiG-29 zameldował, że zbliżył się na odległość, umożliwiającą użycie pocisków raketowych naprowadzanych radarem, ale... - Chomeini Pięć, na ekranie radaru mam tylko jeden samolot. Powtarzam, mam na radarze tylko jeden samolot.

- Amerykańska maszyna jest zbyt blisko naszego śmigłowca - powiedział pilot Mi-8. - Echo radarowe nakłada się.

- Powiedz mu, żeby wszedł w zasięg podczerwieni - rozkazał Tufajli. Wiedział, że MiG-29 jest wyposażony w system IRSTS\*, który umożliwiał pilotowi przechwycenie i zniszczenie przeciwnika także w nocy, bez korzystania z radaru pokładowego, czy pomocy naziemnej stacji radarowej lub samolotu radiolokacyjnego. - Powiedz mu, żeby użył działek. Amerykański zmiennopłat znajduje się na zachód od nas. - Pilot MiG-a-29 potwierdził instrukcje Tufajliego.

\* IRSTS - Infrared Search and Track System - system poszukiwania i śledzenia celu w podczerwieni [przyp. tłum.].

- Admirale Tufajli, rozkazuję panu zawrócić i poddać się - powtórzył White przez radio. - Ten MiG-29 nie uratuje pana.

Amerykanie korzystają z pomocy własnego samolotu radiolokacyjnego, pomyślał ponuro Tufajli, ale to już nie miało znaczenia. Za kilka sekund zmiennopłat dostanie się pod huraganowy ogień. - Odległość dziesięć kilometrów - zameldował pilot śmigłowca. Żadna siła nie mogła powstrzymać MiG-a-29; Amerykanie nie mieli myśliwców tak blisko Iranu. - Osiem kilometrów...

Nagle wszyscy na pokładzie Mi-8 zobaczyli kilka jaskrawych błysków i krótką, ale spektakularną smugę ognia, przecinającą nocne niebo. - Rakiety! - krzyknął przez radio pilot śmigłowca. - Amerykanie odpalili rakiety! Robię unik!

Chociaż pocisk raketowy Hellfire był w zasadzie bronią przeciwczołgową, nie raz okazał się równie skuteczny w niszczeniu obiektów latających; po raz kolejny zostało to udowodnione już po kilku sekundach, kiedy załoga Mi-8 zobaczyła czerwono-pomarańczowy błysk i smugę ognia, zmierzająca łukiem ku powierzchni morza.

- Chomeini Pięc, Chomeini Pięc, tu myśliwiec przechwytyjący numer jedenaście. Straciłem kontakt z moim prowadzącym - odezwał się przez radio nowy głos, na częstotliwości taktycznej. - Na Allaha, co to za samolot?

- Taki udziwniony śmigłowiec, nic więcej! - krzyknął w odpowiedzi Tufajli. - Zniszcz go!

Samotny MiG-29 zawrócił, by użyć swoje działko, ale wkrótce podzielił los swojego prowadzącego. Zanim irański myśliwiec znalazł się w zasięgu działek, CV-22 zawrócił, oświetlił znacznikiem laserowym nadlatującą maszynę i odpalił następną salwę pocisków raketowych Hellfire. MiG-29 eksplodował, zmieniając się w wielką kulę ognia, zanim irański pilot zdążył nacisnąć spust działka. CV-22 znów zawrócił i w ciągu niespełna minuty był z powrotem obok irańskiego śmigłowca. - Pan będzie następny, admirale - rozległ się przez radio głos Paula White'a. - Podda się pan, albo zginie.

- Mamy na pokładzie rannych marynarzy - powiedział Tufajli. - Nie ośmielicie się wyrządzić im krzywdy. To by był akt barbarzyńskiego tchórzostwa!

- To pan będzie winien ich śmierci, nie ja - powiedział White. - Niech się pan podda, a dopilnuję, by ranni otrzymali niezbędną pomoc lekarską i zostali niezwłocznie odtransportowani do Iranu.

- Niech cię piekło pochłonie, ty terrorystyczna amerykańska świni! - wrzasnął Tufajli w odpowiedzi. - Jesteśmy w irańskiej przestrzeni powietrznej, nad wodami terytorialnymi Iranu. jeśli nas zestrzelisz, będzie to aktem wojny! Idź do diabła!

- Pan pójdzie pierwszy, admirale - powiedział White przez radio. Kilka sekund później dwa ostatnie pociski Hellfire, w które uzbrojony był CV-22, trafiły w irański śmigłowiec Mi-8 i

rozerwały go na kawałki, które spadły do Zatoki Omańskiej.

- To był wspaniały widok! - powiedział Paul White z niezwykłą u niego żądzą krwi. - Co za uczucie!

- Zmienił pana w patologicznego zabójcę, pułkowniku - powiedział Hal Briggs, uśmiechając się ironicznie.

- Jest to równie prawdopodobne jak to, że ty zmienisz się w cnotliwego mnicha - odpalił White. - A propos, dokąd to uciekła ta twoja czarująca dama? Jestem pewien, że to zdolna agentka i wiem, że Zjednoczone Emiraty Arabskie mają mnóstwo punktów konspiracyjnych w Teheranie, ale czy to rozsądne narażać ją na takie ryzyko?

- Jest nie tylko zdolną agentką, jest najlepsza, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział Briggs. - Bardzo chciałbym, żeby znów była ze mną, ale cóż, ma zadanie do wykonania. Nie mogę się doczekać, aż ją znów zobaczę, szefie...

Uwadze White'a nie umknęła żarliwość w głosie Briggsa. - Sprawa wydaje się poważna, Hal - powiedział pułkownik z uśmiechem. - Mam rację?

- Być może, pułkowniku, być może...

#### ◆ Teheran, Iran

- Pańska niewiarygodna niekompetencja omal nie spowodowała upadku rządu, generale Buzhazi! - grzmiał ajatollah Ali Hoseini Chamenei. Buzhaziego wezwano przed oblicze fakiha i dwunastoosobowej Rady Strażników - gremium prawno-religijnego, doradzającego fakihowi w rządzeniu państwem. - Omal nie rozpętał pan trzeciej wojny światowej, w której zwróciłyby się przeciw nam prawie wszystkie siły zbrojne świata! Tylko indolencja pańskich dowódców na pokładzie lotniskowca uratowała Republikę Islamską przed katastrofą. Ponadto, złamał pan nasz rozkaz, zabraniający skrzywdzenia prezydenta Natka-Nuri. Allah i jego wierni słudzy żądają odpowiedzi. Mów, generale. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

- Ekscelencjo, żądam poinformowania mnie, dlaczego rozkazał pan naszym siłom lotniczym i morskim wstrzymanie operacji - powiedział Buzhazi w odpowiedzi, ignorując żądanie ajatollaha. - Lotniskowiec „Chomeini” został poważnie uszkodzony, podobnie jak i kilka okrętów z jego grupy bojowej, ale nasze lotnictwo miało przewagę...

- Rozkazaliśmy wstrzymanie operacji, ponieważ naszym siłom zbrojnym groziło unicestwienie, generale - powiedział Chamenei. - Nasz lotniskowiec z trudem dotarł do Czah Bahar i wciąż grozi mu zatonięcie, mimo że kilkuset ludzi walczy o jego uratowanie.

- Ekscelencjo, jeszcze dwa dni i kompletnie uwolniłbym Iran od wszelkich obcych zagrożeń! - powiedział gniewnie Buzhazi. - W ciągu zaledwie kilku godzin moje lotnictwo mogło zniszczyć lub uszkodzić wszystkie bazy wojskowe w odległości tysiąca pięciuset kilometrów od naszych wybrzeży. Bez wsparcia sił amerykańskich, wszystkie państwa w tym regionie byłyby zmuszone podpisać z nami pakt o nieagresji. Przerzuwając ataki, umożliwiamy Amerykanom umocnienie sił obrony przeciwlotniczej w Arabii Saudyjskiej, Bahrajnie, Turcji, Kuwejcie...

- Amerykanie zaatakowali kilka baz Republiki Islamskiej, nasz samolot radiolokacyjny i grupę bojową lotniskowca. Podobno dokonał tego wszystkiego jeden amerykański bombowiec - powiedział z naciskiem Chamenei. - Groziła nam zagłada. Twoje błędy rozgniewały Allaha; było Jego wolą, żeby natychmiast powstrzymać to bezsensowne marnotrawienie ludzi i środków...

Buzhazi poderwał się na równe nogi, stając przed fakihem i Radą Strażników. - Dość tych religijnych bredni, Chamenei! - powiedział gniewnie. - Moja wojna jeszcze się nie skończyła; w



rzeczywistości dopiero się zaczyna.

Słyszając te słowa, wszyscy członkowie Rady Strażników aż się skulili ze zgrozy; wszyscy z wyjątkiem Chameneiego. - Doprawdy, generale? - spytał fakih spokojnym głosem.

- Iran cierpi pod panowaniem takich jak wy: małodusznych ludzi, którzy naprawdę wierzą, że Allah wyniesie ten kraj ponad wszystkie inne tylko dlatego, że regularnie wzywacie jego imię - powiedział Buzhazi. - Iran będzie potężny i stanie się przywódcą wszystkich prawdziwych wiernych na całym świecie tylko pod warunkiem, że ci, którzy rządzą naszym krajem okażą zdecydowanie. A potężny Iran potrzebuje potężnych sił zbrojnych.

- Moi ludzie przejęli kontrolę nad krajem, Chamenei - ciągnął Buzhazi. - To ja kontroluję prasę, gabinet, całą łączność. Mam dwa miliony ludzi pod bronią i rozpocząłem właśnie mobilizację milicji Basidż pod kontrolą mojego Pasdaranu. To dodatkowy milion mężczyzn i kobiet pod bronią. Nie wierzymy, że Allah z tobą rozmawia. Iran został zaatakowany i to mnie Allah kazał przewodzić, przepędzić wszystkich niewiernych, zabezpieczyć nasze granice i naszą przyszłość. Coś wam poradzę, wy zmęczeni, zasuszeni starcy - powiedział, szykując się do odejścia. - Możecie się modlić w milczeniu, albo stanąć po mojej stronie, poprzeć mnie i waszych wojowników. Jeśli znów spróbujecie się wtrącać w sprawy wojskowe, do pilnuję, żeby Rada została rozwiązana, lub żeby zasiedli w niej nowi ludzie. Pamiętajcie, ostrzegałem was.

- Przedyskutujemy twoje sugestie i twoje ostrzeżenie z naszymi doradcami wojskowymi - powiedział spokojnie ajatollah Chamenei.

- Z kim?

- Z naszymi doradcami wojskowymi - powtórzył Chamenei, unosząc rękę.

Z pomieszczenia obok wyszło kilku ludzi. Niektórzy mieli na sobie wojskowe mundury. Na widok jednego z wchodzących Buzhaziemu oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. - Jestem pewien, że znasz przywódcę naszego nowego gremium doradczego, szacownego doktora Dinga Heggao, ministra obronności, technologii i przemysłu Chińskiej Republiki Ludowej. Był uprzejmy przyprowadzić ze sobą generała Fu Qanyou, szefa logistyki, a także wiceadmirala Qu Zhenmou, dowódcę Floty Morza Południowochińskiego Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Pozostali, to...

- Na Boga, co to znaczy? - przerwał mu Buzhazi. - Co oni tu robią? Nie wzywałem...

- Ci panowie są przedstawicielami rządu chińskiego. Przybyli, żeby przeprowadzić inspekcję swego sprzętu i zorientować się w stanie znaczących inwestycji ich kraju w Republice Islamskiej - powiedział Chamenei, uśmiechając się z satysfakcją. Uśmiech znikł mu jednak z twarzy, kiedy zaczął mówić dalej. - Byli bardzo rozczarowani, kiedy dowiedzieli się o zaatakowaniu i zniszczeniu ich lotniskowca i krążownika.

Buzhazi stał jak porażony. Chamenei, który nienawidził wszystkich cudzoziemców i pogardzał prawie wszystkim, co miało jakikolwiek związek z wojskiem, potajemnie wezwał do Teheranu chińskich doradców wojskowych wysokiego szczebla! Chiny były drugim, po Rosji, dostawcą broni do Iranu. Większość irańskich technologii morskich i rakietowych pochodziła z Chin, porozumienia w tej sprawie podpisali i realizowali właśnie ci „doradcy”, których obecność tak zaskoczyła Buzhaziego. - Jestem gotów w każdej chwili poinformować dostojnych gości z Chińskiej Republiki Ludowej o tych amerykańskich atakach.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział minister Ding po mandaryńsku; irański tłumacz przekładał jego słowa - ale dla nas tutaj i dla mojego rządu jest rzeczą zupełnie oczywistą, że pozostawianie naszych okrętów i naszego uzbrojenia w siłach pod pańskim dowództwem byłoby głupotą...

- Proszę mi wybaczyć, ministrze Ding - przerwał mu Buzhazi - ale Iran padł ofiarą amerykańskiej zdrady. Z całym szacunkiem, rząd chiński powinien zastanowić się nad sankcjami wobec rządu amerykańskiego za jego rolę w zniszczeniu waszych okrętów. Sądzę...

- Chińska Republika Ludowa nie ma już zaufania do pańskich zdolności jako dowódcy, ani zaufania do pańskiej oceny sytuacji, generale Buzhazi - powiedział zjadliwie minister Ding, po czym zwrócił się do ajatollaha Chameneiego. - Lotniskowiec „Warjag” i krążownik „Zhanjiang” mają zostać niezwłocznie przekazane pod naszą kontrolę, Eminencjo. Zostaną całkowicie rozbrojone i pozbawione wszelkiej zdolności operacyjnej.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Buzhazi. - Nie wolno tego robić! Zabraniam!

- Radzę panu, żeby się pan nie wtrącał - przerwał mu generał Fu, szef logistyki. - Marynarka wojenna Armii Ludowo-Wyzwolenczej wysłała już kontyngent żołnierzy do Czah Bahar z zadaniem przejęcia obu jednostek. Nad bezpieczeństwem tej operacji czuwać będą dwa bataliony piechoty morskiej Armii Ludowo-Wyzwolenczej.

- Bataliony te będą stacjonować w Teheranie i Bandar Abbas do czasu przekazania nam kontroli nad okrętami - dodał wiceadmirał Qu Zhenmou, dowódca Floty Morza Południowochińskiego - dzięki uprzejmości ajatollaha Chameneiego. Zbiegnie się to w czasie z podpisaniem nowego układu o przyjaźni i współpracy między Chinami a Iranem, obejmującego logistykę i korzystanie z baz wojskowych.

- Pozwolicie na to? Pozwolicie, żeby wojska chińskie stacjonowały na ziemi irańskiej? - Buzhazi nie dowierzał własnym uszom. - To niemożliwe!

- Nasze kraje bardzo się do siebie zbliżyły na przestrzeni lat - powiedział ajatollah Chamenei. - Obie strony pragną ekspansji poza swoje regiony, rozwoju handlu, likwidacji barier handlowych, zwiększonego transferu technologii. We współpracy z Afganistanem i Pakistanem, pozostałymi sojusznikami Chin na Bliskim Wschodzie, cele te zostaną osiągnięte. - Przerwał na chwilę, wbił wzrok w Buzhaziego i dodał: - Będzie to potężna siła stabilizująca, potrafiąca nas chronić przed intrygami z zewnątrz i od wewnątrz, nie sądzi pan, generale Buzhazi?

Buzhaziemu zaschło w ustach. Dobrze wiedział, co Chamenei ma na myśli: żołnierze chińscy będą bronić władz Chameneiego przed próbą wojskowego zamachu stanu.

- Wezwaliśmy generała Hoseina Ismaila Achundiego, żeby pomógł w przekazaniu lotniskowca i krążownika chińskiej marynarce wojennej. Generał pomoże też zorganizować biuro łącznikowe, kwaterę główną i koszary Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwolenczej w stolicy - powiedział Chamenei.

A więc to Achundi ma być moim następcą, pomyślał Buzhazi. Niech to diabli, powinienem był go postawić przed plutonem egzekucyjnym, kiedy miałem taką szansę!

- Nie sądzę, byśmy potrzebowali jeszcze pańskich usług, generale Buzhazi. Na zewnątrz czekają strażnicy, którzy będą pana eskortować do pańskiej kwatery - powiedział Chamenei, a słowo „eskortować” zabrzmiało jak spadające ostrze gilotyny. - Może pan odejść.

Kilku strażników z milicji Basidż - Buzhazi zauważył, że nigdzie nie było już strażników z Pasdaranu, normalnie pełniących służbę w siedzibie Rady - weszło bocznymi drzwiami. Stali, gotowi wyprowadzić Buzhaziego. Generał odczuł ulgę, widząc, że żaden ze strażników nie miał karabinu; byli uzbrojeni tylko w broń krótką. Dobrze. Jeśli będzie ich musiał zabić, żeby uciec, poradzi sobie bez kłopotów. - Wolę iść sam, Wasza Eminencjo - powiedział. Chamenei odprawił go gestem dłoni i Buzhazi wyszedł.

Korytarze były puste; żaden ze strażników z Basidż nie szedł za nim. Jeden z żołnierzy Pasdaranu

stał przy windzie w połowie korytarza. Kiedy zobaczył swego dowódcę, natychmiast sięgnął po radiotelefon, informując kierowcę i pozostałych strażników, że generał zaraz będzie na dole. Buzhazi podszedł do windy; strażnik sprawiał wrażenie bardzo podekscytowanego. - Gdzie jest generał Sattari? - spytał Buzhazi.

- Czekaj w pańskim samochodzie...

- W porządku - powiedział Buzhazi. Sattari, dowódca sił powietrznych i jego bliski przyjaciel, pomoże mu w stworzeniu sił opozycyjnych; był jednym z nielicznych dowódców wojskowych, do którego Buzhazi miał nieograniczone zaufanie. - Powiadom przez radio, żeby mój śmigłowiec czekał w Doszan Tappeh gotów do lotu - poinstruował strażnika. - Sam zostań tutaj i nie pozwól nikomu skorzystać z tej windy, dopóki nie zostaniesz powiadomiony, że jestem w powietrzu. - Strażnik kiwnął głową i ponownie sięgnął po radiotelefon.

Ekspresowa winda zwiezie go za chwilę bezpośrednio do podziemnego garażu pod budynkiem Rady. Tam będzie już czekać opancerzona limuzyna. Wszedłszy do windy, Buzhazi poczuł się wreszcie bezpieczny.

- Cholerny Chamenei! - zaklął. Nie spodziewał się, że fakih okaże tyle zdecydowania. Chamenei wiedział, że tylko śmiałe, nowatorskie posunięcie może go uratować przed potęgą i gniewem Pasdaranu; zaproszenie Chińczyków do ustanowienia baz wojskowych w Iranie było takim posunięciem. Co jeszcze Chamenei musiał obiecać Jiang Zeminowi i jego wpływowemu dowódcy wojskowym? Gdyby ten plan się powiódł, Iran, jego islamscy partnerzy i Chiny tworzyliby potężny azjatycki sojusz, dostatecznie silny, żeby zmierzyć się nawet z Zachodem.

Nie, ta walka jeszcze się nie skończyła, zdecydował Buzhazi. Chamenei nie był kuloodporny, a jego ciepłe stosunki z Chinami mogą się bardzo szybko ochłodzić. I Jiang, i Chamenei byli ideologami, z obsesją na punkcie globalnej dominacji i przywództwa. Jeden był komunistą, drugi szyitą. Natomiast Buzhazi był bardziej pragmatyczny. Bardzo prawdopodobne, że i w Chinach są tacy jak on. Na przykład dowódca sił powietrznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, generał Cao Shuangming, młody, porywczy, oportunista, któremu spieszo wspiąć się po szczeblach kariery w największych siłach zbrojnych świata, w kraju z największą liczbą ludności na świecie.

Winda stanęła i drzwi się otworzyły, ale nie było to drugie piętro pod ziemią, gdzie znajdował się garaż, lecz pierwsze. Naprzeciw Buzhaziego stała kobieta ubrana tradycyjnie na czarno i z czarną zasłoną na twarzy. Mierzyła do niego z małego pistoletu maszynowego.

Buzhazi krzyknął, uniósł ręce, zasłaniając twarz i rzucił się na kobietę. Kobieta ściągnęła spust. Kilka pocisków trafiło Buzhaziego w głowę i w lewe ramię, ale większość przeszła górami, co było zarówno rezultatem jego gwałtownej reakcji, jak i odrzutu broni. W tej samej chwili schodami koło windy wbiegł generał Sattari i strażnik. Zorientowali się, że winda stanęła o jedno piętro za wysoko i nie mieli wątpliwości, że to zamach. Kobieta odwróciła się błyskawicznie, strzelając do Sattariego i strażnika z Pasdaranu, ale nie zdążyła. Kilku ludzi równocześnie otworzyło do niej ogień. Upadła na podłogę.

Sattari podbiegł do Buzhaziego. Spojrzał na poranioną, zakrwawioną twarz i szyję, na porozrywane pociskami ramię. Ale Buzhazi żył; zamachowczyni wybrała małokalibrową broń raczej ze względu na jej niewielkie rozmiary, niż na skuteczność.

- Generał jeszcze żyje - powiedział Sattari, próbując zatamować krwawienie z większych ran na szyi i głowie Buzhaziego. - Niech tu natychmiast pojedzie jego samochód! Weźcie apteczkę i powiadomcie lekarza w kwaterze głównej, żeby ze swą ekipą ratunkową czekał na nas przy

śmigłowcu generała. Ruszajcie!

Kilku strażników zastąpiło Sattariego przy Buzhazim, robiąc rannemu masaż serca i sztuczne oddychanie oraz prowizorycznie opatrując rany. Sattari podszedł do zamachowczynie. Arabka, młoda i piękna. Ubiór i zasłona na twarzy gwarantowały jej na ulicach Teheranu niemal całkowitą anonimowość. W jakiś sposób przedostała się do strzeżonego budynku rządowego, próbując zgładzić szefa sztabu.

- Trzeba ustalić jej tożsamość - powiedział Sattari - ale w tajemnicy. Nikt nie może się dowiedzieć o tej próbie zamachu.

Chwilę później Sattari i strażnicy z Pasdaranu zabrali Buzhaziego. Dwóch strażników pozostało przy zwłokach Rizy Behruzi, po które miał przyjechać inny samochód.

### Epilog

#### ♦ Coronado, Kalifornia, 1 maja 1999, godzina 17.37 czasu miejscowego

Z wychodzącego na wschód patio apartamentu na jedenastym piętrze Patrick McLanahan patrzył na piękną panoramę San Diego, ze szklanymi wieżami, oświetlonymi promieniami zachodzącego słońca. Odłożył słuchawkę telefonu i przeszedł przez mieszkanie na zachodnie patio, gdzie czekała Wendy. Usiadł koło niej, wzięli się za ręce i rozkoszowali słońcem.

- Co z Halem? - spytała cicho.

- Jest zdruzgotany - powiedział Patrick. - I wściekły, jak się tego można było spodziewać. Ale myślę, że się pozbiera. - Spojrzał na panoramę miasta. - Wiesz, co mi powiedział? Kiedy ludzie z Agencji Wspomagania Wywiadu złożyli mu relację, w jakich okolicznościach zginęła Riza, pomyślał, że... może tak było najlepiej, że właśnie takiej śmierci by sobie życzyła. - Pokręcił głową. - Niesamowita kobieta.

- Odważna do szaleństwa - stwierdziła Wendy.

Patrick uściskał jej dłoń i rozejrzał się dookoła. - Przedtem nie zwróciłem na to uwagi: jedenaste piętro, apartament numer jedenaście... AV-011.

- Jon Masters musi mieć zdolności metapsychiczne... albo więcej poczucia humoru niż przypuszczaliśmy - powiedziała Wendy. Odwzajemniła uścisk dłoni. - Możemy się przeprowadzić, jeśli bardzo ci to przeszkadza.

- Przeszkadza? Nie - powiedział Patrick z uśmiechem. - To dzięki AV-011 dwa razy uratowałem się z opresji. Zawsze będę pamiętać tę maszynę. Po co więc z tym walczyć? - Przerwał na chwilę, po czym spytał: - A gdzie właściwie podziewa się Masters?

- Wysłano go na „Lincolna”, żeby miał na oku „Chomeiniego” i „Zhanjianga”, które opuszczają Zatokę - powiedziała Wendy. - Marynarka bardzo interesuje się jego bezzałogowymi samolotami typu stealth. Boże, jaka jestem szczęśliwa, że to się już skończyło. Ten lotniskowiec nigdy nie powinien był znaleźć się w Iranie.

- Niestety, teraz musimy się z nim liczyć na Morzu Wschodniochińskim - powiedział Patrick. - Chiny zapowiadają, że przywrócą mu zdolność operacyjną. Są wściekli za to, co z nim zrobiliśmy, a my oczywiście wszystkiemu zaprzeczamy. Wersja katastrofy samolotu podczas startu jest w sumie całkiem wiarygodna...

- Chiński lotniskowiec - powiedziała Wendy. - Brzmi to niemal tak samo złowieszczo jak irański lotniskowiec. Myślisz, że za parę miesięcy będziesz atakował ten sam okręt pociskami JSOW?

- O Boże, nie! - zawołał Patrick. - Mam nadzieję, że nie.

#### ♦ Nad Zatoką Omańską, sześćdziesiąt mii morskich na północ od Maskatu w Omanie, 2

## **maja 1999, godzina 08.17 czasu miejscowego**

- No, odpywa na zawsze - zawołał wesoło Jon Masters, obserwując uszkodzony lotniskowiec „Mao Zedong”, znany przedtem jako „Chomeini” i „Warjag”, zmierzający na wschód przez środek Zatoki Omańskiej. „Mao” szedł na holu, ciągnięty przez chiński krążownik „Zhanjiang”, jak stary, niedołączony ojciec, prowadzony do domu przez syna.

Masters obserwował oba okręty, siedząc wygodnie w centrum dowodzenia lotniskowca USS „Abraham Lincoln”, dwieście mil na wschód, na Morzu Arabskim. Pozwolono mu sprowadzić na „Lincolna” jeden z jego nowych bezzałogowych samolotów zwiadowczych typu stealth w celu przeprowadzenia dalszych prób. Mówiło się o wyposażeniu w takie samoloty wszystkich amerykańskich lotniskowców, a także mniejszych jednostek, takich jak krążowniki i niszczyciele.

Szpiegowski samolot Mastersa był już nad celem od ośmiu godzin i funkcjonował bez zarzutu. Miał pozostać w powietrzu następne osiem godzin. W centrum dowodzenia „Lincolna” ludzie tłoczyli się, chcąc z bliska spojrzeć na zdjęcia radarowe fotograficznej jakości, przesyłane przez zabawkę Mastersa w czasie rzeczywistym. Masters zauważył bardzo ładną młodą pilotkę. Wskazując na ekran, zwrócił się do niej: - Proszę spojrzeć, poruczniku, tutaj widać te stalowe bariery, ustawione przez Irańczyków, żeby pokazać, że nie zamierzają sprowadzać na ten lotniskowiec samolotów ani odpalać pocisków rakietowych. - Na zdjęciach radarowych widać było uszkodzoną przednią część pokładu startowego, pełną stalowych belek, mających upewnić wszelkich obserwatorów, że „Chomeini” w żadnym wypadku nie jest gotów do boju.

- Widzi pani? Tutaj eksplodowała jedna z rakiet, wrywając dziurę, w której zmieściłby się autobus - mówił dalej Masters. - Chińczycy wyrzucili z lotniskowca wszystkich Irańczyków. Na pokładzie jest teraz około trzystu ludzi, których zadaniem jest odprowadzenie okrętu do Chin. Całkiem niezłe zdjęcie, prawda? Opracowałem tę technologię przed ukończeniem trzydziestu lat. - Na ładnej pilotce wszystko to zrobiło należyte wrażenie; położyła prawą dłoń na ramieniu Mastersa i oparła się o niego, żeby móc lepiej podziwiać jego dzieło. Ludzie wchodzili, oglądali zdjęcia i wychodzili; Masters i pilotka nie ruszali się z miejsca.

- W którym jest pani dywizjonie, pani porucznik? - spytał Masters.

- W-103 „Niszczyciele” - odpowiedziała. - Latamy na F-14A-Plus. Jestem RIO dowódcy i prawdopodobnie polecę w tym tygodniu - uśmiechnęła się figlarnie - jeśli pewien ktoś zabierze swoją zabawkę z pokładu i pozwoli nam latać.

- Hej, hej, pani porucznik, proszę się nie śmiać z postępu! - zawołał Masters. - Ta zabawka to przyszłość rozpoznania lotniczego, a może nawet i walki powietrznej! Założę się, że wciąż jeszcze stosujecie TARPS\* w waszym dywizjonie.

\* TARPS - Tactical Aerial Reconnaissance Pod System - zasobnik rozpoznania taktycznego [przyp. tłum.].

- Nie mam jeszcze uprawnień do TARPS, ale niedługo będę miała.

- Boże, co za marnotrawstwo! Moje satelity i samoloty bezzałogowe mogą dostarczyć w czasie rzeczywistym sto razy lepsze zdjęcia. Proszę spojrzeć. - Masters wskazał gestem monitor, na którym widać było wielki śmigłowiec transportowy, zbliżający się do lotniskowca. - Możemy obserwować lądowanie tej maszyny, ustalić, co dostarczyła na pokład lotniskowca, a nawet policzyć członków załogi, kiedy będą wysiadali albo wsiadali. Niech pani spróbuje tego dokonać za pomocą TARPS

- Wygląda na to, że jednak nie wszystko pan może - powiedziała pilotka. Masters spojrział ponownie na monitor; obraz zniknął. Wychodząc z centrum dowodzenia, dziewczyna dodała z

uśmiechem: - Koniec przedstawienia, co, doktorze?

- Co się dzieje? - powiedział szybko Masters, próbując ponownie zwrócić na siebie jej uwagę.. - Pewnie coś z przekazem satelitarnym, plamy na słońcu, Marsjanie. - Paplając bez sensu, rozważał jednocześnie kilka rzeczywistych możliwości zaniku obrazu. Sięgnął po słuchawki interkomu, który zapewniał mu łączność z jego ekipą techniczną. - Proszę się nie martwić - powiedział do dziewczyny - obraz wróci. Ten system jest niezawodny...

W rzeczywistości wcale nie był tego pewien. - Do cholery, Tasker, co się dzieje? - zawołał przez interkom. - To mi wygląda na zakłócanie łączności satelitarnej. Powiedźcie oficerowi radarowemu na lotniskowcu, albo komu tam trzeba, że ich radary zakłócają mój kanał mikrofalowy... Tak, powiedz im. Niczego nie zobaczymy, dopóki nie wyłączą tego... Zakłócenia muszą pochodzić z „Lincolna”, Tasker. Do diabła, kto jeszcze mógłby wchodzić w grę?

#### ◆ Na pokładzie lotniskowca „Chomeini”

- Zakłócanie łączności mikrofalowej włączone - potwierdził oficer operacyjny. - Cała łączność zerwana.

- Bardzo dobrze - odpowiedział wiceadmirał Qu Zhenmou, dowódca Floty Morza Wschodniocchińskiego. Na okres dwumiesięcznego rejsu powrotnego do Chin admirał Qu osobiście objął dowodzenie byłym lotniskowcem „Chomeini”, przemianowanym teraz na „Mao Zedonga”. - Czy nasze urządzenia zakłócą wszelkie transmisje z tego amerykańskiego samolotu szpiegowskiego?

- Jesteśmy przekonani, że tak - powiedział generał Fu Qanyou, szef logistyki, dowodzący prowadzoną tej nocy tajną operacją. - Irańczycy przekazali nam nagrania korespondencji między bezzałogowym samolotem zwiadowczym a bazą. Łączność cyfrową między tym samolotem szpiegowskim a „Lincolnem” można zakłócić, nadając w szerokim paśmie mikrofalowym. Jeśli dziś w nocy ten samolot krąży nad nami, będzie miał okresy „ślepoty”, zanim nie przełączy się na inną częstotliwość. To powinno nam wystarczyć.

- Bardzo dobrze - powiedział admirał Qu. - Kontynuujemy więc transfer.

Z niewiarygodną szybkością i precyzją dwudziestu chińskich żołnierzy, marynarzy i techników wybiegło z wielkiego śmigłowca Zhi-8 po tylnej rampie towarowej. Tuż za nimi wyjechały wózki załadowane zasobnikami z pociskami raketowymi. Odsunięto sekcję uszkodzonego pokładu, odsłaniając dziurę, z której wyszło kilkudziesięciu marynarzy. Zabrali zasobniki pod pokład i dziurę z powrotem zasłonięto. W ciągu niespełna trzech minut, czyli w czasie, wystarczającym zaledwie, żeby przestał się obracać wirnik śmigłowca, z czterech wózków zdjęto i zaniecono pod pokład szesnaście zasobników z pociskami raketowymi.

- Świetna robota - pochwalił generał Fu. - Ile to już razem, admirale?

- Mamy połowę pełnego uzbrojenia, to znaczy około stu pocisków raketowych 9M-330 Kinzahl do zwalczania okrętów nawodnych - odpowiedział admirał Qu. - Za dziesięć dni spotkamy się ze statkiem zaopatrzeniowym i weźmiemy pociski P-700 Granit. - Admirał Qu uśmiechnął się szeroko. - Lotniskowiec będzie miał „poważne kłopoty ze sterowaniem”, więc wielki statek zaopatrzeniowy „Beiyun” będzie nam musiał przyjść z pomocą. Wtedy weźmiemy rakiety na pokład.

- Ale jak ci z „Beiyun” ukryją te rakiety przed inspektorami celnymi w Singapurze i w Indonezji? - spytał Fu. - Przez ten cały rozgłos statek na pewno zostanie przeszukany.

- Sześć rakiet dostarczy okręt podwodny „Wuhan” - odpowiedział admirał Qu, ponownie się uśmiechając. - „Wuhan” bez trudu może ominąć nieprzyjazne porty; może pozostać na morzu nawet dwa miesiące, a jeśli trzeba, może pozostawać w zanurzeniu przez dziewięć dni. Transfer rakiet

przeprowadzimy, kiedy już nie będzie grozić niespodziewana inspekcja.

- Doskonale, doskonale. - Generał Fu nie ukrywał zadowolenia. - Jeśli nie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności, ukończymy wszystkie prace naprawcze jeszcze przed zawinięciem do Victorii i prawdopodobnie lotniskowiec będzie już miał pełną zdolność operacyjną, wchodząc na Morze Wschodniochińskie.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, osiągniemy zdolność operacyjną jeszcze przed zawinięciem do Hongkongu - powiedział admirał Qu z dumą. - a tymczasem będziemy kontynuować tę maskaradę, przekonując cały świat, że ten okręt to tylko bezużyteczny wrak.

- I za kilka miesięcy nasza flota wojenna będzie jedną z najpotężniejszych na świecie - powiedział Fu.

Admirał Qu nie pamiętał, kiedy po raz ostatni widział tego młodego, wpływowego dowódcę tak zadowolonego. Bez precedensu była w ogóle tak bliska współpraca Komunistycznej Partii Chin, rządu chińskiego i Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, a także wielkie zaangażowanie i energia wyższych oficerów. Coś się szykuje, pomyślał, i z pewnością chodzi o coś więcej niż jeden lotniskowiec i dostęp do zamorskich baz. - A potem, generale...?

- A potem, admirale - odpowiedział generał Fu Oanyou - Chiny przestaną być tym śpiącym smokiem, którym były przez ostatnie dwa tysiące lat. A każdy, kto ośmieli się nam sprzeciwić, poczuje na sobie potęgę naszych dwustu milionów zębów...

KONIEC